

DON DELILLO AMERICANA



NOIR SUR BLANC

Don DeLillo

AMERICANA

Przełożył
Michał Kłobukowski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

CZEŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

CZEŚĆ DRUGA

6

CZEŚĆ TRZECIA

7

8

9

10

11

CZĘŚĆ CZWARTA

12

Przypisy

Tytuł oryginału: AMERICANA

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, ELŻBIETA
JAROSZUK

Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Fotografia na okładce: © Matthieu
Paley/Corbis/Fotochannels

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © by Don DeLillo 1971

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2014, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-480-2

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Powieść ta jest fikcją literacką. Wszelkie nazwiska, postacie, miejsca oraz wydarzenia są wytworem wyobraźni autora lub zostały wykorzystane w celach artystycznych. Jakikolwiek podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, miejsc lub osób, żyjących lub nieżyjących, jest całkowicie przypadkowe.

Barbarze Bennett

Część pierwsza

1

A potem dobiegł końca jeszcze jeden nudny, koszmary rok. Przed wystawami sklepów rozwieszono lampki. Sprzedawcy kasztanów pchali dymiące wózki. Wieczorami tłum gęstniał, a rzeka pojazdów wzbierała rykiem przyboju. Święci Mikołajowie na Piątej Alei z dziwnie smutną delikatnością pobrzękiwali dzwoneczkami, jakby solili sponiewierany brutalnie kawał mięsa. Ze sklepów dobiegała muzyka: reklamowe przyśpiewki, nabożne pieśni i hosanny, a orkiestry Armii Zbawienia trąbiły na wojskową nutę, zanosząc się lamentem pradawnych chrześcijańskich legionów. Akurat tam i wtedy te dźwięki (brzęk czyneli i łoskot bębnow zapiętych

w wysokie kołnierze) brzmiały trochę dziwacznie, niby łajanie dzieci za jakiś otchłanny grzech, i chyba irytowały przechodniów. Ale urocze, niczym niezrażone dziewczyny załatwiały sprawunki we wszystkich obłądnych sklepach, maszerując przez ich magnetyczny zmierzch, jakby były tamburmajorami, wysokie i różowe, z kolorowymi paczkami przyciśniętymi do wrażliwych piersi. Owczarek alzacki niewidomego spał, nie zwracając na to wszystko uwagi.

W końcu dotarliśmy do mieszkania Quincy'ego. Otworzyła nam jego żona. Przedstawiłem jej B.G. Haines, swoją dziewczynę na ten wieczór, i słysząc jednym uchem, że rozmawiam z panią Quincy o Indiach, zacząłem równocześnie liczyć gości. Liczyłem obecnych, bo taki już miałem zwyczaj. To, ile osób zgromadziło się w danym miejscu, wydawało mi się istotne – może dlatego,

że w docierających raz po raz wiadomościach o katastrofach lotniczych i starciach wojskowych zawsze podkreślano liczbę zabitych i zaginionych. Taka dokładność działała na odrętwiały mózg jak elektryczne łąskotki. Drugą z kolei sprawą do ustalenia było natężenie wrogości. To akurat udawało się bez większego trudu. Wystarczało patrzeć na ludzi, którzy patrzyli na mnie, kiedy wchodziłem. Jedno przeciągłe spojrzenie dawało zazwyczaj dość dokładny odczyt. W salonie było trzydzieści jeden osób. Mniej więcej trzy na cztery sprawiały nieżyczliwe wrażenie.

Moja dziewczyna i żona Quincy'ego uśmiechnęły się, stwierdziwszy, że obie mają kolczyki w kształcie pacyfek. Zaprowadziłem B.G. do salonu. Czekaliśmy, aż ktoś podejdzie i nas zagadnie. Byliśmy przecież na przyjęciu, więc nie chcieliśmy rozmawiać tylko ze sobą. Dowcip polegał na tym, żeby na cały czas trwania

imprezy rozejść się w różne strony i znaleźć interesujących rozmówców, a dopiero pod sam koniec znowu się spotkać i powiedzieć sobie nawzajem, jaki koszmarny mieliśmy wieczór i że miło znów być razem. W takich zachowaniach tkwi esencja cywilizacji Zachodu. Ale w sumie nie miało to żadnego znaczenia, bo w ciągu godziny wszyscy zdążyliśmy się znudzić. Tego rodzaju przyjęcia są tak nudne, że właśnie nuda staje się wkrótce głównym tematem rozmów. Człowiek chodzi od grupki do grupki i kilkanaście razy słyszy to samo zdanie. „To jest jak film Antonioniego” – mówią ludzie. Ale twarze nie były aż tak interesujące jak w jego filmach.

Postanowiłem pójść do łazienki i przejrzeć się w lustrze. Na ścianie wisiało w ramach sześć inskrypcji wydrukowanych na lśniącym papierze dużymi, grubymi literami, czcionką sześćdziesięciopunktową, naśladującą pismo

odręczne, żeby wyglądały prawdziwie. Trzy były bluźniercze, a trzy nieprzyzwoite. Ramki musiały chyba sporo kosztować. Zauważyłem, że na ramionach mam łupież. Już chciałem go strzepnąć, kiedy do łazienki weszła niejaka Pru Morrison. Przyjechała z okręgu Bucks i dopiero zaczynała się wkręcać w wir wielkomiejskiej monotonii. Stała przede mną, rozplaszczona na zamkniętych drzwiach. Miała równo osiemnaście lat, a ja byłem i za stary, i za młody, żeby się nią zainteresować. Mimo to wolałem ukryć przed nią swój łupież.

– Przyszedłem umyć ręce – powiedziałem.

– Kto to jest ta bambuska?

– Pru, podobno bracia Foot sprzedają w tym tygodniu szpicruty po niższej cenie. Może się do nich przeleć.

– Nie wiedziałam, że chodzisz z bambuskami,

David.

Zacząłem myć ręce. Pru usiadła na brzegu wanny i odkręciła kran, puszczając cieniutką stróżkę wody. Nasunęło mi się pytanie, czy powinienem dopatrywać się w tym geście seksualnego podtekstu. W tego rodzaju sprawach czasem trudno wyczuć, co jest grane.

– Dostałam list od brata – powiedziała Pru. – Obsługuje granatnik M-79. Jest w jednej ze stref najzaciętszych walk. Píše, że o każdy centymetr kwadratowy ziemi toczą się krwawe boje. Powinieneś przeczytać jego listy, David. Są niesamowite.

Wojnę co wieczór pokazywano w telewizji, ale wszyscy chodziliśmy do kina. Niebawem większość filmów wydała nam się identyczna, więc zaczęliśmy dla odmiany chodzić do słabo oświetlonych pokojów, żeby coś skręcić i się

podkręcić albo popatrzeć, jak inni skręcają i się podkręcają, a może zapalić kadzidełko i słuchać taśm z nagraniami prawie zupełnej ciszy. Nosiłem ze sobą kamerę szesnastkę. Ta dowcipna zabawka wszystkich zachwycała.

– Pisze, że przyjaznych tubylców nie da się odróżnić od wrogich.

– Kto pisze?

– Nienawidzę cię jak zarazy, wstrętny parszywcu – powiedziała Pru.

– Mówił mi Quincy, że masz nowego chłopaka, Pru. Z Teksaskiego Uniwersytetu Rolniczo-Mechanicznego. Podobno to jakiś młodszy kadet. Quincy twierdzi, że poznałaś go przez komputerowy serwis randkowy.

– Skurwiel kłamie.

– Twój własny kuzyn, Pru.

– Masz łupież – powiedziała. – Widzę go na

twojej marynarce. Łupież!

Quincy był w wyjątkowo dobrej formie. Opowiedział całą serię kawałów o polskich cieciach, murzyńskich pastorach, o Żydach w obozach koncentracyjnych i o Włoszkach z kosmatymi nogami. Bombardował słuchaczy, szokował i znieważał, prowokując do sprzeciwu. Oczywiście dusiliśmy się ze śmiechu, na wyścigi starając się pokazać, jacy jesteśmy światli. Popis Quincy'ego miał nam pomóc się uwolnić od etnicznych przesądów. Jeżeli kogoś urażały tego rodzaju żarty albo był uczulony na jakąś szczególną ich odmianę, godzącą w jego własną rasę lub dziedzictwo, znaczyło to, że jeszcze nie dojrzał do włączenia się w główny nurt życia społecznego. B.G. Haines, zawodowej modelce i jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu znałem, widocznie podobały się wygłupy Quincy'ego. Była w salonie jedną z czworga

czarnych, a zarazem jedyną wśród nich Amerykanką, i najwidoczniej uważała, że jej dyplomatycznym obowiązkiem jest śmiać się najgłośniej ze wszystkich, ilekroć Quincy opowiadał szczególnie jadowity kawał o kolorowych. Zaśmiewała się, że aż prawie osuwała się na podłogę, ale ja wyraźnie słyszałem, jak każda kolejna fala śmiechu u szczytu spiętrzenia załamuje się z urwanym konwulsyjnym szlochem. Pewnie brakowało jej jeszcze trochę wprawy. Posuwała się wręcz do tego, że przez cały wieczór się uśmiechała, ilekroć ktoś do niej podchodził, i z powagą kiwała głową, gdy któryś z obecnych tam uczonych dzielił się z nią spostrzeżeniami na tematy społeczne. Zbijało ich to z tropu. W końcu musiałem jej przypomnieć, że to my mamy być dla niej uprzejmi, a nie na odwrót. Dodałem jeszcze krótki wykład o jej zobowiązaniach wobec własnego ludu. Wkłuła się

wykałaczką w zakąskę, która ją akurat mijiała, i znów nabrała eleganckich manier.

Impreza dobiegała końca. Niektórzy już wyszli. Było to tylko przyjęcie koktajlowe, więc umawiano się małymi grupkami na wspólną kolację. W kącie żona Quincy'ego wykonywała zmodyfikowaną koktajlową wersję swojego tańca, który nazywaliśmy „striptizem w stylu karate”. Twierdziła, że nauczyła się go podczas podróży na Wschód.

Miałem niebawem spytać B.G., gdzie chce jeść. Wiedziałem, że zda się na mnie. Chciałem ją zabrać do francuskiej knajpki na dalekiej West Side, na skraju ziemi niczyjej, gdzie zawiewa zimny wiatr znad rzeki, niskie ponure czynszówki zioną rozkładem, a o tej porze roku ma się wrażenie całkowitej pustki, jakby wszyscy się stamtąd wynieśli, uciekając przed buciorami

wojny. Nie mógłby tam mieszkać nikt prócz obszarpanych kotów i dzieci o przezroczystych brzuchach, a dalekie światła migoczące nad Times Square należą do innego miasta z innej epoki. B.G. zamówiłaby żabie udka, a ja próbowałbym jej zaimponować, mówiąc do kelnera po francusku ciepłym, poufałym tonem bohatera Ruchu Oporu, który wita dawnego towarzysza broni. Kelner gardziłby mną, a B.G. przejrzałaby na wylot moją gierkę. Nie pozostałoby nam nic innego, jak tylko zakończyć wieczór, paląc papierosa za papierosem i prowadząc klasyczną rozmowę o śmierci, młodości i niepokoju. Przypomniałem sobie, że już nie palę.

– Gdzie chcesz jeść? – spytałem.

Nie usłyszała, bo właśnie rozmawiała z jakimś Carterem Hemmingsem, który miał wprawdzie trzydzieści lat, czyli o dwa więcej ode

mnie, ale w telewizji był moim podwładnym. Zawsze zwracałem wielką uwagę na wiek swoich współpracowników. W firmie najbardziej bałem się młodszych facetów, którzy mogli mnie prześcignąć w awansie. Nie wystarczyło być najlepszym; należało być też najmłodszym. Moja sekretarka dzięki pedantycznym podchodom zdołała ustalić wiek wszystkich mężczyzn, których poziom odpowiedzialności służbowej był porównywalny z moim. Kiedy mi powiedziała, że jestem młodszy od najmłodszego aż o rok i trzy miesiące, zaprosiłem ją na kolację do francuskiej restauracji Lutèce i załatwiłem jej piętnaście dolarów podwyżki. Carter Hemmings bał się mnie. Właśnie z tego powodu, a także dlatego, że była akurat pora odświeżonej wielkoduszności, amnestii i rozejmów, nie przerwałem mu rozmowy z B.G., tylko sięgnąłem po jeszcze jedną szklanekę. W salonie zostało niewiele ponad dziesięć osób.

Sullivan w tym swoim cygańskim trenczu stała oparta o ścianę. Zrobiłem głupstwo, że ją zaprosiłem. Miałem wrażenie, że jest spięta. Stał przed nią pewien Pakistańczyk z ONZ. W jednej ręce trzymał szklanekę z koktajlem, a w drugiej popielniczkę. Sullivan bez widocznych zahamowań strząsała popiół na podłogę. Stałem tuż za Pakistańczykiem i spróbowałem ją rozśmieszyć, strojąc świńskie miny. Wysunęła prawą stopę z buta, a potem z wykwinną nonszalancją zgięła nogę, chowając ją pod całunem trencza, i oparła się stopą o ścianę. Stała na jednej nodze jak bocian, nad zagadkowym pantoflem. Czy to rozmyślnie, czy to mimochodem, zawsze odbierała mi poczucie własnej wartości. A zarazem straszliwie mnie pociągała.

– Ponieważ jestem muzułmaninem – mówił Pakistańczyk – nie piję. A mimo to czuję, że powinienem utrzymywać w dłoni kieliszek, gdyż

w odwrotnym razie otoczenie definitywnie poczyta mnie za nazbyt poważnego i nieugiętego osobnika. My, muzułmanie, przestrzegamy bardzo ścisłych zasad odnośnie do alkoholu, ubioru i stosunków cielesnych. Może ma już pani dość tych wszystkich ludzi i chciałaby udać się do siebie? Czy mogę zaofiarować swoje towarzystwo? Mój plymouth fury stoi w sam raz naprzeciwko domu. Gdzie pani mieszka?

– W męskich sercach – odparła Sullivan.

Dołączyłem do nich bez pytania. Zegar szafkowy zaczął wybijać godzinę. Patrzyłem na Pakistańczyka i bezgłośnie poruszałem ustami, próbując stworzyć wrażenie, że moje słowa toną w dźwiękach zegara. Po ośmiu przeciągłych uderzeniach zapadła cisza, a ja wyłowilem z własnych myśli bezsensowną historyjkę o podróży po Szwajcarii i od połowy zdania

zacząłem opowiadać ją na głos. Pakistańczyk spojrział na swój kieliszek, a potem na popielniczkę, zastanawiając się, który z tych dwóch przedmiotów łatwiej zachowa równowagę, jeżeli się go postawi na tym drugim. Był na obcym terenie i chciał mieć wolną przynajmniej jedną rękę. Potem podszedł Quincy i opowiedział nam o jakimś nowym meganarkotyku, który zażył w zeszłym tygodniu. I wtedy wszystko się rozsypało, zanim ktokolwiek zdążył zrozumieć, o co właściwie chodzi.

Wyszedłem na taras. Przez Central Park jechały samochody. Czerwone światła tylne ciągnęły sznurem na północ i zachód ku ciemności i rzece, a przednie – łagodnie pomarańczowe – zbliżały się do nas przy dźwiękach gwizdków odzwrotnych. Latarnie parkowe niewzruszenie pałały matowym, zimnym blaskiem srebra. A ja marnowałem życie.

Wszyscy mówili jej po nazwisku. Była wysoką, trzydziestosiedmioletnią rzeźbiarką i nie miała męża. Samym swoim sposobem bycia, postawą czy po prostu obecnością jak gdyby lekko zmieniała atmosferę w pokoju, tak że wszyscy czuli się jak na cenzurowanym. Miała twarz i ciało z gatunku tych, które nasuwają niekończące się skojarzenia, ja jednak postaram się ograniczyć je do minimum. Na przyjęcia przychodziła w zwyczajnej luźnej sukience, pantoflach na płaskim obcasie, bez makijażu, z długimi, potarganymi i jakby martwymi włosami, a ludzie skupieni w dobroduszne stadka nieodmiennie i zgodnie stwierdzali, że jest dziwna, inna, ciekawa, niezwykła. Kiedy na jednej z takich imprez stała, słuchając opowieści jakiegoś nieszczęśnika o jego życiu pełnym rytualnych zgróz, albo siedziała na uboczu, gładząc wciętą talię gitary, słyszałem, jak ludzie próbują odgadnąć jej rodowód. Wielu chyba brało ją za Indiankę.

Inni sądzili, że pochodzi z Katalonii, Polinezji lub z nad Morza Martwego. Słyszałem raz, jak jakaś kobieta z podziwem określiła jej rysy mianem prekolumbijskich. Mnie Sullivan wydawała się wręcz brzydka. (Grała tu oczywiście pewną cierpką rolę moja żądza odwetu). Miała smukłe, posępnie sękaty dłonie. Ciemne oczy sprawiały takie wrażenie, jakby nauczono je nie okazywać rozbawienia bez względu na to, co akurat widzą. Wąski nos, który poniekąd pasowałby do twarzy szermierza, zniechęcał rozdymał chrapy, wężąc katastrofę w czyjejś banalnej wypowiedzi. W sumie była chudą, twardą, zanadto kościstą babą. Raz po raz jakiś facet wyznawał jej, że bardzo chce iść z nią do łóżka.

Wróciłem do salonu. Żona Quincy'ego siedziała na kanapie, mieszając szczoteczką do zębów w szklance z koktajlem. Pru Morrison chyba sobie poszła. Quincy wyciągnął się z dwiema kobietami

na podłodze przed telewizorem. Obie pracowały w telewizji, tak jak i on. Patrzył w ekran, a jedna z kobiet notowała to, co mówił. Rozejrzałem się za dziewczyną, z którą przyszedłem. Sullivan wciąż stała bocianim sposobem na lewej nodze, rozmawiając z facetem, który z wyglądu przypominał nieduży blaszany hangar o przekroju połowy walca. Zacząłem machać rękami jak szympan, ociężale podskakując. Jednocześnie nasunąłem język na górne zęby i dziąsło, żeby stworzyć wypukłość między nosem a górną wargą. Zgarbiłem się, aż mi ręce zwisły poniżej kolan. Sullivan przelotnie na mnie spojrzała. Facet wziął jej szklanekę i zniknął w kuchni. Wyprostowałem się i podszedłem.

– Gdzie twoja popielniczka? – spytałem.

– Musiał wrócić do biura – wyjaśniła Sullivan.

– Nagły kryzys na subkontynencie.

– Sam powinienem siedzieć teraz w biurze. Wszyscy dybią na moją posadę. Ścigają się, kto dłużej zostanie w pracy. Niejaki Reeves Chubb mniej więcej trzy noce na tydzień przesypia w gabinecie. W biurku ma pełno brudnych koszul. Nie przychodzimy do niego na zebranie, póki sekretarka nie wysika pokoju dezodorantem. Ale ja mam mocną pozycję. Za jakiś czas może nawet pojadę na urlop.

– Na narty? Do tych nimf w cycatych swetrach.

– Nie wiem – odparłem. – Wolałbym zająć się czymś bardziej religijnym. Zwiedzić Amerykę w rozkrzyczaną noc. No wiesz: jin i jang w Kansas. Te klimaty.

– Może się z tobą wybiorę – powiedziała Sullivan.

– Serio?

– Chciałabym, David. Naprawdę.

– Za parę miesięcy i tak muszę pojechać na Zachód kręcić dokument o Indianach Nawaho. Wymyśliłem, że wezmę urlop kilka tygodni wcześniej i pojedę autem.

– Możemy zabrać Pike’a.

– Jasne – powiedziałem. – Niech znajdzie kogoś, kto na jakiś czas zajmie się jego sprawami.

– Pozwolimy mu wytyczyć trasę i damy awans za zasługi na polu bitwy. To mu się spodoba.

Dobrze się poczułem. To był fajny pomysł. Tamten facet wrócił z koktajlami. Sullivan nas sobie przedstawiła, a potem poszedłem szukać B.G Haines. W łazience nikogo nie było. Wszedłem do sypialni i dokładnie przejrzałem leżące na łóżku palta. Nie znalazłem tego, w którym przyszła. Zajrzałem do szafy i tam też go nie było. Poszedłem do kuchni. Nikogo. Postąłem chwilę, zanim otworzyłem lodówkę i wyjąłem

z zamrażalnika tackę z lodem. Zostały cztery kostki. Odchrząknąłem i naplułem flegmą na każdą z osobna. Wsunąłem tackę do zamrażalnika i zamknąłem drzwi lodówki.

Wróciłem do salonu. Sullivan wciąż rozmawiała z tym okrągłym szarym facetem. Nie mogłem oderwać wzroku od jej pustego buta.

Byłem niezwykle przystojnym młodzieńcem. Z wolna kształtujący się pod wpływem czasu obiektywizm i unicestwiana przez tenże czas powściągliwość pozwoliły mi uczynić to wyznanie bez uciekania się do zwykłych w takich razach skromnych zastrzeżeń, przypisujących, w stylu księgi hodowlanej, całą zasługę rodzicom lub dziadkom. Piękną jasną skórę mam co prawda chyba po matce, a atletyczną budowę po ojcu, ale z albumu rodzinnych zdjęć w żaden sposób nie wynika, skąd te dziwnie greckie rysy mojej twarzy. W wieku dwudziestu ośmiu lat fizyczna tożsamość wydawała mi się ogromnie istotna. Z lustrem czułem się związany prawie tak silnie, jak wielu

moich współczesnych ze swoimi psychoanalitykami. Ilekroć nasuwało mi się pytanie, kim jestem, stosowałem prosty chwyt: mydliłem twarz i goliłem się. Wszystko natychmiast stawało się cudownie jasne. Byłem niebieskookim Davidem Bellem. Moje życie w oczywisty sposób opierało się na tym właśnie fakcie.

Miałem równo metr osiemdziesiąt osiem wzrostu. Ważyłem od dziewięćdziesięciu dwóch do dziewięćdziesięciu czterech kilo. Mimo jasnej karnacji niezwykle ładnie się opalałem. Włosy miałem jaśniejsze niż dziś, gęściejsze i bujniejsze. W pasie mierzyłem osiemdziesiąt jeden centymetrów. Puls był w normie. Latała mi łąkotka, ale nigdy nie złamano mi nosa, miałem niebrzydkie stopy, zęby ładniejsze niż większość ludzi, a cerę bez zarzutu.

Moja sekretarka podsłuchiwała kiedyś, jak Strobe Botway, jeden z moich szefów w sieci, mówił, że jestem „konwencjonalnie” przystojny. Zdrowo się z tego uśmialiśmy. Strobe był niskim, ledwie podobnym do człowieka osobnikiem, a kiedy palił papierosa, miał zwyczaj trzymać go między kciukiem, palcem wskazującym a serdecznym i wolno obracać, tak jak Bogart w jednym ze swoich wczesnych filmów. Nienawidził mnie, bo górowałem nad nim wzrostem i młodością, no i nie byłem aż takim jak on kosmitą. Często mówił o aurze tajemniczości Bogarta, używając niemieckich terminów filozoficznych, których nikt nie rozumiał, i rozwaliał wiele przyjęć, cytując długie fragmenty dialogów z jego mało znanych filmów. Miał też swoich ulubionych aktorów charakterystycznych, lecz ich nazwiska nikomu nie kojarzyły się z żadną twarzą. Ci faceci grali strażników więziennych w siedmiu kolejnych

filmach albo wiecznie szturmowali japońskie gniazda karabinów maszynowych, trzymając w każdej dłoni po jednym granacie, bywali pijakami, psychopatycznymi mordercami, nieuczciwymi prawnikami czy wreszcie oblatywaczami myśliwców, którzy nagle tracili odwagę. Strobe wyraźnie podziwiał w ludziach fizyczne niedostatki, wady wymowy, blizny, połamane zęby. Według niego tworzyły one charakter, swego rodzaju kaprawy magnetyzm. Jego świat nie był moim. Owszem, podziwiałem Humphreya Bogarta, ale działał mi na nerwy. Niepokoiło mnie jego czoło, odpowiednie dla kogoś, kto tonie w długach. Instynktownie skłaniałem się ku Kirkowi Douglasowi i Burtowi Lancasterowi. Każdy z nich był amerykańską piramidą i nie potrzebował, żeby jakieś podziemie rozgłaszało jego sławę. Byli wręcz posągami. Ich twarze rozplątywały ekran. Kiedy śmiali się lub

plakali, robili to bez zahamowań. Ich chromowe uśmiechy nigdy nie bywały dwuznaczne. I rzadko miewali czas, żeby usiąść i poprzetrzucać się gorzkimi żartami z jakąś damulką z wyższych sfer albo z głupim platfusem. Byli ludźmi czynu: biegali, skakali i kochali do upadłego. Miałem kilkanaście lat, gdy zobaczyłem Burtę Lancastera w *Stąd do wieczności*. Stał nad Deborą Kerr na hawajskiej plaży, a ja pierwszy raz w życiu odczułem prawdziwą potęgę obrazu. Burt był jak miasto, w którym wszyscy mieszkamy. Taki ogromny. U zbiegu cienia i czasu było dość miejsca dla nas wszystkich, a ja wiedziałem, że muszę się rozprzestrzenić, aż rozszczepią się molekuly i sam wplotę się w ten obraz. Burt w blasku księżyca stanowił crescendo męskiej doskonałości, lecz ani trochę nie ujmowało mu to człowieczeństwa. Burt żyje! Do dziś noszę w sobie tamtą scenę i zapewne tak samo noszą go

miliony mężczyzn i kobiet, każde z własnych powodów. Burt w blasku księżyca. Był to jakiś koncept, ikona nowej religii. Kiedy tamtego wieczoru po obejrzeniu filmu jechałem samochodem ojca wiejskimi szosami, zacząłem się zastanawiać, jak bardzo prawdziwy jest otaczający mnie krajobraz, jak dalece sen jest snem.

Strobe umarł podczas zebrania. Dostał ataku serca, siedząc za biurkiem. Jest konwencjonalnie martwy. Ale ucieszyłby się, gdyby wiedział, że na innych pracownikach sieci moje cechy fizyczne robiły takie samo wrażenie jak na nim. W powietrzu krążyły utajone energie, ukryte delikatne prądy, jak w każdej firmie, która rozkwita w skwarze obrazu. Panował kult szpetoty i sprytu. Za bezwzględność zyskiwało się dodatkowe punkty. Przystojni padali ofiarą wendety. Starano się wymykać określonym kategoriom, żeby zbić z tropu tych, którzy je

definiowali. Każdego bowiem, kto nie był ani przystojny, ani szpetny, ani bezwzględny, ani sprytny, nijacy mieli za bohatera, błyskotliwi i przystojni – za miłego faceta, spryciarze – za nic, skrajnie niepoczytalna frakcja brzydkich – za homoseksualistę, bezwzględni – za bystrego młodzieńca, niebezpiecznie znerwicowani widzieli w nim zagrożenie dla siebie, a wyobcowani i skazani na porażkę uważali go za bliskiego i wiernego przyjaciela. W miarę możliwości starałem się nie wychylać. Cicho stąpałem, chodząc tuż pod ścianami i po schodach. Pewne drobne zdarzenie potwierdziło słuszność tej taktyki. Otóż kiedyś po lunchu przechodziłem na drugą stronę Madison Avenue, a ramię w ramię ze mną szedł Tom Maples – młody człowiek, który zaczął pracować w sieci mniej więcej w tym samym okresie co ja. Wymienialiśmy zwykłe w takich razach ostrożne komplementy. Gdy

doszliśmy do chodnika, uroczą nastolatka z różowymi sztucznymi rzęsami poprosiła mnie o autograf.

– Nie wiem, kim pan jest – powiedziała – ale na pewno kimś.

Jej uśmiech miał w sobie sporo czaru, więc uprzejmie podpisałem się na jej rozkładanym planie metra, sądząc, że Maplesa to rozbawi. A on unikał mnie potem przez pół roku. Od tamtej pory starałem się zachowywać jak najpokorniej i najpowściągliwiej. Miałem wrażenie, że tylko pod tym warunkiem ludzie z mojego otoczenia będą się dobrze czuli.

Znowu pora powtórzyć projekcję. Rozumiem to całkiem dosłownie, bo mam jeszcze film z tamtego okresu i dużo nagranych taśm. Niewiele jest do roboty na tak odległej wyspie jak ta, a sporo czasu mogę zabić (czy raczej poddać redystrybucji),

słuchając ścieżki dźwiękowej i oglądając po raz kolejny część nakręconego niegdyś materiału.

Poszedłem korytarzem do swojego gabinetu. Moja sekretarka siedziała przy biurku, jedząc ciastko z galaretką i pisząc list. Nazywała się Binky Lister. Była z niej pogodna dziewczyna, z lekką, miłą nadwagą. Weede Denney, mój bezpośredni przełożony, miał z nią romans, lecz mimo to była godną zaufania sekretarką, czyli kłamała na moją korzyść i bez względu na okoliczności broniła mnie przed zarzutami sekretarek ludzi, w których budziłem strach i nienawiść. Weszła za mną do gabinetu.

– Pan Denney chce cię widzieć na zebraniu o dziesiątej.

– W jakiej sprawie?

– Rany boskie, przecież nie mówi mi

wszystkiego.

– Nie gniewaj się, Binky. Tak tylko spytałem.

Stojąc przede mną, skrzyżowała nogi w kostkach w niezgrabnej, jakby nadąsanej pozie. Usiadłem za swoim ogromnym biurkiem i natychmiast wyobraziłem sobie, że jestem nagi. Lekko cofnąłem się z fotelem i zacząłem się na nim obracać, zakreślając władczy stuosiemdziesięciostopniowy łuk i lustrując swoje włości. Ściany obwieszane były powiększonymi fotosami z programów wyprodukowanych według moich scenariuszy i pod moim kierunkiem. Biblioteczkę wypełniały oprawione scenopisy. W dwóch rogach pokoju stały rośliny w doniczkach, a na stoliku starannie ułożono kilkanaście czasopism poświęconych telewizji i innym mediom. Wszystkie popielniczki kupiono u Jensena. Skórzana kanapa była czarna, a drzwi

żółte. Weede Denney miał jaskrawoczerwoną kanapę i czarne drzwi.

– Co poza tym? – spytałem.

– Dzwoniła jakaś kobieta. Nie przedstawiła się, ale kazała ci powiedzieć, że żabie udka były mniej smaczne niż zwykle.

– Moje życie – odparłem – jest serią wiadomości telefonicznych, które rozumiem tylko ja. Każda spotkana kobieta uważa się za jakąś niespełnioną autorkę delfickich sentencji. O trzeciej w nocy dzwoni telefon, bo ktoś utknął gdzieś na lotnisku i koniecznie chce mi powiedzieć, że herbatniki w kształcie zwierzątek uciekły z zoo. Dostałem kiedyś telegram, a raczej schizogram od pewnej dziewczyny z wybrzeża, tej oto zwięzłej treści: MOJE MIGDAŁKI POSZŁY NA POGRZEB. Wysyłasz czasem takie komunikaty, Bink? Moje życie to teleks od Interpolu.

– Skoro cię to wszystko tak irytuje, czemu się uśmiechnąłeś, kiedy ci powiedziałam o żabich udkach?

– Bo to dobra wiadomość – odparłem.

Poszedłem do biura Denneya. Siedział w tym swoim przerobionym fotelu fryzjerskim. Biurko zastępował mu niski okrągły stolik z drewna tekowego. W drugim końcu pokoju stała konsola z trzema kolorowymi telewizorami. Fotel fryzjerski był jednym z dziwactw, do których człowiek na stanowisku Weede'a miał prawo, więc zbytnio nim sobie nie zawracałem głowy, ale okrągły stolik trochę mnie przerażał, bo mógł oznaczać, że moje tytaniczne biurko jest na dobrą sprawę zbędne. Weede był mistrzem sztuki biurowej, specem od taktyki reagowania. Jakiś czas po tym, jak zacząłem pracować w sieci, jego podwładny nazwiskiem Rob Claven postanowił

ozdobić swój gabinet równo czternastoma obrazami własnej żony. Był to dosyć przerażający widok. Weede nie powiedział ani słowa, ale po tygodniu poszliśmy w kilku – między innymi Rob Claven – do niego na zebranie i aż się wzdrygnęliśmy. Znikły wszystkie obrazy, wszystkie ryciny przedstawiające stare szkunery, a zamiast nich zawisła jedna jedyna reprodukcja detalu z Kaplicy Sykstyńskiej w formacie dwadzieścia na trzydzieści centymetrów. Prawie puste ściany wydały wyrok śmierci na Roba Clavena, a Michał Anioł skrócił go o głowę.

W końcu Weede dał mi znak, żebym już nie stał w progu, tylko usiadł w niebieskim fotelu. Zrobił to ruchem ręki czy też oka, tak bliskim niezauważalności, że nawet gdy już usiadłem, nie umiałem określić, skąd wiem, że mam zająć właśnie ten niebieski fotel. W gabinecie był już Reeves Chubb. Jak zwykle palił mentolowe

cygaro. Weede opowiedział kawał o golfie i cudzołóstwie. W ciągu kilku minut przyszło jeszcze pięć osób, w tym jedna kobieta, Isabel Mayer, no i zaczęło się zebranie.

Spojrzałem w okno. Po drugiej stronie ulicy faceci w żółtych kaskach budowali dom. Krążyli po jego ażurowym kościecu, to pojawiając się, to znikając, strzelali acetylenem i chodzili po chwiejnych kładkach. Poruszali się, o dziwo, jakby wcale nie starali się zachować ostrożności. Może już się pogodzili z lękiem przed upadkiem. Nieraz pewnie widywali, jak inni spadają, i nienawidzili każdej z tych śmierci za to, że po chwilowym szoku nadciągała fala ulgi, którą zapewne przywiewał wiatr, wznoszący się z piętra na piętro po nagich, patykowatych puszczelach gmachu. Cóż można było zrobić innego, niż pójść szybko do mrocznego baru i wypić trzy piekące whisky? Dwaj mężczyźni siedzieli w kucki i wbijali nity,

a piętro wyżej jakiś facet skakał z deski na deskę, lekko rozłożywszy ręce, z dłońmi na wysokości bioder. Gdy w trakcie skoku znalazł się pod pewnym kątem do jeszcze nieistniejącej ściany budynku, za plecami miał niebo, soczyście błękitne o tej wczesnej porze, i tak trwali, ujęci w ramę dźwigarów, człowiek i niebo, przez niemożliwą na pozór sekundę. Widziałem tych dwóch, co nitowali, i skoczka, ale oni siebie nawzajem nie widzieli. Długo im się przyglądałem, starając się jednocześnie podążać za biurowymi głosami i nadawać im sens. Zza dźwigaru wyszedł jeszcze jeden robotnik, wysoki facet, któremu nogawki spodni nie sięgały do roboczych buciorów. Przez chwilę stał nieruchomo z dłonią skośnie przytkniętą do krawędzi kasku, osłaniając oczy przed słońcem. Wydawało mi się, że patrzy na nas. A potem uniósł rękę nad głowę i pomachał. Patrzył prosto na mnie, machając ręką. Nie wiedziałem,

jak się zachować. Opanowane głosy klikały, odmierzając dystans, zawierając kompromisy, niszcząc i naciskając. Czułem, że gest robotnika domaga się odpowiedzi. Nie wiedziałem, skąd to przekonanie, ale czułem, że nie ma innego wyjścia. Działał tu imperatyw absolutny. Należało dać znak.

– Patrzcie – powiedziałem. – Spójrzcie na tego faceta. On do nas macha.

– Patrzcie – zawtórowała mi Isabel. – Rzeczywiście macha. Ten robotnik z budowy. Widzisz go, Weede?

I nagle całą ósemką zerwaliśmy się na równe nogi i stłoczyli przy oknie, machając do tamtego faceta. To było wspaniałe uczucie. Wszyscy machaliśmy i śmialiśmy się.

– Widzimy cię! Widzimy cię! – krzyknął Weede.

Przepychaliśmy się do okna. Isabel usiłowała się wdrapać na szeroki grzejnik wystający spod

parapetu. Podsadziłem ją, a ona uklękała na grzejniku, machając obiema rękami. Niebo było bezchmurne. Śmialiśmy się jak opętani.

Zakończyliśmy zebranie w szampańskich humorach. Weede zaproponował wspólny lunch. Reeves Chubb wymówił się nawałem pracy, a ja wiedziałem, że Weede prędzej czy później każe mu odpokutować tę drobną ściemkę. Poszliśmy do Wiadra na Bebechy, nowej mety w stylu lat prohibicji, ze spluwaczkami i trocinami na podłodze, gdzie hamburger kosztował cztery i pół dolara. Było tam pełno ludzi z sieci, aktorów i modelek. Na ścianie wisiały setki zdjęć George'a Rafta. Usiedliśmy przy okrągłym dębowym stole. Przez bite trzy minuty nikt się nie odzywał. Potem przyszedł kelner i przyjął zamówienia.

W drugim końcu sali popijała bardzo przystojna

para. Ich nogi stykały się pod stołem. Wpatrywałem się w dziewczynę, ściągając ją wzrokiem. Chciałem od niej tylko przelotnego uśmiechu, niczego więcej. Sprawiłby mi ogromną przyjemność. Nosilem w sobie energię, która szukała ujścia w takich drobiazgach. Skraść jeden uśmiech z popołudnia tamtego faceta. Skrzętnie gromadziłem takie drobne triumfy ego, zapamiętując każdy z nich. Skinienie głowy. Śliczny uśmiech. Głębokie spojrzenie znad koniuszka papierosa. Coś odrobinę bardziej znaczącego byłoby już przesadą. Nie chciałem nikogo ranić.

– Udane zebranie – powiedział Weede. –
Wszyscy się co do tego zgadzamy?

Kelner przyniósł jedzenie, zanim dopiliśmy drugą kolejkę. W sali pełno było fantastycznych kobiet. Weede opowiadał nam o swoim

fotograficznym safari w Kenii. On i jego żona Kitty spędzili tam jesienią miesiąc. Powiedział, że wszyscy musimy kiedyś odwiedzić go w domu i obejrzieć slajdy. Ludzie z sieci raz po raz niewiąząco nawzajem się zapraszali. Ktoś niewidziany od miesiący nagle objawiał ci się w drzwiach pokoju jak seraficzna wizja nad twoją poranną kawą. „Zjedźmy kiedyś razem lunch” – mówił i zaraz zniknął. Albo któryś z szefów podnosił znad umywalki namydloną twarz, zezował w twoją stronę i mamrotał: „Kiedy wpadniesz zjeść kolację ze mną i z Ginny [Billie, Ellie, Sandy]?”. Autentyczne zaproszenia zwykle przekazywano w sekrecie, w poufnych listach służbowych albo przy zamkniętych drzwiach.

Weede jeszcze przed deserem przeprosił towarzystwo i wyszedł, żegnany niezłomnym milczeniem. Wszyscy wiedzieliśmy, dokąd idzie: do hotelu Penn-Mar przy Dziewiątej Alei, gdzie

już czekała Binky. Spotykali się co czwartek na jakąś godzinę. Po jego wyjściu Isabel postanowiła zamówić brandy, a my poszliśmy za jej przykładem. Była niską, zapijaczoną, mniej więcej czterdziestopięcioletnią kobietką. Przed czterema miesiącami podczas przyjęcia na holowniku, który raz za razem opływał w koło Statuę Wolności, chodziła i opowiadała na prawo i lewo, że wrzuciła Mastoffowi Panofskiemu do szkockiej z wodą swój włos łonowy. Wszyscy jej się bali, chociaż nie było po temu żadnego logicznego powodu. Zajmowała się w bliżej nieokreślony sposób koordynowaniem spraw związanych z modą i z nikim w pracy nie rywalizowała. Mimo to wszyscy bezwstydnie, na wyścigi, składaliśmy jej dowody życzliwości i oddania. Może wyczuwaliśmy w niej jakąś dziwną kocią perwersję. Chociaż nie zdradzała skłonności do rywalizacji, sprawiała takie wrażenie, jakby

w każdej chwili mogła zaatakować, ani trochę nie zważając na etykietę biurowych walk. Teraz dla odmiany opowiadała nam o napisach z damskich toalet nowojorskich restauracji. Recytowała je, puentując każdy uderzeniem dłonią w stół. Kelner przyniósł wszystkim brandy i zaczęliśmy rozmawiać o zimowej ramówce, zgodnie twierdząc, że jest pierwszorzędna. Przez salę przeszła bardzo wysoka dziewczyna w spodniach w białe i różowe paski; wyglądała, jakby nogi wyrastały jej prosto z ramion. Potem przyszedł Reeves Chubb. Zobaczył nas i pomachał ręką. Klapnął na zwolnione przed chwilą krzesło z głośnym westchnieniem ulgi, godnym jakiejś historycznej chwili, jakby miesiącami przedzierał się przez tropikalną dżunglę, zanim znalazł nasz zaginiony batalion.

– Minałem się z Weede'em? – zapytał. – Chyba tak, niech to szlag. Pomyślałem, że wstąpię coś

wypić na chybcika, zanim się wezmę do tej chińskiej afery. Co pijecie? Właśnie słyszałem, że Phelps ma wylądować na bruku. Jeszcze o tym nie wie, więc cicho sza. Pewnie zaczekają z tym do początku nowego roku. Paul Joyner spodziewa się, że teraz jego kolej. Od rana ma zamknięte drzwi. Hallie powiedziała, że on wydzwania do wszystkich ludzi, których w życiu poznał, odkąd zdał do ogólniaka. Ale on już od ośmiu lat twierdzi, że zaraz jego kolej. Pewnie myśli, że jak będzie tak mówił, to zażegna nieszczęście. Odczynia uroki. Ostatnie kilka tygodni to było piekło na kółkach. W tym miesiącu przesiedziałem w biurze wszystkie soboty i niedziele. Moja nieletnia narzeczona straszy, że jak mi szefowie nie pofolgują, to wróci do mamy. Czytaliście, że MBO układa szczegółowe plany na podstawie sondaży? W windzie nadziałem się na Jonesa Perkinsa. Powiedział, że Warburton ma jakąś rzadką chorobę

krwi, podobno śmiertelną. Chciałbym na święta pojechać do Aspen, ale nie widzę sposobu. Za to jedzie tam moja sekretarka. Nie wiem, jak one to robią. Hallie wiosną znów leci do Europy. Słyszeliście, co zrobił Merrill, ten skończony osioł? À propos. Blaisdell mówił mi, że w zeszły weekend widział w San Juan żonę Chandlera Batesa. Kręciła się po El Convento z jakimś obleśnym facetem w typie pletwonurka. Niesamowite rękawiczki, Isabel. Jeżeli szybko nie wezmę urlopu, to kiedyś zastaniecie w moim biurze tylko kupkę popiołu. Co pijecie?

Wróciliśmy do biura. Wczesnym popołudniem zawsze panował spokój, cały gmach w stanie tropikalnego spoczynku z wolna przetaczał się z boku na bok, jakby huśtał się w czarodziejskim hamaku, potem jednak otępiające działanie jada i napitków stopniowo mijało, a my przypominaliśmy sobie, po co tam jesteśmy, więc

zaczynaliśmy krzątać się i uwijać i już niebawem każdy pochylał się nad powierzoną mu maszyną. Lecz ta godzina zapomnienia miała w sobie coś cudownego. Można było usiąść na kanapie zamiast za biurkiem, wezwać do gabinetu sekretarkę i porozmawiać z nią półgłosem o byle czym: o filmach, książkach, sportach wodnych, podróżach, po prostu o niczym. Łączyła nas wtedy szczególnego rodzaju miłość, jaka budzi się między krewnymi, którzy przeżyli razem tyle poufanych chwil, że musieliby nie być ludźmi, żeby się nie pokochać. Nawet biuro wydawało się wyjątkowym miejscem, chociaż panowała w nim ta co zawsze rozpaczliwa, jasnożółta poświata, jakże zbliżona odcieniem do starych gazet. Człowiek wierzył, że jego uczuciom nic tam nie zagraża, że jest na znajomym terenie. Jeżeli tylko miał duszę, która pragnęła poddać się masażowi korzeni i pół roku, czerpać otuchę z tego co

swojskie, nie mógł chodzić wśród tylu biurek przez dwa tysiące poranków, słuchając kanonady maszyn do pisania, i w końcu nie uwierzyć, że właśnie tam może się poczuć bezpiecznie. Wiadomo było, gdzie urzędują prawnicy i jak bez zwłoki przepchnąć paczkę przez dział pocztowy, do kogo się zwrócić w sprawie odpisów podatkowych i co zrobić, kiedy karafka na wodę przecieka. Znaliśmy to wszystko, co stałoby się nieznanym, gdyby nas raptem przeniesiono do innego biura w jakimkolwiek innym budynku gdziekolwiek na świecie. A tak dla porównania – ile właściwie wiedzieliśmy chociażby o swoich żonach i jak bezpiecznie się przy nich czuliśmy? I właśnie w tych chwilach, zanim sobie przypomnieliśmy, po co tam w ogóle jesteśmy, biuro dawało nam poczucie przynależności, siedzieliśmy w nim więc wczesnym popołudniem, lekko się kołysząc, świadomi, że wróciliśmy na

pokład statku bazy.

W korytarzu dzwonił telefon. Nikomu nie chciało się podnieść słuchawki. Potem zadzwieczał drugi. Niespiesznie spacerowałem po gabinecie, przeciągając się. Próbowałem sobie przypomnieć, czy Burt albo Kirk grał kiedyś w filmie o życiu biurowym – w jednym z tych nudnych moralitetów o próbach sił i nieśmiałych cudzołóstwach. Zobaczyłem na swoim biurku służbową notatkę. Widząc, jaka jest krótka, natychmiast zrozumiałem, że to kolejny okaz z serii dziwnych kartek, które w nieregularnych odstępach czasu pojawiają się od ponad roku. Wziąłem ją do ręki i przeczytałem:

Do: Jednostki technicznej B

Od: Świętego Augustyna

I nigdy człek nie będzie w śmierci tak

beznadziejnie pogrążon jak wtedy, gdy sama śmierć nieśmiertelną się stanie.

Nikt nie wiedział, kto roznosi te notatki. Przeprowadzono dochodzenie, przesłuchano ileś osób, ale nic to nie dało. Sprawca musiał pokonać dwie przeszkody: niepostrzeżenie dostać się do powielarni i natrzaskać tyle kopii, żeby starczyło dla całego naszego działu, a potem porozkładać notatki na wszystkich biurkach we wszystkich okolicznych pokojach. Obsługę powielaczy oczyszczono z wszelkich podejrzeń, tak jak i gońców. Nikt nigdy nie widział, kto podrzuca te osobliwe cytaty. Pojawiały się jakby same – rano albo wczesnym popołudniem. Święty Augustyn odezwał się po raz pierwszy. Poprzednie notatki zawierały komunikaty od Zwingliego, Lévi-Straussa, Rilkego, Czechowa, Tillicha, Williama Blake’a, Charlesa Olsona i wodza Kiowów

imieniem Satanta. Sprawcę nazywano oczywiście w całej firmie Szalonym Okólnikarzem. Nigdy tak o nim nie mówiłem, bo była to zbyt banalna ksywka. Nazywałem go Trockim, bez żadnego konkretnego powodu. Ten kryptonim wydał mi się po prostu stosowny. Zastanawiałem się, czy kryje się za nim ktoś znajomy. Wszyscy chyba myśleli, że to jakiś groteskowy człeczyna, który doznał w życiu wielu rozczarowań i nienawidzi sieci, tej bezosobowej struktury, a sam pracuje w dziale spedycji, tradycyjnej ostoje wszystkich zboczeńców, mutantów i wegetarian. Twierdzono, że to zapewne cudzoziemiec, który wynajmuje pokój w Red Hook, po nocach czyta ośmiotomowy traktat drobnym drukiem o anomaliach psychicznych, a sprzedawcy z najbliższego spożywczaka mówi, że w starym kraju był uczonym w Talmudzie. Panowało takie przekonanie i może tkwiła w nim jakaś logika.

Mnie jednak większą satysfakcję sprawiała wiara, że Trocki jest jednym z najwyższych rangą dyrektorów. Zarabia osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie i kradnie z biura spinacze.

Usiadłem przy biurku i na czystej kartce obrysowałem długopisem własną lewą dłoń. Zadzwoiłem do Sullivan, ale nie odebrała. Znowu pospacerowałem po gabinecie i wyjrzałem na korytarz. Wiele dziewczyn wróciło już do pracy. Właśnie rozkapturzały swoje maszyny do pisania albo upychały splugawione jednorazowe chusteczki w dolnych szufladach biurek, obok starych listów miłosnych, szmacianych lalek i pornograficznych książek, które podarowali im szefowie, podążając za świeżo wezbraną falą swobody obyczajów, no i żeby zobaczyć, czy coś z tego nie wyniknie. Zamknąłem drzwi. Rozpiąłem suwak rozporka i wyjąłem fiuta. Trochę pochodziłem po pokoju z fiutem na wierzchu.

Fajnie było. Schowałem fiuta i wsunąłem notatkę Trockiego do tekturowej teczki. Trzymałem w niej wszystkie jego dzieła, a także wiersze, które pisałem od czasu do czasu w biurze, i parę schizogramów od znajomych dziewczyn. (POZDROWIENIA Z MAŁOWNICZEGO WYBRZEŻA NEBRASKI). Otworzyłem drzwi. Binky siedziała przy biurku. Wyjęła z białej torby kanapkę i tekturowy pojemnik. Kanapka po rozpakowaniu wyglądała, jakby była mokra i lepka. Cała ta scenka miała w sobie coś bardzo wzruszającego.

– Miło znów cię widzieć w wielkiej landrynkowej górze – powiedziałem.

– Hej – odparła. – Dwie godziny łąziłam po tym cholernym Saksie i w końcu nic nie kupiłam. A teraz zjem firmową kanapkę Coca-Coli. Wesołych świąt.

– Trocki znowu uderzył.

– Widziałam. Wciąż myślę, że to ty.

Wiedziała, że mi to pochlebi. Często mówiła takie rzeczy, jakby chciała mi oddać przysługę. Nigdy nie wiedziałem dlaczego. Pod wieloma względami była dla mnie dobrą koleżanką i dawniej nawet się zastanawiałem, co by się stało, gdybym spróbował, jak to określał ówczesny żargon, skomplikować naszą relację. Pewnego razu zasiedzieliśmy się do późna w biurze i właśnie coś jej dyktowałem, kiedy nagle zsunęła pantofle ze stóp. Widok kobiety zdejmującej buty zawsze mnie poruszał, więc ją pocałowałem. Był to tylko pocałunek między jednym a drugim akapitem, ale może powodowało mną coś więcej niż tkliwość lub chęć zakwestionowania miłej nijakości łączącej nas więzi. Może był to mój kolejny triumf ego. Dopiero od kilku dni wiedziałem, że Binky sypia z Weede'em.

– Wejdz – zaprosilem ja.

Przyszla z walowka i usiedlismy na kanapie.

– Phelps Lawrence wlasnie dostal kopa – powiedziala Binky.

– Slyszałem.

– Kraza plotki, ze Joyner ma byc nastepny.

– Sam je rozpuszcza – odparłem. – Sa elementem jego strategii przetrwania. Jak nie bedzie ostrozny, to sie na niej w koncu przejedzie.

– Jody uwaza, ze to poczatek czystki. Zaczal sie wysyp poufnych notatek sluzbowych. Jody jest zdania, ze Stennis moze zostac zmuszony do zlozenia dymisji. Ale nie rozpowiadaj. Kazala mi obiecac, ze nie puszcze pary.

– Widzialem te wszystkie zamkniete drzwi. Czasem podejrzewam, ze oni je zamykaja tylko na postrach. Wiadomo, ze za zamkniętymi drzwiami toczą sie tajne rozmowy, a z tajnych rozmów musza

wyniknąć kłopoty. Ale może oni tam sobie oglądają na kanale trzydziestym pierwszym lekcje gry na gitarze.

– Grove Palmer się rozwodzi – powiedziała Binky.

Nagle uprzytomniłem sobie, że po lunchu nie umyłem zębów. Trzymałem w biurze pastę i szczoteczkę, żeby po każdym zakrapianym lunchu umyć zęby. Łazienka w poobiedniej porze zawsze była pełna facetów, którzy myli zęby i płukali usta specjalnym płynem. Chwilami miewałem wrażenie, że my wszyscy, pracownicy sieci, istniejemy tylko na taśmie wideo. Nasze słowa i uczynki wydawały się niepokojąco przedawnione. Już dawno powiedzieliśmy i zrobiliśmy wszystkie te rzeczy. Zamrożono je, a potem zwinięto i ułożono na tackach laboratoryjnych, żeby czekały na emisję

i powtórkę w stosownej porze, ilekroć w ramówce otworzy się okienko. Czuło się, że czyjś zabójczy paluszek może klepnąć w guzik i na zawsze nas wykasować. Najgorsze były chyba właśnie te chwile w łazience, wśród kilkunastu facetów zaciekle szorujących zęby. Jakbyśmy byli tylko elektronicznymi sygnałami, które wędrują przez czas i przestrzeń, zacinając się na niuansach własnej niepoczytalności jak telewizyjna reklama.

– Co z twoim filmem o Nawahach? – spytała Binky.

– Quincy ciągle mnie blokuje. Mam zamiar pogadać z Weede'em, czy nie mógłbym popracować nad tym sam. Ale nikomu nie mów.

– David – powiedziała Binky.

– Co?

– Możliwe, że skreślą *Monolog*.

– Jesteś pewna?

– Podobno ten zasrany sponsor nie jest zainteresowany przedłużeniem umowy.

– Niby dlaczego?

– Tego mi nie powiedziano.

– Zawsze jeszcze mam w zanadrzu Nawahów.

– David, moim zdaniem w całej telewizji tylko dwa albo trzy programy są lepsze od *Monologu*.

Monolog był serialem, który sam wymyśliłem, a zarazem pierwszą większą rzeczą, jaką zrobiłem, odkąd dostałem się do ekipy Weede'a – elitarnego eksperymentalnego zespołiku, zorganizowanego w celu rozwijania nowych koncepcji i technik. Reszta sieci zazdrościła nam względnej swobody i nienawidziła nas za branżowe trofea, którymi wyróżniano nasze kroniki wojenne, powstające bez udziału sekcji wiadomości. *Monolog* ani razu nie został nagrodzony. Program ten polegał po prostu na tym, że w każdym odcinku jakiś człowiek

przez godzinę opowiadał przed kamerą swoje życie. Miałem ochotę spytać Binky, co jeszcze powiedział Weede o tym moim cyklu. Ale to by było z mojej strony nadużycie. I tak już trochę zaryzykowała, mówiąc mi choćby tyle. Akurat wtedy Weede szybko przeszedł przed drzwiami mojego gabinetu, ze spuszczoną głową, pochylony jak narciarz. W czwartkowe popołudnia zawsze wracał do biura co najmniej pół godziny później niż Binky – oczywiście po to, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Lubiłem sobie wyobrażać, że przez te trzydzieści minut pięć razy okrąży kwartał domów, w którym stał nasz biurowiec, albo sterczy w budce telefonicznej w holu i porusza ustami, niby to z kimś rozmawiając, a może naprawdę mówi, prowadząc normalny rzeczowy dialog z jednostajnie buczącą słuchawką. Zawsze bardzo szybkim krokiem mijał moje drzwi i przez resztę dnia w miarę możliwości starał się mnie unikać.

Widocznie miał niezwykle skomplikowane poczucie winy. Chyba się mnie bał w te czwartki. Za to w piątek rano rozglądał się za mną, zionąc dymem i pomstą, jakbym to ja mu zapaprał sumienie.

Binky wróciła za swoje biurko. Rozluźniłem krawat i podwinąłem rękawy. Zdołałem sobie wmówić tę nieprawdę, że ludzie dadzą sobie wmówić tę nieprawdę, jakoby aż tak niedbały strój (kontrastujący z metodycznie zadbanym otoczeniem) świadczył, iż jego posiadacz niemiłosiernie się zapracowuje. Zadzwoił telefon. W słuchawce zabrzmiał głos Wendy Judd, z którą chodziłem w czasie studiów. Mieszkała teraz w Nowym Jorku, a przedtem, tuż po rozwodzie z jednym z głównych producentów z Paramountu albo Metro Goldwyn Meyer, przez rok podróżowała.

– Umieram, David.

– Nie uogólniaj, Wendy.

– Nowy Jork ma w sobie jad. Słuchaj, póki pamiętam, mógłbyś przyjść jutro wieczorem na kolację? Przyjdź sam. Tylko ty możesz mnie uratować.

– Wendy, przecież wiesz, że w każdy piątek wieczorem gram z kumplami w kręgle.

– Proszę cię, David. Nie pora na żarty.

– Nasza drużyna nazywa się Walce Parowe. Jutro gramy ze Srebrnymi Odrzutowcami o mistrzostwo ligi. Zwycięzca dostanie puchar z wytłoczonym na bocznej ścianie nagim Grekiem, mistrzem kręglarstwa.

– Przyjdź trochę wcześniej – powiedziała Wendy. – Pomożesz mi wymieszać sałatkę. Pogadamy o dawnych czasach.

– Nie ma żadnych dawnych czasów, Wendy.

Taśmy przez nieuwagę zniszczono.

– Koło ósmej – rzekła na pożegnanie, odkładając słuchawkę.

W innych pokojach dziewczyny łomotały w małe owalne klawisze. Poszedłem się spacerować. Wszyscy byli zajęci. Miałem wrażenie, że dzwonią wszystkie telefony. Niektóre dziewczyny mówiły do siebie, pisząc na maszynach, i przy każdym kiksie mruczały „kurwa”. Zajrzałem do działu materiałów biurowych. Stały tam szafy koloru mundurów polowych. Hallie Lewin pochylała się nad dolną szufladą. Ze wszystkich miejsc na świecie najbardziej podniecające erotycznie są wielkie biura. Każde jest jak fantazja na temat zawilego labiryntu o ścianach z kobiet: na każdym kroku, za każdym zakrętem, w boksach i na schodach witają człowieka nieomal wyuzdane sceny. Kobiety stoją,

siedzą, klęczą, kucają w pozach jakby specjalnie po to wymyślonych, żeby widza oszołomić. Przypomina to sen o radosnych ogrodach, w których każde drzewo jest siedzibą nimfy o mlecznej cerze. Hallie uśmiechnęła się na mój widok.

– Podobno wylali Reevesa Chubba – powiedziałem.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, że ma kłopoty.

– Ani pary z ust.

– Oczywiście.

– Hallie, masz najśłodsza dupkę, jaką w życiu widziałem.

– O, dziękuję.

– Ani słowa o Reevesie.

– Obiecuję.

Poszedłem w stronę biura Weede'a Denneya. Po

drodze zauważyłem, że Dickie Slater, sześćdziesięcioletni goniec, stoi za biurkiem Jody Moore i pociera sobie krocze. Na mój widok wyszczerzył się w uśmiechu, między nami mężczyznami, i tarł dalej. Jody rozmawiała przez telefon, nie wiedząc czemu po portugalsku. Skręciłem za róg i zobaczyłem, że korytarzem co sił w nogach pędzi James T. Rice. Nie miałem pojęcia, co chcę powiedzieć Weede'owi. Denerwowałem się, że mój program wypada z ramówki, więc byłem w jadowym nastroju. W tego rodzaju sytuacjach przeważnie zachowywałem się jak mały chłopczyk, którego rozczarowano albo skarcono, i odkrywałem w sobie dziecinnie małostkowy geniusz mściciela. Wygadywałem dziwaczne i niepotrzebne kłamstwa. Psułem swoją maszynę do pisania. Kradłem z biura różne drobiazgi. Wysyłałem podwładnym zmiłowate liściki. Kiedy Livingston,

jeden z ważniejszych wiceprezesów, skrytykował pewien mój pomysł, wróciłem do swojego pokoju, kilka razy wytarłem nos, a wieczorem zakradłem się do gabinetu Livingstona i zostawiłem mu w górnej szufladzie biurka zasmarkaną chustkę.

Weede stał na środku pokoju, głęboko zamyślony, i jedną ręką z roztargnieniem głaskał się po łysej głowie. Rzucił mi ostrożne spojrzenie.

– Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, Dave, druty aż iskrzą – powiedział. – Zobaczymy się jutro z samego rana.

Wracając do swojego pokoju, stanąłem przy biurku Binky, żeby jeszcze chwilę pogadać, ale wyglądało na to, że jest zajęta. Wszedłem do swojego gabinetu i znów zadzwoniłem do Sullivan. Tym razem ją zastałem.

– Utah – powiedziałem.

– Cześć, David.

– Montana, Wyoming, Nevada, Arizona.

– Nie zauważyłam, kiedy wczoraj wyszedłeś. Porzuciłeś mnie na pastwę tych wszystkich biadolących nekrofilów.

– Steamboat Springs, góry Sawtooth, Big Timber, Aztec, Durango, Spanish Fork, Dolina Posągów.

– Słyszę śpiew Ameryki – powiedziała Sullivan, ale chyba nie całkiem serio.

– Znajomy ma turystyczną przyczepę. Mieszka gdzieś w Maine. Możemy po niego wstąpić i pojechać przyczepą na Zachód.

– Daj mi tylko znać godzinę przed wyjazdem.

– Pędzić przez Nowy Meksyk o aksamitnym świecie.

– Jestem spóźniona na spotkanie – powiedziała Sullivan.

Spróbowałem trochę popracować. Na dworze

było już ciemno. Podszedłem do okna i spojrzałem na południe. Z wyżyn biurowca zobaczyłem spiętrzone światła, ciągnące się przez prawie całą długość Manhattanu, i delikatny zarys kratownicy ulic. Uchyliłem okno. Miasto ryczało. Zimą ciemność zawsze zapada wcześniej, niż się spodziewamy, i w miarę jak stęchłą mgłą przekłuwa mrowie światel, Nowy Jork zamienia się w olbrzymi tort. Człowiek wsiada do rozśpiewanej windy i w głupie dziesięć sekund spada z dwustu metrów. Od dekompresji aż szumi w uszach. Jest to proces niemal przerażająco bezosobowy, ale jakiś taki zabieg wydaje się niezbędny, żeby można było przeistoczyć się z widocznego dla wszystkich obrazu w to, co rzeczywiście tkwi na widelczyku.

Przespacerowałem się do biura Cartera Hemmingsa. Siedział za biurkiem i obwąchiwał sobie żółte od nikotyny palce. Kiedy mnie

zobaczył, spróbował w niedorzeczny sposób pohamować atak paniki: wstał i rozłożył ręce jak argentyński magnat wołowiny witający w swojej willi jakiegoś generalissimusa.

– Hej, Dave – powiedział. – Co słyhać, stary?

– O ile mi wiadomo, Mars Tyler wyleciał na bruk.

– Nie żartuj. Nie żartuj. Jezu.

– Trwa wielka czystka. Po ulicach turkoczą drewniane dwukółki.

– Siadaj – rzekł Carter. – Powiem Penny, żeby zamówiła nam kawę.

– Nie mam czasu, Carter. Wszystkie obwody przegrzane. Jak ci idzie z promieniami laserowymi? Góra naciska.

– Próbuję doprowadzić projekt do stanu użyteczności, Dave.

– Dobrze się wczoraj bawiłeś z B.G.?

– Nie wiedziałem, że ją znasz, Dave.

– Troszkę – powiedziałem.

– Piękna dziewczyna. Ale jakoś między nami nie zaiskrzyło. Po kolacji odwiozłem ją do domu.

– Weede mówił wczoraj o tobie w czasie lunchu. Dziwny z niego facet. Czasem wygłasza pochopne sądy. Lepiej się przyłóż do tych laserów. Jutro z samego rana przyjdę zobaczyć, co zdziałałeś. Weede też jutro wczesnie przyjdzie. Wszyscy jutro przyjdziemy bardzo wczesnie. Miłego wieczoru, Carter. Pozdrów żonę.

– Ja nie mam żony, Dave.

Wróciłem do swojego biura. Binky właśnie próbowała uporządkować moje papiery. Zbliżała się pora wyjścia z pracy. Zaciągnąłem krawat i zapiąłem mankiety koszuli. Z korytarza słychać było wszystkie telefony. Zastanawiałem się, kto jest Trockim.

3

Ludzie wychylali się nad zatłoczoną jezdnię, polując na taksówki. Tysiące mężczyzn spieszyły w stronę dworca Grand Central. Szli rwanym krokiem, robiąc uniki, maszerowali głębokimi korytarzami, tłumnie wylegali na perony, a tam już czekały wygrzane pociągi, długa ciemność, wszystkie palce w tuszu z gazet, walka ze snem. Lubiałem wracać z biura pieszo, bo czułem, że mnie to uszlachetnia.

Dopiero gdy minąłem Czterdziestą Drugą Ulicę, tłum zaczął rzednąć, ale na jezdniach wciąż był straszny ruch. Na południe od Czterdziestej Drugiej każdy mógł iść we własnym tempie, lecz tamtejsze twarze były szare i jakby zmartwiałe,

ciała przytające w zwojach płaszczy, aż pomyślałem, że może w tym mieście jednostka koniecznie potrzebuje tłumu, żeby istnieć, bo inaczej jej gniew nie wywołuje tarcia, jej żal nie odbija się echem i żadna choćby najdrobniejsza poszlaka nie wskazuje, że inni są jeszcze bardziej samotni. Tak mi tylko przemknęło przez myśl. Wróciłem do domu, włączyłem telewizor, rozebrałem się i wszedłem pod prysznic.

Miałem wtedy mieszkanie z widokiem na Gramercy Park. Moja była żona mieszkała w tym samym domu. Nie był to aż tak dziwny układ, jak się na pozór może wydawać; właściwie wcale sobie tego w ten sposób nie układaliśmy: samo się ułożyło. Przed rozwodem zajmowaliśmy większe mieszkanie po drugiej stronie parku. Kiedy dowiedziałem się od znajomego, że naprzeciwko coś się zwolniło, pomyślałem, że rozsądnie będzie się przeprowadzić, bo właśnie odeszła ode mnie

żona, więc nie potrzebowałem aż tyle miejsca i nie warto było płacić wysokiego czynszu. Moja eksmałżonka zamieszkała na jakiś czas w Greenwich Village. Brała tam lekcje baletu, chodziła na wykłady do New School, uczyła się odżywiać według zasad makrobiotyki. Zapisła się też do klubu filmowego i zaczęła odwiedzać psychoanalityka. Pewnego wieczoru zaprosiła mnie do swojej dzielnicy na kolację i w końcu przy kawie wyznała, że to nowe życie niespecjalnie jej się udaje. Zajęcia mało ją wciągały, a nowo poznani faceci najwyraźniej nie umieli rozmawiać o niczym ważniejszym niż abonamenty na mecze hokeja i futbolu albo do filharmonii. Tęskniła za Gramercy Park, jedną z ostatnich ostoj cywilizacji w mroczniejącym mieście. Jakiś czas potem zwolniło się mieszkanie w moim domu. Dałem jej znać, a ona wynajęła je w ciemno.

Była śliczną blondynką o małych piersiach i sprężystym chodzie panienci z ekipy dopingującej futbolistów. Nazywała się Meredith Walker. Poznaliśmy się na potańcówce w klubie miejscowej elity w Old Holly, moim rodzinnym miasteczku w okręgu Westchester. Miałem dziewiętnaście lat i przyjechałem prosto z uniwersytetu na letnie wakacje. Merry mieszkała w Old Holly dopiero od kilku miesięcy. Jej ojcu, majorowi lotnictwa, powierzono prowadzenie szkoły kadetów na małej uczelni w niedalekiej okolicy. Twierdziła, że od urodzenia ciągle przenosi się z całą rodziną z miejsca na miejsce. Skończyła osiemnaście lat i wciąż nie wiedziała, co to znaczy mieć dom. Doskonale pamiętam tamten sierpniowy, niezmaczenie pogodny wieczór; ciepły wiatr przeczesywał korony rosnących dębów, syczały spryskiwaczki, pod drzewami stały srebrzyste pary – mężczyźni w białych smokingach

z dziewczynami w szyfonach i jedwabiach – a każda para w wątłym świetle wyglądała jak rzeźba, prawie nieruchoma, w idealnej odległości od pozostałych par, toteż cała ta scena sprawiała wrażenie ustawionej gwoli zadośćuczynienia kapryswi kamery, zgodnie z jakimś abstrakcyjnym rachunkiem perspektywy i tonu. Idąca przez trawnik dziewczyna raptem skręciła w miejscu i zapiszczała, bo wodna mgiełka ze spryskiwaczki musnęła jej ramię. Śmiech koleżanek zabrzmiał w ten ciepły wieczór, jakby ktoś zadzwonił nożem w delikatny kieliszek, i wydawało się, że usłyszeliśmy go dopiero po dłuższym czasie. Stałem z Merry na werandzie. Migotały świetliki i grała muzyka: leniwa samba, fokstrot. Merry była piękna. Cicho rozmawialiśmy, trzymając się za ręce. Znow, tak jak już nieraz w życiu, poruszyła mnie moc obrazu.

Poszliśmy do mojego auta i wybraliśmy się nim

do wesołego miasteczka w Rye. Cztery razy przejechaliśmy się kolejką górską (ja w smokingu, Merry w wieczorowej sukni) i wróciliśmy do klubu. Trochę potańczyliśmy. Miałem miłe wrażenie, że z boku przyglądam się nam obojgu. Starsze pary z pokolenia naszych rodziców bacznie nas obserwowały, a ich spojrzenia oraz ton rzucanych szeptem uwag wyraźnie świadczyły, że uważają nas za niezwykle zjawisko. Potem każde z nas poznało rodziców tego drugiego, a jeszcze później nasi rodzice spotkali się we czwórkę, odgrywając jeden z tych farsowych baletów, które składają się z chybionych wypadów, spóźnionych uścisków dłoni i głębokich zamilknięć z zamiataniem podłogi oczami. Moja matka przerwała ostatnią z tych chwil ciszy, opowiadając, jak to w Wirginii, będąc młodziutką panienką, chadzała na bale. Wszyscy uśmiechaliśmy się, wypatrując ponad jej

ramieniem miasteczka Rappahannock. Nalałem łyżką wazową ponczu do dwóch szklanek i wyprowadziłem Merry na werandę. Opowiedziała mi o paru miejscach, w których przedtem mieszkała, i o nierzeczywistym klimacie życia w bazach wojskowych. Było to życie bez czasu przyszłego; nieustannie czuła, że pewnego ranka zbudzi się i w bazie będą tylko kobiety i dzieci. Cieszyła się, że jej ojca dla odmiany skierowano do pracy na uczelni, i miała nadzieję spędzić w Old Holly przynajmniej kilka lat. Zaczynałem się nudzić. Merry powiedziała, że im bliżej bazy mieszkali ona i jej rodzice, tym trudniej było matce przestać pić. Ale teraz wszystko szło ku lepszemu. Bardzo lubiła Westchester. Wydawał jej się solidny.

Wróciłem do południowej Kalifornii na studia. Merry po Bożym Narodzeniu wybrała się z dłuższą wizytą do Londynu. Mieszkała u swojej kuzynki

Edwiny i jej męża Charlesa, który był Anglikiem. Londyn zachwycał ją przy każdej pogodzie. Uwielbiała parki, teatr, puby, kaski policjantów. Pisała listy pełne werwy i najrozmaitszych szczegółów: nazwisk, liczb i historycznych dat. Amerykanom mylą się stulecia. Wtedy jeszcze nie bardzo wiedziałem, kim byli prerafaelici, kiedy żył Galileusz i kto się utopił: Shelley czy Keats. Listy Meredith pozwalały mi jako tako zorientować się przynajmniej w kwestiach angielskich, więc pilnie je zgłębiałem, zapamiętując kolejnych królów razem z datami panowania i każdą ucieszną bitwę, jakbym spodziewał się znaleźć w następnym liście krótki podchwytliwy quiz. Tego rodzaju studia należały do obowiązków młodej żarliwej miłości, a zresztą listy Meredith były w jakimś dziwnym statystycznym sensie czarujące, dość podobne do epitafiów z opactwa westminsterskiego. Ja

natomiast pisałem długie, poetyckie epistoły bez znaków przestankowych, nafaszerowane seksualnymi wizjami. Czułem, że dzielące nas prawie dziesięć tysięcy kilometrów daje mi prawo do pewnej swobody. Ołówkiem do rysowania typu Venus 4B z przyjemnością kreśliłem na kopercie grubymi drukowanymi literami słowo LOTNICZA.

W położonym na skraju pustyni miasteczku uniwersyteckim było sztuczne jezioro, w którym pływałem niemal co wieczór, często w towarzystwie Wendy Judd. Rano przed wyjściem z pokoju ćwiczyłem pompki. Zajęć mieliśmy niewiele. Leighton Gage było małą, drogą i bardzo nowoczesną uczelnią humanistyczną. (W palmowym gaju wykładano nam teologię rozpaczy). Po południu piłem coca-colę i pisałem wiersze. Często myślałem o Meredith, o jej bezbłędnym nosie

i nieskazitelnych zębach. Skompletowawszy obsadę złożoną z kilkorga studentów, jako pracę licencjacką nakręciłem półgodzinny film o facecie, który idzie na pustynię i zakopuje się po szyję w piachu. Nadchodzą Meksykanie i siadają wokół jego głowy. Mój wykładowca sztuki filmowej, Simmons St. Jean, orzekł, że popełniłem najbardziej pretensjonalne filmidło, jakie w życiu widział, ale pretensjonalność niekoniecznie uważał za wadę.

W kwietniu umarła mi matka, a latem Merry i ja wzięliśmy ślub w kościele episkopalnym w Old Holly. Usiłowałem rzucić palenie. Do Leighton Gage na mój ostatni rok studiów wróciliśmy już razem. Chciałem się tylko odprężyć, nauczyć się czytać w umyśle i ciele swojej kobiety, no i trzymać się z dala od Wendy Judd, wciąż spragnionej mojego cienia, widoku, a także pędu i ryzyka, których zaznawiała w moim aucie.

Chciałem się wyzwolić z tego montażu szybkości, broni palnej, tortur, gwałtów, orgii i komercyjnych opakowań, składających się na amerykańskie wyobrażenie o seksie.

Drobne i zwarte ciało Merry otworzyło się i rozluźniło, a ja raz po raz radośnie w nim pływałem. Wieczory w Sugar Bowl. Leciutka, blada woń płatków podczas Parady Róż w Pasadenie. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Na roku dyplomowym w Leighton Gage trzeba było tylko się zarejestrować i zapłacić chesne. Kto chciał, mógł parę razy w tygodniu chodzić na zajęcia, a resztę czasu poświęcać zgłębianiu głównego przedmiotu swoich zainteresowań. Merry i ja zwiedzaliśmy pustynię, a ja kręciłem sporo filmów. Używałem wtedy ósemki Beaulieu, a konkretnie modelu S2008 z umocowanym na stałe pistoletowym uchwytem, automatycznym czasem naświetlania i teleobiektywem Angenieux.

Był to w sumie sprytny okaz mechaniki optycznej, który kosztował mojego ojca prawie siedemset dolarów. Możliwości sztuki filmowej wydawały się nieograniczone. Przez soczewkę kamery przenikał blask kobiecego ciała. Czułem, że mogę dokonać rzeczy, jakich nikt jeszcze nie próbował. Sokół odbijał się od słońca, lekko je musnąwszy, a ja wyławiałem go z powietrza i umieszczałem w nowej erze, wolnej od historii i śmierci. Nakręciłem czterdziestopięciominutowy film o bieliźnie. Uczelnia udostępniała wszystkim dyplomantom reżyserii studio nagraniowe i dzięki temu zrobiłem swój pierwszy film dźwiękowy. Wystąpiła w nim Merry. W samej bieliźnie siedziała z pięciorgiem moich przyjaciół u mnie w pokoju i wszyscy rozmawiali o rozmaitych rodzajach spodniej odzieży, jakie nosili od dzieciństwa. Simmons St. Jean stwierdził, że film ma w sobie powiew świeżości, ale jest głupi.

Kiedy zrobiłem dyplom, wróciliśmy do Old Holly i chwilowo zamieszkaliśmy z moim ojcem. Uświadomiłem sobie, że mam przed sobą jeszcze pięćdziesiąt lat życia na ziemi i zero pojęcia, jak je spędzę. Ojciec rozwiązał za mnie ten problem. Dał mi tydzień wytchnienia, niby po to, żebym odpoczął po czterech latach wytężonych studiów, a potem zaczął wydzwaniać do znajomych z branży. Pracował w wielkiej agencji reklamowej, prowadząc w niej kampanie pewnego ważnego klienta, i osobiście odpowiadał za transakcje na sumę dwudziestu dwóch milionów dolarów. Z moją sprawą zdążył się uwinąć przed najbliższą środą. Po powrocie z pracy zaproponował mi trzy posady do wyboru: dwie w agencjach reklamowych, w których albo najpierw odbyłbym szkolenie, albo zacząłbym od stanowiska kogoś w rodzaju pomniejszego asystenta w dziale emisji, a trzecią w sieci

telewizyjnej, gdzie musiałbym rozpocząć karierę w dziale pocztowym. Wybrałem sieć. Nie chciałem zanadto iść w ślady ojca. Merry przyznała mi rację. Powiedziała, że grunt to niezależność, zwłaszcza na starcie.

Merry i ja wynajęliśmy to duże mieszkanie z widokiem na Gramercy Park. Pensję miałem bardzo skromną, więc musiałem pożyczyć od ojca. Ale niebawem zacząłem sobie jakoś radzić: z działu pocztowego wyrwałem się zaledwie po czterech miesiącach, co podobno graniczyło z rekordem. Przez ten pierwszy rok w Nowym Jorku dobrze się bawiliśmy. Poznaliśmy sporo ludzi i byliśmy lubianą parą. Merry znalazła posadę sekretarki, więc rano we dwoje wychodziliśmy do pracy, a co wieczór spotykaliśmy się w holu jej biurowca, żeby razem wrócić do domu. Opowiadaliśmy sobie o wszystkim, co nam się przydarzyło w ciągu dnia,

choć niewiele się działo. W niedzielne popołudnia odwiedzali nas znajomi i przyrządzaliśmy wielką spienioną wazę słodkiego koktajlu własnego pomysłu. Nazywał się Samoistne Poronienie i składał z dżinu, wódki, szkockiej, żytniej, brandy i prawie dwulitrowej porcji lodów wiśniowo-waniliowych. Merry wycinała przepisy z kobiecych czasopism i wieczorami razem gotowaliśmy; ilekroć wychodziła nam z tego niejadalna spalenizna (a zdarzało się to dosyć często), śmialiśmy się i szliśmy do baru za rogiem na hamburgera i koktajl czekoladowy. W jakimś głębokim szybie mojego jestestwa zaczęła tykać czarna maszyna. Merry nakupiła sobie za kieszonkowe od ojca niesamowitych ciuchów. Miała w sam raz odpowiednią figurę do tych skondensowanych ubrań, które wtedy noszono. Zawsze przywiązywaliśmy wielką wagę do ubioru i nie

zawracaliśmy sobie głowy żadnymi regułami. Tak czy owak wszystko na nas wyglądało fantastycznie. Zaliczaliśmy każdy nowy film i mnóstwo imprez po domach. Zachowywaliśmy się, jakbyśmy wierzyli, że nikt nigdy nie zrobił nic cudowniejszego niż to, co akurat robimy. Dobieraliśmy ubrania do filmów, na które mieliśmy zamiar pójść: do czarno-białych różne odcienie szarości, a do technicoloru wysokie buty, skóry, bawełniane spodnie khaki, koszule z amerykańskiej flagi i tym podobne ciuchy sprzed epoki LSD. Bardzo starannie dopasowywaliśmy wszystkie odstające detale i zawsze przez kilka minut wzajemnie się zapewnialiśmy, że możemy już spokojnie stanąć w kolejce do Cinema I. Każdy obejrzany film był najwspanialszy. Merry przez dwa dni mówiła tylko o nim, a potem wykreślała go z pamięci. Nie mieliśmy czasu niczego pamiętać, bo nieustannie pojawiały się nowości:

kolejny znakomity film, świetny nowy pub albo restauracja, fantastyczny sklep z męską odzieżą, butik, okolica narciarska, domek nad samym morzem czy zespół rockowy. Stałem przed komisją poborową i ledwo się wywinąłem dzięki latającej łekotce i chronicznej cyście u podstawy kręgosłupa. Wojna dopiero się zaczynała i komisje dosyć kapryśnie przebierały w młodych kandydatach do nieśmiertelności.

Niebawem przestało mi wystarczać to, że kocham się z żoną. Najpierw musiałem ją uwieść. Te podboje często bywały inspirowane kinem. Lubiłem być dla niej szorstki. Chętnie milkłem na dłuższy czas. Filmy zabarwiały niektóre z moich intymnych chwil niełatwymi znaczeniami.

Meredith była pod silnym wpływem angielskich filmów z tamtego okresu. Pielęgnowała w sobie pewien rodzaj zinstytucjonalizowanej

nieobliczalności. Idąc ze mną ulicą, puszczała nagle moją rękę i odskakiwała w jakieś ciągi fantazmatów. Kiedy robiliśmy razem zakupy, kradła parę bezużytecznych drobiazgów, chowała je pod swetrem i żartowała, że wygląda jak w ciąży. Poskarżyła się strażnikowi w Metropolitan Museum, jakobym próbował się do niej dobierać w egipskim grobowcu. Był to pierwszy z jej wielu aktów finezyjnej przemocy wobec pomniejszych decydentów. Raz idąc przez Central Park, zobaczyliśmy starą kwiaciarkę. Merry poprosiła, żebym kupił dwa tuziny chryzantem, a potem zaprowadziła mnie na mostek w południowo-wschodnim krańcu parku. Staliśmy, rzucając do jeziora kwiat za kwiatem, a kaczki zataczały koła w fioletowej mgiele. Brakowało tylko ścieżki dźwiękowej, a ja bez trudu wyobrażałem sobie, jak Merry robi w myślach cięcia i powolne przenikania.

Do pracy ubierałem się oficjalnie, ale nie bez odrobiny koloru, bo oficjele już się przekonali, że każdy kolor w zasadzie jest szary, jeżeli noszą go wszyscy. Nie wahałem się więc przyjść do biura w pomarańczowym krawacie, lecz nigdy nie był on bardziej pomarańczowy niż te, które nosili pozostali.

Wydostawszy się już z działu pocztowego, dowiedziałem się czegoś więcej o strachu. Gdy zaczyna się on wznosić, anatomicznie rzecz biorąc, od podbrzusza w stronę gardła i mózgu, po drodze przeistaczając się z lęku przed przemocą w uogólniony strach, człowiek czuje się niczym ofiara jakiegoś okropnego eksperymentu. Nauczyłem się nie ufać przełożonym, którzy zachęcali mnie do samodzielnego myślenia. Ilekroć im przedstawiałem jego owoce, odpłacali mi zastraszaniem, wiedząc, że właśnie cudze pomysły mogą wysłać ich do lamusa.

Kierownictwo nieustannie domagało się nowych; z góry na dół przez wszystkie eszelony słano służbowe notatki z prośbami o śmiałe i prowokujące koncepcje. Przekonałem się jednak, że nowe pomysły mogą wykończyć swojego autora, jeżeli nie będą podane w plastikowej torbie. Doświadczenie nauczyło mnie, że sekretarki są przeważnie inteligentniejsze od większości dyrektorów, a sekretarek dyrektorskich należy się bać tak jak nikogo innego. Wiedziałem już, co oznaczają zamknięte drzwi, i zdawałem sobie sprawę, że przyjaźń nie jest walutą wymienialną, kłamać zaś trzeba nawet bez wyraźnego powodu. Słowa rozmijały się ze znaczeniami. Nie mówiły tego, co mówiono, ani nawet czegoś przeciwnego. Nauczyłem się nowego języka i wkrótce opanowałem jego najważniejsze elementy.

Dziwnie lubiłem swoją pracę – przynajmniej na

początku. Narzuciła mi nieznany dotychczas sposób myślenia i patrzenia. W początkach kariery wyobrażałem sobie własny umysł jako ciemny pokój z wieloma drzwiami. Najlepiej mi szło, kiedy kilkoro było otwartych. Czasem otwierałem ich więcej, swobodniej wpuszczając światło i ryzykując prawdomówność. Jeżeli wydawało mi się, że w moich słowach lub uczynkach ktoś wyczuwa dla siebie choćby najlżejsze zagrożenie, zamykałem wszystkie drzwi oprócz jednych. Tak było najbezpieczniej. Zwykle jednak otwierałem troje albo czworo. Często miałem przed oczami obraz tego pokoju. Gdy na zebraniu zabierałem głos, widziałem, jak poszczególne drzwi w moim umyśle to zamykają się, to otwierają, i niebawem nauczyłem się z absolutną precyzją regulować przepływ i natężenie światła. Dostałem jedną podwyżkę, a potem drugą. Dopuszczono mnie do pracy przy realizacji programów. Tymczasem życie

z Merry toczyło się po dawnemu jako melanz nagłych cięć i nieostrej tkliwości. Ale wkradła się w nie pewna nowość, poszept desperacji. Kiedy późno wracałem do domu, Merry w sombreroze siedziała na podłodze i usiłowała napisać haiku. Z bólem stwierdzałem, że robi takie rzeczy nawet w samotności. Kupiła sobie w tamtym okresie mnóstwo dziwnych nakryć głowy i wszędzie w nich chodziła. Miała sombrera, dżokejki, kanotieri, wełnianą czapkę marynarską, kapelusz z szerokim rondem à la Mata Hari, fez i bejsbolówkę. A czarna maszyna wciąż tykała.

– Zróbmy dziś wieczór coś szalonego – mawiała Merry.

Ale nie zostało nam już nic do zrobienia. Próbowaliśmy odnaleźć spontaniczną radość tamtej przejażdżki kolejką górską. Pojechaliśmy nawet kiedyś do Rye jak dwoje weteranów

wracających na normandzką plażę, lecz akurat tamtego wieczoru padało, więc siedzieliśmy w samochodzie na parkingu, patrząc, jak hen, w górze gasną białe światła. Czując, że pora wykonać ostateczny gest, coś ekwilibrystycznego, zacząłem niezdarnie kochać się z Merry na przednim siedzeniu. Silnik warczał, migały wycieraczki, radio trzeszczało, utknąwszy między stacjami, a my podrygiwaliśmy wśród tych dźwięków, jakbyśmy lecieli przez kieszeń międzygwiazdną na najdalszych rubieżach kosmosu.

Tą pierwszą była Jennifer Fine. Wiem, że nie ma nic nudniejszego niż cudza kronika zrad, a mój pierwszy skok w bok z wielu punktów widzenia wyglądał jak marzenie jakiegoś tępaka. Od większości pokątnych romansów różnił się wyłącznie tym, że nie dojeżdżałem do pracy, więc nie musiałem wpasowywać swoich orgazmów

w rozkład jazdy pociągów. Należy jednak wtrącić tu parę słów o Jennifer Fine, choćby dlatego, że chcę pokazać, co się dzieje z ludźmi mojego pokroju, kiedy ktoś ofiarowuje im swego rodzaju miłość, prosząc w zamian tylko o to, żeby wolno mu było pragnąć najprostszej formy delikatności. Jennifer była śniadą szatynką o wielkich piwnych oczach. Pracowała w dziale badawczym. Poznaliśmy się tam, kiedy jeszcze byłem gościem, i wydała mi się samotna i interesująca. Gdy zrozumiałem, że Merry i ja już sobie nie radzimy bez suflera, wyszukałem w firmowej książce telefonicznej jej wewnętrzny. Postanowiłem, że to Jennifer wprowadzi mnie w wir wyświechtanych klisz.

Umówiliśmy się na drinka w jednym z tych pubów na East Side o wystroju w kolorze wołowej posoki, w których śmiech i brzęcząca gadanina brzmią jak na przemian podkręcane

i ściszone nagranie. Od razu nadałem ton, spóźniając się pięć minut, chociaż wiedziałem, że Jennifer przyjdzie punktualnie; wyglądała na taką. Zamówiliśmy coś do picia i chwilę wesoło pogadaliśmy, głównie o różnych ludziach z sieci, których oboje nienawidziliśmy. A potem pograżyliśmy się w ciężkim milczeniu, jakbyśmy nagle zdali sobie sprawę, że wszelkie możliwości porozumienia wyczerpaliśmy w dziesięciu banalnych zdaniach. Wiedziałem, że Jennifer mi się spodoba. Podobało mi się jej wytrwałe milczenie. W panującej w pubie atmosferze planu filmowego sprawiała wrażenie bibliotekarki o zacięciu mistycznym. Twarz miała wąską i niezbyt ładną (a zarazem prawie piękną), przysłoniętą długimi włosami. Pomyślałem, że celowo je tak spuściła, jakby jej twarz potrzebowała czasem schronienia. Nie umiała przestać gestykulować; widać też było ślady

obgryzania paznokci. Wpatrywała się w pustą popielniczkę. Wziąłem ją od spodu za brodę i uniosłem jej głowę. Łagodne oczy poruszyły się: dwie łyżeczki herbaty. Już po chwili rozprawiałem o tym, jak ważne jest stosowanie pewnych środków ostrożności. Byłem przecież żonaty, a łatwo mógł nas zauważyć ktoś z biura. Naszkicowałem szereg procedur w kwestii lunchu, drinków, kolacji, dzwonienia do siebie nawzajem w pracy, biurowych przyjętek i tym podobnych. Nie żeby naprawdę mnie obchodziło, czy ktoś się o nas dowie. Po prostu napięcie i poczucie zagrożenia są podstawą udanego romansu.

Nazajutrz wieczorem spotkaliśmy się na kolacji w hinduskiej knajpce przy Czterdziestej Dziewiątej Zachodniej. Przyszliśmy oddzielnie. Bardzo efektowna kobieta w sari przyjęła zamówienie. Długo rozmawiałem z Jennifer. Bała się wszystkiego: jazdy metrem, nieznanomych

ludzi, wysokich domów, liczby dziewięć, plastiku, dymu, samolotów, śniegu, gołębi, owadów, przyjęć, taksówkarzy, wind, przedmieść, filmów Bergmana, hiszpańskiej kuchni, mężczyzn w mokasynach od Gucciego. Po kolacji przespacerowaliśmy się po Central Parku i wyszliśmy z niego kilka przecznic za Dziewięćdziesiątą Zachodnią, po czym skręciliśmy w stronę domu Jennifer. Był letni wieczór, łysi faceci w chustkach na głowach siedzieli na skrzynkach po pomarańczach. W połowie drogi między dwiema przecznicami stały dwa radiowozy i karetka pogotowia. Jeszcze nie zapadł zmrok. Bawiły się dzieci, jakiś pies przeszedł przez cień laski starca. Doszliśmy pod sam dom Jennifer i ruszyliśmy na górę. Oboje milczeliśmy, czując napięcie, które stwarzał stukot naszych kroków w ciemnej klatce schodowej. Znaleźliśmy się w schludnym mieszkanku. W łazience pachniało

cytryną i miętą. Kiedy stamtąd wyszedłem, Jennifer pomknęła do wnęki kuchennej, żeby zrobić coś do picia. Usiadłem na wersalce i zaczęliśmy rozmawiać, oddzieleni całą szerokością pokoju. Omawialiśmy dobre i złe strony mieszkania na West Side – w dzielnicy znanej z wielu niebezpieczeństw i niskich czynszów. A więc tak wygląda życie pozamałżeńskie – pomyślałem.

– Robię ci dzin z tonikiem. Za późno na protesty.

– Ładne mieszkanie – odparłem.

– Nie zanadto konwencjonalne?

– Jest tak konwencjonalne, że aż wznosi się ponad konwencję. Jest jak dzieło sztuki, które wyprzedza epokę. Muzealna sala za sto lat. W amerykańskim skrzydle.

– Stanowczo powinnam założyć klimatyzację.

– Jest droga, co? Nas kosztowała majątek.

- Koszmarnie droga, prawda?
- Mogę zdjąć marynarkę?
- Oczywiście – powiedziała Jennifer.
- Co za ulga. Może dam radę trochę szerzej otworzyć to okno.
- Zacięło się. Nie udało mi się go otworzyć, odkąd tu mieszkam.
- A kiedy się wprowadziłaś, Jennifer?
- W październiku miną dwa lata.
- Czy w tym domu są regulowane czynsze?
- David, nim zaczniemy się kochać, obiecaj, że jeszcze kiedyś do mnie zadzwonisz.

Dziewczyny pokroju Jennifer idą przez życie z pustą czarką, w którą mężczyzna musi wlać swoją gotowość wzięcia odpowiedzialności. Pragną tylko, żeby je traktowano poważnie. Wyszedłem od niej o drugiej w nocy, a trzy

wieczory później znów ją odwiedziłem. Po kilku miesiącach zaczęło do mnie docierać, ile dla niej znaczę. Oczywiście zwyczajem wszystkich kinomanów, dyletantów cudzołóstwa i badaczy banału rozmawialiśmy o tym, jak ważne jest utrzymanie w naszym związku niskiej temperatury uczuć. Zarazem jednak przez cały czas niemal rozpaczliwie starałem się rozkochać w sobie Jennifer. A gdy już nabrałem pewności, że mnie kocha, zacząłem się wycofywać. Widywaliśmy się coraz rzadziej, a podczas spotkań zachowywałem się kapryśnie i wykrętnie. Jennifer wiedziała, co się dzieje, i bardzo ją to bolało. Nie była jedną z tych znerwicowanych szmacianych lalek, tak licznych w Nowym Jorku, które karmią się odtrąceniem jak mlekiem z sutka. W łóżku bywałem zdradliwy, prowadziłem swoje prywatne gierki, podstępnie sunąc po wąskiej granicy między fetyszyzmem a przemocą. Pewnej nocy –

przedostatniej – sturlałem się z Jennifer, wstałem, włączyłem radio, sięgnąłem po papierosy i szybko zapaliłem, tak jakby przez cały czas, kiedy się z nią kochałem, właśnie tego mi brakowało. Potem włożyłem bokserki ze zwężonymi nogawkami i usiadłem w fotelu.

– Musisz tak od razu wychodzić? – spytała bez tragicznej czy błagalnej nuty w głosie. Chciała się tylko dowiedzieć, upewnić.

– Żona narzeka na moje późne powroty. Uważa, że w pracy za bardzo we mnie orzą.

– Póki pamiętam, David: przyszły wtorek odpada. Moja siostra wychodzi za mąż i musimy zrobić próbę generalną. Na śluby i pogrzeby jeżdżę do Brooklynu. Może być środa?

– Chyba tak. Dam ci znać. Widziałem cię dziś na Park Avenue.

– Kiedy?

– W przerwie obiadowej. Minęliśmy się o włos.

– Czemu mnie nie zatrzymałeś?

– Nie byłaś sama – odparłem.

– David, to był mój przyszły szwagier. Już trzeci albo czwarty raz wspominasz o czymś takim. Przecież wiesz, że z nikim się nie spotykam.

Zgasilem światło i podkręciłem radio. Pokój wypełniło potężne dudnienie basu i bębnow, rzeźący łoskot, a potem wściekle żądło trąbki. W ciemnościach brzmiała jeszcze piękniej, nasycając przestrzeń, wybiegając poza czas; jej trudny ton na przemian oddalał się i wracał, a ja już nie czułem, że siedzę w czterech ścianach. Jedna nuta zawisła na wysokości moich oczu jak ledwie widoczna plamka w miejscu, gdzie szyny kolejowe sięgają horyzontu, i zaraz znikła w przeciągłej ciszy, cieniowanej motorycznym

warkotem basu. Podszedłem do łóżka i usiadłem, zaciągając się papierosem, z nogami w poprzek brzucha dziewczyny, oparty plecami o ścianę. Chłopak dla Jennifer. Jakiż byłby to dla mnie wykwintnie opakowany dar od losu! Jeżeli w ogóle dręczyło mnie jakiegokolwiek poczucie winy, to tylko na myśl, że Jennifer zostanie sama, zraniona. Nie miało nic wspólnego z moją szlampową niewiernością wobec Meredith. Przed Jennifer nie odsłoniłem się nawet w najmniejszym stopniu. Nie chciałem, żeby mnie choć trochę wyczuła, i mogę się tylko domyślać, czemu tak jej broniłem dostępu do siebie: potrzebowałem każdego ochłapu własnej osobowości, bałem się zniknąć. Zarzut, że wykorzystałem miłość Jennifer, byłby o wiele za łagodny. Zrobiłem coś gorszego: w ogóle z niej nie skorzystałem. Nie przyjąłem do wiadomości jej istnienia. Zachowywałem się, jakbym wierzył, że w życiu Jennifer jest to jeden

z wielu zwykłych sezonów, wcale nie wyjątkowy, bo przede mną byli inni, a gdy tylko pójdę dalej swoją drogą, z pewnością pojawią się następni. A potem jej ciało drgnęło pode mną w ślad za rytmem i nagle wróciły cztery ściany. Nazajutrz z samego rana miałem umówione spotkanie.

– Już pora – powiedziałem.

– David.

– Pora się zbierać. Czas zwinąć interes, mili państwo. Jutro wieczorem znów się odezwiemy w imieniu Bell System, firmy świadczącej usługi telekomunikacyjne prywatnym domom, przemysłowi i czterem piątym wszechświata, i zaprezentujemy kolejny odcinek tego czegoś, co tu od pewnego czasu robimy, zaprezentujemy go dzięki pierwszej rodzinie telefonów i urządzeń elektronicznych, jaka powstała od zarania czasu, odkąd życie wypełzło na ląd, gdzie też pozostaje

do dziś, z asteryskiem na epokę lodowcową. Która godzina? Chyba już po drugiej.

– Faszysta – szepnęła Jennifer raz, dwa, trzy razy, a w jej spokojnym głosie skrzyła się furia.

Potem było jeszcze tylko jedno spotkanie bez świadków. Pragnąłem kochać się z nią w sposób doskonały. Miał to być końcowy akcent. Ale nie dała mi się nawet odprowadzić do domu. Chciała tylko odebrać książkę, którą od niej pożyczyłem.

W trakcie tego romansu było parę kobiet czy też dziewczyn oprócz Jennifer i wiele innych po jego zakończeniu. Wszystko z nimi szło prościej, a ja chwilami bywałem jeszcze gorszym faszystą, ale puszczały mi to płazem, bo albo nie miały wyboru, albo im się to podobało. Czułem wielką sympatię do Jennifer. Tylko ona jest dla mnie czymś więcej niż wspomnieniem wysuwanych łóżek, obojętnych pożegnań o świcie i piekielnego wrażenia, że

w jednym z tych identycznych pokoiów zostawiłem coś ważnego.

Meredith oczywiście się dowiedziała; one zawsze się dowiadują. To nas zbliżyło. Kiedyś wróciłem do domu późną nocą. Siedziała w naszym żółtym łóżku, wyprostowana jak stokrotka.

– Omówiłam to z mamą – oświadczyła. – Odchodzę.

– Wrócisz do Old Holly?

– Tatę znowu przenieśli. Rodzice jadą do Niemiec. Przez chwilę się zastanawiałam, czy z nimi nie pojechać. Ale w końcu postanowiłam zostać w Nowym Jorku.

– To może ja z nimi pojadę – odparłem. Miało to znaczyć, że lubię jej rodziców, chcę ukryć swój wstyd w obcym kraju i nie straciłem poczucia humoru.

– W lodówce jest zimna baranina.

(Co za równa babka – pomyślałem).

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Quincy i ja koło dziesiątej zrobiliśmy sobie przerwę i poszliśmy na kolację do Azji Mniejszej, tej knajpy, w której Walter Faye dał w zęby kelnerowi, pamiętasz, opowiadałem ci. Walter Faye to ten, co ma żonę Brazylijkę i zaprosił nas kiedyś na weekend do Greenwich, ale nie mogliśmy pojechać.

– A potem wróciliście do pracy i wyszliście z niej dopiero pół godziny temu. Ty i Quincy. Sami w tym lśniącym gmachu. Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że dziwnie się czujesz, kiedy siedzisz tam o drugiej w nocy? Sam w całym budynku. Mówiłeś, że czujesz się jak astronauta gotów do startu. Że też jeszcze ci się chce upierać przy tej bajeczce.

– Trudno mi się przed tobą przyznawać do winy, Merry. Nie chciałbym wpaść w protekcyjnalny ton, ale czuję się trochę tak, jakbym musiał objaśnić dziecku, co to jest śmierć.

– Dziękuję – powiedziała Meredith.

– Wyglądasz świeżo, jak wyszorowana od stóp do głów. Naprawdę. Świetnie się prezentujesz.

– Chyba chciałabym już położyć się spać.

– Możemy dalej żyć w przyjaźni? – spytałem.

Pojechała do Meksyku załatwić rozwód. Odwiozłem ją na lotnisko i odebrałem, kiedy wróciła. Miałem dwadzieścia trzy lata, a ona dwadzieścia dwa.

Wyszedłem spod prysznic. W telewizji leciała prognoza pogody, więc pomyślałem o koledze, Warrenie Biddle'u, który kiedyś pracował w pogodynce. Wytarłem się i owinąłem w pasie

ręcznikiem, podszedłem do telefonu i nie mogłem sobie przypomnieć, do kogo to ja chciałem zadzwonić. Na chwilę utkwilem wzrok w telewizorze, a potem stwierdziłem, że siedzę w fotelu jakieś trzydzieści centymetrów od ekranu i uważnie się w niego wpatruję. Nie bardzo wiedziałem, co się na nim dzieje, i chyba nie miało to większego znaczenia. Patrząc z tak bliska, widziałem tylko abstrakcyjną siatkę, burzę pyłków, ale jakoś mnie ona wciągała i zniewalała, jakbym był nieodłączną częścią telewizora, a cząsteczki mojego ciała parzyły się z buzującymi na ekranie milionami kropek. Przesiedziałem tak może z pół godziny. Potem zaczęła się reklama, którą już widziałem i słyszałem dziesiątki razy, więc szybko wstałem i przeszedłem się po pokoju, odrętwiały i sflaczały jak ktoś, kto tuż po przebudzeniu zdał sobie sprawę, że poprzedniego wieczoru padł z przepicia na cudzej kanapie. Podszedłem do

stolika i przejrzałem pocztę: kilka rachunków i pięć czy sześć kartek świątecznych. Jedna od dziewczyny z Denver. KIEDY WYSTARCZAJĄCO SIĘ BOISZ, ŻEBY ODEGNAĆ KOSMATEGO ZWIERZA – napisała. Druga kartka przyszła od mojej siostry Jane, która mieszkała w Jacksonville z mężem, Dużym Bobem Davidsonem, i trójką dzieci. Nie tyle zresztą kartka świąteczna w potocznym rozumieniu tego słowa, ile rodzinny biuletyn, jaki Jane zawsze rozsyłała o tej porze roku, skserowany na arkuszu papieru listowego w typowym formacie. U góry naklejono wycięte z jakiegoś czasopisma zdjęcie gałązki ostrokrzewu.

Wesołych Świąt życzymy Wam z Florydy!

Kiedy tak siadam, żeby napisać, jak minął kolejny rok w pełnym zdarzeń życiu Davidsonów,

nieodparcie nasuwa mi się pytanie, czy aby nie oszukano nas na kalendarzu, bo przecież w tym roku nie mogło być trzystu sześćdziesięciu pięciu dni.

Zacznijmy od tego, że uwielbiamy Florydę. Staramy się jak najwięcej korzystać ze słońca, plaży i łagodnego klimatu. Ten swobodny, wyluzowany tryb życia odpowiada nam, przybyszom z Północy. Słońce jest tak łaskawe dla naszego ślicznego miasta, że malcy (sześćioletni Vaughn, czteroletni Blair i dwuletnia Sue Ann) przez okrągły rok nie wiedzą, co to przeziębienia i bóle gardła.

W kwietniu zrobiliśmy błyskawiczny wypad do ukochanej Filadelfii Dużego Boba i spędziliśmy zabawny dzień z całym klanem Davidsonów, który stawiał się w komplecie, żeby powitać swojego wędrownego bohatera. Było to niezapomniane

spotkanie – zwłaszcza dla Boba, ten bowiem (zmuszona jestem donieść) spożył nieproporcjonalnie wielką część napojów orzeźwiających, którymi nas szcudrze uraczono. Z Filadelfii pomknęliśmy do okręgu Westchester i odwiedziliśmy w Old Holly mojego Tatę, który wciąż „kosi konkurencję” na Madison Avenue, i kochanego „braciszka” Davida. Była to bardzo miła wizyta, choć zarazem smutna, bo wspomnienia po Mamie wciąż unoszą się w starym domostwie jak dalekie dźwięki fletu. Ale David na pociechę zabrał nas do wielkiego miasta i zafundował nam przepyszny dzień, uwiecznony wizytą w jego biurze w jednej z centralnych dzielnic Manhattanu. Poznaliśmy wielu jego kolegów, a nawet kilka telewizyjnych sław. Bob był pod ogromnym wrażeniem!

Lato w Jax minęło rozrywkowo, a zarazem w sporym zawirowaniu. Często urządzaliśmy

grille na naszym skromnym patio, a ja prawie codziennie wozilaam „troje muszkieterów” na plażę. We wrześniu nadciągnął huragan i było wielu zabitych. Potem przyszła pora wyprawić Vaughna do pierwszej klasy. Nasz mały „uczony” uczesał się i włożył na tę okazję nowiutki garnitur. Ale nie dalej jak w zeszłym tygodniu Bob musiał czym prędzej zawieźć go do szpitala na operację, której celem było naprawienie pewnej wady wrodzonej. Mam nadzieję, że za rok będę mogła podzielić się z Wami dobrą nowiną na ten temat.

Bob i dzieci wraz ze mną życzą wszystkim radosnej Wigilii i wszelkiej pomyślności w nowym roku.

Podpisano: Jane Davidson. W domu mojego ojca w Old Holly, w którym spędzili prawie cały swój pobyt, Davidsonowie ani na chwilę nie

zdejnowali tenisówek i myśliwskich szortów. Odkryłem w ten sposób całkiem nową Jane – amerykańską chłopobabę o zamaszystym chodzie. Póki mieszkaliśmy wszyscy razem w Old Holly, obie siostry (druga miała na imię Mary) wydawały mi się stuprocentowo kobiece. A tu się nagle okazało, że Jane współdowodzi drużyną wrotkarek. Cała piątka jadła wyłącznie hamburgery, frankfurterki i frytki. Miałem wrażenie, że Duży Bob w ogóle nie wstaje z podłogi, trenując zapasy z dziećmi i psem, a Jane zbiega i wbiega po schodach jak Babe Didrikson Zaharias, biorąc po dwa stopnie naraz, z zasraną pieluchą w rękę. Ojciec, który we własnej wyobraźni wiódł życie będące (jak podejrzewałem) dziwaczną krzyżówką przykurzonego, bezkresnego splendoru wielkich hodowców długorogiego bydła z najczystszą krwią angielskich książąt, patrzył na tę panoramę

z lodowatą wzdardą, stojąc w swojej dostojnie dworskiej pozie, z zamszowym łokciem opartym o gzyms kominka i cuchnącym cygarkiem w ustach: Charles Bickford podczas wojny o miedzę z jakimś zniewieściałym hodowcą owiec. Zdołał jednak zachować spokój i w godzinę po wyjeździe Davidsonów przyznał, że czuje się daleki i samotny. Był człowiekiem skomplikowanym, często grubiańskim w mowie i zachowaniu, niekiedy mimowolnie komicznym, a zarazem obdarzonym prawdziwą intuicją i w sumie raczej dobrym mimo pozornej szorstkości i zadzierzystości. Tego, że żyje wyobraźnią, o czym świadczył głównie styl ubioru i zawartość biblioteki, nie domyślał się chyba nikt oprócz mnie, a nie wykluczam, że nawet i ja po prostu próbowałem osłabić napór jego rzeczywistej osoby, rozcieńczyć potężne wrażenie, jakie na mnie wywierał, i dlatego zaprawiałem ten koktajl

jakimiś zawróconymi mrzonkami. Podczas drugiej wojny światowej ojciec walczył na Pacyfiku. Wrócił z odłamkami szrapnela w piersi i z mnóstwem medali. Medale schował, a o odłamkach nigdy nie wspominał, ale ja wiedziałem, że wciąż ma jedno i drugie. Długo rozmawialiśmy o seksie i śmierci, a potem wróciłem autem do Nowego Jorku, jadąc jeszcze szybciej niż zwykle.

Przypomniałem sobie, do kogo chciałem zadzwonić: do Pike'a. Powiedziałem mu, że mam z nim coś ważnego do obgadania, i umówiliśmy się w Złej Nowinie Zacka – małym barze w East Village, w którym Pike często przesiadywał. Ogoliłem się, spryskałem dezodorantem, wydłubałem nicią dentystyczną resztki jedzenia spomiędzy zębów, a potem przejechałem je szczoteczką elektryczną i wypłukałem specjalnym płynem. Włożyłem zielone, luźne w biodrach

spodnie z ciętymi kieszeniami, mandaryńską koszulę z opiumową stójką i pustynne buty. Na koniec wskoczyłem w nabijany ćwiekami płaszcz z przecieranej skóry (kupiony niedawno u Abercrombiego), w którym wyglądałem, jakbym wybierał się polować na niedźwiedzie w Montanie. Postanowiłem pójść do Zacka piechotą. Było zimno, zza rogów domów szarżował wiatr, niosąc woń śniegu i dyskretny aromat gwiazdkowych choinek, które sprzedawano na ulicy. Autobusy jeździły po Trzeciej Alei stadami, oświetlone jak sale operacyjne, a w każdym oknie widać było kilka ledwo żywych głów. Parę metrów przede mną szedł facet z radiem przy uchu. Przechodził przez jezdnię, nie zważając na pojazdy. Szedłem za nim przez pięć przecznic, a on ani na chwilę nie odsunął radia od ucha. W końcu się z nim zrównałem. Słuchał prognozy pogody, mówiąc do siebie albo

prowadząc dialog z radiem. Był o wiele młodszy, niż myślałem: mniej więcej piętnastoletni chłopak, mocno zaokrąglony i z plamistą cerą; z dziecinnego sadelka wyzierały oczy o skrytym wyrazie i w ogóle sprawiał wrażenie ciut opóźnionego w rozwoju, jak to się zdarza nierozkwitłym jeszcze geniuszom: miał tę wronią, drapczywą przebiegłość miejskich zbieraczy szmat i butelek, darwinowskich mistrzów sztuki przetrwania. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Zapowiadają śnieg.

Zawsze wolałem trzymać się z daleka od takich ludzi. Szybko przeszedłem na drugą stronę Trzeciej Alei. W połowie drogi do kolejnej przecznicy usłyszałem, że chłopak za mną woła. Stał pod latarnią, z dłońmi przytkniętymi do ust i radiem pod pachą, a gdy przejeżdżały między nami samochody i autobusy, jego zwalista sylwetka to

znikała, to znów się pojawiała, jak na kolejnych slajdach.

– Nadchodzi! – krzyczał. – Właśnie zapowiedzieli. Jest coraz bliżej. Powinien dotrzeć lada chwila. Do północy będzie osiem centymetrów. Wszyscy kierowcy mają omijać drogi awaryjne. Burmistrz radzi w ogóle nie jeździć, chyba że ktoś koniecznie musi. Dotrze tu lada chwila. Osiem albo i dziesięć centymetrów. Śnieg! Śnieg! Śnieg!

Bar Zacka był niezwykły. Z rzadka widywało się tam miejscowe żywe anomalie – zoroastrian, kowbojów w stylu zen, wróżbitów i tym podobnych albo dzieci zabłąkane w drodze do miasta Ames w Iowa, a zresztą wszyscy oni wpadali chyba tylko na krótko. Lokal nie przyciągał żadnej z okolicznych mniejszości etnicznych czy subkultur, a już z całą pewnością

nie rozbrzmiewał w nim śmiech ani dyskusje polityczne, nie panowała szorstko żartobliwa atmosfera studium doktoranckiego. Było to jedno z najspokojniejszych miejsc w Nowym Jorku. Większość stałych bywalców sprawiała wrażenie wariatów. Siedzieli i popijali, mamrocząc pod nosem. Co pewien czas ktoś śpiewał zupełnie niezrozumiałą piosenkę, własną krzyżówkę kołysanki i gadanego bluesa, jakiej nie można usłyszeć nigdzie indziej, chyba że w metrze o trzeciej w nocy. Trochę się bałem tam chodzić.

Pike siedział przy swoim nieoficjalnie zarezerwowanym stoliku z dziewczyną, której nigdy wcześniej nie widziałem. Zbliżał się do sześćdziesiątki. Nazywał się Calvin Wilson Pike i w związku z tym do wszystkich zwracał się per Cal. Miał ładne niebieskie oczy, zapadniętą pierś i rozlazły brzuch, tak jak większość mężczyzn w jego wieku. Poznałem go przez Sullivan, która

kiedyś powiedziała, że jest amerykański jak kawałek szarlotki ze srającą muchą na wierzchu. Dodała, że raz uratował jej życie, ale nie wyjaśniła, w jakich okolicznościach. Dziewczyna miała na sobie sfatygowaną kurtkę ze skóry. Poznałem, że to kurtka Pike'a, jego lotniczy rynsztunek.

– Jak ci się podoba moja sierotka? – spytał.

Dziewczyna uderzyła go po ramieniu.

– Mówi, że jestem jego sierotką – powiedziała.

– Jest pułkownikiem lotnictwa, a ja sierotką, którą niby to wyratował z płonącego domu, zbombardowanego przez jego własne samoloty. Jeszcze nie doszliśmy, dlaczego włóczył się po ulicach, akurat kiedy z jego samolotów leciały bomby.

– Byłem zwiadowcą – wyjaśnił Pike. – Wysłano mnie jako forpocztę. O świcie skoczyłem na

spadochronie, żeby podać bombowcom współrzędne. Zrzucili mnie tylko z krótkofalówką i finką. Żadnej broni palnej, powiedzieli. Jeden strzał postawiłby na nogi wojsko w całej okolicy. Powiedzieli, że jak już będę musiał kogoś zabić, to tylko nożem. Szybko i bez hałasu.

Dziewczyna uderzyła go grzbietem dłoni w żebra. Spytał, czego się napiję. Sam był już chyba pijany albo na najlepszej drodze. Należało się spodziewać, że za jakąś godzinę głowa opadnie mu na pierś, a cały tułów ze smutnym, monumentalnym dostojeństwem górskiego zbocza nafaszerowanego dynamitem osunie się na stół. Przyniósł z bufetu dwie pełne szklanki.

- Mam wiadomość – powiedziałem.
- Nasza wspólna znajoma już mi mówiła.
- I co ty na to?
- Wysadźcie mnie w Miami Beach.

– Kurs na Zachód, Pike. Prosto w wielką białą paszczę.

– W wielką białą paszczę i jej siostrę Katy. O tej porze roku można stamtąd nie wrócić żywym. Spytaj tę tutaj Szparę. Pochodzi z Wyoming, stanu emancypantek. Opowiedz mu o stadach łosi, dzidziu. Wy tłumacz, że czasem nawet im bywa za zimno. Futrzaste zwierzęta wyznaczają mi pułap. Kiedy robi im się za zimno, wypadam z gry.

– Chciałabym mieszkać w wielkiej mokrej cieplarni – wtrąciła dziewczyna.

– Śnieżyce – powiedział Pike.

– Im właśnie zależy na śnieżycach – odparłem. – Sieć chce je sfilmować. Chcemy pokazać, jakie postępy zrobili Nawahowie, a jeżeli przy okazji uda się nakręcić śnieżycę, film wyjdzie jeszcze ciekawszy. Ewakuacja helikopterami. Szpitale polowe.

– Zgarniesz najsmakowitsze nagrody w całej branży. Ale na mnie nie licz.

– Słuchaj, ta strona medalu jest bez znaczenia. Pojedziemy i już, dla samej frajdy. Ruszymy dopiero za parę miesięcy, a do tej pory pogoda na pewno znacznie się poprawi, nawet tam. Chyba możemy wziąć z Maine przyczepę kempingową. I jazda. Możesz wytyczyć trasę. Niewiele nas to będzie kosztowało. Tyle co jedzenie i benzyna. A za benzynę płacę ja.

– Spytaj Cala, czy już kiedyś jechał na przełaj przez kraj. Spytaj go, czy wie, jakie to bywa nudne w najgłębszym styczonym tego słowa znaczeniu. Podróżowałem tak parę razy, aż mi wycieraczki ubiły pianę z mózgu.

– Słuchaj, na ostatnich dwóch latach studiów jeździłem thunderbirdem na Zachód i z powrotem. Było super. Zatrzymywałem się, tylko żeby się

przespać i najeść. Tym razem pojedziemy wolniej. Ominiemy główne autostrady. Odkryjemy wszystkie zapomniane drogi Ameryki. Biorę kamerę. Wszystko sfilmujemy. Twojego ojca duchowego, Pike. Zawsze mówiłeś, że chciałbyś spotkać kuguara. No więc on tam czeka, czai się na jakiejś brunatnej skale i chłoszcze ogonem po bokach.

Dziewczyna nie piła. Nie mogłem rozgryźć, co ich łączy. Była ze trzy razy młodsza od Pike'a i chyba mocno do niego przywiązana, ale w jakiś nieokreślony sposób. Intrygowała mnie jej nijakość. W kurtce Pike'a wyglądała prawie kusząco – drobna, głupia i niepewna. Pragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś więcej, uzupełnić ten ledwie naszkicowany obraz. Dopiero wtedy mógłbym spróbować wyczytać z jego linii i barw, czy pragnę też zażądać od niego jakiegoś znikomego dowodu uznania moich galwanicznych

męskich mocy. Przypomniała mi się ta ładna para, którą po południu widziałem w restauracji podczas lunchu, jak dotykała się nogami pod stołem. Pike zaczął wymiękać.

– Po co masz jechać, skoro możesz polecieć? – spytała dziewczyna. – Nie lubisz latać? Bo ja uwielbiam. To najbardziej seksowne ze wszystkiego, co można robić.

– Wybieram się w religijną podróż – powiedziałem. – A religia jeszcze nie przyswoiła samolotów. Samochody owszem. Może samoloty będą następne w kolejce.

– Są seksowne.

– Zgoda, tak jak dawniej auta. Ale teraz jazda autem ma aspekt religijny, a ja wybieram się na religijną wyprawę.

Coś drgnęło.

– Powiadasz, że on tam siedzi i chłoszcze się

ogonem po bokach – rzekł Pike. – Zawsze chciałem stanąć twarzą w twarz z kuguarem, bez krat między nami. Coś mogłoby się wtedy wydarzyć. Może on i ja poczulibyśmy wzajemny przepływ. Takiemu laikowi jak ty trudno to zrozumieć. Ale znaleźć się oko w oko z takim wspaniałym, dyszącym zwierzem. To jest mistyczna sprawa, Cal. Mistyczna sprawa. Kuguar. Górski lew. Wielkie kocisko. Puma. Pierwszy raz zobaczyłem ją w zoo, kiedy miałem raptem dziesięć lat. Ale już wtedy czułem, że łączy mnie z nią jakaś więź. Chciałbym stanąć twarzą w twarz z kuguarem. Bez żelaznych krat. Coś mogłoby się wydarzyć.

– Pojedziemy w Góry Skaliste – obiecałem.

– Chciałbym stanąć z nim oko w oko, zanim umrę.

– Pojedziemy w Góry Skaliste. On tam siedzi,

przyczajony w cieniu, i może też czeka na jakąś swoją epifanię. Dostaniesz awans za zasługi na polu bitwy. Tak powiedziała Sully. I możesz wytyczyć trasę.

– Muszę iść siusiu – wtrąciła dziewczyna.

– Kibel jest na tyłach.

Milczeliśmy, póki nie wróciła. Kiedy już usiadła, stuknęła Pike’a pięścią w plecy.

– Kto szybciej biega, chart czy gepard? – spytał mnie Pike.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Zastanów się. Nie ma pożaru. Nie spiesz się. Chart czy gepard?

– Musiałbym zgadywać – odparłem.

– Skoro na nic więcej cię nie stać.

– Powiedziałbym, że szybszy jest chart.

Pike walnął pięścią w stół i z miną wyrażającą

niewysłowione obrzydzenie spojrzął w stronę zaplecza.

– Powiedz mu, pchełko.

– Gepard – rzekła dziewczyna.

– Skąd wiesz?

– Gepard robi sto kilkanaście na godzinę – stwierdził Pike.

– A skąd wiesz, jak szybko biega chart?

– Żadne żywe stworzenie, człowiek ani zwierzę, nie da rady przekroczyć stu dziesięciu. Tylko gepard. Pędzi jak wiatr.

– A czy kiedyś startował w wyścigach z chartem?

– Żaden chart nigdy nie miał lepszego wyniku niż sześćdziesiąt. Ba, nawet gazela da mu radę. Potrafię wyliczyć ile chcesz zwierząt, które mogą wykosić sławnego charta. Gazela. Widłoróg. Zając. Wymienię ich na każde zawołanie, ile

zechcesz. Cholera, ale z ciebie głupek.

Pike'a fascynowały zwierzęta. Lubił lansować teoretyczne wyścigi, pojedynki i próby sił. Jego wiedza często miewała chwiejne podstawy, za to przekonania żywił głębokie i niezłomne. Próby kwestionowania wyniku któregoś z jego epokowych wyścigów lub zażartych bojów spowitych kulturową otoczką niewiele dawały. Przedstawiał w takich razach mnóstwo obiektywnych, jak twierdził, faktów i świadectw. Twarz napinała mu się z wściekłości i bólu, gdy usiłował dowieść oczywistej prawdy. Nie wiem, jaki motyw odkrył w królestwie zwierząt, że się nim aż tak emocjonował; może była to z jego strony po prostu naiwność, dziecinne bądź starcze oczarowanie nieskalanym życiem i przynajczystszą śmiercią. Pike był wcielonym schizogramem, tak jak Sullivan, Bobby Brand (którego z czasem przedstawię), mój ojciec i zmarła matka, a może

i ja sam. Tymczasem już prawie odpadł. Głos mu zgrubiał, a słowa jakby zachodziły na siebie, przywierając do języka. Zapalił papierosa, chociaż poprzedni jeszcze dymił w popielniczce. Niebawem miałem się dowiedzieć, ile się tylko da, o jego nastoletniej damie, tej abstrakcyjnej kreskówce, którą wyratował ze stukotu kroków i deszczu.

– Dlaczego ciągle trzymasz ręce pod stołem? – zapytałem. – Podnosisz je tylko po to, żeby co jakiś czas dać Pike’owi czułego kuksańca. Potem znowu je chowasz. Co takiego ciekawego jest pod stołem?

– Dorothy Lamour i plemię kalmarów.

Pike prychnął i pomału osunął się na stół. Podszedłem do bufetu i zamówiłem jeszcze jednego drinka. Zack odłożył gazetę i zdjął grube okulary. Nalał mi, podniósł mokrego piąta, a

wytarł gąbką blat, wydał resztę i poszedł usiąść na składanym krześle pod prześwietlonym zdjęciem pana młodego i družby przed hotelem St. George na Brooklynie.

– Co to? – spytała dziewczyna.

– Szkocka.

– Fajowo wygląda. Lód błyszczy i coś jakby wybuchało. Pełna szklanka małych eksplozji.

– Dlaczego chcesz mieszkać w cieplarni?

– Chciałabym mieszkać w wielkiej mokrej cieplarni z hodowlą włosów. We wszystkich doniczkach rosłyby włosy, takie jakby lalczyne i psie. Byłoby fajowo. I każdy, kto by tylko chciał, mógłby tam zamieszkać. John i Paul, i Mick, i Doorsi, i Airplane, i Bobby, i Buffy. Wszyscy byśmy palili i byłoby pełno sprzętu do słuchania i oglądania. A potem wszyscy byśmy jedli lody z roztopioną krówką. To by była najfajowsza rzecz

na świecie.

– Jak poznałaś Pike’a?

– Poszłam do Elephantiasis z takim jednym chłopakiem z NYU. Były jakieś złe vibracje. Napaliłam się haszu i ważyłam chyba ze dwieście ton. Jakbym siedziała w tyle niebieskiego autobusu. A później podszedł papa i postawił temu chłopakowi chyba z dziesięć drinków, aż koleś poszedł do toalety i już z niej nie wrócił. Potem papa zabrał mnie do swojego pokoju i zjedliśmy całe ciasto czekoladowe od Sary Lee i wypiliśmy wielki karton mleka. Było odłotowo.

– Tak przy okazji, wcale nie mam na imię Cal. Nie żebym miał coś przeciwko, kiedy Pike tak na mnie mówi. Trochę nawet mi się to podoba. Kojarzy się z tymi cudownymi dalekowschodnimi teologiami, w których wszystkie pomniejsze bóstwa noszą imię najgrubszej ryby. Przy tobie

czuję się winny, że piję. Tak przy okazji, gdzie ty właściwie mieszkasz?

– Z Lee, Jemmy i Kit.

Wyciągnąłem rękę i rozpiąłem suwak jej kurtki. Moja dłoń dotknęła chłodnej piersi. Wyczułem lekki ruch za bufetem i wiedziałem, że Zack oderwał od gazety jedno oko, ukryte za czymś na kształt denka od butelki. Przysunąłem się do dziewczyny, napierając z obu stron udami na jej kolano. Przewędrowałem dłonią z piersi ku szyi i twarzy, a w odpowiedzi na mój pocałunek jej wilgotne mechaniczne usta dały mi odczuć, że wszystko, co być może jeszcze zrobimy, tam na miejscu albo później, jest najzupełniej obojętne. Nie pofatygowałem się, żeby z powrotem zsunąć połę kurtki, a dziewczyna nie pofatygowała się, żeby to zauważyć.

– Zjeżdżajmy stąd – powiedziałem. – Pójdziemy

do mnie.

– Musimy go odprowadzić do domu.

– Da sobie radę. Raz po raz tak się ubzdryngala.

A ja mam sprzęt stereo za prawie tysiąc dolarów.

– Jak się mocno upalę, to czuję przestrzenie między dźwiękami.

– Chodź – powiedziałem. – Zjemy gdzieś kolację, jeżeli masz ochotę, a potem pójdziemy do mnie.

– Możemy jego też zabrać?

– Da sobie radę bez nas.

– Na środku pokoju namalowaliśmy koło.

Wszyscy w nim siadamy, kiedy zaczynamy palić.

Jest super.

– I co jeszcze robicie?

– Co tylko chcemy.

– Ale co?

– Każdy może robić, co chce.

– A nie mogłabyś uściślić? Chcę dokładnie zrozumieć, o czym mówisz.

– Przecież to proste. Całkiem proste. Możesz ze mną do nas przyjść, jeżeli chcesz. Mamy trochę towaru. Ale najpierw musimy go odprowadzić do domu.

Odsunąłem się od dziewczyny i dopiłem. Dysząca tusza mięsa dla kuguara. Czy musiałbym pomóc go rozebrać? Wybrednymi palcami ściągnąć mu sterane skarpety, ułożyć go na tej jego polówce i opatulić, a on by sobie chrapał? Mało co działa tak przygnębiająco jak widok pijanego kumpla, który przypadkiem jest dwa razy starszy od nas; wiele złudzeń przechodzi wtedy sprawdzian. Pike chrząknął raz i drugi, jakby w gardle czekały mu pieski. Podłożył sobie pod głowę lewe przedramię. Włosy na karku miał

ciemnopłowe, przetykane siwizną. Objąłem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Jakiego koloru jest to koło? – spytałem.

– Czerwonego. To jest wielkie czerwone koło, a my w nim siedzimy. Możesz ze mną tam pójść, jeżeli chcesz. Każdy może do nas przyjść. Ty, ja i on. Wszyscy możemy tam iść.

Pochyliłem się i zapiąłem suwak jej kurtki. Podobała mi się ta dziewczyna. Nie miałem najmniejszej ochoty jej zdeptać. Była delikatna i ufna, przy całej swojej nijakości jednak piękna, a moje słowa nie sięgały przestrzeni, które wyczuwała między dźwiękami. Ale wszystko to nie dawało mi prawa jej zdeptać. Teoretykowi przesyłania informacji i cesarzowi sprzętu stereo. Dałem jej piętnaście dolarów, mówiąc, że to na jedzenie.

– Nie, nie mogę z tobą iść – powiedziałem. –

Odprowadzimy go do domu i to na dzisiaj wystarczy.

Głupkowato się do niej uśmiechnąłem, ona zaś odpowiedziała nieozdobnym spojrzeniem wątlej mniszki, która zdołała wyżebrać trochę pieniędzy, lecz żadna dłoń nie pragnęła przy tym dotyku jej dłoni.

Można dowiedzieć się czegoś o kobiecie, słuchając, jak idzie po schodach. Kiedy wchodzi na piętro, na którym mieszkasz, i mija twoje drzwi, zanim ruszy dalej na górę, możesz stwierdzić z pewną dozą prawdopodobieństwa, czy jest zgrabna, impulsywna, chamowata, skłonna do mizdrzenia, zmęczona, dowcipna lub niekochana. Ciekawie jest domyślać się linii jej kostek, tego, jak ma umeblowane mieszkanie i czy wierzy w istotę najwyższą.

Tamtej nocy, a raczej już nad ranem, usłyszałem kroki Meredith – byłej żony, która mieszkała piętro wyżej po drugiej stronie klatki schodowej. Kiedy mijala moje drzwi, wydało mi się, że w jej chodzie wyczuwam lekkie zawahanie. Nie wstałem z fotela ani nie odłożyłem książki, którą czytałem. Meredith wolno poszła na górę i w zupełnej ciszy, jaka panowała o tej późnej porze w całym budynku, zgrzyt klucza w jej zamku wystarczył, żeby nastrój prysł, robiąc miejsce innemu nastrojowi, a gdy bezszelestnie zamknęła drzwi, było to trochę jak ten powiew zmysłowości, który w bezsenne nocy słyszemy między chwilami ciszy w szumie deszczu, w głosach z ulicy, w ciemności odpowiadającej drżeniem na każdy najdrobniejszy szmer. Oczekałem kwadrans i poszedłem na górę. Meredith zerknęła przez wizjer, zanim otworzyła. Miała na sobie szlafrok w papuzich kolorach,

który rodzice przysłali jej z Turcji, gdzie ostatnio stacjonował mój były teść, dogłębnie ścisłe tajnej liczby pocisków rakietowych w stanie wzwołu. Zauważyłem, że jest pięknie opalona.

– Jak było w Portoryko?

– Cudownie, David. Koniecznie tam pojedź chociaż na tydzień. Siadaj. Zrobię ci coś do picia.

– Słyszałem, jak mijasz moje drzwi. Nie mogłem usnąć, więc pomyślałem, że wstąpię na parę minut.

– Miałam dzisiaj randkę z najkoszmarniejszym facetem na świecie. Potrafił mówić wyłącznie o swoim zestawie stereo z ośmioma kolumnami i jaguarze E-type.

Meredith przyniosła dwie szklanki i usiadła przy mnie na kanapie. W tamtych latach często ją wprawdzie widywałem, ale nieustannie zdumiewało mnie, jak po naszym rozwodzie

zmienił się jej światopogląd i osobowość. Miała w sobie więcej z typowej nowojorki, zorientowanej, wytrwałej w dążeniach, odpornej na cudzy szpan. Wyleczyła się z uroczych zachłyśnień nastoletniej narzeczonej, z tych nagłych wypadów w przestrzeń, które moim zdaniem były zewnętrznymi śladami dzieciństwa naznaczonego piętnem nieustannych wędrówek. Ale z tym nowo nabytym wyrafinowaniem szło w parze nieokreślone poczucie zagrożenia. Meredith nie dość jeszcze okrzepła w swojej dojrzałości, żeby nie mieć okresów przygnębienia i zwątpienia, które w życiu kobiet niezależnych najwidoczniej stanowią motyw przewodni. Była sekretarką redaktora graficznego w pewnym magazynie informacyjnym. W tej dość prostej pracy musiała tylko pisać na maszynie, stenografować i wykazywać się elementarną inteligencją, uważała jednak, że ma obowiązek

zwiedzać wszystkie nowojorskie muzea i galerie, a większość urlopów spędzać (wydając przy tym prawie całe pieniądze) na buszowaniu po europejskich klasztorach i zamkach – tych kojcach do trzymania turystów, które patrolują strażnicy sprawiający takie wrażenie, jakby przed chwilą zdeflorowali własne córki. Pewnego lata Merry i ja umówiliśmy się we Florencji na jakimś placu pod rozhuśtanymi dzwonami i sączyliśmy pomarańczowe koktajle, dziwnie podobne do tych u Nedicka z Ósmej Alei. Nasz stolik mijały pędem małe bezkręgowce autka, każde w pogoni za swoją własną Grand Prix. Meredith z płonącymi oczami zatoczyła ręką łuk, ogarniając nim całą panoramę kamiennych rycerzy, filozofów, szlacheiców i statystów.

– Ile w tym znaczenia! – zawołała. – Jaki ogrom znaczeń!

– Masz wiadomości od staruszków? – zapytałem. – Aż trudno uwierzyć, że spędzili w Niemczech cztery lata. Minęły jak z bicia trzask.

– Oboje są w formie – odparła. – Zapraszają mnie do siebie na wiosnę i jeżeli tylko się da, chętnie pojedę. Zobaczyć te wszystkie meczety!

– O ile wiem, Turcja to melanz kilku różnych kultur.

– Tak twierdzi mama. Aha, śniłeś mi się dzisiaj, David!

– Naprawdę? Naprawdę ci się śniłem?

– Siedzieliśmy w salonie tego domu w Londynie, w którym wtedy mieszkałam u swojej kuzynki Edwiny.

– A o czym rozmawialiśmy? Pamiętasz, co mówiłem?

– Chyba w ogóle nie rozmawialiśmy.

– Domyślałam się, że byliśmy ubrani od stóp do

głów, bo inaczej już byś o tym wspomniała.

– Tak.

– A co mieliśmy na sobie? – spytałem.

– Nie pamiętam.

– I nie staliśmy ani nie chodziliśmy, tylko siedzieliśmy.

– Jestem pewna, że tak właśnie było. Ja siedziałam przy oknie i patrzyłam na Lennox Gardens. A ty siedziałeś w drugim końcu pokoju.

– Co robiłem?

– Nic, tylko siedziałeś – powiedziała Meredith.

– Przecież musieliśmy coś robić. I coś do siebie mówić.

– Nie pamiętam, David.

– Spróbuj sobie przypomnieć. To ważne.

– Dlaczego?

– Bo w tym śnie może tkwić jakaś wskazówka.

Przecież on nie jest labiryntem, do którego przypadkiem zabłądziłem, tylko elementem jakiegoś planu. Wprowadziłaś mnie do swojego snu, więc muszę się dowiedzieć, jakie miałem w nim zadanie. Udział w cudzym śnie to rodzaj ułaskawienia. Sen może nam oznajmić, że mimo wszystko jesteśmy niewinni. To jak szansa poprawy. Gdzieś w tym śnie tkwi cenny klucz. Spróbuj sobie przypomnieć, co robiliśmy prócz tego, że siedzieliśmy. Przypomnij sobie, o czym rozmawialiśmy. To ważne.

– Powiedziałam ci już wszystko. Jeżeli było tam coś jeszcze, to chyba, niestety, zapomniałam.

– Pewnie przywiązuję do tego przesadną wagę – odparłem. – Dobra, opowiedz mi o Portoryko i o wszystkich fascynujących facetach, których tam poznałaś.

Meredith podniosła szklankę do ust, patrząc na

mnie znad jej krawędzi, i po namyśle postanowiła mi opowiedzieć.

– Był jeden. Przyjechał tam pracować. Wyjątkowo miły. Polubiłbyś go, David. Ma sarkastyczne poczucie humoru. Jest bardzo wysportowany. Fotograf. Robił tam zdjęcia dla „Venture”. Urodził się w Niemczech, więc od razu mieliśmy wspólny temat, bo przecież byli tam moi rodzice i tak dalej. Mieszka w zaadaptowanym wiejskim domu koło Darien. Bardzo żonaty. Trzech synów. To w sam raz do niego podobne, że rodzą mu się sami chłopcy. Taki już typ z tego Kurta. Wysportowany. Lubi spędzać czas pod gołym niebem. Nosi tweed i skórę. Ale jest bardzo żonaty. Dobrze się ze sobą czuliśmy. Tylko tyle. Nie ma szans, żeby coś z tego wyszło.

Ten jakby policyjny rysopis miał zakamufłować uczucia Meredith wobec Kurta, ale odniósł wręcz

odwrotny skutek; tak dokładnie odwrotny, że nasunęło mi się pytanie, czy nie o taki właśnie efekt jej chodziło. Fortele małżeńskie bywają czasem rozbrajająco naiwne w porównaniu z eksmałżeńskimi. Meredith nałała nam jeszcze po jednym i dalej rozmawialiśmy o Kurcie. Chętnie mi się zwierzała. Najpierw dla pozorów trochę krążyła wokół tematu, a potem opowiadała mi o każdym swoim romansie, i to chyba zupełnie otwarcie. Lubiłem te rozmowy. Czułem, że tworzą między nami prawdziwe ciepło, subtelny, dojrzały żar brandy popijanej przy kominku. Okazywałem Meredith autentyczne współczucie i udzielałem jej dobrych rad, a kiedy zgodnie z nieuchronnym biegiem rzeczy przychodziła kolej na mnie, żebym stanął na tle wesoło strzelających płomieni i uniósłszy złocistą koniakówkę, jął opiewać swe szczerze miłości, wygadywałem same łgarstwa. Było to bardzo zabawne. Wkrótce zacząłem

rozumieć, co jest tak nęcącego w patologicznym kłamstwie. Stworzyć własną rzeczywistość, a potem nagiąć ją do niewiarygodnych granic – była to przygoda jeszcze bardziej podniecająca niż lingwistyczne skoki bez spadochronu, które uprawiałem w sieci. Chyba zresztą nieźle sobie z tym radziłem jak na nowicjusza. Przekonałem się, że w zacisznej, intymnej, motelowo-konfesjonalnej atmosferze żadne kłamstwo nie wyda się zbyt jaskrawe, żadna klisza zbyt znajoma, żadna dygresja wyobraźni zbyt dramatycznie malownicza. Prócz aspektu czysto rozrywkowego miałem dokładnie dziesięć powodów, żeby okłamywać Meredith. Powód 1. Zwariowany klimat tych historyjek stanowił miłą przeciwwagę dla jej konwencjonalnych bajeczek o przypadkach serca i niżej położonych gruczołów. Powód 2. Co noc tłumy poważnych młodych ludzi zwierzały się sobie z kłopotów, a ja wolałem zachowywać

dystans wobec całej tej cikliwej empatii. Powód 3. Niepotrzebne okłamywanie kochanej, a przynajmniej niegdyś kochanej osoby budzi w kłamcy złożone poczucie żalu, winy, wyższości, litości, tkliwości i władzy. Zabierałem potem tę miksturę do siebie na dół i analizowałem ją niczym flakon wybornych chemikaliów. Powód 4. Ukryty we mnie tuż pod linią wodną narrator chętnie dawał się podbechtać, żeby w każdym kolejnym kłamstwie prześcigać samego siebie, i z nadzieją wypatrywał jakiegoś dalekiego ognia doskonałości, idealnego spotkania wszystkich kłamstw w jednej promiennej, transcendentalnej fikcji. Powód 5, związany z 4. Ameboidalne, powolne parcie człowieka ku półboskiemu geniuszowi tworzenia. Powód 6. Ucieczka poza zasięg grawitacji, w nieważkość, we własnoręcznie zmontowane marzenie. Powód 7. Odczuwane przez nas oboje podniecenie

seksualne. Powód 8. Nuda. Powód 9. W niektóre swoje historyjki wkładałem coś z siebie i łudziłem się (daremnie, jak się z czasem okazało), że osiągnę dzięki temu pewien rodzaj samookreślenia, oczywiście zamaskowanego przez otaczający je absurd, coś na kształt autodefinicji, wolnej jednak od udręki, jaka zwykle towarzyszy takim objawieniom. Powód 10. W gruncie rzeczy nie miałem jej nic do opowiedzenia o żadnych kłopotach, romantycznych ani jakichkolwiek innych. Istniał tylko jeden problem: całe moje życie było lekcją pogładową na temat efektów echa, żyłem w trzeciej osobie. Trudno byłoby to wytłumaczyć.

– Wracając do tego snu, David. Coś mi przyszło na myśl. Może kluczem jest właśnie to, że tak tam siedzieliśmy.

– Tak samo jak tu.

– Może o to chodzi. Może ja coś wyparłam ze świadomości.

– Może to rzeczywiście to – przyznałem.

I wtedy Meredith, jak na znak dany przez inspicjenta, podeszła do okna niczym Olivia de Havilland, jakże uroczo chora.

– Wciąż pada – powiedziała.

Porozumiewaliśmy się w sposób niezwykle precyzyjny. Przypomniały mi się wszystkie stare grepsy Burta i Kirka: emfaticznie zaciśnięta pięść, majestatyczne zęby, gniewne przeczesywanie włosów palcami dłoni i raptem kolosalny uśmiech, bogaty i suty jak pole pszenicy w Kansas, ciętej przez słońce, a potem cień namiętnego smutku, przygaszony płomyk w oczach. Kirk jako van Gogh. Burt jako Ptasznik z Alcatraz. Było to kojące doznanie, ten powrót w prostoduszną przeszłość. Zauważyłem na ścianie dwie nowe

reprodukcje. Nie rozpoznałem autorów, ale obie były dziełem niemieckich ekspresjonistów i miały ten sam temat: gęstą czarną zarazę i winę, a ja byłem prawie pewien, że Meredith zainteresowała się niemieckim malarstwem z powodu swojego niemieckiego przyjaciela fotografa, supermena z rozległych plenerów. Podszedłem do niej i gdy tylko dotknąłem dłonią jej biodra, rozluźnionego, miękkiego i leniwego pod szlafrokiem, pomyślałem o dziewczynie, której przed zaledwie paroma godzinami powiedziałem dobranoc, i o kręgu, gdzie miała znów zasiąść ze swoimi siostrami albo zbratanymi kochankami, a dokąd ja bałem się wejść. Meredith naga przy oknie była wielkością znaną. Zdjąłem koszulę.

Już po kilku minutach leżeliśmy w łóżku, połączeni uczuciem dziwnej zmowy. Była w nim wdzięczność, porozumienie, wzajemna gotowość do chowania tajemnicy. A gdy na końcu zmieszwały

się ze sobą nasze gorączkowe oddechy, czułem głównie to, że wróciłem do starego, serdecznego domu. Kochaliśmy się po raz dwudziesty pierwszy, odkąd przed pięcioma laty wzięliśmy rozwód.

Poszedłem po przenośny telewizor i przez jakieś pół godziny pooglądaliśmy jeden z tych starych angielskich filmów, w których ludzie zawsze sobie obiecują, że zaraz po wojnie spotkają się na dworcu Victoria. Potem Meredith zasnęła, leżąc na brzuchu, z nogą przełożoną przez moje udo, a jej klasyczny tyłek Miss America migotał i wciąż nadawał się do pokazania na kampusie. Głowa opadła mi na bok i pomału zaczynałem, jak to się mówi u nas w sieci, schodzić z wizji, kiedy z korytarza piętro niżej dosłyszałem czyjeś kroki i szelest papieru. Domyśliłem się, że to dziennikarz, który mieszkał ze mną drzwi w drzwi na pierwszym piętrze, skrada się, żeby podrzucić mi pod próg torbę pełną śmieci. Kiedy miał tylko

jedną, zostawiał ją przed własnymi drzwiami, a cieć rano po nią przychodził. Kiedy toreb było więcej, nadwyżka zawsze lądowała u mnie. Wyobraziłem sobie, jak dziennikarz sunie pod ścianą – zgarbiony, chudy, suchy, w brązowych obszarpanych kapciach i piżamie przypominającej pantalon z Puncha i Judy, z zaciśniętymi zębami i spiętą miną. Niepojęte rzeczy dzieją się na tym świecie. W ostatecznym rozrachunku władzę nad nami wszystkimi sprawuje niewidzialny cieć.

Wysunąłem się spod nogi Meredith i zgasiłem telewizor. Z butami i resztą ubrania w rękach zszedłem nago po schodach. Chciałem być sam, kiedy się obudzę. Taką już miałem cechę, a wiele kobiet na przestrzeni lat zdążyło ją znienawidzić. Powitało mnie pogrążone w półmroku, ciche mieszkanie, a w nim obrazy i dywany o posmaku czerwonego wina, kominek i dębowa boazeria, czarna skórzana tapicerka, stara i gościnnie

spękana, matowe miedziane kufle na gzymsie kominka i piwny połysk klosza lampy na biurku – wszystko to zaś było ciepłe, swojskie i nie wymagało ode mnie żadnego gestu, przypominało natomiast, że samotność obywa się bez jakichkolwiek ślubowań. Wziąłem prysznic i położyłem się do łóżka.

Głowa Weede'a Denneya, przedwcześnie wyłysiała i upstrzona brązowymi piegami, była gładka, okrągła i goła jak jego stół, jakby projektant biurowych wnętrz wymyślił jedno i drugie, triumfalnie demonstrując ideał harmonii między umeblowaniem dyrektorskiego gabinetu a samym dyrektorem. Ten zaś wstał na sekundę i lekko ugiął kolana, tak jak to robił mój ojciec, ilekroć bielizna więzła mu w jakimś podspodnim zakamarku, a przy okazji pouczał mnie, podówczas zaledwie chłopczykę, że jest to sposób cywilizowany, lepszy niż ręczne wyłuskiwanie, którym po grubiańsku umilają sobie czas upośledzeni społecznie i obłąkani. Następnie

Weede z powrotem usiadł w czarno-kremowym fotelu fryzjerskim, wypoczęty i bez marynarki, a jego pierś, podobna do bębna ze stalowej beczki, rozprostowała każdą najdrobniejszą pliszkę i zmarszczkę na koszuli w kolorze zgaszonego błękitu. Była punkt dziewiąta, pora piątkowego przeglądu tygodnia, więc zebraliśmy się, wzięwszy ze sobą ołówki i notesy: Richter Janes, Mars Tyler, Walter Faye, Jones Perkins, Grove Palmer, Paul Joyner, Quincy Willet, Ted Warburton oraz Reeves Chubb we wczorajszej koszuli, krawacie i garniturze. Sekretarka Weede'a weszła do pokoju i przyjęła zamówienia na kawę, co zajęło nie mniej niż pięć minut, z czego większość poświęcono drobiazgowemu sprecyzowaniu oczekiwań Reevesa Chubba, który prosił o dużą czarną z kostką cukru, kremówkę bez czekoladowej polewy, koktajl owocowy w miarę możliwości bez wiśni i paczkę mentolowych cygar

z plastikowymi ustnikami. Podczas tej sceny na twarzy Weede'a pojawiło się lekkie napięcie, więc gdy przyszła moja kolej, wspaniałomyślnie zrezygnowałem z zamawiania czegokolwiek, mówiąc, że już zjadłem śniadanie, a Weede nagroził mnie za to kłamstwo iście pontyfikalnym skinieniem głowy, co czynił nader rzadko.

– Do dzieła – powiedział. – Grove, chyba zaczniemy od ciebie. Raporty z frontu mają bardzo niskie notowania.

– Byłem w Trypolisie – odparł Grove Palmer.

– Oczywiście. Niczego ci nie imputuję ani nie sugeruję. Ale mamy problem i musimy stawić mu czoło. Są pewne naciski.

– Jestem za satelitarną transmisją na żywo. Opowiadałem się za nią jeszcze przed wyjazdem do Trypolisu.

– Nigdy nie dostaniemy zgody – rzekł Quincy.

– Nie bądź taki pewny.

– Upiorny pomysł – oświadczył Warburton.

– Jak już powiedział Weede, mamy problem i musimy stawić mu czoło. Góra na nas naciska. No to my też naciśnijmy. Hepworth kupił te pół godziny na częstotliwości uderzeniowej. No to niech je sobie ma. Do niektórych stref walk chyba powinni nas wpuścić. Oczywiście staralibyśmy się wystrzegać ujęć z bliska. No i w żadnej sytuacji na żywo nie chcemy pokazywać takiego brutalnego tła jak to, z którym miewaliśmy do czynienia. Ale chociaż dopiero niedawno wróciłem z Trypolisu, zdążyłem zrobić rekonesans i myślę, że chyba mamy szansę dostać zgodę na wejście do stref, w których okoliczności nam sprzyjają.

– To niewiarygodnie upiorny pomysł – stwierdził Warburton.

Warburton był najstarszy z obecnych w pokoju

i dlatego grał rolę plemiennego głosu sumienia. Robił to za milczącą aprobatą ogółu. Był nie tylko najstarszy, ale też najbardziej wykształcony, najwyższy i najmocniej posiwiały, no i akurat z jego strony najmniej obawiano się podchodów w walce o władzę, prób przemykania własnych pomysłów oraz czysto bezinteresownej zdradzieckości. W dodatku – jak z pewnością wszyscy zdążyli już usłyszeć w ciągu dwudziestu paru godzin, które minęły, odkąd Jones Perkins przekazał tę wiadomość Reevesowi Chubbowi – cierpiał na rzadką chorobę krwi. Nigdy nie zwracano najmniejszej uwagi na jego wystąpienia w obronie człowieczeństwa i dobrego smaku, ale wszyscy chyba czuliśmy, że jest niezbędny. Wznosił nasze małostkowe problemy na poziom kosmologiczny, dzięki czemu łatwiej mogliśmy je ignorować pod pozorem, że nie mamy odpowiednich kwalifikacji do rozstrzygnięcia tak

górnolotnych kwestii moralnych. Miło było mieć go pod ręką. Był taki wysoki, szpakowaty i dostojny. Dopełniał grupową fotografię, którą każdy z nas nosił w głowie jak w ramce z cieleją skóry. Bez Warburtona równie dobrze moglibyśmy być delegacją agentów ubezpieczeniowych na dorocznym zlocie w Atlantic City – ludzi sukcesu, rzecz jasna, milionerów co do jednego, a mimo to agentów ubezpieczeniowych. Natomiast z Warburtonem (pośrodku trzeciego rzędu) stawaliśmy się poselstwem dyplomatycznym Stanów Zjednoczonych na dworze królowej Anglii. Weede Denney zarówno prywatnie, jak i publicznie mówił o nim jako o swoim sekretarzu stanu i zawsze wtedy chichotał na wciągającym oddechu, jak to on, żeby zaznaczyć, że w gruncie rzeczy świadomie żartuje z siebie. Zebranie (jedna z tych piątkowych imprez, które nazywałem sesjami trutki) zaczynało mi topnieć w uchu

wewnętrzny, podczas gdy notowałem w bloczku własną wersję nekrologu, jaki Weede miał ułożyć po śmierci biednego Warburtona.

Re: Theodore Francis Warburton

Zawsze smutno jest stracić wieloletniego i zaufanego pracownika. Theodore Francis (Ted) Warburton był jednak kimś więcej: cennym przyjacielem, nieocenionym doradcą, wytrwałym obrońcą elementarnej ludzkiej przyzwoitości. Są to dziś rzadkie przymioty. Co do mnie, to odczuwam jego odejście jako wielką osobistą stratę. Nieczęsto spotyka się ludzi, którzy mają do problemów naszej epoki tak humanistyczne podejście jak Ted. Jego przedwczesna śmierć umniejsza nas wszystkich. Wiem, że każdy pragnie wraz ze mną złożyć wdowie wyrazy najgłębszego współczucia. Żaden człowiek nie jest wyspą. Jesteśmy Bogu dłużni śmierć.

Pochodnię podano dalej. Ave atque vale.

– Chciałbym o coś spytać – powiedział Mars Tyler. – Czego brakuje Grace Tully?

– Opatrzyła się widzom – wyjaśnił Walter Faye.

– No właśnie. I tego nam trzeba.

– Jej atrakcyjność ma w sobie coś warzywnego. Królestwo warzyw ją uwielbia. Stała się jego warzywną królową. Popatrzcie, ci ludzie siedzą nad rozłożonymi po całej podłodze jedenastoma kilogramami niedzielnego „Timesa”. Facet ma ze czterdzieści siedem lat, nosi okulary i nigdy nie kupił książki w miękkiej oprawie za mniej niż dwa i ćwierć dolara. Kartkuje dział mody męskiej, wyobrażając sobie, jak by wyglądał w smokingu ze złotego moheru. Kobieta kiwa się nad dodatkiem ilustrowanym, zastanawiając się, dlaczego, do kurwy nędzy, nikt nie dzwoni i nie

zaprasza ich na koktajl, bo cholernie nudno jest siedzieć w domu, czytając o gettach i eksurbanizacji. Oto królestwo warzyw.

– Pytanie bez związku – wtrącił Paul Joyner. – Podobno Grace Tully pieprzy się z kim popadnie: z facetami, kobietami i zwierzyną polną.

– Pozwól, że zapytam – rzekł Mars. – Po pierwsze, czym różni się królestwo warzyw od jakiegokolwiek innego wycinka widowni? Po drugie, wciąż nie rozumiem, dlaczego Grace Tully i jej, jak mówisz, opatrzona twarz nie są właśnie tym, czego potrzebujemy dla tej akurat grupy widzów, zdefiniowanej według twoich kryteriów. Po trzecie... do trzeciej sprawy jeszcze wrócimy.

– Królestwo warzyw siedzi i się gapi – powiedział Walter. – Królestwo zwierząt tylko się drapie. To w sumie cała różnica.

– Ta dyskusja mija się z celem – stwierdził Quincy.

– Trafna uwaga – poparł go Weede.

– A co miało być trzecie? – spytał Walter. – Mówiłeś, że chcesz poruszyć trzy punkty.

– Zostawmy to na później – przerwał Weede. – Chciałbym trochę podgrzać sprawę Morgenthaua.

– Sprawa Morgenthaua ma się znakomicie – zapewnił go Jones Perkins.

– A co z samym Morgenthauem?

– Co z samym Morgenthauem – powtórzył Jones. – Prawie postanowił załatwić i dopiąć sprawę, a producenci odżywki do włosów niech idą w cholerę.

– Ale czy się wiążąco zadeklarował?

– Powiedziałbym, że prawie wiążąco.

– Czyli wyszliśmy na prostą.

– Weede, posunąłbym się jeszcze dalej. Zaryzykowałbym twierdzenie, że Morgenthau prawie wiążąco się zadeklarował.

– A twoim subiektywnym zdaniem producenci odżywki wchodzi w to czy nie?

– O ile w chwili obecnej jestem zorientowany, producenci odżywki zdecydowanie w to nie wchodzi, chociaż czekamy jeszcze na ostateczną decyzję Morgenthaua po jego powrocie z wysp.

– Których wysp?

– Których wysp – powtórzył Jones. – Zaraz sprawdzę.

– Przejdźmy do trzeciej wojny światowej – rzekł Weede.

– Jeszcze co do Grace Tully – wtrącił Joyner. – Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że dawniej pieprzyła się z paroma największymi nazwiskami na całym wybrzeżu. A nawet na obu

wybrzeżach.

– Skupmy się – powiedział Weede. – W chwili obecnej interesuje mnie, czy wobec najnowszych wydarzeń na scenie międzynarodowej wizja trzeciej wojny światowej jest chociaż trochę bardziej inspirująca niż przed tygodniem.

– W chwili obecnej – odparł Richter Janes – wizja trzeciej wojny światowej jest o jakieś czterdzieści procent mniej inspirująca niż tydzień temu.

– Właśnie to mnie interesowało.

– A mnie interesuje – rzekł Walter Faye – dlaczego w programie o skutkach samotności w więzieniach nie możemy pokazać muszli klozetowej. Wolno nam pokazywać muszle klozetowe w porach największej oglądalności. A czemu nie po południu, ja się pytam!

– Dzieci mogą wtedy oglądać – wyjaśnił

Weede. – A poza tym według mnie to nie należy do tematu. Nie wyobrażam sobie, żeby nasz zespół wystąpił z projektem, który wymagałby pokazania na ekranie muszli klozetowej. A zresztą skoro nie pokazujemy, jak ktoś z niej korzysta, w ogóle nie ma po co jej pokazywać. To chyba któreś z Sitwellów powiedziało, że jeżeli w pierwszym akcie nad kominkiem wisi strzelba, to przed opadnięciem kurtyny powinna wypalić. Czy coś w tym sensie.

– A niby dlaczego nie możemy pokazać, jak ktoś z niej korzysta? – nie dawał za wygraną Walter Faye. – Chciałbym chociaż raz zobaczyć w telewizji, jak ktoś potężnie sika, aż para bucha. Dramaturgicznie dałoby się to nawet uzasadnić. Moglibyśmy wymyślić sytuację, w której scena z sikaniem okazałaby się niezbędna. Na przykład protagonista musiałby wydalić z organizmu jakąś truciznę. A gdyby to był dokument o chorobie

wątroby albo pęcherza, można by wzbudzić w widzu współczucie, pokazując, ile bólu sprawia bohaterowi zwyczajne sikanie. Ustawienie kamery byłoby mi obojętne. Mogłaby filmować samą twarz. Liczyłby się dźwięk. Jestem szczerze przekonany, że gdyby udało nam się chociaż raz wpuścić ten rodzaj dźwięku w eter, mielibyśmy prawo przypisać sobie skromną zasługę na polu poszerzania horyzontów narodu.

– Owszem – przytaknął Weede Denney. – Byłoby to prawie równie dobre jak Oswald zastrzelony przez Ruby’ego.

Wszyscy się odprężyliśmy, delektując się szczerbatym komizmem tej uwagi, i domalowaliśmy jeszcze jedno trofeum na i tak dosyć już imponująco ozdobionym pancerzu Weede’a. On zaś obniżył swój fotel fryzjerski o dwa hydrauliczne karby i wziął ze stolika paczkę

papierosów. W tej samej chwili pani Kling, jego sekretarka, wniosła wielką tacę i zaczęła rozstawiać kawy. Przyglądałem się robotnikom, którzy po drugiej stronie ulicy budowali dom. Richter Janes siedział obok mnie i czekał na swoją kawę.

– Większość robotników na budowach wieżowców w tym mieście to Mohawkowie – powiedział. – Wszyscy mieszkają gdzieś na Brooklynie. Jest tam ich cała kolonia. Specjalizują się w niebezpiecznych pracach na dużej wysokości. Jak gdzieś buduje się dom powyżej trzydziestu pięter i widać ludzi na rusztowaniach, wiadomo, że to Mohawkowie.

– Na pewno nie bez znaczenia jest ich wrodzona kocia zwinność i znakomity zmysł równowagi – odparłem.

Nie wiadomo dlaczego mówiliśmy szeptem.

– W mojej korporacji na uniwersytecie był jeden Indianin. Sympatyczny, cichy facet, aż miło było go znać.

– Jaki miał czas na setkę?

– Zjedźmy coś kiedyś razem – powiedział Richter. – Chciałbym cię spytać o zdanie na temat pewnego swojego projektu. Ludzie dobrze o tobie mówią.

– A kto konkretnie?

– Wieść gminna – szepnęła tajemniczo.

Pani Kling wyszła i zebranie potoczyło się dalej. W naszej sieci co chwila ktoś komuś oznajmiał, że ludzie dobrze o nim mówią. Działo się to w ramach nieoficjalnie zaleconego programu namolnej serdeczności. A ponieważ cała branża z natury rzeczy podlegała nader elastycznej logice trendów, zwiastun dobrej nowiny prędeej czy później słyszał ją od kogoś również na swój temat.

Każdy z nas stawał się w końcu chodzącym trendem i przeżywał tydzień chwały. To, co powiedział Richter Janes, mogło oznaczać początek trendu Davida Bella. Richter zaledwie przed kilkoma miesiącami też miał swój trend, który trwał około tygodnia. W ciągu tych siedmiu czy iluś tam dni raz po raz ktoś wstępował do mojego gabinetu albo dyskretnie zaczepiał mnie na korytarzu i mówił, jaką świetną robotę odwała Richter Janes i jak ludzie go chwala, po czym dodawał, że właśnie tego ranka sam mu powtórzył niektóre z tych komplementów. Nigdy nie potrafiłem odgadnąć, skąd biorą się trendy, kto je uruchamia i jakimi drogami krążą pogłoski. Wydawały się dosyć samorodne, więc trudno mi było uwierzyć, że planują je najwyżsi rangą dyrektorzy, najpierw ustalając, komu w danym miesiącu przyznać trend, bo trzeba mu wzmocnić morale, a potem każąc płatnym reżyserom trendu

wtrącać krótkie uwagi i niby to przypadkowe komentarze na temat rzekomo zasłyszanych pochwał. Mnie samego jeszcze nigdy nie dotknął trend i wcale jakoś szczególnie o tym nie marzyłem. Prawie każdy z tych, którzy siedzieli ze mną w gabinecie Weede'a, był kiedyś bohaterem trendu, ale wedle mojej wiedzy żadnemu nie zdarzyło się to więcej niż raz. W jednym roku mieściło się zwykle dziewięć do dziesięciu trendów, które kończyły się tak, jak się zaczynały, ze zdumiewającą nagłością, a ten, kogo po tygodniu chwały właśnie odsunięto na margines, sprawiał nieco smętne wrażenie, gdy gasł wokół niego blask neonów, odfajkowane cyfry znikwały w teczkach, na ekranach śnieżyło, a fale eteru gięły się pod ciężarem trzasków.

– Quincy i Dave – rzekł Weede. – Piłka po waszej stronie.

W jego głosie słyhać było ojcowskie rozbawienie. Widocznie to, że zmasakrował Waltera Faye'a, wprawiło go w dobry nastrój. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, bo przez cały tydzień nie kiwnąłem palcem. Pomyślałem, że mógłbym po prostu sparafrazować własny tekst z poprzedniego zebrania, klucząc i improwizując po drodze, ale szansa, że uda mi się w ten sposób wykaraskać, była mizerna. Setki razy próbowano tego wybiegu, więc wszyscy bez trudu rozpoznawali ślady pazurów i cuch blagiera.

– Quincy, może ty zaserwuj – powiedziałem.

– Projekt Nawaho – zaczął Quincy.

– Projekt Nawaho – powtórzyłem.

– Wiążą się z nim długofalowe i krótkofalowe problemy – ciągnął Quincy. – Kto ma pojechać, na jak długo i czy Indianie okażą się skłonni do współpracy? Jestem w kontakcie z Biurem do

spraw Indian.

– Obaj jesteście w kontakcie z Biurem.

– Biuro chciałoby poznać więcej szczegółów, nim się zaangażuje.

– Indianie nie życzą sobie litości – powiedziałem. – Chcą godności.

– Odniosłem to samo wrażenie. Widocznie niektórzy z nich rozmawiali z nami obydwoma.

– Nie życzą sobie litości w żadnej formie ani postaci. Chcą godności. Richter może nam chyba powiedzieć o tym coś więcej. On nawet zna jednego Indianina. Kolegowali się na studiach.

– Właściwie już nie mam z nim kontaktu. Studia skończyłem ponad piętnaście lat temu, a jego w sumie mało znałem. Był z niego sympatyczny, cichy chłopak. To akurat wyraźnie pamiętam. Miał ponad dwa metry wzrostu, a ważył jakieś osiemdziesiąt kilo, czyli był chudy jak szczapa, ani

grama tłuszczu. Jeżeli mnie pamięć nie myli, właściwie nie miał miedzianej karnacji. O ile mogę polegać na swojej pamięci, był tylko w trzech ósmym Indianinem. W trzech czy czterech. Chyba z plemienia Wron. Wron albo Czarnych Stóp. Ale z pewnością był jednym z najsympatyczniejszych, najcichszych facetów, jakich chciałoby się poznać. To akurat wyraźnie pamiętam. Bez wątpienia.

– Twoim zdaniem wolał litość czy godność?

– Stanowczo godność. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Wolał godność.

– Dawaj, Quincy – powiedziałem.

– Pozostaje pytanie, kto ma tam pojechać, kiedy i na jak długo. Jeżeli chcemy sfilmować zamieć, to trzeba się spręzać. Musimy dopiąć sprawę, zanim jeszcze bardziej porośniemy mchem.

– Jestem w prawie ciągłym kontakcie

z meteorologami – wtrąciłem. – Usiłuję od nich wydobyć długofalową prognozę dla tamtej części kraju.

– A konkretnie której? – zapytał Jones Perkins.

– Dla regionu Nawahów.

– A gdzie oni mieszkają?

– Quincy, to ty znasz się na geografii.

– Słuchajcie, przecież bez trudu ich znajdziemy.

Ich rezerwat jest większy niż niejeden stan, a nawet niż niejedno państwo, choćby któreś z tych europejskich królestw, co słyną głównie ze znaczków pocztowych. Nie mam cienia wątpliwości, że jest większy niż na przykład Monako.

– Central Park jest większy niż Monako – zauważył Reeves Chubb.

– Lachociąg – mruknął Quincy.

– Rezerwat Nawahów leży na terenie Arizony,

Nowego Meksyku i Utah albo Kolorado – oświadczył Paul Joyner. – Akurat przypadkiem to wiem. Na sto procent. Może zresztą Nawahowie mieszkają i w Utah, i w Kolorado.

– Zgadza się – przytaknąłem. – O ile mi wiadomo, na ich ziemiach ocalało trochę wspaniałych budowli na wysokich urwiskach i różne zrujnowane puebla, które możemy wykorzystać jako naturalne tło. Zresztą w granicach rezerwatu Nawahów leży Dolina Posągów, a przynajmniej tak mi się obito o uszy. To surowy, piękny, jakby księżycowy krajobraz.

– A po co nam zamiecie? – spytał Warburton.

– Chcemy pokazać, że mimo licznych problemów Indianie robią postępy. A jednym z tych problemów są dla nich na przykład zamiecie.

– Nigdy bym nie wpadł, że potrzebna będzie do

tego zamieć. Bieda i choroby są dostatecznie wymowne.

– Nie zaszkodzi pokazać i zamieć – odparł Quincy.

– Ted ma może trochę racji – przyznałem. – Kolejną ważną sprawą, która mnie osobiście dotyczy, jest *Monolog*. Tutaj wszystko świetnie idzie. Ten program to od początku kompletny, niezaprzeczalny samograj. Większość recenzentów jest nim zachwycona, a w listach od widzów na każde cztery głosy „za” przypada tylko jeden krytyczny.

– Nigdy nie przepadałem za *Monologiem* – powiedział Reeves Chubb. – To jakieś pseudo-niewiadomo-co. Parę dni temu przy kolacji wspomniałem o tym programie. Akurat przyjechali do nas z dłuższą wizytą znajomi, więc chciałem zasięgnąć ich zdania. Nagrałem całą rozmowę,

w razie gdyby Dave albo Quincy chcieli jej posłuchać. Ci nasi znajomi – Kate i Phil Thomforde – mają niezwykle rozległą wiedzę. McAndrew robił różne rzeczy z Philem w Amherst.

– Tytuł wymyślił Weede.

– Naprawdę? – zdziwił się Denney. – Widocznie jest to jeden z moich mniej gromkich sukcesów, przynajmniej zdaniem pana Chubba. Przykro mi, Dave, ale ten program chyba się nie utrzyma. Czasem trudno być pionierem, nie będąc zarazem komuś solą w oku. Sponsor postanowił nie przedłużać umowy, a nikt inny nie wyraził zainteresowania. Wiesz, Dave, że zawsze stoję murem za swoimi ludźmi i tym razem też nie było inaczej, zapewniam cię. Cholernie się starałem namówić Larry’ego Livingstona, tego, co ma gabinet piętro wyżej, żeby przekonał Stennisa, że

sieć powinna wyłożyć na to pieniądze. Powiedział mi zupełnie otwarcie – i trudno nie podziwiać jego szczerości – że program jest katastrofalnie nudny. Według niego nie ma sensu zwracać się z tą sprawą do Stennisa, bo Stennis – tylko niech się o tym nie dowie nikt spoza tego grona – ma całkiem inne zmartwienia. Program był dobry. Stwierdzam to absolutnie jednoznacznie. Ale zdaniem Chipa Moerdlera z Brite-Write ani trochę nie zwiększył popytu na ich długopisy. W tej branży trzeba się nauczyć wliczać w koszty rozczarowanie. Ale nie chciałbym, David, żebyś wyszedł stąd wściekły. Mamy stanowczy zamiar zrobić z twojego niemałego talentu jeszcze lepszy użytek. Powiem ci więcej o tych planach, kiedy już zapakujesz Nawahów do puszki.

– Chip Moerdler to piramidalny ignorant – orzekł Warburton. – Miewałem z nim do czynienia. Nie poznałby się na wartościowym programie,

choćby nim dostał prosto w splot słoneczny.

– Racja – odparł Weede. – Ale z tabelą sprzedaży nie ma dyskusji. A teraz przyjmijmy dalej. Jest jeszcze jedna sprawa, która cię dotyczy, Dave. Chodzi o promienie laserowe.

– Co do tego dałem Carterowi Hemmingsowi wolną rękę. Jest chyba niezłym znawcą przedmiotu, a ja uznałem, że pora go wypuścić na głęboką wodę. Bo wiesz, jest kilka lat starszy ode mnie, a w tego rodzaju przypadkach, ze względu na morale, czasem warto pozwolić człowiekowi samodzielnie coś opracować. Zawsze z pewnym zażenowaniem mu tłumaczę, dlaczego nie zapraszasz go na te piątkowe zebrania. Jego zniecierpliwienie jest zupełnie zrozumiałe, a ja nie wątpię, że niebawem znajdzie się dla niego miejsce na naszym uroczystym konklawe. W każdym razie, Weede, Carter twierdzi, że

w sprawie promieni laserowych wszystko jest tip-top. Kiedy wczoraj wieczorem z nim rozmawiałem, powiedział, że chciałby się do ciebie zgłosić z tą kwestią dzisiaj z samego rana. Według niego projekt jest absolutnie dopięty i, praktycznie rzecz biorąc, gotów do uruchomienia.

– Carter się ze mną nie kontaktował.

– Skoro tak, pewnie będę go musiał przycisnąć – powiedziałem, a potem bez żadnego powodu przesunąłem stopę po dywanie o kilkanaście centymetrów w bok i kopnąłem pusty papierowy kubek po kawie, stojący pod fotelem Richtera Janesa. Nadepnąłem go obcasem i zgmiotłem. Nikt chyba tego nie zauważył. Byłem chory ze zmęczenia. Najchętniej wróciłbym do łóżka Meredith, ciepłego i pachnącego piżmem, zagubił się w rowku między jej piersiami i popłynął przez bezdenne, rybosrebrne komnaty, pogrążony we śnie

otchłannym jak katastrofa okrętowa. Pragnąłem jechać z Sullivan przez księżycowe zachodnie pustkowie, słuchając z samochodowego radia Mingusa i malarskiego saksofonu Ornette'a Colemana, i żeby Sullivan o twarzy spowitej niewidzialną taśmą złożyła ręce na piersi jak figura z sarkofagu; jechalibyśmy pełnym gazem przez północną prerię, coraz wyżej, Bartók w Górach Skalistych, kowbojskie piosenki i nosowy trawiasty brzęk bandzo, i wreszcie Oregon, dalekie morze gładkie jak foka. Tego chciałem. A tymczasem siedziałem w ogromnym gabinecie Weede'a Denneya, w niebieskim fotelu przy oknie, chory ze zmęczenia.

– A teraz czas na komunikat naszego stałego obserwatora Chin. Panie Chubb, prosimy o bystry wyraz twarzy. Jak się rozwija chińskie przedsięwzięcie?

– Weede, będzie z tego najlepszy cykl o tematyce międzynarodowej, nad jakim pracowałem. Omówiłem go już z siedmioma czy ośmioma ludźmi z samej góry Departamentu Stanu. Dzwoniłem do sześciu uniwersytetów i dwóch fundacji. Haruję po nocach i w weekendy. Moja sekretarka cierpi na jakieś babskie dolegliwości, więc Chandler Bates musi mi czasem pożyczać swoją. Materiały wciąż napływają. Wiedziałaś, że Chiny osiągnęły mistrzostwo w większości sztuk i nauk, zanim Europejczycy przestali się nawzajem iskać? Moja żona uważa, że za ciężko pracuję. To dla nas wielka szansa. Chiny są zagadką. Tajemnicą. Oddałem wszystko do przepisania na maszynie. Mao Tse-tung i jego zwolennicy przeszli piechotą ponad dziewięć i pół tysiąca kilometrów do swojego górskiego bastionu, ścigani przez tego, jak mu tam.. no, tego żółtka, którego żona studiowała w Wellesley. Jak tylko cały materiał

zostanie przepisany, sprawdzony i skserowany, dam go wszystkim do oceny. Sekretarka Chandlera Batesa wolno pisze, więc nie wiem, na kiedy się wyrobię. Bardzo mnie ten cykl kręci. Rzeka Jangcy ma prawie pięć tysięcy czterysta osiemdziesiąt osiem kilometrów długości.

– O czym ma być ten cykl? – spytał Warburton.

– O tej całej wielkiej sprawie. O Chinach od podszewki.

– A czy dowiemy się z niego czegoś, czego jeszcze nie słyszeliśmy niezliczoną ilość razy?

– Są spore szanse na parę elektryzujących migawek.

– Zapewne nakręconych z jakiegoś wysokiego wzgórza w Hongkongu.

– Cykl będzie prezentował wyraźnie określony punkt widzenia. Materiał, który dałem do przepisania, wyraźnie to podkreśla.

– Co mianowicie?

– Potrzebę punktu widzenia.

– Jakiego?

– No właśnie, jakiego punktu widzenia? – spytał Quincy.

– Pracuję nad tym wspólnie z ludźmi z Departamentu Stanu. Są bardzo chętni do współdziałania.

– Chciałbym w tym momencie zacytować Kafkę – oświadczył Warburton. – „Każdy rodak był bratem, dla którego stawiało się mur obronny, bratem, który wraz z wszystkim, co posiadał i czym był, przez całe swe życie pozostawał im wdzięczny za ich pracę. Jedność! Jedność! Pierś przy piersi, wspólny marsz całego narodu, krew, już nie uwięziona w ciasnym układzie krążenia, lecz błogo płynąca i ciągle powracająca przez nieskończone Chiny”^[1]. Przypuszczam, że właśnie

taki jest twój punkt widzenia.

– Cudownie powiedziane, Ted – stwierdził Weede. – Chyba dałeś Reevesowi coś, w co naprawdę warto się wgryźć. Fragment o jedności-jedności jest wspaniały. Ujmuje jak w pigułce narastający dramat masywu lądowego, którego mieszkańcy są dla nas zagadką. Gdzie kupiłeś ten krawat?

– Twój cytat brzmi jak muzyka, Ted. Mógłbyś powiedzieć swojej dziewczynie, żeby mi go przepisała? Zdanie o nieskończonych Chinach jest prawie równie dobre jak jedność-jedność. Kto wie, czy nie dałoby się z niego wykrzesać tytułu.

– Kto wie, kto wie – rzekł Weede Denney.

Trutnie wciąż brzęczały. Wpatrywałem się w twarz Warburtona. Nie, wzrok mnie nie mylił: w kącikach ust migotał mu rozbawiony uśmiezek. Osunąłem się w zmierzch, w lagunę, w kopalniany

szyb. Po zewnętrznym parapecie przeszedł gołąb, obłąkańczo się kiwając: wyglądał całkiem jak tłusta pruderyjna stara panna na spacerze w Providence w Rhode Island – i nagle z głośnym trzepotem skrzydeł wzbił się w powietrze, spłoszony dalekim łoskotem burzonego domu. Skroń przeszył mi bolesny dygot. Próbowałem się zastanowić nad świątecznymi sprawunkami, których jeszcze nie załatwiłem. Przez całą sobotę miałem kupować i pakować prezenty. Chciałem kupić coś Meredith i jej rodzicom; swojemu ojcu; Sullivan; Binky; siostrze Jane i jej dzieciom w Jacksonville; trzem dziewczynom, z którymi czasem się spotykałem; nie przewidywałem żadnego upominku dla B.G. Haines; ani dla swojej siostry Mary, niewidzianej i niesłyszanej od lat. Zamierzałem poświęcić szczególnie dużo czasu i troski pakowaniu prezentów dla rodziców Merry, dla Jane i jej dzieci. (Zawsze oszałamiała mnie

sama myśl o odległościach – to, że południki, równoleżniki, strefy czasowe krążą razem z ziemią, podczas gdy ja tkwię w jednym punkcie i wszystkie dalekie miejsca wydają mi się nieuchwytnie, uchodzą w dal i w dół, a poczta z trudem do nich dociera. Dlatego zawsze darzyłem przesadnym uszanowaniem paczki wysyłane na odległość setek albo i tysięcy kilometrów, jakby to były gołębice pocztowe z tajnymi komunikatami dla dzielnych partyzantów ukrytych wśród wzgórz). Nagle ujrzałem w wyobraźni swoją siostrę Mary. Oto siedzi w samoobsługowej pralni w Topece w stanie Kansas. Pali długiego papierosa z filtrem, czekając, aż wyschnie pranie. Ubrana jest w sukienkę z szarej bawełny. Nie miałem powodu sądzić, że siedzi właśnie tam, w tym a nie innym mieście, stanie czy zakładzie usługowym, w szarobielonym piekle, gdzie ciuchy wirują jak

mechaniczne embriony w doświadczalnych brzuchach, a jednak czułem, że jest to prawdziwa wizja, przysłana mi jakąś pozazmysłową drogą. Nie wiedzieć czemu mnie to zasmuciło. Cały lewy bok mojej głowy promieniował bólem. O kilka przecnic dalej znowu huknęło. Głosy z brzękiem wlatywały do ciemnych uli, aby zaraz z nich wylecieć. Jeszcze raz spojrzałem mu w twarz. I raptem uderzyło mnie odkrycie, wzniecające pożar w umyśle swoim pięknym, godnym genialnych rachunków astronoma: Warburton był Trockim.

– Chyba wszystko omówiliśmy – rzekł Weede Denney. – Po południu lecę srebrnym ptaszyskiem na wybrzeże. Powinienem wrócić w środę. W razie jakichś problemów pani Kling wie, gdzie mnie złapać. Udanego weekendu i miłej Gwiazdki.

– Z oficjalną sankcją – powiedział ktoś tytułem

komentarza do nie wiadomo czego.

Weede wyszedł do swojej prywatnej toalety sąsiadującej z gabinetem. Pozbieraliśmy papierowe kubki, odstawiliśmy fotele na miejsca i w ogóle trochę uładziliśmy, żeby nie obarczać tą krzątanią pani Kling, która z biegiem lat zdołała dopiąć tego, że bano jej się jak mało kogo w firmie. Wracając do swojego gabinetu, stanąłem przy biurku Hallie Lewin i pomasowałem jej kark. Właśnie przepisywała na maszynie służbową notatkę, oznaczoną jako poufna. Zauważyłem, że nie ma mnie na liście adresatów.

– Jak było na zebraniu, David?

– Skończyło się jak zwykle walką na pięści. Co chcesz na Gwiazdkę, Hallie?

– Skrobankę – odparła.

– Co przepisujesz?

– Idź sobie. Nie masz prawa tego czytać.

– Czy to coś o mnie? – spytałem, sunąc dłońmi w dół po jej plecach.

– Jesteś ostatnim człowiekiem w tej firmie, który ma powody do obaw. Naprawdę. Ludzie dobrze o tobie mówią, David.

Ruszyłem korytarzem za Quincym Willetem i Jonesem Perkinsem sprężystym krokiem, cicho strzelając palcami. Zauważyłem, że Quincy dawno nie był u fryzjera.

– Słyszałeś? – spytał Jones. – Merrill przyjął do pracy Murzyna. Blaisdell wczoraj go poznał. Mówi, że to miły, porządny facet.

– Chodźmy go zobaczyć – zaproponował Quincy.

Wróciłem do swojego gabinetu. Binky weszła tam za mną. Była bez stanika. Żwawo ruszyła w stronę kanapy i chwilę się na niej pohuśtała, zanim spokojnie usiadła. W piątki zawsze musiała

wypuścić trochę pary. Usadawiłem się w fotelu za biurkiem.

– Co nowego? – spytałem.

– Dzwoniła jakaś Wendy Judd. Prosi, żebyś oddzwonił.

– Co jeszcze?

– Dzwonił Warren Biddle. Nie zostawił wiadomości.

– I co jeszcze?

– Ojciec będzie na ciebie czekał o pół do pierwszej w Grand Prix.

– A poza tym?

– To już wszystko. Jak poszło zebranie?

– Skończyło się jak zwykle walką na pięści. Phelps Lawrence nie przyszedł. Pewnie już go zawiadomili.

– A słyszałeś najnowszą wiadomość? To już

zakrawa na obłąd.

– Co? – spytałem.

– Mars Tyler i Reeves Chubb.

– Co mianowicie?

– Wylani.

– Gdzie to słyszałaś?

– Nie wolno mi zdradzić.

– Binky, skarbie.

– Hallie powiedziała mi o Reevesie, a Penny Holton o Marsie.

– Kto to jest Penny Holton?

– Sekretarka Cartera Hemmingsa.

– Ta, co ma stereofoniczne cycki?

– David. Daruj sobie takie gówniane teksty.

– Przecież jej piersi celują w przeciwne końce pokoju.

– Ale czy to nie sensacja? – spytała Binky.

– To jeszcze nie wszystko – odparłem. – Carter Hemmings może być następny. Na razie to tylko plotka, więc nikomu nie powtarzaj.

– Nie powtórzę.

– Poza tym zauważyłem, że Chandler Bates miał zamknięte drzwi, kiedy przed chwilą mijałem jego biuro. Mimochodem wspomniałem o tym Jody, a ona powiedziała, że od rana ich nie otwierał.

– Jak myślisz, co to znaczy?

– Albo kogoś zwalnia, albo sam zaraz wyleci na bruk.

– Niemożliwe, żeby Chandler wyleciał – stwierdziła Binky. – To kumpel Livingstona, jego faworyt. Livingston sam go tu ściągnął z CBC.

– Podobno Livingston też pomału idzie w odstawkę.

– To już się w głowie nie mieści.

– Wychodzi z użycia jak przestarzały

bombowiec średniego zasięgu – dodałem. – Tylko tego nie roztrąb.

– Można by się spodziewać, że chociaż uszanują gwiazdkowy nastrój. Co za parszywa pora na czystkę.

– Dosyć gadania. Niech tu przyjdzie Carter Hemmings, i to szybko.

Binky wyszła, a ja zadzwoniłem do Sullivan. Telefon zabuczał osiem razy, a ona wciąż nie odbierała. Odczekałem jeszcze kilka dzwonków.

– Dobry Boże, muszę się stąd wyrwać – powiedziałem do słuchawki.

W końcu ją odłożyłem i właśnie wtedy wszedł Carter Hemmings. Ruszył w stronę kanapy bokiem i bardzo niepewnie, lekko zgarbiony w wasalnej, służalczej pozie.

– Carter, miałeś dzisiaj rano zgłosić się do Weede'a i złożyć mu sprawozdanie o postępach

w pracy nad tym projektem z promieniami laserowymi. Wydawało mi się, że to uzgodniliśmy.

– Zrozumiałem, Dave, że z samego rana mam się stawić u ciebie, ale kiedy tu przyszedłem, Binky powiedziała, że jeszcze cię nie ma. Po dziesięciu minutach spróbowałem jeszcze raz i usłyszałem, że przed chwilą poszedłeś do Weede'a na zebranie.

– W trakcie sesji trutni padło twoje nazwisko, Carter. Weede zagroził, że jak nie będziesz uważał, da ci popalić. Masz jakieś wiadomości od B.G. Haines? Poskarżyła mi się, że przeżyła wtedy paskudny wieczór. Ludzie źle o tobie mówią, Carter. Każdy musi odwalać swoją część roboty. Jeszcze się przekonasz, że Weede potrafi być bezlitosny, kiedy usprawiedliwiają to okoliczności. Twoja sekretarka to pierdolona plotkara. A teraz muszę wracać do pracy.

Carter wyszedł. Podarłem notatki z zebrania.

Wyjąłem ze środkowej szuflady pudełko spinaczy i zacząłem je szepiać, robiąc łańcuch. Przez jakieś dziesięć minut szepiłem chyba ze sto. Następnie połączyłem pierwszy z ostatnim. Powstałe w ten sposób koło ułożyłem przed sobą na biurku. W kole umieściłem dziewięć ołówków, układając z nich trzy trójkąty. Każdy trójkąt tworzyły trzy ołówki. W każdym trójkącie położyłem gumkę do wycierania. Wziąłem podarte notatki, wrzuciłem je do popielniczki, zapaliłem zapalkę i przytknąłem ją do strzępów papieru. Ustawiłem popielniczkę z płonącym papierem w punkcie w miarę równo oddalonym od najbliższych rogów wszystkich trójkątów i mniej więcej pośrodku koła. Kiedy ogień dogasał, darłem kolejną kartkę i wrzuciłem ją do popielniczki. Powtarzałem to, póki Binky nie przyszła po płaszcz, który zawsze wieszała za moimi drzwiami.

- Już przerwa na lunch?
- Co to takiego? – spytała.
- Demonologia.

Obeszła biurko i stanęła przy mnie, żeby dokładniej się przyjrzeć. Zapadłem się w fotel, przechyliłem w bok i oparłem dłoń na jej łydce, kreśląc końcami palców powolne ósemki.

– Dziwacznie to wygląda, David.

– Ale chyba nieźle działa. Zauważ, że popielniczka jest okrągła. Koncentryczne koła. Jak ból w mojej głowie. Tylko te gumki słabo się tu nadają. Jak będziesz następnym razem w magazynie, zobacz, czy nie mają trójkątnych. To poważna sprawa.

– A co to wszystko ma znaczyć?

– Przyzywanie ciemnych mocy. Hallie Lewin naprawdę jest w ciąży czy tylko żartowała?

Moja dłoń spoczywała w miękkiej zatoczce pod

kolanem Binky. Zawsze mi się wydawało, że kiedy kobieta je ugina, właśnie ta zatoczka jest jednym z najlepszych miejsc na jej ciele; i nagle – jakby wychodząc naprzeciw temu mojemu upodobaniu – Binky przeniosła ciężar ciała na nogę, której dotykałem, czyli lewą, a kolano dostosowało się do tej zmiany, doskonale za nią nadążając: lekko się ugięło, tworząc owo jakby wydrążone, nadzwyczaj delikatne zagłębienie gwoli darmowej rozkoszy mojej dłoni. W drzwiach stał Weede Denney.

– Wejdz, Weede – zaprosiłem go. – Jak zdrowie małżonki?

Binky pomалу odsunęła się ode mnie. Widziałem, jak w ciemnym pokoju mojego umysłu otwierają się drzwi – troje, czworo, pięcioro naraz, rzucając świeże światło na deski podłogi. Dawniej zawsze miałem władzę nad tymi swoimi

drzwiami, teraz jednak otwierały się z zupełną swobodą, popychane wiatrem, łomocząc w ściany. Jeszcze mogłem nad nimi zapanować, ale nie próbowałem. Do pokoju wpadało coraz więcej światła, aż pomyślałem, że mógłbym osiągnąć stan ośmiorga otwartych drzwi, życiowy rekord.

– Nie chciałem wam przeszkadzać – rzekł Weede, lekko się rumieniąc. – Mam tylko do ciebie krótką sprawę, ale nic pilnego.

– Nie wiem, Binky, czy znasz panią Denney. Jest absolutnie nieustraszona. Weede, opowiedz Binky, jak podczas waszego fotograficznego safari w Kenii pani Denney podeszła tuż do rodziny hipopotamów. Uparła się, że chce mieć z nimi zdjęcie, i ani trochę nie bała się o własną skórę. Weede opowiedział nam o tym wczoraj w czasie lunchu. Nie mogę się doczekać widoku tych slajdów, Weede. Ty też chyba powinnaś je

obejrzyć, Binky. Weede obiecał zaprosić nas niedługo na pokaz. Binky pasjonuje się fotografią, Weede. Wiesz, Binky, Weede ma wielką kolekcję zdjęć.

– Bardzo bym je chciała obejrzeć – powiedziała Binky. – No, lecę, bo umówiłam się na lunch z Jody Moore, a ona nienawidzi, jak jej się każe czekać.

Wyszła, wkładając płaszcz, a Weede ustąpił jej z drogi, jakby się bał, że od najlżejszego muśnięcia oboje załamią się nerwowo. Próbowałem pozamykać drzwi, ale stawiały opór. Weede podszedł do biurka, rozplaszczonymi dłońmi oparł się o blat po swojej stronie i pochylił ku mnie.

– Chcę cię o coś spytać – oznajmił. – Sprawa jest cokolwiek delikatna. Mam wrażenie, że dobrze się orientujesz w wielu podskórnych nurtach biurowego życia. Wszystko, co tu sobie

powiemy, musi pozostać między nami. Czy Reeves Chubb jest homoseksualistą? Nie musisz odpowiadać, jeżeli nie chcesz.

– Z niektórych plotek mogłoby coś takiego wynikać. Ktoś napisał coś w tym guście na ścianie męskiej toalety na trzydziestym szóstym piętrze.

– Chętnie rzuciłbym okiem na ten napis.

– Już go tam nie ma – odparłem. – Pojawił się w zeszłym tygodniu. Nabazgrany czerwoną kredką nad pisuarami. Chyba poznałem charakter pisma Quincy’ego Willeta. Wiesz, że on i Reeves za sobą nie przepadają.

– A co konkretnie było napisane? To może być ważne.

– Wolałbym nie powtarzać, Weede.

– Brzmiało wulgarnie?

– Najwulgarniej jak można.

– Obaj jesteśmy dorośli, Dave. Powiem ci,

dlatego w ogóle o tym wspomniałem. Wiem, że nie zawiedziesz i żadne poufne informacje nie wydadzą się z tego gabinetu.

– Mam zamknąć drzwi? – zapytałem.

– Oczywiście. Sam powinienem był o tym pomyśleć.

Akurat gdy zamykałem drzwi, mijał je Quincy. Spojrzał na mnie pytająco. Weede podszedł do kanapy, a ja wróciłem na fotel za biurkiem.

– Jak wiesz, Dave, przy zatrudnianiu ludzi bierzemy pod uwagę wyłącznie ich umiejętności. Taka zawsze była polityka sieci. Osobiście nie interesuję się niczym życiem prywatnym. Nie obchodzi mnie, co kto robi z wolnym czasem, przynajmniej w granicach rozsądku.

– Mogę zaświadczyć, że to prawda, Weede.

– Ale tu chodzi o coś innego. Departament Stanu nie życzy sobie żadnych pedałów w zespole

pracującym nad tematem chińskim. Jestem jak najdalszy od tego, żeby kwestionować sposób rozumowania ludzi, którym głównie leży na sercu bezpieczeństwo naszego kraju. W zeszłym tygodniu w pewnym śródmiejskim hotelu odbyło się zebranie. W sumie nie zapadła na nim żadna wiążąca decyzja. Wiesz, że Reeves jest żonaty.

– To się czasem zdarza – odparłem.

– No właśnie, Dave. Ci z Departamentu Stanu są ostrzy. Opowiadają niesłychane historie. Dyskutowaliśmy o tej sprawie całe popołudnie.

– To szemrany świat. To choroba. Każdego może dopaść.

– Wiesz, że Reeves dwie do trzech nocy na tydzień przesypia w biurze? Takie zachowanie daje do myślenia. Co na to jego żona?

– Krążą plotki, że Jones Perkins może być biseksem. Nie chcę dać przez to do zrozumienia,

że naprawdę działa na dwa fronty. Po prostu niektóre jego drugorzędne cechy płciowe uchodzą za ciut podejrzane. Może w głębi duszy jest bi, jeżeli wyczuwasz tę subtelną różnicę. Zresztą na razie to tylko pogłoski.

– Nie wierzę w takie historyjki.

– Głupi by wierzył.

– No, chciałem tylko wysondować, co o tym myślisz, Dave. Mam nadzieję, że te wszystkie plotki okażą się czczą gadaniną.

– Weede, jeżeli w tego rodzaju sytuacji, kiedy ważą się losy czyjejs przyszłości, chce się dojść do rozstrzygających wniosków, najlepiej jest cofnąć się myślą do wcześniejszych wydarzeń. Przypomnij sobie zachowanie Reevesa przy różnych okazjach. Przypomnij sobie drobne incydenty, jakie opowiadał kawały, jak reagował na pewne słowa czy zwroty, jak trzyma w palcach

te swoje cygara, przypomnij sobie jego ulubione wyrażenia, pomyśl, na co jest uwrażliwiony, jaką lubi literaturę, ile czasu spędza w kłopotach i jakie nosi buty. To wszystko ma znaczenie. A teraz z innej beczki. Mogę odtąd sam pracować nad projektem Nawaho?

– Masz problemy z Quincym?

– To on ma problemy z żoną. Myślni jest gdzie indziej.

– Wezmę to pod rozwagę, Dave.

– Wielkie dzięki.

– Powiem ci coś więcej po powrocie z wybrzeża – obiecał Weede.

– Może uda nam się coś razem zjeść.

Wszystkie drzwi stały otworem. Czuję, że wariuję. Cała rozmowa toczyła się jakby we śnie, a ja naprawdę nie wierzyłem uszom, słuchając tego, co obaj mówiliśmy. Ból głowy przeszedł

w dzwoniące odrętwienie jak po zastrzyku nowokainy. Już wcale nie panowałem nad własnymi słowami i było mi wszystko jedno. Nie czułem się z tym ani dobrze, ani źle. W ogóle prawie nic nie czułem. Moja głowa była jak telefon, który wciąż buczy na znak, że linia zajęta.

– Na pewno nie możesz mi powiedzieć, co napisano czerwoną kredką w toalecie? To może być ważne.

– Reeves Chubb wspina się na palmy i obciąża śpiącym małpom.

Zjechałem windą i przeszedłem dwie przecznice do Grand Prix. Nie wziąłem płaszcza. Nigdy go nie wkładałem, idąc na lunch, choćby było nie wiem jak zimno. JFK.

W wystroju restauracji przeważały motywy samochodowe. Ojciec już czekał, siedząc za stolikiem w samym rogu. Jego zażywna postać

w znakomitych angielskich tweedach przytłaczała sobą tamtą część sali. Krzyczał, obrzucając przyjacielskimi obelgami kogoś, kto siedział przy jednym z pobliskich stolików. Przyjrzałem się ojcu. Pogłaskał się po głowie, po rzednących włosach, a później pobawił się sztucami. Zauważyłem, że ma nowe okulary w czarnej oprawce, trochę onieśmielające. Rysy miał niezbyt wyraziste, w sumie raczej anonimowe, ale z jego oczu wyzierała obcesowa, niedająca się zignorować władczość. Z wyglądu wcale nie byliśmy do siebie podobni.

Dopiero co skończył pięćdziesiąt pięć lat i sprawiał takie wrażenie, jakby niemal z dnia na dzień przedzierzgnął się w podstarzałego męża stanu. Między ostatnimi urodzinami a tym oto spotkaniem w restauracji widziałem go jeden jedyny raz. Umówiliśmy się na drinka po pracy, a on wydawał się bardzo zajęty własnymi

łokciami. Podczas rozmowy rozstawiał je i unosił jak skrzydła samolotu Delta, obracając się na stołku i pochylając w moją stronę. Kiedy indziej zwieszał głowę nad szklanką i podnosił prawy palec wskazujący, a potem pukał się nim w lewy łokieć, którym opierał się o bar. Robił to jedynie wtedy, gdy wygłaszał jakąś doniosłą kwestię, a mnie nasuwało się przypuszczenie, że sens jego wypowiedzi zdołałby może odkryć w całej pełni tylko ktoś, kto rozplatałby ten łokieć i delikatnym instrumentem chirurgicznym podłubał w tkance łącznej. Tamtego wieczoru ojciec przypominał mi Johna Fostera Dullesa i Caseya Stengela – dwóch podstarzałych mężów stanu, którzy umieli robić użytek z łokci.

– Przepraszam za spóźnienie, tato – powiedziałem. – Wesołych świąt.

– Podobno Stennis ma kłopoty – odparł. – Nigdy

nie lubiłem skurwysyna. Ile on zarabia? Qucevous, chłopcze. Możemy wypić tylko po jednym. O drugiej mam spotkanie z klientem.

– Nie wiedziałem, że znasz Stennisa.

– Jesteśmy agencją odpowiedzialną za reklamę, promocję i kontakty z mediami przy tym serialu o chorobach psychicznych, o którym tyle się mówi. Stennis twierdzi, że nasze dziesięciosekundowe spoty są w złym guście, zważywszy na temat, któremu serial jest poświęcony. Podobno do sieci nadchodzą skargi. Wiesz, o czym mówię: o tych kreskówkach. Poprosimy dwa wytrawne martini z lodem, panie starszy. Potem odczeka pan dziesięć minut i poda nam wołowinę po burgundzku. Na kawę i deser nie mamy czasu.

– Co robisz w Wigilię? – spytałem. – Bo może bym przyjechał do domu.

– Jasne, brachu, wpadnij. Przywieź jakąś

panienkę. Wypijemy parę głębszych i pojedziemy do Admirala Benbowa na indyka. Twoja matka świetnie go piekła. Powinienem sprzedać dom, ale nie mogę się na to zdobyć. Co u Merry? Tęsknię za nią. Cholernie słodka z niej dziewczyna.

– U niej wszystko dobrze, tato.

– Słuchaj, nie przeczę, że dawniej zdarzały mi się skoki w bok. Mężczyzna niewiele jest wart, jeżeli czasem go nie poniesie. Ale jak mam się ożenić z którąś z tych biodrzastych tlenionych lafirynd po tylu latach z twoją matką? Pobraliśmy się, kiedy miałem dwadzieścia dwa. Mieszkaliśmy w północnym Brooklynie, w klitce z zimną wodą. Po narodzinach Mary wyszedłem i się upiłem. Precz z nostalgią. To były paskudne czasy, koleżko. W moim wieku mężczyzna czuje, że musi zrobić coś w rodzaju podsumowania. Ale golfa pierdolę. Dla takiego faceta jak ja to pewna śmierć.

Wszyscy chcą, żebym grał z nimi w golfa. Odkąd siedem czy osiem lat temu umarła twoja matka, zewsząd słyszę tylko o golfie. Pracuję całe weekendy, w domu albo w biurze. Lepsza praca niż śmierć. Słuchaj, mam romansik ze swoją sekretarką. I co mi z tego? Czy taka dziewczyna będzie dla mnie na dłuższą metę oparciem? Zamawiałem z lodem, panie starszy.

– Ile ma lat? – spytałem.

– Nie wiem, chyba ze dwadzieścia cztery. W moim wieku wszystkie wyglądają tak samo. Jak chcesz, to mogę cię z nią umówić.

– A jaka jest?

– Robi laskę – szepnęła.

– Nie o to pytam.

– Próbujesz ustalić, czy jest dla mnie odpowiednia. W porządku. Nie mam nic przeciwko. Szanuję twoje poglądy, chłopcze. Ale

jestem w swojej branży ostatnim przedstawicielem starej szkoły. Pracuje u mnie sześciu starszych księgowych i dziewięciu młodszych. Wszyscy po Harvardzkiej Szkole Biznesu. Nie dałbym im potu z własnych jaj, choćby go potrzebowali do zwilżenia spodni przed prasowaniem. I wiesz co? Oni mnie szanują. Powiem ci za co. Otóż szanują mnie, bo wiedzą, że poradziłbym sobie z ich robotą lepiej niż oni. W tym fachu trzeba być trochę barwną postacią. Wszyscy księгови z naszej stajni wyglądają jak wymoczone w formaldehydzie okazy laboratoryjne. Człowieka, który zna się na swojej robocie, stać na to, żeby być sobą, przynajmniej do pewnego stopnia. Przekonałem się o tym wiele lat temu. Wstawili mi do gabinetu cztery szkaradne krzesła z szarą tapicerką. Wyrzuciłem je przez okno na boczną uliczkę. Wiesz, jak w Alei rozchodzą się wiadomości. W ciągu tygodnia dostałem sześć

nowych propozycji pracy. Jeden mój klient myśli, że w życiu nie spotkał nikogo tak nadzwyczajnego jak ja. W każdy wtorek jemy razem lunch w Yale Club. Cholernie sympatyczny gość. Księżę wśród ludzi. Na studiach grał w futbol i lacrosse. Posłałem go do swojego krawca.

– Idą nasze martini – powiedziałem. – Do dna. Wesołych świąt.

– Wesołych świąt, Dave. Bóg z tobą.

Ojciec kolekcjonował reklamy telewizyjne. Suterena domu w Old Holly zawałona była szpulami, które starannie skatalogował i opatrzył odnośnikami do innych szpul, uwzględniającymi czas trwania, typ reklamowanego produktu, pamiętliwość widzów, dokładną definicję produktu i jeszcze parę innych kategorii. Fiszki wypełniały dwa sekretarzyki, a szpule stały pionowo w setkach ponumerowanych przegródek

na regałach sięgających od podłogi do sufitu, które sam zaprojektował i zbudował. Matka twierdziła, że ta suterena zastępuje mu piwnicę winną. Miał tam ekran, projektor i przez kilka wieczorów w tygodniu oglądał reklamy, notując swoje spostrzeżenia. Robił to latami. Uważał, że tego wymaga jego praca. Tłumaczył rodzinie, że szuka wspólnych motywów i niuansów w reklamach, które osiągnęły wysokie wskaźniki skuteczności. Chciał odkryć zależność między typem reklamy a jej (jak to określał) rynkowym oddziaływaniem. Mary, Jane i ja w wieku kilkunastu lat przesiadaliśmy wiele wieczorów w ciemnej suterenie, oglądając reklamy telewizyjne. Ilekroć ojciec przynosił do domu nową szpulę, nie mogliśmy się doczekać, kiedy ją nam wyświetli. Matka snuła się po starym domiszczu, a my leżeliśmy rozwaleni na kanapach w suterenie i kłóciliśmy się, która z nowych reklam jest

najlepsza. Ojciec rozstrzygał te zajadłe spory. Twierdził, że nieważne, jak zabawny czy ładny jest spot. Jeżeli nie zwiększa popytu na dany produkt, nie spełnia swojej roli. Trzeba przecież wypchnąć towar z półek. I gdy kelner postawił przed nami talerze, przypomniałem sobie, jak ojciec stał obok projektora, a obraz z pierwszej nowej szpuli wieczoru padał na ekran przez prószący kurzem słup kościelnego światła i, dajmy na to, literkowy chłopiec zajadał piegowatą zupę, jakiś facet krajał sobie zęby na Święto Dziękczynienia, a siedem nagich gospodyń domowych chłeptało z miski psią karmę. Życzyłem mu śmierci. Była to pierwsza szczerza myśl, jaka od rana mi się nasunęła. Tylko jego śmierć mogła mnie wyzwolić.

– Dlaczego wszyscy znani mi ludzie z branży reklamowej marzą o tym, żeby dokądś się wyrwać? – spytałem. – Każdy chce własnymi rękami zbudować sobie szkuner i popłynąć na

Morze Tasmana. Znam tekściarza z agencji Creighton Insko Dale. Kiedyś przy lunchu aż się rozplakał.

– A ja uwielbiam ten fach – odparł ojciec. – To walka na śmierć i życie. Podwórkowa gra w kości o sześć milionów dolców. Gdzie indziej ktoś taki jak ja zarobiłby tyle co ja teraz? Mam w sam raz odpowiedni wizerunek do tej branży. Wiesz to nie gorzej ode mnie. Na Wall Street dostałbym kopa w dupę. Ale w tym wieku już nie muszę się martwić o pieniądze. Ostatnio czytam Tołstoja. Każdemu się zdaje, że nosi w sobie powieść. Czuje, że ma ją prawie gotową, no i jeszcze kochankę z Eurazji. Przy Tołstoju przychodzi mi ochota na pisanie powieści. Twoja matka często chorowała, ale miała coś, do czego daleko tym dzisiejszym zdirom. Moja sekretarka? Maxine? Ma mydło za paznokciami. Patrząc na jej paznokcie i w siedmiu przypadkach na osiem widzę

kawałeczki mydła. Porównaj ją ze swoją matką. W moim wieku człowiek stwierdza, że w życiu popełniał same błędy. Kimkolwiek jest, jego dotychczasowe życie było jedną wielką pomyłką. Może przejdę na katolicyzm.

– Nie wiedziałem, że miałeś takie pomysły – wtrąciłem.

– W katolicyzmie coś jest – powiedział ojciec do własnego łokcia. – Sporo ostatnio czytam. Wiesz, gdzie jest katolicki kościół w Old Holly, ten pod wezwaniem Świętych Kości czy czegoś tam? Kiedyś wieczorem zadzwoniłem do ichniego głównego pastora, znaczy księdza, i ciekawie sobie pogadaliśmy. Diabelnie sympatyczny gość. Wiedział, kim jestem. Objął mi, o co chodzi z tą całą duszą ludzką. Otóż ona trwa w transcendentnym związku z ciałem. Przesyca ciało. A kiedy się od niego odłącza, uświadamia

sobie własną esencję. Po śmierci Bóg może duszę bezpośrednio oświecić. Posłałem temu księdzu skrzynkę czerwonego johnnie walkera.

– Która godzina? – spytałem.

– Racja, muszę się zbierać. Słuchaj, brachu, spróbuj się czegoś wywiedzieć o Stennisie. Sprawdź, ile zarabia.

Znów padał śnieg, więc ludzie chodzili ze spuszczoneymi głowami, przytrzymując czapki i kapelusze, zmagając się z wiatrem. Przeszedłem przez szeroki szary hol. W najdalszym kącie urządzono wystawę fotografii z wojny, nagrodzonych w konkursie. Wisiało wśród nich kolorowe powiększenie w ogromnym formacie, wysokie na ponad trzy metry i prawie na siedem szerokie. W środku kadru była kobieta z martwym dzieckiem w ramionach, a za nią i po bokach jeszcze ośmioro dzieci. Niektóre patrzyły na

kobietę, inne uśmiechały się i machały rękami, pewnie do obiektywu. Pośrodku holu jakiś młody facet przyklęknął, żeby sfotografować zdjęcie. Przystanąłem za nim i przeżyłem coś niezapomnianego. Czas i odległość przestały istnieć, a mnie się wydało, że dzieci uśmiechają się i machają właśnie do tego młodego fotografa. Aparat fotograficzny ma taki prestiż, bez mała religijny autorytet i hipnotyczną moc wymuszania szacunku zarówno od osoby fotografowanej, jak i od postronnego widza, że ani drgnąłem, póki ten młody nie nacisnął spustu migawki. Tak jakbym się bał, że mój najlżejszy ruch rozproszy uwagę któregoś z tych obandażowanych dzieci i popsuje zdjęcie.

Poszedłem dalej holem. Kilka metrów przede mną szło trzech pracowników sieci, otupując śnieg z butów. Wtem z jednej z wind wysiadł Weede Denney i z tym swoim japońskim uśmiechem ruszył

w naszą stronę, z kapeluszem w jednej ręce, z walizką w drugiej. Podszedłem do tamtych trzech i też zacząłem tupać.

– Panowie.

– Weede.

– Weede.

– Weede.

– Weede.

Winda jechało dziewięć czy dziesięć osób. Wszyscy milczeli. Z głośników leciała kolęda. Kiedy dojechaliśmy na dziewiętnaste piętro, wyjąłem z małego blaszanego uchwyty telefon alarmowy, ale nie miałem pomysłu na żadną śmieszna odzywkę, więc wsunąłem go z powrotem w uchwyt. Binky nie siedziała za swoim biurkiem. Wszedłem do gabinetu i zadzwoniłem pod wewnętrzny Tany Elkbridge. Była to sekretarka z działu wiadomości, od siedmiu lat mężatka. Już

miesiąc z nią romansowałem. Zaczęło się na przyjęciu, na którym spytała mnie, czy nie przeczytałbym paru jej krótkich utworów. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Krótkie utwory okazały się kawałkami prozy poetyckiej, jakie piszą uczennice szkoły pielęgniarskiej, póki nie zobaczą pierwszej amputacji. Tana była śniada, ciemnowłosa, wspaniale zbudowana i nosiła warkocze. Słuchawkę podniósł jej szef, więc natychmiast odłożyłem. Odkąd zacząłem pracować w sieci, zrobiłem tak kilkanaście razy. Jest to upokarzające doświadczenie, ale kiedy się romansuje z mężatką albo samemu ma się żonę, lepiej nie ryzykować. Szef Tany był szczupłym nerwusem, a ja bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić jego irytację, niepohamowany bunt wynędzniałej twarzy, gdy słuchawka nieprzyjaźnie kliknęła mu prosto w ucho. Nie sprawiło mi to najmniejszej przyjemności. Wszedł Quincy,

zamknął za sobą drzwi, wolnym krokiem przemierzył gabinet i złożył obfity pośladek na rogu biurka. Górna część uda spłaszczyła mu się i rozpełzła niby jakiś organizm rodem z fantastyki naukowej, złowrogo pulsujący w zapomnianym kącie laboratorium.

– Czy to Weede był u ciebie tuż przed lunchem?

– Nie.

– Właśnie że Weede – powiedział Quincy. – Słuchaj, po co on leci na wybrzeże? Ludzie zwykle nie wyjeżdżają służbowo przed samą Gwiazdką. Musi tam mieć jakąś ważną sprawę. Mówił ci coś o tym?

– Powiedziałbym ci, Quincy, gdybym tylko mógł. Ale to ściśle tajne.

– Daj spokój, Dave. Od jak dawna się znamy? Razem pięliśmy się pod górę. Ile razy widziałeś moją żonę gołą?

– Nie mogę pisać ani słowa.

– Powiedz chociaż, czy on zabiera Kitty? Nie mieści mi się w głowie, że mógłby na święta zostawić żonę samą. Nie wyobrażam sobie aż tak ważnej sprawy.

– Mają problemy małżeńskie – oświadczyłem.

– Mnóstwo się tu dzieje. Tuż przed lunchem sięgnąłem po telefon i usłyszałem głosy. Widocznie coś się sprzęgło na łączach. Walter Faye rozmawiał z kimś, kogo nie rozpoznałem. Podawał mu pensje wszystkich ludzi z działu Weede'a. Reeves Chubb zarabia więcej od nas.

Quincy miał w swoim gabinecie pomarańczowe drzwi i ciemnoszarą kanapę. Niektórzy ludzie z działu Weede'a mieli drzwi w tym samym kolorze, co ten czy ów kolega, ale kanapy w innym. A znów inni mieli identyczne kanapy, ale drzwi już nie. Tylko Weede miał czerwoną kanapę.

Tylko on i Ted Warburton mieli czarne drzwi. Kanapa Warburtona była koloru ciemnozielonego, tak jak drzwi Marsa Tylera. Ale Mars Tyler miał kanapę w kolorze écru, o ton jaśniejszą niż drzwi Grove'a Palmera. Spisałem sobie to wszystko na kartce. Był czas, że w leniwe popołudnia analizowałem te notatki, szukając prawidłowości. Przypuszczałem, że może istnieć jakiś subtelny kod kolorów, ułożony przez dyrekcję według zarobków i umiejętności, a także prawdopodobieństwa awansu lub degradacji poszczególnych pracowników. Dlaczego żaden zestaw barw kanapy i drzwi się nie powtarzał? Czemu Tedowi Warburtonowi pozwolono pomalować drzwi na czarno, skoro prócz niego miał takie tylko Weede Denney? Dlaczego tylko Reeves Chubb miał kanapę w kolorze pierwiosnkowym? Czemu Paulowi Joynerowi na miejsce całkiem dobrej kanapy bordo wstawiono do gabinetu

ciemnolazurową? Dlaczego moja była w kolorze drzwi Weede'a? Inni też zadawali sobie te pytania. Kiedy Paul Joyner zastał pewnego dnia w swoim gabinecie nową kanapę, natychmiast puścił w obieg plotkę, że czeka go zwolnienie. Ale ten incydent z kanapą zdarzył się dwa lata temu, a pogłoski, jakoby Paul miał wylecieć z pracy, odżyły dopiero niedawno i nigdy się nie wyjaśniło, co właściwie dało im początek. A Paula w końcu nie wylano. Niełatwo było znaleźć w tym wszystkim jakąś prawidłowość. Związki przyczynowe wydawały się wątle, ale nie wątpiłem, że istnieją. Już kilkanaście razy wyjmowałem tę kartkę ze swojego prywatnego archiwum i próbowałem skorelować pozycję każdego pracownika z kolorem jego drzwi i kanapy. Musiał istnieć jakiś klucz. Gdybym tylko zdołał go znaleźć! Pytanie, co bym wtedy zrobił, nie spędzało mi snu z powiek. Coś bym zrobił,

i tyle. Coś bym zmienił. Mógłbym się zabezpieczyć. Znałbym rozwiązanie zagadki.

– Zjadłem lunch w meksykańskiej knajpie – powiedział Quincy. – Za pięć minut mam być na zebraniu u tego skurwysyna Livingstona. Powąchaj, czy bardzo zionę, co?

Pochylił się w moją stronę i chuchnął.

– W porządku – stwierdziłem. – Płatki róż.

– Po porcji tacos człowiek zionie jak smok.

Dwa razy umyłem zęby.

– Dobra – powiedziałem. – A teraz ty sprawdź mój chuch.

Quincy znów się pochylił.

– Nie ma sprawy – orzekł. – Najłżejszych poszlak.

Obaj kłamaliśmy. Pół godziny później wróciła Binky, powiesiła płaszcz za drzwiami i natychmiast wyszła. Zadzwoiłem pod jej

wewnętrzny.

– Tu Lister.

– Witaj z powrotem w folwarku zwierzęcym – powiedziałem. – Jesteś na mnie zła? Zobaczysz, co ci dam na Gwiazdkę. W życiu nie miałem lepszej sekretarki. Daję słowo i szczam do rowu.

– Po co to wszystko było? – spytała. – Nie rozumiałam, co ty w ogóle kombinujesz. Wyszłam i urąbałam się paroma krwawymi mary.

– Przepraszam, Bink. Jestem ostatnio spięty i dokucza mi neuralgia. Naprawdę. Pracuję tu już siedem lat. Człowiek w końcu ma dość. Przyjdź do mnie na chwilę.

– Nie.

– Prócz ciebie nie mam tu żadnych przyjaciół.

– Opowiedziałam Jody, co zaszło. Ona uważa, że ci odbija.

– Mój płaszcz z twoim, Binky. Wiszą razem za

drzwiami. Rany gorzkie, dobrze jest wiedzieć, że nasze niedźwiedzie szuby tulą się do siebie w mroku. Kotku, wpadniesz do mnie chociaż na mały chlup? Ostatnio czytam irlandzkich dramaturgów. No chodź, Bink.

– Nie.

– O Jezusie, Binky. Ta twoja zaiste urokliwa łydka. I maleńka tajemna grota pod kolanem.

– Niech cię szlag, David.

Chciałem wrócić do domu i się przespać, ale niebezpiecznie było wychodzić o tak wczesnej porze. Weede wprawdzie już wyszedł, lecz pani Kling wciąż siedziała w biurze, a pod nieobecność szefa miała zwyczaj przeprowadzać naloty. Zamknąłem drzwi. Wyjąłem z szafki ukrytą tam butelkę cutty sark, nalałem pół szklanki i wypilem czterema łykami, bez rozcieńczania. Ugniotłem z kartki papieru twardą kulkę i rzuciłem nią

w stronę kosza na śmieci. Dwa punkty. Wyjąłem kulkę z kosza i zacząłem trenować strzały hakiem. Wolno sunąłem po dywanie krokiem, jakim dawniej poruszali się biali komedianti ucharakteryzowani na Murzynów. Rytmicznie kiwałem prawą ręką, jakbym kozłował, i wydychałem przez nos, synchronizując oddech z dryblingiem, aż wreszcie podniosłem prawą nogę i odwrócony plecami do kosza lekko odchyliłem lewą rękę, żeby złapać równowagę, a prawą machnąłem nad głową i strzeliłem z pięciu metrów.

– Fru! – powiedziałem.

Przez jakiś czas dla odmiany ćwiczyłem rzuty osobiste, a potem haki z lewej i wreszcie tę oszałamiająco zawiłą kombinację własnego pomysłu: strzał z wyskoku z obrotem i podwójnym zwodem głową. W klasztornym wnętrzu gabinetu

rozgrywałem swój bezszelestny mecz. Nie czułem ani odrobiny chłopięcego rozbawienia. Wręcz przeciwnie: grałem serio, aż mi przy każdym strzale z wysoko fruwał krawat, a pod pachami wykwitwały plamy potu. Nikt nie wiedział o tych moich meczach koszykówki, nawet Binky. W podstawówce byłem najlepszym snajperem w drużynie; najlepszym w strzelaniu, najgorszym w asystach. Od tamtej pory stale mi towarzyszył ten sport: bursztynowy połysk parkietów w salach gimnastycznych, pisk gumowych podeszew, tłumy widzów, a po latach na przyjęciach czasem obracałem w palcach fistaszek, wpatrując się w dalekie akwarium. Zawsze uważałem, że koszykówka jest najbardziej amerykańskim, małomiasteczkowym sportem: dwaj chłopcy na podjeździe przed domem i deska, do której tata jednego z nich przybił obręcz. A teraz skoczyłem, posłałem piłkę i spudłowałem. Podniosłem

papierową kulkę, cofnąłem się o trzy metry, przymierzając się do łatwego rzutu jedną ręką, i znowu nie trafiłem. Sześć razy chybiałem z tej samej odległości. Zadzwoił telefon, a ja strzeliłem, ale znowu niecelnie. Wiedziałem, że nie podniosę słuchawki, póki mi się nie uda to skądinąd łatwe trafienie. Strzeliłem jeszcze dwa razy, zlany potem: dwukrotne pudło. Podniosłem piłeczkę, klnąc ją w żywy kamień. Telefon umilkł, a ja pomyślałem, że pewnie Binky odebrała u siebie. Wróciłem dokładnie w to samo miejsce, z którego przedtem rzucałem. Tym razem strzał był celny. Postąłem jeszcze chwilę, drżąc na całym ciele, a później podszedłem do kanapy i osunąłem się na nią. Otworzyły się drzwi i weszła Binky.

– Znowu dzwonił Warren Biddle – oznajmiła. –
Dlaczego nie odebrałeś? Fatalnie wyglądasz.

– Powąchaj mój chuch.

– Śmierdzi.

– Wiedziałem. A to skurwiel z tego Quincy’ego.

– Pan Biddle kazał ci powiedzieć, że nie dzwonił.

– Jak to?

– Taką zostawił wiadomość. Nie dzwonił, ale oddzwoni.

– Chyba się jeszcze napiję – oświadczyłem. – Ty też?

– A co masz?

– Szkocką.

– Na popitkę po krwawych mary?

– Nie wybrzydzaj. Żyjemy w czasach gorączkowego hedonizmu. Innymi słowy, nie wiesz, że trwa wojna?

Wyjąłem z szafki jeszcze jedną szklankę i wydmuchnąłem z niej kurz, jak Sterling Hayden

z kaburą pod pachą, przyczajony w tanim hotelu. Nalałem do obu szklanek.

– Raczej nie dam rady wypić czystej, David.

– W karafce jest jeszcze chyba trochę wody z kijankami.

– To ja może zamknę drzwi – powiedziała Binky.

Piliśmy w milczeniu. W gabinecie było bardzo ciepło, a po oknie co pewien czas spływał śnieg z deszczem. Spodziewałem się, że lada chwila wejdzie pani Kling. Wyobrażałem sobie, jak siedzi w gabinecie Weede'a i ogląda telewizję, z papierosem dokładnie pośrodku ust, z rozkraczonymi nogami i splecionymi na brzuchu dłońmi. Przed kilkoma laty w trakcie biurowego przyjęcia zaszedłem do gabinetu Waltera Faye'a, znęcony pogłoskami o striptizie i zbytkach, i zastałem tam panią Kling: zupełnie sama

i nieświadoma mojej obecności stała jak skamieniała, bez butów i bluzki, opancerzona, niczym bankowy skarbiec, stanikiem prawie od szyi do pępka, z lewą stopą wysuniętą naprzód, z podniesionymi pięściami (lewa osłaniała twarz, a prawa znieruchomiła nieco niżej), w klasycznej pozie rozrabiaków z nabrzeża w Queensberry. Była to jedna z tych chwil, których umysł przenigdy nie zdołał sobie wytłumaczyć – podwodny epizod, przechylony i zniekształcony porywem głębi. Po dłuższym czasie pani Kling wróciła na przyjęcie, włożywszy buty i bluzkę. I nagle – jakby chciała dać dowód znakomitego działania swojego układu trawiennego, jego umiejętności mielenia i rozkwaszania – obhaftowała cały zaśmiecony blat biurka, tworząc w ten sposób legendę, a zarazem pomnik tej legendy, Biurko imienia Thelmy Kling.

Binky zwinęła się w kłębek na kanapie

i zasnęła, a z ust nieregularną falą wydobywało jej się dziecinne pochrapywanie. Dopilem do dna i stwierdziłem, że butelka jest pusta. Przez chwilę całkiem serio myślałem, żeby zdjąć z siebie całe ubranie, a potem rozebrać i sekretarkę. Zamiast tego zdjąłem z wieszaka jej płaszcz i ją przykryłem. Wprawdzie zdawałem sobie sprawę, że pokój jest dobrze ogrzany, ale czułem przemożną chęć okazania tkliwości, choćby w ten banalny sposób. Zadzwoił telefon.

– Siemasz, mądralo. Byłem ostatnio w Hollywood. Wjechałem autem prosto w palmę i spadło z niej dwunastu facetów. Wszyscy wyglądali jak twoje sobowtóry. Bufetowi Normana Rockwella.

– Cześć, Warren.

– Kiedy dzwoniłem poprzednim razem, twoja sekretarka powiedziała, że siedzisz u siebie

w gabinecie i popełniasz samobójstwo. Zatelefonowałem jeszcze raz, mając nadzieję, że będę ostatnim człowiekiem, który porozmawia z tobą, zanim umrzesz. Warren Biddle, kontrowersyjna osobowość radiowa, zapewne jako ostatni rozmawiał z popularnym dyrektorem z telewizji. Pan Biddle oświadczył, że dwudziestoosmioletni Bell rozpaczał po stracie swojej starej rękawicy do bejsbolu. Nieboszczyk wyraźnie przypominał fizjonomią kilku hollywoodzkich gwiazdorów, znanych z tego, że niczym się od siebie nie różnią. Jego ciało zostanie wysłane ekspresem lotniczym na Zachodnie Wybrzeże, gdzie być może wystąpi w nowej produkcji filmowej opartej na dziejach blokady Leningradu.

– Mówisz tym co zawsze chorobliwie radosnym tonem – odparłem.

– Dzwonię, żeby cię zaprosić na swój ślub. Jeżeli wszystko pójdzie po staremu, miesiąc miodowy będzie istnym festiwalem przedwczesnych wytrysków.

Warren Biddle miał własny program w lokalnej radiostacji, nadawany od drugiej do piątej rano, pod tytułem *Śmierć czyha tuż za rogiem*. Słuchałem go przynajmniej we fragmentach prawie sto razy i nigdy nie słyszałem, żeby Warren jakoś wyraźnie się powtórzył. Nie zapraszał gości, nie puszczał płyt i nie czytał żadnych wiadomości prócz tych, które sam zmyślił. Audycja miała dziesięciu czy dwunastu stałych sponsorów i wielu sporadycznych, takich jak chirurdzy od przeszczepiania włosów, producenci sztucznych kończyn, salony przekłuwania uszu, pewien metafizyk z Long Island City, iluminator rękopisów i zwojów oraz kilka hodowli psów. Sponsorzy przeważnie sami pisali teksty reklam, a Warren

zwykle czytał je z uczuciem, które można jedynie określić jako frenetycznie wzmagający się orgazm. Reklamował także nieistniejące wyroby. Codziennie nad ranem, prócz poniedziałku, gadał przez bite trzy godziny, czasem z klasą, humorem i widoczną inteligencją, kiedy indziej ze skatologiczną uciechą, a niekiedy z goryczą człowieka autentycznie zrozpaczonego, który użala się nad sobą. Moim zdaniem był genialny, ale kompletnie nieodpowiedzialny, a jego słuchaczy niełatwo dałoby się opisać. *Śmierć* miała sporo zwolenników wśród rozmaitych odlotowców i zapewne przyciągała większość miejscowych neonazistów, transseksualistów, podróżników międzyplanetarnych, koprofilów, kolekcjonerów batów i łańcuchów, astralnych wizjonerów, krwiopijców i pracowników zakładów pogrzebowych: wszelkiego rodzaju kofeinowe fusy, wytwory stulecia ogólnonarodowej

bezsenności. Warren często świntuszył, na przemian prostacko i surrealistycznie, ale Federalna Komisja Łączności jakoś nigdy nie zajęła stanowiska w tej sprawie: może żaden z jej członków nie słuchał tego programu, a może uznali, że przyszła wreszcie pora, by za sprawą elektrycznej transmisji wpuścić do milczących amerykańskich sypialń trochę seksosłowa. Warren dla niektórych był oczywiście prorokiem, dla innych zagrożeniem. Nie podbechtywał jednych ani drugich. Nie podsycił też poczucia jedności i wspólnego celu, tego podziemnego zbratania, które niewątpliwie przenikało słuchaczy. Twierdził, że zanadto trąci to masonerią. Karierę zaczął przed wieloma laty od prowadzenia telewizyjnej pogodynki w Los Angeles. Zdobył taśmę z nagraniem programu, który okazał się ostatnim z serii, i pewnego wieczoru wyświetlił mi ją w salce projekcyjnej w gmachu sieci.

Najbardziej zapamiętałem jego spojrzenie, uporczywie świdrujące, jakby próbował wwiercić się w nieprzystępną otchłań, dobrze znaną każdemu, komu zdarzyło się stanąć przed kamerą w małym studiu. Udało mu się mówić prawie przez minutę, zanim ktoś się obudził i go wyłączył. Na początek Warren oświadczył, że w Los Angeles nie ma i nigdy nie było żadnej pogody. Prawdziwa pogoda trwa w nas samych, a rzeczywistą prognozę od lat zataja się przed ogółem społeczeństwa. Tymczasem należałoby zapowiedzieć burze jak podświadomość długa i szeroka. Trzymetrowe zaspasy na peryferiach duszy. Najpóźniej o północy do podmiejskiej psyche powinny dotrzeć huraganowe wiatry. Na głównych lotniskach id wstrzymuje się lądowania i starty. Potem Warren chwilę postępował, śpiewając: „Hej, rummy-rummy, weź wyjeb świnie z gumy”. Od tamtej pory wiele się w jego życiu

zmieniło. Rocznie zarabiał w sumie prawie sto tysięcy. Kilka czasopism o ogólnokrajowym zasięgu poświęciło mu osobne artykuły. Występował gościnnie w wielu telewizyjnych dyskusjach. Napisał szmatławą książkę, żeby odciąć kupon od nazwiska. Przez osiem lat uczył się u jezuitów, więc umiał podchodzić do swoich pieniędzy, sławy i czterech byłych żon z mieszanią beznamiętnego dowcipu, głębokiego zatroskania i monumentalnego tomistycznego przeświadczenia, że za tym wszystkim kryje się jakaś boska logika.

– Nie mów, że znowu – powiedziałem.

– Tym razem to już na serio, mądralo. Ona ma różowe cyce jak z Renoira i umie gotować. Ale obawiam się, że w jej kroczu straszy duch Joanny d’Arc, tej dętej małej sufrażystki. Na miodowy miesiąc jedziemy do Dublina, co może się

wydawać poronionym pomysłem, ale zawsze chciałem zrobić coś w tym stylu.

– Kiedy ślub? Za nic w świecie nie chciałbym go przegapić.

– W czasie jej przerwy obiadowej – powiedział Warren. – Wtorek, południe, gmach Sądu Najwyższego. Ona jest pomocą dentystyczną. Czyści pacjentowi zęby, nim doktor Dachau zacznie je obrabiać tymi swoimi dyndającymi przyrządami do zadawania bólu. Będzie musiała wrócić do gabinetu najpóźniej pół do drugiej, ale nazajutrz zaczyna tygodniowy urlop, więc mogę ją zabrać do starego Dublina i udawać, że to Molly Bloom, jedyna kobieta, z którą kiedykolwiek szczerze pragnąłem zrobić nożyce. W moim życiu fantazje biorą górę nad rzeczywistością.

– Warren, czy ja dobrze pamiętam, że już trzeci raz żenisz się z pomocą dentystyczną?

– Drugi – sprostował. – Ta, o której myślisz, była radiolożką. Parę razy próbowała mi unieszkodliwić gonady. Czyli do wtorku.

Przeczytałem dwie strony scenariusza o topnieniu pokrywy lodowej na biegunach i zadzwoniłem do ojca. Sekretarka powiedziała, że za minutę będzie mógł ze mną porozmawiać. Spróbowałem sobie wyobrazić mydło za jej paznokciami.

– Siemasz, koleżko. Co nowego?

– Stennis zarabia czterdzieści pięć – oznajmiłem.

– Tylko tyle? Jesteś pewien?

– Wiem z nieposzlakowanie wiarygodnego źródła.

– Bóg z tobą, brachu.

Po kilku minutach zadzwonił telefon. Kiedy podnosiłem słuchawkę, Binky zmieniła pozycję,

tak że płaszcz zsunął się na podłogę, a spódnica z miłym „ćśśś!” podjechała w górę, wdzięcznie owijając się wokół ud. Telefon wciąż gdakał, więc przygląnąłem uchem do słuchawki.

– David Bell z tej strony, w telewizji zatrudniony.

– Dlaczego nie oddzwoniłeś, David? Przyjdiesz dziś wieczór, prawda?

– Co chcesz na Gwiazdkę, Wendy?

– Przez telefon ci nie powiem. Ale gdybyś tu teraz był, kochanie...

– Samotność ci doskwiera, i tyle – odparłem.

– Pamiętasz studenckie czasy, David? Prawda, że były szalone? Jesteś jednym z moich najdawniejszych i najdroższych przyjaciół. Proszę, przyjdź do mnie dzisiaj na kolację. Możesz wyjść przed wszystkimi, jeżeli zechcesz. Masz jeszcze swojego thunderbirda i te niesamowite wiersze,

które wtedy pisałeś? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ciężko to przeżyłam, kiedy w zeszłym roku pojawiłeś się z żoną. Słuchaj, muszę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Słuchasz? Dostałam dziś pocztówkę od swojego byłego faceta. Nie uwierzyłbyś, jakbym ci powiedziała, dokąd pojechał na urlop.

W ustniku słuchawki było trzydzieści sześć dziurek tworzących trzy koncentryczne kręgi złożone z sześciu, dwunastu i osiemnastu otworków. W drugiej tarczy było ich tylko sześć. Różnica wydała mi się znamienna, chociaż nie bardzo wiedziałem dlaczego. Mój wzrok spoczywał na dziewczynie, która spała na kanapie, podczas gdy usta i ucho zajęte były ustami i uchem Wendy Judd. Czułem, że słuchawka mnie wciąga i tylko moje oczy opierają się świszczącemu ssaniu tunelu z czterdziestoma dwiema dziurkami na końcu. Usta Wendy, ogromne

i rozgorączkowane, płonęły tuż przy moim uchu. Słuchając jej, położyłem dłoń na własnym udzie w miejscu odpowiadającym obszarowi, w którym przed chwilą utkwilem wzrok – poniżej rąbka spódnicy Binky. Moje zmysły tak jakby się rozbiegały: oczy i ręka zawarły przymierze, natomiast usta i uszy zapadały się w słuchawkę, przyciągane nagłym głosem i obrazem, którego nie umiałem przywołać wyobraźnią. I nagle we wściekłym, dziwnym podnieceniu przesunąłem dłoń po własnym podbrzuszu i wykonałem coś w rodzaju szalonego tańca lędźwi, nie ruszając się z krzesła, nie odrywając wzroku od tej ziemio-morskiej kompozycji z sukienki i nogi, nie opierając się powabowi tunelu słuchawki, w której mieszkała Wendy, niewyobrażalnie ponętna, triumf ust i ucha. Zdemontowane słowa ucieleśniały się w mojej sekretarce, ukazując mi scenę z drugiego końca drutu, której bez jej

pomocy nie zdołałbym ujrzeć. Zamknąłem oczy, czując, że to wszystko mnie przerasta, za dużo wciąga, i przerwałem Wendy w pół zdania, wiedząc, że nie będzie miała mi za złe tej nieuprzejmości.

– Przyjdę – obiecałem.

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast zadzwoniłem do Sullivan. Odebrała po siódmym dzwonku. Poczułem raptowny chłód, bezkresne białe milczenie śmiertelnego łoża mojej matki, wosk świec i płótno, jej ogromne oczy, płytki nieświeży oddech. Jej ciało pod kocem było już prawie tylko popiołem, okruchami kości; ręce miała suche jak chrust. Ze śmiercią było jej do twarzy, okropnie do twarzy, a kiedy zadźwięczały dzwonki furgonetki z lodami, o mało nie parsknąłem śmiechem. Amerykański rydwan przybył z niebios zabrać moją matkę do pałacu

dwudziestu ośmiu smaków, pod znany każdemu pomarańczowy dach. Mało brakowało, a byłbym się roześmiał, ale jakoś się powstrzymałem. A potem wtargnął chłód i matka umarła.

– Muszę się stąd wyrwać, Sully.

– David?

– Już nie panuję nad drzwiami. Słowa wlatują i wylatują na wietrze. Doskonale je słyszę, zdumiewająco wyraźnie, ale nie mogę uwierzyć, że wydobywają się z moich ust. Chyba już pora wyjechać.

– Wiesz, że podróż niczego nie rozwiąże. Druty telegraficzne łączą miasta i tyle. Te odległości tylko zamącą ci w głowie.

– Niedawno jadłem lunch ze znajomym. Rozplakał się. Chciał zbudować jacht i popłynąć na Tasmanię. Wyśmiałem go. Po tygodniu dostał wylewu krwi do mózgu. Niczego się nie uczymy ze

stereotypów, które nas otaczają. Nawet tego, że wszyscy jesteśmy identyczni.

– Wiem, jaki masz problem. Nie przyjaźnisz się z żadnymi Żydami. Może byś do mnie wpadł dziś wieczór? Mam coś nowego na warsztacie. Chciałabym ci pokazać.

– Przyjdę – obiecałem.

Rozłączyłem się. Drzwi uchyliły się, ukazując skondensowaną postać pani Kling, szeroką na piętnaście centymetrów, bez rąk i bez bioder. Nie wiedziałem, czy ona widzi przez ledwo uchylone drzwi, że Binky leży na kanapie.

– Ktoś wziął mój zszywacz – powiedziała. – Kiedy szłam do gabinetu pana Denneya, leżał na moim biurku. A teraz znikł. Służył mi dziewięć lat. Ma pod spodem przyklejone skoczem moje nazwisko. Ostrzegam wszystkich po kolei, że jeżeli nie wróci na moje biurko najpóźniej

w poniedziałek o dziewiątej rano, to będzie afera. Czyli macie cały weekend do namysłu.

– Wziął go Reeves Chubb. Widziałem, jak brał.

– Kłamiesz. Nie myśl, że nie wiem, jakie z was kłamliwe towarzyszo. Co ona robi na twojej kanapie z odsłoniętymi nogami?

– Miewa czasem takie lekkie ataki – wyjaśniłem. – Łagodna postać cukrzycy. Nie ma czym się przejmować, pani K.

– Widzę gołe ciało powyżej jej pończoch. Dlaczego trzymasz ręce pod biurkiem?

– Tylko sobie obskubywałem skórki z palców. Wie pani, czasem się zahaczają u nasady paznokci. A przed chwilą żartowałem, że Reeves wziął pani zszywacz. Naprawdę podwędził go Walter Faye. Podobają mi się pani buty, pani K. Nie wiedziałem, że doktor Scholl zawiązał spółkę z Waltem Disneyem.

Kiedy wyszła, zadzwoniłem pod wewnętrzny Teda Warburtona.

– Tu Warburton.

– Cześć, Ted. Mówi Dave Bell. Chciałem tylko powiedzieć, że podobała mi się twoja ocena Chipa Moerdlera. To wielka satysfakcja, zyskać poparcie człowieka twojego formatu. Kim powiedziałeś, że on jest? Żałosnym pawianem?

– Piramidalnym ignorantem.

– Wspaniale to ująłeś.

– Zmartwiła mnie wiadomość, że twój program spada z ramówki. Miał wprowadzić pewne wady, ale należał do nielicznych, które starałem się oglądać. Nie bądź rozczarowany, Dave. Jesteś młody i zdolny. Idziesz jak burza. Ludzie dobrze o tobie mówią.

– Takie słowa z twoich ust brzmią doprawdy zachęcająco, Ted.

– Nie sądzę, żebyś potrzebował zachęty, zwłaszcza od takiego starego gawrona jak ja.

– Ile lat już tu mieszkasz, Ted? Od dawna mam ochotę cię o to spytać.

– Od pięćdziesiątego pierwszego – powiedział.

– Zawsze miałem nadzieję, że po przejściu na emeryturę wrócę do Anglii. Ale za kilka miesięcy pewnie umrę. Wiesz, moja żona jest Amerykanką.

– Nie wiedziałem.

– Musisz do nas przyjść kiedyś na kolację. Nie mogliśmy mieć dzieci.

– Ted, chcę cię spytać jeszcze o jedno. Czytałeś najnowsze dzieło Szalonego Okólnikarza? Ten cytat ze świętego Augustyna? Zresztą dla mnie on nie jest Szalonym Okólnikarzem. Mówię o nim „Trocki”. Jakoś mi to do niego pasuje.

– Trocki – powtórzył Warburton. – Dobrze. Podoba mi się.

– Chciałem cię spytać, czy mógłbyś mi wyłożyć sens tego akurat cytatu. Nie wyobrażam sobie, żeby w tym gmachu ktoś oprócz ciebie potrafił go objaśnić.

– Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

– O ten cytat ze świętego Augustyna. „I nigdy nie będzie człek w śmierci tak beznadziejnie pogrążon jak wtedy, gdy sama śmierć nieśmiertelną się stanie”. Nauczyłem się go na pamięć. Przytłacza mnie. Sam nie wiem, dlaczego zupełnie mnie powala. Wręcz nokautuje.

– To dosyć zabójcza sentencja, prawda? Ale nie rozumiem, dlaczego właśnie ja miałbym umieć ci ją wytłumaczyć. Należę do ludzi, którzy dla odprężenia umysłu bawią się anagramami. Teologia to niezupełnie mój poziom.

– Nieskończone Chiny – powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Wyrecytowałeś ten fragment z Kafki dla zmylenia tropu. Patrzyłem, jaką masz minę. W coś z nimi grałeś.

– Weede to apodyktyczny jaszczur, a Reeves Chubb jest stracony bez ratunku. Ale ten pierwszy jest moim szefem, a drugi człowiekiem tak samo jak ja i ma prawo trwać w błogiej iluzji, że zachował przynajmniej godność. Ponieważ brzydzę się cudzymi kłamstwami i podstępami, staram się w miarę swoich malejących możliwości wyplenić z własnego repertuaru te szczególnie nędzne przywary. Nie, młodzieńcze, w nic z nikim nie grałem. Obawiam się, że mylnie odczytałeś wyraz mojej twarzy.

– Skoro tak, przepraszam cię, Ted. Okólnik skojarzył mi się z tym, co powiedziałaś o Chinach. Dopatrzyłem się pewnego związku.

– Pomyliłeś się. Nie jestem tym, za kogo mnie

uważasz. Usiłuję tylko robić, co do mnie należy, i jeżeli chcesz znać prawdę, idzie mi to z cholernym trudem. Te marudne telefony wcale mi nie ułatwiają zadania. Ludzie odruchowo do mnie dzwonią, ilekroć potrzebują odpowiedzi na jakieś infantylne pytanie albo brak im pytania, do którego chcą dopasować jakąś nieludzko głupią odpowiedź. Nie jestem bankiem. Nie jestem telefoniczną katarynką do odmawiania modlitw. A już z całą pewnością nie jestem biskupem Hippony.

– Przepraszam, Ted. Strasznie mi przykro. Wybacz.

– Nieustannie umieramy – ciągnął Warburton. – Zaczynamy umierać już w chwili narodzin. Wkrótce potem rzeczywiście umieramy. Na mocy mniej lub bardziej powszechnej umowy określa się to mianem śmierci. Z czasem następuje tak zwane

zmarłychwstanie ciała. Dusza łączy się z ciałem w stanie, który zdefiniowaliśmy jako śmierć. Lecz choć weszliśmy w ten stan, nie jesteśmy martwi, bo ciało i dusza znów są całe i zdrowe i nie ma innego wyjścia, jak tylko podjąć przerwany proces umierania. Czy też, jak kto woli, proces życia. Są to w gruncie rzeczy synonimy. A ponieważ proces umierania ciągnie się przez wieczność, nie można powiedzieć, że czekamy na śmierć. Nie spoglądamy też ku niej wstecz, a to z tego prostego powodu, że nie da się spojrzeć wstecz na coś, co nie jest gdzieś tam, tylko właśnie tu. W tym paradoksalnym, zbędnym i cokolwiek komicznym fragmencie Augustyn poprzez pozorny bełkot zmierza do tego, że śmierć jest nieśmiertelna, a człowiek wiecznie trwa w stanie śmierci. Oczywiście zawsze pozostaje możliwość, że wszystko to opacznie zrozumiałem. Zdobyłem klucz do powielarni. Po północy robię kopie i je

roznoszę. Jeżeli nie uda mi się uwinąć z tym do rana, resztę rozkładam na biurkach w czasie przerwy obiadowej, tak jak wczoraj. Działam szybko i ukradkiem. Oczywiście jestem poza wszelkim podejrzeniem.

Warburton odłożył słuchawkę. Jeszcze przez dłuższą chwilę trzymałem swoją przy uchu, jakbym się spodziewał, że jego głos powróci, zabębni i zakobzi, zagłuszając animistyczne buczenie w słuchawce. Potem odłożyłem ją na widełki i poszedłem się przejść. Wszystkie drzwi były pozamykane, a ja po kolei je otwierałem, idąc korytarzami. Jones Perkins klęczał na jednym kolanie z kijem golfowym w ręku i z dwóch metrów celował w dołek, którym był przewrócony tekturowy kubek. Walter Faye czytał swojej sekretarce *Kamasutrę*. Mars Tyler siedział za biurkiem i czyścił sobie zęby nicią dentystyczną. Reeves Chubb właśnie zmieniał koszulę. Richter

Janes i Grove Palmer rzucali ćwierćdolarówkami o ścianę. Quincy'emu Willetowi polerował buty pucybut na przychodne. Paul Joyner siedział na tej swojej ciemnoniebieskiej kanapie, bosy i w lotosie. Byłem jak kamera chwytająca dokumentalne migawki z życia codziennego w więzieniu, na lotniskowcu albo w psychiatryku dla niebezpiecznych przestępców. Phelps Lawrence już wyszedł, ale Ellen Quint, jego sekretarka, z czerwonymi oczami i rozwiązaną wstążką we włosach chodziła po gabinecie, który na zawsze opuścił. Carter Hemmings brzdąkał na gitarze. W biurze Chandlera Batesa nikogo nie było, a drzwi Teda Warburtona nie otworzyłem.

Wtem zobaczyłem, że zza rogu wychodzi Jennifer Fine, więc schowałem się w toalecie. Potem wróciłem do swojego biura, obudziłem Binky i kazałem jej iść do domu. O mało nie upadła, wkładając płaszcz, bo była urzęnięta

w trupa, na sztywno, więc musiałem ją odprowadzić do windy. Wracając, stanąłem przy biurku Jody Moore i pogadaliśmy o wycieczce do Indonezji, na którą się wybierała. Później włożyłem płaszcz, zjechałem windą i poszedłem do Wiadra na Bebechy. Barman Leon, student szkoły aktorskiej, przez pięć minut mnie ignorował, rozmawiając z dziewczyną, która miała opaskę na oku i garnitur w stylu lat czterdziestych. W końcu podszedł leniwym krokiem, oparł obie dłonie o bar i uraczył mnie tym swoim ironicznym kowbojskim uśmiechem Marlona Brando.

– To co zawsze – powiedziałem.

– Czyli?

– A, myślałem, że to Monty. Zwykle to on obsługuje ten koniec baru. Cutty sark z lodem. Cholernie tu ciemno.

– Cutty raz. Się robi.

Piłem drugiego drinka, kiedy weszło pięcioro czy sześcioro ludzi z sieci, śmiejąc się i tupiąc, wszyscy w rękawiczkach i szalikach, zaróżowieni. Mężczyźni podali mi rękę, a kobiety mnie ucałowały. Spędziliśmy tam jakieś dwie godziny, w płaszczach i gumowcach, stojąc w kałużach stopniałego śniegu. Postawiłem ostatnie trzy kolejki, a potem tamci sobie poszli, narzekając na pociągi i taksówki, przeklinając mężów, którzy czekali, aż ktoś im ugotuje kolację, żony i volkswageny, które już zajęły pod dworzec, chłopaków, którzy będą zazdrośni, ulubione zwierzaki, które na pewno już podrapały meble, krewnych, którzy mieli wkrótce przyjechać, godzinę, porę roku, epokę, wiek. Życzyłem im miłego weekendu. Wypiłem jeszcze jednego, sprowokowałem dziewczynę z opaską, żeby się do mnie uśmiechnęła, i wyszedłem, nie zostawiwszy napiwku.

Wendy Judd mieszkała po wschodniej stronie Manhattanu, kawałek na północ od Osiemdziesiątej Ulicy. Ta dzielnica zawsze przypominała mi ciągnące się bez końca skrzyżowanie sklepu spożywczego z apteką. Dom Wendy nazywał się Tarasowe Apartamenty Modiglianiego. Wymoczony w białym świetle jarzeniówek hol zdobiły lustra w złotych ramach i liniejące arrasy. Pośrodku fontanny pełnej niedopałków stała we wdzięcznej pozie kamienna najada, a z jej pępka ciekła zardzewiała woda. Mozaiki na ścianach przedstawiały Montmartre, Fort Lauderdale i Fudżijamę. Portier spytał mnie o nazwisko i zaanonsował przez domofon. W windzie wisiało drukowane obwieszczenie, że dla bezpieczeństwa i wygody lokatorów zainstalowano ukryte kamery we wszystkich windach, w pralni oraz w obu ogrodach rzeźb: Giacomettiego i Lipchitza. Poszedłem długim

korytarzem. Na drzwiach Wendy wisiał gwiazdkowy wieniec z przypiętą kartką: „To tótej”. Gospodyni wpuściła mnie, przelotnie cmoknąwszy tuż obok ust. Potem musiałem stać w drzwiach salonu, a ona po kolei wywoływała imiona pozostałych gości, dodając zgrabne biogramy. Kiwali głowami, kiedy ich przedstawiała. Jedna pani z promienną miną przedszkolaka uniosła rękę, a mężczyźni siedzący na kanapie i na krzesłach dźwigali zady jak niechętnie wszelkim przemeblowaniom fortepiany. Wendy wzięła ode mnie płaszcz.

– A to jest David Bell, jeden z moich byłych amantów – oznajmiła. – Prawda, dziewczyny, że niezły? Bach!

Jej mieszkanie zdobiły rewolucyjne plakaty z chińskimi napisami. Na półkach stali gładcy Buddowie brązowej maści, kilka lśniących

albumów z reprodukcjami sztuki Wschodu i parę miniaturowych mieczów samurajskich, które wyglądały jak akcesoria do popielniczek. Prócz Wendy i mnie w pokoju było czterech facetów i cztery kobiety. Nikt nie wydawał mi się piękny, przystojny ani utalentowany. Wyczułem straszliwą wrogość.

Usiadłem na kanapie obok dziewczyny z lewą nogą w gipsie.

– Co robisz w życiu? – spytała.

– Ja i McAndrew robimy razem różne rzeczy w Amherst.

– Mogłam słyszeć o tym facecie?

– Nie – odparłem.

– Jakbyś chciał wiedzieć, gdzie złamałam nogę, to ci powiem, że na nartach.

– Właśnie miałem spytać.

– Jesteś dobry w łóżku?

– Nawet jastrząb jest orłem wśród wron.

– Masz refleks. Nie będę cię więcej zaczepiać.

Masz za szybką ripostę. Próbowалаm cię wytrącić z równowagi, a ty odpowiedziałeś niesamowitym tekstem, pewnie z jakiegoś wspaniałego starego filmu z Randolphem Scottem w zielonym technikolorze. Gdzie zwykle pijesz? My wszyscy pijemy w Hau-hau na Drugiej Alei. Barman ma na imię Roone. Też ma niezły refleks. Czego to on nie wygaduje! Głowa mała. Ale z twarzy mi się nie podoba. Na najbliższe lato wynajęliśmy w kilka par dom na Fire Island. Zostało jeszcze miejsce na pół pary. Jeżeli cię interesuje, powiedz Barry'emu albo Spike'owi. Jednoosobowa miejscówka kosztuje sto sześćdziesiąt. No i dorzucasz się do jedzenia, alkoholu i nieoczekiwanych wydatków. Weź koc, bo noce są zimne. W tym roku wynajmujemy dom blisko morza, w drugim rzędzie

od wydm. Czy ty aby nie jesteś Skorpion?

Akurat wtedy wróciła do pokoju Wendy. Wysunęła krzesło na środek i usiadła jak berlińska piosenkarka w nocnym klubie z rozczarowanych lat dwudziestych.

– Tak się cieszę, że Davidowi udało się przyjść. Tylko David Bell może mnie uratować. Na studiach byliśmy kochankami. Jeździliśmy jego białym thunderbirdem na pustynię i rozbieraliśmy się do naga. Bach! Gdzie w Nowym Jorku można się tak wyluzować? W sierpniu wjechałam windą na samą górę, wyszłam w niebieskim bikini na taras i nie dali mi nawet zdjąć stanika. Jeden mój amant w Panama City miał oczy całkiem jak David. Niesamowite wrażenie. Ale poza tym był kompletnie odleciany. Niewiarygodny facet. Był jakimś agentem od bananów i miał świra na punkcie tarantul. Kiedyś w restauracji spytał, co

bym zrobiła, jakby mi spod jedzenia na talerzu nagle wylazła wielka włochata tarantula, bo w tej części świata trzeba być na coś takiego przygotowanym. Miałam paru odlecianych amantów. Antony Ambrose chciał mnie wysłać do pracy w SoHo, żebym robiła striptiz, bo mam takie piersi. Niewiarygodny facet, ten cały Antony. Kiedy ze sobą zerwaliśmy, powiedział „dzięki za mleczywo”.

Poszedłem do łazienki. Były tam książki, drzeworyty, stojak z czasopismami, dwa dywaniki i mały gong z brązu. Usiadłem na brzegu wanny i przekartkowałem jakiś artykuł o wojnie. Każdą stronę zdobiły kolorowe zdjęcia. Obok fotografii kilku wieśniaków bez głów była całostronicowa reklama nowego typu paska do pończoch. Prześliczna wysoka blondynka o różowawych włosach trzymała w ręku bicz na wielbłądy. Podpis zapewniał, że ten modniacki pas przylega

do ciała i jest dostępny w trzech milusińskich kolorach. Przewróciłem kartkę i zobaczyłem reklamę brandy. Kobieta w białej sukni wieczorowej, z panterą na smyczy, szła po trawniku przed rezydencją w Newport. Artykuł o wojnie zajmował koło piętnastu stron drobnym drukiem. Nagle zauważyłem, że w wannie roi się od karaluchów. Poszedłem do kuchni, a Wendy odwróciła się do mnie i rzuciliśmy się na siebie – ostro, żarłocznie, wciśnięci w kąt, a ja przez cały czas wspominałem, jak Binky spała na mojej kanapie.

Na kolację był kurczak z ryżem. Siedzieliśmy w salonie, z talerzami na kolanach, usiłując wyczytać nawzajem ze swoich chmurnych min jakiś przyczynek do rozwiązania własnego dylematu. Policzyłem kartki z życzeniami, które Wendy porozkładała po pokoju. Było ich sześćdziesiąt cztery.

– Masz w wannie karaluchy – powiedziałem.

– Niemożliwe – odparła Wendy z ustami wypchanymi ryżem, a ja byłem pewien, że całej naszej dziesiątce mignął przed oczami obraz zwawych czarnych stworków zagnieżdżonych w każdej miseczce ryżu.

– Próbowałem policzyć, ale było ich za dużo.

– To nowy dom. Nie uwierzyłbyś, jakie tu obowiązują przepisy sanitarne. Słuchajcie, Davidowi po prostu zebrało się na makabryczne żarty. Ma specyficzne poczucie humoru. Jedźcie i niczym się nie przejmujcie. Personel co tydzień szoruje i pucuje najnowocześniejszym sprzętem każdy centymetr kwadratowy od piwnic aż po dach.

– Było ich co najmniej dwadzieścia – ciągnąłem. – W tej części świata trzeba być na coś takiego przygotowanym. Na pewno już je

namierzył radar. Z jednego właśnie wyłaziły młode.

Przy deserze było nerwowo. Kobiety podniosły się z miejsc i nawet starały się nie stać w jednym punkcie dłużej niż kilka minut. Powiedziałem, że muszę już iść, bo jutro z samego rana lecę srebrnym ptaszyskiem na wybrzeże, a Wendy odprowadziła mnie do drzwi. Skarciła mnie za to, że byłem niegrzeczny, a potem musnęła językiem po uchu i obiecała noc pełną panamskich rozkoszy, jeżeli tylko zostanę. Winda nie działała, więc musiałem zejść z siódmego piętra. Padał gęsty śnieg. Drugą Aleją sunęły dziesiątki wolnych taksówek. W końcu jedna podjechała do krawężnika. Wsiadłem, taksówkarz włączył licznik i pognął przez śnieżycę w stronę południowego Manhattanu.

Sullivan mieszkała na zaadaptowanym strychu

przy Green Street. Jej wciąż jeszcze lokalna sława zataczała coraz szersze kręgi, więc przeczuwałem, że krytycy, marszandzi i różni szykowni malutcy galerzyści w zabójczych butach i z bakami jak sztylety przyznają jej niebawem miejsce w pierwszym szeregu amerykańskich rzeźbiarzy. Używała mahoniu, żywicy epoksydowej i lakierów samochodowych. Twierdziła, że każda jej rzeźba rozwija się po krzywej. Dzięki gładkości form i zgaszonym, matowym kolorom jej prace wydawały się obrzydliwie miękkie, trochę jak pomrowy albo robaki – bezkostne stwory, zwinięte w kłębek na skraju ludzkiego snu. Parę osób przyznało, że boi się dotknąć jej drewnianych rzeźb, a ona była z tego zadowolona, ale jeszcze nie całkiem; twierdziła, że największą ambicję zaspokoi dopiero wtedy, gdy widzowie poczują się, jakby pożerali żywcem małe mokre płazy. W Whitney Museum stały dwie rzeźby Sullivan,

a w prywatnych kolekcjach – około dziesięciu. Co najmniej trzydzieści kupiły rozmaite korporacje. Zakłady chemiczne w mieście Muncie nabyły ostatnio trzy mniejsze pracki i postawiły w głównym holu. Zaskoczyło mnie to i ogromnie ucieszyło. Jak każdy, kto kręci się wokół ludzi utalentowanych, byłem skłonny przesadnie ją wychwalać, zaliczając jej twórczość do zjawisk najbardziej zbawiennych dla kraju, i uważałem, że Indiana ma szansę osiągnąć wyższy poziom uduchowienia dzięki trzem imitacjom ludzkich błon płodowych, które Sullivan własnoręcznie wycyzelowała. Ona sama studziła mój zapał. Zakłady chemiczne chciały tylko poprawić swój wizerunek; wysłały nawet paru dyrektorów do górskiego ośrodka medytacji na spacer w sandałach i w togach; był to zresztą po prostu taki greps, żeby mieć co odpisać od podatku. Poznałem Sullivan, kiedy nasz dział w sieci

przygotowywał półgodzinny dokument o sztuce tworzonej za pomocą elektrycznych narzędzi, której nadaliśmy miano „sztuki pod prądem”. Dwie minuty poświęcono Sullivan i jej fantastycznej pracowni. Nakręcenie tego fragmentu zajęło prawie cały dzień, z czego znaczną część przegadaliśmy we dwoje. Powiedziała, że jej się podobam, bo jestem piękny, smutny i mocno tkwię w amerykańskiej tradycji. Wierzyłem, że tylko Sullivan może mnie uratować.

Ktoś zdjął z zawiasów drzwi do klatki schodowej. Stały w holu z terakotową posadzką, a na szybie w ich górnej części widniał napis białą farbą: DRZWI. Wszedłem na pierwsze piętro. Były tam dwa mieszkania. Na drzwiach jednego napisano DOBRO, a na tych z przeciwka ZŁO. Wchodziłem coraz wyżej. Schody wyłożone były kafelkami o wydeptanych i poczerniałych ze

starości kantach. Minąłem czworo kolejnych drzwi. Na jednych wisiała tabliczka z napisem PIERŚ, a na pozostałych napisano SPRAWIEDLIWOŚĆ, MĘCZENSTWO i RZEKA. Kiedy wszedłem na ostatnią prostą przed strychem Sullivan, przez cały dom powiało raptem czymś okropnym, jakąś obecnością, która niosła ze sobą wyraźne emanacje otwartych ran, bagna, paniki i chorób, odoru wycofujących się wojsk, a było to wrażenie dziwne i natrętne, więc zrozumiałem, że muszę obrócić je w żart, tak jak prędeż czy później robiłem z każdą niepojętą rzeczą, toteż ułożyłem sobie w głowie zgrabne zdanko, żeby na wejściu uraczyć nim Sullivan. Miało być zmyślne i wyraziste, toteż doszlifowywałem je, nawet gdy już otworzyłem drzwi bez żadnej tabliczki i wszedłem do pokoju.

Zamiast Sullivan zastałem tylko siedem

skłębionych form, zwalistych i jakby rodem z czyścica. Były o wiele większe od jej wcześniejszych prac i znacznie bardziej skomplikowane: koła w kołach, sierpy wyrastające z wyoblonej krawędzi groteskowej tarczy, ni to ludzie, ni to urny pogrzebowe, przemysłowa złowrogość zębatych trybów i wewnętrznych zegarów, potężna kierzanka, a wszystko to przerażające, w sumie nie do określenia, nawisłe i w ruchu, przeciągła dusza artystki zaklęta w drewnie. Kształtować, kleić, malować. Według Sullivan najcenniejszym darem od Boga, najwyższym błogosławieństwem było to, że mamy przeciwstawne kciuki. Wchodząc do jej pracowni, nigdy nie umiałem się oprzeć uczuciu, że niechcący wkroczyłem w obcy krajobraz, który co prawda kiedyś już odwiedziłem, ale zostało mi po nim zaledwie mgliste wspomnienie. Najpierw zobaczyłem tych siedem form, które kolistym

ruchem już to wyłaniały się ze swoich gładkich konturów, już to cofały. W dwóch kątach stały naprzeciw siebie na postumentach dwa punktowce. Wszystko pokrywała warstwa drobniutkich trocin. Zgłodniałe narzędzia szczyrzyły zęby i stroszyły szpony. Była tam piła ramiennie-promienista, przenośna piła ręczna, szlifierka oscylacyjna, ogromna piła taśmowa i stojąca szlifierka, a ich kable zapętleły się w drzewnym pyłe. I wreszcie coś najbardziej nie z tej ziemi: ściany i sufit pokrywała syntetyczna błonka podobna do folii, w którą zawija się kanapki, żeby nie wyschły, ale trochę bardziej matowa i nieprzejrzysta. Nie naklejono jej pasami jak tapetę, lecz stanowiła jedną całość, coś na kształt namiotu: przywierała do podłoża, czasem lekko się wzdymała, wybrzuszała od powietrza uwięzłego między nią a ścianami. Wycięto z niej prostokąt o wymiarach drzwi, żeby można było wchodzić i wychodzić.

Zostawił ją po sobie poprzedni lokator, szwajcarski wynalazca i kolażysta, tak kompletnie i rozhukanie obłąkany, jak zdarza się to tylko Szwajcarom. Uważał tę instalację za swoje życiowe osiągnięcie i mówił, że to jego Kokon, a on sam jest Kokonistą. Miał nadzieję ukształtować otoczenie, które byłoby dziełem nie tyle sztuki, ile życia, organizmem szczelnie odgrodzonym od wrogiej dookolnej topografii, kłębowiskiem pulsujących gąsienic, mikroświatem, człowiekiem zewnętrznym wobec własnego ludzkiego stwórcy. Materiał był przecież syntetyczny, można mu było zatem przypisać elementarną siłę życiową, różniącą się wprawdzie natężeniem, lecz nie samą istotą od tej, którą ma wszystko, co pełza lub chodzi. Tyle usłyszała od niego Sullivan, a ja od niej. Kokon miał być zaledwie początkiem dzieła, ale zaraz po tym, jak nadmuchano nim strych, Szwajcar wydał

ostatniego dolara i podpadł właścicielowi domu, bo w ramach jakiegoś ściśle sformalizowanego rytuału satanistycznego podpalił bezdomnego kota, więc w końcu pożyczył pieniądze na przejazd frachtowcem do Afryki i odpłynął w zapinanych z boku ogrodniczkach Sullivan i koszuli Lady Hathaway, którą dałem jej na urodziny.

W błonce były mikroskopijne otworki wentylacyjne. Światło dzienne ledwo przez nią przenikało, ale punktowce wystarczająco je zastępowały. Sullivan wręcz wołała reflektory, twierdząc, że słońce jest przereklamowane. Dotknąłem palcami jednej z rzeźb; zdążyła już na niej wyschnąć ciemnoszara farba. Pozostałe rzeźby miały różne odcienie płaskich brązów, jedna była czarna z dodatkiem kościanej bieli, a ostatnia – lodowato srebrna. Wszystkie trzy okna, blade i chwiejne za powłoką z folii do kanapek, były szczelnie zamknięte, ale błonka falowała jakby

muskana morską bryzą. Na blacie stołu do pracy leżały mniejsze narzędzia elektryczne. Chodziłem od rzeźby do rzeźby, dotykając każdej kciukiem i sunąc grzbietem dłoni po krętych powierzchniach. W domu panowała cisza. Zastanawiałem się, dlaczego właśnie tych drzwi w żaden sposób nie oznaczono; w tym, że ktoś nadał drzwiom miano Rzeki, czułem jakąś osobliwą radość, poezję, dzieciństwo. Przypomniała mi się rzeka w Old Holly, a potem liście zwrócone wnętrzem do góry, obracające się w łagodnym nurcie nad długimi, zawisłymi w bezruchu rybami o oczach ze srebrnych dolarów, i wreszcie kobieta, która w domu krytym dachówką prasowała ubrania, w samej koszuli, przy ledwo przymkniętej żaluzji, i wrześniowa muzyka tamtego ciepłego wieczoru, wiązy i rozleniwienie ciemnej ulicy, kiedy trawniki pachną słodką mokrą trawą i jest się chłopcem,

beznadziejność pożądania, jej nagie ramiona i połysk jedwabiu poruszającego się wraz z powolnym kołysaniem ciała, co najmniej dwa razy starsza ode mnie, prasowała płynnymi ruchami lwicy pieszczącej lwiątko, a ja uczepiłem się drzewa i patrzyłem przez godzinę albo i dłużej, dwa razy starsza, ciemna blondynka o leniwych oczach, i ta miękkość jej twarzy, niewidzianej przedtem ani potem. A teraz chciało mi się już tylko spać.

Pod warsztatem leżał spory kawał pianki, poplamiona resztką materaca. Wyciągnąłem go, zwinąłem się w kłębek i natychmiast zasnąłem w wypełniającej strych plastikowej powłoce. Przez moje sny płynęły grzechy i rzeki, a podwodne twarze patrzyły rybimi ślepiami w głąb mojego umysłu. Obudziłem się wśród ciszy i chłodu, pod oskarżycielskim spojrzeniem reflektorów. W mieście roіło się od ludzi

szukających mężczyzny lub kobiety, którzy mogliby ich uratować. Moje ciało cuchnęło zimnym potem, alkoholem i strachem. Strych zdawał się ciągnąć bez końca, jak scena wyłowiona z piaszczystego dna snu. Z drzwi wyłaniała się postać podobna do mojej matki.

Włożyłem zielone okulary przeciwsłoneczne, jakie noszą doradcy wojskowi, mokasyny z wilczej skóry, czarne spodnie ze skośnie ciętymi kieszeniami, obcisłą koszulkę z krótkim rękawem i polową czapkę khaki z nisko spuszczoneym daszkiem. Pike rozwalił się na tylnym siedzeniu, a Sullivan siedziała obok mnie, patrząc, jak Nowa Anglia wygrzebuje się spod resztek śniegu, który krwawił w ziemię. W radiu ogłaszano przecenę okrągłych mielonych steków, a później poleciał jakiś stary rockowy kawałek, zmysłowy i mistyczny, londyńscy plebeje zawodzili, przekrzykując młynek modlitewny elektrycznych sitarów, a my z rykiem silnika mijaliśmy Boston

w niskiej chmurze dymu z krematorium. Okna były zamknięte, ogrzewanie włączone, a ja jęczałem i podśpiewywałem, szczelnie spowity zacisznym jajowodem czerwonego mustanga, nieskończenie bardziej religijnego niż thunderbird, którym jeździłem w czasie studiów. Cała Ameryka była na skraju wiosny i z dala od miast wszystko rozkwitało w chwale, a przynajmniej to, co prześwitywało przez dym i plansze reklamowe. Nic tak nie podnieca jak pierwsze dni długiej podróży, kiedy toczymy się w spieniony pysek niewiarygodnego, niecierpliwego kraju. Prowadziłem, pokrzykując, przekraczając dozwoloną prędkość, cytując wiersze i ballady. Zostawiliśmy już za sobą rdzenny stary Boston, jego kościoły i gangsterskie porachunki, a przed nami leżało Maine ze skałami zbryzgiwanymi falami przyboju, gdzie rumiani poławiacze homarów w żółtych kapeluszach i butach do bioder

chrypieli opowieściami o głębinach. W Salem zatrzymaliśmy się na lekki obiad i zwiedziliśmy Dom o Siedmiu Szczytach, w którym śliczna mała przewodniczka nie chciała wejść z nami po sekretnych schodach, bojąc się szybkiego ciosu pazurów pumy w ciemnościach, a późnym popołudniem dotarliśmy nad morze w Maine i zobaczyliśmy zaciśniętą jak pięść nad oceanem czarną apokalipsę sztormu, powietrze chłodne i napięte, gotowe trzasnąć, a kiedy nawałnica wreszcie nadciągnęła, myślałem, że samochód pęknie na pół, a Pike obudził się, przekonany, że wszyscy zaraz zginiemy, i opowiedział nam o wielkich eliptycznych wędrówkach europejskich żurawi. Cztery tysiące kilometrów od krainy Marlboro, dźgając ostrogą narowistego mustanga, mijałem setki letnich domków, pensjonatów i moteli, a po mokrej szosie pływały neonowe zwidy homarów. Zapadł wieczór, nim

dojechaliśmy do Millsgate, białego miasteczka nad zatoką Penobscot. Deszcz ustał tymczasem, a my zjedliśmy kolację w knajpie rybnej i poszliśmy szukać garażu Bobby'ego Branda, tej pustelni wygnańca, który przestał ćpać i zajął się pisaniem powieści, żeby ją potem zdetonować w brzuchu Ameryki jak ognistą bombę z ładunkiem bakterii. Weszliśmy środkiem jezdni na małe wzniesienie. Nic nie jeździło, panowała zupełna cisza, a przenikliwe powietrze prawie drapało w płuca. Z przeciwka nadbiegły truchtem cztery psy. Pike je obszcekał, ale tylko potruchtowały dalej. Żwawe długie chmury co parę sekund zasłaniały księżyc w pełni, a całe niebo zdawało się oddychać. Na szczycie wzniesienia znalazłem ulicę, której szukaliśmy, a wtedy skręciliśmy w lewo i poszliśmy wzdłuż dawnego pastwiska. Przy jednym z jego boków stały rzędem białe domy, a naprzeciw nich biały kościół z wieżą dzwonnicy,

oszalowany deskami. Liceum stało na końcu wygonu, frontem do ulicy. W świetle kilku werand zobaczyliśmy armatę, a obok na trawie stos kostropatych kul. Wśród drzew przed nami otworzyła się luka, a ja spojrzałem przez nią w dół na wodę, srebrzyście posmużoną blaskiem księżyca i białymi światłami domów ukrytych w lesie nad zatoczkami po bokach głównej zatoki.

– Nowa Anglia to najbardziej bezpłciowe miejsce na tej półkuli – stwierdziła Sullivan. – Ma akurat tyle seksapilu co londyński Hyde Park w ciepłe popołudnie, kiedy wszyscy zdejmują koszule i padają na trawę, a człowiek nareszcie rozumie, dlaczego musieli jeździć aż do Afryki, żeby się wyżyć.

Doszliśmy do garażu.

– Być człowiekiem znaczy przechodzić przez kolejne stadia – oświadczył Brand. – Ja

przeszedłem już wszystkie i nareszcie mam je za sobą. Jem, śpię i piszę. Skończyłem z grzaniem hery. Skończyłem z braniem kwasu. Stopniowo ruguję ze swojego organizmu cały ten nowojorski obłąd i przemoc. Chodzę pod ogólniak i gram z chłopakami w kosza. Tu jest pięknie i ja tu jestem. Oczyszczam się. Możesz mi pomóc, Davy. W moim mózgu trzeba posprzątać. Myślę tak, jak mówię. Czyli tak, jak staram się już nie mówić. Możesz pomóc mi pozbyć się slangu. Upoważniam cię, żebyś mnie poprawiał za każdym razem, kiedy obsunę się z powrotem w stary żargon ćpunów albo wojskową nawijkę. Na tutejszym wygnaniu zrozumiałem między innymi to, że mam w głowie za dużo slangu. A on jest podstępny. Zachęca do przemocy. Możesz mi pomóc, Davy. Chcę być bezbarwny.

Siedzieliśmy wokół stolika w jego przyczepie, która stała w garażu, i piliśmy kawę rozpuszczalną

Maxwell House. Przyczepa była głównie z plastiku i dawała się podłączyć do furgonetki fordą F-250, tak że górna część zachodziła na szoferkę. Furgonetka była czarna, a przyczepa ciemnoszara z czarnym obramowaniem okien i jedynych drzwi. W środku mieściły się trzy koje, stolik, kuchenka elektryczna i maszyna do pisania; Brand mieszkał właśnie w tej przyczepie. Poznałem go wiele lat wcześniej, kiedy Merry i ja pojechaliśmy na weekend do East Hampton. Sprawiał wrażenie jednoosobowej rozdzielni kwasu, haszyszu, metamfetaminy i różnych innych spidów. Ciągnęło mnie do niego. Ucieleśniał niebezpieczeństwo, którego w moim życiu brakowało, prawdziwe niebezpieczeństwo, a nie tę plastikową namiastkę dostępną w wielkich ilościach w sieci albo celuloidową groźbę wpisaną w filmowe role, przez które podkopałem podstawy swojego małżeństwa. Każdy młody zdolniacha z Madison

Avenue szukał namiastki niebezpieczeństwa, jakiegoś czarnego korzenia, żeby rozsadzić nim fundamenty episkopalizmu, którym wszyscy byliśmy podszyci, więc próbowaliśmy osiągnąć ten cel poprzez co łagodniejsze halucynogeny, trening karate, weekendowe kluby akrobacji ze spadochronem czy rajdy samochodów sportowych. W tamten weekend Brand kazał mi włożyć pod język tabletkę kwasu, przepustkę do niedosiężnych rejonów, a ja pamiętam tylko tyle, że zobaczyłem siebie sześćdziesięcioletniego, do zmarniałego ciała przywierały mi zmiażdżone larwy, po prostu dno, i jeszcze ten piekielny komizm mojej własnej twarzy. Była to moja ostatnia... nie, przedostatnia próba przejścia przez to grzęzawisko samopas. Brand zaraz po studiach w Yale trafił do lotnictwa i latał myśliwcem bombardującym F-4 nad znikającą prowincją i jej łanami trawy słoniowej. Po zwolnieniu z wojska (być może z przyczyn

zdrowotnych) wynajął umeblowany pokój na Dziewięćdziesiątej którejś po zachodniej stronie Manhattanu i zaczął sobie wstrzykiwać heroinę na zmianę z kokainą, zanim wsiąkł w jakieś ruchy pacyfistyczne, polegające głównie na wspólnym śpiewaniu, aż w końcu odkrył kwas, działalność polityczną i pisanie. Miał mniej więcej tyle lat co ja. Ten wysoki popielaty blondyn w okularach, sympatyczny i przerażający, przeważnie był na utrzymaniu rodziny i sprawiał takie wrażenie, jakby co kilka tygodni, a czasem co parę minut zmieniał osobowość. Z łatwością sobie wyobrażałem, jak w bluzie od dresu, dżinsach, mokasynach i białych skarpetkach leży na łóżku w bursie i czyta podręcznik ekonomii, ale marzy o łyżkach i niebieskim płomyku. Na prawym przedramieniu wytatuowane miał dwa spółkujące psy.

– To garaż mojej ciotki Mildred. Ona mieszka

raptem parę domów dalej, ale pojechała do Bangor dopiąć jakieś formalności. Szkoda, że jej nie poznacie. Gra na klarncie.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytałem.

– Jeżeli o mnie chodzi, możemy ruszać choćby jutro. Zostawiam tu maszynopis. Musi odpocząć. Wzięłaś kamerę?

– Leży w aucie. Mam też przenośny magnetofon. A Sullivan zabrała to swoje fantastyczne radio NordMende z piętnastoma zakresami. Łapie na nim stacje z całego świata.

– Super.

– Śpimy dziś tutaj? – zapytała Sullivan.

– Lepiej od razu zacznijmy się przyzwyczajać – powiedziałem.

– Nie musimy. Mildred zostawiła mi klucze od domu. Tam jest więcej miejsca. Ona ciągle prosi, żebym się do niej wprowadził, ale mówię jej, że

ten garaż ma swoją magię. Pełno w nim emanacji. Nigdzie indziej nie mogę pisać. Kiedy musisz być w Arizonie?

– Za trzy tygodnie od wczoraj. Jak dobrze pójdzie, ekipa zdąży wszystko przygotować, zanim dotrę. Mam nadzieję, że wszyscy zostanieecie na czas zdjęć. Nie wiem, czy dam radę wrócić razem z wami. Chyba będę musiał polecieć samolotem. Pike, ty i Sully możecie zabrać stąd mój wóz i odprowadzić mi go z powrotem do miasta.

– Moje prawo jazdy od osiemnastu lat jest nieważne – odparł Pike.

Wzięliśmy bagaż z samochodu i poszliśmy do domu ciotki Branda. Był stary i solidny, zupełnie taki jak domy babć wszystkich postaci z reklam telewizyjnych, pełen cudzych wspomnień, a zarazem ogrzany wszechogarniającym klimatem miłości i prostoty. Z rozwieszonych w holu

fotografii mrocznie spoglądali krochmaleni chudzielcy i dziewczynki o prostych włosach blond. Salon, wytapetowany w zblakłe żółte róże, przesycony zapachem starych ciał bujających się do snu, tonął w perkalach, koronkach i biblijnej poczciwości. Brand zaprowadził Sullivan i Pike'a na piętro, a ja przeszedłem się po kuchni i spiżarni, czując, że dotarłem do sedna jakiejś sprawy, do sekretu niedzielnej grozy małych miasteczek, eucharystycznej ciszy przy kawie i bułeczkach po długim powrocie piechotą z kościoła. Ileż czasu minęło, odkąd o północy stałem w spiżarni, wśród ciemnych półek ze słojami herbatników, dżemów i przypraw? Smak i zapach potrafią w mgnieniu oka włamać się do sejfu pamięci; kiedy z kompulsywnym ferworem pokutnika nasłuchującego komunikatu z własnej przeszłości chrupałem w spiżarni ciotki Branda suche herbatniki, wróciłem do gorącej izdebki

w innym mieście i poczułem leniwą woń lata.

Pogasiłem światła i poszedłem na górę. Brand i Pike mieli wspólną sypialnię. Siedzieli na łóżkach jak zawodowy żołnierz i rekrut, rozwiązując sznurowadła, ziewając, ściągając przez głowy bawełniane koszulki. Brand powiedział mi, że druga sypialnia jest na samym końcu korytarza, a gdy ruszyłem w jej stronę, zdążyłem jeszcze usłyszeć, jak Pike zaczyna snuć opowieść o bezsensownej rzezi bizonów w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy to niedzielni myśliwi strzelający z okien wagonów dziesiątkowali stada długości pięciu kilometrów i szerokości trzech. Sullivan leżała już w łóżku i czytała swojego Yeatsa. W pokoju, którego wedle wszelkich oznak ostatnio nie używano, była tylko lampa na stoliku, krzesło, łóżko Sullivan i polówka dla mnie. Dach nad tą częścią domu

spadał wyraźnym skosem, a moje łóżko polowe stało akurat tam, gdzie schodził najniżej, stykając się ze ścianą. Sullivan zgasiła lampę, a ja rozebrałem się i przez parę sekund stałem nago przy polówce, niepewny, czy Sully mnie widzi. Cudownie było spać z nią w jednym pokoju. Wślizgnąłem się w zimną pościel. Tuż nad głową miałem pochyły sufit, więc podniosłem rękę i dotknąłem go czubkami palców. Pomyślałem, że wszystkim dzieciom powinno być wolno sypiać w takich pokojach, bo dziecko uwielbia zakamarki i dziwaczne kąty nachylenia, a boi się i miewa koszmary wśród symetrii równoległych płaszczyzn, które niczego nie przesłaniają.

– Pike opowiada o bizonach.

– To jego najsmutniejsza opowieść – odparła Sullivan.

– Już niedługo tam będziemy.

– David w drodze do krainy Oz.

– Ciekawe, czy zostali jeszcze jacyś Arapahowie. Albo Chiricahua. To moje ulubione plemię. Apacze Chiricahua. Burt Lancaster z włosami przewiązanymi chustką w turecki wzór.

– Uda ci się sfilmować tę twoją zamieć?

– Raczej nie. Kwiecień już blisko.

– Będą kwitły pustynne kwiaty.

– Zauważyłaś, że po ciemku ludzie zwykle mówią krótkimi zdaniami?

– Tak – powiedziała Sullivan. – A po zapaleniu świateł otwieramy się i zaczynamy głądzić bez odrobiny treści. Za to w łóżku po ciemku dopinguje nas małpa, która czyha w naszym śnie.

– Jaka znowu małpa?

– Wpadamy w ton dokumentalny. Zamieniamy się w wiadomości telewizyjne i mówimy to, co uważamy za prawdę. Słuchacz jest w gruncie

rzeczy tylko fragmentem ciemności. Prawdziwą publicznością jest sama ciemność. Rozpakowujemy przed nią swoje życie, próbując nasycić małpę.

– Jaką małpę? – spytałem.

– Wiedeńską. Ale z naszych słów wynika w sumie niewiele więcej niż z czezej gadaniny za dnia. To wszystko jest niczym w porównaniu z rewelacją, która dopiero nastąpi.

– Czyli z czym?

– Z pojedynczym zdaniem bez końca.

– Spać i śnić.

– Tak.

– Opowiedz mi coś – poprosiłem.

– O czym?

– O wspaniałym złocistym Zachodzie, o Indianach i o wielkiej amerykańskiej duszy pod

gołym niebem.

– Mówić krótkimi zdaniem?

– Niekoniecznie.

– Mam coś w sam raz dla ciebie – zaczęła Sullivan. – O starym świętym mędrca z plemienia Siuksów Oglala i o tym, co mi powiedział kiedyś w księżycową noc.

– To prawdziwa historia czy będziesz zmyślać na poczekaniu?

– Prawdziwa – oświadczyła Sullivan.

– No to mów.

– Miał sto lat i wyglądał jak pieńek po świętym dębie. Jako młody chłopak walczył pod Little Big Horn u boku Szalonego Konia. Już wtedy nie lubił rozlewu krwi, a odkąd dorósł, większość życia upłynęła mu na postach i modlitwie. Jakiś czas temu dzięki wstawiennictwu antropologa, który przyjaźnił się kiedyś z moim ojcem, Czarny Nóż

zgodził się mnie przyjąć w swojej chacie na wzgórzach Południowej Dakoty. Zadałam mu kilka uprzejmych pytań, które postanowił puścić mimo uszu, od samego początku odnosząc się do wszelkich grzeczności ze wspaniałą pogardą. Pykał wstrętną starą fajką z kaczana kukurydzy, nabitą chyba błotem i mokrymi liśćmi. Spytałam, czy od czasów jego dzieciństwa świat bardzo się zmienił. Odpowiedział, że to najinteligentniejsze pytanie, jakie mu w życiu zadano. Otóż świat nie zmienił się prawie wcale. Zmieniły się tylko materiały, technologie. Pozostaliśmy narodem ascetów, speców od wydajności, wrogów marnotrawstwa. Przez wszystkie minione lata przemeblowywaliśmy krajobraz, usuwając zbędne obiekty w rodzaju drzew, gór i wszystkich budynków, w których nie dawało się zrobić praktycznego użytku z każdego centymetra kwadratowego. Asceta nienawidzi

marnotrawstwa. Zamierzamy zniszczyć wszystko, co nie służy sprawie wydajności. Aż trudno uwierzyć, powiedział, że jesteśmy ascetami. Ale jesteśmy nimi bardziej niż wszyscy rzekomi święci zza oceanu.

– Tak ci powiedział ten stary indiański mistyk?

– Śledził wszystkie bieżące wydarzenia w gazetach i czasopismach.

– Mów dalej.

– Twierdził, że w gruncie rzeczy, w najtajniejszej skrytości ducha, wszyscy pragniemy zniszczyć lasy, białe domki jednorodzinne, kryte mosty, małe kamieniczki, ogrody azalii, wielkie czerwone stodoły, kolonialne oberże, statki rzeczne, wioski wielorybników, tłocznie jabłecznika, koła wodne, dwory sprzed wojny secesyjnej, chaty z bali, urocze stare kościoły i zaciszne stacyjki kolejowe.

Wszyscy po cichu marzymy o takim zniszczeniu, nawet obrońcy przyrody, nawet ci wojujący osobnicy, którzy zawodowo pikietują piękne zabytkowe budynki w proteście przeciwko ich burzeniu. Tacy właśnie jesteśmy. Same linie proste i kąty. Przyznaj, że czujemy potajemny dreszcz na widok piękna stojącego w płomieniach. Chcemy zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko co wykwintne i stare, a na to miejsce wznieść niegustowne identyczne budowle. Pudła komórek rakowych. Schludne szare komory do medytacji i czytania reklam. Wyobraź sobie, jakie moglibyśmy zbudować wspaniałe motele w stylu tych, co teraz stoją na prerii, gdybyśmy bez reszty poddali się demonom swojej prawdziwej natury. Wyobraź sobie samochody, które by nas woziły od motelu do motelu, i monolityczne pięćdziesięciopiętrowe maszyny do usuwania zwłok ofiar wypadków samochodowych, bez

zbędnej fatygi, bez żadnych pogrzebów ani marnotrawienia środków na krypty czy inne grobowce. Niech policja szaleje do woli. Niech obłąkani przywódcy naszego kraju niszczą, kogo tylko zechcą. Właśnie tego szczerze pragniemy, twierdził Czarny Nóż. Chcemy dać się całkowicie opanować wszystkiemu, co w naszym narodowym życiu i charakterze uchodzi za najgorsze. Nurzać się w piździe Matki Ameryki, w tym strasznym, lśniącym bajorze (powtarzam słowo w słowo). Spojrzeć w oczy fałszywemu gniewowi, który tak często okazujemy w obliczu coraz liczniejszych przejawów jałowości i przemocy w naszej kulturze. Śmierć starym kamieniczkom i ozdobnym dworcom kolejowym. Śmierć gnijącym, śmierdzącym gmachom małomiasteczkowych sądów. Niech wyleci w powietrze most Brooklyński. Niech wyleci w powietrze Nantucket i droga widokowa wzdłuż Błękitnego Pasma

Appalachów. Musimy zdać sobie sprawę, że żyjemy w Megameryce. Neon, włókno szklane, pleksiglas, poliuretan, mylar, akryl.

– Czy ta jego chata stała na wietrznym szczycie góry? I czy pojechałaś tam szukać prawdziwego sensu życia?

– San Francisco miało być zrównane z ziemią – ciągnęła Sullivan. – Georgetown obrócone w perzynę. Zamiast nich zbudowalibyśmy motele i domy, identyczne w każdym szczególe. Nowe San Francisco stałoby na zupełnie płaskiej równinie. Wybrzeże Maine niczym by się nie różniło od Des Moines w Iowa. W nowym szarym Waszyngtonie wszyscy senatorowie spędzaliby osiem godzin dziennie w swoich identycznych gabinetach, przykuci do grzejników i chłostani przez francuskie ladacznice. Byłaby to lekcja filozofii, mądrości Starego Świata, kultury, w której mamy

tak fatalne braki. Nikt nigdy by się nie pocił. Pocienie się jest marnotrawstwem. Każdego, kogo przyłapano by spoconego, rozstrzelano by na miejscu. Klimatyzacja we wszystkich pokojach w całym kraju byłaby stale nastawiona na dziesięć stopni Celsjusza i w żaden sposób nie dawałoby jej się wyłączyć.

– I co jeszcze powiedział?

– Że każdy nowy uniwersytet będzie się składał z jednej jedynej salki. Miało to działać następująco: na początku semestru wszyscy studenci, a musiałoby ich być co najmniej pół miliona, żeby komputerom nie zabrakło roboty, zbieraliby się na wielkim placu przed wideokamerą, która by ich filmowała. Niezależnie od tego filmowano by każdego wykładowcę z osobna. Potem w pokoju zastępującym uniwersytet stawiano by dwa telewizory. Pokój

mieściłby się w małym blokhauzie stojącym tuż przy trzydziestosześciopasmowej autostradzie. Dzięki takiemu położeniu łatwo byłoby dowozić sprzęt elektroniczny. Aha, na ścianie mogłoby wisieć parę transparentów, a może kilka tabliczek z jakimiś napisami, ale poza tym w pokoju byłyby tylko te dwa telewizory. O dziewiątej rano w pierwszym dniu zajęć komputer włączałby oba odbiorniki, ustawione naprzeciwko siebie. Taśma wideo ze studentami patrzyłaby na taśmę wideo z wykładowcami. Po ostatecznym dopracowaniu tego systemu w całym kraju zostałby tylko jeden uniwersytet.

– Szczerze mówiąc, Czarny Nóż wydaje mi się ciut staroświecki.

– Największą niespodziankę zostawił na później. Świecił nad nami księżyc w pełni, kiedy Czarny Nóż powiedział, że to całkowite poddanie

się najskrytszym marzeniom i odruchom byłoby najlepszym wyjściem, bo w ten sposób autentycznie wyrazilibyśmy siebie takich, jacy jesteśmy w najgłębszym mroku swojego bytu. Osiągnęlibyśmy całkowite samourzeczywistnienie. Rozpoczęlibyśmy najdłuższy w dziejach świata marsz wulgarności, zła i dekadencji. Założylibyśmy największe na świecie superpaństwo. Świat ukląkłby przed naszą obłąkaną potęgą, a może nawet już przed nią klęczy. A potem z jedną stopą w błocie, z jedną stopą i trzema palcami drugiej, na chwilę byśmy się zatrzymali i rozejrzeli wokoło, zanim podjęlibyśmy decyzję, czy mamy jeszcze głębiej się pogрузić i w końcu zginąć, czy raczej zawrócić na twardy grunt i zacząć od początku, żywiąc się korzonkami i jagodami, ale obywając się bez jakichkolwiek symboli: zrzucilibyśmy brzemień ascetycznej klątwy, pozwolilibyśmy swobodnie

biegać bizonom, wiedząc wszystko, co naród może o sobie wiedzieć, postępowalibyśmy dalej w tym duchu, wspierani tą wiedzą i świadomością, że jednak wybraliśmy życie, a nie śmierć. Warto zaryzykować ten wybór, ciągnął Czarny Nóż, bo dzięki niemu stalibyśmy się w końcu Ameryką, która ziści wszystkie drzemiące w niej możliwości. Ameryką, która należy do świata. Tą Ameryką, w której wydawało nam się, że mieszkamy, kiedy byliśmy dziećmi. Małymi dziećmi. Całkiem malutkimi.

– I on ci to wszystko powiedział. Ten obszarpany kawał bizoniej skóry.

– Była zimna noc – odparła Sullivan. – I świecił księżyc w pełni.

Rano padało. Zszedłem na dół ostatni. Fajnie było siedzieć w kuchni i ziewać wśród woni kawy i bekonu, słuchając deszczu zacinającego

w koronach drzew. Patrzyłem, jak tamci troje krążą między kuchenką a lodówką, zderzając się ze sobą, jeszcze nie całkiem obudzeni przedzierają się przez pajęczyny.

– Z czego żyjesz? – zapytał Brand.

– To bez znaczenia – odparł Pike.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? – wtrąciłem.

– Jestem zoohumanistą.

– Powiedz mi – włączyła się do rozmowy Sullivan.

– Mam warsztat naprawy urządzeń elektrycznych na Czternastej.

– Powiedz mi, w czym się specjalizujesz.

– W tosterach z klapkami i przedwojennych radiach. Nie bardzo umiem naprawiać urządzenia ze sprężynką i różne kombinowane bajery, takie jak radio z zegarem albo z gramofonem. Żeby

nadażać, trzeba czytać. A ja od dwudziestu lat nie przeczytałem ani jednej książki. Nie mam głowy do liczb. Nie lubię elektryki. Mój warsztat jest mały, a ja wszelkimi sposobami staram się odstręczać klientów.

– Za to ja mam głowę do liczb – oświadczyłem.
– Fascynują mnie. Jest w nich moc. Napędzają cały kraj. Uwielbiam liczyć. Dodawać i odejmować. Każdy ma jakieś liczby, które są mu przypisane. Każdy jest liczbą. Czy to takie straszne? Może i tak. Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Posłuchajcie – rzekł Pike.

– Bierzcie się wreszcie do jedzenia – powiedziała Sullivan. – Mam zamiar usmażyć sobie absolutnie doskonałe jajko. Wręcz niebywale. W doskonałych żółciach i bielach. Nienaganne pod względem odcienia, faktury i konsystencji.

– Zależy mi, żebyście wszyscy uważnie posłuchali, bo to ważna sprawa. Kto wygra w uczciwej walce: tygrys czy niedźwiedź polarny? Ten pierwszy jest szybki, potężny i żyłasty. Ma wszystkie niezbędne cechy sprawnego łowcy i zabójcy. Tygrys to klasyczny przykład. Ale zlekceważenie białego niedźwiedzia byłoby grubym błędem. On potrafi jednym leniwym machnięciem łapy urwać człowiekowi rękę. Jest jak na swoje rozmiary niesłychanie szybki i może się ukryć wśród śniegów. Zawdzięcza to wszystko tak zwanemu doborowi naturalnemu. No więc który wygra? Tygrys czy biały niedźwiedź?

– A gdzie będą walczyć? – spytał Brand.

– Jak to?

– Jeżeli stoczą walkę gdzieś za kołem podbiegunowym, trzeba stawiać na niedźwiedzia. Za to w dżungli tygrys jest największym wiraczą.

Na jego terenie lepiej z nim nie zadzierać. On tam rządzi, rozdaje karty.

– Słuchaj, Cal, one walczą i już. Nieważne gdzie. Pytanie brzmi: który wygra.

– Chciałbym coś tu uściślić – powiedział Brand.
– Kiedy bokser wagi średniej z Akron jedzie do Panama City bronić tytułu w walce z tamtejszym zawodnikiem, bukmacherzy biorą pod uwagę wszystkie okoliczności i stosownie do nich przewidują szanse. Może to moje porównanie kuleje. Niewykluczone, że kuleje. Ale jeżeli postawisz tygrysa na lodowej krze i każesz mu walczyć z jakimś wielkim białym skurwielem, to będzie się ślizgał i siadał na zadzie, aż go tamten rozszarpie. W dżungli byłoby na odwrót. Niedźwiedź padłby z gorąca. Nie da się urządzić takiego pojedynku w próżni. Ani wybrać neutralnego terenu, takiego jak pustynia albo góry,

bo wtedy oba byłyby wyrwane ze swojego żywiołu, więc walka nie dałaby żadnego wyobrażenia o tym, co naprawdę potrafią. To zbyt hipotetyczne starcie, żeby warto było się nad nim poważnie zastanawiać.

Pike w milczeniu jadł śniadanie, tocząc oczami jak kośćmi do gry, jakby coś knuł. Zakwestionowano całą jego filozofię, podano w wątpliwość jej podstawy, więc musiał poważnie się zastanowić, uporządkować dane, zanim stawiłby czoło adwersarzowi w jawnej debacie. Sullivan przerwała ponure milczenie, oznajmiając, że mojej dygresji na temat liczb poniekąd brakowało euklideskiego rozmachu i czystości; jeden z głównych błędów polegał według niej na tym, że dawałem się olśnić neonowi idei, nie wnikając w jej istotę, no a śledzenie liczby aż po nieskończoność nie zawsze pozwala dotrzeć do Boga. Przecięła na

dwoje chrupiący plasterki bekonu, tak kruchy, że rozpadł się pod leciuteńkim dotknięciem widelca; przepołowiła każdy z tych dwóch kawałków, a później każdy z czterech i wreszcie ośmiu, nie przestając krajać z milczącą, fanatyczną precyzją, właściwą ludziom, którzy zawodowo dzielą małe rzeczy na jeszcze mniejsze i żyją o krok od obłędu. W końcu z plasterka bekonu zostało tylko sto przecinków, takich jak w ułamkach dziesiętnych. Czy bekon symbolizował błahość liczb? Daremną pogoń za nieskończonością? Niepodzielną naturę boskości jako przeciwieństwo ułamkowej rozpusty cyfr? Czy była to lekcja na temat materii pierwszej i formy substancjalnej? Czyżby kawałki bekonu oznaczały liczby, a jajko sadzone – Boga? Brand był wyraźnie zafascynowany tym pokazem. Skończyłem jeść i poszedłem na górę. Znalazłem telefon i zadzwoniłem do Binky na koszt biura.

– Co nowego? – spytałem.

– Aż za dużo – odparła.

– Czyli?

– Reeves Chubb, Carter Hemmings, Mars Tyler, Quincy Willet, Paul Joyner, Chandler Bates i Walter Faye.

– Wywaleni na bruk? – upewniłem się.

– Spałowani, uduszeni i wywaleni. Wypatroszeni i poćwiartowani. To oficjalnie potwierdzona wiadomość.

– A niech mnie kundle biją! Zbiorowa egzekucja. W OK Corral skoszono siedmiu wspaniałych. A spocone niedobitki toczą bratobójczą walkę, tak?

– Chyba dostaniesz awans – powiedziała Binky.

– Na razie to tylko plotki, ale Jody uważa, że można im wierzyć.

– Dbaj o moje interesy, Bink, a zabiorę cię na sam szczyt. Będziemy jak Cary Grant i Roz Russell

popijać martini w moim przeszklonym gabinecie na najwyższym piętrze. Czy Weede już zaczął nowy nabór?

– Na razie przyjął tylko jednego faceta.

– Jak on się nazywa?

– Harris Hodge.

– Ile ma lat? – spytałem.

– Nie wiem, David. Zacznie dopiero w przyszłym tygodniu. Jeszcze go nawet nie widziałam.

– Dowiedz się, ile ma lat. Zadzwoń za kilka dni. Tęsknisz za mną?

– Muszę kończyć – powiedziała Binky.

Poszedłem do łazienki, zdjąłem koszulę i zacząłem golić pierś maszynką elektryczną. Było to rytualne oczyszczanie ciała, preludium do uświęconej podróży. Deszcz ustał. Byłem szczęśliwy. Goląc się, widziałem przez okno

łazienki prawie całe Millsgate, karykaturalnie niewinne skupiska białych domów, świeże słońce na kościelnej wieży. Jakaś dziewczynka szła ulicą i skacząc przez skakankę, z zadartą głową wypatrywała na niebie luki w chmurach. U wejścia do zatoki płynęły w mocnym prądzie dwa białe słupy. Próbowałem sobie wyobrazić, a raczej przypomnieć, jak się żyje, nie czując zabójczych wielkowiejskich lęków, bo kochałem kiedyś bezwiednie pewne miasteczko i ta miłość wciąż nie spuszczała mnie z uwięzi. Przez cały kontynent pełzła zygzakiem pod autostradami, kominami, szybami naftowymi i gazowniami żyła mordą, niefrasobliwej dzikości, którą karmiły nieme miasta, a ja zastanawiałem się, jaką niesamowitą odległość trzeba przebyć, żeby dotrzeć stamtąd tu, jaki przemierzyć język, ile poziomów bytu. Moje włosy chętnie włożyły w rybią paszczę maszynki do golenia.

Po schodach starego domu zeszła z sekatorem w rękę kobieta w niebieskiej sukience. Przestałem się golić, żeby jej się przyjrzeć. Wyglądała na niecałe czterdzieści lat, miała jasną cerę, buty na płaskim obcasie i ten rodzaj niemal abstrakcyjnego uroku, jaki może mieć kelnerka w zwykłej białej kiecce, kiedy odchodzi od stolika, a jej ciało kołysze się, posłuszne swobodnej kadencji. Zaczęła strzyc żywopłot, z niespotykaną łatwością władając wielkim sekatorem, a potem chyba poczuła na sobie moje wyężone spojrzenie, bo podniosła głowę i mnie dostrzegła. Stałem bez ruchu, a ona po chwili znów zajęła się pracą: sunęła wzdłuż żywopłotu, nucąc cicho i machając rękami trochę jak ptak, który właśnie odkrywa fruwanie. Przyglądałem jej się co najmniej przez pół godziny. Oczywiście nigdy nie miała się o tym dowiedzieć, ale podsunęła mi najdziwniejszy, najmroczniejszy, najstraszliwszy pomysł mojego

życia: koncepcję filmu, który mogłem nakręcić gdzieś tam, wśród zagubionych miasteczek Ameryki.

Tamci czekali na mnie. Brand zamknął dom na klucz, a potem zanieśliśmy bagaż do garażu i ułożyliśmy w przyczepie. Podbiegłem do swojego auta i podjechałem pod sam garaż. Przeniosłem do przyczepy kamerę i magnetofon. Brand wrzucił wsteczny i wyjechał z garażu, a my staliśmy na chodniku, licząc wgniecenia i rysy na nadwoziu furgonetki. Potem Bobby wysiadł z szoferki, żeby po raz ostatni dokładnie przyjrzeć się fordowi, wolno obchodząc go dookoła z zamyśloną miną. Poprawił na nosie okulary i szybko zamrugał oczami, oślepiiony słońcem.

– Gotowa, Davy – orzekł w końcu. – Ta stara plastikowa fura jest gotowa do drogi. Ty dowodzisz. Dokąd jedziemy?

– Na zachód – powiedziałem. – Kieruj się mniej więcej na zachód.

Wstawiłem swoje auto do garażu, a Brand zamknął go na klucz. Zagraliśmy w orła i reszkę: wypadło, że przez pierwsze osiemdziesiąt kilometrów mam siedzieć z przodu obok Bobby’ego. Zajęliśmy miejsca. W szkole zabrzmiał dzwonek. Brand wrzucił jedynekę.

Część druga

6

Mieszkańcy małych wysepek powinni unikać filozofowania. Złudne przekonanie wyspiarzy, jakoby samotność i filozofia wynalazły się nawzajem, wydaje się bardzo przekonujące. Chyba z każdym dniem się pogłębiam. Często czuję, że jestem o krok od jakiegoś wielkiego filozoficznego odkrycia. Człowiek. Wojna. Prawda. Czas. Na szczęście za każdym razem wracam do siebie. Spoglądając ponad koronkami przyboju we własną nieposkładaną przeszłość, postanawiam zostawić innym ludziom sklecenie podzespołów. Cieszy mnie sztampowość tej sytuacji: człowiek i wyspa, wygnanie na najdalsze z możliwych przedmieść. Fale wzbierają i toczą się, teraz nierówne, kartka

za kartką, zapisane strasznymi szalonymi słowami. Wszystkie kolory są zapożyczone: morze bierze je od plaży, a ona od nieba, ja zaś wracam z czasem po własnych śladach do domu.

(Odbywa się projekcja filmu).

W przemierzonym kraju wiele było wizji, okruchów snu rozerwanego wybuchem, a do najmroczniejszych należały te, które po trzykroć przetworzyli nasi generałowie i przemysłowcy: imperia manganu, supernowoczesna artyleria, konsorcja i przywileje. Dla reszty z nas, a raczej dla niektórych spośród tej reszty, pozostało coś innego: marzenie o dobrym życiu, dosyć niewinne, z pozoru raczej proste, u mnie zaczęło się, gdy tylko nauczyłem się czytać, i przetrwało erę pierwszych astronautów, uroczyste powitanie na pokładzie lotniskowca, z czerwonym dywanem i przy dźwiękach orkiestry. W marzeniu tym

zawierało się wszystko, czego podobno pragnie każdy człowiek: tworzywa, rzeczy i ich cienie, lecz mimo to tkwiły w nim pewne zawiłości, krawędzie złudzeń i dobrowolnie wmawianych sobie kłamstw, domniemanie serio-komicznej śmierci. Trudniej jest osiągnąć niemal wyłącznie symboliczną egzystencję niż eksploatować zagraniczne złoża rud albo wysłać eskadrę samolotów, żeby rozwiesiła bomby nad jakąś wioską analfabetów. Toteż czystość zamiarów, prostota i wszelkie jej plony były udziałem najpotężniejszych wizjonerów, którzy mieli siłę stawić czoło ogólnemu szaleństwu. Reszcie z nas, nieodrodnym synom marzenia, pozostała już tylko zawiłość. Marzenie nie zostawiało miejsca na ukrytą pod warstwą symboli prawdę, na pisanie między wierszami, na obecność czegoś czarnego (i poniekąd prześmiesznego) u lustrzanych obrzeży ludzkiej świadomości. Chwilami bywało to trudne.

Ale w dzieciństwie i nawet jeszcze później, o wiele później, wierzyłem w te wszystkie sprawy, w instytucjonalne przesłania, w psalmy i plansze, w obrazy, w słowa. Lepsze życie dzięki chemii. Katalog Searsa-Roe-bucka. Ciotka Jemima. Obwody moich snów chłoneły wszelkie impulsy z wszelkich mediów. Nasuwa się skojarzenie z echami. I z obrazem stworzonym na obraz i podobieństwo innych obrazów. Aż tak to było zawile.

Old Holly zaliczało się do przedmieść Nowego Jorku tylko w sensie czysto geograficznym. Nie panował w nim właściwy okolicznym osiedlom wielkomiejski klimat trujących tlenków. Nie było jedynie przystankiem, początkiem i końcem codziennych podróży. Nie bił od niego blask kunsztownego manikiuru. Domy (w większości stareńkie i mile zapuszczone) miały jedno lub dwa

piętra i okienka z żaluzjami, wysokie pokoje, wielospadowe dachy oraz werandy, które czasem otaczały budynek ze wszystkich stron, powtarzając ekscentryczne kąty załamów dachu. Po każdym domu snuła się rozrzedzona plazma tożsamości, drażniąc zmysły przypadkowego gościa. W jednym powietrze smakowało goździkami i łagodnym tytoniem, w sąsiednim lekko pachniało miętą, skądś zalaływało jakby lakierem, a stary dywan trącił miękką gęstą tabaką; gdzie indziej słyhać było muzykę, zaledwie słaby pogłos zamkniętego fortepianu, tylko sztuce i ludzkie głosy, leniwe kazanie piłowanego drewna, tylko ciszę albo zastały wewnętrzny ton, ukryty w ciszy starych, tonących w słońcu pokojów. W niektórych pomieszczeniach pewnych domów podłogi były lekko spadziste, listwy obluzowane, a belki sufitu przekrzywione, więc gdy wietrzną, deszczową nocą wstawalo się po szklankę wody, można było

się poczuć trochę jak na statku podczas sztormu. Chłopiec bez trudu sobie wmawiał, że dom jest statkiem, bo schody skrzypiały, a w ciemnych zakamarkach, przyłożywszy dłoń do ściany, czuło się, jak cały budynek wzdycha w dzikich porywach wiatru. Mętne perswazje identyczności, niskie i czyste linie, które nie oznaczały zwycięstwa ani klęski, lecz pat, zrównanie, oschłą naukę stulecia, nie zdarzały się w tamtych domach. Tylko dwa z nich miały w ogrodach baseny. Miejscowy klub dla elity był bliski bankructwa.

Co się tyczy warunków fizycznych, Old Holly mogło zatem równie dobrze leżeć pośrodku Connecticut albo w którejś z pensylwańskich dolin, niezależnej gospodarczo od wielkich miast. Jeszcze mniej podmiejski był panujący w tej miejscowości nastrój. Nie zbudowano jej z myślą o samochodach. Ulice były dość wąskie, a o każdej porze dnia lub wieczoru widywało się

przechodniów, zmierzających do sklepów na Ridge Street. W śródmieściu nie było parkingów (nikt ich tam zresztą nie potrzebował) ani centrum zakupów czy aluminiowego kiosku cukiernika między placikiem do minigolfa a polem treningowym dla prawdziwych golfiarzy. Wznosiło się za to wiele pagórków, zamiast symetrycznych skrzyżowań było sporo małych, uciążliwych zakrętów, a widok przednich świateł auta, wyluskujących drzewa spośród nisko nawisłej mgły, wydawał się chłopcu czymś pięknym i rzadkim, bo samochody przybywały jak z innego świata i z trudem jeździły dziwacznymi lokalnymi drogami. Większość mieszkańców Old Holly zarazem tam pracowała. Byli to kupcy, robotnicy fabryczni, ludzie wolnych zawodów, a na stacji kolejowej w porach odjazdów do pracy i powrotów do domu nigdy nie robiło się tłoczno. Byliśmy więc miastem amerykańskim z wyglądu,

zwyczajnym i mięsożernym, żyjącym w miarę powolnie, gotowym polec za ojczyznę lub za jej widoczki na fotografiach.

Harkavy Clinton Bell, ojciec mojego ojca, spędził w Old Holly siedem ostatnich lat życia. Zanim przeszedł na emeryturę, był jedną z najwcześniejszych legend świata reklamy: jako drugi w tej branży dołączył kupon do anonsu reklamowego w gazecie. To on zapisał mojemu ojcu dom w spadku. Kiedy przeprowadziliśmy się do niego z West End Avenue, miałem sześć lat, Jane skończyła dziewięć, a Mary dziesięć. Dzieciństwo upłynęło mi tam szczęśliwie. Dom miał wątpliwy rodowód architektoniczny: był bękartem, przybłądą, i należało kochać go tak, jak kocha się kundla. Nad kominkiem wisiał portret Harkavy'ego. Na tle zamglonych wzgórz dziadek wyglądał jak występny stryj Mony Lisy. W swoim pokoju nagromadziłem mnóstwo wędek,

uczelnianych proporców, piłek bejsbolowych i modeli samolotów.

Zima mojego dwunastego roku.

Chłopcy znikli w gęstym śniegu. Wbiegłem do domu i zdjąłem buty, kurtkę oraz czapkę. W tamtych czasach poruszałem się wyłącznie biegiem, a czapkę zawsze zdejmowałem na końcu. Stałem przy oknie i popatrzyłem na rosnące zaspy. Pierwszy śnieg tamtej zimy napełniał wieczór ciszą, a najgęściej padał w kręgu światła latarni ulicznych. Czyjś zaparkowany samochód skrył się pod białym garbem. Nie ruszało się nic oprócz miękkiego blasku na śnieżnych rękawach powlekających gałęzie wszystkich drzew. W domu było ciepło, a ja słyszałem, jak matka i starsza siostra szykują kolację. Niebawem wrócił do domu ojciec, więc wybiegłem go powitać. Stał w holu, ogromny i różowy, otrzepując się ze

śniegu, klaszcząc w urękawiczone dłonie i dysząc dymem. Po kolacji znowu stanąłem przy oknie, pogryzając domowe ciasteczka. Mary zmywała naczynia; Jane rysowała kredą na łupkowej tabliczce portret matki; ojciec przewracał strony jakiegoś czasopisma; grzejnik gwizdał. Wszystkie te dźwięki w ciepłym domu – plusk wody i syk pary, przenikliwy zgrzyt kredy i szelest papieru, znajome głosy i czas pełnący po cyferblacie szafkowego zegara – otóż wszystkie te modulacje, których źródłem był sam dom, dodające otuchy i niezbędne, utwierdzały mnie w poczuciu bezpieczeństwa.

I nagle mężczyźni zaszurali łopatomami do odgarniania śniegu.

Nie widziałem ich, ale wiedziałem, że tam są, zwaliści faceci zgarbieni nad robotą. Łopaty tłukły o lód, skrobały beton, aż ojciec się zainteresował.

Poruszył się w fotelu i odłożył czasopismo. Matka przytoczyła coś, co przeczytała poprzedniego dnia, jakieś ponure dane statystyczne na temat związku między odgarnianiem śniegu a atakami serca, o zapaleniu płuc, wypadniętych dyskach i złamanym stawach biodrowych. Ojciec powiedział, że nieprędko zacznie się przejmować takimi sprawami, a po chwili wstał i włożył kurtkę. Kiedy mężczyzna chce odgarniać śnieg, nic nie odwiedzie go od tego zamiaru.

Ulicą wolno przejechał samochód z włączonymi wycieraczkami, a z sutereny wyszedł ojciec, trzymając w ręku łopatę. Widziałem przez okno trzy latarnie i ich pełne śniegu słupy światła. Wkrótce miała nadejść Gwiazdka, a z nią goście, prezenty i obżarstwo. Gdyby tak się szczęśliwie złożyło, że padałby wtedy śnieg, to tym lepiej, bo później czekała nas tylko szkoła i ponure mroczne miesiące aż do pierwszego prawdziwie

wiosennego dnia. Ale za wcześnie było na marzenia o wiosnie, bo przecież jeszcze nie minęła Gwiazdka. Najgorsze zaczynało się po niej: do wiosny kawał czasu, a po drodze nic, tylko szkoła. Matka się rozplakała.

Wyszedłem na dwór i stanąłem przy furtce. Ojciec, nie widząc mnie, odgarniał śnieg, a wzdłuż całej ulicy różni inni faceci w milczeniu robili to samo, dysząc dymem, i w cichej, niezachwianej śnieżycy wyglądali jak starożytni przedstawiciele ponadczasowych zawodów, pasterze na łące lub cierpliwi rybacy pilnujący sieci zarzuconych w zimowe jezioro. Nocne powietrze było przenikliwe i rzadkie. Nie jeździły żadne auta i było za zimno na spacer z psem albo na sprawdzanie, czy śnieg dobrze się lepi. Też chętnie bym poodgarniał, ale mieliśmy tylko jedną łopatę, a wiedziałem, że ojcu to odśnieżanie sprawia frajdę, więc odpuściłem. Pomyślałem o wszystkich

ludziach w mieście, których lubiłem, i o tych, których nie lubiłem. Wyobraziłem sobie, że czołgam się przez dżunglę jak komandos, z nożem w zębach. Tropikalne ptaki wrzeszczały w upale. Pełznąc na brzuchu między drzewami, dotarłem pod sam dom. Mieszkał w nim doktor Weber. Wlazłem przez okno, a on zszedł po schodach. Schowałem się za drzwiami do kuchni. Wszedł tam i chciał zapalić górne światło, już nawet wyciągnął rękę, ale szybko, z dłonią na jego ustach, nożem po gardle, cicho, cichutko szepcząc mu prosto w ciepłe ucho mściwe słowa, zabiłem go.

Wśród śniegu rozradowani mężczyźni szurali łopatami. Wszedłem po schodkach i nagle coś uderzyło mnie w plecy. Odwróciłem się i zobaczyłem, że ojciec uśmiecha się, otrzepując śnieg z dłoni. Zaczekałem, aż odniesie łopatę do sutereny, i razem wróciliśmy do domu.

Moim najlepszym kumplem był Tommy Valerio. Ilekroć do niego przychodziłem, jego matka szczypała mnie w policzki i szturchała knykciami w głowę. Krępowało mnie to, więc wkrótce zacząłem wymawiać się od tych wizyt. Kiedy Tommy skończył szesnaście lat, jego ojciec zmarł na zawał, więc mój kumpel przejął rodzinne auto, chevroleta z czterdziestego szóstego roku. Pod przednim siedzeniem trzymaliśmy bagnet. Żaden z nas nie miał prawa jazdy, więc Tommy prowadził, siedząc na poduszce, żeby wyglądało, że jest wyższy, czyli starszy. Pewnego dnia powiedział mi, że Kathy, najmłodsza córka komendanta policji, chętnie poddaje się różnym eksperymentom. Zawieźliśmy ją do jachtklubu i po kolei zaliczyliśmy na tylnym siedzeniu. Przez cały czas żuła gumę. Komendant policji nazywał się Brandon Lovell. Strzelał z moim ojcem do

rzutków. Uczyłem się wtedy w liceum w New Hampshire, ale tamtej zimy byłem w domu przez jakieś sześć weekendów i za każdym razem jedno popołudnie spędzałem na parkingu jachtklubu. Którejś soboty pożyczyłem od Tommy'ego wóz i pojechałem do kafejki na Ridge Street. Zgarnąłem stamtąd Kathy i zawiozłem ją na parking. Powiedziała mi, że jej ojciec dawniej chodził nago po domu. To dlatego obie starsze siostry się wyprowadziły. Kiedyś włożył tylko pas z kaburą i wpakował sześć kul w kanapę. Spytałem ją, kogo woli, a ona przyznała, że Tommy'ego. Wyjąłem bagnet spod siedzenia i powtórzyłem pytanie. Sam nie wiedziałem, czy się wygłupiam, czy pytam serio. Powtórzyła, że woli Tommy'ego. Uderzyłem ją w szczękę tępym końcem bagnetu i wyrzuciłem z wozu.

Tamtego lata za zgodą ojca zdałem na młodzieżowe prawo jazdy. Ojciec miał wtedy mg

i prawie w każdy weekend razem jeździliśmy. Pewnego wieczoru pożyczył mi samochód, chociaż nie wolno mi było prowadzić po zapadnięciu zmroku. Powiedziałem mu, że mój kolega z klasy, chłopak z Larchmont, niedawno umarł na amnezję i właśnie jest ostatnia noc czuwania przy zwłokach. Długo i szczegółowo obmyślałem to kłamstwo, ale ojciec dał mi kluczyki, o nic nie pytając. A ja koniecznie musiałem obejrzeć pewien film.

Obejrzałem go dwa razy z rzędu. W przerwie podszedł bileter z puszką na datki dla chorych na serce. Za drugim razem film jeszcze bardziej mi się podobał. Burt był jak olbrzym wyrastający ponad fabułę, akcję, charakterystykę postaci. Na zawsze utkwiał mi w wyobraźni właśnie taki, spowity osobliwą szarą srebrzystością kinowego ekranu, w leciuteńkiej aurze wizualnego szumu. Widziałem go raz na własne oczy na stadionie

Yankee i nawet wtedy, zanim wyszedł w czwartej rundzie, bo łowcy autografów nie dawali mu spokoju, nawet w cywilnym ubraniu i ciemnych okularach był niezrównanym starszym sierżantem, wrośniętym w hałaśliwe ludzkie losy z czterdziestego pierwszego roku. Cieszyłem się, że z nikim nie umówiłem się na ten wypad do kina. Był to obrzęd religijny, który należało odprawić w samotności. Do domu jechałem bez pośpiechu. Ojciec poszedł za mną na górę do mojego pokoju. Usiadłem na łóżku i zdążyłem zdjąć jeden but. Jeszcze trzymałem go w ręku, kiedy stary wszedł.

– Jak człowiek może umrzeć na amnezję? – zapytał.

– Amnezję? Zdawało mi się, że powiedziałem „anemię”.

– Powiedziałaś „na amnezję”, brachu. Zdałem sobie sprawę, dopiero jak już pojechałaś. Ale

nawet jeżeli się przejęzyczyłeś, pozostaje pytanie. Kto dziś umiera na anemię? Ten twój kolega nie miał co jeść czy jak?

– To choroba krwi, tato. Nie ma nic wspólnego z niedożywieniem. Czerwone ciała dostają za mało hemoglobiny. Coś w tym rodzaju.

– Spotkałeś się z tą dupeczką, zgadłem? Z córką Lovella. Jak nie złapiesz od niej syfa, to do końca życia nie będziesz go miał. Igrasz z dynamitem, koleżko. Lovell to mój kumpel, ale siedzi w nim świr. Olbrzymi wredny ćwok, co wywija dubeltówką. Jeżeli się dowie, że kręcisz z jego córką, odstrzeli ci łeb. Udzielam ci rozsądnej rady opartej na pragmatycznej interpretacji faktów, tak jak je widzę. Nie prawię ci morałów, Dave. To działka twojej matki. Posłuchaj swojego starego. Czy ja cię kiedy wpuściłem w maliny?

– Byłem w kinie – powiedziałem.

– Aha.

– Tym razem mówię prawdę

– Nie ma sprawy.

– Mogę odtąd pić piwo do kolacji?

– Czy możesz pić piwo? – zdziwił się ojciec. –

Jak dla mnie, to możesz pić podwójne burbony. Sram na to. Tylko by ci dobrze zrobiły. Ale to też działka twojej matki. Może jakbyś sączył piwo z kieliszka do sherry, toby ci pozwoliła.

Roześmiałem się i zdjąłem drugi but.

– Ona wciąż szykuje to wielkie przyjęcie?

– Właśnie wrzuca drugi bieg. Miesiąc przed. Ale swoją drogą jest słodka. Jedyna taka na świecie.

– Pozwolisz Arondelli przyjść na imprezę?

– Nie wspominaj jego nazwiska w tym domu – odparł ojciec.

Przy stole matka zwykle mówiła o jedzeniu. Kiedy ktoś ją wioził samochodem, jej głównym tematem były auta i przejażdżki. Robiąc na drutach, mówiła o ubraniach. Przy zamiataniu opowiadała o zaletach czystości. Kiedy oglądała telewizję, mówiła o oglądaniu telewizji.

Kiedy dobrze się czuła, byliśmy nią całkowicie pochłonięci, wdzięczni za każdą zwyczajną chwilę. Ale to się rzadko zdarzało. W jej chorobie nie było żadnych prawidłowości, a przynajmniej myśmy ich nie widzieli. Każda przejściowa poprawa napawała nas nadzieją, a ojciec odkładał na kiedy indziej wizytę u specjalisty, prędzej czy później nieuchronną. Nic nie rozumiał, toteż i nic nie robił. Matka nie była fotografią, którą można by wyretuszować. Okaleczonego dziecka nie dawało się wyciąć z obrazka. Nie była kampanią reklamową, więc ojciec nie umiał się z nią

obchodzić. Kiedy czuła się dobrze, żył w obszarze wytyczonym przez współrzędne jej inteligencji i gracji, tak jak żyliśmy wszyscy, kochająco. Przez resztę czasu staraliśmy się w miarę możliwości udawać, że jej nie ma.

Była drobną blondynką o ślicznej gładkiej cerze i dłoniach godnych muzyka. Każdy jej najprostszyszy ruch odznaczał się tak teatralną i świadomą delikatnością, że często czuliśmy się, jakbyśmy oglądali solowy popis dziecka. Urodziła się w Wirginii jako jedynaczka pastora i pastorówny, a mojego ojca poznała, gdy bawił z wizytą u krewnych w Alexandrii. Po dwóch miesiącach wzięli ślub. Z zażenowaniem słuchałem opowieści o ich narzeczeństwie, jeżeli w ogóle można je tak nazwać, i pierwszych latach małżeństwa. Matka miała w chwili ślubu siedemnaście lat, a ja urodziłem się po dalszych pięciu. Dziesiątki razy opowiadała mi o tamtych czasach. Moje narodziny

uważała najwidoczniej za ukoronowanie ciągu zdarzeń o charakterze czysto wstępnym, które miały zarazem nieomal ceremonialny sens i wymiar.

Kościół episkopalny w Old Holly nosił nazwę Kalwaryjskiego. Matka spędzała w nim wiele czasu. Prowadzono tam nieustającą kwestę na sieroty w Azji. Matce przydzielono Birmę i Koreę Południową. Podejrzewam, że chociaż była szczerze wierząca, ideę męki Chrystusa przyjmowała do wiadomości z pewnym trudem. Jak na jej gust chyba zanadto się pocił. Mówię to bez cienia żartobliwości. Opowiadała mi urocze bajeczki o Jezusie. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że sama je zmyślała. Jezus był w jej historyjkach energicznym blondaskiem, który pomagał mamie w domu, a czasem robił jakiś zręczny cud.

– A kiedy uleczył niewidomego – mówiła na przykład – wrócił do domu i pomógł tacie wydoić krowy.

W dzieciństwie byłem jej bardzo oddany. Zdarzały nam się jednak scysje. Nasze spory miały przeważnie charakter chwilowych napadów pedanterii, a strona pokonana próbowała zwykle wyrównać rachunki, pozwalając sobie na bezsensowną złośliwość. Pewnego dnia grałem w bejsbol, czyli twardą gałę, jak nazywaliśmy wtedy ten sport, i właśnie stałem pośrodku pola, kiedy zobaczyłem, że matka idzie ku mnie po trawie.

– Grzeczni chłopcy nie dłubią w nosie – powiedziała.

– Nie dłubią w nosach – poprawiłem ją. – Skoro „chłopcy” jest w liczbie mnogiej, to nosy też.

– „Chłopcy” są w liczbie mnogiej – odparła. – W szkole była ze mnie świetna mała gramatyczka. A w dodatku grałam na klawesynie.

Odwróciła się i odeszła, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Wróciliśmy do gry, a po skończonej rundzie podbiegłem do linii pierwszej bazy i usiadłem na trawie. Tommy podszedł do mnie i usiadł obok. Spytał, czego chciała matka. Powiedziałem mu.

– Jakby to była moja stara, kazałbym jej spierdalać w podskokach na księżyc – oświadczył.

W sypialni miała pełno pamiątek z dzieciństwa. Na komódce siedziało kilka szmacianych lalek, oklapniętych kukieł z żałośnie powyginanymi kończynami, w burych sukienkach. W szafie trzymała lalczyny serwis obiadowy i domek dla lalek, a także pluszowego misia i królika oraz sześć czy siedem książeczek do kolorowania. Jane

i Mary nie wolno było się nimi bawić. Wszędzie stały pozytywki.

Chwilami czuliśmy się, jakby matka tylko przypadkiem zablądziła do naszego domu. Była jedną z osób, które co pewien czas pojawiają się i zaraz rozpływają gdzieś na dalszym planie, wzięte w nawias; takich ludzi spotyka się w parkach i w muzeach. Idąc korytarzem, widywałem, jak chodzi z pokoju do pokoju: zwawa biała mgławica tkanin, włosów, nagich ramion; skręcając na schodach, najpierw dostrzegałem jej stopy, a potem kolana, dłonie, twarz, znużony blask w oczach. Lubiła przesiadywać na najwyższym schodku. Miała w sobie coś ze zjawy. Wydawała się prawie przezroczysta i choćbym nie wiedzieć jak na nią czekał, nigdy nie zdołałem w pełni przygotować oka ani umysłu na raptowne migotanie jej powrotów i odejść.

Kiedy byliśmy w domu tylko we dwoje, siadałem czasem obok niej na schodach. To tam pierwszy raz opowiedziała mi o doktorze Weberze. Było letnie popołudnie, dom pełen słońca, wszystko powleczone wielką, ciepłą, niedźwiedzią drzemką. Dziewczyny grały w tenisa.

– Pastor i lekarz są sercem każdej społeczności – powiedziała matka. – Twój pradziadek ze strony mojej matki, Philip Thatcher, był znakomitym wiejskim lekarzem. W naszej rodzinie tradycja lekarzy i pastorów trwa właściwie od czasów Jamestown. Zawsze darzyłam doktorów najwyższym szacunkiem. W mojej rodzinie lekarz ustępował miejsca tylko pastorowi. Tak się utarło. I dlatego doktor Weber bardzo mnie zaskoczył. On nie reprezentuje żadnej znanej mi tradycji, a jeżeli komuś ustępuje miejsca, to chyba wiejskiemu parobkowi. Skoro mam ci opowiedzieć tę historię,

a opowiem ci ją, bo i tak kiedyś się przekonasz, że prawdziwą naukę czerpie się ze wstrząsów i przykrych niespodzianek, więc ci opowiem, ale najpierw muszę wyjaśnić, na czym polega badanie wewnętrzne. Otóż są to oględziny najintymniejszych narządów kobiecych. Od czasu do czasu trzeba takie badanie robić. Nie pytaj dlaczego. Doktor Weber kazał mi się rozebrać do naga i włożyć biały kitel, podobny do tego, który miałeś na sobie, kiedy ci wycinano migdałki. Położył mnie na wielkim dziwacznym stole i wsunął mi stopy w takie jakby strzemiona. Potem nakrył mi brzuch poduszką, żebym nie widziała, co tam wyczynia. Zapewniam cię, że czułam się w tej sytuacji niezbyt godnie. No i zaczął wyczyniać różne rzeczy. Spytał, czy mi miło. Oczywiście zaprzeczyłam. A on na to, że musi mi być miło, bo przecież wszystkim jest, to całkiem naturalne, i jaka ze mnie śliczna młoda kobieta, chociaż mam

już trójkę dzieci; taka młoda ślicznotka i już trzy razy rodziła; taka młoda i śliczna, powtarzał, i pytał, czy mi miło, i sam sobie odpowiadał, że oczywiście tak, i w życiu nie widziałem takiej ładnej kobiety jak ty, Ann, mówił, i nikt się nigdy nie dowie. Zwracał się do mnie po imieniu.

Kiedy matka chodziła po domu, rozpylając odświeżacz powietrza, znaczyło to, że spodziewa się wizyty wielebnego Pottera. Co kilka tygodni prowadzili nieformalne dyskusje. Matka знаła go od dzieciństwa, jeszcze z Alexandrii. Często o nim mówiła. Wyliczała całą litanie jego zasług, jakby był samochodem, który pomyślniej niż inne modele przeszedł rozmaite próby wydajności i wytrzymałości. Łacińska Szkoła w Bostonie. Harvard. Protestantckie Seminarium Teologii Episkopalnej w Alexandrii. Kościół Świętej Trójcy w Filadelfii. Kościół Świętego Bartłomieja w Nowym Jorku. Probostwo Kościoła

Kalwaryjskiego w Old Holly. Dostojeństwa przydawało mu też nazwisko w pełnym brzmieniu: William Stockbridge Potter. Drugie imię brzmiało wręcz doskonale; zapowiadało potężne brzuszysko i dystynkcję, a pastor nie zawodził oczekiwań, bo rzeczywiście był zwalisty, krzepki i towarzyski. Gdy zatem widziałem, że matka spryskuje wszystkie pokoje lawendą, wybierałem sobie w salonie jakiś fotel na uboczu i chowałem głowę za *Wyspą skarbów* albo ulubionymi opowiadaniem Billa Sterna, tymi o sportowcach.

– Pyszna herbata, Ann. Wiesz, jak starannie dobieram słowa. Otóż mówię, że jest pyszna.

– A co pastor powie o etyce judeochrześcijańskiej?

– A co byś chciała wiedzieć?

– Znalazłam to określenie w jednym czasopiśmie. Powiedziałam Clintonowi, że będę

musiała o nie spytać Williama Pottera.

– Słusznie.

– No i co mi pastor powie?

– Idzie tu chyba o pewne wspólne elementy naszej i ich tradycji, odmienne od elementów etyki muzułmańskiej, jeżeli takowa w ogóle istnieje.

Wielebny Potter siedział z tytanicznym splendorem, elegancko rozparty w fotelu, z nogą założoną na nogę i kolanami w górze, złączywszy tuż pod dolną wargą koniuszki palców dłoni. Fascynowała mnie długość tych palców i szare kępki włosów w sąsiedztwie każdego stawu. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał takie długie i włochate palce. Czarne półbuty pastora lśniły. Miał długie szpakowate włosy, niebieskie oczy o surowym wyrazie i głos, który brzmiał jak uderzenia stali w skaliste dno głębokiej jaskini. Jego słowa i widok przepęłniały mnie rozkoszną

zgrozą. Żaden abisyński watażka nie wywarłby na mnie większego wrażenia. Lecz mimo pięknego głosu było w sposobie mówienia pastora coś dziwnego. Często robił długie pauzy między zdaniami, a nawet słowami. Czasem na najprostsze pytanie mojej matki odpowiadał dopiero po minucie milczenia. Słuchało się go w napięciu, z wyczekiwaniem. Wyobrażałem sobie kłębowisko słów w jego gardle i bezgłośnie je nagliłem, żeby stamtąd wyskoczyły. Podczas najdłuższych pauz, kiedy pomału to zatrząskiwał, to rozluźniał szczęki, a w jego krtani rozlegały się niezdecydowane odgłosy, spodziewałem się, że lada chwila wyrwie się z niej gromowe beknięcie. Między innymi właśnie dlatego mnie fascynował. A gdy wreszcie podejmował przerwany wątek, zauważałem dziwną rozbieżność, jakby dźwięki mowy rozmijały się z ruchami warg. To wrażenie braku równowagi mogło być iluzją wywołaną

przez te długie pauzy i moje wyczekiwanie, wtedy jednak wydawało się nieodparte. Dopiero po latach, kiedy już pracowałem w sieci, poznałem określenie doskonale opisujące sposób, w jaki słowa padają z ust bez widocznego związku z ich ruchem. Otóż William Stockbridge Potter był zdesynchronizowany.

– No a śmierć? – spytała matka.

– A!

– Chyba bym jej nie zniosła. Co mają począć ludzie, którzy boją się umrzeć? Widziałam, jak umierał mój ojciec. Powoli i w męczarniach.

– To jedno z podstawowych pytań naszych czasów – odparł pastor. – Gdybyśmy umieli radzić sobie ze śmiercią, toby nas ona tak nie przerażała, prawda? Sławny bokser Joe Louis mawiał, że wszyscy chcą iść do nieba, ale nikt nie chce umrzeć. Nieraz cytowałem to powiedzonko

w swoich kazaniach. Śmiech, ach, jaki to wspaniały katalizator! Rozładowuje napięcie i pomaga oczyścić atmosferę. Bardzo wierzę w jego moc. Ludziom się wydaje, że nurt eklezjalny w Kościele jest szary i bez poczucia humoru. A to przecież wierutna bzdura.

– Ale co mamy począć? – nie dawała za wygraną matka.

– Musimy sobie naszkicować plan umierania.

– Moim zdaniem ten podział na nurt eklezjalny i nonkonformistyczny to czysta głupota.

– Przyjdiesz na wieczorne nabożeństwo?
Z chłopcem?

– Oczywiście.

– Muszę już iść.

– Następnym razem chciałabym posłuchać o traktatach oksfordzkich.

– W tej dziedzinie mam spory zapas amunicji.

Ostatnio przeczytałem sobie o wielkim Alonzo Potterze. Nawiasem mówiąc, nie łączy mnie z nim żadne pokrewieństwo, lecz przyznam w zaufaniu, że ta fortunna zbieżność nazwisk wiele dla mnie znaczy, chociaż nie powinienem dawać posłuchu podszeptom węża próżności.

– Nie tknął pastor ciasteczek.

– Naprawdę na mnie już czas.

– I chciałabym jeszcze posłuchać o śmierci.

– Będę gotów – obiecał wielebny. – Wyjdziemy przez ogród?

– Tutaj nie ma ogrodu.

– A!

– Chodź się pożegnać, David.

– Twoja matka to bystra dziewczynka, młodzieńcze. W Wirginii była jedną z młodych piękności. A jej hojność wobec Kościoła nie zna granic. Masz wielkie szczęście, że jesteś taki

wysoki i prosty jak struna. On ma twoje oczy, Ann. Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz?

– Żołnierzem – powiedziałem.

– Mówi wprost. To mi się podoba. Bez odrobiny wahania. Świetnie się chłopak prezentuje.

– Zwierzamy się sobie nawzajem ze swoich sekretów – rzekła matka.

– Brawo.

– Do widzenia – powiedziałem.

– Żołnierz – rzekł pastor. – To mi się podoba. Chłopak stąpa po ziemi. Gdybym nie był sługą bożym, też bym został żołnierzem. Właściwie to nie taka znowu różnica.

W Leighton Gage College chciałem, żeby mówiono na mnie Kinch. Taki przydomek nosi Stefan Dedalus w *Ulissesie*, którego wtedy

czytałem. Ale wkrótce zauważyłem, że w Leighton Gage nie używa się przydomków i tylko niektórzy mają wybitnie uwłaczające ksywki. Nie było tam też drużyn sportowych. Ani stopni i formalnych egzaminów. Żadnej tradycji. Wykładowcy byli dobrzy, chociaż trochę leniwi, a o studentach można by pewnie powiedzieć to samo, tyle że na odwrót.

Początkowo przyjaźniłem się z niejakim Leonardem Zajacem, który wśród dowcipnisiów ze stowarzyszenia poetów znany był jako Młodzian Wrzodzian. Chodziliśmy razem na niektóre zajęcia, a mnie imponowało jego nerwowe, wysokoobrotowe poczucie humoru, obrazoburstwo i to, jak wywracał na nice powszechnie znane pomysły i nadawał im nowy sens, niekoniecznie wierząc we własną wersję bardziej niż w pierwowzór. Był samotnym grubasem i cały kark miał we wściekłych fioletowych czyrakach.

Odzywano się do niego tylko w razie konieczności i nawet wykładowcy starali się go nie dostrzegać. Jego otyłość, zła cera i grube ciuchy prosto z getta tragicznie odstawały od szykownego środowiska południowej Kalifornii. Sporo przesiadywał w bibliotece. Łatwo się dogadywaliśmy. Czułem, że przy jego pomocy zdołam wyostrzyć swój umysł, aż stanie się cięty jak nóż. Kinch znaczy Ostrze. Leonard hojnie szafował swoim czasem i pomysłami. Niebawem zacząłem go sobie wyobrażać jako błyskotliwego satyryka i krytyka stosunków społecznych, osobistość rangi Swifta, postrenesansowy fenomen, ognisko, wokół którego wszyscy skupimy się gwoli nauki i ciepła. Miałem osiemnaście lat i życie na modłę Leonarda w pewien sposób mnie pociągało. Chroniczne czyraki i otyłość wykluczają wszelkie złudzenia; należy wtedy wtulić się w samotność i zaszyć w bibliotece, czyniąc z niej łono i kaplicę. Aż tu

nagle wszystko runęło. Leonard wyznał mi, że kocha się w Page Talbot, długowłosej blondynce z Kansas, jednej z tych, które wyglądają absolutnie oszalamiająco z odległości trzech metrów. Ale z bliska jej zielone oczy wydawały się wyblakłe, cera ziemista, a mina bez wyrazu nasuwała przypuszczenie, że biedaczka pogrążona jest w dozgonnej żałobie po śmierci ukochanego królika. Lecz gdy nadchodziła z daleka albo szła przede mną z ledwie dostrzegalnym kołysaniem bioder, ubrana w sztucznie wybielone dżinsy i koszulę farmerską w kolorze spłowiałego błękitu, czułem, że warto iść za nią pieszo aż do Kansas City. Pewnego dnia w bibliotece Leonard zwierzył mi się ze swoich rojeń. Wyobrażał sobie, że kocha się z Page pod wodą, na koniu, na biurkach profesorów, w budkach telefonicznych. I oddałby wszystko, żeby być taki jak ja: szczupły, przystojny, powszechnie lubiany. Jego wyznanie

dziwnie zmieniło stan równowagi w moim umyśle. Jeszcze tej samej nocy odwiedziłem Page Talbot w jej pokoju. Miałem na sobie beżowe spodnie ze skośnie ciętymi kieszeniami – najlepszą namiastkę świeżo zaprasowanych spodni od letniego munduru amerykańskiego piechura, jaką znalazłem. Stałem w progu, myśląc o tym, jak Burt Lancaster czekał na deszczu, aż Deborah Kerr otworzy drzwi. Moja kariera intelektualisty dobiegła końca.

Na przedostatnim roku studiów poznałem Kena Wilda. Wyszedłem rano z pokoju, spóźniony na zajęcia, i ruszyłem w dół po schodach, a kiedy mijałem pierwsze piętro, usłyszałem muzykę, głębokie susy saksofonu tenorowego. Przez chwilę stałem, słuchając, zanim skręciłem w korytarz. Dźwięki płynęły z gramofonu rozkręconego chyba na cały regulator. Na brzegu łóżka siedział mocno zbudowany facet, oparty przedramionami o własne

kolana, i nieznacznie kiwał głową. Miał na sobie czerwono-czarne bokserki ze znakiem firmy Everlast na gumie w talii. Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, szczerząc zęby w uśmiechu, i wskazał mi krzesło. Po jakichś dziesięciu minutach płyta się skończyła i ramię adapteru samo wróciło na widełki.

– Coltrane – powiedział gospodarz.

Pochodził z Chicago i miał za sobą służbę w piechocie morskiej. Przez resztę tamtego ranka słuchaliśmy jego płyt. Czulem, że ta muzyka, jej dymnobłękitna woń, paryskie poranki, kocie bebechy rozsmarowane po Lenox Avenue, tkwi we mnie od dawna. Tak jak niejeden biały delectowałem się myślą, że w zamierzchłych zakamarkach mojego jestestwa płonie jakiś afroinstynkt.

Wild i ja od razu się zaprzyjaźniliśmy.

Kłóciliśmy się i podpuszczali, boksowaliśmy, markując uderzenia, i popełnialiśmy zwykłe studenckie bluźnierstwa słowem i uczynkiem, czerpiąc natchnienie z pierwszych kilku stron *Ulissesa*, na których Buck Mulligan radośnie drażni się z Bogiem. Zastępowały nam one Biblię i nie mogliśmy odżałować, że nad naszym dzieciństwem nie wisieli szarym cieniem żadni jezuici i teraz też nie spadną na nas zniecka z maskami pośmiertnymi i summą.

Obaj pisaliśmy wiersze. Lubiałem chwytać słowa za gardło i przelewać je na papier jeszcze żywe, lecz kiedy nie potrafiłem dokończyć czy choćby zacząć dzieła, nie spędzało mi to snu z powiek. Miałem przecież kamerę. Za to Wild zawsze dawał z siebie wszystko i walczył bez pardonu, nie wysyłając parlamentariuszy w obliczu porażki. Zapisaliśmy się do uczelnianego stowarzyszenia poetów, ale

wyłącznie po to, żeby ostentacyjnie nie przychodzić na zebrania, pozwolić się skreślić i założyć własne stowarzyszenie. Nie chciało nam się jednak zawracać tym sobie głowy.

Czytaliśmy antologie, uwielbiając, a zarazem nienawidząc umieszczonych w nich autorów – tych wszystkich nadludzkich, genialnych pasjonatów. Wyławialiśmy pojedyncze detale i głaskaliśmy je jak mali chłopcy w lwiarni. Wild w trakcie tych sesji strasznie się zapalał: przewracał kartki, miotał się od książki do książki, czytał z nich natchnione frazy, podnosząc głos do krzyku, i obaj raz po raz wybuchaliśmy gromkim śmiechem, poruszeni zawartą w tych wersach radością, zdumieniem i cierpieniem. Próbowaliśmy pisać przy jazzie i winie, ale bardziej by mi się chyba opłaciło spędzić ten czas w łóżku z Wendy Judd.

Ludzie marzą o pieniądzach i miłości. Wendy

miała ambicję dostać się jako statystka do jakiegoś wysokobudżetowego filmu w technicolorze. Nie łudziła się, że zostanie gwiazdą. Na Zachodzie dość wcześnie pojawiło się zjawisko fragmentacji, rozmiękania mitu na realne składowe, a ona była rodowitą Kalifornijką. W zupełności by jej wystarczyło, gdyby w jakimś filmie pokazano jej potylicę albo rewolucyjną pięść wzniesioną w scenie zbiorowej pod Bastylią. Spędzała sporo czasu z Simmonsem St. Jeanem, który w Leighton Gage prowadził zajęcia z filmologii i krytyki. Miał dopiero koło trzydziestu lat, ale zgrywał się na kogoś w rodzaju powypadkowego Montgomery'ego Clifta, pustego niczym pudło rezonansowe. Pracował nad swoją bladością tak samo, jak każdy z nas pielęgnował opaleniznę. Zarazem jednak starał się dawać do zrozumienia swoim studentom płci męskiej, że jak na zgrzybiałego starca jeszcze nie najgorzej sobie

radzi z dziewczynkami. Ponieważ robiłem dyplom z filmu, a Simmons uważał mnie za rywala w kategorii ogierów, z pewną ostrożnością interesowaliśmy się sobą nawzajem. W naszych dyskusjach rozbrzmiewała palba z broni krótkiej. Wendy Judd i ja poszliśmy z nim kiedyś na kawę.

– Młódzież w waszym wieku po prostu mnie fascynuje – oświadczył. – Niedawno spędziłem noc, to znaczy wieczór z jedną swoją studentką, Pamelą jakąś tam, i byłem nabożnie zdumiony jej naturalnością i zupełnym brakiem prowincjonalizmu, spokojnym panowaniem nad własnymi uczuciami. Wy, młodzi, jesteście tak cudownie swobodni i otwarci. W ogóle nie macie tych kompleksów, które ja miałem w latach studenckich. Aż miło popatrzeć.

– Dlaczego zawsze wyglądasz, jakbyś był zmęczony i zużyty? – spytała Wendy. – Nie żeby mi

się to nie podobało.

– Wolałbym nie mówić o sobie. Straciłem już wszelką nadzieję, że uda mi się określić, kim albo czym jestem. Może kiedyś, jeżeli Dave pozwoli, opowiem ci, Wendy, o swoim życiu. Ale na razie wolałbym posłuchać, jak wy dwoje mówicie o sobie. Jedną z wielu miłych stron wykładania na takiej uczelni jest swoboda kontaktów między studentami a pedagogami. Nigdzie indziej w całym kraju nie ma czegoś takiego. Dave, jaki temat pracy wybrałeś w tym roku?

– Kręcę film na pustyni, Simmons. To będą prawie wyłącznie czyste obrazy z niewielką domieszką sensu dla tych, którzy go pragną.

– Czyste obrazy świetnie mi robią. Mam wrażenie, że działają przeczyszczająco.

– David pokazał mi, co nakręcił rok temu – powiedziała Wendy. – Przyznaj, Simmons, że to

był zupełny odlot, te wszystkie odbicia i cienie.

– Jemu się to nie podobało – wtrąciłem.

– Tego bym nie powiedział, Dave. Było parę niezłych momentów.

– Ocenił ten mój filmik jako potulnie wtórny. Zdaje się, że wspomniał o wczesnym Kurosawie.

– Raczej prenatalnym – uściślił Simmons. – Szczerze bym pragnął kontynuować tę rozmowę, ale za dziesięć minut mam zajęcia. Moi pierwszorocznicy niepokoją się, kiedy się spóźniam. Ojciec zastępczy i tak dalej.

– Idę w tę samą stronę – powiedziała Wendy.

– Myślałem, że pojedziemy we dwoje nad jezioro – odparłem. – Może byś się z nami zabrał, Simmons? Nigdy nie widzujemy cię nad jeziorem. Wendy i ja rozglądamy się za tobą, ale nigdy cię tam nie ma.

– Spieszę się na zajęcia. To dokąd w końcu

idziesz, Wendy?

– Jedziemy nad jezioro – oświadczyłem. – Mogę ci pożyczyć kąpielówki, jeżeli nie masz własnych, Simmons.

– Na pewno dysponujesz wystarczającym zapasem kostiumów kąpielowych dla całej brygady ratowników, Dave, ale niestety chyba innym razem.

– Razem czy osobno?

– Słońce dobrze by ci zrobiło – powiedziała Wendy.

– Powinieneś wyjść na dwór i spojrzeć słońcu w oczy, Simmons. Za dużo przesiadujesz w ciemnościach.

– Pocieszam się myślą, że w dobrze oświetlonych miejscach nie dzieje się nic szczególnie zajmującego.

– Bach! – powiedziała Wendy.

Zapewniwszy sobie zwycięstwo na ważniejszym froncie, nie odmówiłem przegranemu prawa do ostatniego słowa. Wiadomo, jak bardzo starszemu pokoleniu zależy na zachowaniu twarzy.

Chociaż w Leighton Gage nie było żadnych drużyn, sport traktowaliśmy chyba poważniej, niż traktuje go większość studenckich zbiorowisk. Tyle że graliśmy w inne gry – nie zespołowe, szybkie, niebezpieczne. Jedną z ważnych rzeczy, które można kupić za pieniądze, jest szybkość. Szybkość i mgnienie śmierci. Urządzaliśmy nieformalne wyścigi samochodów sportowych i motocykli, jeździliśmy po pustyni lekkimi terenówkami, ścigaliśmy się motorówkami po zalewie nieopodal kampusu. Kilku studentów miało własne samoloty, a kto żył z nimi w przyjaźni, ten mógł przelecieć się do Los Angeles na weekendową imprezę i w drodze powrotnej sprawdzić, czy rzeczywiście pragnie

poetycznej śmierci w kwiecie wieku. Wszystko to robiliśmy w zasadzie z pobudek duchowych. Wielu z nas ciężko się poturbowało, kilku się zabiło, a my, którzy ocaleliśmy, odnosiliśmy się do tych kraks z profesjonalną beznamietnością. Tego już nie da się kupić za pieniądze, ale trzeba się nauczyć – albo wrócić do bejsbolu.

Ojciec Page Talbot kupił jej na urodziny małą motorówkę z włókna szklanego i przysłał ją nad zalew położony jakieś półtora kilometra na północ od kampusu. Page kazała ją pomalować na liliowo i żółto. Chciała też zamontować na motorówce sypialniany baldachim, ale ktoś jej to wyperswadował. Kiedy pierwszy raz zaprosiła mnie na wspólne (jak to określiła) żeglowanie, urwał się silnik. Czekając, aż ktoś nas weźmie na hol, popijaliśmy piwo i dryfowaliśmy; w miarę zadowoleni, zataczaliśmy przy tym kółka, udając, że leniwie płyniemy arabską dawką przez chaszczce

papirusu na Nilu w Sudanie.

– Zaliczyłam dziś w nocy Kena Wilda –
powiedziała Page.

– Nie wiedziałem, że się znacie.

– Nie znaliśmy się.

– Nie mam ochoty o tym słuchać.

– Właściwie jest całkiem miły.

– Mówiłem ci, że przymierzam się do myśli
o małżeństwie? Zeszłego lata w rodzinnym mieście
pознаłem dziewczynę i od tamtej pory do siebie
pisujemy. Ona jest teraz w Londynie i zwiedza
epitafia. Przychodzi mi czasem do głowy, żeby
zadać jej to wyświechtane pytanie.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ktoś
z naszego pokolenia miałby chcieć się żenić –
powiedziała Page. – Naprawdę, dla mnie
małżeństwo to ślepa uliczka.

– Nie masz ochoty pobawić się w dom?

– Chyba że to będzie trypoziomowe mieszkanie nad zatoką Montego.

– Opowiedz mi o Wildzie – zażądałem. – Jest dobry w łóżku? Lepszy ode mnie? Nie muszę znać szczegółów. Powiedz tylko „tak” albo „nie”. To ważne.

Młodzian Wrzodzian znikł z kampusu trzy miesiące przed końcem studiów. Nikt nie wiedział, dokąd pojechał. Myślałem, że jego zniknięcie wpędzi tych, którzy go ignorowali i wyśmiewali, w poczucie winy. Ale stało się tylko tematem żartów. Twierdzono, że pojechał do Tybetu na poszukiwanie świętego, który wyleczy go z czyraków; albo wędruje po pustyni, kompletnie obłąkany, i śpiewa przeboje z późnych lat czterdziestych; a może zabarykadował się w męskiej toalecie przy bibliotece, z pistoletem maszynowym, zapasem amunicji na kilkaset serii

i dezodorantem w aerozolu. Pewnego wieczoru zajrzałem do pokoju Leonarda, łudząc się, że jakiś ślad (podkreślony w książce passus, mapa samochodowa, list od rodziców) podpowie mi, gdzie on się podziewa. Ale znalazłem tylko kartkę ze słowami:

*Coś mi mówi że dziś w nocy
przyśnią mi się gazety
zawinięte w ryby*

Leonard Zajac spędził wśród nas cztery lata i mimo swojego żalosego niezgrabstwa był jednak mężczyzną, a mimo to jego tajemniczą ucieczkę, do której mogła go skłonić nieprzewyciężona zgroza, przyjęto co najwyżej z lekką ulgą. Wrócił nazajutrz po rozdaniu dyplomów. Niektórzy z nas byli jeszcze na

kampusie. Pakowaliśmy rzeczy do samochodów, dopinaliśmy plany wakacji w Andach, na Balearach albo na szkunerach płynących do Indii Wschodnich. Za trzy miesiące mieliśmy poddać się konieczności zarabiania na życie, więc w naszych rozmowach tego ostatniego dnia dźwięczała nuta hysterii. Merry i ja zamierzaliśmy za jakąś godzinę ruszyć na Wschód i właśnie rozmawialiśmy na dziedzińcu ze znajomymi, kiedy Leonard dotknął mojego ramienia, żeby szeptem przywitać się i pożegnać. Powiedział, że wrócił po swoje książki. Mieszkał w Arizonie wśród Indian Havasupai i miał zamiar natychmiast tam wrócić na resztę życia. Kiedy spytał o moje plany, potrafiłem tylko wzruszyć ramionami. Jego czyraki znikły. Wyglądał, jakby zrzucił ze dwadzieścia kilo. Nie przedstawiłem go znajomym, bo chwilowo nie pamiętałem, jak ma na imię.

Wszystko zaczyna się w Kalifornii. To jak

z podziemnym leksykonem getta: ledwie Madison Avenue zdąży złamać szyfr, Harlem wymyśla nowy. Podobnie rzecz ma się z Kalifornią i Nowym Jorkiem. Kiedy surfing i nagość dotarły na Wschód, Kalifornia wystroiła się w powłóczyste szaty z madrasu i wróciła pod dach, żeby odkryć komunę. Podobało mi się tam i może nawet bym został. Ale mój ojciec mieszkał na Wschodzie, sam jeden w domu pełnym pozytywek, i nie miał najmniejszego zamiaru się przeprowadzać. Każdy z nas usiłuje coś zapomnieć. Jeżeli starcza nam rozumu, wyruszamy w nieznane. Ale ojciec nie mógł zostawić domu, a ja nie miałem dość oleju w głowie, żeby zostać na płytszym krańcu kontynentu. No to popłynąłem.

Duży Bob Davidson pierwszy raz pojawił się w Old Holly, kiedy miałem osiemnaście lat, czyli Jane musiała mieć dwadzieścia jeden. Pracował

wtedy w Nowym Jorku i przyjechał na weekend poznać rodzinę. Spędzałem lato w domu, szlifując formę w golfie i tenisie, trochę też żeglując. Jane zaproponowała, żebym spędził parę godzin z Bobem, zagrał z nim w tenisa i wypił kilka piw. Niech się chłopak poczuje mile widziany. No więc pojechaliśmy we dwóch do klubu, starając się nie przesadzać z uprzejmością, lekko sobie nawzajem docinając, szukając czułych punktów. Bob sprawiał sympatyczne wrażenie. Był wysoki i masywny. Twarz miał w kolorze dziwnie mokrego rózu, jakby przed chwilą wylizal ją pies, a włosy jasne i zupełnie proste. Nosił sportową koszulę wypuszczoną na spodnie. Była to spłowiała koszula w kratę, z ołówkiem zahaczonym skuwką o brzeg górnej kieszeni. Z czasem się okazało, że Bob stale ma ołówek wpięty w górną kieszeń koszuli albo marynarki, i kiedy go widziałem, zawsze mi się wydawało, że

lada chwila wyjmie bloczek i wypisze zamówienie na trzy tuziny kosiarek do trawników.

Przebraliśmy się i zaczęliśmy grać. Szło mi jak nigdy w życiu, więc pomyślałem, że na początku nie będę się wysilał i niech Bob podyktuje tempo. Wkrótce stało się jasne, że postanowił mnie zniszczyć. Uganiał się po całym korcie, ponury i zakurzony, w niskiej chmurze glinianego pyłu, i przed każdym serwem zwięźle ogłaszał stan meczu. Im bardziej się starał, tym gorzej mu wychodziło. Serwował w sposób nieobliczalny i właściwie w ogóle nie miał bekhendu. Zaczynałem już się nudzić, kiedy zobaczyłem, że na jednej z ławek przy korcie siedzi ojciec. Po pierwszym secie zawołał mnie do siebie.

– Dopiero co przyjechałem – powiedział. – Kto wygrywa?

– Pierwszego seta ja.

– Iloma punktami?

– Chyba sześć do jednego. Bob liczy punkty. Prawdę mówiąc, nie bardzo mnie wciąga ta gra.

– No to niech cię wciągnie – rzekł ojciec. – Masz mu spuścić lanie. Masz wygrać bez straty seta. Żebym mógł po powrocie do domu powiedzieć wszystkim, że miałeś miażdżącą przewagę. Bez straty seta. Tak chcę wszystkim powiedzieć. Chłopak wygrał bez straty seta.

– Nie lubisz go, tato?

– Nie w tym rzecz, czy go lubię. Przecież ja go wcale nie znam. Tu chodzi o rodzinę. O to, że on zjawia się w naszym domu i Bóg jeden wie, co się dzieje między nim a Jane. Jezu, sam popatrz, jaki z niego kawał byka. Może jej zrobić krzywdę albo co. Niech sobie będzie najfajniejszym facetem na świecie. Ale nie to się liczy. Tu chodzi o rodzinę, chłopcze. A teraz bierz go. Wygryź mu tyłek.

– Dobra – odparłem.

Wygrałem bez straty seta, z łatwością, zawstydzając Boba; kusiłem go lekkimi jak krople deszczu piłkami, za którymi biegał od końca do końca siatki, a potem nagle puszczałem mu bombę tuż koło ucha. Na koniec ojciec poklepał mnie po plecach i natarł mi kark, winszując, jak to ujął, epokowego zwycięstwa, chwalebne pogromu. Kosztem intruza doszło więc między nami do jednego z tych dziwnych wybuchów rodzinnej miłości, tak radosnych, że aż oszołamiają, wręcz obezwładniają uczestników. Powiedziałem ojcu, że prawie wcale się nie spociłem, a on roześmiał się, jakby w życiu nie słyszał niczego zabawniejszego. Poszliśmy do szatni, obejmując się za ramiona, a Duży Bob parł przed nami jak pług śnieżny.

Ojciec pił ciemne irlandzkie piwo. Większość

garniturów kupował w Anglii. Lubił holenderskie cygara i jeździł włoskimi albo angielskimi samochodami. W bibliotece miał głównie książki o Londynie sprzed Wielkiego Pożaru i amerykańskim Zachodzie sprzed bitwy pod Little Big Horn. Buty szyła mu ręcznie londyńska firma, która przechowywała odlewy jego stóp z dnia, gdy pierwszy raz dotknął nimi angielskiej ziemi. Chociaż rzadko jeździł konno, trzymał u siebie w pokoju kilka siodeł w zachodnim stylu, a także małą kolekcję winchesterów 73s i jedną strzelbę sharps kalibru 0,50, którą nazywał swoją pukawką na bizona. Preferował niemieckie kamery i palił duńskie fajki, warte prawie dwieście dolarów za sztukę.

Dawniej średnio dwa razy na tydzień jadał lunch w klubie „Playboya”. Później zaczął chodzić ze znajomymi albo z klientami do ich klubów, takich jak Harvard, Princeton, New York Athletic

Club, Yale czy New York Yacht Club. Sam skończył Long Island University. Męska woda kolońska, której używał, dojrzewała w dębowych beczkach i zawierała ponad trzysta składników. W różnych okresach życia jeździł takimi samochodami jak mg, jaguar, ferrari, aston martin i maserati. Może wszystkie te konie mechaniczne miały zdjąć odium z Long Island University.

– Człowiek ciężko pracuje, żeby zarobić dwieście tysięcy dolarów – powiedział mi, kiedy jechaliśmy jego jaguarem mark IX przez obrzeża miasta. – Oszczędza, kombinuje, inwestuje. Dochodzi do jakiejś sumy i jeżeli umiejętnie planuje i szczęści mu się na rynku, może zacząć coś budować dla swojej rodziny. I demokracja właśnie dlatego warta jest tego całego potu i korupcji, że kiedy mężczyzny zabraknie, ona zapewni bezpieczeństwo jego żonie i dzieciom. No bo co będzie, jeżeli mi się coś stanie? Twoja

matka nie znosi, jak o tym mówię, ale trzeba się przygotować na taką ewentualność. To jest właśnie zadanie głowy rodziny w wolnej republice. Mam chyba z dziewięć różnych polis, które zapewnią byt tobie, matce i siostrom, jeżeli coś mi się stanie. A stać może się w każdej chwili, wiesz. Wystarczy, że za chwilę jakiś pies wylezie na jezdnię, a ja raptem skręcę i bum. Wiesz, o co chodzi? Punktem zwrotnym były pieniądze, które odziedziczyłem po ojcu. Pozwoliły nam wyjść z biedy. Ale człowiek nieostrożny tylko się rozchoruje na żołądek. Opowiem ci autentyczną historię, którą przeczytałem w jednym z najbardziej poważanych czasopism naukowych w tym kraju. Uчени zrobili eksperyment z dwiema małpami. W minutowych odstępach aplikowali im elektrowstrząsy. Jedna małpa miała przycisk i musiała go tylko użyć, żeby uniknąć wstrząsu. Druga też miała przycisk, ale nieczynny. W końcu

ta pierwsza połapała się, co jest grane, i zaczęła naciskać guzik jak wariatka, żeby jej prąd nie kopnął. Tymczasem druga zorientowała się, że jej guzik jest głównie wart, więc kucnęła w kącie i spokojnie się drapała, chociaż co minuta dostawała kopa. I jaki był wynik? Pierwsza małpa dostała wrzodu żołądka i po dwóch tygodniach odwalila kitę. A ta, co się pogodziła z elektrowstrząsami, żyła długo i szczęśliwie. Z tego doświadczonek płynie morał dla ludzi naszych czasów. Widać w nim wyraźnie, jaką cenę płaci się za to, żeby się wdrapać na szczebel decydenta. Muszę cię kiedyś oprowadzić po swoim biurze. Zobaczysz sześćdziesięciu pięciu małpisonów na kierowniczych stanowiskach, którzy płaczą w słuchawki telefonów i szczają krwią. W takiej branży robi twój stary. Ale o mnie się nie martw, chłopcze. Mam bebech z lanego żelaza i wszelkie szanse przetrwać to wszystko.

W głębi duszy jestem zajadłym konserwatystą, potomkiem wielu pokoleń prezbiterian, którzy w sekrecie popijali. Mój dziadek był kowalem w Sag Harbor. Ale o czym to ja chciałem?

W pewien letni wieczór ojciec wrócił z pracy i opowiedział nam, co spotkało pasażerów pociągu, który siedemnaście po szóstej ruszył z Grand Central. Cały garnitur i koszulę miał we krwi.

– Każdy czytał swoją gazetę. W całym wagonie widać było tylko te zadrukowane płachty. Wszedł kontroler i zaczął sprawdzać bilety. Jechaliśmy wtedy jeszcze pod ziemią i pamiętam, że właśnie doczytywałem do końca notowania giełdowe, kiedy pociąg wyjechał z tunelu i ruszył przez Harlem. No i nadleciał pierwszy kamień. Trafił w okno po przeciwnej stronie i szkło się rozprysło. O dziwo, nikt słowem się nie odezwał.

Drugi kamień uderzył w moją stronę wagonu, dwa okna przede mną. Rozbił szybę w drobny mak, a ja zrozumiałem, że to coś poważniejszego niż wybryk paru cwaniaczków, więc spojrzałem w swoje okno, a potem w to naprzeciwko, i zobaczyłem, że nad nami stoją za parkanem młodzi Portorykańczycy i walą kamieniami jak wariaci, dziesiątki smarkaczy stoją rzędem po obu stronach torów, śmieją się i łomoczą kamieniami. Nikt już wtedy nie czytał gazet. Wszyscy włączyliśmy pod fotele i dziwne, ale znowu nikt nie mówił ani słowa. Jakbyśmy dawno wiedzieli, że prędzej czy później coś takiego nas czeka. I właśnie nadszedł ten dzień. Jedne kamienie odbijały się od ścian wagonu, inne wybijały szyby. Rzucali je mali chłopcy. Dwunasto-, trzynastoletni. I nagle przestali. Przez jakieś dziesięć sekund był spokój i już zaczęliśmy wyłazić spod siedzeń, kiedy znów zaczął się ostrzał. Tym razem rzucali czarni i ci to

już zrobili zupełną demolkę. Stali na dachach domów. Posypały się kolejne okna, a z tyłu wagonu jakiś facet jęczał, bo oberwał kamieniem albo się skaleczył szkłem, którym zasypana była podłoga. Jak wyjechaliśmy z Harlemu, pomyśleliśmy, że już po sprawie, więc zaczęliśmy zgarniać z foteli okruchy szkła, a niektórzy nawet już żartowali i wszyscy się śmialiśmy, chociaż te żarty właściwie nie były śmieszne. Śmialiśmy się, żeby odreagować szok. Wiecie, o co chodzi. Ale w południowym Bronksie znów poleciały kamienie. Przez cały Bronx spadały na nas falami. Nie wiadomo dlaczego tam już tak gęsto nas nie bombardowali. Ale właśnie wtedy jakiś portoryjek trafił jak rasowy snajper prosto w moje okno i kawałek szkła rozciął mi rękę. W końcu gdzieś koło Woodlawn kanonada ustała. Wagon wyglądał w środku jak po przejściu tornada. Wszędzie szkło, kamienie i gazety. Po nikim nie

znać było oburzenia ani urazy, najwyżej lekkie zdenerwowanie. Razem ze mną wysiedli z pociągu trzej czy czterej faceci i kiedy szliśmy do samochodów, żaden słowem nie wspomniał, że przed chwilą śmierć minęła nas o włos. Te małe gnojki. Co myśmy im takiego zrobili?

– Wyprowadziliście się na przedmieścia – powiedziała moja siostra Mary. – Miłego dnia jutro w biurze, tatusiu. A jeżeli postanowisz pracować i przenocujesz w mieście, zrozumiemy.

Liceum St. Dymphna mieściło się w południowo-zachodnim New Hampshire. Miło było kształcić się w tak malowniczym zaciszu. Jesienią liście nabierały kolorów, a zimą spadało mnóstwo śniegu. Wszyscy schludnie się ubierali. Niektóre budynki wyglądały, jakby miały się wkrótce rozsypać, ale należało to do szacownej tradycji Północnego Wschodu, więc nikt się nie

przejmował. Dawniej ciało pedagogiczne składało się wyłącznie z episkopalnych duchownych, ale za moich czasów było tam też wielu świeckich nauczycieli, kilku pastorów unitariańskich i jeden baptysta znad Duck River. Przemiały woźny, Irlandczyk imieniem Petey, raz po raz zaczepiał pierwszoklasistów i kazał im wymieniać nazwiska Czterech Jeźdźców z drużyny Notre Dame. Ciało uczniowskie składało się prawie wyłącznie z małych cyników, wrogo nastawionych do religii. Mój opiekun był człowiekiem świeckim, a w Dniu Wzajemności przedstawił się moim rodzicom w następujący sposób:

– Nazywam się Thomas Fearing i należę do klubu golfowo-tenisowego w Millbrook, do tenisowego-jeździeckiego w Rhinebeck, do Nowojorskich Graczy, do Nassau w Princeton, do Nowojorskiego Princeton i do Klubu Towarzyskiego przy Church Street w Millbrook.

– Doprawdy imponujące – rzekł ojciec.

Kiedy byłem w trzeciej klasie, wynikła pewna kontrowersja. Niejaki Brad Dennis z drużyny koszykówki przed wykonaniem rzutu osobistego zawsze żegnał się znakiem krzyża. Jego matka, wojująca katoliczka, widocznie nie tylko kazała mu żegnać się przed rzutami osobistymi, ale powiedziała też, że monopol na świętą Dymphnę mają katolicy, natomiast episkopalianom, choć są całkiem mili i schludni, nie wolno uciekać się pod jej obronę, a już absolutnie nie powinni łączyć jej imienia z żadnym ze swoich liceów, choćby było najznakomitsze i w ogóle bez zarzutu. Brad zaczął rozpowszechniać tę wersję i za fatygę dostał pręg na tyłku, bo wychowawca zlał go pasem. Ale to tylko wzmogło w nim zapał i wczesnochrześcijańskie łaknienie męczeństwa. Zainteresowała mnie ta afera. Brad był jak

anarchista buszujący w Pentagonie. Rozdawał publikacje Rycerzy Kolumba, gotów podjąć z każdym rówieśnikiem dyskusję i w jej toku porównać zalety wielkich religii świata. Niektórzy po capstrzyku przychodzili do jego pokoju na nielegalne zebrania, żeby posłuchać, jak peroruje o przeistoczeniu i o nieomyślności papieża. Jego żarliwość wyraźnie udzielała się wąskiemu gronu wyznawców. Ciało uczniowskie podzieliło się na obozy, a wolność słowa i prawo do nawracania stały się wkrótce głównymi tematami rozmów. Ponieważ pedagodzy wiedzieli niewiele albo i nic o pochłostnej działalności Brada, czuło się w tamtych dniach konspiracyjny dreszczyk. Wielu opowiadało się za Bradem po prostu dlatego, że zadarł z wychowawcą, który znany był jako Syn Drakuli i budził powszechną trwogę i nienawiść. Innych szczerze ciekawiły propagowane przezeń doktryny. Adwersarze przezywali go papistą,

krzyżakiem, antyintelektualistą i pindą. Uznałem, że pora dotrzeć do korzenia kontrowersji, czyli do samej świętej Dymphny. Poprosiłem Brada o coś do czytania. Dał mi broszurę misjonarzy z zakonu franciszkanów. Na stronie tytułowej widniały słowa:

ŚWIĘTA DYMPHNA

(wym. Dimf-na)

PATRONKA DOTKNIĘTYCH

ZABURZENIAMI NERWOWYMI

I CHOROBYMI UMYŚLU

„Święta od załamań nerwowych”

Okazało się, że święta Dymphna urodziła się w Irlandii jako jedyne dziecko pogańskiego władcy królestwa Oriel. Kiedy umarła jej matka, ojciec zaczął szukać dla siebie drugiej żony.

W końcu stwierdził, że ze wszystkich kobiet tylko jego własna córka godna jest tego zaszczytu. Dymphna, którą nieco wcześniej ochrzcił pewien ksiądz, miała wtedy czternaście lat. Król z całą mocą przekonywania, jaką umiał z siebie wykrzesać, przedstawił drżącej dziewczynce powzięty plan. Dymphna salwowała się ucieczką i wraz ze swoim spowiednikiem osiadła w Belgii. Szpiedzy wytropili jednak dwoje uchodźców i cała historia skończyła się, kiedy król dobył miecza i ściał głowę swojej jedynaczce. Z biegiem lat okazało się, że wiele osób cierpiących na zaburzenia umysłowe wyzdrowiało dzięki wstawiennictwu świętej Dymphny, której sława patronki załamanych nerwowo pomału dotarła z Belgii do Irlandii, aby z czasem sięgnąć najdalszych zakątków kuli ziemskiej.

Zafascynowała mnie ta historia. Mniej więcej tak samo czułem się kilka miesięcy później, kiedy

Jane czytała mi swoje notatki z wykładów Związku Chrześcijańskich Dziewcząt i Kobiet o prymitywnych religiach świata. Przy wszystkich tych wspaniałych obłąkańcach czułem, że jestem mały i zapięty na ostatni guzik. Podobał mi się nawet ojciec świętej Dymphny. Wyobrażałem go sobie z rudą brodą. Pił miód z baraniego rogu i potajemnie martwił się, czy aby jest dość męski. Poszedłem oddać Bradowi Dennisowi broszurę, z nadzieją, że wciągnę go w płomienną rozmowę o nauce, religii i wieczności. Zastałem u niego Milesa Warrena, który właśnie zakończył swoje dwa tygodnie ateizmu, był zaś najbłyskotliwszym uczniem w szkole. Kiedy oddałem Bradowi broszurę i wyznałem, jak bardzo mi się podobała opowieść o świętej Dymphnie, odparł, że pożyczył mi niewłaściwy materiał, dziecinne wymysły. Z tymi słowy wręczył mi książeczkę zatytułowaną *Podstawowe pojęcia psychologii metafizycznej*.

– Dziś już tylko Siostrzyczki Ubogich wierzą w te przedszkolne bajki o świętych dziewicach – powiedział. – Nowoczesny katolik to twardy pragmatyk, który zadaje wnikliwe pytania. Całe zagadnienie można sprowadzić do kwestii metafizyki i najpierwszych zasad. Cokolwiek istnieje, istnieje.

– A inkwizycja? – zapytał Miles.

– Nowoczesny katolik już się nie boi tego pytania.

– A ci wszyscy papieże, co mieli żony i kochanki? – nalegał Miles.

– Z perspektywy czasu możemy stwierdzić, że nie należeli oni naprawdę do mistycznego ciała Chrystusa w rozumieniu doktrynalnym. To tak jak z General Motors. Firma kłamie i oszukuje, a mimo to ludzie potrzebują samochodów.

– Jeżeli w lesie przewraca się drzewo –

powiedział Miles – i nie ma kto usłyszeć towarzyszącego temu łoskotu, to czy ono w chwili zderzenia z ziemią rzeczywiście wydaje jakiś dźwięk, czy też zjawisko dźwięku zachodzi dzięki obecności istoty obdarzonej słuchem? Czy absolut zależy od agenta, który może go zinterpretować? A może jednak jest absolutem w najoczywistszym sensie tego słowa? To pytanie stare jak Platon.

– Cokolwiek istnieje, istnieje – powtórzył Brad.

Z całego liceum najlepsze było szykowanie się do meczu bejsbolu albo kosza. Uwielbiałem to słowo: szykowanie. Siadaliśmy w szatni i psychicznie przygotowywaliśmy się do gry. Wszyscy nieraz czytaliśmy o zawodowych futbolistach, którzy przed pierwszym wykopem tak się spinają, że dostają rozstroju żołądka. Niejaki Rich Higgins z naszej drużyny koszykówki zawsze chodził do małej toalety tuż obok szatni i usiłował

się porzygać. Za każdym razem kończyło się na rozpaczliwym stękaniu, ale fajnie było wiedzieć, że nasz kolega widać strasznie się przejmuje rychłym spotkaniem z przeciwną drużyną, skoro zamyka się w toalecie i wtyka sobie palec w gardło. A kiedy stamtąd wracał, pozbywszy się przynajmniej bagażu emocji, jeżeli nie czegokolwiek innego, trener Emery oznajmiał: „Dobra jest! Szykuj się!”. No i zaczynaliśmy się szykować. Szykowanie się do meczów bejsbolu bardziej nas rajcowało, bo więcej było ubierania. Brad Dennis grał na pozycji obrońcy między drugą a trzecią bazą. Nigdy się nie żegnał tak jak podczas gry w kosza, ale zanim wychodził na pozycję, żeby odbić piłkę, rysował kijem krzyż na ziemi tuż za granicą pola pałkarza. Odbijał dopiero jako ósmy, na co jego matka półgębkiem się skarżyła.

Ameryka była wtedy, tak jak i później,

sanatorium dla wszelkiego rodzaju danych statystycznych. Troszczyliśmy się o te dane. Usiłowaliśmy je zrozumieć. Robiliśmy co w naszej mocy, żeby wydobrzały. Były ważne, bo wszelkie obawy, jakie budziła w nas perspektywa rozpadu umysłowego, w znacznej mierze rozpraszała satysfakcja, że dokładnie wiemy, jak wpędza się nas w obłęd: na jakim poziomie decybeli, przy jakiej liczbie Macha i oporze aerodynamicznym. Występowało więc zjawisko wtórnego szaleństwa, swojego rodzaju zdublowanie między liczbami a ludźmi, którzy je tworzyli i pielęgowali. Trudno zaprzeczyć, że były nam straszliwie potrzebne. Mogliśmy dzięki nim ukryć zwątpienie. Pozwalały jakoś znieść terażniejszość, zwiastowały imponujące ekscesy przyszłości i nadawały zgrabną, zwodniczą konfigurację ocalałym w naszej pamięci wspomnieniom. Wszyscy byliśmy przyrodnikami.

Zarówno w czasach wojny, jak i pokoju lubiliśmy liczyć ofiary.

Liczby są mniej istotne, odkąd anulowano wynalazek sumatorów, superkalkulatorów, systemów i podsystemów numerycznych. Lecz gdy cofam się myślą w przeszłość, przypominam sobie, jak wielką wagę przywiązywałem do tego, żeby móc określić sytuację lub przedział czasowy za pomocą tylu liczb, ile tylko umiałem zgromadzić. W moim odczuciu nic lepiej niż one nie pomagało uzyskać jasności obrazu. Gdybym dziś leżał na łożu śmierci i nie znał bieżącej daty, moje komórki zapewne odmówiłyby kapitulacji. Nie mając na szafce nocnej kalendarza, stopera ani szklanki z podziałką, nie wiedziałbym, jak umrzeć.

Zimą po moich czternastych urodzinach Mary poznała Arondellę. Czyli miała wtedy dziewiętnaście lat. A skoro tak, to Jane miała

osiemnaście, mój najlepszy kumpel Tommy – szesnaście, Kathy Lovell – czternaście, mój ojciec czterdzieści dwa, a matka trzydzieści siedem. Właśnie tamtej zimy Tommy i ja po raz pierwszy zawieźliśmy Kathy do jachtklubu, a latem, które nadeszło po tej zimie, obejrzałem dwa razy z rzędu *Stąd do wieczności* z Burtem Lancasterem, mając szesnaście lat. Tegoż lata odbyło się słynne przyjęcie.

W naszej rodzinie o Arondelli wspominało się rzadko, a jeżeli już, to wyłącznie po nazwisku. Tylko Mary wymawiała jego imię. Po raz drugi spotkali się w Wigilię. Kiedy Mary wyszła, żeby gdzieś się z nim zobaczyć, zostaliśmy we czworo w salonie, patrząc na choinkę.

– Ciekawe, ile on ma lat – powiedziała Jane. – Mary z niczego mi się nie zwierza, więc nie zdziwiłabym się, gdyby był od niej sporo starszy.

– Martwi mnie nie tyle jego wiek, ile sposób zarabiania – odparł ojciec.

– Mary twierdzi, że to gangster – wtrąciłem.

– No tak, ale z nią nigdy nie wiadomo, kiedy mówi prawdę, a kiedy pogrywa. Jeżeli to rzeczywiście gangster, w tym domu rozpęta się piekło. Nie pozwolę, żeby moją córkę znaleziono martwą u boku jakiegoś, pożał się Boże, gangsterzyny. Połamie mu obie ręce. Zobaczycie.

– Clinton, u ciebie cała para zawsze idzie w gwizdek. Chyba nie zaprzeczysz, kochanie? Raz po raz się odgrażasz, że kogoś poćwiartujesz, a jak przyjdzie co do czego, rozglądam się za Clintonem i gdzie on jest? O, siedzi w swojej dziupli, mamó, i pucuje siodła. Mówię ci, Jane, jeżeli kiedyś w tym domu wybuchnie pożar, idź prosto do pokoju taty, bo on tam będzie pucował siodła. W razie pożaru, zarazy czy głodu zawsze tam się

zaszyjesz, Clinton, z dala od zgiełku.

– Rozpakujmy prezenty i miejmy to już z głowy
– zaproponowała Jane.

– Moim zdaniem powinniśmy poczekać, aż wróci Mary. Zawsze przestrzegaliśmy w tym domu takiej tradycji i nie złamiemy jej z tak błahego powodu jak ten, że ona chwilowo postradała zmysły. Poczekamy na Mary.

– A jak on z nią tu przyjdzie? – spytałem.

– Twój ojciec uprzejmie go wyprosi. Da się to załatwić dyplomatycznie. Nie widzę powodu, żeby sprawiać człowiekowi przykrość.

– A jak on nie wyjdzie? Jeżeli jest gangsterem, raczej nie przywykł, żeby go rozstawiano po kątach. Widziałaś *Krzyk miasta*, Jane? Grają w nim Victor Mature i Richard Conte. Ten drugi gra gangstera, a pierwszy jego dawnego kumpla z dzielnicy, który nie został gangsterem, tylko

detektywem.

– Tym się zajmujesz w New Hampshire? – spytał ojciec. – Co wieczór chodzisz do kina? Wydaję majątek na tę twoją szkołę.

Mary nie była ładna, ale jej żywa, wyraźnie inteligentna twarz wyrównywała braki urody. Swoich ulubionych pisarzy czytała w osobliwie adekwatnych pozach i kostiumach: Prousta na leżąco, Faulknera ze szklanką burbona, a do lektury O’Caseya wkładała ojcowski sweter z golfem. Świetnie pływała i grała w tenisa, chociaż w jej podejściu do sportu chwilami przejawiało się lekkie poczucie wyższości; był dla niej za łatwy, a wyniki zbyt przewidywalne. Rodzinę traktowała prawie tak, jak mogłaby traktować raketę tenisową, czyli z szorstką czułością i uroczo beztroską pogardą. Ale mną nie gardziła. Byłem jej młodszym braciszkiem i chyba

mnie bardzo kochała. Niemal każdy tekst ojca wprawiał ją w zachwyty.

– Tatusiu – mówiła. – Jesteś prawie taki śmieszny jak Eisenhower.

Ojciec był nią jednak raczej oszołomiony niż zachwycony. Kiedy na nią patrzył, musiał chyba się zastanawiać nad strukturą własnej natury, bo z całą pewnością uważał za oczywiste, że tylko buntowniczy wybryk jego nasienia mógł sprowadzić na świat tę nie wiedzieć skąd przybłąkaną komediantkę.

Grałem z Mary na strychu w warcaby. Padał zimny deszcz. Moja siostra piła czysty rum ze szklanki do piwa i paliła papierosa jak Lauren Bacall, z chłodnym wdziękiem sennych rytmów. Mimo późnego popołudnia była w pizamie.

– Jak go poznałaś? – spytałem.

– To dłuższa historia, bracie. Ale właściwie

mogę ci ją opowiedzieć, choćby po to, żeby odwlec kolejną sromotną porażkę w starciu z królem warcabów z Westchester. Kiedy podjęłam tę kontrowersyjną decyzję, że rzucam studia, dręczyło mnie jedno drobne pytanko. Co dalej? Jak już teraz wiemy, nie chciałam tu wracać, ale też nie paliłam się do tego, żeby wynająć mieszkanie w mieście i zacząć karierę stenografki. Na samą tę myśl nogi się pode mną uginały. Wiedziałam tylko, że muszę spadać z uczelni. W Massachusetts, pomimo wszelkich zachwyków nad tamtejszym fermentem intelektualnym, nie powinno się szukać wykształcenia. Najbardziej utkwili mi w pamięci poważni młodzieńcy walący fajkami w popielniczki. Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak strasznie mnie przygnębia ten widok. Już mnie mdliło od tego wszystkiego. Mdziło mnie od słuchania w kółko tych samych powieści.

W kółko na okrągło tych samych zdań, frazesów, akapitów. Wiem, jestem przewrażliwiona, ale miałam nadzieję, że właśnie tam, na Północy, mój małosłowny talent do szukania dziury w całym nareszcie uwiędnie i obumrze. Łudziłam się, niestety. Cała ta instytucja miała jak na mój gust zbyt wiele znamion chowu wsobnego. Cały kompleks edukacyjny i ta akurat fabryka lizaków, w której miałam zaszczyt się kształcić. Tamtejsze umiłowanie rytuału wręcz mnie paraliżowało. I oczywiście nikt się niczego nie uczył. Ale jeden wredny zwyczaj jednak miło wspominałam. Nasza demokratyczna społeczność młodych panien stosowała coś w rodzaju obrzędu inicjacyjnego. Brała w nim udział mniej więcej jedna piąta z nas. Reszta uważała, że jest nie dość salonowy. Był całkiem prosty. Kiedy pierwszy raz siadała z nami do kolacji nowa studentka, któraś z nas mówiła do jednej z wtajemniczonych: Podaj mi, proszę, te

pierdolone marchewki. Czy coś w tym stylu. Na to padała odpowiedź w podobnym tonie i zwykle utrzymywałyśmy go aż do końca posiłku, rzucając najgorszym mięsem, jakie można sobie wyobrazić, ale jednak z pewnym wykwintem, jakbyśmy dyskutowały o uprawie sizalu na Bahamach. Zanim na stół wjeżdżał deser, nowa była zwykle w głębokim szoku. Odbiegłam od tematu, co?

– Arondella – przypomniałem.

– Chcesz łyżeczek rumu?

– Dawaj.

– W końcu rzuciłam to wszystko – powiedziała Mary. – Pojechałam taksówką do miasta i wsiadłam w pierwszy autobus do Bostonu. Tam znów złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć na dworzec kolejowy. Zapłaciłam taksówkarzowi, wysiadłam i go zobaczyłam. Siedział w tym swoim granatowym wielorybie i się czesał. Na dworze

było najwyżej pięć stopni, ale nie zamknął dachu. Miał na sobie cienką wiatrówkę z rękawami podwiniętymi wyżej łokci. Siedział z przodu, na miejscu pasażera. Schował grzebień i wystawił za krawędź okna prawą rękę, tak zgiętą, żeby biceps rozpląszczył się na drzwiach, bo w ten sposób wyglądał potężniej. Ja tymczasem próbowałam jakoś udźwignąć dwie ciężkie walizy, torbę podróżną i torebkę. Wiedziałam, że mi się przygląda. Hej!, zawołał. Przystanąłam i spojrzałam na niego. Najwyraźniej uważał się za dar od Boga dla bostońskich dziewczyc. Powiedział, że zawiezie mnie, dokąd tylko zechcę. Byle to było gdzieś w Stanach i na kontynencie. Ja na to, że jadę do Nowego Jorku. A on mi mówi, hej, tak naprawdę to tylko tam chciałem cię zawieźć. I oboje się uśmiechnęliśmy. Leslie Howard i Ingrid Bergman. Potem się dowiedziałam, że wysłano go wtedy do Bostonu, żeby kogoś zabił.

– Zrobił to?

– Tamtego faceta poprzedniej nocy aresztowano. Miał sprawę o narkotyki. W końcu ktoś go załatwił w więzieniu.

– Tatuś powiedział w zeszłym tygodniu, że jeżeli Arondella jest gangsterem, to nie będzie ci wolno więcej się z nim spotykać.

– David, ja już tylko chwilę tu pomieszkam.

– Wyjeżdżasz z nim?

– Tak.

– Kiedy?

– Nie wiem – odparła Mary. – On ma żonę i troje dzieci. Sytuacja jest delikatna, mówiąc najogólniej. Rozmaici krewni wywierają rozmaite naciski.

– A co on właściwie robi w gangu?

– Jeździ to tu, to tam. Teraz jest w Syracuse.

Podróżuje w interesach. Tak to nazywa. Działa chyba w stanie Nowy Jork i w Nowej Anglii.

– Zabija ludzi?

– Tak sędzę. Właściwie mi się przyznał. Tamten wypad do Bostonu to raczej nie była jednorazowa impreza. Ale wiesz, David, śmierć miewa różne formy. A ja wolę jego rodzaj śmierci od tej, z którą walczę całe życie.

– Daj jeszcze rumu – poprosiłem.

– Prawda, że jest cudownie, kiedy tak pada? Szaro i ciemno. Uwielbiam ciemne, chłodne dni. Robimy właśnie to, co w taki dzień robić należy. Siedzimy na strychu i popijamy rum. Miło tu, prawda? Te chude szare drzewa za oknem i stukot deszczu. Przydałaby się muzyka. Najlepiej organy.

– Przyniosę radio.

– Wynieś się z tego domu – powiedziała Mary. – Wyrwij się stąd, jak tylko będziesz mógł. Uciekaj

do wszystkich diabłów, David. To nawiedzony dom i mieszkają w nim sami nawiedzeni ludzie. Mama jest ciężko chora. A jeżeli się rozsypie, jeżeli się całkiem obsunie, spróbuje pociągnąć cię za sobą. Już ja ją znam, David. Nie zna jej nikt oprócz mnie.

*

Meredith i ja wzięliśmy ślub podczas moich ostatnich studenckich wakacji. Tydzień wcześniej dostałem list od Kena Wilda.

Piszę, bo ktoś mi musi powiedzieć, czy jeszcze żyję, czy już umarłem. Niedawno mnie o to spytano i nie znalazłem odpowiedzi, więc jeżeli ten list do Ciebie dotrze, odpisz jak najprędzej. Po tym poznam, że żyję. Naprawdę masz zamiar się ożenić z Miss Wyrobów Mleczarskich USA?

Siedzę w lasach Michigan i oddaję się fotosyntezie. Tego lata moim głównym problemem oprócz kwestii życia i śmierci jest brak zajęć, z których mógłbym się urywać. Człowiek zawsze powinien mieć jakieś zajęcia do opuszczania. Przybyłem tu firmowym samolotem ojca z całym transportem dyrektorów regionalnych, którzy lecieli do domku myśliwskiego na służbowe zebranie, żeby sobie przy okazji sprośnie porechotać. Tona przeterminowanej wieprzowiny. Przed samym lądowaniem zapalił się silnik. Pierwsza rzecz, zgasilem papierosa. To się chyba nazywa zimna krew pod ogniem wroga. Ale już po sekundzie poczułem, że zaraz spanikuję. Żaden z tamtych nie okazywał ani odrobiny zdenerwowania. Czyżbym leciał samolotem pełnym mistrzów zen? A potem gładko wylądowaliśmy i ogarnęło mnie rozczarowanie. Czuję niedosyt. Chciałem wylądować

*w płomieniach, żeby karetki z wyciem syren
mknęły po pasie startowym. Może rozumiesz ten
rodzaj patosu.*

Dostojewski siedział przy mnie

I strzygł sobie te humorystyczne paznokcie.

*Wędkuję, poluję, piszę te swoje obolałe wersy.
Ojciec chce, żebym po dyplomie zaczął pracę
w jego firmie. Na razie wystarczy, jeżeli go
zapewnię, że się nad tym poważnie zastanowię.
Każdy lubi mieć pewność. To moneta, którą ludzie
wtykają w szparę w rzeczywistości. Nieważne, czy
coś wyleci z maszyny. Grunt, że odzyskają
pieniądze. Jaka szkoda, że czytasz to tak zupełnie
bez współczucia. Biedny głupi Wild, mówisz, jest
taki jak wszyscy, całkiem sobie obsikał palce
stóp. Piszę parodię eposu (nie uwierzysz), otóż
piszę parodię eposu o chłopcu wychowanym przez*

wilki gdzieś na Syberii. Kilku znakomitych wydawców wyraziło ostrożne zainteresowanie.

Przyślij mi nowiny o arcyksięciu. Jezu, jak ja nienawidzę takich listów. Gdybym tylko był mniej zdrowszy na umyśle. Mógłbym pisać poematy wielkie jak katedry!

Poszedłem z listem Wilda, papierem, piórem i trzema puszkami piwa w swoje ulubione miejsce w Old Holly – na zbocze za remizą strażacką, zielone i bezdrzewne, zawsze bezładne, zwrócone ku zachodowi, więc porastająca je trawa z wolna przybierała odcień złocistej zieleni, podczas gdy słońce sunęło łukiem w stronę dalekich wzgórz. Zbocze spadało przez trzydzieści parę metrów i kończyło się czymś na kształt dolinki, jałowej i pełnej głazów oraz karłowatych drzewek wyrastających ze splekanego koryta po wyschłym strumieniu. Za dolinką wznosił się pagórek, a na

jego szczycie, wyznaczającym wschodnią granicę czyjejs posiadłości, było pastwisko. Ze zbocza widziałem konie, ich spuszczone łby i piękne, łagodne łuki karków; pasły się, chodząc stępa na tle dalszych wzgórz; albo stały tam, gdzie wzgórze raptem się oddalały, jakby i one chciały poskubać trawę z jakiejś niskiej łąki – konie z niebem w tle, podświetlone soczystym, cytrusowym zachodem słońca.

Wild oczywiście nie znał jeszcze wtedy Meredith. Sam wymyśliłem przydomek Miss Wyrobów Mleczarskich USA, a on tylko powtórzył mój kiepski żart. Pod koniec przedostatniego roku studiów już wiedziałem, że poproszę ją o rękę. I że jeżeli przyjmie moje oświadczyzny, wrócimy razem do Leighton Gage, żebym zaliczył ostatni rok. Nie wątpiłem, że ludziom z mojej grupy, którzy wyrastali na coraz większych światowców, Merry wyda się zbyt czysta, naiwna i niedoświadczona,

aby można ją było wypuścić samą z Disneylandu, więc próbowałem ich przygotować, rzucając a to żart, a to anegdotę, a czasem nerwową kpinę. Zarazem jednak często o niej myślałem, wyobrażając sobie, jak w jakimś londyńskim parku albo na którymś z placów siedzi na ławce pod granitowym admirałem – i jaka była piękna, kiedy kiwała głową tak jak gołębice u jej stóp, i odymała usta na widok odętych usteczek dzieci w wózkach, taka piękna i biała, ach, te jej oszczędne piersiątko, zbawienie człowieka Zachodu, gdy zwijała żółtą parasolkę. W ambiwalentne noce delectowałem się nienawiścią do siebie. Chciałem tylko przygotować koleżanki i kolegów, nic więcej; pozbawić połysku ich skwapliwe skalpele. Za karę długo pływałem pod wodą w zalewie i wynurzałem się zdyszany, a niebo z niejaką ciekawością przyglądało mi się przez zamglone okulary. I wciąż starałem się tamtych przygotować.

Tak postępują faceci, którzy dostroili własne życie do pomruków opinii publicznej. Jesienią Merry przyjechała ze mną na kampus. Wszyscy orzekli, że jest miła, i wzięliśmy w siedmioro gromadny prysznic bez dotykania.

Pisząc wtedy na zboczu do Wilda, nie wspomniałem o niej. Nie skomentowałem płonącego silnika ani trawiącej serce Kena żądry kryzysu. Nie zająknąłem się ani słowem na temat jego parodii eposu, który był oczywiście kolejną malowniczą mrzonką. Właściwie napisałem tylko jedno zdanie: *Twój list nie dotarł*. Potem przez godzinę popijałem piwo. Chciałem dopisać jeszcze coś o chęci uwolnienia się od nadmiaru zdrowia psychicznego. Wild szczerze wierzył, że nigdy nie zostanie wielkim poetą, bo jest nie dość obłąkany. Gotów byłem przyznać mu rację, ale nie chciało mi się rozważać tej kwestii na papierze. Piłem już trzecie piwo, ciepłe i zwietrzałe. Słońce

zaszło, była pora wracać do domu.

Nawet z tak daleka, z magnetycznego uścisku nadciągającego stulecia, pisanie o niej sprawia mi ból. Potrzebowałam aż tyle czasu, żeby zebrać myśli. I chociaż już chyba doszedłem ze wszystkim do ładu, nie wiem, czy zdołam jasno i szczerze napisać o tych sprawach. Może będę musiał w niektóre fragmenty wdmuchnąć trochę dymu jako zasłonę dla ognia.

Pewnego lata kupiła dwie lalki: jedną dla Jane, drugą dla Mary. Jane posadziła obie na swojej komódce. Ale matka zaprotestowała, więc lalka Mary wylądowała w pustym pokoju najstarszej siostry. Jane zawsze próbowała ze mną rozmawiać o takich sprawach. Kiedy miała mętlik w głowie, dźwięk ludzkich głosów podnosił ją na duchu. Święcie wierzyła, że tragedii da się zapobiec, albo przynajmniej zatrzymać spiętrzony przyptyw

jej niepojętego mroku, jeżeli dwoje rozsądnych ludzi usiądzie w znajomym pokoju i omówi problem. Ale ja nie chciałem niczego omawiać. Mniej bałem się milczenia niż uwikłania w słowa. Oddalenie, milczenie, mrok. Wśród ich ogromu miałem nadzieję uniknąć wszelkiego przymusu pojmwania i unicestwić każdą szansę wyjaśnienia. Jane weszła do mojego pokoju z czajniczką herbaty i zamknęła za sobą drzwi.

– I co zrobimy? – spytała.

– Z czym?

– Przecież wiesz.

– Nie ma tu nic do zrobienia – odparłem. – Trzeba by jej załatwić lekarza. Jakiegoś psychiatrę z Park Avenue. Ale to robota dla taty, no nie? Chciałbym dokończyć tę książkę i odnieść ją do wypożyczalni, zanim zamkną.

– A co zrobimy z lalkami?

– Zostawimy je tam, gdzie są, i zapomnimy.

– Jak myślisz, David, co to znaczy?

– A skąd mam wiedzieć, do ciężkiej cholery?

Daj mi spokojnie doczytać książkę.

– Możesz ją doczytać jutro.

– Wtedy już będzie przetrzymana.

– To chyba jakaś sprawa z naszego dzieciństwa

– powiedziała Jane. – Ona pewnie chce nam coś wynagrodzić.

– Jasne. Dzieciństwo. Oczywiście.

– Usiłuję sobie przypomnieć, czy miałam takie lalki, jak byłam mała. Może chciałyśmy mieć właśnie takie, a ona ich nam nie kupiła, bo były za drogie. Wyglądają, jakby sporo kosztowały. Szkoda, że nie ma Mary.

– Słuchaj, kupiła dwie lalki. Nie rozumiem, o co to całe zawracanie głowy. Mogę tylko powiedzieć, jak mi przykro, że nie kupiła nic dla mnie.

Chciałem mieć samochód strażacki. Dabid nie dostał ślaziackiego wozu. Dabid ce duzi celwony wóz ślaziacki. Dabid ce się bawić z Jane i z Maly. Ale mama nie kupuje mu ładnych zabaweczek. Idź sobie, Jane, zeby Dabid mógł poczytać książeczkę. Idź już, Jane. Pa pa. No idź stąd. Jane. O, Jane sobie idzie. Jane się złości. Ale Jane jest zła na Dabida! Jane tsiaśnęła jego dżwiami. Niedobła dziewczinka. Jane już sobie pośła. Pa pa, Jane.

Potem w kwietniu zawołano mnie w akademiku do telefonu. Dzwonił ojciec. Pamiętam, co miałem na sobie: białe półbuty, białe podkolanówki, oliwkowe spodnie ze skośnie ciętymi kieszeniami i starą koszykarską bluzę od dresu, z numerem dziewięć, białą z niebieskim paskiem u dołu i niebieskimi napisami. Podczas rozmowy uporczywie wpatrywałem się we własne ciuchy, jakbym czuwał po zażyciu meskaliny, szukając wzrokiem tych ogromnych eksplozji piękna, które

podobno zdarzają się wśród zawirowań nitek tkaniny.

– Mam złą wiadomość – powiedział ojciec.

– To znaczy?

– Z mamą niedobrze.

– Zachorowała? Co jej jest?

– Chyba umiera, chłopcze. Za późno to u niej wykryli.

– Co? – zapytałem.

– Co? – powtórzył ojciec.

– Co wykryli?

– Wygląda na to, że raka. Ona nie chce iść do szpitala.

– Raka czego? Której części ciała?

– Przyleć pierwszym samolotem. Zadepeszuj, to po ciebie wyjadę na lotnisko. Jeżeli nie masz pieniędzy, zaraz ci wyślę. Ale postaraj się

pospieszyć. Powinienem był zadzwonić parę tygodni temu, ale nie umiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Wszystko się wali. Jak ja mam teraz znaleźć Mary, do wszystkich diabłów?

– Gdzie jest ten rak? – spytałem.

– W środku. W narządach kobiecych. Słuchaj, możemy to odłożyć na później? Lekarz wytłumaczy ci te sprawy lepiej niż ja.

– Który lekarz?

– Sprowadziłem Webera.

– Wywal go w cholere – powiedziałem. – Nie chcę, żeby przy niej siedział. Sprowadź innego lekarza. Wszystko jedno kogo. Tylko wywal Webera.

– To moja wina – ciągnął ojciec. – Wszystko robiłem nie tak. Powinienem był kazać ją zbadać wiele lat temu. Na tę drugą chorobę. A teraz doszła ta i jest już za późno. Dziwna sprawa,

chłopcze, ale ona powiedziała to samo co ty. Kazała wywalić Webera.

W samolocie lekko cuchnęło dziecięcymi wymiotami, gdy mknął przez ciemne chmury nad łańcuchami gór, zanim wyprysnął w spokojny błękit popołudnia. Kiedy wyszedłem z toalety, zaczepił mnie jakiś facet. Przedstawił się i powiedział, że jego żona chciałaby mieć mój autograf. Poznała mnie, a on prosi, żebym się z nią przywitał, gdy będę wracał na swoje miejsce. Wyjaśniłem, że z kimś mnie pomyliła. Odparł, że to nieważne: wystarczy, jeżeli się podpiszę jakimkolwiek nazwiskiem. No więc podpisałem się jako Buster Keaton, a kiedy przystanąłem obok fotela tej kobiety, wzięła mnie za rękę i powiedziała, że cieszy się ze spotkania i jak to miło, że w swoim gęstym planie lotów znalazłem chwilę dla wielbicielki. Godzinę przed lądowaniem jej mąż podszedł do mojego fotela

i chciał mi dać dwudziestodolarowy banknot. Przez cały lot, chcąc nie chcąc, wyobrażałem sobie tę narośl w łonie matki.

W wazonie stało siedem przywiedłych cynii. Matka spała, a ojciec mówił do mnie szeptem. Miała raka szyjki macicy. Późno go wykryto. Lekarz chciał wszystko wyciąć, ale się nie zgodziła. Przyznała się ojcu, że od dawna wie o chorobie. Miewała tajemnicze krwawienia i czuła, że coś w niej się rozpełza jak promienista zaraza, średniowieczna śmierć. Dopiero kiedy przestała wstawać, zrozumiał, że coś jest nie tak. I nie dała sobie nic wyciąć. Bóg został pokonany – oświadczyła. I żadne noże ani klamry przenigdy temu nie zaradzą. Był w moim ciele, a ja go wypuściłam. Był światłem mojego ciała, a ja je zgasiłam. Rację miało średniowiecze. Wiedźmom ogień, a za grzechy świata zaraza. Rację miał starożytny Egipt. Czytała mi o tych sprawach

piękna, promienna kobieta w słonecznym ogrodzie.

Otworzyłem okno. Do pokoju wlał się cały słodki odór kwietnia, a kiedy westchnąłem, można było prawie uwierzyć, że coś zza okna odpowiada takim samym westchnieniem – coś, co szalało na wietrze, który kołysał drzewami, po omacku wyciągającymi gałęzie; coś strasznego w trawie, ta chwila, gdy przyroda pozwala się gwałcić, przyroda na kształt ptaka, wytarzana we krwi.

Jane dotknęła mojego ramienia. Wielebny Potter tkwił w drzwiach jak statek w pionowo stojącej butelce. Ojciec schylił się, żeby zasznurować but. Usłyszałem dzwonki furgonetki z lodami.

A rano zaciąłem się przy goleniu. Krwawienie ustało po siedmiu minutach i zrozumiałem, że mogę już wyjść bez żadnego ryzyka.

– Była z zupełnie innej bajki – rzekł ojciec. –

Wiedziała rzeczy nikomu innemu nieznane. Miała w sobie coś z czarodziejki. Nie wierzę w diabły, anioły ani złe duchy. Uważam, że czego nie widać, tego nie ma. Ale kiedy twoja mama mówiła o tych sprawach, niełatwo było zachować rezerwę. Była jeszcze całkiem mała, kiedy jej matka się utopiła. Może jakoś to się na niej odcisnęło. Pamiętała zdarzenia z czasów, kiedy miała dwa lata. Może jej się przyśniły, ale nawet jeżeli tak, to w opowiadaniu wydawały się cholernie rzeczywiste. Kiedy była w ciąży z Mary, to jak tylko się okazało, że zaszła, przepowiedziała narodziny dziewczynki. I że to będzie lotna dusza jej matki. Lotna dusza. To brzmi jakby trochę wschodnio, prawda? Coś jakby z wierzeń buddyjskich albo hinduskich. Coś z reinkarnacją. Nigdy przedtem ani potem nie natrafiłem na to wyrażenie. Ale wracając do Mary. Zaraz po przyjściu na świat najbardziej była podobna do

mnie. A kiedy urodziła się Jane, można było przyjmować zakłady, że jasnowłosa gałąź rodziny, ta ze strony twojej mamy i jej matki, gdzieś po drodze przepadła. Ann wpadła w rozpacz. Pewnie czuła się, jakby jakaś katastrofa genetyczna wytępiła całą rasę. A później ty się urodziłeś. Spojrzała na ciebie i powiedziała: nareszcie jest, wynurzył się z irlandzkich mórz jak Lycidas. Kochałem ją tak, jak już nikogo na tym świecie nie pokocham. Cieszyła się z twoich narodzin, a mnie było wszystko jedno, co wygaduje i jak mało z tego rozumiem. Była szczęśliwa i tylko to się liczyło. Przynajmniej tyle ci zawdzięczam.

Powiedział, że kiedy matka była już bliska śmierci, zaczął ostro pić. Aż któregoś dnia nagle przestał. Zupełnie odstawił alkohol. Przestał pić i pojechał maserati na swój pierwszy dziwny nocny rajd ciemnymi wąskimi drogami wokół miasta. Zawsze startował tuż po północy.

Rozpędzał się do stu osiemdziesięciu na godzinę, zakręty brał przy stu dwudziestu, samym skrajem drogi, a delikatny nacisk stopy na gaz był elementem subtelnej gry w balansowanie, gdy dłonie na kierownicy podjudzały go, żeby podjechał bliżej do ślepiów, chlustających światłem na sąsiedni pas. Pewnej deszczowej nocy wpadł w poślizg, aż auto zawirowało na asfalcie i wylądowało w rowie. Wysiadł z zakrwawioną głową i wrócił pieszo do miasta. Nałożył drogi o jakieś półtora kilometra, żeby przejść przez murzyńską dzielnicę Old Holly, mijając bary i stare drewniane domy. Czekał, aż z którychś drzwi wyjdzie do niego facet z nożem. Powiedział mi, że przez cały ten czas próbował wywabić śmierć z ciała matki. Stawić czoło tej śmierci, odciągnąć ją od chorej. I właśnie w tamtą ostatnią noc z któregoś baru wychylił się jakiś mężczyzna i ruszył za nim. Ojciec skręcił za róg,

zaciśnął pięści i zaczekał. Wciąż padało, a on czuł w ustach smak deszczu zmieszanego z krwią. Facet wychynął zza rogu, podszedł do ojca i zastępował. Ojciec stał, a nieznajomy tańczył wokół niego, niespiesznie szurając butami i mamrocząc scatem jakieś stare zwrotki. Ojciec zaczął się oddalać, a tamten szedł kilka metrów za nim, sunąc i stepując z luźną elegancją człowieka nieposkromienie pijanego. Ojciec przeszedł tyłem prawie połowę odległości między przecznicami, patrząc, jak tancerz się zbliża. A potem szybko się odwrócił i pobiegł, słysząc za sobą coraz cichszy stukot stepujących stóp i niknący w oddali głos, znużony jęk z mokradeł albo plantacji bawełny, słowa nieznanego języka.

Przez ileś lat traktowałem ojca jak świadka. Po śmierci matki stał się kimś więcej. Łącząca nas więź zacieśniła się, a on skrócił dystans między nami. Staliśmy na trawie wśród kilkudziesięciu

osób. Splendor matczynej trumny podnosił wszystkich na duchu. Widziałem, że są dumni ze zmarłej, której sprawiano tak wystawny pochówek. Jej życie musiało widocznie być wspaniałym epizodem. Przelotnie pomyślałem o tych słynnych mogołach, którzy razem ze swoimi nimfomankami co chwila roztrzaskują się o drzewa gdzieś między Paryżem a Niceą. Większość banałów niepozbawiona jest treści, a my podziwiamy tych mężczyzn i kobiety za to, że mają dość rozumu, aby umrzeć tak samo, jak żyli. Była to tylko przelotna myśl i zaraz potem matka zjechała do grobu w tym swoim srebrnym ferrari z lgnącą do wieka różą.

– Ona patrzy na nas – rzekł ojciec. – Myślisz, że leży w grobie, ale to nieprawda. To do niej niepodobne. Patrzy na nas. Chce zobaczyć, co sobie nawzajem zrobimy.

Meredith po powrocie z Anglii została sekretarką w jakimś biurze na Manhattanie. Pewnego dnia pojechałem do śródmieścia kupić buty, a kiedy już to załatwiłem, spotkaliśmy się na lunchu.

– Jak tam praca? – spytałem.

– Cudowna – odparła.

– Złapałaś już z powrotem rytm? To pewnie wymaga czasu. Miałaś długie wakacje.

– Nigdzie na świecie nie pracuje się tak ciekawie jak w Nowym Jorku. Po Londynie fajnie się łązi, a w Nowym Jorku pracuje.

– Tęskniłem za tobą – powiedziałem. – Chyba mogłaś to wyczytać z moich listów.

– Były miłe. Napisane z wielką inwencją. Nie umiem ci powiedzieć, z jaką przykrością przeczytałam o twojej matce.

– Właśnie cię proszę o rękę.

- Potrzebna ci jest inna kobieta – powiedziała.
- Dwa daiquiri z lodem.
- Potrzebujesz dużo dojrzałszej.
- Wyjdiesz za mnie?
- Nie.

– To może się zastanowisz? O wiele lepiej bym się poczuł, gdybyś się przynajmniej zastanowiła. Obiecay mi chociaż, że pomyślisz jakiś tydzień czy coś koło tego. Potem możemy wrócić do tematu. Mógłbym po ciebie podjechać i wybralibyśmy się gdzieś razem, w jakieś spokojne miejsce, zjedlibyśmy spokojnie kolację i obgadali sprawę. Znam odpowiedni lokal. Kawalek za Westport. O tej porze roku miło się tam jedzie. Knajpa ci się spodoba. Błat baru oklejony jest półpensówkami. Prawdziwymi angielskimi półpensówkami. Spokojnie zjemy kolację i pogadamy o sprawie, a potem odwiozę cię prosto do domu.

Mary była zachwycona, że Arondella ma buty podkute blaszkami, jak do stepowania.

Studia nad zmarłymi Anglikami rozkwitały po południu. Z radością wyczekiwaliśmy tych spotkań z synami Bread Street i probostwa Aldwinkle. Był maj mojego ostatniego roku w Leighton Gage. We wtorkowe i czwartkowe popołudnia zasiadaliśmy w klimatyzowanej klepsydrze, delektując się tym, że nic a nic nie rozumiemy, kiedy docent przedstawia nam wiersze Drydena, Lovelace'a, Fanshawe'a i Sucklinga. Wszyscy ci poeci z serii Penguin byli tak niezrównanie martwi, a my uwielbialiśmy ich za to, że pozostałe po nich wersy znaczą dla nas mniej niż ciemna strona Księżyca. Były to wymarzone zajęcia na popołudnie, niemal czysto lingwistyczne ćwiczenia wymagające zaledwie ułamka świadomości, bo

nie mieliśmy ani cienia nadziei zrozumieć, o czym właściwie są te wiersze, więc drzemaliśmy i uśmiechaliśmy się, błogo rozanieleni i zdziecinniali, wtuleni w tę naszą łódkę na Tamizie, a gdy powietrze nad pustynią rozdzierały ponaddzwiękowe torsje eksperymentalnych odrzutowców, o mało nie zaczęliśmy oklaskiwać zawartej w tym symboliki, byłyby to jednak drżące brawa, ponieważ wiedzieliśmy, że każdy taki przelot zwiastuje śmierć naszej sennej Anglii i oddalony zaledwie o kilka miesięcy początek nowego rodzaju śmiertelności: pierwszą pracę, małżeństwo, dziecko, biurko, picie, siedzenie, kucanie, dygot, umieranie. Popołudnie było w sam raz dobre na politologię albo martwych Anglików. To dlatego poniedziałkowe popołudnia były takie straszne. Poniedziałek znaczył zen.

Hiroshi Oh był człowiekiem niepokojąco kruchym. Kiedy w sali wykładowej siadał na

krześle, dzieląc ten ruch na kilka ostrożnych stadiów, wyglądał, jakby lada chwila miał go zdmuchnąć byle przeciąg. A potem smutno uśmiechał się do swoich dzieci: wysokie blondaski z Milwaukee – szykujcie się na zen! Zawsze cieszył mnie widok tego powitalnego uśmiechu. Był to uśmiech znudzonego Wschodu, znużonego prawdą, spętanego śródlądowym bezruchem, obojętnego wobec okcydentalizacji. Krzesło i biurko wykładowcy stały na podeście pod ścianą wielkiej aseptycznej sali przypominającej stołówkę w drugorzędnym pawilonie na jakiejś międzynarodowej wystawie. Było tam dość miejsc dla dwustu studentów, ale na zajęcia doktora Oh zapisała się nas tylko trzydziestka. Siedzieliśmy daleko od siebie, kilkoro w ostatnim rzędzie, a reszta to tu, to tam, więc niełatwo było do nas przemawiać. Niektórzy kryli się za opalenizną w odcieniu ławek, czyli

palonej sjeny. Ściany były przeszklone, tak jak i niski sufit. Posadzka wyglądała, jakby pokryto ją warstwą gniecionych chrząszczy: jakby całą cywilizację czarnych tęgopokrywych zmiażdżono, upieczono w Kuchniach Sary Lee i przerobiono na kafelki. Było to idealne miejsce na zen.

Tamte poniedziałkowe popołudnia miały kolor słońca i lepkiego soku z owadów. Zen niewiele łączyło z martwymi Anglikami, więc nikt nie śmiał drzemać. Musieliśmy dokonać wyboru między głębokim snem a głęboką świadomością. Wszyscy wybraliśmy wprawdzie sen, on jednak tak jakby nas odbiegał, wiecznie oddalony zaledwie o kilka sekund, czarowny sen przepelniony miękką temperą wiosny, świeżo zazielenionymi drzewami, które czujnie stawiały się wiatrowi, zapachami pulsującej ziemi i zagadką kobiety całej w płatkach kwiatów, idącej kładką. Był to sen doskonały, ale wciąż tylko wisiał nad nami.

Wypełniał przestrzeń pod sufitem i czekał na granicy umysłu każdego z nas. Pragnęliśmy zasnąć, bo mieliśmy po dwadzieścia lat i zaczynaliśmy już się uczyć, że nie istnieje coś takiego jak niezwyciężoność. Chcieliśmy zgarnąć resztki swojej odwagi i nadziei, żeby je wysłać w sen, na emeryturę. Piękno było za trudne, a prawda na Zachodzie skonała razem z wodzem Szalonym Koniem. Czekало nas życie pełne drobnych porażek. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę i wiedzieliśmy, że sen to jedyne w życiu zajęcie, które nie ogranicza ludzkich możliwości. Lecz sen doskonały nigdy nie nadszedł. Słońce prażyło w okno, a my słuchaliśmy w te długie popołudnia, jak Hiroshi Oh każe nam raz na zawsze wypluć słowo „Budda”, mówi o czerpaniu wody i zbieraniu opału, jakie to cudowne, nadprzyrodzenie cudowne; i o nieruchomej ciszy zawartej w ruchu, i że trzeba stać się bambusem;

brzęczał niezmordowanie, opowiadając o tych delikatnych sprawach, jego głos brzmiał jak maleńki silniczek napędzający motyla, a my siedzieliśmy twarzami do słońca w oknie, marząc o śnie, który świeciłby niczym przebudzenie. Oh nas oblegał, ostrzeliwując tonami wróblích piór, i rzeczywiście było to cudowne, nadprzyrodzenie cudowne, ale tak bardzo pachniało nieosiągalnością i pradawnością, że w jakimś mrocznym zakamarku swoich dusz instyktownie wszczynaliśmy bunt. Właśnie na zajęciach doktora Oh student nazwiskiem Humbro zjadł swój egzemplarz *Wprowadzenia do buddyzmu zen* D.T. Suzukiego. Siedział o trzy miejsca ode mnie, ale nikt mi go nie zasłaniał. Pewnego dnia zobaczyłem, że wydziera z książki kartkę i z dość widoczną przyjemnością ją zjada. Na każdych ćwiczeniach zjadał kilka kartek. Do maja zdążył zjeść całą książkę. Czczono go jako

egzystencjalnego bohatera. Jadł książkę, wcale się z tym nie kryjąc przed doktorem Oh, ale wykładowca patrzył na to chyba bez żadnego sprzeciwu; w każdym razie ani słowem o tym nie napomknął i wszystkim się wydawało, że po cichu pochwała ten postępek. Człowiek musi przecież stać się książką, nim zdoła poznać jej zawartość.

W ostatni majowy poniedziałek, w ostatnim tygodniu tego ostatniego roku, na całym kampusie głośno zachwalano różne rodzaje karier, rozbrzmiewał trzepot i krakanie śmiertelności, General Dynamics i IBM, krążyły puszczone samopas plotki, nad sypialniami łopotwały olbrzymie skrzydła kryte dachówką, prawdziwa miłość i bejsbol, wiosenna równonoc, księżyc i zachłanność morskich pływów, a dyplomata od Boeinga, facet w rogowych okularach, wskazywał palcem niebo. Tylko czworo z nas przyszło na ćwiczenia z zen, czworo z trzydziściorga. Doktor

Oh uraczył nas jeszcze smętniejszym niż zwykle uśmiechem i wywiódł do dalekiego zagajnika, aby poprowadzić tam zajęcia na modłę średniowieczną, w wątpliwym cieniu palmy. Usiadł pod nią, a my zasiedliśmy wokół niego po turecku, żeby jeszcze ten ostatni raz pokusić się o jego aprobatę. Mówił o pustce. Umysł to puste pudło w pustym pudle. Jednym ruchem palca wskazującego nakreślił w powietrzu znak, imienny kształt, jedną jedyną kolistą, w pełni satysfakcjonującą linię. Leżałem na wznak, patrząc, jak niebo sunie przez błękitne luki między palmowymi liśćmi. Zamknąłem oczy i pomyślałem o śnie. Pustka jest pełnią. Stać się książką. Stać się bambusem. Ciemność przybrała odcień płytkiej zieleni. A później szerniała, gościnna jak otchłań kosmosu, a ja głośno westchnąłem i ruszyłem w głąb świeżej galaktyki. Co z tego wszystkiego rozumiałem? Episkopalianin ze spierzchniętymi

ustami. Oh nucił i recytował. Zauważcie paradoks. Puste pudło w pustym pudle. Przeszedł do kolejnych paradoksów, kolejnych delikatnych konfliktów, kwestii interpretacyjnych, przy których starożytni mistrzowie kiwali głowami na znak niezgody. Miał zwyczaj przedstawiać nam jakąś głęboką zasadę zen, starannie gromadząc dowody jej niezaprzeczalnej prawdziwości, aby za chwilę zaatakować nas zupełnie inną, tak samo niepodważalną teorią. Wyglądało na to, że z przyjemnością próbuje łamać nasze umysły, miażdżyć nas stuleciami konfuzji, jakby mówił: skoro wielcy nauczyciele i oświeceni od wieków nie umieją znaleźć wspólnej wykładni, jakież wy macie szanse kiedykolwiek się dowiedzieć, co zasługuje na wiarę, biedne naiwne białasy? Leżąc na wznak w cętkowanej ciemności, słuchałem wodnistego szmeru jego głosu, starając się usłyszeć pauzy, które tak umiejętnie wstawiał

między słowa. Pozbądźcie się powiek. Opróżnijcie swoje umysły. Zobaczcie kamień oczami innych kamieni. Gdy tak leżałem pod gołym niebem na ciepłej samiczej trawie, obietnica nieśmiertelnego snu była przekonująca jak nigdy. Czułem, że wykraczam poza wszechświat. Ale słowa doktora, dobiegające jakby z oddali stuleci, za każdym razem ściągały mnie z powrotem. Próbowałem raz po raz i wciąż na nowo wracałem. W końcu otworzyłem oczy i usiadłem, a oni wszyscy leżeli na plecach, cała trójka studentów, z zamkniętymi oczami i miękko pulsującymi brzuchami, usiłując wznieść się na inny poziom istnienia. Oh spojrzał na mnie i gestem kazał mi znów się położyć, szepnął samymi oczami: leż, dziecko, to twoja ostatnia szansa, jutro upomną się o ciebie korporacje, nigdy więcej nie zbliżysz się do tej chwili, nie będziesz miał okazji pochwycić snu przebudzenia.

Położyłem się i zamknąłem oczy. Nasunęło mi się pytanie, czy ktoś z tamtych znalazł sedno. Półtora metra ode mnie leżał Humbro, zjadacz zen. Wilda nie było wśród nas. Pewnie siedział na słonecznej werandzie i z szerokim uśmiechem streszczał dzieje trzeciego nurtu w jazzie jakiejś panience z zimnych okolic. Ciemność stanęła przede mną otworem, a ja wiedziałem, że w głębi niej jest dla mnie miejsce, ale nie zdołałem w nią uciec. Pamiętaj o Arizonie. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że doktor Oh wstaje spod palmy, a potem usłyszałem jego słowa:

– Wstańcie, dzieciaczki.

No i wstaliśmy. Zebraliśmy się na werandzie i porównali wrażenia. Okazało się, że nikt z nas nie spał, ani jedno. Wild radził nam się przygotować. Korporacje rzeczywiście nadciągały z wykresami i niewatowanymi marynarkami. Wstał

i udzielił nam prostego ekumenicznego błogosławieństwa, bo nie znał formalnej procedury ostatniego namaszczenia.

– Wywodzimy się z humanitarnej tradycji – rzekła matka. – Jeden z moich przodków wstawił się u samego prezydenta Lincolna za biednymi otumanionymi Indianami z Minnesoty.

– Ann, co to ma wspólnego ze studiami, na które go posyłamy?

– Dla moich przodków wystarczająco dobry był Uniwersytet Wirginijski.

– On woli studiować w tej jakiejś szkole na Zachodzie. Niech jedzie, gdzie chce.

– Podjąłem decyzję – oświadczyłem. – Właśnie tam chcę studiować.

– Ojciec i ja od trzech lat spieramy się, czy posłać cię do Princeton, czy do Wirginii. A ty

nagle wchodzisz tanecznym krokiem i meldujesz, że masz zamiar się zapisać na jakąś kalifornijską uczelnię, o której nikt nigdy nie słyszał. To sprawka Mary, prawda? Kazała ci czmychać z tego domu. A ja za cholere nie pozwolę ci biegać samopas o pięć tysięcy kilometrów stąd.

– Nie denerwuj się, Ann. Jutro o tym porozmawiamy.

– Milcz. Wszyscy milczcie. To robota tej małej zdziiry. Wstrętnej małej suki. Czyja ona jest? Bo przecież nie moja. Nie jest do mnie podobna. Nie myśli jak ja. To on jest mój. Ten chłopiec. Jest mój. Do kogo należy Mary, Clinton? Jeżeli nie do mnie, to do kogo? Drogą prostej eliminacji dochodzimy do ciebie, prawda? W dzieciństwie była ze mnie świetna mała gramatyczka. Tyle wam powiem. Boże. Mój ty Boże. Rób, co chcesz, David. Kogo to w sumie obchodzi? Kogo

obchodzi, co się z kim stanie?

Lato w małym miasteczku bywa zabójcze, pod pewnymi względami jeszcze gorsze niż w slumsach i niż głębokie mokre lata w portach nad Zatoką Meksykańską. Nie jest to zabójczość brudu ani rozpaczy i nie każdego ona dotyka. Lecz w niektóre dni miewa się wrażenie, że na skraju pręgowanego popołudnia, wśród powracających sążni czasu, wędruje od słońca do cienia straszliwa nowina. Lato z wolna się rozwija, wyściełana cisza turla się po puchnącej stali, a dni zaczynają się rymować, oddalenie nabrzmiwa razem z mostami, powietrze gniewa się od upału, drobne szczeliny w płytach chodnika, te dni, kiedy wydaje się, że na ziemi żyją już tylko motyle, uśpiona modliszka, pająk maszerujący po złamanych, obeschniętych błotem grabiach w ciemnym garażu. W każdym oknie zdaje się

czaić krzyk. Życie spokojne od pokoleń grozi tym, że z nadejściem odpowiedniej chwili usta rozewrą się w zwolnionym tempie, a wybuchający z nich głos roztrzaska w promieniu wielu kilometrów wszystko, co się rusza. Ta groźba największa jest latem, w szerokich pasmach słońca, kiedy starcy idą przez trawniki, brzęcząc jak owady, siedzą wśród malowanego na szaro bezruchu wolnych pokoi, wachlując się czasopismami o Syjamie i nagich piersiach Zanzibaru, stoją na werandach, żeby nasiąknąć cieniem, albo jedzą lody w osiedlowym sklepie, dwie stare panny obracają się na wysokich stołkach pod znieruchomiałymi skrzydłami wentylatorów i wszystko się rozsypie, kiedy nadejdzie chwila. Czują to tylko niektórzy i wcale nie codziennie. Może nie dochodzi do tak brutalnych scen jak w slumsach, gdzie na dachach topnieje smoła, a chłopcy wyją z nienawiścią na widok białych hełmów, lecz lato w małym

miasteczku mocą samej ciszy i kunsztu rymujących się dni potrafi z obłądną szybkością zmienić bieg ludzkich emocji.

Najwyraźniej czuje się to w niedzielę. Schludne białe kościoły stoją w zagajnikach słońca. Brzuchaci policjanci, dość starzy, żeby mieć wnuki, opięci niedorzecznymi pasami z kaburą, kierują ruchem nielicznych aut wyjeżdżających po mszy z przykościelnych parkingów. Zawilgli wierni schodzą po stopniach, mrugając oczami, idą wolno, z najwyższą ostrożnością, jakiej zawsze wymaga nowe, rozleglejsze środowisko, przez trawniki albo w stronę parkingów, na których ich samochody zdają się pływać w stalowoblękitnym rozżarzeniu żwiru. Metal gorący pod dotykiem dłoni, a w środku piekielny cuch. W niedzielę w szerokich pasmach światła jest tak, jakby po kraju rozsmarowała się cała drętwa chrześcijaństwa. W tych pałających chwilach,

kiedy mężczyznom opinają szyje ciasne kołnierzyki, a na schodach kościołów stoją dziewczynki w schludnych białych bucikach, czuje się całe milczenie Lutra, piknikujących baptystów, studentów teologii grających w amatorski bejsbol, papieży na nocnikach, strasznych metodystów wyjeżdżających starymi gruchotami za skraj urwisk. A także nastoletnich dziewcząt rozdających ulotki świadków Jehowy, i greckich arcybiskupów, i głosicieli religijnej odnowy, którzy pieszczą węże w Górach Dymnych, kalwinów dmących w kobzy, Biblii żółknących w każdym hotelu Missouri. A wszyscy oni w rzece ciszy pamiętają, że siódmego dnia należy odpoczywać.

Matka, Jane i ja wracaliśmy pieszo z kościoła. Ludzie o twarzach spiętych od prażącego słońca kiwali sobie głowami i rozchodzili się po przecznicach. Kilka samochodów powiozło nad

jezioro transport gumowych pontonów i dzieci w kąpielówkach. Kiedy skręciliśmy w naszą ulicę, pobiegłem do siebie na górę i przebrałem się w stare ciuchy. Potem przyszedł ojciec z białą torbą słodkich bułek, jak co niedziela. Otworzyłem torbę i wyjąłem bułki, a okruchy lukru przykleiły mi się do palców. Wkrótce zaparzone kawę. Jane nie chciała jeść jajek na szynce, bo było już za gorąco na solidne śniadanie. Matka nie pozwalała zainstalować klimatyzacji. Wszyscy usiedliśmy i zabraliśmy się do bułek. Jedliśmy w milczeniu. Matka powiedziała, że śniadanie to najważniejszy posiłek. W Wirginii jadali gorącą owsiankę, truskawki, jajka, szynkę i prawdziwy wiejski chleb z masłem i marmoladą. Wszyscy zamiast kawy pili świeże mleko. Po tej przemowie matki znów zgodnie milczeliśmy. Była dziesiąta rano.

Wyszedłem na werandę. Mimo wczesnej pory było gorąco jak o trzeciej po południu. Jane też

wyszła i zaraz sobie przypomniała, że w dzieciństwie siadywaliśmy na werandzie we trójkę i zgadywaliśmy, jaki za chwilę przejedzie samochód. Pamiętała, że kiedyś trzy razy z rzędu obstawiała buicka i za każdym razem trafiała. Ale to nie ona, tylko Mary trafnie wytypowała trzy buicki po kolei. Nie sprostowałem tej pomyłki.

Zszedłem nad jezioro. Pod drzewami były huśtawki i sadzawki ze zjeżdżalniami. Usiadłem na brzegu jednej z sadzawek i patrzyłem, jak małe dzieci chlapią się w płytkiej wodzie, a starsi chłopcy i dziewczynki spychają się z białego pływającego pomostu. Chłopcy mieli nosy posmarowane białym balsamem, a dwie dziewczynki siedziały na pomoście tyłem do słońca. Rozwiązane paski staników spadały im na piersi. Obróciłem się i zobaczyłem, że na szczycie zjeżdżalni stoi mała dziewczynka. Usunąłem jej się z drogi, a ona wolno, niezgrabnie sturlała się po

blaszanej pochylni. Nie miałem ochoty pływać ani patrzeć, jak inni pływają, więc poszedłem na Ridge Street i kupiłem w spożywczym jakieś czasopismo. Na drewnianej podłodze sklepu stał saturator. Czuję się osamotniony tak jak każdy szesnastolatek, kiedy sobie uświadomi, że na dalekich kontynentach jacyś młodzi mężczyźni strzelają do kondorów, wspinający się na białe urwiska, i kochają się z szepczącymi kobietami urodzonymi w Singapurze. Ten samotniczy nastrój jest na swój sposób najbardziej romantyczny pod słońcem. Człowiek chadza wtedy na długie spacery, jakby wyjęte z francuskich powieści. Czuje, że wkrótce jakieś doniosłe spotkanie nada jego życiu nowy kierunek. Stary ogrodnik zaprowadzi go do pokoju na poddaszu, zagra na skrzypcach, tak jak nikt dotąd na nich nie grał, i wyjawia tajemnicę istnienia. Śniada brunetka podjedzie nowym kabrioletem i pochylając się bez

słowa, otworzy drzwi. Zawiezie go do Meksyku i powolutku rozbierze. Czasopismo było o bejsbolu. Wróciłem do domu, żeby je poczytać na werandzie. Jacyś ludzie pomachali mi z samochodu. Było już bardzo gorąco i nic się nie ruszało. Na werandę wyszedł ojciec.

– O której przyjęcie? – spytałem.

– O ósmej.

– Uważasz, że muszę się jakoś specjalnie ubrać?

– Koniecznie.

– Mam nadzieję, że wieczorem się ochłodzi.

Ojciec wszedł z powrotem do domu. Po chwili wyszła matka.

– Masz się porządnie ubrać – powiedziała. – Nie licz, że się wykręcisz.

Wróciła do domu, a ja przeczytałem kolejny artykuł. Potem też wszedłem do domu. Matka stała w kuchni, wpatrzona w tacę francuskich ciastek.

Usiadłem w salonie. W powietrzu czuło się jakąś gęstość. Przez okna wpadały fale światła, pulsując kurzem. Siedziałem w matczynym fotelu na biegunach, wielkim i zielonym. U moich stóp stał koszyk z przyborami do szycia. Czy właśnie tak umierają ludzie? – pomyślałem. Wyciągnąłem prawe przedramię na kwiecistym obiciu poręczy i objąłem palcami ozdobną snycerkę – obły kawałek soczystego mahoni w kształcie lwiej łapy. Lewą rękę bezwładnie zwiesiłem obok fotela. Nogi w brązowych mokasynach i białych skarpetkach skrzyżowałem w kostkach. Miałem na sobie dzinsy i starą granatową bluzę od dresu, z rękawami skróconymi mniej więcej o jedną piątą. Nie bujałem się w fotelu. Mój nastrój uległ zmianie. Już nie czułem samotniczej żądzы włóczęgi, tylko dziwnie europejską odmianę nicości. Wydawało mi się, że mógłbym wiecznie tak siedzieć i cierpieć. Widziałem w tym pewną

wartość. Jeżeli człowiek latami trwa w bezruchu, wszystko w końcu zaczyna obracać się wokół niego: idee, ludzie, wojny, których szaleństwu i geniuszowi daje siłę tryskające z ludzkiej inercji światło. Jeżeli wystarczająco długo posiedzisz w jednym miejscu, prędzej czy później przyjdą do ciebie generałowie i mężowie stanu, pytając o zdanie. Mógł to zresztą być nastrój nie tyle europejski, ile azjatycki albo północnoafrykański. Ale miał też w sobie coś europejskiego, a już na pewno rosyjskiego. Siedzieć tak na wygnaniu przez długie wilczochude zimy, podczas gdy rządy upadają, a ludzie robią z siebie durniów. Aż w końcu ktoś puka do drzwi. Doszły nas słuchy, że pan beczynn timer tu siedzi. Widocznie jest pan wielkim mędrcom. Proszę odwiedzić stolicę i pomóc nam zaprowadzić ład.

Siedziałem w fotelu matki, myśląc mniej więcej o takich sprawach i tytułem sprawdzianu starając

się nie mrugać. Nagle usłyszałem jakiś dźwięk, a kiedy się wzmógł, poznałem warkot motocykli, niski zdławiony pomruk, jeszcze daleki, ale coraz bliższy, trzaskający grzmot, i już wiedziałem, że to więcej niż dwie albo trzy maszyny. Podeszedłem do okna i wtedy nadszedły z rykiem, który jak gdyby pękał i kruszył się pod kołami, rozdzierany na pomniejsze dźwięki, natychmiast miażdżone przez kolejne opony, raz za razem. Naliczyłem dziesięć, a potem dwanaście maszyn. Motocykliści coś krzyczeli, było ich już osiemnastu, a nawet dwudziestu, w srebrno-czarnych strojach pod kolor motorów, i mknęli, wrzeszcząc maszynom do wtóru, rzucając na puste trawniki klątwę, a może przestrogę. Znikli w kilka sekund, a ja czułem się, jakby przez miasto przeszedł huragan albo zaraza. Byliśmy cali i zdrowi. Lecz gdy puste miejsca po zmotoryzowanych grasantach zaczęła wypełniać cisza, miałem nieodparte wrażenie, że wszyscy

mieszkańcy patrzą z okien na ulicę z dziwną mieszanią tęsknoty i zgrozy. Byliśmy cali i zdrowi. Ale niezupełnie ci sami co dziesięć sekund wcześniej.

Na obiad zjedliśmy zimną pieczeń. W radiu Mel Allen prowadził transmisję z jakiegoś bardzo wyrównanego meczu, pierwszego z dwóch zaplanowanych na ten dzień, i zapewniał, że na stadionie jest mnóstwo wolnych miejsc, możecie obejrzeć resztę tego spotkania i jeszcze następne, więc chodźcie, ludzie, zwalcie się całą rodziną. Jane zaczęła opowiadać o cyklu wykładów poświęconych prymitywnym religiom świata. Słuchała ich przez dwa wieczory tygodniowo w Związku Chrześcijańskich Dziewcząt i Kobiet w pobliskiej dzielnicy. Indianom z plemion Algonkinów umarli ćwierkali jak cykady. Kapłani z Fidżi wpatrywali się w żąb wieloryba, aż dostawali konwulsji. Główny punktem tamtejszych

ceremonii pogrzebowych było duszenie żon, przyjaciół i niewolników zmarłego. Jane poszła na górę po zeszyt, a my jedliśmy w milczeniu. Po minucie wróciła. W radiu puszczone nagranie krótkiego apelu, w którym Eisenhower zachęcał do wpłacania pieniędzy na rzecz lokalnych funduszy społecznych. Chińczycy robią dziurę w dachu, żeby wypuścić duszę umierającego. Kiedy wojownik z plemienia Watchandi zabijał pierwszego wroga, duch ofiary wnikał w ciało zabójcy i stawał się jego *woorie*, czyli opiekunem: mieszkał w okolicy wątroby i ostrzegał przed niebezpieczeństwem, drapiąc lub łaskocząc. Aztekowie mieli zwyczaj wlewać krew zabitych ofiar w usta bożków. Kapłan z plemienia Mandingo brał noworodka na ręce, szeptał mu do ucha i trzykrotnie pluł w twarz. Odżibwejowie byli przekonani, że topory i kociołki mają duszę. Zulusi mawiali, że najedzone ciało nie widzi

spraw tajemnych. Zuluski kapłan przygotowywał się do rozmowy z duchami, poszcząc, cierpiąc i chodząc na długie milczące spacery. Syberyjscy Jakuci czcili niedźwiedzia, swojego ukochanego stryja. Według Dajaków ludzka dusza zagnieżdża się w pniach drzew. Na Samoa złe duchy nocą spółkowały z kobietami, czego owocem były nadprzyrodzone poczęcia. Mieszkańcy Nikaragui składali Popogatepekowi ofiary z ludzi, zrzucając ich ciała do wulkanów. Plemię Aht z wyspy Vancouver uważało, że księżyc jest mężem, a słońce jego żoną. Członkowie ludu Mintira bali się wodnego demona, który miał psi łeb i paszczę aligatora. Wysysał mężczyznom krew z kciuków i wielkich palców stóp, aż umierali. Dla Asyryjczyków obłęd był opętaniem przez demony. Kiedy na Borneo umierał ktoś z plemienia Kajan, zabijano jego niewolników, żeby mogli za nim podążać na tamten świat i być mu posłuszni na

każde skinienie. Najpierw krewne zmarłego pana lekko raniły ich dzidami. Potem jego krewni brali te same dzidy i dokańczali dzieło. Dusza ludzka waży od osiemdziesięciu pięciu do stu dziesięciu gramów.

– Tyle okrucieństw i zabobonów – rzekła matka.

– W tamtych czasach życie miało niewielką wartość, Ann.

– Kim byli ci wszyscy ludzie? – spytała matka.

– Mieszkali w szałasach i jaskiniach, tylko sobie wyobraźcie. Cofnijcie się myślą do zarania czasu. Czčili niedźwiedzie i małpy. Miliony dusz. Jacy się wydają nieważni!

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – zapewnił ją ojciec. – To prawie nie do pojęcia, że tylu ludzi zabijało się nawzajem i modliło do słońca. Nasuwa się myśl, że to, co my sami robimy w życiu, właściwie niewiele zmienia. Niby

dłaczego mielibyśmy być ważniejsi od tych prymitywów?

– Ale jesteśmy ważniejsi, Clinton.

– Dobrze notujesz, Jane – wtrąciłem.

– Najpierw stenografuję, a potem przepisuję na czysto – wyjaśniła. – To najlepszy sposób.

– Nie do wiary – ciągnął ojciec – jak oni lekceważyli ludzkie życie! A jednak byli ludźmi. Siedzimy tu sobie w niedzielne popołudnie, jemy obiad i słuchamy transmisji z meczu. Tamci wydają się dalecy, jak z innego świata. A przecież byli ludźmi. W coś wierzyli.

– Im większy pociąg do magii czuje dana rasa – powiedziała matka – tym mniej liczy się dla niej jednostka. Magia wszystko przyćmiewa. My tu na Zachodzie nieomal desperacko cenimy ludzkie życie, ponieważ nie mamy magii.

– Bóg jest magią – oświadczyła Jane.

– Nie. Bóg to przeciwieństwo magii. Rozmawiałam o tym z Williamem Potterem. Ten temat jest mu obcy. Wszyscy mamy w sobie magię, niektórzy mają jej więcej niż inni, ale cała wpojona nam wiedza z reguły nas od niej odgradza. Pomyśl, co w tej chwili jemy, Clinton. Zwierzęce ciało. Trudno o większy prymitywizm.

– Ale nie czcimy tego zwierzęcia – zauważyłem.

– Tylko dlatego, że Bóg przybrał ludzką postać. A gdyby postanowił odwiedzić ziemię jako lew? Ludzie prymitywni wydają nam się nieważni, bo, jak twierdzi wasz ojciec, dzieli nas od nich morze czasu i religia, ale też dlatego, że byli tak mało istotni dla siebie nawzajem. Sprawiała to magia. To przez nią byli mniej ważni od zwierząt czy planet, którym oddawali cześć. I w sumie niewiele się mylili. Opowiadam się za magią. Nie wiem, czy jest dobra, czy zła. Ale na pewno istnieje.

- Dobrze powiedziane, Ann – pochwalił ojciec.
- Niezwykle interesująco.

Nie było co robić. Całe popołudnie przesiedziałem bez ruchu na werandzie, myśląc o mokrych ciałach kobiet. Upał się wzmagał. Powietrze było prawie nieruchome i smakowało wodą, ciepła sól piekła w usta. Poczulem ociężałość. Pragnąłem deszczu. Czy właśnie tak umierają ludzie, patrząc na ulicę, wypatrując znaku, że wreszcie nadeszła chwila, wstań i czyń, nastąpiła pora, szybko, na ulice, teraz, granaty i motocykle, słowo przestrogi, sól na mokrych ciałach kobiet. Ulicą szedł niski wąsacz, doktor Weber. Maczeta to nader skuteczna broń, doktorze. Dziwi się pan, że mówię pańskim językiem? Harvard. Rocznik trzydziesty czwarty. Doktor niósł tę swoją torbę. Był ubrany w ciemny garnitur. Z przodu na koszuli miał plamę z sosu mięsnego. Czekałem, aż spojrzy w stronę naszej werandy

i pośle mi ten żółty uśmiech, który tak często stosują lekarze i dentyści, zaciśnięty krzywy uśmiech, gdy pieniądze przechodzą z rąk do rąk, a kiedy się w końcu uśmiechnął, odwróciłem głowę i ziewnąłem. Uzdrowiciel. Zaprzysiężony. To jedno ziewnięcie pozwoliło mi przetrwać resztę popołudnia.

Patrzyłem potem z okna swojego pokoju, jak przybywają na przyjęcie. Mieszkańcy Old Holly w większości przyszli pieszo. Goście z pobliskich przedmieść albo z Nowego Jorku, ci z klucza mojego ojca, przyjechali samochodami albo na stacji złapali taksówki. Przyjęcie urządzano bez specjalnej okazji, ale miał to być poniekąd mój debiut. Uznano, że jestem dość duży, żeby wziąć udział w zabawach dorosłych, raczej trzymając się na uboczu, hołubiąc w dłoni wysoką szklanekę koktajlu z rumem (lub czegoś w tym guście), podczas gdy wszyscy będą podziwiali moje

lalusiówate maniery i mówili mi, jak bardzo urosłem. Miało przyjść czterdzieści parę osób. Jak dowiedziałem się od Jane, uzgodniono, że niejacy Loomisowie przyprowadzą swoją córkę Amy, moją rówieśniczkę. Jane zaprosiła swojego ówczesnego chłopaka, Johna Retleya Tuckera, który bezpośrednio poprzedził Dużego Boba Davidsona właściwie w każdym tego słowa znaczeniu. Przezywałem go Sto Pociach, bo strasznie się pocił. Mary nie zawiadomiono o przyjęciu, ponieważ nie wiadomo było, gdzie się podziewa.

Zaczęli się zbierać o zachodzie słońca: państwo Smith, Bradshaw, Morgan, Hill, Rayburn, Gossage, Pepper, Stevenson, Haliday, Torgeson, Baker, Hunter, Taylor, Collier, Barber i Fisher. Andrew Alexander zajechał swoim packardem koloru bordo, autentykiem z epoki, który kiedyś był rzekomo własnością Ala Capone albo F. Scotta

Fitzgeralda – zależnie od osoby opowiadającego. William Judge i jego żona zadarli głowy i zobaczyli mnie. Pomachali mi, a ja odwzajemniłem ten gest z miną uśmiechniętego kadeta, należycie sympatyczną i pokorną. August Riddle szedł spacerkiem przez trawnik. Ten miejscowy adwokat i stary zrzęda znał się podobno na hipotekach i aktach własności lepiej niż ktokolwiek w całym okręgu. Był kawalerem. Miał stosownie do swego stanu zagracony gabinet, ciągle pił czarną kawę i palił długie, cienkie cygara. Mary i ja doszliśmy kiedyś do wniosku, że w filmowej biografii zagra go Lee J. Cobb albo Paul Muni. A teraz wycelował we mnie cygarem. Wieczór był ciepły i bezwietrzny. Zobaczyłem jastrzębia. Nic nie zapowiadało deszczu.

Włożyłem garnitur, białą koszulę i krawat. Zszedłem na dół i po drodze wstąpiłem do kuchni. Prócz służącej, Justiny Simpson, która

przychodziła do nas cztery razy w tygodniu, była tam jej córka Mae i zięć Buford Long w roli barmana. Patrząc, jak on ustawia trunki i przybory, żeby mieć je pod ręką, doszedłem do wniosku, że obsługa baru może być niezłym sposobem na życie. Z hukiem stawiać na bufecie wielkie spienione kufle, żeby je objęły ogromne, zaprawione w strzelaniu do rzutków dłonie arcymęskich powieściopisarzy. Grzechotać mikserem, tańcząc krótką sambę ku uciechu dam. Robić coś po mistrzowsku. Spytałem Buforda, czy lubi prowadzić bar. Powiedział, że od lodu marzną mu stawy dłoni, aż po rękach biegną do głowy dziwne szarpiące bóle. Matka zajrzała do kuchni i zażądała, żebym pokazał się gościom. Zostałem jeszcze chwilę, patrząc, jak Mae kraje indyka. Miała na sobie biały uniform, bez halki, więc przez cienką bawełnę prześwitywał cień wnętrza jej ud. Poszedłem do salonu.

– Ojej, jesteś wyższy niż Clyde – powiedziała pani Hunter.

Henry i Lucy Gossage'owie obmacali mnie, a z Justinem Hillem porozmawiałem o tym, jak się ma Liga Południowa do Wielkiej Dziesiątki. Ojciec objął mnie ramieniem i staliśmy tak kilka minut, rozmawiając z wysoką, przystojną Claire Collier. Mówiliśmy wszyscy naraz. Podszedłem do Rayburnów i Taylorów i powtórzyłem słowo w słowo to samo, co przed chwilą powiedziałem pani Collier. Matka zwykle mówiła o niej „Collierka”. Miałem wrażenie, że słysząc w tym echo jakiegoś odległego skandalu. Zauważyłem, że Amy Loomis i ja, wyruszywszy z przeciwległych końców pokoju, z wolna zmierzamy do konfrontacji. Tak jakby popychała nas ku sobie cała energia ciał czterdzieścioro dorosłych. Amy była filigranowa. Rozmawiała z Andrew Alexandrem, a on głaskał się po głowie. Matka

wzięła mnie za łokieć i przedstawiła Amy. Ilekroć milkłem na moment, szczypała mnie w ten łokieć i natychmiast cofała rękę, kiedy zaczynałem coś mówić. W końcu Amy i ja zostaliśmy sami.

– Znasz Jima Gibsona? – spytała dziewczyna.

– Raczej nie.

– On ma zielony katamaran i nazwał go „Pogoda”.

– Powiedz jeszcze raz, jak się ten chłopak nazywa?

– Jim Gibson.

– Nie znam go.

– Ta łajba nieźle śmiga.

– Też bym chętnie taką kupił. Są szybkie jak wiatr.

– A znasz Marty’ego Hammera? – spytała Amy.

– Tak jakby coś mi to mówiło.

– Jego ojciec ma jol i w szesnaste urodziny Marty’ego dał mu na niego carte blanche. Taki jol to ma prawie dwadzieścia metrów długości.

– Nie, to nie ten koleś, o którym myślałem. Czy on ma brata Franka?

– Nie.

– Znaczy nie ten – powiedziałem.

– A znasz Tima Lerner’a?

– Czy on się zeszłego lata nie utopił w zatoce Peconic?

– To ten.

– A znasz Billy’ego Shaw’a?

– Nawet dwóch – odparła Amy.

Ludzie nakładali sobie na talerze plastry szynki i indyka, usiłując jeść na stojąco. W pokoju było bardzo ciepło. Podeszli do nas państwo Gossage. Henry pomiętosił mi ramię. Lucy Gossage wzięła

mnie za rękę, mówiąc coś do Amy. Podeszła pani Loomis z Todem Morganem i spytała, jak nam idzie. Lucy Gossage podniosła moją dłoń i głaskała ją wolną ręką, trzymając tuż przy swojej piersi. Ray Smith podszedł i tak jak zawsze, kiedy się spotykaliśmy, zaczął odstawiać boksera: z głową przechyloną na lewe ramię zamarkował kilka lewych i prawych w mój brzuch, parszcząc przy każdym ciosie. W niespodziewanej chwili ciszy usłyszeliśmy, jak pani Loomis mówi Amy, że mogłaby się czasem uśmiechnąć. Wszyscy nagle się rozgadaliśmy. Jane przystanęła obok nas i przedstawiła wszystkim swojego chłopaka. Tod Morgan podał mi coś, co według niego było prawdziwym drinkiem: szkocką z wodą. Zrobiło mi się po niej bardzo ciepło, ale niezbyt mi smakowała. W sumie jednak chyba dobrze się bawiłem. Otaczali mnie mili ludzie. Nikt nie miał blizn ani złamanego nosa. Byli mniej więcej tak

samo ubrani. Mówili to samo, powtarzając te same zwroty, a ja nie zdawałem sobie sprawy, jacy są nudni i prawie nie do odróżnienia. Byłem przecież jednym z nich. Nie czułem się wśród nich obco i lubiłem, jak mnie dotykali.

– Ktoś dzisiaj widział te motocykle? – zapytał Tod Morgan.

Collierka i ja staliśmy przy kominku, popijając. Przybrałem niedbałą pozę światowca. Wtem Lucy Gossage objęła mnie ramieniem, a jej mąż Henry zaczął mi szeptać prosto do ucha świński kawał. Ledwo rozumiałem, co mówi. W końcu wybuchnął śmiechem i po tym poznałem, że dotarł do puenty. Obaj się śmialiśmy. Henry patrzył mi w twarz, szukając w niej oznak szczerego uznania, bo chciał się upewnić, czy poznałem się na żarcie. Kiwałem głową, nie przestając się śmiać. Poszedł sobie, kiedy stwierdził, że osiągnął cel.

Obwisłe policzki Augusta Riddle'a miały kształt łez. Przyglądałem mu się. Amy opowiadała mi o niejakim Austinie Healeyu Bobby'ego Springera. Pan Riddle rozmawiał ze Stevensonami. Zapalił cygaro i zatoczył ręką zamaszysty łuk, żeby zgasić zapałkę, po czym upuścił ją na podłogę. Mae wniosła półmisek plasterów ananasa. Próbowałem ściągnąć na siebie jej wzrok, bo chciałem się do niej uśmiechnąć. Amy mówiła, wpatrzona w moją pierś. Co do niej, to decyzja już zapadła. Jak nie Wellesley, to Bryn Mawr. Miała rude włosy i wielkie zielone oczy. Wyobraziłem sobie, że leżę w łóżku z nią i z jej matką. Piła poncz z szampanem. Nikt chyba jeszcze nie zdążył się upić. Spytałem Amy, czy ma ochotę wyjść na werandę, bo tam chłodniej, ale nie chciała. Nie i już. Zapadło straszliwe milczenie, więc ze zdenerwowania spytałem Amy ku własnemu zdziwieniu, czy może przypadkiem wie, jak

poradzili sobie Yankees w drugim meczu. Stał przy nas mój ojciec i nie wiadomo dlaczego uścisnął mi rękę. Zaraz potem sobie poszedł. Andrew Alexander mówił coś do Amy. Wy młodzi, powtarzał co chwila. Wy młodzi. Głaskał się po głowie – raczej nie po to, żeby poprawić fryzurę, bo włosy miał krótkie, gęste i mocne. Przy każdym głośnięciu oczy podjeżdżały mu do góry. On i Amy rozmawiali o kolorze beżowym. Patrzyłem, jak Alexander przewraca oczami to w górę, to w dół. Spytał, czy Amy i ja jesteśmy zaręczeni. Przeprosiłem na chwilę ich oboje i poszedłem do kuchni popatrzeć, jak Buford Long miesza koktajle. Trzymał w ustach niezapalonego papierosa. Nalewając prawą ręką wodę sodową, drugą wyjął z górnej kieszeni książeczkę zapalek. Pstryknięciem kciuka podniósł wieczko, zgiął zapalkę palcem wskazującym i kciukiem, po czym potarł nią o draskę. Spodobała mi się ta sztuczka.

Nigdy takiej nie widziałem. Podobało mi się też, że Buford jest leworęczny. Leworęczni robią chyba wszystko bardziej stylowo. Warren Spahn, stylowy mańkut.

– Gdzie normalnie pracujesz, Buford? Prowadzisz bar w jakiejś knajpie czy co?

– Jestem dozorcą. Mae i ja mieszkamy na zachodnim Manhattanie, między Dwudziestą a Trzydziestą Ulicą. Mam pod opieką sześć domów. Zbieram śmieci sprzed drzwi mieszkań i znoszę na dół. Naprawiam wszystko co trzeba. Pucuję na glanc.

– Jaka to praca? Pewnie ciężka.

– Nie tyle ciężka, ile brudna. Ale ma przynajmniej swoje niuanse. Pozwala wejrzeć w ludzką naturę. Ze śmieci więcej można się dowiedzieć o człowieku, niż gdyby się z nim żyło.

– Czyli nie masz nic przeciwko tej robocie.

– O, uwielbiam ją – odparł Buford.

– Czy w różnych domach są różne śmieci?

– No chyba. Poznać to po szczegółach, nawet bez zaglądania do worków. Jak w holu wisi pęknięte lustro, zaraz wiadomo, że śmieci będą nic warte.

– Dbać o czystość w mieście to musi być spora satysfakcja.

– Wielka frajda – powiedział Buford.

– Podobno Sugar Ray Robinson to najlepszy bokser wszech czasów.

Matka stanęła w drzwiach i powiedziała, że Amy jest sama. Wróciłem do salonu i stanąłem obok dziewczyny. Podszedł John Retley Tucker. Spytałem go, czy zna moją drugą siostrę, a on na to, że Jane nigdy nie wspominała o żadnej siostrze. Rozmawiał z nami, wsunąwszy prawy palec wskazujący między kołnierzyk koszuli a kark, czyli

łokieć trzymał mniej więcej na wysokości ucha. Zauważyłem, że Amy wpatruje się w plamę potu pod jego pachą. Miał nieco ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ważył pewnie ze sto dziesięć kilo i wyglądał jak policjant, bez cienia wewnętrznego sprzeciwu kierujący ruchem w niedzielne popołudnie. Znowu podeszła Collierka, więc wymiksowałem się z towarzystwa, żeby zamienić z nią parę słów. Była ubrana na beżowo.

– Chcę ci coś powiedzieć – oznajmiła. – Jesteś młodym mężczyzną i nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś to wiedział. Już prawie osiągnąłeś pełnię wzrostu. Masz męskie ciało i męskie apetyty. Posłuchaj, co ci powiem. Kobiety uwielbiają być kochane.

– Tak.

– Kim jest ten facet, co stoi za tobą?

– To John Retley Tucker. Chłopak mojej siostry Jane.

– Mężczyźni z takimi wielkimi kciukami mają w sobie coś nieprzyzwoitego.

Chciałem się trochę przewietrzyć. Powiedziałem Amy, że na chwilę wychodzę. Odparła, że pójdzie ze mną. Zostawiłem ją samą na werandzie. Wróciłem do salonu i przyniosłem stamtąd dwa drinki. Nie zapaliłem światła nad werandą.

– Dużo pijesz? – spytała Amy.

– Sporo. Tak, sporo piję.

– Znasz Davida Bella? Pije niesamowite ilości alkoholu. Wystarczy, że ktoś go podpuści. Ma strasznie mocną głowę.

– To ja jestem David Bell – powiedziałem.

– Pomyliło mi się. Miałam na myśli Dicka Davisa.

– Freudowskie przejęzyczenie – odparłem. – Jak ktoś tak przez pomyłkę wtrąca czyjeś nazwisko, to podobno znaczy, że mu się ta osoba strasznie podoba.

– Za dużo sobie nie wyobrażaj, koleś.

– Tylko żartowałem.

– Masz bardzo miłych rodziców.

– Ty też. Wydaje ci się, że jestem przystojny,

Amy?

– Co za pytanie!

– Owszem, trochę dwuznaczne, ale słyszałem, jak rozmawiałaś o kolorach ze starym Andym Alexandrem, i pomyślałem, że chyba masz dobry gust, więc ciekawi mnie twoje zdanie. Na pewno sama też się zastanawiasz, czy się podobasz ludziom. No to jak? Jestem przystojny?

– Tak – powiedziała.

– A chciałabyś wiedzieć, czy według mnie

jesteś ładna?

– No dobra, powiedz.

– Uważam, że bardzo niewiele ci brakuje – oświadczyłem. – Co sądzisz o Burcie Lancasterze? Moim zdaniem nigdy nie było większego aktora.

Na werandę wyszedł Henry Gossage. Głęboko odetchnął i zaczął się bić po piersi tymi swoimi dziecinnymi piąstkami. Kiedy zobaczył, że stoimy przy balustradzie, cofnął się i podniósł ręce w obronnym geście, niby to spłoszony.

– „Dwa cienie lila wprost na śnieg” – zaśpiewał.

Oby tylko nie opowiedział kolejnego kawału – pomyślałem.

– Nasze dzieci pojechały na obóz – oznajmił. – Najstarszy robi za wychowawcę. Średni podaje do stołu, a za rok też będzie wychowawcą. Najmłodszy skończył dopiero dwanaście lat, więc

minie jeszcze sporo czasu, zanim wyrośnie z kategorii zwykłego obozowicza.

– Co u Hanka?

– To on jest najstarszy. Henry junior. Świetnie mu idzie. Miło, że spytałeś.

– Proszę go pozdrowić.

– Nie omieszkam. Cholernie ładnie z twojej strony, chłopcze. Cholernie miło, Dave. Ślicznie to powiedziałeś. Gdzie mogę się wyrzygać?

– W żywopłot – odparłem.

– Dobra. Wygląda, że już mi przeszło.

Amy powiedziała, że chyba dobrze byłoby wrócić do salonu. Wszyscy stali, rozmawiając i jedząc. W dalszym końcu pokoju Tod Morgan rozmawiał z żoną Petera Fishera. Patrzyłem, jak się śmieje. Rozedrgana twarz rozciągała mu się, jakby była z gumy. Wyglądał wyjątkowo szpetnie. Wyobraziłem sobie, że w głowie wybucha mu

niewielki ładunek. Śmiał się z przesadą, w wymuszony sposób, lepiąc własny śmiech niczym ceramik, a ja patrzyłem, jak głowa rozpada mu się w zwolnionym tempie i osobne części koziółkują w powietrzu: tu kawałek z nosem, tam z uchem, i jeszcze żuchwa z dolnymi zębami. Wyszedłem przez kuchnię na dwór.

Ganeczek przy kuchennych drzwiach zastawiony był pustymi butelkami. Ruszyłem skrajem lasu obok domów Harrisów, Torgesonów i Weberów. W pierwszym i w trzecim się świeciło. Przeszedłem przez jakiś trawnik i minawszy pięć przecznic, dotarłem na Ridge Street. Osiedlowy sklep był zamknięty. W lodziarni siedziało z pięć osób. Napilem się wody sodowej, czekając na Kathy Lovell, ale nie przyszła. O mało nie zajrzałem do kina, żeby jej tam poszukać. Poszedłem w stronę domu Lovellów, ale zawróciłem do lodziarni i stamtąd zadzwoniłem do

Kathy. Odebrał jej ojciec, więc odwiesiłem słuchawkę. Po dziesięciu minutach znalazłem się na Green Street. Było ciemno i cicho. Zaczynał wiać lekki wietrzyk. Stałem pod wiązem i patrzyłem, jak jakaś kobieta w domu krytym dachówką prasuje ubrania. Ulicą nikt nie przechodził. W ten niedzielny wieczór w początkach września moje ciało pulsowało smutkiem na widok drwiącego piękna wszystkich ciał.

Kiedy wróciłem do domu, było tam już tylko jakieś piętnaście osób. Wyglądały, jakby miały za dużo miejsca. Wszędzie stały niedopite szklanki i kieliszki, a krzesła i kanapy były zajęte. Na podłodze leżał biały plaster pieczonego indyka z odcisniętym śladem podeszwy. Większość kobiet siedziała razem w jednym końcu salonu. Mężczyźni snuli się między kuchnią a salonem. Wszyscy chyba pili piwo. Z uśmiechem

przeszedłem przez salon. W swoim pokoju na górze zdjąłem marynarkę i krawat. Z sypialni Jane dobiegały głosy. Znieruchomiałem. Moja siostra najwidoczniej pokazywała swojemu chłopakowi album rodzinnych fotografii.

– To mama, jak była mała – mówiła. – To jej ojciec, a to jej stryj Jess, który pisał wiersze i się zabił. A to ja, kiedy byłam malutka. To jest zdjęcie z West End Avenue, tam gdzie dawniej mieszkaliśmy. A to z Central Parku. To jest Old Holly, a to tatuś. A to ciocia Grace w Alexandrii. To znowu mama. I tu też. I tu. To David, jak miał dwa latka. A to tatuś w swoim biurze.

– Jane – powiedział Tucker. – Jane.

Zszedłem do kuchni i wziąłem z lodówki piwo. Harold Torgeson stał w kącie, pijąc mleko ze szklanki. Byliśmy tylko we dwóch.

– Zawsze chciałem zostać pisarzem – rzekł

Harold. – Choćby dziś wieczór u was w salonie było czterdzieści, może nawet pięćdziesiąt niezłych fabuł. W młodości próbowałem pisać, ale brakowało mi wytrwałości. Zaczynałem pełen energii i dobrych chęci, a potem wszystko blakło i zamierało. Spójrzmy prawdzie w oczy: urodziłem się na agenta ubezpieczeniowego. Ale do dziś mnie to żre, chłopcze. Czasem nie mogę zasnąć, więc wstaję z łóżka, zapalam papierosa i siadam przy otwartym oknie. Ogarnia mnie słodkie rozgoryczenie na myśl o własnym życiu, o tym, co zrobiłem, a czego nie. Jesteś za młody, żeby to zrozumieć. Ale kiedy człowiek tak siedzi o północy przy otwartym oknie i pali papierosa, jest w tym coś poetycznego. Papieros to ważny element tej sytuacji. Palenie wyzwala wspomnienia. Nic, tylko siedzę i myślę o swoim życiu. Zabiłem na wojnie trzech Japończyków i może jeszcze jakichś, o których nie wiem. Mówię

to wszystko, bo kiedyś ci się przyda.

W połowie monologu Torgesona zjawił się Ray Smith. Podszedł do niego i podał mu rękę, a potem wziął sobie z lodówki piwo.

– Moja własna historia zaczyna się w Londynie podczas wojny – powiedział. – Była tam taka jedna pielęgniarka, Celia Archer.

Trzej faceci stali w drzwiach kuchni i słuchali. Prześlizgnąłem się obok nich do salonu. Panie raczej niewiele miały sobie do powiedzenia. Zobaczyłem przez okno, że ojciec stoi na werandzie. W salonie nie było żadnych facetów oprócz mnie i Williama Judge'a. Nikt się nie odzywał. Matka jakoś dziwnie wyglądała. Po schodach zeszła Jane ze swoim chłopakiem. Ktoś spytał, co robili na górze, i wszyscy parsknęli śmiechem. Podziałało to jak hasło, z dawna wyczekiwany sygnał. Wstali i ruszyli do wyjścia.

Ojciec wrócił do salonu i stanął przy drzwiach, starając się nie okazać zachwyty. Matka stała pośrodku pokoju, machając dłońmi w przód i w tył, jakby chciała wymieść wszystkich za drzwi. Ludzie wychodzili i zaraz wracali, bo czegoś zapomnieli. W końcu sobie poszli. Ojciec zaczął gasić światła i zamykać drzwi na klucz. Jane była już na piętrze. Niebawem zostałem sam w salonie. Na stole z zimnym bufetem ktoś zostawił prawie pełną szklankę. Pociągnąłem łyk, zamknąłem oczy, skoncentrowałem się i chociaż nie umiałem zgadnąć co to, pomału wypilem do dna. Uświadomiłem sobie, że ojciec nie powiedział nikomu dobranoc. Zgasilem lampę w holu i dom pogrążył się w ciemności. Świeciło się tylko w kuchni. Już miałem tam wejść, ale przystanąłem w drzwiach, bo zobaczyłem matkę przed otwartą lodówką. Była tylko w jednym bucie. Drugi stał na podłodze pod samą ścianą,

czarny bucik. Trzymała oburącz tackę z kostkami lodu i na nie pluła. Znikła za drzwiami lodówki, a ja usłyszałem, jak otwiera zamrażalnik i wsuwa tackę na miejsce. Wycofałem się, kiedy zatrzasnęła drzwiczki zamrażalnika. Zamknąłem za sobą drzwi sypialni, starając się zrobić to jak najciszej. Zdjąłem koszulę, a potem buty i położyłem się na łóżku, wiedząc, że upał nie da mi zasnąć. Pomyślałem o tym, jak Harold Torgeson wysiaduje z papierosem przy otwartym oknie. Ciekaw byłem, ile powieści sobie w ten sposób podyktował. Po dłuższym czasie zapadłem w rzadki sen bez marzeń – raczej wywichnięcie zmysłów niż stan ducha. Raz po raz wyłaniałem się z niego na kilka sekund, nie wiedząc, gdzie jestem i czy to już rano, czy dopiero środek nocy. Chociaż niepokoiło mnie, że nie wiem, gdzie jestem, bez oporu zsuwałem się z powrotem w rzekę, niezbyt głęboką ani zdradliwą, rzekę języka bez myśli, aby po paru

sekundach (tak mi się w każdym razie wydawało, że minęły zaledwie sekundy) znów się wynurzyć, zastanawiając się, gdzie jestem, lecz nigdy – kim. Co jak co, ale własna tożsamość ani na chwilę mi nie umykała. I nagle całkiem się przebudziłem, z ręką na klamrze paska od spodni. Zdałem sobie sprawę, że ich nie zdjąłem. Leżałem bez ruchu, wiedząc, że o spaniu już nie ma mowy. Nasłuchiwałem pociągów, samochodów, panowała jednak zupełna cisza. Cudownie jest słyszeć pociąg, czekając, aż nadejdzie sen. Pomyślałem, że Torgeson pewnie właśnie teraz dyktuje sobie jedną z tych powieści, w których młodzi kochankowie słyszą z daleka pociąg albo gdzieś szczeka pies, a śmiech obowiązkowo niesie się nad trawnikiem. Byłem spięty i niespokojny. Zbudziło się moje ciało, ale nie umysł. Myślałem o jakiejś sprawie, a gdy po chwili próbowałem do niej wrócić, już jej nie było. Rwały mi się myśli.

Nic nie trzymało się kupy. Wstałem i wyjrzałem przez okno. Potem zszedłem na dół. W kuchni wciąż się świeciło, ale matka była w spiżarni. Ledwo ją widziałem. Siedziała na stołku pod gołą ścianą na wprost drzwi, między półkami aż po sufit, pełnymi butelek, słoików i kartonów.

– To była tylko kwestia czasu – powiedziała.

– Zapalę światło.

Wątki blask słabej żarówki w wąskiej klitce pełnej ciemnych słoików wydawał się prawie brązowy. Matka tymczasem wstała.

– Istnieje tylko czas. Tylko on dzieje się sam z siebie. Nauczmy się poddawać jego biegowi. Collierka jest głupia.

Nie ruszałem się. Czulem bliskość jakiejś przemożnej chwili. W słabym świetle cień matki za jej plecami pożerał mój własny. Wiedziałem, co się dzieje, i nie chciało mi się dyskutować

z posiadającymi tę wiedzę mędrkami. Niech się stanie. W matce było jakieś świetliste rozdarcie – może ślad mojej spiralnej podróży przez jej ciało. Stała przede mną, unosząc ku mnie spojrzenie, z dłońmi na moich barkach. Ciasnota, którą czułem w swoim pokoju, z wolna ustępowała miejsca obietnicy fantastycznego wyzwolenia. To się miało stać. Niewiadome cokolwiek. Klatka by się otworzyła, szalony ptak wzbiłby się w niebo, a ja krzyknąłbym z homeryckiej radości i bólu wobec oswobodzenia jednej jedynej chwili, początku czasu. I wtedy usłyszałem klaskanie bosych stóp ojca na schodach. Było już po wszystkim.

Siedzieliśmy w astone martinie w garażu. Na przedniej szybie były jeszcze resztki śniegu.

– Mój ojciec nazywał się Harkavy Clinton Bell. Mnie ochrzczono Clinton Harkavy. Ojcu udało się dojść do pieniędzy dopiero w podeszłym wieku.

Nie żebyśmy przedtem nie żyli dostatnio. Ale nim zaczął świetnie zarabiać, zdobył renome. Opowiadał mi o tym dziesiątki razy. W pociągu Union Pacific, gdzieś między Omaha a Cheyenne, siedział obok faceta, który nazywał się McHenry i miał szwalnię pizam Flanele McHenry'ego. Wyjął flaszkę i obaj ubzdryngolili się do spodu. McHenry przyznał, że jest na skraju bankructwa. A stary Harkavy mu na to, że powinien zorganizować chwytliwą kampanię reklamową. Masz dobre amerykańskie nazwisko i nie robisz z niego użytku, powiada. McHenry. Fort McHenry. Ten sam, w którym Francis Scott Key napisał *Gwiazdzisty sztandar*. Tu ojciec sięgnął po ołówek i na odwrocie dużej beżowej koperty zaczął rysować projekt. Naszkicował bitwę, rozumiesz: okręty, rakiety, fort, setki żołnierzy i wielki sztandar powiewający nad murami. U dołu napisał tylko parę słów: *McHenry – Gwiazdziste*

piżamy. A potem – i to jest najlepszy numer – powiedział McHenry’emu, że jeżeli chce wykosić konkurencję, na każdą piżamę, jaka wyjdzie z jego fabryki, musi naszyć czterdzieści osiem gwiazd. I to przesądziło sprawę. Ojciec wymyślił najlepszy handlowy greps dziesięciolecia. McHenry’emu dało to majątek, a ojcu sławę. Właśnie tak dawniej ludzie pisali reklamy, chłopcze: urąbani do nieprzytomności w wagonie Union Pacific. Opowiadał mi tę historię dziesiątki razy. Jest w niej jakaś miła naiwność. Choćby sam pomyśl, żeby uchlać się z obcym facetem. No i ta kampania. Gwiazdziste piżamy. Jest w tym wszystkim jakaś urocza naiwność. Dawniej można było sobie na nią pozwolić.

Tak jakoś z tydzień po przyjęciu Tommy Valerio i ja poszliśmy na opuszczone boisko tuż za miastem. Dookoła rósł las. Zachowały się tylko ledwie widoczne ślady ścieżek między bazami

i wzgórek miotacza, a wewnętrzny kort zarosły chwasty. Tommy miał specjalny kij treningowy, długi i cienki. Zaczęliśmy na zmianę wystawiać sobie loby. Dzień był chłodny jak na wrzesień, szczerze błękitny, pogoda raczej futbolowa, a ja uganiałem się po zewnętrznym polu i od niechcienia wyłapywałem piłki rękawicą trzymaną na wysokości pasa, pochylałem bark jak Willie Mays i tak jak on dwa razy waliłem pięścią w rękawicę, próbując się oswoić z raptowną zmianą pogody. Nie żałowałem, że kończy się lato, bo jesień na polach New Hampshire cała była złoto-winna, a ja miałem zacząć w St. Dymphna ostatni rok nauki i spacerować w sportowym płaszczu z tweedu po szarych alejkach. Ale coś się jednak kończyło – nie tylko lato, lecz także jakieś moje wyobrażenia o sobie, o czasie, który wypełniałem tak, jak wypełnia się sobą przestrzeń, o tym prywatnym czasie, w którym człowiek

porusza się, myśli i wie, o co pytać. Czas się wypaczył, a ja wracałem myślą do zeszłego tygodnia i nie znajdowałem w nim siebie. Dopiero po latach, w okresie romansów, zacząłem opierać się temu znikaniu. Właśnie dlatego nic nie dałem Jennifer Fine: bałem się, że nic dla mnie nie zostanie. Cofnąłem się truchtem pod las i wyłapałem długiego loba.

– Zamieńmy się! – krzyknął Tommy.

– Wal dalej! – odkrzyknąłem. – Chcę jeszcze trochę połapać.

Długo tam zostałem. Tommy'emu już się znudziło machanie kijem, ale raz po raz prosiłem, żeby mi wystawił jeszcze kilka piłek, chociaż kilka. Nie chciałem przestać. Piłka odbijała się od kija z cichym stukotem, który słyszałem dopiero po ułamku sekundy, i wznosiła w bezchmurne niebo, aż prawie znikła, czerniejąc w kulminacyjnej

chwili, i wreszcie spadała, biała i posiniaczona – stara, zielona od trawy piłka. Traktowałem sprawę coraz poważniej. Kiedy Tommy brał zamach, przykucałem, opierając gołą dłoń na prawym kolanie, a tę z rękawicą bezwładnie zwieszałem. Piłka wzbijała się w powietrze, a ja błyskawicznie startowałem, obserwując ją tylko przez pierwszą sekundę, potem zaś biegłem ze spuszczoną głową tam, gdzie miała wylądować – w miejsce, które wskazywała mi pamięć pierwszej sekundy jej lotu i echo uderzenia kijem, a także znajomość siły Tommy’ego i kierunku wiatru. Po chwili miałem piłkę w garści i zaraz rzucałem nią z całej siły, możliwie jak najbardziej płasko, jakby z trzeciej bazy już ktoś biegł. Tommy przepuszczał, a piłka po koźle trafiała w obwisłą siatkę. I tak to szło. Byłem nikim. Tylko instynktem, szybkością i pamięcią sięgającą zaledwie o kilka sekund wstecz. Do tego wszystko się sprowadzało.

Mógłbym tak cały dzień. Ale Tommy się zmęczył i w końcu wypisał z gry. Wróciłem do domu, nasmarowałem rękawicę i schowałem ją na zimę.

Wieczorem wyszedłem ze swojego pokoju i skręciłem w stronę schodów. Mijając pokój Mary, zobaczyłem w nim matkę: leżała na łóżku, drobna i niebieska, skulona w znak zapytania. Zszedłem na parter i chwilę posiedziałem w bujanym fotelu. Potem zawołał mnie ojciec, więc powędrowałem do sutereny.

Jane siedziała na składanym krześle, jedząc jabłko. Ojciec stał przy projektorze. Skinął mi głową, a ja zgasilem światło i usiadłem obok Jane. Pierwsza reklama trwała dwadzieścia sekund. Wieczorem w domu przy spokojnej podmiejskiej ulicy kłóciła się jakaś para. Nastolatka o bardzo pospolitej urodzie przysłuchiwała się temu, opierając się o telewizor. Nagle znikła, a po kilku

sekundach przyniosła buteleczkę z niewiadomą zawartością. Tamci dwoje na widok buteleczki objęli się i zaśpiewali. Następna reklama trwała minutę. Chłopiec w grubych okularach ćwiczył na pianinie. Za jego plecami stał oparty o ścianę kij do hokeja. Z oddali dobiegały krzyki i śmiech innych dzieci. Chłopiec wstał, wziął kij i pobiegł do drzwi. Z sąsiedniego pokoju wyszła kobieta ze szczoteczką do zębów w ręku i pobiegła za nim, wymachując szczoteczką i krzycząc. On zaś otworzył drzwi i potknął się. Spadł ze schodków, nieruchomiejąc na kamiennych płytach alejki. Stłukły mu się okulary, a z głębokiej rany u nasady nosa pociekła krew. Wyglądało na to, że stracił przytomność. Był piękny wieczór, chłodny, pogodny, już prawie jesienny. W trawie za wysokim oknem sutereny pomykał wiatr. Niebo aż wyło od gwiazd. Myślałem o starcach grających na skrzypcach i o kobietach, które wiozły mnie

białymi kabrioletami do Meksyku.

Część trzecia

Mijając ich na drogach, gdy tak podróżowali ku granicom własnego wnętrza, łatwo było wpaść na pomysł, żeby wykręcić kciuk sławnemu pierwszemu zdaniu. To był najgorszy czas, to był najgorszy czas. Wędrowali pieszo, starymi i nowymi samochodami, stadami motocykli, furgonetkami, busami i przyczepami kempingowymi, młodzi i młodziutcy opuszczali swoje średniowieczne miasta, wysokie kamienne cytadele zepsucia i zarazy – uciekinierzy, lecz nie beznadziejni, poszukiwacze, lecz nie szaleńcy, ci zagubieni, tamci odnalezieni, jedni bezimienni, drudzy genialni, upaleni, oszołomieni lub po prostu znużeni, wykrzykiwali zza białej przerywanej linii

swoje szczere umiłowanie kraju, a ich twarze tonęły w niewierze i włosach: byli wśród nich bębniarze, mistycy, faszyci, a czasem przez tylną szybę spoglądało oko kobiety, której prosto w kark grzmiała krótka piosenka o pokoju.

Zbliżaliśmy się do końca pierwszego tygodnia, postanowiwszy ani na chwilę nie wykraczać poza granice ojczystego kraju, starannie omijając Wielkie Jeziora w kształcie śladów stóp i widmo niewinnej Kanady. Sullivan sypiała w przedniej części przyczepy, nad szoferką. Gotował głównie Pike, a prowadził przeważnie Brand. Ja wrzeszczałem i czytałem na głos dane z map.

Przez całą drogę towarzyszyło nam przenośne morskie radio Sullivan, wysokiej klasy sprzęt z trzema antenami. Płynęła z niego nieustanna nawałnica dziecinnej paplaniny didżejów, reklam różnych form śmierci, prowincjonalne

kaznodziejstwo w stylu bluegrass, a kiedy jechaliśmy przez precle skrzyżowań, istne domy wariatów, i mijaliśmy chorobliwie szare miasta, widziałem, że wszystko trwa w harmonii, ta oniemiała kraina karmi spazmatyczne radio, każdy akr ziemi tryska kinetyczną jednią, logiką spoza granic delirium.

Podczas deszczu Sullivan wkładała stary trencz bez guzików, nawet kiedy siedzieliśmy w przyczepie. Cóż to za tajemnicza i sakramentalna podróż! – myślałem. Przeważnie nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, i zakładałem, że Pike dalej nas poprowadzi. Każdą rzekę brałem za Missisipi. Wszyscy pracownicy stacji benzynowych, z którymi rozmawialiśmy, mieli na imię Earl.

Nagrałem na taśmę sporo naszych rozmów.

– Ten wielki, niebieski, rozziwany kraj –

powiedział raz wczesnym wieczorem Brand, kiedy jedliśmy kanapki. – Mam ochotę obszczać wszystkie drzewa, turlać się ze wzgórz, gonić zające, wspinać się na dachy, ukrzyżować na antenach telewizyjnych. Do każdego spotkanego człowieka najchętniej mówiłbym „cześć, sąsiedzie”. To jest piękne. W pale się nie mieści. Obłąd, misiu. Najdziwniejszy, najdziwszy, najbardziej szajbnięty kraj w dziejach ludzkości. Davy, pilnuj, żebym był bezbarwny.

– Opowiedz o swojej książce – poprosiła Sullivan.

– Pisarze nigdy nie mówią o tym, co mają na warsztacie – wtrąciłem. – Prawda, Bobby? Gadanie unicestwia niezbędne napięcie. Gdyby wszystko opowiedzieli, już by nie musieli pisać. W zasadzie pisze się dla rozładowania napięcia. Mam rację, Brand? Jeżeli twórcze napięcie

przedwcześnie pryśnie, pisarz traci pierwotną motywację. Dziwne, że prosisz o coś takiego, Sully. I to właśnie ty.

– Piszę o facecie, który zmienia się w kobietę – powiedział Brand. – Był dawniej prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ma za sobą dwie kadencje, ale wciąż jest popularny i co chwila przemawia na ważnych bankietach. A jednocześnie kobiecieje. Rosną mu piersi, kurczą się genitalia. Głos cienieje, robi się pedałowaty. Facet nosi pas z podwiązkami, bo się tym skrycie podnieca. Pochodzi z elity, z rodziny anglosaskich protestantów. Za to jego nastempca, nowy prezydent, jezd czarny. Pierwowzorem tej postaci był Sonny Liston. Ten nowy jest bardzo oblatany w różnych niszowych sprawach i ma w sobie jakąś magię. Co wieczór bierze dragi i rżnie wszystkie żony i córki senatorów z Południa, a nieraz nawet przeleci jakiegoś południowego senatora. Książka

będzie miała ponad tysiąc stron i tytuł *Coitus interruptus*. Jej tematem jest wszystko, co chcecie, bo i tak liczą się tylko pozory, stary. Cały kraj zryga się krwią, jak ją przeczyta.

– Chciałbym wam opowiedzieć o swoim pomysle na film – oświadczyłem.

– Zamieniamy się w słuch – rzekł Pike.

– Chciałbym nakręcić długi, chaotyczny, trochę autobiograficzny film, częściowo tu, na Środkowym Zachodzie, jeżeli to jest właśnie Środkowy Zachód. Długi niezdyscyplinowany film pełen fragmentów wszystkiego, co składa się na moje życie. Kręcenie zajmie w sumie ze dwa, trzy dni, może nawet więcej, i tylko małą część chciałbym zrobić tutaj. Wybrać jakieś senne miasteczko i sfilmować parę scen.

– Jak długo to potrwa? – spytała Sullivan. – Za kilka tygodni masz przecież robić film o Indianach.

– Czasu jest dość. Ten fragment, który chcę teraz nakręcić, zajmie tylko dwa, trzy dni. Trzy dni albo siedemnaście lat. Będę kręcił przy takim świetle, jakie się zdarzy. Nieważne, jak prymitywny technicznie będzie efekt. A poza tym to nie ja osobiście sfilmuję Indian. Kto inny będzie obsługiwał kamerę. Mam tam być szefem, a jednocześnie podwładnym. Film, który chcę nakręcić, będzie zupełnie inny. Dopiero zaczynam układać go sobie w głowie. Zabawne, skąd wziął się pomysł. Zobaczyłem, jak jakaś kobieta strzyże żywopłot. Prawie natychmiast z tej sceny powstała całkiem inna. I wciąż się zmienia.

– Nie skończyłem mówić o swojej powieści – rzekł Brand.

Pike dłubał w uchu wykałaczką owiniętą kawałkiem bibułki. Kiedy skończył, usiadł za kierownicą. Zapadał zmierzch: niebo na zachodzie

przyprószone giętą rdzą, motele kwitnące neonami, mętny siarczany blask latarni przy autostradzie, a na polu gruchot z maską podniesioną jak daszek czapki bejsbolowej – wsiowa migawka z lat trzydziestych. Sullivan nuciła wiązaną melodię, które brzmiały jak pieśni antywojenne. Brand zwinął się w kłębek i angielską maszynką robił skręta z bibułki Zig-Zag. Jechaliśmy chyba przez rejon kurortów. Białe domki dla lalek miały różowe okiennice, jak w bajce o Jasiu i Małgosi, a w bocznych uliczkach małych miasteczek stała przed każdą stacją benzynową jedna jedyna stara pompa, obok której w kałuży smaru spał pies. Przypomniałem sobie, że pora wyłączyć magnetofon. Włączyłem radio. Ali Akbar Khan grał wieczorną ragę: ze strun sarodu spływała smutna radość, a ja myślałem o ślepych Bengalczyku chodzącym po linii nad nicością. W ciemnościach się począłem i niewątpliwie

w nich też czekał mnie kres. Ale gdzieś po drodze trzeba było spróbować ciemność wytłumaczyć, choćby tylko samemu sobie, choćby w nie wiedzieć jak dziwnej formie i bez względu na skutki. Może sprawiły to jej włosy. A może ruchy, kiedy strzygła żywopłot z pięknie wystylizowaną gracją dziecka, które wie, że ktoś mu się przygląda. Sullivan wciąż nuciła. Policyjny helikopter wychynął zza wierzchołków drzew i minął nas, lecąc wzdłuż autostrady. Brand mocno zaciągnął się dymem.

– „Gdzie są, kurwa, kwiaty z tamtych lat” – zaśpiewał, zagęszczając słowa, żeby je zmieścić we frazie.

Pike skręcił w boczną szosę i po pewnym czasie wjechał na parking supermarketu A & P, wpasowując przyczepę między dwie furgonetki, które czekały, aż je nafutrują. Szklane

wszechwiedzące odrzwia przewidziały nasze nadejście i same się rozsunęły. Brand i ja odbiliśmy od reszty i boczną alejką, przejściem między półkami, poszliśmy za ładną smagłą kobietą w stronę brzoskwiń i śliwek. Jej palce skakały po brzoskwiniach, macając je i trącąc, a my szliśmy równo z nią, zawadzając wózkiem o jej wózek.

– Brzoskwinię – powiedział Brand.

Kobieta nie zareagowała.

– Patrz, jak to słowo pada z moich ust, wilgotne i mechate. Brzoskwinię. Doskonałe określenie doskonałej rzeczy. Tak jak tu teraz stoimy, gdybyśmy popatrzyli na moje usta, zobaczylibyśmy, jak to słowo z nich wychodzi. Brzoskwinię. Jak sądzisz, moja panno, jeżeli tak ci na imię. Powinniśmy kupić pół kilo albo i całe? Jesteśmy dwoma zwykłymi przystojniakami

z Zachodniego Wybrzeża, zwłaszcza on. Słuchaj, w tej plastikowej landarze mam trochę trawy.

Kobieta podeszła do śliwek, a my za nią. Była wysoka i wspaniale kołysały jej się biodra, kiedy tak szła za wózkiem.

– Chono z nami do bryki i wyluzuj na chwilę. Zjemy śliwki i się ujemy. Piszę powieść bezpośrednią techniką monologu wewnętrznego.

Kobieta rozglądała się za jakimś wybawcą, a ja patrzyłem na śliwkę w jej zgrabnej śródziemnomorskiej dłoni. Człowiek wyobraża sobie, że właśnie taką kobietę spotyka w Port Saidzie – starszą, mądrzejszą, utkaną z wielu krwi i ubarwioną ziemią, ubawioną chłopięcym zachowaniem jasnowłosego jankesa, raczącą go porcjami wstrząsającej prawdy w krótkich zdaniach, i oto się pojawiła, nie do wiary, wśród śliwek pośrodku Ameryki.

– Powietrze nie jest niewidzialne – powiedział Brand.

Kobieta wkrótce gdzieś znikła. Wyjechaliśmy wózkiem na wstecznym. Długie kolorowe półki nasunęły mi myśl o ojcu. Była to jego gwiazdzista arka, a w niej puszki musu z bitą śmietaną, nakryte wieczkami w esy-floresy, z których sterczało coś na kształt fiutka, mitologia i gromy, lędźwie zielonego olbrzyma, całe wiadra mocy i biel nad bielami, cierpienie w prostokątach ewangelicznej pisaniny. (Trzeba przecież wypchnąć towar z półek). W wózku na sprawunki siedziało zapłakane niemowlę. Matka dała mu do zabawy lodygę selera i to je uspokoiło.

– Kto kocha mamusię? – spytała. – No, powiedz, kto ją kocha, srajdulku. Dzisiaj kocha mamusię. Tak, dzisiaj kocha mamusię. Powiedz to, srajdulku. Dzisiaj kocha mamusię. Tak, tak, tak.

Kobiety wkładały głowy do monstualnych lodówek i uchodziły z życiem. Kasjerki zamykały szufladki pchnięciem biodra. Jakaś staruszka upadła.

Po pewnym czasie dojechaliśmy do Fort Curtis. Siedziałem z przodu sam i prowadziłem, jadąc wolno, w tych swoich zielonych okularach od słońca, starych spodniach koloru khaki z wielkimi tylnymi kieszeniami, zaprojektowanymi chyba po to, żeby dało się w nich ukryć linę, kilka latarek i cęgi do cięcia drutu kolczastego. Było późne popołudnie, niezwykle ciepłe jak na tę porę roku, przednia szyba cała w soku z żuka, a z wysokiej trawy nad rzeką dobiegało leniwe brzęczenie owadów. Dla mnie mogła to równie dobrze być rzeka Wabash jak Ohio albo Missisipi. Wolno jechałem cienistymi martwymi ulicami. Pod wielkimi wiązami stały ceglane i drewniane domy. Werandy miały rzeźbione słupki. W ogrodach rosły

bzy, a u dołu słupów telegraficznych mech. W parku na skraju miasta stała estrada. Pojeździłem jeszcze trochę i zatrzymałem wóz przed dwupiętrowym drewnianym hotelem pomalowanym na biało. Był już czas się wykąpać.

W holu siedziało czworo starszych ludzi. Przewracali kartki identycznych czasopism. Wynająłem pokój z łazienką i wróciłem do przyczepy. Brand i Sullivan spali na kojach. Pike w szortach z pierwszej wojny światowej, zapinanych z boku, siedział przy stole, popijał burbona i wachał sobie pachy. Obudziłem Sullivan. Zgarnęła parę drobiazgów i z małą torbą podróżną poszła do hotelu. Oczekałem dziesięć minut i też wszedłem na górę. Chwyając za klamkę, usłyszałem plusk wody lecącej do wanny. Drzwi łazienki były uchylone. Na łóżku leżała część ciuchów Sullivan. Przyjrzałem się jej buremu szlafrokowi, w sam raz dobremu na czas

wielkopostnych umartwień. Ściany pomalowano chamskim, urzędowym odcieniem zieleni. Ktoś zmiotł do kąta kurz, kilka spinaczy i okruchy tynku. Nie było telewizora. Fotel miał przetarte obicie. Usłyszałem, że Sullivan zanurza się w wannie.

– Uroczy ci staruszkowie w holu – powiedziała.

– Jak się ten hotel nazywa? Hilton w Menopauzie?

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Zabiorę swój sekret do grobu, Igorze.

– Słuchaj – powiedziałem. – Kiedy myjesz nogi, to podnosisz jedną wysoko nad wodę i wolno, zmysłowo ją pucujesz, tak jak modelki w telewizyjnych reklamach?

– Nie.

– Mogę wejść i popatrzeć?

– Nie – odrzekła.

– Dlaczego? Przecież jesteśmy dorośli.

– No właśnie.

– A jeżeli obiecuję zasłonić jedną ręką oczy, to czy będę mógł wejść i umyć ci plecy?

– Gdzie siedzisz?

– Na łóżku.

– Poszukaj moich papierosów.

– Nie ma ich tu – powiedziałem. – Zejść po nie?

– Szkoda fatygi.

Wrzuciłem papierosy i zapalki pod łóżko.

– Sully, zgodziłabyś się, żebyśmy zostali w tym mieście parę dni?

– Chcesz tu kręcić film?

– Wieczorem się rozejrzę i coś postanowię.

– A co takiego wyjątkowego ma w sobie to miasto?

– Jest stare, proste i nudne.

– Ja się zgadzam. Pytałeś chłopaków?

– Powinni też się zgodzić. Wszyscy jesteśmy mocno zmęczeni. Przyda nam się kilka dni odpoczynku.

– A dokąd myśmy właściwie zajechali? – spytała Sullivan.

– Chyba do Indiany. Ale może to też być Illinois albo Kentucky. Nie jestem pewien.

– To zresztą raczej bez znaczenia. Sama nie wiem, dlaczego pytam, ale co jest na zachód stąd?

– Pewnie Iowa. Chociaż Iowa może leżeć bardziej na północ. Usiłuję sobie przypomnieć, co jest na południe od Iowy.

– Mniejsza o to. Nie gra roli. Sama nie wiem, dlaczego spytałam.

Siedziałem na łóżku, wsłuchując się w brzmienie pokoju czy też w ogólne tło dźwiękowe i filmując w myślach przecinającą fotel granicę między światłem a cieniem. Pokój

trwał jakby poza czasem, a przynajmniej poza obrębem gramatycznej teraźniejszości pod względem brzmienia, wyglądu, właściwości światła i cieni. Wyobraziłem sobie, że przed laty, a może nawet przed dziesiątkami lat, tego rodzaju pokój głównie czekał, aż jakiś komiwojażer od artykułów żelaznych urządzi sobie w nim popijawę. Wyglądał wtedy zapewne równie nędznie jak teraz. Może właśnie o czymś takim wówczas marzono: o odrobinie chuci w zagraconym wnętrzu, żądzy dawno przebrzmiałej, odkąd nasze instynkty pobudził nowy obraz (oblubienice, ładacznice i rewolwerowcy z Dzikiego Zachodu), pasujący do naszego ascetycznego światopoglądu – awans skromnego motelu, schludnego i czystego nawet w miejscu wybuchu bomby atomowej, z elektrycznym królikiem w nogach łóżka. Z otwartych drzwi łazienki zwisała ręka i pierś.

Sięgnąłem po leżący na łóżku szlafrok i rzuciłem nim, celując w nadgarstek. W pokoju panowała martwota. Życie zamarło tam co najmniej przed trzydziestu laty.

Wieczorem poszedłem na spacer z kamerą – szesnastką Canon Scoopic, przystosowaną do współpracy z moim magnetofonem, jednym z nowszych modeli Nagry. Nie miała wprawdzie wymiennych obiektywów, ale była lekka, łatwa w obsłudze i dawała się szybko uruchomić. Początkowo chciałem podczas tej podróży na Zachód nakręcić tylko prosty filmik: mieli się w nim znaleźć farmerzy menonici o twarzach białych jak deski szalunkowe, szczupli mieszkańcy stanu Kansas w ubraniach do kościoła. Z czasem poczyniłem jednak trochę ambitniejsze plany, które mnie samego lekko przerażały, przynajmniej póki ich nie poddałem wstępnej obróbce. Zacisnąłem uchwyt w dłoni, oparłem kamerę na prawym

ramieniu i ruszyłem cichymi ulicami. Wkrótce zaczął za mną podążać tłumek ciekawskich.

8

Ławka, o dziwo, nie była zielona, tylko jasnoniebieska. Stała przodem do estrady. Plac zabaw tuż obok miał jeszcze weselsze kolory – może dla kontrastu z groźną surowością wielu stojących na nim urządzeń. Usiadłem na ławce i popatrzyłem, jak mała dziewczynka żegluje książeczką zapalek po kałuży pod kranem z wodą do picia. Czekałem, no i w końcu podeszli w sześcioro wolnym krokiem, żeby mnie powitać, podzieleni na dwie luźno ze sobą powiązane trzyosobowe grupki. Najpierw zbliżył się starzec i dwie staruszki, a potem jakiś nastolatek przyprowadził dwóch mężczyzn, którzy sprawiali takie wrażenie, jakby odbyli razem kilka wacht na

niszczycielu u wybrzeży Guadalcanal (w latach czterdziestych à la Warner Brothers), obiecując sobie, że po powrocie do Stanów założą warsztat blacharski. Zainteresowała ich oczywiście kamera, ten postlinearny pretekst do nawiązania rozmowy, więc pomału zebrali się wokół mnie, przedstawiając się imieniem i nazwiskiem, wpytując, przesadnie życzliwi, a zarazem coraz bardziej gotowi wybuchnąć skrywanym do ostatniej chwili oburzeniem, gdybym okazał się nieuprzejmy. Ja jednak konsekwentnie przestrzegałem dobrych manier, niczym gość w świętym miejscu.

Starzec nazywał się Hutchins, ale lubił, jak mówiono mu „panie H” albo „Hutch”. Jego kumple z Florydy wybrali ten ostatni wariant. Staruszki miały na imię Flora i Veejean. Pierwsza była jego żoną, a druga siostrą. Mogły mieć po sześćdziesiąt parę lat i były piękne, uśmiechnięte i milczące:

dwie koronkowe firanki znieruchomiały w słońcu. Hutch kupił kiedyś za zaliczeniem pocztowym argusa. Powiedział, że za głupie sto pięćdziesiąt dolarów sprawił sobie cały zestaw: kamerę, projektor, ekran na trójnożnym stelażu, futerał na kamerę i jeszcze rolkę filmu. Jego reportaż z mokradeł Everglades pokazano w podziemiach kościoła metodystów, przy nabitej sali.

Pozostali dwaj mężczyźni nazywali się Glenn Yost i Owney Pine, a chłopak – Glenn Yost junior – wolał, żeby mówiono mu „Bud”. Okazało się, że obie trójki znają się tylko z widzenia, ponieważ mieszkają na dwóch różnych końcach miasta, a cała szóstka zgromadziła się w jednym miejscu, zwabiona, rzec by można, widokiem kamery, bo chłopiec był jej tak samo ciekaw jak starzec.

– Ile ta kamera kosztowała? – spytał Bud.

– Tysiąc dwieście z kawałkiem.

Pan H aż gwizdnął z wrażenia.

– Latem może dostanę superósemkę – powiedział chłopiec. – Liczę na bolexa 155. Mamy w szkole klub. Dotąd niewiele działałem, bo klubowy sprzęt ma mocno ograniczone możliwości. Ale jeżeli dostanę bolexa, to normalnie zwariuję. Jaki zakres dioptrii daje panu ta kamera?

Za Budem stał jego ojciec, ponuro zamyślony. Lewe oko mu skakało, głowę przechylił daleko w bok, prawie kładąc ją na ramieniu, a mnie przypomniiał się Hoyt Wilhelm, rezerwowy miotacz, który stawał niegdyś na pagórku i czekał znaku, ściskając w palcach stebnowaną piłkę, bazy pierwsza i trzecia były obsadzone, a na aucie nikogo i nikt na świecie ani trochę o to nie dbał. Na skraju estrady siedział młody człowiek z gitarą.

Pan Hutchins ni w pięć, ni w dziewięć oznajmił,

że jest człowiekiem z gruntu akuratnym. On i obie panie powiedzieli dobranoc, bo chcieli złapać w telewizji Boba Hope'a. Patrzyliśmy, jak mijają ogromny szkielet koła zamachowego i wychodzą na ulicę. Bud i ja zaczęliśmy się licytować, próbując onieśmielić dwóch starszych mężczyzn mnóstwem obłądnych parametrów. W końcu Owney Pine otoczył tłustym białym ramieniem głowę chłopca, dla żartu zatykając mu na jakąś minutę uszy, i w tej krótkiej scenie widać było wzajemną czułość, gdy mężczyzna z całym spokojem tarł nos i poniewierał wyrostka, ledwie zauważając, że ten próbuje się wyrwać, chociaż bysiowatego piętnasto- czy szesnastolatka z pewnością niełatwo dawało się obezwładnić.

– Zamiaruje pan jakiś czas się tu zatrzymać? – spytał Glenn.

– Może kilka dni. Moją kamerę chyba ciekawi

to miasto.

– Pan z telewizji? – zapytał z kolei Owney, wciąż trzymając w uścisku wyrywającego się Buda.

– Jestem niezależnym filmowcem. Właśnie szukam odpowiednich plenerów. Jak by się panu podobała rola w filmie?

– O kurna.

– Proszę się zastanowić – powiedziałem.

Akurat wtedy Bud zdołał wtrącić kolejne pytanie i Owney wreszcie go puścił. Porozmawialiśmy jeszcze trochę. Młody człowiek zsunął się z estrady i podszedł do nas z gitarą na ramieniu, wlokąc po ziemi chlebak. Był to chudy, zniszczony chłopaczyna w rozlatujących się łąkach, ogromnie czymś uszczęśliwiony. Kiedy się zbliżył, tamci lekko się odsunęli, wykonując coś, co można by nazwać manewrem

etnologicznego odwrotu, raczej wyczuwalnego niż widocznego.

– Hej, a co to? Ósemka czy szesnastka?

– Szesnastka Scoopic. Właściwie kamera reporterska.

– Idę do Kalifornii – z uśmiechem oznajmił chłopak.

Na nogach miał koszykarskie buty do kostek. Glenn Yost powiedział, że on i Bud muszą już się zbierać do domu, żeby popatrzeć na robaki. Dodał, że chłopiec je wykopuje i sprzedaje wędkarzom. Leżą w wielkich słojach w suterenie. On i Bud lubią do nich zaglądać co wieczór o zachodzie słońca, bo one właśnie wtedy najbardziej się wiją, a ich jakoś to dziwnie kręci, kiedy patrzą na wijące się robale, zwłaszcza całe kłębowisko. Znów mu się zająknęło lewe oko. Nie byłem pewien, czy nie mam do czynienia z miejscową

odmianą dwuznacznie wyrafinowanego poczucia humoru. Z miny chłopca nic nie dawało się wyczytać, więc pomyślałem, że może bawią się ze mną w kotka i myszkę, nabijając się z panującego wśród nietutejszych przekonania, jakoby małomiasteczkowe życie było jedną wielką kapitulacją przed takimi właśnie maleńkimi śmiertkami jak obserwowanie robaków i masońskie uściski dłoni. (A może próbowali unieszkodliwić w ten sposób wężową moc długowłosego, zaprzątnąć jego uwagę robakami, żeby tubylcy mogli podpalić mu pochodniami gitarę). Owney Pine powiedział, że podrepcze razem z nimi. W parku zaświeciły się latarnie.

– Idę tak już chyba ze trzy miesiące – rzekł młody człowiek. – Wyruszyłem z Waszyngtonu, więc w sumie przejdę prawie od morza do morza. Chciałem dojść jak najprostszą drogą do Frisco, ale trochę mnie zniosło na południe. Tyle że nic

mnie nie goni, jeszcze zdążę wrócić na kurs.

– To ponad trzy tysiące kilometrów. Jestem Dave Bell. A ty?

– Richard Spector. Chwilami ledwo pamiętam to nazwisko. Dawno przestało coś znaczyć.

Usiadł przy mnie ze stopami na ławce i przytulił się do własnych nóg, obejmując zgięte kolana. Był bardzo wąty. Włosy zasłaniały mu pół twarzy. Mówił, patrząc prosto na mnie, ale bez cienia wyzwania, bez sugestii, że za chwilę zetrą się sprzeczne ideologie, bo najwyraźniej wyzbył się tego rodzaju potrzeb, usunął je z drogi i teraz już mierzył wszystko wyłącznie długością kolejnych dni, przemaszerowanych na obolałych stopach.

– Ludzie o mnie dbają – powiedział. – Dają mi jeść, a czasem i przenocować. Z początku dziwnie na mnie patrzą, jakby pytali, co to za gość. Ale kiedy im mówię, że idę pieszo do Kalifornii,

wciąga ich ten obłądny pomysł. Ludzie wspaniale się zachowują, jeżeli tylko uda się odwrócić ich uwagę od szczegółów i zarazić jakimś szaleństwem. Naprawdę fantastycznie o mnie dbają. Wziąłem ze sobą całe oszczędności, koło siedmiuset dolarów w gotówce i czekach podróźnych, ale przez trzy miesiące musiałem wydać tylko jakieś sto pięćdziesiąt na jedzenie i hotele, kiedy w nocy było za zimno, żeby spać pod gołym niebem, a nie mogłem znaleźć innego noclegu.

– Nie chcę ci podcinać skrzydeł, Richard, ale wyglądasz, jakbyś był strasznie zmęczony i sterany.

– Szkoda, że mnie nie widziałeś, zanim wystartowałem.

Obaj roześmialiśmy się i Richard spytał, czy może dotknąć kamery. Zdjąłem osłonę

z obiektywu, a on wziął kamerę i wstał, przytykając do oka gumową otoczkę wizjera, po czym wolno obwiodł park wirtuozerską panoramą, zakreślając pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Gdzieś blisko raptem zahamował samochód, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem w oknie po stronie pasażera twarz młodej kobiety, później zaś nad dachem auta po stronie kierowcy ukazała się głowa i ramiona mężczyzny mniej więcej w moim wieku, spoglądającego w naszym kierunku. Upewniwszy się, że warto było się zatrzymać, kierowca wsiadł z powrotem, wrzucił wsteczny i szybko zaparkował, zostawiając na chodniku ślady opon. Zaraz potem wysiadł, znów spojrzął w naszą stronę i z jakby wzgardliwą werwą zatrzęsął drzwiami, po czym wszedł do parku, teraz już wyraźnie patrząc nie na Richarda ani (ku mojej wielkiej uldze) na mnie, tylko prosto na kamerę, którą Richard wciąż trzymał w ręku. Dziewczyna

szła za nim dość wolnym krokiem. Była to gibka, mniej więcej dwudziestopięcioletnia blondynka w pełni cichego rozkwitu, ładna, powolna, jeszcze nie zraniona i ani trochę nie zakochana. Richard podał mi kamerę. Nieznajomy odprowadzał ją wzrokiem, póki nie wróciła w moje ręce.

– To kamera z synchronizacją impulsu?

– Zgadza się – odparłem.

– A co z dźwiękiem?

– Też jest.

– Nazywam się Austin Wakely. Ta pani to Carol Deming. Zobaczyłem z samochodu kamerę i poczułem, że chciałbym z bliska rzucić okiem. Jakie kino pan reprezentuje?

– Podziemne – odparłem.

– Ale z dźwiękiem.

– Owszem. Tu i ówdzie.

– Jestem aktorem – oświadczył Austin.

– Dopiero studiuję aktorstwo – sprostowała Carol.

Przedstawiłem im się, powiedziałem, skąd jestem, i zaprosiłem, żeby się przysiedli. Dopiero wtedy zauważyłem, że na ławce nie ma już Richarda Spectora. Po chwili zobaczyłem, że znów siedzi na skraju estrady.

– Studiuję u Drotty’ego – rzekł Austin.

– Kto to taki?

– Urodził się w Minneapolis. Współpracował tam z Guthriem. Ale działa poza wszelkimi formami, więc coraz trudniej mu było mieścić się w ustalonych strukturach. Dlatego przeniósł się do McCompex. To nowy instytut, niedaleko stąd, jakieś osiem kilometrów na wschód. W Nowym Jorku jeszcze o nim nie słyszeliście, ale z czasem usłyszycie. Pełna nazwa brzmi Kompleks Sztuk

Komunikatywnych McDowda. Semestr kończy się w przyszłym miesiącu, ale ja zostaję na letni kurs. Nim zacząłem studia w McComplex, chwyciłem się dorywczych prac w różnych częściach kraju. Urodziłem się w stanie Waszyngton.

Carol siedziała między nami.

– Chodzi o to, kim jestem i kim chcę być – ciągnął Austin. – Potrzebuję punktu odniesienia. Drotty nie uznaje społeczeństwa. Mnóstwo się od niego nauczyłem. Oczywiście jest homoseksualistą, tak jak oni wszyscy. Przeżywa różne napięcia i niepokoje, dużo pali. Tak jak oni wszyscy. Ale jednego mnie nauczył: mimo wściekłej presji społeczeństwa zawsze można skorzystać z możliwości przewzorcowania. Aktorstwo jest miłością. Jak to ujęła Nazimowa?

Lekko przesunąłem nogę, zaledwie o kilka milimetrów, ale to wystarczyło, żeby zetknęła się

z nogą Carol. Dziewczyna siedziała w całkowitym bezruchu, a Austin mówił dalej. Znów troszkę się poruszyłem i teraz już stykaliśmy się udami aż po kolana. Sytuacja była nadzwyczaj delikatna. Carol mogła nie zauważyć leciuteńkiego nacisku mojej nogi, a może go zauważyła i zignorowała; albo też od pierwszej chwili wiedziała, co robię. Wolniutko przysunąłem rękę do jej ręki. Austin wciąż mówił. Carol i ja stykaliśmy się przedramionami, ledwie o siebie zahaczając lekuchnymi, przybrzeżnymi powiewami nagiego ciała, skóry opartej o skórę koniuszkami srebrzystych, prawie niewidocznych włosków. Dziewczyna wciąż trwała w bezruchu, nic po sobie nie pokazując. Odczekałem kilka minut, zanim przesunąłem prawą dłoń tuż nad swoje prawe kolano. Carol patrzyła prosto przed siebie. Byłem strasznie zdenerwowany. W ciągu paru sekund miało się wyjaśnić, czy ona wie, co się

dzieje, i co zamierza zrobić z tą wiedzą. Nie chciałem się rozczarować. Było ogromnie ważne, żeby dała mi taki znak, jakiego pragnąłem. Wolniutko zsunąłem dłoń w zagłębienie między naszymi nogami i tam ją zostawiłem. Oboje patrzyliśmy prosto przed siebie. I nagle wyczułem lekki nacisk jej uda, miłe ciepło w czubkach palców, ledwie zauważalne przeniesienie ciężaru, napięcie mięśnia: ciało Carol nie ruszało się, ale wyrażało ruch, szukało nowej równowagi, przechylało się w sobie i ku mnie. Odwzajemniłem ten lekki nacisk i odsunąłem się o kilkanaście centymetrów. Austin wciąż mówił, a ja zacząłem się rozluźniać. Carol i ja patrzyliśmy prosto przed siebie. Było to mój pierwszy triumf ego od wyjazdu z Nowego Jorku.

Austin zostawił mi swoje zamiary i powiedział, że chętnie usłyszałby coś jeszcze o moich planach. Dopiero wtedy zauważyłem, jaki jest przystojny.

Miał ciemne włosy i oczy, szerokie bary. Biła od niego wspaniale stężona energia. Wszyscy wstaliśmy, Austin i ja podaliśmy sobie ręce. Carol stała z boku, z rękami założonymi poniżej piersi, jak gospodyni domowa, kiedy na podwórku za domem plotkuje z sąsiadką i radzi jej się w sprawie proszku do prania, ale biodra lekko wypchnęła do przodu, a oczy miała zaciekawione, zamyślone, i było to dla mnie więcej niż wystarczającą nagrodą. Powiedziałem Austinowi, że podoba mi się jego wóz, zielona barracuda, a w następnych kilku zdaniach zdołałem przemycić informację, że mój czerwony mustang, którego zostawiłem w Maine, ma takie same wysokie oparcia, a w dodatku podwójne lusterka wyścigowe.

Kiedy tamci dwoje odjechali, skinąłem głową Richardowi, a on zsunął się z estrady i poszedł ze mną do przyczepy. Pogadaliśmy chwilę z pozostałą

trójką. Na kolację zjedliśmy soloną wołowinę, popijając sangrią. Sullivan obwieściła, że Richard Spector nazywa się od tej pory Kyrie Elejson. Sięgnąłem po magnetofon.

– W Waszyngtonie byłem gościem w Departamencie Sprawiedliwości – powiedział Kyrie. – Czuję, że pomału robię się przezroczysty. Miałem wrażenie, że po kolacji ludzie widzą jedzenie w moim żołądku. A to była tylko jedna z rzeczy, które mi się przytrafiały. Zacząłem się bać, że kawałki gmachów rządowych odpadną i mnie przygniotą. Ale chyba najgorzej było iść zatłoczoną ulicą. Wiecie, jak ludzie się przepychają na chodniku, kiedy ci najszybsi próbują wyprzedzić wolniejszych. Zawsze jest mnóstwo poszturchiwania i guzdrałom aż buty spadają z nóg, bo im po nich depczą szybcy. Ja byłem z tych szybkich. Wiecznie się spieszyłem, nawet jak spacerowałem bez celu, i złościłem się,

kiedy ci wolniejsi włączili mi w drogę. Kiedyś próbowałem wyminąć staruszka, który pchał mi się prosto pod nogi, bo go raz po raz zносиło w stronę krawężnika, i nagle usłyszałem, że krzyczę na niego w głowie, krzyczę w sobie, bezgłośnie: UWAŻAJ! UWAŻAJ! Nie krzyczałem naprawdę, tylko w duchu. Od tamtej pory ciągle to robiłem. UWAŻAJ! – mówiłem do ludzi. RUSZ SIĘ! RUSZ SIĘ! I widziałem te słowa we własnej mózgowicy, wydrukowane wielkimi wołami jak w komiksie. Aż tu kiedyś jedna kobieta nagle zwolniła kroku i o mało na nią nie wpadłem. Usłyszałem w głowie nowe słowo: ZGIŃ! Gdybym wykrzyknął je na głos, pewnie by umarła. To był ohydny wewnętrzny wrzask. Widziałem to słowo we własnej głowie, wypisane czerwonymi literami z wielkim wykrzyknikiem. Zaczęło do mnie docierać, że jestem nienormalny. Byłem kimś, kto chodzi ulicami i w duchu krzyczy do niewinnych ludzi:

ZGIŃ! Po kilku miesiącach tych wrzasków spróbowałem siłą woli przestać tak krzyczeć. Ale było za późno. Słowo automatycznie pojawiała mi się w głowie. ZGIŃ! ZGIŃ! Powiem wam, kim byłem: facetem, który co chwila zakochuje się w żonach najlepszych przyjaciół.

– I w końcu przestałeś krzyczeć ZGIŃ!?!– spytała Sullivan.

– Przestałem w dniu, kiedy rzuciłem pracę, i od tamtej pory ani razu nie krzyknąłem. W ogóle już nie krzyczę. I powiem wam, kim jeszcze byłem: jednym z tych facetów, co to po każdej katastrofie samolotu czytają w gazetach wykazy zabitych i zaginionych. Czytałem je i nie mogłem przestać. Nie wiem, co spodziewałem się w nich znaleźć. Nazwisko znajomego? Albo własne? Nie ma bardziej dołującej lektury niż długa lista nazwisk nieboszczyków. Niektóre nazwiska podane są

w niepełnym brzmieniu, a przy innych brak nazwy miasta, z którego denat pochodził. A potem zaczyna się lista zaginionych. Jak człowiek może zaginać w katastrofie lotniczej? Niby gdzie miałby się podziać? Powiem wam, co jeszcze robiłem. Dziwnie mnie krępowało wymawianie imion, zwłaszcza przyjaciół i krewnych. Nie wiadomo dlaczego nigdy nie umiałem się do nich zwrócić ich własnym imieniem. To było jakieś idiotyczne skrępowanie. Wszystkim mówiłem „Max”, „Charlie”, „Guido” albo „Steve”. Najczęściej używałem tych czterech imion. Ale nikt nie miał u mnie stałej ksywki. Tasowałem imiona i ludzi. Dziś mówiłem na kogoś „Max”, a jutro „Guido”. Czasem zmieniałem mu ksywkę już w następnym zdaniu. Nikt chyba nie miał nic przeciwko. Pewnie traktowali to tak, jakbym mówił im „stary”, „facet” albo „przyjacielu”. Nie wiem, czemu wybrałem te cztery imiona: Max, Charlie, Guido i Steve. Za to

z kobietami nie było problemu. Zawsze zwracałem się do nich właściwym imieniem. No więc dlaczego miałem takie opory wobec facetów?

– Czy to też się zmieniło? – spytałem.

– Wszystko się zmieniło – odparł Kyrie. – Już wcale się nie przejmuję, że nie znam francuskiego. Dawniej mnie to martwiło. Mój ojciec świetnie zna francuski. Często zapraszał znajomych na kolację i rozmawiał z nimi po francusku, żeby umacniać swoją władzę nade mną. Ale przestało mnie to obchodzić. Już się nie boję. Wielu ludzi tak jak ja wyrwało się z ram. Nie interesuje nas władza, do której prą starzy. Żeby nas ujarzmić, mówią po francusku, potrafią mieszać koktajle z whisky i noszą marynarki z rękawami zapinanymi na guziczki, które można naprawdę rozpiąć. Ale wielu z nas już im się wymknęło. Nie obchodzi nas, że przekręcamy nazwy francuskich win. No bo

czego właściwie brakuje kalifornijskim? Niech to szlag, tu jest przecież Ameryka. Może i koszmar, ale musimy nauczyć się z nią żyć.

Kyrie przenocował w hotelu, a my czworo ułożyliśmy się na kojach w przyczepie. Tuż przed zaśnięciem wyobraziłem sobie, że biję się z Brandem. Zadaliśmy sobie dziesiątki ciosów. Wtem naszły mnie myśli o rzeczach zostawionych w domu, kształty niedopieszczanych ostatnio przedmiotów, Olivetti lettera 32, Nikon F, a potem dziewczyny w fioletowych pończochach turlające się po papierowej równinie, James Joyce, Antonioni i Samuel Beckett usadowieni w moim salonie, sześć nóg skrzyżowanych w kostkach, Tana Elkbridge goła na Riverside Drive, jej mąż pochłonięty lekturą „Business Week” na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, Jennifer goła na Zachodniej Osiemdziesiątej którejś i te jej nie wiedzieć czemu wzruszające kości biodrowe,

Meredith goła w Gramercy Park i wreszcie Sullivan goła w wannie. Później znowu się biliśmy. Cofnąłem się przed prawym prostym Branda, po czym z kontry wałnąłem go lewą w kość policzkową i krótko w sam podbródek. Padł na kolana i oklapł, dysząc krwią. Kopnąłem go w żołądek i zasnąłem.

Śniadanie zjedliśmy w barze. Co chwila wchodzili albo wychodzili faceci w koszulach z krótkimi rękawami. Stuliłem i zgiąłem palce, układając dłoń w kształt szponu. Brand siedział przy stole i się śmiał. Sullivan też się roześmiał. Ludzie przy bufecie obrócili się i zaczęli się gapić. Brand osunął się na blat, skrzyżował na nim przedramiona i rechotał, aż mu się turlała głowa. Naprzeciw niego siedziała Sullivan, sztywna, jakby połknęła kij, i śmiała się gdzieś w przestrzeń nad jego głową. Złożyłem palce obu dłoni w kształt szponów i zacząłem podskakiwać na

krześle. Rozchyliłem usta, wyginając je w podkówkę, wyszczerzyłem dolne zęby i zagryzłem górną wargę. Wiedziałem, że wcale nie ze mnie się śmieją, ale dalej stroiłem upiorne miny i drapałem powietrze. Nie chciałem czuć się wykluczony, Nie wiedziałem, z czego się śmieją, więc udawałem, że ze mnie. Pike też parsknął śmiechem. Obróciłem się w stronę ludzi siedzących przy bufecie i wymierzyłem szponami w ich plecy, wciąż drapiąc powietrze. Teraz roześmiał się także Kyrie. Kelnerka przyniosła nam jedzenie, a Brand spojrzał na nią i o mało nie spadł z krzesła, rycząc ze śmiechu. Moje szpony znów stały się dłońmi. Kyrie wskazał palcem swój talerz z jajecznicą, wywołując kolejną salwę śmiechu. Kelnerka uśmiechnęła się, stojąc przy naszym stoliku i wypisując rachunek. Brand wskazał palcem jej ołówek. Podążyła wzrokiem za ruchem palca i roześmiała się. Wszystko było

komiczne. W ten pogodny wiosenny dzień wszystko nagle było komiczne. Poszedłem do toalety i przejrzałem się w lustrze.

Śmiali się przez całe śniadanie. Ktoś wskazywał coś palcem i wszyscy wybuchali śmiechem. Butelka z keczapem była taka śmieszna, że boki zrywać. Brand co chwila zdejmował okulary i wycierał je serwetką do ust. Miał twarz, jakich wiele w biuletynach absolwentów. Oto on, wicedyrektor fabryki pianki, filii Tenneco Chemicals w East Rutherford w stanie New Jersey. Oficer szkoleniowo-kształceniowy w Szkole Systemów Bojowych Uniwersytetu Sił Powietrznych przy Bazie Lotniczej imienia Maxwella w Alabamie. Brand, pomniejszy wspólnik. Młody republikanin. Wyższy ode mnie o jakieś trzy centymetry. Ważył pewnie ze sto pięć kilo. Oczy miał jak zabłocone szybki, szare i bardzo dalekie. Wstał i pobłogosławił cały lokal,

z twarzą znów skamieniałą czyniąc raz po raz prawą ręką znak krzyża nad głowami obecnych. Dokończyłem śniadanie i zostawiłem na stole dwudziestodolarowy banknot. Pike wyszedł za mną. Stanęliśmy na chodniku przed hotelem. Na szyldzie widniał napis AMES HOUSE.

– Ciekawe, czy dasz radę odpowiedzieć – rzekł Pike. – Namyśl się, jak długo chcesz. Słuchaj. Jak się kaszalotowi rozpląta brzuch, to ile mniej więcej będzie w nim fok i morświnów?

– Niech no pomyślę.

– Dwadzieścia pięć – oświadczył Pike.

Doba hotelowa kończyła się w samo południe. Poszedłem na górę i zadzwoniłem z pokoju do recepcji, a kiedy ktoś odebrał, poprosiłem o połączenie z biurem w Nowym Jorku. Gdy odezwała się telefonistka z centrali, powiedziałem, że chciałbym mówić z Davidem

Bellem. Dziwnie się przy tym czułem. Słuchawkę podniosła Binky.

– Tęsknisz za mną? – spytałem.

– Kto mówi?

– Ten, kogo podziwiasz najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie.

– Proszę się nie wygłupiać.

– Dave Bell mam na nazwisko. Kino to dla mnie wszystko.

– Co u ciebie, David?

– Tęsknisz za mną?

– Tak, strasznie tu nudno.

– Tu też nudy.

– Gdzie jesteś?

– Na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej i Lex.

– Zgadnij, co nowego. Chodzą słuchy, że Grove Palmer to pedał. Jody powiedziała mi, że Sid

Slote przypadkiem spotkał go na Bermudach w towarzystwie bardzo szemranych typów.

– Wcale mnie to nie dziwi. Zawsze wydawał mi się podejrzany.

– Zgadnij, co jeszcze.

– Mów.

– Miałam nadzieję, że sam zgadniesz. Harris Hodge, pamiętasz? Pierwszy, którego Weede przyjął do pracy po zbiorowym gwałcie i rozwałce. Wczoraj przyszedł.

– Jak wygląda?

– To supergość, David. Ma świetne poczucie humoru. I jest bardzo przystojny. Według Hallie podobny do Paula Newmana, tyle że młodszy.

– O ile? Chcę dokładnie znać jego wiek.

– Nie zdążyłam się dowiedzieć.

– Jakbyś tak raz na jakiś czas ruszyła dupę

z fotela.

– Nie gniewaj się.

– Co poza tym? – spytałem.

– Trocki znów uderzył.

– Kiedy?

– Dwa dni temu.

– Super, super. A jak się podpisał? Czekaj, niech zgadnę.

– Nie masz szans – powiedziała Binky.

– Chyba pora, żeby przemówił Giambattista Vico.

– Nawet nie próbuj, złotko.

– Wczoraj wieczorem myślałem o Beckettcie. Czyżby podszył się właśnie pod niego?

– Nigdy nie zgadniesz, więc ci powiem. Nadawca ma dwoje imion. Otto Durer Obenwahr.

– Tym razem Trocki zażył nas królikiem

z kapelusza.

– Jeszcze jak. Wszyscy łamią sobie głowy, co to za jeden ten Otto Durer Obenwahr. Ed Watchold rano wysłał swoją sekretarkę do biblioteki. W całym gmachu trwa lekkie piekiełko.

– A co było w okólniku? Jaki cytat?

– Odłożyłam go dla ciebie. Słuchasz? *Głupcy! Głupcy! Kwadratura koła to dziecinna igraszka. Dopiero odwrotna operacja wiedzie do błogich wizji.*

– Ciekawe – powiedziałem.

– Jak myślisz, co to znaczy?

– Bardzo ciekawe.

– Wielkie dzięki.

– Słuchaj, dowiedz się jak najwięcej o tym skurwielu Harrisie Hodge’u. A przede wszystkim, ile ma lat.

- Dobrze.
- Weede go lubi?
- Jutro jedzą razem lunch.
- Dowiedz się, czy Weede go lubi. Zadzwonię do ciebie jeszcze raz, zanim dojadę do Nawahów.
- Dobra. Miłej zabawy.
- Na razie, Bink.
- David, byłabym zapomniała.
- Tak?
- Teda Warburtona zawieźli karetką do szpitala.
- Kiedy?
- Wczoraj po południu. Zemdlał przy biurku.
- Do widzenia – powiedziałem.

Popołudnie przesiedzieliśmy całą piątką w przyczepie. Pike pił taniego burbona z papierowego kubka i od czasu do czasu warczał. Przed nami wznosił się masyw Gór Skalistych,

gdzie ociekając pianą, drapiąc pazurami ziemię, sprężony do skoku, czekał jego lew stróż. Brand znikł za okularami. Pomyślałem, że wywędrował do jakiegoś ponadczasowego pokoju w samym środku własnego jestestwa, między sfuszerowane wspomnienia o czterech ścianach i szarym szamanie. Kyrie ugryzł się w nasadę prawego kciuka. Parkujący samochód lekko nas stuknął w tylny zderzak, aż się kiwnęliśmy. Na nogach miałem mokasyny w stylu Komanczów, a do tego zielone, grubo prążkowane sztruksy z wojskowym pasem i czarną sportową koszulę.

– Sully, kto to jest Otto Durer Obenwahr?

– Specjalista od ciekłego tlenu i spadochronów hamujących do skoków z wielkich wysokości.

– Nie, serio. Słyszałaś o nim kiedyś?

Sullivan czytała gazetę, wydzierała z niej kółka i podawała Kyriemu, który siedział na podłodze

i podawał je Brandowi. Za każdym razem musiał podnosić rękę, bo Brand siedział na krześle.

– Idę się przejść – powiedziałem.

– Przynieś parę batonów – zażyczył sobie Brand.

– Jesteście mi winni resztę z dwudziestu – zaznaczyłem. – Zostawiłem na stole dwadzieścia dolarów.

– Nie patrz na mnie, Davy. Nie ja płaciłem rachunek.

– Ani ja – wtrącił Kyrie. – Nie patrz na mnie.

– Ktoś jest mi winien resztę z dwudziestu.

– Wyszedłem razem z tobą – rzekł Pike.

– Ktoś jest mi winien resztę. Ciągle za wszystko płacę.

– Przynieś parę jujub – poprosił Kyrie.

Szedłem ulicą, smutną jak każda droga

prowadząca za miasto, ulicą bluesową, poplamioną olejem z olbrzymich ciężarówek. Nad pustym skrzyżowaniem kołysało się trójkolorowe światło. Przeszedłem przez jezdnię do budynku z neonem reklamującym piwo. Znalazłem telefon, zadzwoniłem do Kompleksu Sztuk Komunikatywnych McDowda i poprosiłem Carol Deming. Dzwoniłem z automatu wiszącego na ścianie w głębi sali. Przy barze siedziało trzech mechaników samochodowych. Zauważyłem bilard elektryczny, automat do gry w kręgle, szafę grającą i deskę do gry w krążki z trzema stalowymi tarczkami leżącymi w kalafonii. Po chwili usłyszałem głos Carol:

– Tu Pakt Północnoatlantycki.

– Cześć. Nie byłem pewien, czy cię tam zastanę.

Mówi David Bell, ten z parku.

– Przykro mi, ale dodzwonił się pan do

sekretariatu NATO w Brukseli. Nikogo tu nie ma. Zechce pan zostawić wiadomość?

– Jestem w barze na Howley Road.

– U Bustera – powiedziała Carol. – Dawniej była tam remiza strażacka.

– Masz samochód?

– Mogę wziąć wóz Austina.

– A nie będzie zły?

– Jasne, że będzie.

Usiadłem przy barze i zamówiłem szkocką. W stojącej przede mną popielniczce pełno było obciętych paznokci. Piłem trzecią szkocką, kiedy przyszła Carol. Miała taki chód, że spódnica troszkę jej się kołysała na boki, a ja czułem, że szczęście mi sprzyja, i byłem gotów improwizować. Po głowie chodziła mi przyjemna luźna melodyjka i wiedziałem, że mechanicy przyglądają się dziewczynie, ale bez smaru

w oczach, bez korbowodów żądy, tylko raczej z cichą radością, z nieznacznym podrygiem ciała, z tym lekkim uczuciem, że ma się szczęście patrzeć na dziewczynę o gołych nogach, która idzie przez salę zasłonięta uśmiechem, jakby lubiła być kobietą ściągającą na siebie spojrzenia. Staralem się zanadto nie okazywać, jaki jestem zadowolony. Carol zerknęła na moją szklankę i zamówiła to samo.

– Nie byłem pewien, czy ty też mieszkasz w McCompe. Myślałem, że może tylko on. Wczoraj nic o tym nie mówiłaś. Czy to wczoraj się poznaliśmy?

– Wiesz, David, nie bardzo jest o czym mówić. Po prostu chciałam się czymś zająć, póki mąż się ze mną nie rozwiedzie. Miałam trochę odłożonych pieniędzy, a zawsze chciałam studiować aktorstwo, więc tu przyjechałam.

– Skąd?

– Z Detroit – odparła.

– To twoje rodzinne miasto?

– Byłam dzieckiem pułku. Mieszkałam w dziewięciu stanach.

– A co robiłaś w Detroit?

– W każdy piątek wieczorem popijaliśmy w Zebrze. Taki mieliśmy zwyczaj.

– Ty i ludzie z twojego biura?

– Wiesz, jak to jest w piątki. Każdy chce się rozluźnić paroma głębszymi. W Zebrze podawali kanapki stałym bywalcom, czyli właśnie nam.

Rozmawialiśmy jakiś czas, popijając. Czuję się dobrze i na luzie, gotów podjąć przy czwartym drinku natchniony dialog, a wewnątrz wznosił się błydy płomień. Carol wyjęła z torebki paczkę gauloise'ów. Kiedy podałem jej ogień, w powietrzu zawisł dym, na którym rozpląszczyła

się słodka, niegodziwa woń.

– Czy wśród stałych bywalców Zebry był ekstrawertyk, co zawsze żartował z kelnerem i lubił zamawiać egzotyczne koktajle?

– Fred Blasingame – powiedziała Carol.

– A co na przykład zamawiał? To ważne.

– Pamiętam, że raz zamówił americano. A kiedy indziej czarnego rosjanina.

– Chyba pomału do czegoś dochodzimy. Powiedz, Carol, czy w kąpeli lubisz podnieść nogę nad wodę i myć ją powolnymi, jakby zmysłowymi ruchami?

– Za daleko się posuwasz.

– Carol, jaki masz stosunek do wojny?

– Nie umiem się nią przejąć. Może dlatego, że to wszystko jest takie połowiczne.

– Giną na niej ludzie.

– Wiem. Straszne, prawda?

– Umiesz powiedzieć, kto to jest Otto Durer Obenwahr? – spytałem.

– Czy on aby nie grał na gitarze solowej w Grand Funk Railroad?

– Pozwolę sobie o coś cię spytać. Czego Ameryka najbardziej dziś potrzebuje?

– Patriotyzmu – odparła Carol. – Nasi synowie muszą wrócić do macierzy. Ona czeka z rozkraczonymi nogami. Zabijanie tych, co mają świńskie ślepka i spadziste czoła, znów musi się stać dla narodu pierwszoplanowym zadaniem.

– Czy w Zebrze grała w tle dyskretna muzyka? Proszę o natychmiastową odpowiedź.

– Tak – powiedziała Carol.

– Czy bywalcy toczyli przyjacielskie spory o tytuł pewnej melodii?

– Owszem, nieustannie. Carl Stoner, ten od

składek. Ciągłe się spierał z Marthą Leggett. W życiu nie widziałeś takiej zabawnej dziewczyneczki jak Martha. Miała niecałe metr pięćdziesiąt wzrostu, a Freddy B. dawał jej się sztachnąć swoim cygarem. Otaczaliśmy się dymem i zgiełkiem. Tak właśnie postanowiliśmy żyć. Gotowa jestem bronić tej decyzji.

– Czy plotki o Carlu Stonerze i żonie Freda Blasingame’a miały jakiegokolwiek pokrycie w faktach?

– Daj spokój. Nie było żadnych takich plotek. A zresztą nawet mnie jeszcze nie spytałeś o letni domek.

Znowu zamówiłem dwie szkockie. Nie wiedziałem, dokąd zmierzamy, i wcale nie było mi pilno tego się dowiedzieć. Widziałem, że rozmowa pełna zwodów i żonglerki ani trochę nie zbija Carol z tropu. Odpowiadała z niemal zbyt wielką

łatwością. Zmieniał jej się głos, a nawet składnia, i gdy tak sobie gawędziliśmy, zrozumiałem, że mam do czynienia z nie byle studentką sztuki aktorskiej. Na oko doskonale rozluźniona, prawie znudzona, pozwalała mi dyktować tempo i tematy, a w kolejnych zdaniach raptownie zmieniała intonację, ani na chwilę nie wyrzekając się ironicznego podtekstu, zaciśniętej pięści Środkowego Zachodu. Jej oczy sypały niebieskie iskry. W starej remizie strażackiej gdzieś w Iowa, w Missouri czy Illinois można było spodziewać się spotkania z czymś znacznie od niej gorszym.

– Byłaś kiedyś w Nowym Jorku?

– Chadzaliśmy na molo przy Gansevoort Street oglądać zachody słońca. Jedliśmy murzyńskie potrawy na Dziesiątej Alei.

– Czy po paru albo i więcej niż paru kolejkach jacyś mężczyźni z grona stałych bywalców Zebry

wsuwali ręce pod stół i próbowali pieścić twoje prawe lub lewe udo?

– Tego rodzaju podchody są chyba nieuniknione, kiedy trochę się wypije w mieszanym towarzystwie. Ale nigdy nie dochodziło do trudnych sytuacji. Lekko zmieniałam pozycję i to wystarczało, żeby ich ostudzić, więc przestawali.

– A czy maleńka Martha Leggett też zmieniała pozycję?

– Skąd mam wiedzieć?

– Chwalebna lojalność.

– Była z niej dzielna, figlarna dziewczuszka. Tworzyła z Fredem Blasingame'em duet komediantów. George i Gracie. Tak ich przezywaliśmy. Mój ojciec miał na imię George.

– I tą okrężną drogą dochodzimy do letniego domku – powiedziałem.

– Wysoka trawa i lemoniada. Leniwe

popołudnia u cioci Nell. Byłam taką głupciutką piętnastolatką. Trudno mi o tym mówić.

– Postaraj się, proszę.

– Przyjechał z bazy, żeby mnie odwiedzić, wyższy niż trawa, taki jasny i lśniący w słońcu. Był w mundurze. Nell zrobiła lemoniadę. Siedzieliśmy przed domem pod wielkim wiązem, tylko my troje i John Morning. Tatusz przywiózł mi tomik wierszy, sonetów pewnej damy z Południa, której kochanek zginął pod Vicksburgiem. Nell weszła do domu, żeby zająć się przygotowaniami do kolacji. John Morning odśpiewał gospel i poszedł do stajni. Tatusz czytał mi sonety, a ja płakałam i mówiłam, że jestem głuptaską, on zaś cichutko się śmiał tym swoim łagodnym śmiechem. Piliśmy lemoniadę i patrzyliśmy, jak nad wielkim wiązem zachodzi słońce.

– A gdzie był wtedy chłopak Jamisonów? –

spytałem.

– Chłopak Jamisonów zaledwie trzy tygodnie wcześniej utonął w Jeziorze Nura. Tatuś oczywiście o tym wiedział, ale miał dość delikatności i rozumu, żeby przemilczeć tę tragedię. Po kolacji spacerowaliśmy w wysokiej trawie zalanej księżycową poświatą. Słuchaliśmy cykad, a tatuś trzymał mnie za rękę. Potem wróciliśmy do domu. Nell zrobiła lemoniadę, a John Morning powiedział, że roczniak zdrowo rośnie. Tatuś poszedł do stajni spojrzeć na roczniaka, a ja do swojego pokoju. Później tata też tam przyszedł i w ciemnościach cicho opowiadał o wojnie i śmierci, delikatnie mnie dotykając w delikatnych miejscach. Nie wspomniał o tragedii chłopaka Jamisonów i nie powiedział ani słowa o letnim domku.

– O której godzinie obudził cię dziwny dźwięk?

– Kiedy obudził mnie dziwny dźwięk, już prawie świtało. Wstałam z łóżka, włożyłam spodnie do konnej jazdy i zielony sweter z urwanym guzikiem. Do dziś nie wyrzuciłam tego swetra. Miałam go na sobie, kiedy ostatni raz widziałam chłopaka Jamisonów, dwa wieczory przed tym, jak utonął. Siedzieliśmy na werandzie za domem i piliśmy lemoniadę. John Morning śpiewał gospel. Chłopak Jamisonów spytał, czy tym razem przyjechałam na całe lato, czy, tak jak dawniej, tylko na kilka tygodni. Powiedziałam, że matka zdecyduje. A on na to, że ma już dość tego robienia tajemnicy wokół mojej matki. Chciał znać prawdę.

– I dlatego powiedziałaś mu o letnim domku.

– Tak, powiedziałam mu – potwierdziła Carol. – On jeden poznał straszliwy sekret. A dwie noce później utonął. Do dziś trzymam tamten sweter pod

kluczem w którymś kufrze. Wyobrażasz sobie, jakie to dla mnie trudne?

– Carol, kiedy sobie uświadomiłaś, że śmierć chłopaka Jamisonów to nie był wypadek?

– Kiedy obudził mnie ten dziwny dźwięk. Od razu go poznałam i właśnie wtedy zrozumiałam, że chłopaka Jamisonów zastrzelono, nim utonął. Włożyłam czerwoną atlasową sukienkę z głębokim dekoltem, tę samą, w której poszłam na drugi pogrzeb matki. Nie muszę ci mówić, że dziwny dźwięk dobiegł z letniego domku. Poszłam przez wysoką trawę, mokrą od rosy. Nad wielkim wiązem wschodziło słońce. Otworzyłam drzwi letniego domku.

– I co zobaczyłaś?

– Tatę. Był zupełnie nagi, tylko w samym mundurze.

– A co robił?

- Nie mogę już o tym mówić, wierz mi.
- Co on robił, Carol?
- Strzelał z rewolweru do Johna Morninga, który wcześniej utonął.
- Co nieboszczyk trzymał w ręku?
- Medalion. Srebrny medalion mamy.
- Czy któryś mężczyzna z grona stałych bywalców miał zwyczaj łamać z głośnym trzaskiem plastikową pałeczkę do mieszania koktajli?
- Bob Kirkpatrick.
- Doskonale. Co możesz nam o nim powiedzieć?
- Wyglądał jak sekwoja.
- Umiesz podać nazwisko gubernatora Kalifornii?
- Nie ma takiego stanu.

– Znakomicie. Czy jeżeli w bezludnym lesie przewróci się sekwoja, rozlegnie się jakiś dźwięk? A może da się on słyszeć tylko w obecności istoty obdarzonej zmysłami?

– Owszem, rozlegnie się.

– Jaki? – spytałem.

– Kłaśnięcie jedną dłonią.

– Za daleko się posuwasz, Carol. Ale spróbuję za tobą nadażyć. Wspomniałaś o swoim mężu. Czy on także należał do grona stałych bywalców?

– Mój mąż nie należy do żadnego grona, takiego ani siakiego. Jest czarny. Czarny jak smoła.

– Mówisz, że jest Murzynem.

– Dawniej określano takich jak on mianem amerykańskich Murzynów.

Byłem już trochę pijany. Barman postawił przed nami jeszcze dwie szkockie. Carol znowu sięgnęła po papierosa, a ja podałem jej ogień. Skręciła

głowę w bok, wypuszczając dym, a potem wolno wróciła do poprzedniej pozycji i spojrzała na mnie ze zboląłym uśmiechem. Trzej mechanicy stali wokół elektrycznego bilardu. Przy drugim końcu baru czterej młodzi mężczyźni pili piwo.

– Co ty tu właściwie robisz? – spytała Carol.

– Chciałem uciec od stałych bywalców. Zaczynałem już widzieć duchy. Kiedyś zasnąłem u kogoś w pracowni na poddaszu. Byłem zmęczony i pijany, więc zasnąłem. Śniło mi się rodzinne miasto. A kiedy otworzyłem oczy, wydało mi się, że w drzwiach stoi duch mojej matki. Ale to była tylko zjawą, którą wywlokłem ze swojego snu. W rzeczywistości widziałem właścicielkę pracowni. Tę rzeźbiarkę. Weszła i kiedy otworzyłem oczy, właśnie stała w progu. Jaki w tym widzisz sens, jeżeli w ogóle jakiś?

– David, ja już lecę z nóg. Jestem strasznie

zmęczona. Mam za sobą długi dzień. Nie obraź się, ale już sobie pójdę.

– Chciałbym, żebyś zagrała w moim filmie – powiedziałem.

Kiedy wróciłem do przyczepy, tamci jedli kolację. Potem Brand na cześć Kyriego rytmicznie napinał i rozluźniał mięśnie przedramienia, wprawiając w ruch tatuowane psy. Czekałem, aż ktoś zacznie narzekać na przydługi postój. Kyrie zasnął pod stołem. Położyłem się do łóżka z radiem Sullivan. Włączyłem je i po cichutku słuchałem w ciemnościach. Ilekroć Pike zaczynał chrapać, waliłem pięścią w ścianę przyczepy i wtedy na jakiś czas przestawał. Nie mogłem usnąć, więc przez pół nocy słuchałem radia, zmieniając stacje, kraje, półkule, przełączając na krótkofalówki i radiostacje okrętowe, gdzieś tam trzeszczał ten cały nocny świat, splątane języki,

głosy w burzach napiętności i elektrostatycznych szumów, mnóstwo reklam, modlitw, wiadomości, wierszy, rozruchów na stadionach piłkarskich, gróźb śmierci, wojny i rewolucji, z gór śmiech, a z rozległych równin apele o zdrowy rozsądek, demonstracja w La Paz, osuwisko w Zurychu, zamach w Dakarze, pożar w Melbourne, zamęt w Tokio, tragedia w Atenach. A potem usłyszałem znajomy głos:

„Z wybiciem gongu będzie punkt trzecia. Zegardłowa trzecia. Tu mówi Bydlę i zostały nam jeszcze dwie godziny. Ale w ciągu najbliższych przełomowych minut wszystko się wyda. Pora wydłubać sobie paprochy z omfalosu. Pora obgryźć nogi krzesel. Wiem, że siedzicie tam, w mamalandzie, że są was dziesiątki tysięcy, że skowytem kulicie się na podłodze, liżąc zimną stal lufy swojej strzelby. Zaczyna się agon. Pora wrzeszczeć w poduszkę. Pora wytapetować ściany

własnym mózgiem. Ale jeżeli przetrwamy najbliższe dziesięć minut, to przetrwamy tę noc. Trzecia rano, a w holu skradają się wilkołaki. Amerykański czas uniwersalny. Po pracy wróciłeś do domu i zastałeś żonę w łóżku z twoją własną siostrą. Dziwnie odświeżające przeżycie. Zostałeś, żeby popatrzeć. Oczywiście wiem, jak to tam u was jest. Po języku skacze ci soczysta gała oczna. Koźle oko. Czarne lśniące ślepie arcyjebaki, co przeleciał wszystkie jagniątka, które liczyłeś w swoim mokrym łóziu. Wiem, jak to jest. Ja, Bydlę, przedcierpiałem prawie wszystko. Moje kapłańskie naczynia włosowate pchnęły mnie aż do Dublina gwoli osiągnięcia należytego wzrodu i wytrwałości. Mollestować tam swoją leopoddaną narzeczoną. Matkę bliźniaczych niepokojów. Zaprawdę, znam twoje sekrety. Od trzech dni łazi za tobą po całym mieście olbrzymi łysy Malaj w makintoszu. Zamieściłeś ogłoszenie

w L.A. «Free Press». Ogiery, ostre lesby i dobrze ułożone zwierzaki zainteresowane samogłaskiem. A u dołu drobny druk: tylko żadnych odmieńców. Podales numer skrytki pocztowej, odpowiadający dacie twojej pierwszej komunii. Toniesz w pornografii i lubieżności. Zdemaskowano cię i wymiśkowano. Przerrywamy nasz program, aby nadać wiadomości. Prezydent wstał w południe, śniadał z członkami gabinetu, zrugął swoich krytyków, podał rękę Murzynowi, wziął kąpiel parową i zjadł obiad z Nguyenem Cao Dungiem, byłym przywódcą niewymienionego z nazwy państwa, którym CIA rządziła jako rzekomą organizacją dobroczynną. Tu mówi Warren Biddle z Białego Domu w Waszyngtonie, że Warren Biddle mówi z Białego Domu w Waszyngtonie. Zawracamy teraz państwa do naszego studia. Czuję dziś w nocy dookolną ciszę. Nie rusza się nic oprócz szarej, ledwie widocznej postaci, która

kuśtyka przez dworce autobusowe i kolejowe. Samotny onanista wśród swoich chłodnych kalkulacji. Gdzież znajdę litościwe ucho dla mej nieumiarkowanej trajkotaniny? Trzymam pod ręką własne karykatury, żeby dotrzymywały mi towarzystwa. Lord Greystoke, brytyjski podróżnik, zamierza samotnie przepłynąć chińską dżonką z Malty na Krete, aby dowieść, że Morze Śródziemne było niegdyś jeziorem w prowincji Sinkiang. Wiem, że gdzieś tam czyhacie, psotni rewolwerowcy, przechadzacie się po swoich zeszkorbucałych pokojach, z długopisami w rękę układacie listy prawdopodobnych ofiar i – rzecz nie do wiary! – melancholijnie rozmyślacie o wspaniałości oficjalnych pogrzebów. Na ścianie grupowe zdjęcia adolfów. I ten gorący grom w waszych głowach, wszystkie bębny od czasów Goliata. Tu Szymon zwany Piotrem mówi w imieniu firmy Bumblebee, producenta konserw

z tuńczyka, życząc wam wszystkim bezpiecznego i zdrowego na umyśle wniebowstąpienia. U Boga Ojca jesteście w dobrych rękach. Jeżeli idzie o smarkacza, nie byłbym taki pewien. To prawdziwy fachura. Ale w krytycznych sytuacjach wychodzi na twardziela. Trzy po trzeciej, *les misérables*. Wróg coraz śmielszy. Akurat zdążymy jeszcze wybrać na chybił trafił parę wiadomości. Wygląda na to, że Europa znikła. Zupełnie nie wiadomo, gdzie się podziewa. Ale załoga liberyjskiego tankowca u wybrzeży Grenlandii zauważyła podobno plamy ropy i rozmaite rupiecie w stylu Ludwika XIV. Pora wgryźć się w podteksty nowin. Pora zasiąść do gulgoczącego wurlitzera pod jezdnią i jak ta niekochana zjawa z podziemi pozwolić, żeby po zwierzęcej, lecz wrażliwej twarzy spłynęła wam jedna jedyna łza. Ale najpierw słowo z naszego drugiego jądra. Kobieto, oto nadzwyczajny nowy sposób zapewnienia

synusiowi i córce substancji odżywczych, jakże potrzebnych w wieku dorastania. Zabij męża i nakarm nim dzieci. Bardzo byś chciała, prawda? Masłomięsko rozplywa się w ustach. Smakowite enzymy denata wypłukują ci z duszy wszelką animozję. Jakież subtelne sosy mogłabyś upichcić na tych dyrektorskich udźcach! Starczyłoby aż nadto, żeby napełnić wszystkie rondle Bloomingdale'a. Słodkie fale kwaśnego zmywu. Pod gołym niebem byłoby miło. Ajery odłóż dla synusia. Niech zmężnieje. Przybierz pietruszką. Ale za daleko się posuwam, nawet jak na gust tych jednokomórkowców, co mnie słuchają. Mam zamiar ugotować własne podrabiane ciało. Delirium. Istnieje tylko jedno naprawdę poważne zagadnienie filozoficzne, a jest nim hejnał rozgłośni. Pieje kurant. Wszystko sprowadza się do liczb. Do Księgi Liczb i Powtórnego Prawa. Pomąlu tracę ostrość, ale zostańcie ze mną. To

wasza jedyna nadzieja. Za cztery minuty śmierć. Nie ma chwili do stracenia, więc szybko słuchajcie. W zegarze z kukułką ptak zaczyna stroić miny. Szybko – módlcie się. Pokłońcie się jakiemu chcecie bogu i módlcie się o własny koniec. O nowe oczy i uszy. O zmianę kształtów. O świeży sok do zabrania w rychłe klimakterium. O krótką zimę bez szkopów. Módlcie się za Upper East Side, za te wszystkie budynki z białymi kafelkami, pełne samotnych dziewczyn, które chłopcom zakochanym w suspensoriach cytują rzekomych Persów. Módlcie się za Wenus zaadriatyżowaną. Módlcie się o brak pragnień i przebiegłe rzuty kośćmi. Módlcie się za wnętrza bytów, mężczyzn na równi z akumulatorami, żeby były jak najprecyzyjniej wygolone. Módlcie się za ściany bytów, żeby chroniły to, co chronią, przed przeciwsianą. I za moszny przemysłowców. Za poetów, którzy spędzają lato w Nantucket. Za

dwukolorowe oldsmobile z pięćdziesiątego ósmego roku. Za Umbriago, burmistrza Nowego Jorku i Chicago. Z powagą módlcie się za Australijczyków, bo jeżeli kiedyś dochrapią się bomby, urzędują nam wszystkim rugby w grząskim bloku. Módlcie się za bielika amerykańskiego i jego wścibski dziób. Módlcie się o to, żebyśmy przestali wciąż na nowo wgrywać własne życie w ssącego tasiemca. Módlcie się, iżbyśmy nie znikli, o Panie, w niepraktycznym przeogromie twego nocumysłu (z któregośmy się poczęli), nie przygotowawszy się wprzód na raptowną zmianę tempa. Módlcie się o pełnię wyrazu, żebyśmy wreszcie odrzucili te kaski spawaczy, za którymi ukrywamy swój żal i radość. Pochwa! Pochwa! Pochwa! Wsączcie się do wewnątrz i wypróbujcie w starciu z nocą to, co wam zostało. Bądźcie wytrwalsi niż człowiek z Jawy. Napójdzie swoje czaszki z Moustier. Wróćcie do pierwotnego

żyznego półksiężyca. Dar es-Salaam! Abu Simbel!
Chou-Kou-Tien! Ale prawda, obawiam się, jest
taka, że obawiam się mrocznych dni z tysiąca
i jednej nocy. Czuję bluesa Stefana Dedalusa
i mam kawał drogi do Leopoldville. Czarna panika
w filtrze mojego kenta king size. Zbudziliśmy się
z koszmaru historii. Wbij swój logiczny widelec
w omlet z grzybami. Niemila wyrwa w kojącej
ciągłości. Żadnych precedensów, których mógłby
się uczepić aparat prawny. Żadnych zwojów, na
których ludzie mogliby spisać swoje dzieje,
uwiecznić sztukę, zastępy wojsk obwieszonych
sztandarami. Żadnych ciągów dalszych dla
jajogłowych kinomanów. Zdumione geny Japonii,
patrzmy, jak wasze pytania skapują w ziemię.
Wszyscy precz ze sceny i pamiętajcie. King Kong
umarł za grzechy wasze. Pora na ostatnią
modlitwę, gdy przed kukułką otwierają się
drzwiczki. Wersja króla Jakuba. Strategiczne

Dowództwo Sił Powietrznych, któreś jest w niebie, niechaj połknięte zostaną twe samoloty. Przyjdź królestwo twoje, bądź wola twoja, jako na ziemi, tako i w nebraskim Omaha. Chlewa naszego powszedniego daj nam dzisiaj, a wybacz nam nasz stront, jako i my wybaczamy tym, co przeciw nam stroncą. A nie wódź nas na unicastwienie, ale nas zbaw ode gruzu, albowiem twoja jest moc i moc, i moc, na wieki i święte nigdy, o rany!”.

Tamtej nocy miałem przerażające sny, a rano uczepił mnie się zwłaszcza jeden obraz: szosą przez pustynię jechał niebieski autobus. Widziałem go tak wyraźnie, jakbym jeszcze spał, śniąc ten błysk niebieskiego metalu wśród lwiołowej pustyni. Pierwszy raz w życiu byłem pewien, że miałem kolorowy sen. Nie wiedzieć czemu ogromnie mnie to cieszyło.

Po śniadaniu Kyrie oświadczył, że pora mu już

ruszać w dalszą drogę. Podwieźliśmy go do Howley Road, oddalonej o trzy czy cztery przecznice, i zaparkowaliśmy przed barem Bustera. Usiedliśmy w tyle przyczepy i wypiliśmy ostatnią kawę.

– Poświęcam ten marsz mojemu kumplowi Artowi Levy’emu – powiedział Kyrie. – Byliśmy obaj gośćmi w Departamencie Sprawiedliwości. Kilku tamtejszych prawników założyło klub motocyklowy. Z czasem zaczęli przyjmować drobnych urzędników, a nawet gońców. Art kupił używanego harleya, najprostsz model, i się do nich zapisał. Klubowcy dziwacznie się ubierali: nosili bandanki, kurtki wojskowe i myśliwskie, wojskowe buty, legginsy, bluzy klubów futbolowych, kamizelki z krowiej skóry. Prawnicy i wszyscy inni. Z Departamentu Sprawiedliwości. Kiedyś rano wszedłem do biura, a tu jeden podchodzi do mnie i mówi, że już po Arcie. Nie

zrozumiałem. No to mi wytłumaczył, że Arta przejechał wóz strażacki. Było zderzenie i Art wyszedł z niego z pękniętą czaszką i ciężkimi obrażeniami wewnętrznymi. Jeszcze tej samej nocy zmarł. A ja mówię każdemu, kto mi pomaga, że poświęcam ten marsz pamięci mojego kumpla Arta Levy'ego, który oddał życie w nierównej walce z potężnymi siłami współczesności.

– A co zrobisz, jak już dojdiesz do Kalifornii?
– spytała Sullivan.

– Nauczę się grać na gitarze.

Wysiedliśmy z przyczepy i stanęliśmy na Howley Road. Był czarny poranek, chłodny, wietrzny, pachnący burzą. Przy tej ulicy stały tylko trzy czy cztery domy, a z ich zaniedbanych podwórek wzbijał się kurz. Trójkolorowe światło sygnalizacji ruchu kołysało się na stalowej lince. Kyrie uśmiechnął się i pocałował każde z nas na

pożegnanie, zanim odszedł drogą, z gitarą i chlebakiem: wybitnie neochaplinowski finał. Wiatr wydał mu koszulę, o mało go nie przewracając. Zastanawialiśmy się, czemu nie mielibyśmy zostawić przyczepy dokładnie tam, gdzie stała, ale żadne z nas nie znalazło wystarczającego uzasadnienia, więc znowu do niej wsiedliśmy. Pike wyjął ze swojego marynarskiego worka butelkę. Nad głowami rozbrzmiewał nam monotony plastikowy szmer, bo zaczęło padać. Pike opowiedział nam o pumie: jaka jest szybka, sprytna i zaradna, potrafi bez rozbiegu dać jedenastometrowego, a czasem nawet trzynastometrowego susa, czyli jest w tym lepsza od impali, chociaż to właśnie impala zyskała sławę najskoczniejszego ssaka, a mówiąc o niespożytej energii pumy, przytoczył udokumentowany przypadek, kiedy to samotny kuguar w jedną noc zabił sto dziewięćdziesiąt

dwie owce. Nieco później przebiegłem truchtem w deszcz przez pół miasta, żeby popracować w bibliotece. Nocą siedziałem sam przed przyczepą, słuchając brzęczenia owadów. Miałem ochotę opuścić to miasto, wyrwać z rykiem silnika na długą prostą autostradę wiodącą w głąb Zachodu; zapomnieć o filmie i o wszystkim, co zaczynał on dla mnie znaczyć. Stanąc twarzą w twarz z górami i pustyniami, roztrzaskać własną podobiznę, ten pryzmat wszystkich moich wizerunków, i stać się wreszcie kimś, kto żyje dzięki własnej sile i węchowi.

W weneckim biurze American Express poznałem pewnego starszego pana. Staliśmy w kolejce do kasy, żeby spieniężyć czeki podróżne. Powiedziałem, że mamy piękny, słoneczny dzień.

– Wie pan, jak mówimy na taką pogodę

w okręgu Pima w Arizonie, tam gdzie mieszkam? – zapytał.

– No, jak?

– Deszcz – odparł. – Mówimy: deszcz.

Mrugnął do mnie i podszedł do kasy. W zaułkach drzemały czarne weneckie koty. Z Włoch zostało mi w pamięci tamtejsze mokre słońce i białe obrusy, plasterki kokosa spryskiwane wodą na targowiskach i wszędzie księża, złowrodzy jak klingi noży. Potem pojechałem do Florencji, gdzie Meredith wskazywała palcem kamienie i wołała, że są imponujące. Później sam na południe do rdzawego, martwego Rzymu; niemieccy turyści oddawali sobie nawzajem honory i wszyscy czekali, aż przez Via Veneto przebiegnie w podskokach Fellini w błazeńskim makijażu i operowej pelerynie na czele orszaku dziewic,

wielbłądów, Nubijczyków i rzeczników prasowych. A mnie przez cały czas prześladował pewien pomysł, wizja płaskowyżów i ostańców, ostrość suchych wiatrów, długie chłodne cienie i końskie łby przewieszane przez płoty, zajęci owcami Nawahowie, sfastrygowana ziemia Arizony. Mówimy: deszcz. Ale popełniłem ten błąd, że zostałem na Howley Road.

Obudziłem się w środku nocy, czując zapach budynku czekoladowego – gęstą, soczystą, obezwładniającą woń. A potem przypomniał mi się niebieski fartuch matki, stary poobijany piec, tak straszliwie rzeczywisty, niebieski fartuch w kwiaty, i to, jak matka stała, mieszając budyń, a jej dłoń była filigranowym wiotkim triumfem ciągłości i gracji, stwierdzeniem ładu we wszechświecie. Rano włożyłem film do kamery.

Złudne wrażenie ruchu było prawie nieistotne. Może nie tyle kręciłem film, ile tworzyłem zwój, delikatny fragment papirusu, który bał się, że ktoś go odkryje. Weterani przemysłu filmowego przysięgliby, że takie rzeczy znano, zanim Edison skonstruował kinetoskop. Mam dla nich prostą odpowiedź. Potrzeba stuleci, żeby wynaleźć prymityw.

Glenn Yost otworzył drzwi. Jego długa, zmęczona głowa przechylała się w lewo, a szalone oko błyskało jak raca. Wyobraziłem sobie, że na jakimś zielonym romboidalnym pastwisku w jego umyśle obsadzono już bazy, a ku domowej kroczy

rosły, pełen zapachu nowicjusz, człowiek góra z ciężkim kłocem, złocisty zjadacz płatków z mlekiem. Glenn mieszkał w białym jednopiętrowym drewniaku przy ulicy stareńkich domów. Prawie wszystkie były białe, a niektóre wymagały odmalowania. Zaprowadził mnie do sutereny. Jego syn siedział w kącie, rozwalony w fotelu, i oglądał w telewizji western z Kirkiem Douglasem.

– Nasz duży telewizor zostawiłem żonie – powiedział Glenn. – Myślałem, że tu na dole będziemy mieli więcej spokoju, ale, jak widać, ten zwierzak nas ubiegł.

– Wszechwidzące oko – rzekł Bud.

– Nic nie szkodzi. I tak chciałem porozmawiać z Budem.

– Siadajmy.

– Jak zarabiasz na życie, Glenn?

– Mam udział w tartaku.

– Jest ruch w interesie?

– W najbliższym czasie raczej nie grozi mi emerytura.

– Spytałem ni w pięć, ni w dziewięć, tylko z uprzejmości, a teraz powiem, po co naprawdę przyszedłem. Miałbyś ochotę zagrać w filmie, który będę kręcił przez jakiś tydzień w tej okolicy? Zajęłoby ci to najwyżej parę godzin. Musiałbyś tylko przeczytać przed kamerą krótki tekst. Dosłownie przeczytać ze scenariusza, z kartki. Żadnego wkuwania na pamięć, żadnych przygotowań. Wystarczy, że przyjdiesz i przeczytasz. Wiem, to nie brzmi zbyt porywająco, zwłaszcza że nie mogę ci zapłacić ani centa, ale straciłbyś najwyżej parę godzin, a może miałbyś z tego trochę zabawy. Jedno jest pewne: oddałbyś mi wielką, naprawdę ogromną przysługę. Bud, ile

masz lat?

– Za trzy miesiące skończę szesnaście.

– Ciebie też prosiłbym o parę godzin.

– Nie znam się na czytaniu tekstów – powiedział Glenn.

– Przecież ty ciągle lecisz jakimiś tekstami – rzekł Bud. – Nigdy nie mówisz serio. On nigdy nie mówi serio. Wmawia ludziom, że w czasie wojny służył w podwodnej jednostce spadochroniarzy. Skakali z łodzi podwodnych. Nie z góry na dół, tylko z dołu do góry.

– Dobra, dobra, cwaniaku.

– Ile masz lat, Glenn, jeżeli wolno spytać?

– Chyba czterdzieści siedem.

– A poza tymi skokami z łodzi podwodnych rzeczywiście walczyłeś w drugiej światowej?

– Szedł w marszu śmierci na Bataanie –

powiedział Bud.

Glenn poszedł na górę po piwo, a potem przez jakąś godzinę oglądaliśmy film, póki się nie skończył. Uwielbiałem te krajobrazy, prawie zupełne zrównanie człowieka z przestrzenią, kiedy kowboj patrzył na milczące wzgórza; bo właśnie przestrzeń była istotnym tematem filmu: to, jak ją urządzić i zaludnić, czas zawieszony w oknie na pustynię, i jak odnieść zwycięstwo nad piachem i kością. (Przecież to tylko kowbojski film – mówiłem sobie). Po schodach zszedł Owney Pine, niski i trochę krzywonogi, obfity wszere, krągłogłowy, ostrzyżony na jeża, przepłynął przez pokój i z głośnym klapnięciem zacumował w fotelu, a wtedy otworzył mu się kadłub i wyjechały z niego samochody.

Rano poszedłem z kamerą do hotelu i powiedziałem recepcjoniście, że chcę ten sam

pokój, tym razem nie wiadomo na jak długo. Recepcjonista przed chwilą kichnął i miał jeszcze ślady na wąsach. Spojrzał na kamerę, zawahał się, czy coś o niej napomknąć, ale w końcu bez słowa pchnął w moją stronę klucz po blacie.

Położyłem kamerę na łóżku i usiadłem w fotelu, patrząc na nią. Pochuchałem na koniuszki palców. Rozpiąłem mankiety koszuli i ciasno podwinąłem rękawy, tak że trzy centymetry poniżej łokci. Poruszyłem barkami w przód i w tył, próbując rozluźnić mięśnie. Wyjąłem z kieszeni klucze i tym od skrzynki na listy oczyściłem paznokcie. Pochuchałem na knykciec prawego palca wskazującego. Lewą ręką pomajtałem jądrami, póki się wygodnie nie ułożyły. Potem trzy razy wypuściłem nosem powietrze.

Austin Wakely przyszedł punktualnie. Tak jak mu kazałem, był w brązowych butach z wojskowego

przydziału, wypucowanych do połysku, i letnim mundurze koloru khaki, świeżym i czystym. Spodnie i koszula pochodziły z garderoby McComplex; buty gdzieś pożyczył. Zadał dziesięć czy dwanaście pytań, z których odpowiedziałem tylko na dwa: film kręcę bez scenariusza, cały na czarno-białej taśmie. Moje odpowiedzi zirytowały go zaledwie odrobinę mniej niż to, że pozostałe pytania zbyłem milczeniem.

– Co prawda nie bardzo się na tym znam – powiedział – ale tu jest chyba za ciemno.

– Chcę pracować w naturalnych warunkach. Przyniosłem parę mocnych żarówek. Wkręcimy je i będziemy się modlić, żeby korki wytrzymały. Głównym źródłem światła będzie chyba ta lampa podłogowa. W pewnych kręgach takie przedsięwzięcia jak to moje określa się mianem nawiedzanej amatorszczyzny. Dzisiejsze zadanko

jest dość proste: nakręcimy rodzaj sygnatury, którą będzie można wmontować równie dobrze na początek jak i na koniec. Kiedy zaczniemy kręcić z dźwiękiem, dam ci tekst z możliwie największym wyprzedzeniem. To znaczy najwyżej dwudziestoczworogodzinnym. Mam nadzieję, że odczytasz moje bazgroły.

– Odczytam.

– A teraz słuchaj – powiedziałem.

Udzieliłem mu ostatnich wskazówek, zmieniłem żarówki, a potem ustawiłem czułość emulsji i prędkość przesuwu. Wyregulowałem okular. Austin odchrząknął, chociaż miał tym razem niemą rolę. Stał tyłem do lustra sięgającego podłogi, twarzą w stronę kamery. Przesunąłem go trochę w bok. Całą scenę nakręciłem jednym ujęciem, kamerą ustawioną w nogach łóżka. Trwała koło dwudziestu sekund, tyle co większość reklam.

Kiedy skończyliśmy, Austin był w wyraźnie lepszym humorze. Z entuzjazmem mówił o filmie i swojej w nim roli, chociaż jeszcze nie wiedział, na czym ona polega. Jego podobizna trafiła do banku czasu i to wystarczyło, żeby wpadł w ekstazę. Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, czułem, że zyskałem nad nim przewagę. Bez subtelnego rozlewu krwi, bez kampanii ugruntowującej dominację nad drugim człowiekiem. Miałem kamerę i niczego więcej nie było trzeba.

Kiedy Austin sobie poszedł, wziąłem prysznic i poprosiłem głos z recepcji, żeby połączył mnie z siecią.

- Jestem goły – powiedziałem.
- Strasznie mnie to podnieca. A kto jest z tobą?
- Chór Mormońskiego Zboru.

– Szczęściarze – stwierdziła Binky. – Nie spodziewałam się, że tak szybko znowu zadzwonisz.

– Ile lat ma Harris Hodge?

– Dwadzieścia sześć. Nie wściekaj się, David. Wygląda na starszego.

– Dobra, jak się czuje Ted Warburton?

– Zemdlał przy biurku i karetka zabrała go do szpitala.

– Już mi to mówiłaś, do jasnej cholery, chyba słowo w słowo tak samo. Od kiedy jesteś automatyczną sekretarką? Chcę wiedzieć, czy są jakieś wiadomości ze szpitala.

– Nie wiem. Popytam.

– Weede nie próbował się skontaktować z panią Warburton?

– Nie wiem – powtórzyła Binky.

– No to się dowiedz. Jak następnym razem pójdziesz z nim do łóżka, spytaj, czy próbował się skontaktować z panią Warburton. Tymi słowami. Myślisz, że możesz to dla mnie zrobić, Binky?

– Tak.

– Przepraszam – powiedziałem.

– To ja cię przepraszam, David. Strasznie się martwię o Teda Warburtona. Naprawdę. Jak chcesz, to się dowiem, w którym leży szpitalu, i będziesz mógł do niego zadzwonić.

– Nie, nie rób tego. Jeżeli Ted jest w ciężkim stanie, wolałbym z nim nie rozmawiać. Nie wytrzymuję rozmów z ludźmi w ciężkim stanie. Dowiedz się tylko, jak on się czuje, a ja w przyszłym tygodniu do ciebie zadzwonię.

– Dobrze.

– Przepraszam za to, co powiedziałem o Weedzie.

– Nie szkodzi. I tak wszyscy wiedzą. Skoro jesteś z Chórem Mormońskiego Zboru, to pewnie dojechałeś do Utah?

– Tak.

– Zaraz na południe od Utah jest Arizona.

– Naprawdę? – spytałem.

– Czyli lada dzień będziesz na miejscu.

– No właśnie.

– Wszyscy bardzo się interesują twoim projektem.

– Nie mów tak.

– Naprawdę jesteś goły?

– Goluteńki.

– Przykro mi, że tak wyszło z Harrisem Hodge'em.

Chciałem poprosić Binky, żeby mnie przełączyła na wewnętrzny Tany Elkbridge, ale zaczęłyby

podejrzewać, że romansuję z Taną, a ponieważ miała ona męża, nie był to dobry pomysł. Oczywiście mogłem podać Binky sam wewnętrzny, nie mówiąc, czyj to numer, lecz gdyby zechciała to ustalić, łatwo by go znalazła w firmowej książce telefonicznej. Wolałem nie ryzykować. Kiedy skończyłem rozmowę z Binky, odłożyłem słuchawkę i znowu kazałem głosowi z recepcji połączyć się z siecią. Poprosiłem do telefonu Tanę Elkbridge. Odebrał jej szef. Natychmiast się rozłączyłem. Potem zadzwoniłem do Meredith na biurowy numer.

– Gdzie jesteś? – spytała.

– Tu, na Środkowym Zachodzie. Co słyhać w Gramercy Park? Jakies bomby, strajki, rozruchy, epidemie?

– Tutaj wszystko w porządku, ale zmartwiła mnie wiadomość z Turcji. Mama trafiła w Ankarze

do szpitala. Znowu pije. Chyba już bardzo z nią źle. Spadła ze schodów.

– Chciałbym być teraz z tobą.

– Ja też, David.

– Tęsknię.

– Tak.

– Chyba oboje dojrzeliliśmy – powiedziałem.

– Podróż ci służy?

– Dała mi całkiem nowe spojrzenie.

– Nim zapomnę, David. Parę dni temu widziałam się ze swoją kuzynką Edwiną. Opowiadałam ci o niej. To u niej mieszkałam wtedy w Londynie. Jej mąż przyjechał tu w interesach i niedawno byli trzy dni w Nowym Jorku. Teraz są w Bostonie, później jadą do Toronto, a stamtąd do Chicago. Spędzą tam tylko dwa dni, a mnie przyszło do głowy, że jakbyś był gdzieś niedaleko, to mógłbyś podjechać i się

z nimi zobaczyć. Edwina nikogo tam nie zna, a Charles będzie całe dni na zebraniach.

Zapisałem wszystkie szczegóły, a potem jeszcze trochę poużalałem się nad Meredith, że jej matka taka chora. Spytałem, czy w jej życiu są jacyś nowi, interesujący mężczyźni. Odpowiedziała wymijająco.

– Wiesz co? Mam kolorowe sny – oznajmiłem.

– Jesteś pewien?

– Parę nocy temu śnił mi się wielki niebieski autobus na autostradzie przez pustynię. Po przebudzeniu miałem absolutną pewność, że był niebieski. Pierwszy raz w życiu wyraźnie śniłem w kolorach.

– To wspaniale, David.

– No.

– Dbaj o siebie. Baw się dobrze. Powodzenia z Indianami. I postaraj się dotrzeć do Chicago.

– Fajnie się rozmawiało, Merry.

– Miło, że zadzwoniłeś, David.

Sekretarka ojca zawiadomiła mnie, że jeszcze nie wrócił z zebrania. Powiedziałem, że dzwonię z daleka w dość pilnej sprawie. Obiecała go sprowadzić.

– Co słychać, brachu?

– Jak się masz, tato? Zapracowany?

– Właśnie wpadło nam zlecenie od Procter and Gamble. Rzucili na rynek nową serię artykułów toaletowych. Ten kraj nie wychodzi z toalety. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Spędzamy w niej całe życie. Robimy tam wszystko prócz srania i szczania. Maxine, idź napisać notatkę z tej rozmowy. Toaleta to ziemia święta. Wiesz, o czym mówię?

– To chyba dobre zlecenie.

– O czym myślisz, Dave? I gdzie się w ogóle

podziewasz, do jasnej cholery?

– Tu, na Środkowym Zachodzie.

– Jeżeli potrzebujesz forsy, powiem Maxine, żeby ci zaraz wysłała.

– Nie, nie, chciałem cię tylko o coś spytać.

– Wal.

– Nigdy się nie rozwodziłeś nad tym, co przeżyłeś w czasie wojny. Wiem tylko, że walczyłeś w rejonie Pacyfiku, parę razy byłeś ranny i dostałeś kilka odznaczeń za odwagę. Pomyślałem, że może byś mi o tym coś więcej opowiedział.

– Nie opowiadam o tych sprawach – oświadczył ojciec.

– Wszyscy tak mówią. A w końcu jednak opowiadają.

– Ale nie ja, koleżko.

– Dlaczego?

– Nie ma o czym gadać. To już zamknięta sprawa. Chcesz wiedzieć, jak tam było, to jest o tym kupa książek.

– Chcę wiedzieć, jak tam było tobie, a nie innym ludziom. Potrzebne mi to do czegoś, co piszę.

– Pochowałem żywcem człowieka – rzekł ojciec.

– Gdzie, tato?

– Na jakiejś zaszraniej wyspie. I nie mów takim żałobnym tonem.

– Nigdy więcej cię o to nie spytam. Przepraszam. Potrzebowałem tej informacji do czegoś, co właśnie piszę. Wiesz coś o Jane?

– Z małym lepiej. A Jane znowu chodzi z brzuchem.

– Ciekawe, czy Mary ma dzieci.

– Nie wspominaj o Mary. Nie ma żadnej Mary.

– Pamiętasz, co mi opowiadałeś o lotnej duszy?

O tym, co mówiła mama, kiedy była z Mary w ciąży? Że to lotna dusza jej matki? Wydawało ci się, że to brzmi jakby trochę po wschodniemu. W pewnym sensie miałaś rację. Mama trzymała w sypialni trochę książek dla dzieci i w jednej z nich są te słowa. Ta książka już się rozsypywała ze starości. Kiedyś przypadkiem ją kartkowałem i natrafiłem właśnie na to określenie. W bajce dla dzieci tłumaczonej z japońskiego. Z pięknymi ilustracjami.

– Lubisz zbierać drobne fakty, prawda? A co jeszcze takiego wywąchałeś, czego ja nie wiem? Posłuchaj, chłopcze: wiem więcej, niż ci się zdaje. Znacznie więcej.

– Tak – przyznałem.

– Lepiej w to uwierz. A co ty tam właściwie

piszesz?

– Scenariusz.

– Znowu cię to kręci, co?

– Na to wygląda.

– Zapuszczam brodę – oświadczył ojciec. – Ładnie sobie rośnie. Jeszcze jej nie przystrzygam. Dam jej wyrosnąć w wielką, białą, falującą grzywę. Sporo w niej siwizny, ale podoba mi się. Zobaczysz, jak wrócisz. Zarośnie mi tymczasem całą twarz.

– Po co ci broda?

– Każdy facet chce przed śmiercią chociaż raz zapuścić brodę. To jeden z kilku możliwych sposobów powiedzenia wszystkim „walcie się”. Słuchaj, dobijam do mety. Chcę mieć brodę. Wystarczy, że spojrzę na nią w lustrze, i zaraz mi lepiej. Miną jeszcze co najmniej dwa tygodnie, nim zacznę ją przystrzygać. Jeżeli ją w ogóle

przystrzygę. Jeżeli w ogóle.

– Nie wyobrażam sobie ciebie z brodą.

– A coś ty taki zdenerwowany?

– Nie wiem, tato. Jakieś mi się to wydaje dziwne, i tyle. Wszystko zmienia. Nie umiem tego wytłumaczyć.

– Słuchaj, muszę brać dupę w troki i wracać na zebranie. Jak będziesz znowu w mieście, zatrąb mi pod oknem. Zjemy razem lunch.

– Jasne, tato. Nie zapracuj się.

– Dziękuję za dobrą radę – powiedział ojciec.

Wyjąłem z portfela notesik i poszukałem namiarów Kena Wilda. Znalazłem telefon jego rodziców i ich adres na przedmieściach Chicago. Słuchawkę podniósł ojciec. Przedstawiłem się jako kolega ze studiów, który chce odnowić znajomość. Powiedział, że Ken mieszka w Chicago, i podał mi oba jego telefony, domowy

i służbowy. Zapewnił mnie, że miło jest usłyszeć parę słów od każdego kolegi Kena, a gdybym akurat przejeżdżał przez River Forest, w każdej chwili mogę wstąpić i skorzystać z basenu. Zadzwoiłem do Wilda do pracy.

– Serdecznie zapraszamy na czarną mszę do najbliższej nadmorskiej baszty. Obowiązuje koloratka. R.S.V.P.

– Jezu – westchnął Ken. – Niemożliwe.

– A jednak.

– Gdzie jesteś?

– Chyba niedaleko. Przynajmniej w miarę. Szukam w gazetach twojego nazwiska, Wild. Jury Nagrody Pulitzera zachowuje dziwne milczenie.

– Moja muza okazała się lesbą.

– Szkoda – powiedziałem. – Co robisz?

– Jestem kierownikiem projektu w firmie systemów przemysłowych mojego ojca.

– Przed chwilą z nim rozmawiałem. Powiedział, że mogę skorzystać z basenu.

– Ma poczucie winy – stwierdził Wild. – Ile to już lat? Będzie z sześć czy siedem, co?

– Siedem – powiedziałem. – Jesteś żonaty?

– Rozwiedziony.

– Czyli zostałeś kierownikiem projektu.

– Mówisz to z tajoną satysfakcją. A ty co robisz?

– Kręcę filmy – odparłem. – Zrobiłem parę dokumentów. Można powiedzieć, że pomału pnę się w stronę fabuły. Cały czas robię kino niezależne. Moim dystrybutorem jest Tek-Howard. Właśnie jestem na plenerze, a za kilka dni może będę musiał wpaść do miasta po sprzęt. Dlatego pomyślałem, że zadzwonię. Może uda nam się spotkać.

– Super – powiedział Wild. – Z góry się cieszę.

Naprawdę.

Dawno tak dobrze się nie czułem. Znowu kazałem połączyć się z biurem sieci. Poprosiłem do telefonu Weede'a Denneya. Wyciągnąłem z kieszeni spodni chusteczkę do nosa i nakryłem nią słuchawkę. Po chwili rozległ się głos pani Kling, jak zawsze nastrojony na ton wymówki, wzór do naśladowania dla prokuratorów.

– Biuro pana Denneya. Nie ma go w najbliższej okolicy.

– Tu Studenci dla Demokratycznego Społeczeństwa. Do twojej schładzarki wody wpuściliśmy niewidzialne urządzenie w stanie ciekłym, tak zaprogramowane, żeby wybuchło, jak tylko odłożysz słuchawkę.

Rozłączyłem się, znowu zajrzałem do notesiku i znalazłem numer Leighton Gage College. Poprosiłem o połączenie z Simmonsem St. Jeanem.

– Ty wciąż tam, Simmons? Mówi David Bell. Pamiętajsz mnie?

– Oczywiście. Czego chcesz?

– Ostatnio kręcę filmy. Szesnastką. Mam nadzieję przerzucić się za jakiś czas na trzydziestkępiątkę.

– Mógłbyś się streszczać? Za parę minut lecę do Marrakeszu.

– Co u ciebie, Simmons? Wciąż zbierasz wszystkie numery „Cahiers du Cinéma”? Powiedz, widziałeś nowego Bergmana? Przygnębiający jak żaden dotąd. Obejrzałem go przed samym wyjazdem z Nowego Jorku. Kręcę na Środkowym Zachodzie własny film. To będzie bardzo osobista wypowiedź.

– Bergman to najdoskonalszy przykład filmowca jako grabarza. Jego filmy cierpią na *rigor mortis*. Przestałem go oglądać już po pierwszej wzmiance

o bogu pająku. Nowy komediowy western Paramountu wart jest nie wiem ilu egzegetycznych koszmarów Bergmana.

– Wciąę ten sam stary Simmons. Fajnie się z tobą gada, Simmons. Pamiętasz Wendy Judd? Ostatnio mieszka w Nowym Jorku. W łóęku jest po prostu jak żbik. Ale dlaczego w ogóle dzwonię. Pamiętasz tę scenę ze śniegiem z *Piętno śmierci*? Starzec ma raka. Idzie na plac zabaw i siada na huśtawce. Zaczyna padać śnieg. To chyba najpiękniejsza scena w historii kina. Juę mówię, jakie mam do ciebie pytania. Po pierwsze, czy to jest ujęcie z dołu? Po drugie, czy całą scenę nakręcono bez cięć? Po trzecie, starzec huśta się na huśtawce czy siedzi na niej bez ruchu? Widziałem *Piętno śmierci* trzy razy, ale od ostatniego oglądania minęło prawie pięć lat. A ta scena jest taka piękna, że zawsze zapominam ją obejrzeć pod kątem techniki. Pomyślałem, że kto

jak kto, ale ty to będziesz wiedział.

– Nie widziałem *Piętna śmierci* – powiedział Simmons.

– Niemożliwe.

– A co do Wendy Judd, zawsze przypominała mi raczej polną mysz aniżeli żbika. Uwielbiała skubać ząbkami, prawda?

– Kłamiesz, Simmons. Kłamiesz jak ostatni zasraniec. Po co lecisz do Marrakeszu? Na festiwal arabskich kreskówek?

Odłożyłem słuchawkę i zdrzemnąłem się. Obudziłem się po piątej. Zatelefonowałem do recepcji i podałem numer Jennifer Fine.

– Jennifer, mówi David. David Bell.

– Oczywiście – powiedziała po dłuższym milczeniu.

– Nie byłem pewien, czy się nie przeprowadziłaś, ale pomyślałem, co szkodzi

spróbować. Jestem na Środkowym Zachodzie. Jeżeli mnie słabo słyszysz, to właśnie dlatego.

– Słyszę cię.

– Mam nadzieję, że nie zadzwoniłem nie w porę. Może nie powinienem był dzwonić. Chciałem się tylko odezwać. Bez szczególnego powodu. Siedzę nago i wydzwaniam do różnych ludzi po całym kraju. Chciałem tylko powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, jaki byłem dla ciebie niedobry, kiedy się spotykaliśmy. Zwymyślałaś mnie od faszystów. Pamiętasz? Tamta noc była jakaś śmieszna. Przynajmniej teraz na myśl o niej śmiać mi się chce, chociaż wtedy wcale nie było mi do śmiechu. Chyba bardzo dojrzałem od tamtej pory, Jennifer. Ale ja nie o tym. Zadzwoniłem bez wyraźnego powodu. Ot tak, żeby pogadać. Czasem w rozmowie przez telefon słowa same się nasuwają.

– Kotka mi umarła – powiedziała Jennifer.

– Chyba nie wiedziałem, że masz kota. Straszna szkoda. Wiem, jak ludzie czasem przywiązują się do zwierząt. Bardzo mi przykro, naprawdę. Kręcę tu film.

– Musiała umrzeć dziś po południu. Rano była sprzątaczką, a skoro nie zadzwoniła do mnie do biura, to widać kotka umarła po południu. Kiedy wróciłam z pracy, już nie żyła.

– To bardzo smutne.

– Leży na podłodze. Nie umiem się przemóc, żeby jej dotknąć.

– Jennifer, chyba najlepiej będzie, jeżeli odłożę słuchawkę, żebyś mogła zadzwonić do kogoś, kto przyjdzie i ci pomoże. Przepraszam za wszystko. Odezwę się po powrocie do miasta. Zjemy razem lunch. Odkładałam słuchawkę. Do widzenia.

Rozłączyłem się, a potem wyszukałem w notesie

domowy numer Weede'a Denneya. Znowu nakryłem słuchawkę chustką do nosa. Odebrał Weede.

– Mówi Ted Warburton – zacząłem. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś apodyktyczny jaszczur. Cholerny, pierdolony łysy cham.

Odłożyłem słuchawkę, kazałem głosowi z recepcji połączyć się z informacją w Westchester i spytałem o numer państwa Valerio w Old Holly. Telefonistka powiedziała, że jest dwoje abonentów o tym nazwisku, Annette i Joseph. Pamiętałem, że matka Tommy'ego miała na imię Annette. Zapisałem numer. Odebrał jakiś mężczyzna.

– Czy to tu mieszkał dawniej Tommy Valerio? – spytałem. – Próbuję się z nim skontaktować. Od lat się przyjaźnimy.

– Skontaktować się z Tommym?

– Może mi pan powiedzieć, gdzie go znajdę?

– To już trzy lata, jak Tommy nie żyje.

– Co się stało?

– Zginął na wojnie.

– Co się stało? – powtórzyłem. – To znaczy...

w jaki sposób zginął?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Zabity w czasie działań bojowych. Był podporucznikiem. Miał pod sobą iluś tam ludzi. Annette, iloma ludźmi dowodził Tommy? W każdym razie prezydent przysłał list. Sam prezydent napisał list do matki Tommy’ego.

– Jak się czuje pani Valerio?

– Dobrze. Właśnie jemy kolację.

– Pan pewnie jest wujkiem Tommy’ego. Chyba się parę razy widzieliśmy. Nazywam się David Bell. Tommy był moim kumplem.

– O ile pamiętam, nigdy nie wspominał o żadnym Davidzie Bellu. Właśnie jemy kolację, ale może chce pan porozmawiać z jego matką. Mam ją pod ręką. To jakiś Dave Bell.

– Co takiego?

– Właśnie do niej mówię. Twierdzi, że kolegował się z Tommym. Ona już tu idzie. Pan zaczeka.

– Proszę się nie fatygować. Proszę jej powiedzieć, żeby się nie fatygowała. Przerwałem państwu kolację.

– Właśnie podeszła.

– Muszę już iść. Proszę jej powiedzieć, że przepraszam.

– Mówi, że przeprasza.

– Do widzenia.

– Ona pyta za co.

Zadzwońłem na domowy numer Wendy Judd.

– Mówi David. O coś cię zapytam. Chcę usłyszeć wyraźną, konkretną odpowiedź. Czy w dawnych czasach Leighton Gage poszłaś chociaż raz do łóżka z Simmonsem St. Jeanem?

– Który to był?

– Prowadził zajęcia z teorii i krytyki filmowej.

– Błady przystojniak z nawiedzonymi oczami?

– To chyba celny rysopis.

– Właściwie nic ci do tego, prawda, David?

Odłożyłem słuchawkę i zadzwoniłem do McCompey, prosząc do telefonu Carol Deming. Podeszła dopiero po kilku minutach.

– Może byśmy razem coś wypili, a potem zjedli kolację? – zaproponowałem. – Spotkajmy się u Bustera. Nie wiem, gdzie w tym mieście dają w miarę przyzwoite jedzenie, ale może zaproponujesz jakieś miejsce. Jak tu jest

z owocami morza? Dałbym się zabić za smażone krewetki.

– Przed chwilą widziałam się z Austinem. Jest zachwycony tym, co razem zrobiliście, cokolwiek to było. Kiedy moja kolej?

– Możemy o tym porozmawiać.

– David, ja tu nic innego nie robię, tylko wciąż rozmawiam. Teatr to jest gadanie. Motywacje, uczucia, monologi, interpretacje.

– Skręcony kark alfabetu.

– No właśnie – przytaknęła Carol.

– Jeszcze nie całkiem sobie poukładałem w głowie, do czego właściwie jesteś mi potrzebna. Zjedźmy kolację i porozmawiajmy o tym.

– David, ja nie chcę rozmawiać. Naprawdę. Z nikim. Daj mi tylko coś do zagrania. Pomysł, rolę, maskaradę. Coś, co zrozumie przynajmniej

kamera, choćby tylko ona. Staram się mówić wprost.

– Słuchaj, przecież to tylko parę drinków. Chociaż jeden. Jestem w Ames House w centrum miasta. W kwadrans mogę dojść piechotą do Bustera.

Wypiłem cztery drinki, a jej wciąż nie było. W końcu przeszedłem przez jezdnię i zajrzałem do przyczepy. Zastałem w niej tylko Branda. Z dłońmi splecionymi za głową leżał na koi.

– Dzieje się – powiedział. – Czuję ją we własnej czaszce. Tę dawną przemoc. Myślałem, że to już przeszłość, ale czuję, jak wraca. Nijakość kojarzy mi się z brakiem przemocy, słusznie czy niesłusznie. Właśnie dlatego chcę być nijaki. Używać nijakich słów. Robić to, co nijakie. Staram się nie pobudzać dawnych instynktów.

Można je pobudzić słowami, zwłaszcza slangowymi. Ta teoria może się wydać głupia. A już w najlepszym razie bezpodstawna. Ale w moim przypadku się potwierdza. A tamto wraca. Stary mus. Lepiej miej mnie na oku.

– Wciąż się pojawiaasz, znikasz i znowu pojawiaasz – odparłem. – Zawsze taki byłeś. Nigdy dokładnie nie wiedziałem, kim jesteś. Zawsze cię lubiłem, Bobby. Ciebie, albo przynajmniej większość z tych postaci, które przybierasz. Ale potem odchodzisz i wracasz już inny, a ja muszę się dostosowywać. No to którą twoją postać powinienem mieć na oku?

– Na pozór wydawałoby się, że akurat nijakość najłatwiej da się osiągnąć. Fizycznie już ją mam. Udało mi się. Wyglądam jak milion innych ludzi. Dziesięć milionów. Ale w mojej głowie tamto wciąż się dzieje. Sięgnąłem po ciężkie dragi, żeby

przyhamowało. Palę trawę, żeby działa się wolniej. Ale już bardziej zwolnić nie mogę. Dzieje się to dawne. Załatw wroga. Davy, ty nawet nie wiesz, co to znaczy spuścić na jakąś wieś tak ze dwadzieścia czterdziestomilimetrowych granatów. I patrzeć, jak tam w dole wszystko się rozlatuje. Zejść nisko i przeciągnąć serią po paru chatach. Kiedy masz te swoje puszki napalmu. I pięćsetfuntówki. I rakiety. Raz zaskoczyłem rowerzystę. Pedałował drogą blisko wsi, o której wiedzieliśmy, że jest wrogo nastawiona. Zniżyłem lot i przez jakiś czas sunąłem tuż nad ziemią spory kawałek za nim. Kiedy dzieliło nas może ze sto metrów, puściłem serię, celując nie w niego, tylko dookoła. Rozprysnął się jak filiżanka. Widzisz, trafienie w coś, co się rusza, sprawia człowiekowi pierwotną radość. To jedna z najstarszych przyjemności. Widzisz ruchomy cel i go strącasz: bum! Nieważne, czy to zwierzę, ptak czy człowiek.

Grunt, żeby strącić. To pierwotny odruch, Davy. Mamy go od zarania gatunku. A ja uczę się z nim żyć.

Szczęśliwie nietknięty nerwowym motorycznym geniuszem, który zamieszkał w oku jego ojca, Bud Yost wydawał się ze wszech miar typowym beneficjentem moralnie solidnego wychowania, umiarkowanego klimatu i zrównoważonej diety. Był trochę zanadto wyrośnięty jak na swój wiek i miał lekko rozchwiane ruchy, jakby stał na bujanym fotelu. W stroju do gry w kosza, białym ze złotą lamówką i napisami, wyszedł z bocznego korytarza na pusty parkiet sali gimnastycznej w liceum. Prosiłem, żeby w miarę możliwości postarał się włożyć koszulkę z dziewiątką, bo to był w licealnej drużynie mój numer, ale chłopak, który w Ames grał z dziewiątką, miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i ważył sto sześć

kilo, więc Bud przyszedł we własnym stroju ze złotą jedenastką i tegoż koloru napisem kursywą *Liceum Fort Curtis* biegnącym przez pierś. Wziąłem parę pomiarów i powiedziałem mu, że może robić na parkiecie, co chce, ignorując mnie i kamerę. Początkowo kręciłem z wysoka, z górnego rzędu trybuny. Bud biegł powolnym zygzakiem wzdłuż sali, sam jeden na gładkim parkiecie koloru przypalonej żółci, robiąc zwody i zmieniając tempo, a w końcu bez trudu włożył piłkę jedną ręką do kosza. Potem strzelał z wysoku, najpierw z bliska, ale później odsunął się o parę kroków i stopniowo zwiększał dystans. Jakoś dziwnie to brzmiało, kiedy piłka odbijała się od podłogi, obręczy kosza lub tablicy albo przelatywała przez siatkę, bo dźwiękom towarzyszyły zlewające się ze sobą echa. Po pewnym czasie zszedłem na sam dół i przykląknęm za tablicą, mierząc kamerą prosto w Buda. A on

wpakował cztery po kolei, rzucając z końca trumny, a później dwa razy chybił, pobiegł do rogu i stamtąd dwukrotnie trafił. Był dobry. Miał celną i wyglądał o wiele mniej niezgrabnie, kiedy biegał albo rzucał, niż gdy po prostu chodził. Na ugiętych nogach, z lewą ręką odstawioną w bok i zgiętą w łokciu, pokozłował chwilę koło trumny, zanim celnie rzucił z prawie siedmiu metrów. Przestałem kręcić i zdjąłem buty, a potem koszulę. Zagraliśmy jeden na jednego, atakując na zmianę chyba przez jakąś godzinę i nie odzywając się do siebie ani słowem. Bud był dla mnie za szybki, a ja haniebnie chybiałem. Byłem bliski płaczu, zanim wreszcie powiedziałem stop. Pochyliłem się, z trudem łapiąc oddech, wyprany z sił w wieku dwudziestu ośmiu lat, pogodzony z tym, że będę już tylko rzucał zmiętymi kawałkami papieru do oliwkowych koszy na śmieci w pokojach hoteli na bezludziu. Usiadłem na podłodze i zacząłem

szeniu buty.

– Mam nadzieję, że nakręciłeś, co chciałeś – powiedział Bud.

– Powinno wystarczyć. Tą kamerą można filmować sport, przyrodę, kręcić reportaże, tego rodzaju rzeczy. Może będziesz mi potrzebny na jeszcze jedną sesję.

– Mogę o coś spytać?

– To już wszystko na dziś, panowie.

Roześmiał się i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać.

Pike spał w głębi przyczepy. Brand i ja siedzieliśmy z przodu, czekając na parkingu przed supermarketem, aż wróci Sullivan. Zobaczyłem grupę kobiet stojących przy furgonetce. Było ich siedem. Ładowały do środka tekturowe pudła i torby sprawunków, przesuwając je po otwartej

tylnej klapie. Z toreb sterczały łydzygi selerów i pudełka pasty do zębów. Wziąłem z kolan kamerę, przytknąłem ją do oka, lekko się wychyliłem przez okno i wycelowałem obiektywem w stronę tych pań, jakbym je filmował. Jedna zauważyła mnie i natychmiast szturchnęła koleżankę, nie odrywając wzroku od kamery. Pomachały mi. Pozostałe też kolejno zaczynały reagować. Wszystkie uśmiechały się i machały do mnie, uszczęśliwione. Może czuły, że w gruncie rzeczy machają samym sobie, z nadzieją, że jeżeli będą kiedyś musiały wskazać wyraźny ślad swojej podróży w czasie – żeby rozwiązać własne wątpliwości, czy ją w ogóle odbyły – wspomną chwilę, gdy stały na olśniewającym placu pod słońcem, a ktoś utrwał ich obraz na przezroczystej wstążce z plastiku. Kiedy po trzydziestu latach taki dowód okaże się niezbędny, zostanie im ta pociecha, że gdzieś na jakimś

ekranie właśnie wyświetla się ten film o nich, i oto stoją, zweryfikowane, chemicznie zreinkarnowane, pozdrawiając machaniem rąk własną starość, śląc pełen otuchy uśmiech dziesięcioleciom – rasa wiekuistych pątniczek na targu w zakurzonej słońcu, siedem rąk wyciągniętych w bajecznym salucie składa hołd zapominalstwu istnienia. Czy można żądać lepszego dowodu (jeżeli będzie on kiedykolwiek potrzebny), że naprawdę żyły? Ich radość brała się chyba właśnie z nadziei na niepodważalne świadectwo i nie miała nic wspólnego z obecną chwilą, odchodzącą razem ze wszystkimi innymi chwilami w przeciwieństwo wieczności, czymkolwiek ono jest. Udawałem, że je filmuję, gromadząc ich daremny blask, wpuszczając ich uśmiechy przez soczewkę i pozwalając im wędrować po wnętrzu kamery w poszukiwaniu czarodziejskiej szpuli, żelatyny, do której przywiera obraz, filmu przewijającego

się przez oczekujące go okienko. Z supermarketu wyszła Sullivan, a ja zniżyłem obiektyw. Miałem nieodparte wrażenie, że właśnie odkryłem pewien rodzaj władzy.

Wieczorem siedzieliśmy w przyczepie na Howley Road, słuchając radia. Zaczęły się doniesienia z wojny. Nie słuchałem wiadomości, tylko samych słów, znajomych dręczących sformułowań. Brzmiały jak ta szara gadka, którą znałem z sieci: sens różny od pozornego, a często wcale nie przeciwny.

– Kto chce się znaleźć w mojej powieści? – zapytał Brand. – Za pięćdziesiąt dolarów mogę wam zapewnić nieśmiertelność.

– Zrób ze mnie chirurga mózgu – zgłosił się Pike.

– To kosztuje aż osiemdziesiąt.

– A ze mnie kochanka – powiedziałem. – Zrób ze mnie wspaniałego kochanka.

– Za sto pięćdziesiąt dolarów położę cię do łóżka z dowolnie wybraną bohaterką.

– A ty jesteś w tej książce? – spytałem Sullivan.

– Wszyscy w niej jesteście – rzekł Brand. – Każdy w niej jest.

– To ja biorę ten talon za sto pięćdziesiąt.

– Będiesz chciał, żeby ci wydał reszty – powiedziała Sullivan.

– Nie sędzę.

– Bo ja już kiedyś romansowałam w czyjejs powieści, wiele lat temu. Mojemu partnerowi pozostał pewien niedosyt. On był oficerem marynarki, ogromnie doświadczonym. A ja byłam wtedy oczywiście młodziutka.

– Zrób ze mnie chirurga mózgu i niech mi się trzęsą ręce – powiedział Pike. – Na takim motywie

można zbudować mnóstwo napięcia.

– Napięcie już się nie liczy – wtrąciłem.

– Gówno prawda! – krzyknął Pike. – Gówno prawda!

– Wyluzuj – powiedziała Sullivan.

– Pikanteria wypowiedzi Pike’a osiąga kolosalne proporcje – rzuciłem, bardzo z siebie zadowolony.

– Gówno prawda.

Słowa gładko płynęły z inteligentnej, rzecz jasna, twarzy, mijając jakiś punkt zwrotny tolerancji, i wkrótce tak jakby stworzyły sobie własny byt, zażądały samodzielności, zaczęły żyć jako zarys znaczenia subtelniejszego i sprytniejszego, niż zaświtałoby inteligencji, z której się poczęły. Słuchaliśmy w milczeniu. Po pewnym czasie spiker powiedział, że niechący przeczytał wczorajszy serwis.

– Czasem sobie wyobrażam, że zakochuję się w młodej Wietnamce – rzekł Brand. – Ale ona umiera na jakąś dziwną chorobę, a ja cierpię do końca życia.

Chmury przywiane północnym monsunem pomału się wznosiły. Oddziały zabójców przeczesywały wsie. W nocy widać było smugacze przelatujące przez strefy swobodnego ostrzału. W magazynku jest dwadzieścia serii.

– Amerykę może ocalić tylko to, co sama usiłuje zniszczyć – powiedziała Sullivan.

Potem przez dwa dni sporo siedziałem w bibliotece, szperając po książkach, myśląc, martwiąc się, pisząc monologi i dialogi. Drugiego dnia późnym popołudniem zaszedłem do przyczepy i zastałem w niej tylko Pike'a. Zameldowałem mu, że mam zamiar wstąpić do Chicago. A później go

namówiłem, żeby mnie przewiózł w tę i z powrotem jedną z cichych starych ulic, bo chciałem nakręcić trochę materiału przez przednią szybę. Kazałem mu jechać w tempie piechura albo i wolniej. Nie miałem klamer, którymi można by przymocować kamerę do drzwi, a chciałem uzyskać efekt jak największego bezruchu. Podobał mi się też pomysł, żeby rozciągnąć szeregi domów, rozwlec je w czasie, nadając większą wagę ich wyglądowi niż zawartym w nich głosom i smutkom. Był to wywiad przeprowadzany w nowym języku. A ponieważ nie było widać żadnych ludzi, mogłem kręcić w przyspieszonym tempie, redukując wibracje i jeszcze bardziej przedłużając całą scenę. Sunęliśmy ulicą centymetr za centymetrem, a każdy milczący, uroczy dom stawał się niespiesznym pomnikiem jakiejś skrzekliwej chwili z czyjegoś życia wewnętrznego, nieukozonej upływem czasu.

W sercu każdego mężczyzny jest motel. Gdzie szosa zaczyna przytłaczać krajobraz, poza granicami dużego i samopowielającego się miasta, w pobliżu miejsca, które dla wielu osób stanowi cel albo początek podróży: właśnie tam zapewne stoi. Widokówki z nim samym na biurku recepcjonisty. Sto hermetycznych pokoi. W apteczce na ścianie cztery pory roku w pojemnikach z aerozolem. Kiedy idziesz do swojego pokoju w nieskończonym korowodzie własnych replik, łatwo ci zapomnieć, kim jesteś; możesz klapnąć na łóżko i być odtąd „człowiekiem siedzącym na łóżku” – abstrakcją zdolną iść w zawody z samą nieskończonością; właśnie z takich miejsc i chwil współczesny chaos wznosi się na poziom czystej matematyki. Motel mimo swoich wielkich rozmiarów wydaje się zjawiskiem przejściowym. U podstaw tego

wrażenia może po prostu leżeć wiedza, że nikt nie mieszka w nim dłużej niż kilka dni z rzędu. Można je też tłumaczyć usytuowaniem motelu, wietrzną aurą tajemnicy, która otacza samotny budynek, wzniesiony na osuszonym bagnie. Od jeziora lub zatoki nadciąga zimna wichura, na czubkach skrzydeł dalekich samolotów załamują się promienie słońca, kaczki halsują pod wiatr i nigdzie ani śladu przechodnia. Motel wygląda jak zbudowany z samej glazury. Pościel jest chłodna i wilgotnawa. W szafie wisi za dużo wieszaków, jakby kierownictwo chciało wynagrodzić w ten sposób gościom jakiś ukryty niedostatek, tak bolesny, że aż niewyobrażalny. Z kratek w ścianach dobiega monotony szept wentylacji, który ledwo daje się wytrzymać. Lecz mimo wszystkich swoich duchowych braków jest to nie najgorsze miejsce. Ucieleśnia powtarzalność tak natrętną i nieodpartą, że nawet jeżeli wolność jest

niemożliwa, pozostaje szansa wyzwolenia, zbawienia; opętany przez chaos, przenosisz się w rzadsze sfery, osiągasz różne rodzaje wykwintu, matematyczną rzetelność, i stajesz się – jeżeli tylko zechcesz – człowiekiem na łóżku w pokoju za ścianą. Leśny domek, soczyste różowy apartament, zapchlony hotelik nad lombardem, pożyczone od znajomego mieszkanie – wszystkie one mają w sobie coś nazbyt osobistego, klimat niepowtarzalnych chwil. Natomiast motel bliski jest sercom mężczyzn. Płynie przezeń marzenie o jedni podróży i seksu.

Edwina Meers mieszkała właśnie w takim motelu nieopodal lotniska O'Hare, niecałe trzydzieści kilometrów od centrum Chicago. Meredith podała mi nazwę motelu, więc zadzwoniłem do Edwiny i Charlesa, zapowiadając się z wizytą. Pożyczyłem od Glenna Yosta szarego

pontiaca ze skłonnością do spastycznych skurczów i nocą ruszyłem na północ. Fajnie było znów dokądś jechać, rzucając wyzwanie logice białej linii. Mijało mnie wiele tirów z tablicami rejestracyjnymi kilkunastu stanów, a ciągnący za nimi podmuch kołysał moim autem. Miałem swój udział w powszechnej wymianie, w romantyzmie dalekich przewozów, w epickim rozmachu przewodników turystycznych z trzema „A” na okładce.

Była dziewiąta rano. Edwina w kwiciastej sukience zapinanej z przodu na suwak i w obcisłym podkoszulku bez rękawów podeszła do drzwi.

– Masz szczęście. Jestem sama. Wchodź, wchodź. Charles już pognął na zebranie. Wszędzie poniewierają się nasze bagaże, więc będziesz musiał usiąść na łóżku. Pozwolisz, że nie wyłączę

telewizora? W głowie się nie mieści, jakie w tym kraju nadają programy.

– Dlaczego nie mieszkanie w mieście?

– Charles stanął okoniem. Biedaczek ma autentyczną obsesję na punkcie punktualności, więc stwierdził, że powinniśmy ulokować swoje gorące ciała jak najbliżej lotniska, bo podstawą planu podróży jest najwidoczniej nieustanna gotowość, która byłaby w sam raz na miejscu w bazie raketowej. Myśl, że mógłby się spóźnić na samolot, napawa Charlesa najszczerzą zgrozą. To wszystko ma moim zdaniem wyraźnie seksualny podtekst.

– Jak chcesz, to możemy zjeść lunch w mieście. Nieraz jeździłem służbowo do Chicago i chyba nieźle się tam orientuję.

– To uroczo z twojej strony, David. Strasznie się cieszę, że udało ci się przyjść. Meredith tyle mi

o tobie opowiadała. Wspaniała z niej dziewczyna, nie uważasz? Taka świeża i jakby homogenizowana.

Edwina twarz miała pospolitą, okrągłą i lekko piegowatą jak naleśnik. Dawałem jej trzydzieści parę lat. Sprawiała wrażenie zachwyconej sytuacją. Dawno zostawiła za sobą stesy młodości, którą przeżyła jako brzydula, i może czuła, że dopiero po trzydziestce naprawdę rozkwitła, wchodząc w złoty wiek namiętności i dowcipu. W telewizji leciała jakaś reklama. Kobieta w wannie myła nogi ekskluzywnym mydłem. Uniósłszy kolano nad wodę, wolno sunęła kostką mydła po łydce, a potem po kolanie i dalej po udzie. Obraz z wolna się rozmywał i z przenikania wyłaniała się ta sama modelka, ale tym razem stała na posadzce z kafelków, ukazana w długim, niezbyt ostrym ujęciu, z głową odchyloną do tyłu, pomалу wodząc dłońmi po

ręczniku, który owijał jej brzuch i uda. Edwina oparła się o komodę.

– Nie bardzo umiem się połapać – przyznałem.

– Nie wiem dlaczego mi się wydawało, że jesteś Amerykanką.

– Bo jestem, David.

– Od jak dawna mieszkasz w Anglii?

– To zabawne, ale właśnie w tych dniach mija dziesięć lat. Charles i ja wzięliśmy ślub w Filadelfii i wyjechaliśmy. Przed ślubem miałam kochanka z Ameryki Południowej, który chciał tylko płodzić dzieci. Był dosyć prymitywny i w ogóle okropny. Charles miał romans z mężczyzną, zanim mnie poznał. Jego kochanek był drużbą na naszym ślubie.

– Byłaś już kiedyś w Chicago?

– Nie. Charles też jest tu pierwszy raz. Przylecieliśmy wczoraj po południu i wynajęliśmy

samochód. Potem zainstalowaliśmy się tutaj i pojechaliśmy do miasta. Byliśmy zaproszeni na jakieś przyjęcie dla tłustych biznesmenów. Gospodarz nazywał się Lawrence Thomas albo Thomas Lawrence. To z nim Charles załatwia tu interesy. W sumie uroczo się znalazł, że zadał sobie aż tyle trudu specjalnie po to, żeby poznać Charlesa z niektórymi z tutejszych dzianych gości. Ale przyznam, że bynajmniej nie była to najdowcipniejsza kolacja mojego życia. Mężczyźni rozmawiali o stalach niskostopowych i barwnikach, a ich żony były jeszcze nudniejsze, jeżeli to w ogóle możliwe. Czy wiesz, że istnieje firma, która nazywa się Amerykańskie Szczytowanie Metali? Boże, co za człowiek to wymyślił. W każdym razie na kolację podano coq au vin, w którym było dziesięć razy więcej vin aniżeli coq. A potem co chwila częstowali mnie owocowymi koktajlami z rumu, tak zwanymi

Uśpionymi Wulkanami. Oczywiście raz-dwa urzęnął się jak norka. Później ten jakiś Thomas czy Lawrence zawiózł nasze blade ciała na kolejne przyjęcie w szalowym jedenastopokojowym mieszkaniu, którego posiadacz jest chyba właścicielem całej Wenezueli. Nie uwierzyłbyś, co wisiało na ścianach. Braque, Chagall, Mondrian, Renoir – nie zdołałabym wszystkich wyliczyć. Nie wątpię, że nieborak dał sobie wcisnąć totalne podróbki, ale, owszem, ściany wyglądały imponująco, dosłownie cuchnęły pieniędzmi. Facet nazywa się, o ile pamiętam, Arno Clown i właśnie bawił na swojej prywatnej wyspie na Karaibach. Ucząc się tam na francuskiego impresjonistę. Przyjęcie było podłe. Najpierw ten jakiś Lawrence Thomas, praktycznie rzecz biorąc, zgwałcił mnie w tańcu. Potem zjawiała się cała zgraja cętkowanych wariatów z upacykowanymi twarzami, ubranych

w najstraszliwsze łachy. Banda durniów z porażeniem mózgowym, jakby mnie kto pytał. Jeden pokazał mi swoje genitalia. A ja przecież tylko powiedziałam do Charlesa, że chyba nawet nadworni chirurdzy królowej nie potrafiliby określić płci niektórych spośród tych stworów, i ledwo skończyłam zdanie, zobaczyłam, że ten okropny człeczyna z uśmiechem patrzy mi prosto w oczy, a w okolicach śródokręcia dynda mu ptaszek. Serio, David, czy tego typu zagrania mają mnie bawić? Mnóstwo takich typów skakało wokół nas w tych dziwacznych szatach i piórach. Człowiek miał wrażenie, że zwraca na siebie całą uwagę otoczenia samym swoim niepospolicie zwyczajnym wyglądem.

Musiałem sobie co chwila przypominać, że to Amerykanka. Zachowywała się jak neofitka, przebijająca pobożnością tych, którzy od dwóch tysięcy lat śpiewają psalmy. Zastanawiałem się,

jak jej mąż Anglik znosi tę nieustanną mżawkę słowną.

– Kiedy wyjeżdżacie? – spytałem.

– Jutro po południu. Lecimy do Omaha, Denver, Little Rock i Atlanty. Boże, co za koszmar! Kiedy już mieliśmy wyjeżdżać z Londynu, zaczęło nadchodzić mnóstwo kartek od prawie wszystkich znajomych, którzy właśnie spędzają wakacje w różnych fantastycznych miejscach. Gwyllam na Sardynii fotografuje bandytów i przemytników. Dilys, o ile dobrze zrozumiałam, lada chwila deportują z Portugalii za jej bezczelny hedonizm. A Harry i Nigel, nasi drodzy poczciwcy, znów polecili na Madagaskar i piszą wspólne pamiętniki, a w przerwach zadupczają się nawzajem na śmierć. Nie żebym miała coś przeciwko takim miastom jak Little Rock. Owszem, bardzo miło jest wrócić do ojczyzny. Ale

doprawdy, David, ten tutejszy niewyobrażalny brud. Człowiek czyta to i owo o Środkowym Zachodzie, a potem spodziewa się zobaczyć, jak rozmaici szejkersi i menonici biegają z miotłami i pędzlami. Za to pogoda wręcz zabójcza, nie uważasz? Życzyłabym sobie takiej w Londynie. I o ile mi wiadomo, podają tu absolutnie bezkonkurencyjne steki.

Kilka minut później wylądowaliśmy w łóżku. Otwarta walizka zsunęła się na podłogę. Edwina nie przestawała mówić o swoim mężu. Uderzyłem ją, więc przestała. Nago wydawała się jeszcze pospolitsza i wbrew moim oczekiwaniom nie było po niej widać jakiegoś szczególnego wyposzczenia. Jej obojętność i milczenie zaatakowałem czymś w rodzaju desperacji. Był w tym mój dawny faszyzm. Wojna, sadyzm, samoponiżenie – wszystko naraz. Edwina brała je – ale nie na zawsze i nie dla siebie. Myślałem, że

zechce napawać się moim ciałem. Bo przecież wprowadzono mnie w telewizyjne marzenie o motelu, w upojny stan, w którym byłem kimś innym i nikim. Zawisłem w tym marzeniu jak postać z nowoczesnej prozy – piękny chłopiec uprowadzony przez księżnę rozpadową. Myślałem, że ona sprawi mi wielką rozkosz swoją zachłannością, językiem, czerpiąc z samego dna własnej fantazji. Ale wgramoliła się do łóżka jak stary szewc, a mnie przytłoczyły części – jej, moje i tego marzenia – ona zaś najwidoczniej nie odróżniała autentyzmu od brzydoty i brutalności. Może znaczyło to, że w końcu runęła ostatnia ściana.

– Mój Boże, co też pomyślałaby o nas Meredith! Sądziś, że popełniliśmy jakiś średniowieczny rodzaj cudzołóstwa? Jak dalecy kuzyni, dziesiąta woda po kisielu? To wszystko jest tak cudownie plugawe, nie wydaje ci się? Ale pewnie uważasz

mnie za łatwy łup, kochanie. I brzydzisz się moim sposobem mówienia. Nie szkodzi, David, nie ty pierwszy. Miałam wielu kochanków i każdy z nich nienawidził ziemi, po której stapałam, a kiedy go w końcu odprawiłam, najzwyczajniej w świecie znudzona, błagał, żebym znów go do siebie dopuściła. Widzisz, moi faceci myślą, że ich nudzę, a tymczasem jest akurat na odwrót. I nigdy im prawda nie zaświta, biednym jagniątkom, póki ich banicja nie stanie się *fait accompli*. Widzisz, jestem im potrzebna. Muszą mieć pusty pokój, w którym mogą rozpakować swoje sekretne frykasy. Wierzysz w życie pośmiertne?

– Dla kogo? – spytałem.

– Rzeczywiście, dla kogo. Niezła odpowiedź. Może świętoszków i nudziarzy wyślą wszystkich jak leci do piekła albo nieba, a my, czyli reszta, wylądujemy absolutnie nigdzie. Właściwie nie

miałabym nic przeciwko temu. Subtelna nicość. Studiuję Hindusów. Nieskończone cykle bytu. Ja i Vicky Glinn uczymy się u pewnego swamiego, który żyje w skrajnej nędzy w maleńkim mieszkanku w Battersea. Robi wielkie wrażenie i chyba jest autentycznym mędrcem, ale wydziela przeokropny odór. A teraz najchętniej zafundowałabym sobie dwie godziny drogiego snu. Proponuję, żebyś już stąd poszedł, David. Dzięki temu ja wypocznę, a ty będziesz mógł przeanalizować cały ten epizod. To w twoim stylu, prawda? Widzisz, nie jestem kompletną idiotką. Miewam chwile przenikliwości. Bądź tak dobry i podnieś tę walizkę. A kiedy już zaczniesz swoją sesję głębokiej analizy, postaraj się potraktować nas oboje litościwie.

Kiedy w samochodzie polizałem grzbiet własnej dłoni, smakowała Edwiną. Wstąpiłem po benzynę

i zadzwoniłem do biura Kena Wilda. Podjechałem do miasta i znalazłem sklep ze sprzętem filmowym. Kupiłem parę rolek odwrotki Tri-x Kodaka, filtr wiatrowy i lekki metalowy statyw z głowicą do pionowych panoram. Godzinę później Wild wszedł do restauracji oddalonej chyba o trzy przecznice od hotelu Drake. Utył, odkąd go ostatnio widziałem, a czoło podwyższyło mu się o jakieś półtora centymetra. Stanęliśmy przy barze i zamówiliśmy coś do picia.

– Kręcisz filmy – powiedział Wild. – No to super. Opowiedz. Nienawidzę własnego życia. Tak już nisko upadłem, że lubię słuchać, jak ludzie opowiadają mi o swoim. To tak, jakbym przerzucił się z powieści na biografię. Początek końca.

– Trudno mi mówić o tym, co kręcę. To rodzaj narracji w pierwszej osobie, ale sam się tam w żaden fizyczny sposób nie pojawiaam, a jeżeli

już, to tylko przelotnie, niezupełnie jak Hitchcock, ale są to jednak króciutkie wstawki ze mną we własnej osobie, a w każdym razie z moim lustrzanym odbiciem. Na etapie udźwiękowania dogram też własny głos. To jest sięganie wstecz ku pewnym sprawom. A zarazem coś więcej. Próba wyjaśnienia, skonsolidowania. Jezu, sam nie wiem. To będzie trochę sen, trochę fikcja, trochę kino. Próba zbadania pewnych obszarów mojej świadomości. Niezupełnie autobiograficzna w rozumieniu Jonasa Mekasa. Powiedziałem: trochę kino. Mam na myśli swoistą konfrontację motywów filmowych z rzeczywistością, pewnych obrazów, które utkwiły mi w pamięci, no i pewnych wpływów. Można przecież zacząć, nie mając żadnego punktu wyjścia prócz własnej małej rzeczywistości, i dojść do czegoś, co w przybliżeniu da się określić mianem sztuki. Jeżeli idzie o technikę, to raz po raz pojawiają się

duchy i cienie. Bresson. Miklós Jancsó. Ozu. Shirley Clarke. Technika wywiadu. Monolog. Antyfilm. Realizacja jednokamerowa. Aktorstwo bez wyrazu. Ujęcie przeciągnięte w czasie do granic wytrzymałości. Nawiasem mówiąc, przed chwilą się przespałem z jedną taką.

– Zasuwasz pełnym gazem – powiedział Wild. – Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz, ale to wszystko brzmi super, bardzo mocno, z przejęciem.

– Czuję, że muszę to zrobić. Jednocześnie kręcę dla telewizji dokument o Nawahach. W Arizonie i okolicach. Tam, gdzie oni mają ten swój rezerwat.

– Ale nie pracujesz na żadnym etacie.

– Działam niezależnie – odparłem. – Nie chcę, żeby ktoś za mnie decydował. Muszę przyznać, że nie zarabiam kokosów, ale wychodzę na swoje.

Jak skończę z tą sprawą, może zrobię coś dla Svensk Filmindustri. Na przedmieściach Szwecji. Znaczący Sztokholmu. Na własnym podwórku Bergmana. Czyli się rozwiodłeś. Przykro mi.

– Ona była suką. A ja draniem. Obojgu nam ulżyło. Nienawidzę własnego życia. Nienawidzę jak zarazy. A co u ciebie? Jesteś żonaty?

– Właściwie to żyję z jedną młodą Wietnamką – powiedziałem. – Małżeństwo jest sztuką, która już się przeżyła. Jeżeli postanowimy mieć dzieci, to może jednak. A jeżeli nie, to dobrze jest, jak jest.

– Ich kobiety są piękne – stwierdził Wild.

Dopiliśmy i usiedliśmy przy stoliku. Było widać, że Wilda dobrze znają w tym lokalu. Żartował z kelnerem, każąc mu podać angst na pumperniku. Potem zamówił jeszcze dwa drinki.

– Ale zarabiasz, co? – spytałem.

– Zarabiam – przytaknęła.

– Założę się, że masz super mieszkanie i mnóstwo oszałamiających stworzeń do wyboru.

– Tu jest kraina króliczków – powiedział Wild.
– Nawet najgorszy patałach zawsze ustrzeli dwoje uszu i ogon.

Do obiadu wypiliśmy butelkę wina i po jednej brandy. Potem wróciliśmy do baru i zamówiliśmy po koktajlu z brandy i kremu miętowego z lodem. Wild nie spieszył się z powrotem do biura. Było koło trzeciej. Znaczną część minionej nocy spędziłem za kierownicą, więc byłem oszołomiony i zmęczony. Przez pół godziny piliśmy w milczeniu.

– Służymy za konsultantów rządowi i przemysłowi – oświadczył w końcu Wild. – Chcesz się czegoś dowiedzieć o przepływach produkcyjnych? O gospodarce materiałowej? O scentralizowanym przetwarzaniu i dystrybucji?

Wiesz, automatyzacja niekoniecznie jest rozwiązaniem. Najpierw analizuje się całą operację. Potem bada się system pod kątem wydatków i elementów funkcjonalnych. Może automatyzacja w ogóle nie stanowi rozwiązania. Może trzeba zastosować automatyzację wybiórczą. Kto wie, czy kilka drobnych zmian nie da pożądanego efektu. Przenieś gdzie indziej pas transmisyjny. Zaprojektuj specjalny element. Zbyt wiele osób wyobraża sobie, że automatyzacja wszystko rozwiązuje. To nieporozumienie. Pracuję z odpowiednimi ludźmi. Robią swoje, lubią tę robotę i nigdy nie zrzędzą. Przez parę miesięcy chodziłem z córką jednego z nich. Była z niej niezła cycadela. Podobała mi się. Ale co chwila wtrącała słowo, którego nie cierpiałem. W kółko je powtarzała. Machnęłam się do muzeum. Machnęłam się na przełaj przez park. Machnęłam się na spacer po Rush Street. Automatyzacja nie

jest żadnym panaceum. W firmie mojego ojca świetnie to rozumiemy. Planowanie systemowe to rdzennie amerykańska dziedzina sztuki. Bardziej niż jazz, na miłość boską. Jesteśmy znakomici, jeżeli chodzi o konserwację. Rozumiemy wzajemne powiązania. Umiemy tak wszystko urządzić, żeby działało, od przesyłek przychodzących poprzez wewnętrzną dystrybucję w zakładzie aż po ustalanie tras i rozkładów jazdy ciężarówek. Dokładnie wiemy, gdzie wbić gwóźdź, który umocuje miotłę. Wiele krajów tego nie potrafi. Nie wiedzą, jak to zrobić. W Europie właściwie nikt nie wie, gdzie wbić gwóźdź. Słyszałeś o tym Francuzie, co napisał taką jedną książkę i stwierdził w niej, że na świecie są trzy wielkie potęgi gospodarcze. Ameryka, Rosja i Ameryka w Europie. Musimy im pokazać, gdzie się wbija gwóźdź. Ale Rosjanie wciąż się wloką w ogonie. Mają opóźnienia w dziedzinie badań

naukowych dla potrzeb przemysłu, w komputeryzacji, w systemach zautomatyzowanych. Są zapóźnieni. A my umiemy planować takie rzeczy jak ogólna strategia korporacji, zarządzanie inwentarzem, dystrybucja, ocena trafności lokalizacji. Mamy świetnie opanowaną konteneryzację, jednostkowe ładunki, elektroniczne przetwarzanie danych, analizy wykonalności. Potrafimy się wstrzelić. Co w tym takiego strasznego?

Mniej więcej po kwadransie dodał:

– Talent to podstawa. Jak go masz, nic więcej się nie liczy. Możesz koszmarnie sobie spieprzyć życie osobiste. I co z tego? Jeżeli masz talent, to go trzymasz w odwodzie. Każdy zdolny człowiek wie, że ma talent, i już. Dzięki temu jest tym, kim jest. I po talencie poznaje, że jest sobą. Talent to podstawa. A zdrowie psychiczne to zupełne nic.

Jestem o tym przekonany. Dawniej chyba miałem w sobie coś. Obiecująco się zapowiadałem, prawda, Dave? No przecież chyba miałem w sobie coś, no nie? Ale byłem za bardzo zdrow na umyśle. Nie umiałem przeskoczyć z własnej duszy w duszę wszechświata. Oni wszyscy wykonali ten skok. Od Blake'a po Rimbauda. Już nic nie piszę, tylko podpisuję czeki. Czytam fantastykę naukową. Jeżdżę służbowo do South Bend i do Rochester. Tego w Minnesocie. Nie w stanie Nowy Jork. Do Rochester w Minnesocie. Nie dałem rady przeskoczyć.

Słońce zniżało się, kiedy otworzyłem oczy. Byłem na statku. Widziałem wieżowce Marina City. Płynąłem statkiem wycieczkowym po rzece Chicago, tej głupiej rzeczce, której nowoczesna inżynieria kazała popłynąć wstecz. Strasznie bolały mnie lewe żebra. Słońce zachodziło, a ja nie wiadomo jakim sposobem straciłem kilka

godzin. W końcu przybiliśmy do brzegu i poszedłem w stronę hotelu Drake, usiłując sobie przypomnieć, gdzie zaparkowałem samochód. Wstąpiłem do spożywczego i zadzwoniłem do mieszkania Wilda.

– Co się stało? Niedawno się obudziłem. Na statku wycieczkowym.

– Ty skurwysynu – powiedział Wild.

– Byliśmy w barze. Tylko tyle pamiętam. Dziesięć minut temu się obudziłem. Co się działo po drodze?

– Cholera, moja szyja.

– Moje żebra – odparłem.

– Nie powinienem się do ciebie odzywać.

– Byliśmy w barze. Piliśmy brandy z kremem miętowym.

– Pokłóciłeś się z Czinem Po.

– Kto to taki?

– Siedział obok ciebie. Ja po jednej stronie, a on po drugiej.

– No – przytaknąłem. – I co dalej?

– Zaczęliśmy wznosić toasty. Ty, ja i Czin. Wznieśliśmy kilka toastów za Czang Kajszeza.

– Świetnie. Naprawdę znakomicie.

– A potem się pokłóciliście. Ty i Czin.

– O co?

– O życie pośmiertne – wyjaśnił Wild. – O to, czy ono istnieje.

– Trudno mi uwierzyć. Przecież ja w ogóle nie mam zdania w tej sprawie. Jakie zająłem stanowisko? Za czy przeciw?

– Nie wiem. Mgliście to pamiętam. Wiem tylko, że ty i Czin zażarcie się kłóciliście o życie pośmiertne.

– A potem?

– Zamierzyłeś się na niego.

– Boże.

– Na szczęście tylko go lekko musnąłeś, a zanim zdążył ci oddać, wkroczyłem między was i spróbowałem cię uspokoić.

– I co się wtedy stało?

– Założyłeś mi krawat.

– Jezu, Ken.

– Założyłeś mi krawat i nie dałem rady się wyrwać. Miałem głowę pod twoją pachą, szyję wygiętą do góry i ledwo mogłem oddychać.

– Strasznie mi przykro. Nie wiedziałem, co wyprawiam.

– A potem zemdlałem – ciągnął Wild. – Nie dałem rady się wyrwać i po prostu zemdlałem. Kiedy oprzytomniałem, barman walił cię

pięściami po żebrach, żebyś mnie puścił, a stary Czin znów siedział na stołku i spokojnie zapalał papierosa.

– Nie do wiary.

– Barman Frank tłukł cię po żebrach, aż mnie puściłeś. Ruszyłem prosto do kibla, po drodze odbiłem się od paru krzeseł, wszedłem do klopa, wciągnąłem parę kresek, ochlapałem sobie twarz zimną wodą i usiadłem na podłodze. Kiedy po jakichś pięciu minutach stamtąd wyszedłem, już cię nie było. Nie jestem pewien, ale chyba zajrzałeś na chwilę do kibla i podałeś mi rękę. Nie dam za to głowy.

– Ken, nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę strasznie mi przykro.

– Byłoby ci jeszcze bardziej przykro, gdyby stary Czin Po dostał cię w swoje łapy.

– Dlaczego?

– Mówił mi Frank, że on ma czarny pas w karate.

– Boże.

– Bez trudu złamałby ci tchawicę.

– Boże, wiem.

– Stary gruby Czin. Okaleczyłby cię na całe życie.

– I wciąż nie wiem, gdzie się podziały ostatnie dwie czy trzy godziny. Jezus Maria, to okropne. Strasznie mi przykro, Ken. Jakoś ci to wynagrodzę.

Ale wcale nie było mi przykro. Prawdę powiedziawszy, wpadłem w ekstazę. Wild był krzepki i nabity, rozpierała go siła. A jednak nie zdołał się wyrwać z chwytu, który mu założyłem.

– Zapomnijmy o tym – powiedział. – Słuchaj, ostatnio ciężko tyram i dosyć ostro piję, więc chyba należy mi się urlop. Może wyjadę, żeby trochę odetchnąć. Mówiłeś, że jedziesz do Arizony

czy gdzieś kręcić dokument. Może byśmy się tam spotkali. Kiedy masz być na planie?

– Jutro – odparłem zgodnie z prawdą.

Szedłem szybkim krokiem do hotelu, a w kieszeniach miałem pełno karteluszków, fiszek, starannie złożonych kartek, ścinków posklejanych skoczem, rozprostowanych i wygładzonych własną dłonią ulotek, tyle śmieci i radości, ziarnisty dzień, dziecko Godarda i Coca-Coli.

Spytałem recepcjonistę (tym razem był to starzec o twarzy fioletowej od popękanych żyłek), czy w hotelu nie znalazłby się przenośny telewizor. Potrzebowałem go na godzinę i gotów byłem wsunąć recepcjoniście do górnej kieszeni koszuli z solidnego materiału (kupionej za zaliczeniem pocztowym) dyskretnie złożony banknot

pięci dolarowy. Po pewnym czasie recepcjonista przytaszczył okazałą motorolę. Niósł ją jak rannego, którego chciałby czym prędzej gdzieś położyć. Wetknąłem wtyczkę do gniazdka w ścianie, zupełnie wyciszyłem dźwięk i umocowałem kamerę na stelażu.

Wkrótce potem przyszedł Glenn Yost. Podziękowałem mu, że poświęcił dla mnie przerwę obiadową, i wyjaśniłem, dlaczego musimy kręcić wczesnym popołudniem: właśnie wtedy telewizja nadawała odpowiedniego rodzaju programy i reklamy. Następnie poprosiłem, żeby przejrzał tekst, który dla niego przygotowałem. Mieliśmy czytać i nagrywać na magnetofon moje pytania i jego odpowiedzi; w tym akurat fragmencie filmu nie zamierzałem go pokazywać. Mówiłem szybko, żeby nie zdążył się rozmyślić.

W telewizji pokazywano teleturniej z udziałem

młodych par małżeńskich i ugrzecznionego mistrza ceremonii o posuwistych ruchach. Program często przerywano reklamami – rutynowymi popołudniowymi spazmami na cześć detergentów i higieny jamy ustnej. Przez jakieś osiem minut filmowałem sam telewizor, z dwiema przerwami na zmianę taśmy, a jednocześnie Glenn i ja czytaliśmy spoza kadru swoje kwestie spisane na zmiętych kartkach. Glenn ani na chwilę nie zmieniał intonacji.

– Porozmawiamy o obrazach kontrolnych i cieniach. O pewnych formach ciemności. O małym zakamarku dwudziestego wieku.

– Mam wszystkie odpowiedzi.

– A ja mam pytania – odparłem. – Zaczniemy dość prosto, od mężczyzny oglądającego telewizję. Niewykluczone, że on stopniowo popada w obłąd, z wolna, z programu na program, z przerywnika na

przerywnik. A mimo to ogląda. Co takiego jest w tej skrzynce? Dlaczego się w nią wpatruje?

– Telewizor to paczka pełna produktów. Są w niej środki czystości, samochody, aparaty fotograficzne i kamery, płatki śniadaniowe i telewizory. To nie reklama przerywa program, tylko program reklamę. Telewizor to elektroniczne opakowanie. Całkiem po prostu. Bez produktów nie ma nic. Oświatowa rola telewizji to kpina. Kto w Ameryce chciałby oglądać telewizję bez reklam?

– Jak działa na widza skuteczna reklama telewizyjna?

– Budzi w nim chęć zmiany stylu życia.

– W jaki sposób? – spytałem.

– Przestraja jego świadomość z pierwszej osoby na trzecią. W tym kraju istnieje uniwersalna trzecia osoba: człowiek, którym wszyscy

chcielibyśmy być. Reklama go odkryła i wykorzystuje do ukazywania konsumentowi dostępnych możliwości. W Ameryce konsumpcja nie polega na kupowaniu, lecz na marzeniu. Reklama sugeruje, że marzenie o wcieleniu się w trzecią osobę liczby pojedynczej ma szansę się spełnić.

– Skoro tak, to czym różni się reklama telewizyjna od filmu fabularnego? Przecież w filmach też pełno jest ludzi, którymi chcielibyśmy być.

– Reklama zawsze skrojona jest na ludzką miarę. Stara się zbytnio nie przekraczać granicy między codziennością a fantazją, a nawet dość często karykaturuje różne fantazyjne motywy z filmów. Popatrz, nigdzie nie jest powiedziane, że nie możesz polecieć do Acapulco, żeby przez okrągłe dwa tygodnie zażywać seksu i przygód

z maszynistką, która przyleciała tam na urlop z Iowa City. Ale reklama nigdy ci nie wmawia, że masz szansę to zrobić z Avą Gardner. To może tylko Richard Burton. Możesz zmienić własny wizerunek, ale nie zmienisz wizerunku kobiety, którą bierzesz do łóżka. Reklama zrobiła towar z tej różnicy. Wykorzystaliśmy ograniczoną realność marzeń. To nasze największe osiągnięcie.

– Jakie cechy ma dobry pracownik reklamy?

– Potrafi wypchnąć towar z półek. Wszystko się do tego sprowadza. Gdyby jutro przestała istnieć branża reklamowa, poszedłbym pracować do domu towarowego, w dziale męskiej bielizny.

– Wróćmy do wizerunków. Czy autorzy reklam uwzględniają tę świadomość w trzeciej osobie, o której tak przekonująco i żywo mówiłeś?

– Oni tylko kręcą te swoje dwudziestosekundowe artystyczne filmiki. Trzecią

osobę wymyślił konsument, ten wielki marzyciel, co przesiaduje w fotelu. Reklama odkryła wartość trzeciej osoby, ale samą tę osobę wymyślił konsument. Wymyślił ją kraj. Trzecia osoba przyłączyła się na „Mayflower” z pierwszymi osadnikami. Czekam, aż mnie spytasz o antywizerunek.

– Co to takiego?

– To wojna partyzancka na tyłach wizerunku, obraz straszliwych masakr duchowych. Doskonałym przykładem antywizerunku w reklamie jest technika wycinka z życia. Oto mamy scenkę, którą wszyscy znamy, bo mogłaby się rozegrać w każdym podmiejskim domku w Stanach Zjednoczonych. Tata rozmawia z synem albo Madge z koleżankami z klubu brydżowego. Problem: Madge nieregularnie miesiączkuje. Rozwiązanie: niech pije to a to lekarstwo, a muzy

uczynnie się rozkraczą. Tego rodzaju reklama zakłada, że konsument utożsami się z Madge. Otóż jest to błąd. Konsument nigdy nie utożsamia się z antywizerunkiem, lecz zawsze z wizerunkiem. Z kowbojem palącym marlboro. Z Frankiem Giffordem i Bobbym Hullem w kąpielówkach od Jantzena. Reklamy w stylu wycinka z życia zwykle zajmują się jego mniej miłymi sferami: przykrymi woniami, wrzodami, starością, brzydotą, bólem. Na szczęście wizerunek jest dość potężny, żeby wchłonąć antywizerunek. Co nie znaczy, że jestem z zasady przeciwny antywizerunkowi. Drzemią w nim pewne możliwości. Może już niebawem znudzi nam się marzenie. Ale reklama przedstawia nam antywizerunek o wiele za dosłownie. Wciąż te same stare motywy. Sztampowe dialogi. A tu potrzeba odrobiny grozy, szalonego śmiechu z cmentarza. Pewnego dnia jakiś bystry tekściarz dostrzeże prawdziwą ukrytą tajemnicę Ameryki

i stworzy podgatunek wycinka z życia: wycinek ze śmierci.

– Czy znaczną część dorosłego życia przepracowałeś w reklamie?

– Całe dorosłe życie prócz czterech lat.

– A gdzie spędziłeś te cztery lata? – spytałem.

– Podczas wojny odsłużyłem swoje.

– Gdzie?

– Na wyspach na Pacyfiku.

– A konkretnie na których?

– Na Filipinach.

– Czyli?

– Na Bataanie. Nakręcono o tym dwa filmy.

– Czy chwilami czujesz się nieswojo na myśl o własnej roli w coraz bardziej bezcielesnym planie świata?

– Tylko wtedy, kiedy próbuję zawłaszczyć

prawdę.

– To znaczy?

– Obsługuję między innymi korporację Nix Olympica, producenta wielu towarów służących do pielęgnacji ludzkiego ciała: depilatorów, balsamów, pudru do stóp, ołówków tamujących krew, płukanek do ust, patyczków do uszu, dezodorantów pod pachy i do męskich i damskich kroczy, kremów przeciwtrądzikowych, leków na chore zatoki, środków do mycia sztucznych zębów, środków przeczyszczających i plastrów na odciski. Przygotowywaliśmy kampanię reklamową filii, która produkuje głównie płyny do płukania ust i nazywa się Dentex Division. No i fajnie. Skupiamy się na jednym z podstawowych składników, quasi-aldehydzie cynamonowym plus. W skrócie QCP. Stosujemy agresywną reklamę. Dentex z zawartością QCP unieszkodliwia jady

z jamy ustnej i niezbyt wonne nieczystości o trzydzieści dwa procent szybciej. Trzeba operować konkretami. Przytaczać fakty. Obiecywać. Aż tu na jednym zebraniu jakiś gnojek mnie pyta: o trzydzieści dwa procent szybciej niż co? Odpowiadam, że to przecież jasne: o trzydzieści dwa procent szybciej, niż gdyby nie zawierał QCP. To, że wszystkie płyny do płukania ust zawierają ten aldehyd, jest bez znaczenia. Grunt, że tylko my o nim wspomnieliśmy. To właśnie znaczy „zawłaszczając prawdę”. Specjaliści od twórczości opracowują scenopis. W pierwszym ujęciu widzimy samochód wyścigowy Formuły 1 z numerem sześć na torze w Watkins Glen. Akcja, zgiełk, tłum, warkot motorów, kraksy, eksplozje. Numer sześć mija metę jako pierwszy. Podbiega do niego królowa piękności, pochyła się nad kierowcą i raptem się odsuwa, krzywiąc usta. Facet ma nieświeży oddech. Ona nie chce go

pocałować. Cięcie: laboratorium medyczne, gość w białym kitlu. Robi się coraz dramatyczniej: wykresy, diagramy, nadpisy, QCP o trzydzieści dwa procent szybciej. Powrót do pierwszego bohatera, tego z szóstką, ale już w innym wyścigu. Chorągiewka w szachownicę opada, on wygrywa, wieniec na szyi, królowa piękności go całuje, z przenikania wyłania się obraz balu zwycięzców: tańczą, całują się, szepczą, tańczą, całują. Poszliśmy z tym projektem do Dentexu. Podobał im się. Zanieśliśmy projekt piętro wyżej do Nix Olympica. Też im się podobał. Byli zachwyceni. Dali nam zgodę na kręcenie. No to załatwiamy samochody, kierowców i statystów. Jedziemy do Watkins Glen. Kręcimy z helikopterów, wózkujemy, stosujemy zwolnione tempo, zatrzymania akcji, najazdy, szeroki kąt, organizujemy dwie nieduże kraksy i jedną potworną eksplozję, która powoduje wywrotkę

samochoду i o mało nie zabija połowy ekipy. Zwołuję specjalne zebranie agencyjnej komisji planowania i puszczam im ostateczną wersję. Wszystkim bardzo się podoba. Kiedy im wyliczam, że kosztowała proporcjonalnie tyle samo co film *Kleopatra*, są zachwyceni, bo wieczorem będą mieli czym się pochwalić żonom. Nazajutrz pokazujemy reklamę Dentexowi. Podoba im się. Są zachwyceni. Idziemy z nią piętro wyżej do Nix Olympica. Z miejsca ją odrzucają. Nie martwią się o pieniądze. Suma robi na nich wrażenie, cieszą się, że wieczorem będą mieli czym się pochwalić żonom. Ale bez namysłu odrzucają reklamę. Każą nam jeszcze raz nakręcić obie sekwencje z rundy honorowej.

– Dlaczego?

– Przez tego Azjatę. Przez staruszka, który w obu sekwencjach stał na obrzeżach tłumu

statystów stłoczonych wokół areny, gdzie fetowano zwycięzcę, najpierw kiedy królowa piękności nie chciała pocałować tego z szóstką i potem też, jak już go całowała. Za każdym razem był tam ten skurczony staruszek, jakiś Azjata. Skąd się wziął? Kto go przyjął do pracy? Jak się tam w ogóle dostał? Nikt nie wiedział. Ale był tam i ci z Nix Olympica go zauważyli. Wszyscy inni statyści byli młodzi i aż tryskali zdrowiem i urodą. Reklama płynu do płukania ust musi pokazywać zdrowie, szczęście, świeżość, ustny powab. I nagle w rogu kadru sterczy ten schorowany starowina, dołączający sterany Azjata. Słuchaj, kocham tę branżę. Świetnie w niej prosperuję. Ale nasuwa mi się natrętne pytanie, czy aby nie zmarnowałem życia, i to tylko z powodu staruszka, przez którego reklama płukanki do ust wylądowała w śmieciach. W wiosenny wieczór ileś lat temu, podczas ciężkiej choroby mojej żony, która właściwie już

wtedy umierała, przeszedłem się Trzydziestą którąś, blisko Czterdziestej, skręciłem prosto w Park Avenue i zobaczyłem gmach Pan Am, wysoki na półtora kilometra i szeroki prawie na kilometr, ze światłami pałającymi we wszystkich oknach, nieprawdopodobną kanciastą płytę wyciosaną ze skały. Piętrzyła się nade mną, wypierając z pola widzenia wszystko, nawet niebo. Wyglądała jak Bóg. Nigdy przedtem nie widziałem gmachu Pan Am z tego akurat miejsca i nie byłem przygotowany na tę kolosalną niespodziankę, na to, jak te przytłaczające warstwy światła wypychają niebo z kadru. Ale do czego to ja zmierzałem?

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem. Chyba tak się to właśnie kończy, kiedy człowiek zawłaszcza prawdę.

– Jak widzisz rolę komercyjnej telewizji

w dwudziestym wieku i później?

– W chwilach najgorszego czarnowidztwa przeczuwam, że komercyjna telewizja wtrąci nas wszystkich w chaos.

– Jak sobie radzisz z takimi nastrojami?

– Biorę ciepłą, łagodną kąpiel z olejkiem Palmolive, myję zęby pastą Crest, łykam dwie tabletki Sominezu i rozpaczliwie usiłuję zasnąć na materacu Zbudź-Się-Piękny Simmons.

– Dziękuję.

Wziąłem prysznic, a potem zadzwoniłem do sieci i kazałem się połączyć z samym sobą, zastanawiając się, co by się stało, gdybym rzeczywiście z tamtej strony podniósł słuchawkę.

– Biuro pana Bella – powiedziała Binky.

– Mówi Charles of the Ritz. Nasza szminka miesiąca to purée z łososia.

– David! Gdzie się podziewasz, do cholery?

– Daj mi dziesięć sekund. Zaraz sobie przypomnę.

– Przestań się wygłupiać, pan Denney jest wściekły. Cała ekipa czeka w rezerwacie i nie może kiwnąć palcem, póki nie dojedziesz. Mów, gdzie jesteś.

– Jakieś dwa i pół tysiąca kilometrów od miejsca przeznaczenia.

– Nie wierzę. Zwariowałeś. Wyleją cię.

– Powiedz Weede'owi, żeby wysłał tam Harrisa Hodge'a. On jest młody i pełen zapału. Da sobie radę. Ludzie dobrze o nim mówią.

– David, przecież to twój projekt. Musisz tam pojechać.

– Nie jadę do Arizony, Binky. Przynajmniej nie teraz. Wolałbym być tam niż tu. Ale muszę dokończyć to, co robię.

– A co robisz?

– Zadzwońłem tylko, żeby ci powiedzieć, że u mnie wszystko gra. Pomyślałem, że zaczniesz się martwić, jeżeli się nie odezwę.

– Ja się rzeczywiście martwię, David. Co takiego robisz?

– Przeprowadzam się przez grzędawisko. Powiedz, jak się czuje Warburton?

– Umarł – powiedziała Binky.

– Chyba wiem to od kilku dni. Mam nadzieję, że pochowają go w Anglii. Czy Freddy Pojebaka napisał okólnik?

– Kogo masz na myśli?

– Weede'a – wyjaśniłem. – Czy napisał okólnik o Tedzie Warburtonie?

– Nie powinieneś tak wstrętne się o nim wyrażać. Na razie bardzo cierpliwie znosi to, że nie dotarłeś do Arizony. Przez cały czas cię kryje.

Powiedział Livingstonowi, że widocznie nastąpiło nieuniknione opóźnienie. Nieszczęśliwy wypadek czy coś w tym rodzaju. David, będą musiała mu powiedzieć, że dzwoniłeś i nie masz zamiaru dotrzeć na plan.

– Co było w okólniku? Napisał, że Ted był zaufanym przyjacielem i wieloletnim pracownikiem, a żaden człowiek nie jest wspaniałym?

– Chyba coś w tym stylu.

– Warburton był Trockim – oświadczyłem.

– Nie, David.

– Nie mów nikomu. Niech skurwysyny same na to wpadną. Nigdy więcej okólników. Tylko dzięki nim w ogóle było warto tam siedzieć.

– Potrzebujesz pieniędzy?

– Czekać podróży starczy mi na jakieś dziesięć dni. Potem stąd wyjadę.

– Wrócisz do Nowego Jorku?

– Nie wiem, Bink.

– Z czego będziesz żył?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się.

– A co z twoim mieszkaniem?

– Nie zastanawiałem się.

– Nie powiesz mi, gdzie jesteś i co robisz?

Obiecuję, że nikomu nie powtórzę.

– Jest dobrze, Binky. Wszystko gra. Będzie mi cię brakowało. Ciebie i okólników Trockiego. Tylko dzięki wam w ogóle było warto tam siedzieć.

– Jestem ci cholernie zobowiązana – rzekła Binky.

Starzec zgłosił się po telewizor. Potem przyszła Carol Deming w czarnych spodniach i takim samym swetrze, bez makijażu. Złożyłem na jej policzku służbowy pocałunek, a ona w odpowiedzi

mdło się uśmiechnęła do kamery. Usiadła w fotelu, podwijając nogi pod siebie, i jeszcze raz rzuciła okiem na scenariusz. Kucnąłem w reżyserskim przysiadzie i zacząłem do niej mówić, dokręcając statyw. Gryzła własny zgięty kciuk: gwiazdka filmowa w zaklętym świetle. Kamera i magnetofon były podłączone, gotowe do akcji.

– Pierwsza część musi być prosta, bezpośrednia, otwarta. W drugiej zaczynasz się odsuwać. Chcę mieć wrażenie, że słucham nieznanym we mgle. To są dwie bardzo różne kobiety. Może widziałaś *Personę*. Tam też są dwie kobiety, pielęgniarka i pacjentka. Wyraźnie się różnią, ale pomału zaczynają stapiać się ze sobą, prawie jakby wsiąkały nawzajem w swoje osobowości i znowu z nich się wyłaniały, wzbogacone albo zubożone, sam zresztą nie wiem, ale to wielki film, niezrównany, o naturze zanikającego istnienia. Odbiegłem od tematu.

– Jak mam usiąść, David?

– Tak jak siedzisz. Chcę mieć w kadrze cały fotel. Patrz prosto w kamerę. Mów półgłosem. Aktorstwo ma być niewidoczne. Potem cięcie i druga część.

– Boję się.

– Wszyscy się boimy.

– Ale chyba wiem, czego chcesz.

– Zaczynaj – powiedziałem.

– Z początku musiał pożyczać od ojca, ale potem stanęliśmy na własnych nogach. Byliśmy rozrywkowym małżeństwem. Mieliśmy mnóstwo znajomych i co chwila spontanicznie do nich dzwoniliśmy, żeby ich zaprosić. Kiedy kończyły nam się wspólne tematy, sięgaliśmy po telefon i dzwoniliśmy do znajomych. Jeżeli akurat nie mogli przyjść, szliśmy do kina, trzy albo i cztery razy w tygodniu. Oglądaliśmy *Do utraty tchu*,

kiedy tylko wracało na ekrany, w sumie co najmniej sześć razy. On uwielbiał ten film. Nie pamiętam żadnych innych, które razem widzieliśmy. Razem też kupowaliśmy ubrania i czasem ja kupowałam coś jemu, a czasem on mnie. Lubiliśmy się pokazywać we dwoje. Wszędzie nas zapraszano i nigdy nie odmawialiśmy. W weekendy wspólnie odkrywaliśmy miasto. Było bajecznie. A potem on zaczął wyczyniać dziwne rzeczy. Kiedyś mnie uderzył. Kazał patrzeć, jak robi sobie to, co robią chłopcy. Pojechaliśmy do Hampton i znikł na dwanaście godzin. Po powrocie tłumaczył mi, że odbył podróż przez całe stulecia ludzkości i po drodze spotkał się ze sobą. W tamtym okresie bardzo często dzwoniliśmy do znajomych. Coraz więcej wydzwanialiśmy do ludzi i zapraszaliśmy ich do siebie. Kupowałam mnóstwo nakryć głowy. Chciałam mieć dziecko. Raz widziałam go

w Rockefeller Center z jakąś dziewczyną w zielonym prochowcu. Patrzyli na łyżwiarzy. Na pewno okropnie marzła.

Carol podeszła do okna i przejrzała scenariusz. Bez słowa rzuciła go na podłogę, zapaliła papierosa i znów usiadła w fotelu, stawiając tym razem bosc stopy na brzegu siedzenia i szeroko rozchylając podniesione kolana. Zgarbiła się, spuszczać głowę, aż twarz znalazła się między kolanami, jakby w ramie, i tak siedząc we własnym ciele jak w szałasie, dmuchała dymem prosto w zaczajone oko kamery. Zaczęłam kręcić. Bardzo inteligentnie odczekała bite dziesięć sekund w obłoku dymu, nim zaczęła:

– Był niezwykle czuły na obelgi. Jeżeli w mojej obecności padało nieprzyzwoite słowo, natychmiast żądał przeprosin, a dzięki jego reputacji nigdy mu ich nie odmawiano. Gotów był

zabić, dosłownie zamordować, żeby pomścić honor kochanej osoby. Co chwila przysięgał na grób matki. W męskim kręgu, w którym się obracał, nie sposób było złożyć solenniejszej obietnicy ani bardziej zaręczyć honorem, niż przysięgając na matczyny grób. Można było pożyczyć każde pieniądze i poprosić o dowolną przysługę, jeżeli przysięgło się na grób matki, że spłaci się dług. Opowiedział mi o znajomym, który miał ksywkę „Matka Cabrini” i dość daleko zajechał na grobie swojej matki, ale w końcu się wydało, że ona żyje. Potrafił to opowiedzieć z oburzeniem, a zarazem z rozbawieniem. Ci ludzie byli oczywiście dziećmi tak jak każdy, ale inaczej niż my, którzy wprawdzie nauczyliśmy się nie bać ciemności, ale zapomnieliśmy, że ciemność to śmierć. A oni wciąż o tym pamiętali. Do tej pory siedzą na sycylijskich albo korsykańskich wzgórzach czy skąd tam pochodzą. Słuchają matek.

Kiedy zaglądamy do ciemnej piwnicy, zawsze spodziewają się, że udusi ich jakiś upiór. Raz po raz żegnają się znakiem krzyża. A my co? Oglądamy telewizję i gramy w scrabble. Czyli są dzieci światła i dzieci ciemności. Jest tylko kilka sposobów umierania, a ja właśnie wymieniłam dwa. Już nie mogłam wytrzymać tego, w jaki sposób umieram, więc zaryzykowałam i postanowiłam się z nim związać. Pierwszy raz kochaliśmy się na tylnym siedzeniu jego cadillaca na podjeździe przed czyimś domem, o dziesiątej wieczór gdzieś między Bostonem a Nowym Jorkiem. Niezupełnie byłam wtedy dziewczicą i to go bardzo wzburzyło. Nie rozumiał, jak dziewiętnastoletnia dziewczyna z dobrego domu mogła... i tak dalej. Byliśmy razem, z przerwami. Wyjeżdżał z kolejnym zleceniem, a ja zastanawiałam się, jaką rolę w naszym związku odgrywa charakter jego pracy. Nie mogłam oprzeć

się podejrzeniu, że sama stworzyłam tę całą sytuację, wmówiłam sobie, że jest mi tak strasznie potrzebny, bo po prostu chciałam uniknąć innych wariantów przyszłości – jedynych, jakie przed sobą widziałam. To jedna z moich bardzo irytujących cech. Nie potrafię spokojnie usiedzieć, czekając, aż coś samo urośnie i w końcu ukaże mi się w całej swojej prawdzie albo grozie. Zawsze muszę od razu zacząć przy tym majstrować. Ale taka już moja natura, trudna rada, więc nieraz leżałam sama w łóżku, zastanawiając się, czy on mi jest w ogóle potrzebny, czy też po prostu potrzebuję byle kogo, kto nocami ociera się o gwałtowną śmierć. Owszem, człowiek stara się pokonać nudę, ale w tej sprawie też należałoby wiedzieć, gdzie jest granica. Być może przekroczyłam ją, zwycięsko walcząc z nudą. Potrzebna mi była śmierć, żebym mogła uwierzyć, że żyję, atmosfera śmierci o wiele bardziej realnej

i osobistej niż wszystko, co proponowały gazety. Nie chciałam, żeby wycofał się z branży. Chybabym go rzuciła, gdyby to zrobił. Dziwną tworzyliśmy parę: dziecko ciemności i to drugie, uciekające przed światłem, on z tym swoim lśniącym sycylijskim nożem siedział w jaskini, a ja z ręką między nogami o czwartej nad ranem czekałam, aż wróci umazany krwią. Ileż nocy spędziłam, rozmyślając nad pięknem jego śmierci! Zastrzelony w Utica najemny morderca. Wiruje na oszołomionym krwią fotelu fryzjerskim. Te widoki wprawiały mnie w nastrój bliski rui. Zawczasu wyobrażałam sobie swój wspaniały cichy smutek. On zginąłby najpiękniejszą z możliwych śmierci, dając mi zastrzyk życia. Wysoki i bardzo przystojny, miał w sobie wiele z gwiazdora lat trzydziestych. Poruszał się jak dumne, władcze zwierzę, którego istnienie sprowadza się do seksu i śmierci. Bał się ciemności. Twierdził, że ćwiczy

z hantlami, żeby być w formie, ale w rzeczywistości skłaniało go do tego narcystyczne uwielbienie własnego ciała. Często siadał do kolacji w samych slipach. Kiedy mijał kościół, żegnał się znakiem krzyża. Wierzył w duchy i diabły. Starał się przy mnie brzydko nie wyrażać, ale był wstrząśnięty i zachwycony, gdy to ja przeklinałam. Często grał na wyścigach i przepuszczał tam spore sumy. Kupił mi futro z norek i zabrał mnie do Copacabany. Był dla mnie wszystkim, mężczyzną nie mniej niż filozofią, i trochę to dziwne, prawda, że taka dziewczyna jak ja, z moim wychowaniem, wykształceniem i zapewne niezłe wyszkolonym intelektem, tak istotnie związała się z tym facetem. A jemu instynkt mówił, że śmierć nie ma sensu, jeżeli nie spotyka nas gwałtownie.

Sullivan strzepnęła trochę popiołu z papierosa

do sałatki, którą właśnie mieszała.

– Po każdym nalocie siedzieliśmy w koszarach – powiedział Brand. – Byli tam ze mną Thaw, Hoppy, Bookchester i Eldred Foot, ten smarkacz, co to skończył jakąś nieznaną uczelnię na Południu i napisał pracę magisterską o swastyce na przestrzeni wieków. Wiecie, prześledził jej historię, cofając się do początków buddyzmu, prawie do zarania ludzkości. To była jego ulubiona zbitka. Zarianie ludzkości. I właśnie on wymyślił tę zabawę, którą zabijaliśmy czas po każdym nalocie, siedząc w koszarach. Tylko że to właściwie nie była zabawa, raczej dziwny rodzaj rozmowy, prawie religijna recytacja. Miała nawet nazwę. Nazwaliśmy ją Bożebaw. Zawsze zaczynał Eldred. Był z nas najmłodszy i miał jasne włosy, raczej białe niż blond, takie białe, że prawie różowe: cherlawy chudzina, który prawie znikał za każdym razem, kiedy wkładał mundur. Bożebaw

dziewięćdziesiąt cztery kobiety i dzieci, które dziś rano wyparowałem, mówił. A potem wszyscy po kolei dorzucaliśmy swoje. Bożebaw ślepego mnicha, którego spaliłem napalmem, mówił Hoppy. Bożebaw żłobek, który spopielilem w drobny mak. Bożebaw dom starców, który starłem z powierzchni ziemi siedemsetpięćdziesięciofuntówką. Bożebaw trzystu dwudziestu ośmiu bibliotekarzy, których rozsiekałem seriami na twaróg. Bożebaw ekipę neutralnych obserwatorów, z których upiekłem chrupki. Bożebaw międzywyznaniową grupę misjonarzy na siedemnastodniowej wycieczce, którzy nawet nie zdążyli zauważyć, co ich rąbnęło. Mniej więcej po miesiącu Eldred udoskonalił tę litanię, żeby była bardziej ortodoksyjna, sztywniejsza. Oczyszczył ją. Kazał nam powtarzać w kółko te same słowa. Każdy miał swoją kwestię i nie wolno mu było jej zmieniać. Recytowaliśmy

po kolei – najpierw Eldred, potem Bookchester, Thaw, Hoppy i ja. Powtarzaliśmy Bożebaw czasem przez dwie godziny albo i dłużej, w kółko tych samych pięć zdań, bo każdy miał tylko jedno do wypowiedzenia. Bożebaw testamenty coraz rzeczywistszego świata. Bożebaw tych biedaków, co walczą po naszej stronie, a my bombami pełnymi dobrej woli rozpylamy ich w postaci wszechobecnych duchowych trocin. Bożebaw nasze ukochane, co pozostały w domach, i niechaj pochwy rozrastają im się a kwitną. Bożebaw zaranie ludzkości, które oto znowu nadciąga w cyklicznym trybie wstecznego czasu. Bożebaw Boga. To był mój tekst. Bożebaw Boga. W sumie brzmiało to jak religijny obrzęd, tyle że pełen ironicznych akcentów, niespotykanych w większości religii. A czasem w trakcie recytacji bez przerwy się śmialiśmy. Dziwny był chłopak z tego Eldreda. Trochę taki jak ja teraz. Ale mocno

wyprzedzał epokę. Przeczuwał powrót rzeczywistego świata. Sprawy stają się tym rzeczywistsze, im bardziej odrealnia się życie jednostek. Świat nigdy nie był rzeczywistszy niż teraz. Nie dowiedziałem się tego w Yale, tylko od Eldreda. Niebo go pożarło. Jego pierwszego stracili. Ale Bożebawy trwały dalej. Tyle że usunęliśmy jego tekst, a Thaw dostał nowy i mówił odtąd: Bożebaw Eldreda Foota i jego różowego fiutka. Potem w jednym dniu spadli Bookchester i Thaw. Straciły ich wrogie samoloty. Czarne charaktery. Bożebaw Boga, recytowałem tamtej nocy. Ale Hoppy tylko żłopał piwo.

– Skręcić jednego? – spytała Sullivan.

– Bardzo pani łaskawa, ale może trochę później.

Po lekkim obiedzie Sullivan i Brand postanowili przejść się do miasta i poszukać sklepu, w którym dałoby się kupić szachy. Trochę

mnie to złościło, bo w ogóle nie umiałem w nie grać. Kiedy sobie poszli, patrzyłem, jak Pike przechyla głowę i łyka, a od piekącej whisky twarz trzeszczy mu w szwach.

– Jak chcesz, to za jakiś tydzień możemy pojechać do Kolorado.

– Po co? – spytał.

– Przecież chciałbyś przed śmiercią spotkać się z pumą, prawda? Bez żadnych krat po drodze. Pojedziemy w Góry Skaliste.

– Podaj popielniczkę.

– Chcesz tam pojechać, prawda? Przecież dlatego w ogóle się z nami zabrałeś, nie?

– W Baltimore oglądałem kiedyś wszelkie gatunki zwierza i ptactwa, nie ruszając się z pokoju. Byłem w dupę pijany przez dwa, trzy tygodnie. Na co komu Góry Skaliste? To życie nie jest za wielkie, żeby się zmieściło we flasce.

– Sully powiedziała mi, że uratowałeś jej życie.
Mam to rozumieć dosłownie?

– Każde jej słowo należy rozumieć dosłownie.
Nie łudź się co do tej pani. Ona wszystko, co
mówi, rozumie dosłownie.

– Jak ją uratowałeś? – spytałem.

– Mucha wyżerała jej mózg. Maleńka muszka
uwięzła w uchu i jakoś przelazła do środka głowy.
Sully dostawała świra od jej brzęczenia. A potem
mucha zaczęła wyjadać mózg. Sully słyszała, jak
młascze. No więc poszliśmy do jej pracowni
i chociaż ręce mi się trzęsą, przeprowadziłem na
mózgu delikatną operację chirurgiczną. Mucha
była maleńka, kiedy wpadła w ucho, ale zanim ją
wyciągnąłem ze strepanowanej czaszki, tak się
nażarła, że urosła do rozmiarów sporego ślimaka.

– Za czyje pieniądze ty właściwie pijesz?
W życiu nie zarobiłeś dość kasy, żeby tyle chlać.

– Spadaj, Cal.

– Na imię mi Dave.

– Cal. Szakal. Karakal. Serwal. Gawial. Szakal
żre martwą pumę. Szakal B. DeMille. Co ty
w ogóle wiesz o kręceniu filmów?

– Siedzę w branży filmowej od dwudziestu
ośmiu lat – powiedziałem.

Austin Wakely był początkującym aktorem,
gotowym podjąć się każdej misji, byle tylko
zaspokoić miłość własną kamery. Dałem mu
zaledwie cztery godziny na zapoznanie się z rolą,
ale twierdził, że ma ją dopiętą na ostatni guzik.
Bawiłem się wielkimi pokrętłami magnetofonu.

– Wiesz, technika wywiadu to żadna nowość.

– Wynajduję prymityw – odparłem. – Inni
reżyserzy byli tacy spięci, że tylko przypadkiem
natrafiali na pewne pseudoarchaiczne formy. Też

tak robiłem w programie telewizyjnym według własnego scenariusza. Ale to była telewizja.

– Da się z tego statywu panoramować?

– Nie dzisiaj.

– Nie masz mikroportu?

– Nie.

– Wiesz, niektórzy stosują tak zwane filtry rozpraszające, żeby złagodzić rysy twarzy aktora w ciasnych kadrach.

– Austin, dajmy sobie spokój z terminologią i spróbujmy zaczarować ten kwietniowy wieczór. Nie będzie żadnych ciasnych kadrów. Stań tam, pod gołą ścianą. A tak przy okazji, czy Carol jest mężatką?

– To by była dla mnie nowina.

– Interesująca osoba – powiedziałem.

– Drotty uważa, że zanadto jedzie na emocjach.

Chciałby, żeby się zobiektywizowała.

– Dobra, możemy zaczynać. Staraj się unikać teatralnych pauz. I jak najmniej modulacji.

Skierowałem kamerę na Austina, który stał już pod ścianą, i zacząłem kręcić, a mój głos brzmiał jak radosna maszyna do przesłuchiwania ludzi skołowanych i zwichniętych.

– Stan cywilny.

– Rozwodnik.

– Dzieci.

– Brak.

– Wyrostek robaczkowy.

– Usunięty.

– Co sądzisz o tej wojnie? – spytałem.

– Widziałem ją w telewizji. Wojnę sponsoruje między innymi producent kawy rozpuszczalnej. Reklamy są bardzo gustownie dostrojone do

poważnego meritum programu. W niektórych występują przedstawiciele różnych ras. Ponieważ przepracowałem siedem lat w sieci telewizyjnej, która nadaje doniesienia z wojny, mogę zaręczyć, że sieć i agencja wspólnymi siłami przekonały sponsora do idei wielorasowych reklam, powołując się na fakt, że wojna też jest wielorasowa. Zrównoważenie programów zawsze było jednym z głównych celów sieci.

– Stosunek do służby wojskowej.

– Zaraz po studiach stanąłem przed komisją. Stwierdzono latającą łękotkę i łupież w stadium nieoperowalnym. Wtedy jeszcze komisje były bardziej wybredne.

– Jak długo trwało twoje małżeństwo?

– Koło trzech lat.

– Czy możesz powiedzieć kamerze, dlaczego nie mieliście dzieci?

– Chcieliśmy najpierw się zabawić. Postanowiliśmy, że dzieci mogą zaczekać, póki się nie nabawimy do syta, nie najeździmy po Europie i nie urządzimy.

– Pojechaliście do Europy?

– Dopiero po rozwodzie. Spotkaliśmy się we Florencji i piliśmy oranżadę. Mieszkałem w czternastowiecznym pałacu. Pewnego wieczoru w jadalni nawiązałem rozmowę z bardzo brzydką dziewczyną, która nie dość, że okazała się Niemką, to jeszcze w dodatku kulą. Spędziliśmy część nocy u niej, zamiast u mnie w pokoju, a rano spotkałem się z byłą żoną na Ponte Vecchio i potem godzinami spacerowaliśmy po mieście. Pod wieczór moja była żona zaczęła lekko kuleć, a ja poczułem, że już nie chcę z nią być.

– Co was skłoniło do rozwodu?

– Zaczął mi się rozmywać własny wizerunek.

Stało się to problemem dla nas obojga. Ale wciąż bardzo się lubiliśmy. Rozwód to cudowny wynalazek, znacznie lepszy niż przewlekła separacja czy morderstwo. Unicestwia napięcie. Wyzwala wiele zdrowych emocji, które przedtem ulegały tyranii różnych psychicznych okrucieństw. Rozwód to najbardziej pouczająca droga do głębokiego zrozumienia między dwojgiem ludzi. Drugi, a zarazem najważniejszy krok ku prawdziwie promiennej postaci miłości, która każe nam ofiarowywać siebie. Pierwszym krokiem jest oczywiście ślub.

– Rodzice.

– Matka nie żyje.

– Ojciec.

– Żywcem pochowany, ale jeszcze żyje. Nie żebym niecierpliwie wyczekiwał jego śmierci. Chociaż owszem, przyjąłbym ją z ulgą.

– Dlaczego? – spytałem.

– Pamiętam klaskanie jego bosych stóp na schodach. Nigdy nie nosił kapci. Zawsze dostawał je od kogoś na Gwiazdkę. Ale pewien typ amerykańskiej męskości nie zgadza się nosić tych części garderoby, które mogłyby przytępić wrażenie obcowania z brutalną prawdą własnego najbliższego otoczenia.

– Kamera nie lubi wymijających odpowiedzi. Jak mawia pan Hitchcock, nie wolno stosować retrospekcji w oszukańczych celach. Z czego jesteś dumny, jeżeli w ogóle z czegoś?

– Nakręciłem dużo krótkich filmów różnego rodzaju. Weekendowe kroniki. Orgie-porgie. Filmiki bez fabuły, robione z przyjaciółmi. Trochę więcej niż hobby, ale tylko trochę. Teraz to oczywiście co innego. Dawniej byłem też dumny z czegoś, co nakręciłem w Central Parku podczas

ceremonii zorganizowanej po jednym z zamachów. W ostatnich rzędach tłumu stało dwoje starych Murzynów. On był wysoki i chudy, z twarzą jak skała zwrócona w stronę morza. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę z wysokim krochmalonym kołnierzykiem o zaokrąglonych rogach i czarny krawat, zawiązany jakieś trzy centymetry poniżej górnego guzika koszuli. W rękę trzymał czarny kapelusz. Kobieta prawie dorównywała mu wzrostem, a jej twarz była na swój sposób tak samo wyrazista jak jego, ale jakby miększa, nie ze skały, tylko z ziemi. Nieodparcie nasuwało się słowo „dostojeństwo”. Nie wiadomo dlaczego czułem, że oni nie są małżeństwem, lecz rodzeństwem. Kimkolwiek byli, wyglądali jak filary kościoła czarnych baptystów. Słuchali przemówień i muzyki, wyprostowani jak struna, w zupełnym bezruchu, a ja podniosłem kamerę i zacząłem filmować. Co

pewien czas zagłębiałem się w tłum albo filmowałem któregoś z mówców na podwyższeniu, ale zawsze wracałem do tych dwojga starych Murzynów. Obejrzałem ten kawałek filmu chyba z pięćdziesiąt razy. Wiele dla mnie znaczył. Napawał mnie dumą. Nie był to jakiś tam sobie dzień w parku ani coś, co ogląda się w wiadomościach o siódmej wieczór. Te dwie twarze wydawały się trwalsze niż sama republika. Film od nich się zaczynał i na nich kończył. Tworzyły ramę dla ogólnego poczucia zamętu. Takie przynajmniej miałem wrażenie. Musiało minąć wiele czasu, nim zrozumiałem, jak bardzo się myliłem. Kamera sugeruje sens tam, gdzie żadnego sensu nie ma. Nie ucziłem tamtych dwojga, tego brata i siostry, lecz ich wykpiłem. Wyzyskałem ich smutek. Usiłowałem wpleść tę parę w optymistyczny komunikat o stanie kraju. Czarny z definicji jest aktorem. A biały –

krytykiem.

– Chciałbyś jeszcze coś powiedzieć do kamery?

– Po prostu „cześć”. Cześć temu jakiemuś mnie, który w dalekiej przyszłości obejrzy ten film w strachu i mroku. Cześć przyszłej Ameryce, cokolwiek będzie wtedy wyczyniała czy odczyniała. Mam nadzieję, że w końcu wrosłeś w swój czas, David. Zawsze zostawałeś trochę w tyle, hamowany staroświeckimi skrupułami.

– Masz w życiu jakąś szczególną ambicję?

– Wyjść z niego żywym.

– Dziękuję – powiedziałem.

Wyłączyłem wszystkie urządzenia, magnetofon i kamerę i chwilę porozmawialiśmy o sprawach, które żadnego z nas ani trochę nie interesowały. Potem Austin wyszedł, a ja wziąłem czystą kartkę, zmiałem ją w twardą kulkę i zacząłem rzucać z wysokości do kosza na śmieci. Udawałem Oscara

Robertsona w starciu z Jerryem Westem. Po godzinie celnie strzeliłem lewym hakiem i położyłem się do łóżka. Była ósma rocznica śmierci mojej matki.

Kupiłem czapkę z daszkiem, w szarą kratę. Ostatnio miałem taką, kiedy byłem mały. Nosiłem ją wtedy z dziecinnie magiczną wiarą w nieskończoność codziennych drobiazgów. W podróży z Nowego Jorku do Maine wkładałem czasem polową czapkę khaki pożyczoną od Pike'a, ale w końcu mi ją zabrał i schował do swojego żeglarskiego worka, bo nikt nie miał prawa bawić się w wojnę jego prywatnym rynsztunkiem bojowym. Z czapką zsuniętą na oczy wypoczywałem na hotelowym łóżku. Przez drżące żaluzje przemykał ranek w pełni. Fellini, znawca nosów i nakryć głowy, rozumie filozoficzną naturę kostiumu. Moje dwadzieścia osiem lat w filmie.

Życie tworzone z taką łatwością, że nakrycie głowy mogło się stać noszącym je człowiekiem. To czapka mnie nosiła. Arrivato Zampanó: przyczepa i droga, niedoskonałe chłopięce ciało dziewczyny anonsuje siłacza, a on ryczy w okowach. Szczękałem zębami w ciemnej sali kina przy Bleecker Street, gdy tamci tańczyli na tle nieba: naszyjnik z szachowych figur trzymających się za ręce o północnym świcie. Z zamkniętymi oczami wdychałem z miękkiej podszewki czapki przemysłową ponurość, L.S. Stratford Ltd., coś jakby Finney spadał ze schodów. Zaglądałem w szpary ciemności. Burt Lancaster wyciera sobie rącznikiem tors (a my kłębimy się w jego porach jak robaki). Bell patrzy na plakat z Belmondem patrzącym na plakat ze stanowczym Bogartem. Starzec na huśtawce, Watanabe, śpiewa swojemu niewidzialnemu niemowlęciu.

Przespacerowałem się wokół łóżka, tęskniąc za

tymi zatęchłymi salkami z West Side, na swój sposób mile obojnaczymi, z odrobiną szmatławego romantyzmu, który ciągnął od strony Parku Igieł i wkładał się do środka, a jeszcze ci bladzi, gasnący mężczyźni, żyjący filmami z lat trzydziestych. Shane odjeżdża ku niepokalanym góróm.

Wyszedłem na Howley Road, w chłodną noc, oszronioną gwiazdami. W przyczepie świeciło się, a gdy do niej podchodziłem, w żołądku wzbierało mi rozkoszne chłopięce uczucie, że jestem zwiadowcą i wkraczam na wrogie terytorium, zmierzając po ciemku w stronę posterunku, na którym niczego niepodejrzewający wróg siedzi i pali papierosa, zaledwie kilka sekund przed bezszelestną, mistrzowsko zadaną śmiercią.

– Dziś są moje urodziny – oznajmił Brand. – Zastanawiamy się, jak je uczcić.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści.

– O dwa więcej niż ja. Jak to jest, kiedy się kończy trzydziestkę? Znajomy powiedział mi, że po trzydziestce przydarzyły mu się trzy rzeczy. Utył w pasie. Przestał czytać powieści. I przez cały rok raz po raz mu się śniło, że w jego żołądku rośnie tasiemiec, rośnie coraz większy i w końcu zaczyna dosłownie go przerastać. Wyżera główne narządy i rozrasta się, a tymczasem żywiciel maleje, słabnie i kiedy robał wreszcie wyłazi mu ustami, zjadając po drodze dziąsła i zęby, waży chyba z dziewięćdziesiąt kilo, z czego większość zabrał żywicielowi, który waży już tylko piętnaście kilo, same kości i przezroczysta skóra, no i pada na podłogę, widząc, jak ogromne oślizgłe szczęki tasiemca obejmują mu głowę, i dopiero wtedy się budzi. Opowiedział mi to Warren Biddle, ten

sławny radiowiec.

– Jak to przestał czytać powieści? – zdziwił się Brand.

– Tak twierdził. Nie wiem, co przez to rozumiał.

– Usuwam ze swojej powieści wszystkie slangowe wyrażenia. Wymyślam nowy slang.

– Sully, widziałaś może *Piętno śmierci*?

– Zaczekaj, Davy, rozmawiamy o powieściach. Mam zamiar usunąć slang i zastąpić go nowymi formami, nowym stylem. Może całkiem wyeliminuję język. Może uda się znaleźć zupełnie nowy tryb narracji. Ostatnio dużo o tym myślę. Ciekaw jestem twojego zdania.

– W tym swoim amatorskim filmiku, który właśnie kręcę, wcale nie ograniczyłem roli języka. Wręcz ją wzmocniłem. Za to okroiłem ruch, ten rodzaj ruchu, który coś opowiada albo stwarza harmonię. Chcę, żeby język rozwinął się ze

statycznych form. Film jest czymś na kształt podgatunku podziemia. Teraz kręcę tylko krótki fragment czegoś, co w przyszłości obejmie ogólniejszy materiał: pogrzeby, korki uliczne, meble, autentyczne wydarzenia, kobiety, drzwi, okna. To jest autofikcja. Aktorzy, ludzie grający samych siebie, fragmenty wierszy. Kiedy skończę, chciałbym całość schować do zamrażarki i za trzydzieści lat wyświetlić bez żadnych cięć.

– Będę miał wtedy sześćdziesiątkę – stwierdził Brand.

– A ja będę piachem – rzekł Pike.

– Sully, może zechciałabyś wystąpić w moim filmie. To nie potrwa długo. Możemy jutro zrobić sesję. To będzie krótka scenka. Zdaję sobie sprawę, że ostatnio mało się tu pokazuję, ale to tylko przez nawał roboty. Jestem wam bardzo wdzięczny, że nikt nie narzeka, chociaż tyle dni już

tu siedzimy. No to jak? Zgodzisz się? Krótka scenka. Mów do mnie, smętnooka damo z nizin.

– Oczywiście, David. Dla ciebie zrobię wszystko.

Brand chciał posiłować się na rękę. Spletliśmy dłonie i zmierzaliśmy się stalowym wzrokiem. Nie wiedziałem, czy on to robi serio, czy na żarty. Nacisnął, a ja spuściłem głowę i skoncentrowałem się, próbując utrzymać oba łokcie na blacie. Wyteżaliśmy się przez kilka minut, ale żaden ani na chwilę nie zyskał znaczącej przewagi. Napiąłem przedramię, aż mi zaszumiało w mięśniach, i włożyłem wszystkie siły w jeden ofensywny piruet, dałem z siebie wszystko, w nadgarstku skakała mi żyłka, a Brand zaczął ustępować, łokieć ślizgał mu się po stole. I nagle mój przeciwnik się sprężył i znowu był pat, a Sullivan stała nad nami, trzymając w ręku dziwną malowaną lalę z drewna

i drutu.

– Twój prezent urodzinowy – oświadczyła. – Zrobiłam ją dla ciebie dziś po południu. To hinduski bożek. Złowrogi, wredny, boski hermafrodyta.

– Chyba się go boję – przyznał Brand.

W ten pogodny ranek trawa była mokra, a stalowe szkielety huśtawek za estradą w parku – matowosrebrne. Coś z dwunastego roku, chłopcy na sankach widziani przez tiul w zwolnionym tempie, ich puciołowate, parujące twarze nikły w śniegu, a ja gorąco kochałem swoje ciężkie buciory i ich zardzewiałe sprzączki. Wchodzenie w zimę, czystą i pustą, morski stwór (mózg) pulsujący w słoju po ciastkach, sztuka i wiedza odśnieżaczy z szuflami, grzmiący po całym domu rytmiczny stukot fotela na biegunach, jej dłonie

zaciśnięte na krawędziach poręczy aż do zbielenia knykci, a ja zastanawiałem się, jak to działa: czy krew więźnie w żyłach dłoni, czy też przepływa wyżej, do żył przedramienia, póki dłoń się nie rozluźni. Bujała się w swoim mroku, a śnieg wolno prószył. Ale teraz nie było śniegu, a ja musiałem kręcić przy świetle dziennym. Sullivan stanęła za jedną z huśtawek, żadnych pytań ani wyjaśnień, kobieta, postać w krajobrazie, chociaż nie było szans na śnieg, a komórki jej ciała nie niszczyła choroba, aktorka, niemniej jednak kobieta, która swoją siłą sprawczą odebrała kamerze część mocy, szczęśliwie osłabiając aż nazbyt mnie przytłaczającą chwilę. Na kominach kilku domów odpoczywały ptaki, szpaki albo strzyżyki, dla mnie choćby neopterodaktyl, dla mnie mogła to być nawet Iowa, Alexandria, Kamakura, i nagle zobaczyłem przez wizjer, że za plecami Sullivan przejeżdża niebieska furgonetka,

a na jej boku widnieje biały napis SMITH. Czyli jednak bliżej Iowy, ku mojej niemałej uldze. Ósma rano. Na estradzie muszla koncertowa o zadartych w górę brzegach. Drzewa i mokra trawa. Ubita nocnym deszczem piaskownica. Rowek po odchylonej w bok nodze. Czteropalczysty odcisk dłoni. Idealne kółko – ślad po wiaderku. Ustawiłem filtr wiatru, a Sullivan usiadła na huśtawce, po łańcuchach spływał żeglarski zgrzyt, a ona czubkami palców leciutko dotykała ogniwi. Zaczęła wznosić się ku mnie, z pustką w oczach.

– Widzę siebie w wielkim kamiennym domu nad morzem w Oregonie – powiedział Brand. – Mam równe sześćdziesiąt lat. Zbudowałem ten dom własnymi rękami, gład po gładzie. Widzę siebie jako jednego z tych nielicznych pisarzy, których na starość wciąż się szanuje za śmiałość pomysłów i styl. Pielgrzymują do mnie młodzi uczniowie.

Wędrują z chlebakami i z egzemplarzami moich książek. W pobliżu nie ma żadnych dróg. Okolice przypomina Big Sur, ale jest bardziej bezludna i niedostępna. Dom stoi nad samym oceanem, więc widzę, jak foki wygrzewają się na głazach, jak tuż nad powierzchnią wody pomykają wielkie smukłe ptaki morskie, a czasem zdarza się nawet rekin, w słońcu lśni płetwa pięknego wielkiego rekina. Rekin to mój osobisty symbol. Zdobí ostatnią stronę okładki każdej z moich książek, tak jak wilczarz na książkach Alfreda A. Knopfa. Na kamienistej plaży grzmiały fale przyboju. Wiatr od morza wieje mimo domu i gwizdże w lesie na tyłach. Widzę siebie jako skalistego chudzielca. Młodzi uczniowie nadciągają ze wszystkich zakątków świata. Czasem przybywają w grupach, kilku młodych Francuzów ze swoimi dziewczynami przynosi pozdrowienia od sławnych starych filozofów i pisarzy francuskich, z którymi

bywałem na sympozjach i podpisywałem petycje, sławnych starych intelektualistów francuskich, co nie wyrzekli się rewolucyjnych ideałów i wciąż wywierają silny wpływ na politykę zagraniczną Francji. Młodzi uczniowie przeważnie bawią u mnie około tygodnia. Spokojnie rozmawiamy i spacerujemy po plaży. Pytają mnie o moje życie i myśli. Czasem przybłąka się młoda uczennica, która samotnie przybywa ze Szwecji kosztem wielkich wyrzeczeń. Jest uroczą blondynką. Twierdzi, że szwedzki eksperyment się nie udał. Idziemy razem do łóżka. Słyszymy wiatr i mewy. W pokoju są tylko cztery kamienne ściany i łóżko. Potem dziewczyna mówi mi, że czuła się, jakbym był dwa razy młodszy, niż jestem. Rzadko się do siebie odzywamy. Ona gotuje mi proste szwedzkie potrawy. Spacerujemy po plaży. Czytam jej pierwszy rozdział swojego dzieła w toku, a ona mówi, że to najlepsze i najprawdziwsze ze

wszystkiego, co napisałem. Pyta o moją żonę. Przed laty ożeniłem się z piękną Wietnamką, która później umarła na rzadką chorobę płuc. Nie opowiadam o tym Szwedce. Biorę ją tylko za rękę i prowadzę do łóżka. Po kolejnych dwóch tygodniach każę jej odejść. Moja praca wymaga napięcia, jakie można uzyskać jedynie w samotności. Ona rozumie. Wracam do pracy. Wszystko jest twarde i czyste. Fale przyboju roztrzaskują się o skały. Miesiąc później stromą kamienistą ścieżką wspina się śliczna wysoka Australijka o tycjanowskich włosach. Niesie chlebak, a w nim mój jedyny tomik wierszy.

Po południu poszedłem do biblioteki. Potem wróciłem pieszo na Howley Road, ledwo zauważając, że dzień jest słoneczny i spokojny, a giętkie, skwapliwe drzewa pachną wyżyną. Nagle pożałowałem, że na nizinie, na poziomie

morza, powietrze jest takie nieruchome, bo w górach wszystkie moje poważne plany można by z łatwością sypnąć szuflą na wiatr. Wśród bezlitosnego obłądu przyrody powyżej pasma regli nie potrzeba żadnych postanowień oprócz takich jak te, które podejmuje rzeka, aby zmienić barwę, spływając po kontynencie ku własnej obietnicy i przeszłości. W przyczepie zastałem tylko Pike'a. Cicho poszczekiwał przez sen, a w barze po drugiej stronie ulicy nie było nikogo.

Przez bite szesnaście godzin malowałem na biało matowozielone ściany pokoju hotelowego, a potem znacznie mniejszym pędzelkiem i czarną farbą wypisywałem na tej bieli drukowanymi literami dwa tysiące słów, czyli dalszy ciąg scenariusza.

Skończyłem wczesnym rankiem. Poszedłem do przyczepy i prawie przez cały dzień spałem albo

patrzyłem, jak Sullivan i Brand grają w szachy. Wieczorem wróciłem do hotelu. Glenn Yost przyszedł do pokoju i popatrzył na ściany. Powiedziałem mu, ile mnie kosztowały: dwie spore łapówki i obietnicę, że zapłacę za odmalowanie, kiedy będę się wyprowadzał. Jego szalone oko było bardzo pobudzone. Oznajmiłem mu, że podczas kręcenia ma stać przy fotelu, czytając słowa i zdania w takiej kolejności, w jakiej biegną wokół pokoju. Będzie widoczny w kadrze z przerwami, bo co jakiś czas przeciągnę panoramą po którejś ścianie, może podążając za czytany akurat tekstem, a może pod prąd, tak że kamera i człowiek będą czytać w przeciwnych kierunkach. Czasem skoczę naprzód w tekst. Będę też filmował już przeczytane fragmenty. Gdzieś po drodze zrobimy cięcie, zmienimy szpulę i ustawienie kamery, a potem znów do roboty. Czekaając, aż przeczyta całość, wskazywałem mu

miejsca, w których tekst, urwany przy oknie albo framudze drzwi, znajdował swój dalszy ciąg. Lewe oko skakało. Powiedziałem Glennowi, żeby się uspokoił, bo to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia.

– Stoję tu i nie mogę się nadziwić.

– Oko skacze na całego – zauważyłem.

– Wiem tylko, że wolałbym teraz siedzieć w domu i reperować drzwi z siatki.

– Fellini twierdzi, że prawe oko zajmuje się rzeczywistością, a lewe fantazją. Zaczniemy, jak tylko będziesz gotów, Glenn.

– A co, do diabła? Dalej jazda!

Stałem, pochylając się nad statywem, i ręką dałem Glennowi znak.

– Tamtego roku szczęście nam nie sprzyjało. Zostało nas jakieś dziesięć tysięcy plus tubylcy. Rozproszyliśmy się po całym południowym

regionie półwyspu i poddawaliśmy się każdemu, kto się nawinął, w sumie było nas około siedemdziesięciu tysięcy wojska, Amerykanów i Filipińczyków, a Japończycy musieli nas stamtąd ewakuować, żeby ich ludzie mogli wkroczyć i przygotować wielką ofensywę na Corregidor. Myśmy im tylko przeszkadzali i było to całkiem nowe uczucie dla kogoś, kto uważał się za niezłego strzelca, a swój kraj za jedyne niezwyciężone mocarstwo na kuli ziemskiej. Przede wszystkim chcieli nas spędzić do Balangi. Mieliśmy tam dotrzeć sami, każdy stamtąd, gdzie jego kompanię, pluton czy placówkę wystrzelano, a niedobitki – zagłodzone, znudzone albo schorowane – dojrzały już do tego, żeby się poddać. Pomaszerowaliśmy w dziewięciu przez strefę zawieszzonego ostrzału w stronę Balangi. Dzielilo nas od niej raptem dziewiętnaście do dwudziestu czterech kilometrów. Nie dali nam nic do jedzenia, ale to

już nie była dla nas żadna nowość. Od pewnego czasu stosowaliśmy procedurę maksymalnego stresu, więc za przykładem tubylczych żołnierzy jedliśmy psy, małpy i jaszczurki. Kiedyś widziałem, jak jeden Filipińczyk jadł mięso pytona. Ja nigdy pytona nie jadłem, a małpę tylko raz i nigdy więcej. Jaszczurkę da się od biedy strawić, ale po małpim mięsie człowiek czuje się, jakby połknął coś, co wyrwało w podskokach z samego piekła, a ja nie chciałem przekraczać pewnych granic w tym stresie na maksa. W dodatku panowała malaria, wszyscy na nią chorowali. Ale w sumie nie było tak znów strasznie. Rwaliśmy i jedliśmy trzcinę cukrową z pól, a wodę piliśmy ze strumieni. Był wśród nas pułkownik z przepustką, którą dostał od jakiegoś oficera żółtków, kiedy się poddawaliśmy. Pokazywał ją każdemu, na kogo się napatoczyliśmy po drodze, więc jakoś dawali nam żyć.

Rewidowali nas, zabierali obrączki, zegarki i co tylko znaleźli, na przykład moją zapalniczkę, której zresztą po dwudziestu latach pożalowałem, bo bardzo by się przydała, kiedy firma Zippo w ramach kampanii reklamowej zamieszczała autentyczne oświadczenia właścicieli, czarno-białe, na całą stronę ze spadem. TA ZAPALNICZKA ZIPPO PRZETRWAŁA MARSZ ŚMIERCI NA BATAANIE. Późnym wieczorem dotarliśmy do Balangi. Bez trudu przeszliśmy całą drogę w jeden dzień. I wtedy dowiedzieliśmy się, że wróg wymordował koło czterech setek tubylczych wojskowych, samych oficerów i podoficerów. Ci Filipińczycy maszerowali do Balangi tak samo jak my, kiedy zatrzymał ich oddział żółtków z sił reagowania poudzierzeniowego. Szeregowców puścili, a oficerów i podoficerów ustawili w kilka szeregów i związali wszystkich razem za nadgarstki drutem telefonicznym. A potem dobyli

mieczy i bagnatów i ich pozabijali. Większości podobno odrąbali głowy. Nie używali broni palnej, więc minęły jakieś dwie godziny, zanim wykończyli wszystkich czterystu. Musiał to być niezły widok. Mówiono, że to była zemsta za coś, co ci tubylcy zrobili, ale nikt nie wiedział za co konkretnie. Prawdę powiedziawszy, nikogo to chyba nie obchodziło. W naszej sytuacji, czyli w strasznym, nieznośnym, niewyobrażalnym upale, nudzie i niepewności, jakiego pełzającego, parszywego robala człowiek zje na kolejny obiad, czterystu bezgłowych Filipińczyków w sam raz nadawało się na temat miłych klubowych plotek – coś, co można pokrótce omówić z lekko nabożnym zdumieniem i prawie z podziwem dla żółtków, że umieli przynajmniej urządzać widowisko, no i właściwie byliśmy im nawet ciut wdzięczni, bo ta cała afera pozwoliła nam się trochę oderwać od własnych kłopotów. Balangi nie da się zapomnieć.

Do miasta pchały się tysiące żołnierzy. Część z nas trzymali na ogrodzonych pastwiskach. Resztę upchnęli na małych placykach za drutem kolczastym. Tak nas stłoczyli, że nie sposób było usiąść, a całe miasto cuchnęło kałem. Dosłownie całe miasto. Kazali nam wypróżniać się do rowu, ale pełno w nim było trupów, a odór martwych i umierających odstraszał większość z nas. Chorzy na dyzenterię nie mogli się powstrzymać, więc wypróżniali się, gdzie który stał. Inni po prostu padali i umierali. Kiedy tak stałem na pastwisku w Balandze, a potem grzebałem zmarłych, przez cały czas starałem się myśleć o żonie i dwóch córeczkach, o zdrowym umyśle, o domu i łóżku, o jej piersiach, ustach i ślicznych dłoniach, ale ona ciągle odpływała, a ja byłem taki odrętwiały, a może znieczulony, że właściwie się nie przejmowałem, czy dam radę przywołać ją z powrotem, zobaczyć, jak stoi naga w mrocznym

pokoju, a na ziemi obok mnie jakiś facet, o którym myślałem, że już nie żyje, walił konia – leżał na wznak i z milczącą zawziętością trzepał kapucyna. Żółtki rozdały nam egzemplarze klauzuli o zbrodniach wojennych z konwencji kapsztadzkiej. Potem nakarmiły nas ryżem i posłały na północ, tym razem pod strażą. Szliśmy do Oranii. Po drodze widzieliśmy mnóstwo trupów. Miejscowi cywile dawali nam jeść, a do picia mieliśmy brudną wodę ze strumieni i kałuż. Nie wolno było wyłamywać się z szyku, ale i tak to robiliśmy. Musieliśmy przecież pić. Warto było zaryzykować, bez dwóch zdań. Wielu ludzi zarobiło kulę albo pchnięcie bagnetem, kiedy pili. Jeden strażnik śpiewał piosenkę, idąc obok nas w upale. Uśmiechał się i śpiewał. Sierżant Ritchie, saper z jednostki ubezpieczającej szlaki komunikacyjne, wyrwał się z szyku i skoczył strażnikowi na plecy, wytrącając mu z ręki karabin

prosto do rowu. Potem Ritchie usiadł na nim okrakiem i chwycił go za gardło, jakby miał je rozszarpać. Chyba niekoniecznie chciał go zaraz zabić. Próbował tylko zajrzeć mu do środka, żeby sprawdzić, co tam jest. I wtedy nadbiegło truchtem dwóch żółtków, którzy szli za nami, i jeden strzelił Ritchiemu w plecy. W końcu dotarliśmy do Oranii, a tam śmierdziało jeszcze gorzej niż w Balandze. Ale jakieś półtora kilometra przed miastem zobaczyłem coś strasznie dziwnego, aż pomyślałem, że mi się przywidziało z głodu i z malarii. W kępie drzew na skraju pustego pola wisiała huśtawka, którą najwyraźniej ktoś sam sklecił, przywiązując deskę dwiema linami do konaru. Siedział na niej oficer żółtków i może z powodu oślepiającego słońca, a może tylko samego oddalenia wydał mi się stareńki, prawie sędziwy. Jednocześnie byłem pewien, że ma na sobie japoński mundur oficerski. Patrzył na nas

i wolniutko się kołysał to w przód, to w tył, przesuając się zaledwie o kilkanaście centymetrów, z drobnymi stópkami wysoko nad ziemią, patrzył na nas i coś tam sobie śpiewał. Nie od razu go usłyszałem, ale po chwili dotarło do mnie, że nad polem niesie się piosenka, powolna i chyba strasznie smutna. Czy to z nadmiaru wyobraźni, czy po prostu z nieznamomości języka wydało mi się, że to ta sama, którą śpiewał strażnik, zanim Ritchie wskoczył mu na plecy. A tamten wciąż huśtał się troszkę do przodu, troszkę do tyłu, śpiewając tę piękną, powolną piosenkę, a potem zrobił taki ruch, jakby nas błogosławił, kreśląc w powietrzu koło, więc dziwnie to wyglądało jak na błogosławieństwo. Jeżeli mi się to tylko przywidziało, to nie mnie jednemu, bo wszyscy, idąc drogą, patrzyliśmy w tamtą stronę. Ale nikt nic nie mówił. Tylko patrzyliśmy na starca i słuchaliśmy, jak śpiewa.

Kawałek dalej minęliśmy jeden z wiejskich ośrodków depacyfikacji, które zakładał drugi wydział techniczny i psychologowie wojskowi, dopóki wróg nie położył temu kresu. W Oranii spędziliśmy coś koło dnia. Później pomaszerowaliśmy do innego miasta, a tam nas upchnęli w magazynie. Musiały nas być tysiące. Gniatliśmy się w tłoku, przepychali łokciami i wariowali. Nie dawało się spać. Byłem gotów dać się zabić za płyn do płukania ust. Całe beczki zielonego, spienionego płynu do ust, dla wszystkich. Śmierdziało jak nigdy, bo siedzieliśmy w zamknięciu. Potem poszliśmy na dworzec, a tam już czekały pociągi. Jedni z nas dostali wtedy jedzenie, a innym nic nie dano. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie wsiądziemy do wagonów, bo w jakimś mętym, ale jeszcze czynnym zakątku umysłu zachowaliśmy Bóg wie jak wspaniałe wspomnienia z dzieciństwa

o podróżach takimi pociągami, jak Zefir z Bliźniaczych Miast, jeżeli ktoś się wychował na Środkowym Zachodzie, albo Wódz z San Francisco czy Popołudniowy Hiawatha; coś nam się mgliście kojarzyło, że dawno temu jeździliśmy przez prerię linią Union Pacific, a wszystko wydawało się ogromne, dzikie i tajemnicze, bo dla dziesięciolatka Ameryka była szeroka jak cały świat i dwakroć bardziej niezwykła. No więc wyczekiwaliśmy tej chwili, kiedy wreszcie wsiądziemy do pociągów, chociaż powinniśmy byli już nabrać rozumu. Wsadzili nas do wagonów towarowych i tak upchnęli, że do końca podróży nie dało się zmienić pozycji. Nie było okien, a drzwi pozamykali. Mieliśmy powtórkę z tamtej nocy w magazynie, tyle że na kołach. Kilka minut po tym, jak pociąg ruszył, ktoś zamuczał. I wtedy się zaczęło. Już po chwili wszyscy muczeliśmy i parskaliśmy jak owce, krowy, konie i świnie.

Psychologowie nie uprzedzili nas, że możliwa jest taka reakcja na otoczenie. Nikt się nie śmiał. Wcale się nie wygłupialiśmy. Nie był to żaden komiczny hołd, składany niezwyciężonemu człowieczeństwu. Ani protest przeciwko nieludzkiemu traktowaniu. Byliśmy bydlęciem i dobrze o tym wiedzieliśmy. Zamieniono nas w bydło, więc po prostu wbijaliśmy to sobie do głów, mucząc i becząc z całą powagą, z bezdennym, wszechogarniającym wstrętem do samych siebie. Byliśmy żywym inwentarzem. Jak mogliśmy temu zaprzeczyć? Czym niby mieliśmy być, jeżeli nie inwentarzem, skoro staliśmy w kałużach własnej chorobliwej sraczkii, zamknięci w bydlęcych wagonach? Nie pałaliśmy nienawiścią do żółtków. To nie oni wpakowali nas w tę sytuację. Sami się tak urządziliśmy, a jeżeli nie my, to nasi generałowie albo ojczyzna, której drodze było poświęcenie jej synów, bo dzięki ich

śmierci mogła układać slogany i sprzedawać obligacje wojenne i mydło, w końcu co za różnica. Wydawało nam się, że podróż trwa długie lata, jakby nas wieźli przez całą Azję. Kiedy wreszcie wysiedliśmy, zaprowadzili nas do obozu jenieckiego i potraktowali jednym z naszych własnych symulatorów trybu przyrostowego. Marsz dobiegł końca, a ja próbowałem wrócić do filigranowego białego piękna jej piersi i dwóch dziewczynek, tak uroczo wiotkich, że jak ich dotykałem, to o mało nie topniały mi palce. A niedługo spodziewałem się trzeciego dziecka. Ale powrót był niemożliwy. West End Avenue. Miałem wrażenie, że wszyscy, którzy mieszkają pod tym adresem, biorą lekcje muzyki. Ziemiańnin Harkavy w gwiazdzistej piżamie popijał jacka danielsa z lodem. A moja matka (jakże jej było na imię?) odkurzała nasz stary dom jak wdowa po faraonie, która w każdy czwartek rano przychodzi

posprzątać grobowiec. Alexandria. Nasze wesele na trawniku. Wszystko to tkwiło w ciemnym zakamarku mojego umysłu, a ja koniecznie musiałem w nim się zaszyć, bo właśnie w Balandze zmusili nas do zakopywania trupów. Właśnie w Balandze zmusili nas do zakopywania trupów. Właśnie w Balandze zmusili nas do zakopywania trupów, a ja zasypywałem ziemią zwłoki jakiegoś Filipińczyka, kiedy on nagle się poruszył. Biedny tubylec z zakrwawioną twarzą, młodziutki filipiński żołnierz. Zaczął wstawać z rowu. Dookoła niego leżały dziesiątki nieboszczyków, już pokrytych robactwem, tak zupełnie zrobaczywiałych, że wyglądało, jakby ruszała się sama ziemia, gleba, wszędzie gnijące trupy, aż wydawało się, że z rowu zaraz się przeleje. Kiedy tamten uniósł się na łokciu, rzuciłem łopatę i wychyliłem się daleko za krawędź rowu, a miliardy tych paskudnych

stworów roili się w ustach moich zmarłych kumpli i ich zmarłych kumpli, i kumpli ich kumpli, i tubylczych żołnierzy, tych małych śniadych twardzieli. Kiedy spróbował wyciągnąć do mnie rękę, mocno się wychyliłem nad rów i nagle poczułem ukłucie w żebra. A to strażnik dźgnął mnie bagnetem – lekko, od niechcienia, pobłażliwym, prawie arystokratycznym gestem, tak jak jakiś cholerny angielski oficer jedenastego pułku dragonów mógłby szturchnąć szpicrutą hinduskiego stajennego. Kiedy tamten spróbował wstać. Pokazałem na niego palcem, że niby próbuje wstać, a wtedy strażnik też mi coś pokazał. Wycelował bagnetem w łopatę, która leżała na ziemi, a potem w tego chłopca w rowie. Pomyślałem, że to dosyć subtelne niedomówienie. Chciał, żebym mimo wszystko zakopał tego biednego filipka.

– Po co przerywasz? – spytałem.

– Dalej już nic nie ma – odparł Glenn.

Po jego wyjściu znalazłem w miejscowej książce telefonicznej numer Owneya Pine'a. Powiedział, że gotów jest wszystkiego spróbować chociaż raz, więc umówiliśmy się na następny dzień.

Gdybym mógł zindeksować wszystkie ulotne wspomnienia, które unoszą się wokół mnie, tak natarczywie mi się oznajmiając, kiedy tu siedzę, otoczony przez rozpraszające uwagę atrakcje kolejnego introspektywnego wieczoru (modele statków, książki, resztkę brandy), nie dzieliłbym ich na dobre i złe, z dzieciństwa i z lat dorosłości, niewinne i winne, lecz na dwie obszerne i prosto zdefiniowane kategorie: skłonne do współpracy i odporne. Niektórym wspomnieniom tak jakby wystarczał status odrębnych jednostek; gładko

wślizgują się w odpowiednie przegródki i nie widać, żeby miały jakiś dalszy ciąg. Inne – te odporne – koniecznie chcą robić uniki, kamuflować się, stapiać z nieproszonymi obrazami. Kiedy rozkazuję, żeby na ulice Old Holly znowu spadł śnieg, a dłonie mojego ojca ujęły łopatę, nie jestem pewien, czy otrzymam żadaną chwilę. Jeżeli o sekundę się pospieszę, dostanę matkę w fotelu na biegunach; w razie spóźnienia wspomnienie się rozwidli i jedna odnoga zapłącze się w mrzonki: z tępym nożem w zębach poczołgam się z brzuchem przy ziemi przez dżunglę w stronę domu doktora Webera. Jesteśmy tym, co pamiętamy. Przeszłość tkwi tu, w tym czarnym zegarze, przebieglejsza niż noc czy mgła, decydując o tym, jak widzimy i czego dotykamy w tej oto niezastąpionej chwili.

– Od jak dawna jest pan praktykującym

lekarzem, doktorze?

– Niech no pomyślę. Chyba ze dwadzieścia cztery lata. Czy to się zgadza z pańskimi danymi?

– Nieważne – powiedziałem. – Gdzie pan odbył staż?

– Najpierw w Brooklyńskim Szpitalu Okulistyczno-Laryngologicznym. Potem w geriatrycznym w Pelham, w nowojorskiej kostnicy, w żydowskim dla ubogich i w położniczym Świętej Weroniki. Później przez chwilę w Neurolandzie w Pasadenie i w szpitalu chorób przewlekłych Roya Rogersa. Mogę zapalić?

– Ależ proszę, doktorze. A po ukończeniu stażu?

– Zacząłem prywatną praktykę w Westchester. Uwielbiano mnie tam. Każdy w mieście to potwierdzi. Uwielbiali mnie moi parafianie. Chciałem powiedzieć: pacjenci.

– Porozmawiajmy o chorobie, o której wszyscy dziś myślą.

– O wielkim R. Z rozkoszą.

– Zechce pan powiedzieć kamerze, jakie mogą być objawy.

– Trzeba zwracać uwagę na wszelkiego rodzaju guzy. I na nieregularne krwawienia z dowolnego otworu ciała. Na przebarwienia znamion i brodawek. Na uporczywy kaszel, bóle w kościach, niestrawność, utratę wagi. Na rozwolnienia. Na zatwardzenie. Na uczucie zmęczenia, wyczerpania. Na bóle przy oddawaniu moczu. Jeżeli pacjent kaszle krwią albo śluzem, powinien się mieć na baczności. Uwaga na owrzodziałe usta. I na bóle w dolnej części pleców. Należy być czujnym w razie opuchlizn. Jeżeli nagle przestanie ci smakować mięso, to masz duży problem. Uwaga na krwawy stolec,

zatrzymanie moczu, guzy w gardle, krew w plwocinach, wycieki z sutek, guzy pod pachą. Należy być czujnym w razie zauważenia torbieli łojowych, pleśniawek jamy ustnej, polipów, powiększania się znamion. Wszyscy go mamy przynajmniej w załączku. A jakże. Komórki rozrastają się i wymykają spod kontroli. Bandyckie komórki. A jakże. Masuj prostatę. Wstaw mocz tego biedaka do wysokoobrotowej wirówki. Bombarduj ofiarę falami akustycznymi: osiemset tysięcy cykli na sekundę. Dźwięk zabija bandyckie komórki, a ofiarę doprowadza do szaleństwa. A jakże, a jakże. Ale dzięki łasce Eskulapa, boga medycyny, wykończymy wielkiego R, żeby dzieci i inne rosnące stworzenia były w Ameryce bezpieczne. Naświetlanie albo chirurgia, lub jedno i drugie. Ciąć i wypalać, ciąć i wypalać. Rzuć no mi tę paczkę papierosów.

– Czy któryś pacjent nienawidził pana do szpiku

kości?

– Pan chyba żartuje. Pacjenci mnie uwielbiali. Kiedy w wiosenny ranek ruszałem w obchód, na ulicy kiwałem im głową, a oni odpowiadali mi takim samym powitaniem. Nieraz kiwali pierwsi.

– Szyjka macicy, doktorze.

– *Cervix*. Zeskrobać z powierzchni pochwy próbkę płynu. Albo wyssać rurką. Zrobić wymaz, jeden z moich ulubionych testów. Wysuszyć płyn na szkiełku. Zabarwić. Przekazać patologowi do zbadania. Odmówić modlitwę lekarza. Daj mi siłę, wolny czas i zapał, żebym wzbogacał swą wiedzę. Wielkie jest nasze dzieło, a umysł ludzki nieustannie prze naprzód. Powołałeś mnie w łaskawości swojej, abym miał pieczę nad życiem i śmiercią stworzeń Twych. Oto przystępuję do pełnienia obowiązków. Prowadź mnie w ogromnym tym dziele ku pożytkowi

ludzkości, albowiem bez pomocy Twojej nie powiedzie się nawet najskromniejsze przedsięwzięcie. Lubię ten kawałek o wolnym czasie.

– Badanie wewnętrzne, doktorze.

– Macać i przepatrywać. Szukać i znajdować. Wziernikować. Wionie stamtąd wspaniała woń ziemi i morza. Przyływy i odpływy. Drzewo sandałowe i przyprawy. Pora żniw we Flandrii. Lubię troszkę się tam poguzdrać, chwilę zamarudzić. To je rozluźnia.

– Śmierć, doktorze.

– Nigdy nie mów „umarł w butach”, to moja dewiza. Wpompuj do układu krążenia nitroglicerynę. Wsadź zwłoki w plastikowy worek i do lodówki. Umieść je w komorze próżniowej z płynnym azotem. Schłodź do minus stu dziewięćdziesięciu pięciu. Kiedy już wreszcie

wy-myślmy, jak tych skurwysynów rozmrozić, zaczną nam masowo zmartwychwstawać od morza do morza.

– Czas minął – powiedziałem.

– Należy się sto pięćdziesiąt dolarów.

Każdy opis głównej ulicy w Fort Curtis można zamknąć w tym jednym zdaniu. Wszystko ponadto jest zbędne. Te same pięć słów wskazuje opisywany obiekt, a zarazem go opisuje: główna ulica w Fort Curtis.

Właśnie po niej przechadzałem się ja i moi wędrowni aktorzy, Austin Wakely i Carol Deming, a w każdym z nas krzyżowały się prądy miłości, jakie przebiegają między współnikami tajemnych czynów, twórcami, interpretatorami, rzemieślnikami, kartografami, tkaczami prędkości światła. Mijali nas przechodnie, dalecy,

nieświadomi naszego poświęcenia, dość liczni w ów ciepły wieczór, w drodze do kina i po sezonowe zakupy: farbę, siatki do okien, lekkie obuwie. Wietrzyk pachniał handlem, wyrobami ze skóry i spalinami, skądinąd nader przyjemnie, greckimi figami z dzieciństwa. Na wskroś amerykańska ulica była pomnikiem zbiorowej nostalgii, a my czytaliśmy na głos szyldy sklepowe i przyglądaliśmy się lśniącym fotosom w gablotach u wejścia do kina. Nikt nie wiedział, kim jesteśmy, i my też wzajemnie się nie znaliśmy.

Ściany mojego pokoju zafascynowały ich oboje. Rozwiesiłem prześcieradło, żeby zasłonić słowa w miejscu, gdzie mieli usiąść. Po niedługim czasie byliśmy gotowi. Austin w samych bokserkach siedział na krześle z prześcieradłem w tle. Carol miała na sobie czarną bieliznę typu bikini. Siedziała obok Austina na identycznym krześle z prostym oparciem. Ten fragment miał być bardzo

misterny, bo już nie tylko fałszowałem przeszłość, lekko zmieniając jej koloryt, ale wręcz mieszałem różne przeszłości, kręcąc film przynajmniej częściowo autotematyczny. Strasznie to było misterne. Ale aktorzy o nic nie pytali. Bielizna jest komiczna, a jedynie umysł niedemokratyczny bierze komizm w krzyżowy ogień pytań.

Chłopak Porozmawiajmy o najbliższej przyszłości.

Dziewczyna Zaczynaj.

Chłopak Uważam, że powinniśmy się pobrać. Możemy razem pojechać do Kalifornii na ostatni rok moich studiów. Będzie bardzo fajnie. Tam można uprawiać różne sporty wodne.

Dziewczyna Chciałabym nauczyć się jeździć na nartach wodnych. Ale małżeństwo to taki poważny krok.

Chłopak Kochasz mnie?

Dziewczyna Nie wiem. Tak mi się zdaje. Chyba tak.

Chłopak Będę tam miał swój samochód. Możemy jeździć na pustynię. Spróbuję ci załatwić rolę w swoim filmie. Nakręcę film. Będziemy mogli tam robić właściwie wszystko, co zechcemy. Rozebrać się do naga i wyluzować. Jak się pomyśli, ilu ludzi na świecie swobodnie się ubiera, a kiedy chcą się rozebrać, nie muszą o tym godzinami dyskutować, to aż człowieka zatyka ze zdziwienia.

Dziewczyna To mój ulubiony komplet bielizny.

Chłopak Mój też.

Dziewczyna Jak duża jest tam swoboda? Z iloma dziewczynami figlowałeś?

Chłopak W tych sprawach nie prowadzi się buchalterii.

Dziewczyna Bardzo angielska i zabawna

odpowieź.

Chłopak Liczy się doświadczenie.

Dziewczyna Doświadczenie to coś, co chciałabym mieć, nie fatygując się jego zdobywaniem.

Chłopak Nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli się pobrać. Bardzo się sobie podobamy. Szanujemy nawzajem swój sposób ubierania. Jest wiele rzeczy, które oboje lubimy robić. I wszyscy twierdzą, że ładna z nas para.

Dziewczyna Nie trzeba wziąć pod uwagę jeszcze paru innych rzeczy?

Chłopak W tych sprawach nie prowadzi się buchalterii.

Dziewczyna To bardzo zabawne powiedzonko.

Chłopak Jedno ci mogę obiecać. Jeżeli się pobierzemy, załatwię ci rolę w swoim filmie. Formalnie rzecz biorąc, powinniśmy obsadzać

studentów, ale w tym wypadku na pewno zrobią wyjątek. To będzie film dźwiękowy.

Dziewczyna A będę mogła grać w tym, co mam teraz na sobie?

Chłopak Będiesz mogła grać, w czym tylko zechcesz. I mówić, co ci się spodoba.

Dziewczyna Będzie obłędnie. Będzie super. Głowa mała.

Kiedy Austin się ubrał, poprosiłem, żeby wyszedł, a on powiedział, że zaczeka w samochodzie. Carol włożyła moją koszulę i po cichu przeczytała kolejną scenę. Bawiąc się magnetofonem, starałem się nie zerkać na nią ukradkiem. Zależało mi na utrzymaniu ściśle profesjonalnych stosunków, więc chciałem rzucić jakąś zdawkową, czysto techniczną uwagę na temat dźwięku czy oświetlenia, ale nie nasunęło mi się nic szczególnie naukowego. I wtedy zjawił się

Brand, o dziwo punktualnie. Carol poszła do łazienki, a on rozebrał się do samych majtek, czyli długich białych galotów w deseń zielonych budzików. Carol wróciła w szlafroku do pół uda i nie patrząc na nas, podeszła do łóżka. Brand i ja wymieniliśmy starannie spreparowane spojrzenia, które miały świadczyć o co najwyżej lekkim zainteresowaniu miękkim, a zarazem władczym kołysaniem jej piersi. Carol z dłońmi na biodrach stanęła na łóżku, lecz zanim osunęła się na poduszkę i usiadła na niej omotana własnymi kończynami, rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy z planu zeszli wszyscy prócz najniezbędniejszego personelu. Całe to wejście i zajęcie miejsca wykonała z bezgranicznie poważnym humorem: częściowo tkwiła już w roli i domagała się posłuszeństwa od drugiej części, która być może zdążyła trochę znieawidzić kamerę. Brand usiadł na drugiej poduszce.

Kazałem mu zdjąć okulary. Potem omówiliśmy to, co miało za chwilę nastąpić. Brand wprawdzie mnie zapewnił, że nauczył się na pamięć swoich kwestii, ale uparłem się, że scena ma być improwizowana, bo, po pierwsze, mu nie ufałem, a po drugie, to, co napisałem, tymczasem przestało mi się podobać. Powiedziałem aktorom, żeby zachowali ducha sceny, nie zwracając sobie głowy szczegółami. Carol wpatrywała się w atramentowe psy na ręce Branda, te kopulujące kundle. Brand zamrugał oczami i sięgnął po okulary, ale odsunąłem je poza zasięg jego ręki. Ustawiłem kamerę na statywie w nogach łóżka.

Mężczyzna Świecił czerwony księżyc.

Kobieta Schenectady słynie z pięknych księżyców.

Mężczyzna Już zaczynasz. Lepiej, żebyś nie wiedziała. Nie powinienem ci nic mówić, ale

zawsze umiesz mnie pociągnąć za język.

Kobieta Mówisz mi tylko, gdzie to było.

Mężczyzna Wystarczy. To i tak za wiele. Chwilami zastanawiam się, coś ty w ogóle za jedna. Zawsze pytasz. Nie lepiej, żebyś nie wiedziała? Jesteś zanadto ciekawska. Nie powinnaś być aż taka ciekawska.

Kobieta Przecież jesteś moim ukochanym. Chcę wiedzieć, co robisz, kiedy wyjeżdżasz służbowo.

Mężczyzna To niestosowna ciekawość. Jest w niej coś chorego. Chwilami zastanawiam się, coś ty za jedna.

Kobieta Najbardziej fascynującą cechą takich ludzi jak ty jest ten płomienny zmysł moralny. To wasze święte przekonanie, że wszystko ma swoje miejsce i porządek musi być. Bo przecież w sumie właśnie tym jest moralność dla moralisty. Pozwala strzelać tak, żeby zabić, ale nie na terenie szpitala,

bo a nuż pobudzi się pacjentów.

Mężczyzna O czym ty mówisz? O czym ona mówi?

Kobieta O twojej bieliźnie. Kupiłeś te majtki w Schenectady? Przed czy po wykonaniu zlecenia? Widzę je pierwszy raz. Są cudowne. Tak bardzo przekraczają wszelkie granice karykaturalności, że zahaczają o jakąś osobistą metafizykę. Wszystkie budziki wskazują za kwadrans dziesiątą. Rano czy wieczorem, jak myślisz? Nie wiem dlaczego wydaje mi się to strasznie ważne. Musisz mi podać nazwę sklepu, to zadzwonię i spytam. A tymczasem szczerze mi powiedz, czy miałeś te majtki na sobie, kiedy wykonywałeś zlecenie.

Mężczyzna Wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy.

Kobieta Przecież już nawet nie pamiętasz, co to było. A teraz odpowiedz mi. Czy miałeś na sobie

te majtki, kiedy wypełniałeś warunki ujęte w klauzulach wypisanych drobnym drukiem?

Mężczyzna Niech ci będzie. Miałem je na sobie.

Kobieta A teraz dokładnie mi powiedz, o której go zabiłeś.

Mężczyzna Przecież wiesz, że nigdy o tym nie opowiadam. Już i tak źle robię, że ci mówię, gdzie byłem. Ze szczegółów biorą się kłopoty. W mojej branży człowiek się tego uczy. Ze szczegółów biorą się kłopoty.

Kobieta Powiedz, która była godzina. Co to komu szkodzi?

Mężczyzna Było dziesięć po pierwszej.

Kobieta Powtórz.

Mężczyzna Było jakieś dziesięć po pierwszej w nocy.

Kobieta Tak właśnie myślałam. Wiedziałam.

Mężczyzna Skąd wiedziałaś?

Kobieta Masz to wypisane na twarzy. Na całym sobie, dosłownie. Te budziki na majtkach to niezbity dowód, gwóźdź do trumny.

Mężczyzna Wskazują za kwadrans dziesiątą.

Kobieta No właśnie. O to mi chodzi. Musisz je czym prędzej spalić. Możemy pojechać do Nell i cisnąć je w ogień.

Mężczyzna Słuchaj, skoro koniecznie chcesz wiedzieć, jak to zrobiłem, powiem ci.

Kobieta Nie jestem ciekawa.

Mężczyzna Ludzie wychodzili po ostatnim seansie. Kasa była zamknięta. Pod markizą ciemno. Wyszło tylko jakieś dziesięć osób. Wsiadłem z auta i podszedłem do niego. Wyciągnąłem rękę, jakbym chciał przybić mu piątkę. Jak ktoś tak wyciąga rękę, ten drugi odruchowo podaje mu swoją. Wiedziałem, kim

jest, ale on nie miał pojęcia, co ze mnie za jeden. W życiu na oczy mnie nie widział. Ale i tak podał mi grabę. To naturalny odruch. Każdy by tak zrobił. Staliśmy, ściskając sobie ręce, a ja uśmiechałem się od ucha do ucha i mówiłem tamtemu po imieniu. Chciał już zabrać rękę, ale mocno ją trzymałem. A potem swoją lewą sięgnąłem do kieszeni kurtki, wciąż trzymając go za prawą, wyjąłem trzydziestkęósemkę i strzeliłem mu trzy razy prosto w górną kieszeń koszuli. Gdzieś właśnie szedł jakiś film wojenny.

Kobieta Jak to zabrzmiało?

Mężczyzna A co za różnica?

Kobieta Skończył z hukiem? Czy ze skowytem? Z trzaskiem, pogłosem, łoskotem, brzękiem?

Mężczyzna To brzmiało jak dwudziestomilimetrowe działko. Jakby ktoś przejechał miotaczem granatów po lotnisku.

Znowu ten slang. Znowu jest.

Kobieta Jak się potem czułeś?

Mężczyzna A ty jak byś się czuła? Przecież to był teren szpitala.

Kobieta Złamałeś kardynałną zasadę.

Mężczyzna Złamałem kardynałowi kark. Jechał na rowerze, ten buddyjski kardynał, a ja go podwójnie odszkodowałem.

Kobieta Jakie miał poglądy polityczne, kochanie?

Mężczyzna Trochę na lewo od Boga.

Kobieta Czyli był republikaninem w stylu Tafta.

Mężczyzna Którego Tafta?

Kobieta A którego Boga?

Mężczyzna Tego, co stworzył zielone budziczki.

Kobieta I białych chłopczyków, żeby je nosili.

Mężczyzna Trochę szacunku dla męża.

Kobieta Nie jesteś moim mężem. Mój mąż jest czarny. Czarniuteńki. Czarny jak smoła.

Samochód Austina odskoczył od krawężnika z histerycznym piskiem gum. Wiedziałem, że nieprędko uda mi się zasnąć, więc odprowadziłem Branda na Howley Road. Część drogi przebiegliśmy truchtem jak bokserzy wyrabiający kilometrą. W tanecznym biegu markowaliśmy lewe i prawe proste, co pewien czas obracaliśmy się o trzysta sześćdziesiąt stopni, nie zmieniając tempa, i pochrząkiwaliśmy na ciemnej ulicy. Potem zwolniliśmy i odtąd już tylko szliśmy.

– Dziwne, że postanowiliście zostać – powiedziałem. – Myślałem, że wam się tu znudzi. Nie przypuszczałem, że to, co robię, zajmie mi tyle czasu.

– Nikt nic nie postanawiał – odparł Brand. –

W ogóle tego nie omawialiśmy. O ile wiem, nie było żadnych dyskusji ani postanowień. Zostaliśmy, i już.

– A nie macie dosyć tego miasta?

– Nie wiem, nie zastanawiałem się. A zresztą dokąd byśmy pojechali bez ciebie? Przecież ty dowodzisz.

– To chyba już nieaktualne. Po prostu nie spodziewałem się, że to kręcenie zajmie mnie na tak długo.

– Nikt nie proponował, żeby jechać dalej – powiedział Brand.

– A co z twoją książką?

– Nie ma żadnej książki, Davy. Jest jedenaście stron, z czego siedem pustych. A o pozostałych czterech też nie mam wygórowanego mniemania.

– Myślałem, że odkąd wyniosłeś się do Maine, przez cały czas piszesz. Jak długo tam siedziałeś?

– Prawie rok – odparł Brand.

– I co przez ten czas robiłeś?

– Nie wiem. Właściwie niewiele z tego pamiętam. Przeważnie byłem chyba ujarany. Pewnie przepalił mi się jakiś bezpiecznik. Moją głowę trafił szlag. Trudno to inaczej nazwać. Coś w niej się przepaliło i odleciała. Umarła.

– Cały rok siedziałeś w garażu. I nic nie robiłeś.

– Właśnie że robiłem. Zabijałem własną głowę.

– Dobra – powiedziałem. – Pike szczeka przez sen. Wszystko mu jedno, gdzie jest, byle miał flaszkę pod ręką. Ty nie piszesz powieści i nie spieszy ci się wracać do Maine ani donikąd. A Sully?

– Niech ci sama powie. Mówiłem już, że u nas w rodzinie o niczym się nie dyskutuje. Jesteśmy bardzo małomówni.

– Na jak długo starczy ci pieniędzy?

– Od jakichś dziesięciu dni dama płaci rachunki.

– Nie wiedziałem – odparłem. – Chętnie bym ci pożyczył, ale sam nie najlepiej stoję z kasą. Chyba mnie tymczasem wylali z roboty.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem. Na twoim miejscu pogadałbym z damą.

Znowu przebiegliśmy kawałek, chciwie wdychając chłodne powietrze, chłonąc je i wyparskując, boksując się z wiatrem. A potem wszyscy czworo siedzieliśmy wokół stołu w przyczepie, cicho szurając nogami i postukując łokciami w blat.

– Właśnie się nad tym zastanawiałam – powiedziała Sullivan. – Mgliście pamiętałam, że jakoś w zeszłym tygodniu miałeś być na Południowym Zachodzie, ale nie byłam pewna. Nic nie mówiłeś.

– Byłem zajęty.

– Miałeś dobrą pracę, David.

– Zarabiałem dwadzieścia cztery i pół. Słuchaj, będziesz mi jeszcze raz potrzebna do tego mojego projektu.

– Zawsze mnie tu znajdziesz – obiecała Sullivan.

– Zabrał mi okulary i położył mnie do łóżka – rzekł Brand. – Nie było aż tak fajnie, jak się spodziewałem. Ta Carol, jak jej tam, Deming. Pod koniec zaczęła trochę dziwaczyć. Po co my to wszystko w ogóle robimy?

– Idź, pobaw się swoją lalą – powiedziałem.

Austin ubrał się tak jak do pierwszej sekwencji. Ja miałem na sobie nylonowy oliwkowy golf i spodnie w szerokie pasy, z ciętymi kieszeniami.

– Czyli nie zmyśliłeś tej kulawej dziewczyny z Florencji – powiedział Austin.

– Nie zmyśliłem. Ona trochę przytępiła wrażenie ze spotkania z moją byłą żoną. Od pewnego czasu dawaliśmy sobie nawzajem do zrozumienia, że właściwie można by zejść się z powrotem. Ale ta kulawa dziewczyna jakoś dziwnie poprzestawiała mi w głowie. Trudno to wytłumaczyć. Rodzice mojej żony mieszkali wtedy w Niemczech. Ta kulawa była Niemką. A pod wieczór moja eksmałżonka zaczęła kuleć. Żaden z tych szczegółów nie miał najmniejszego znaczenia. Ale w sumie trochę mnie zbiły z tropu. Próbowałem złożyć wszystko do kupy. Ale nie dawało się całkiem poskładać. To wystarczyło, żeby zrobił się mętlik. Na domiar złego ta kulawa dziewczyna była brzydka.

– Niektóre rzeczy mi mówisz, a innych nie. Na przykład nie wiem, dlaczego znów mam na sobie ten mundur.

– A czy Fred Zinnemann tłumaczył się Burtowi Lancasterowi?

– W McComplex przywykłem wykonywać polecenia – odparł Austin. – Ale ty mógłbyś być trochę mniej oszczędny w słowach.

– Pod mur, skurwysynu.

Była to jego ostatnia scena. Stał na tle słów wypisanych czarnymi literami, a ja wycelowałem w niego obiektyw. Potem zacząłem opowiadać, improwizując na poczekaniu.

– Jest rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewięć. Oglądasz dawną kronikę filmową. Jakiś mężczyzna stoi w pokoju gdzieś w Ameryce. To ty, David, tak mniej więcej. Co macie sobie do powiedzenia? Jak możecie opróżnić dziesięciolecie, które minęły od tamtej pory? Możesz przytknąć dłoń do ekranu i odjąć ją z przyklejonym ułamkiem sekundy światła, dajmy

na to, taksówką skręcającą za róg Czterdziestej Dziewiątej i Madison Avenue, na swoim własnym kciuku. Możesz powiedzieć coś do ekranu i niewykluczone, że ci odpowie. Ledwo pamiętasz człowieka, na którego patrzysz. Spytaj go, o co chcesz. On zna odpowiedź na każde pytanie. I dlatego milczy. Odbył podróż w czasie, żeby ci odpowiedzieć. Stoi nieruchomo, ale się przemieszcza. Jego milczenie jest brzemienne odpowiedziami. Masz dwadzieścia sekund na zadanie pytań. – (Celując obiektywem w Austina Wakely’ego, który z miną bez wyrazu tkwił pod ścianą, po cichu odliczyłem sekundy, od pierwszej do dwudziestej). – Oto dotarliśmy do kresu nagranej ciszy.

Austin i ja podzieliliśmy się butelką ciepłej coca-coli.

– Słuchaj – powiedziałem. – Możesz coś dla

mnie zrobić?

– Mianowicie?

– Sprowadź mi Drotty'ego. Potrzebuję go na godzinę.

– Czemu go zabito?

– Popęłnił biurokratyczny błąd. Sfuszerował jakiś drobny szczegół. Ze szczegółów biorą się kłopoty. Często tak mówił.

– W jaki sposób zginął?

– A jak ginie większość ludzi interesu? Padają na dywan, bo nawala im serce. Dostał zawału z subtelnymi wariacjami. Nikt nie powie, że jego śmierć była bezsensowna.

– Co teraz zrobisz?

– Pojadę do Topeki w Kansas.

– Dlaczego właśnie tam?

– Zawsze chciałam posiedzieć w samoobsługowej pralni w Topece w Kansas. To chyba ma coś wspólnego ze wspomnieniami sprzed narodzin.

– Masz zamiar skontaktować się z rodziną?

– Wolę, żeby uraza pozostała. W tej chwili jakikolwiek kontakt tylko by wszystkich wprowadził w błąd.

– Jesteś pewna, że wciąż mają ci za złe?

– Wszyscy prócz brata. On nigdy nie miał mi za złe.

– A z nim się skontaktujesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Boję się zobaczyć, co się z niego przez ten czas zrobiło.

– Kamera jest wdzięczna, że zgodziłaś się przed

nią wystąpić w tak trudnych okolicznościach.

Staralem się dotąd unikać jakichkolwiek wielkich rewelacji na temat zawodowców z obsady. Do Carol i do Austina miałem stosunek złożony. Nie jestem pewien, kiedy zdałem sobie sprawę, że mogą mi się bardzo przydać, ale wiem, że ta myśl wzięła się w ten czy inny sposób z pierwszych wrażeń. W przypadku Austina najważniejszy był wygląd i wiek. To, że jest aktorem, nie miało znaczenia. Carol – zanadto ekspresyjna, a zarazem irytująco wycofana – niezależnie od swojego aktorstwa wydawała się obdarzona talentem do cieniowania każdej chwili, poruszania się w umysłowym krajobrazie widza jak drażniący deseń ze słońca i chmur. Ten jej trudny talent opierał się wszelkiej analizie i wpędzał obserwatora w poczucie bezradności, dopóki nie zaprezentował się przed kamerą. Był to

małoduszny, wręcz neurotyczny dar ukrywania (albo udawania, że się ukrywa) rzeczy niewartych tego, żeby je ukrywać, lub pozorowanego ujawniania, bądź też robienia aluzji czy chytrego spuszczenia rzęs, jednym słowem utrapienie, a przy tym doskonałość.

Jeżeli tych dwoje (a zwłaszcza dziewczyna) sprawiało dotychczas wrażenie dalekich, a nawet nieodgadnionych, to trzeba wam wiedzieć, że wcale nie chciałem zbyt dokładnie ich zrozumieć. Istnieli dla mnie w sposób złożony: jako żywi ludzie, nacechowani zarazem (a może powiększeni) przez moją przeszłość, fantazje, potrzebę przejrzenia się w kimś, zaszczyty, hańby i przez tych, których kochałem lub nie zdołałem pokochać. Gdybym zbyt dokładnie ich poznał, zagmatwałoby to i samą sprawę, i jej sobowtóra, a także narzeczoną sprawy oraz jej siostrę. Próbowałem więc uchwycić ich takich, jakich

wtedy znałem albo nie zdołałem poznać.

Z perspektywy mogę chyba w skrócie powiedzieć, że Carol była po prostu zagubioną dziewczyną, która starała się zrobić jak najlepszy użytek z własnej niewidzialności. Nawet jej jasne włosy miały wątpliwy odcień. Warto zaznaczyć, że odkąd po raz pierwszy stanęła przed moją kamerą, przestały mnie interesować jej inne role, te wszystkie płynne dwuznaczności, które wydawały się najpierw tak nęcące, a potem niepokojące, kiedy tamtego wieczoru zalała mnie potokiem słów, aż osunąłem się pod stół w Barze z Rusztem należącym do Bustera. Kamera przeżuła tamte rólki, aby zaraz je wypluć. Carol była najlepsza z całej obsady, bo najkonsekwentniej niewidzialna.

W przypadku Austina Wakely'ego łatwo mi było ograniczyć własną ciekawość do minimum. Nie

interesował mnie wcale – ani zanim został jednym z moich aktorów, ani potem. Miał kształtny, mocny podbródek i lśniące zęby. Nawet gdyby od urodzenia nosił na plecach czerwono-biało-niebieskie znamię w kształcie flagi, i tak sfilmowałbym tylko jego twarz.

Carol siedziała w fotelu i z zamkniętymi oczami przedzierała się z jednej rozrzedzonej atmosfery w drugą. Przed chwilą nakręciliśmy zdecydowanie najłatwiejszą z jej dotychczasowych scen, a mimo to wyglądała na bardzo zmęczoną. Podeszedłem do okna. Jakiś mężczyzna wrzucił monetę do parkometru i skręcił za róg. Dopiero zbliżało się południe, ale na ulicy panował już spory tłok. W sklepie z butami była wyprzedaż. Na światłach stał samochód, mieląc silnikiem.

– Właśnie sobie uświadomiłem, jak mało czarnych twarzy widziałem od przyjazdu.

– Tu nawet Biblie są białe – rzekła Carol.

– W takim mieście na pewno nie mają nawet pojęcia, co się dzieje w reszcie tego cholernego kraju.

– Oglądają to w telewizji jak Księżyc przez teleskop.

– Wszystko niby się dzieje, a w sumie i tak nuda – stwierdziłem.

Carol wciąż miała zamknięte oczy. O mało do niej nie podszedłem. Przypomniała mi się ławka w parku i triumf ego, kiedy nasze ciała ledwie się stykały. Długo tak siedzieliśmy – jedno w fotelu, drugie na parapecie. Nic dobrego, choćby tylko przelotnie, przez jedną powolną sekundę, nie mogło między nami się zdarzyć. Nie wiedziałem, skąd mam tę pewność. Może po prostu Carol była zanadto pogrążona w sobie. Chwilami lubiłem sobie wyobrażać, że sam też taki jestem, więc

może czułem, że nie da się nic jej ukraść w zamian za to, czego trzeba by się wyrzec, żeby dotrzeć do tej jej skrytej świadomości. W dodatku nie wiedziałem, co o mnie sądzi, nie umiałem zatem przewidzieć, jaką byśmy wspólnie utworzyli formę. I jeszcze to, że miała zamknięte oczy.

– Chyba jesteś zmęczona – powiedziałem.

– To przez tę pogodę, tak pełną życia i słodkich zapachów. Przez takie dni ledwo daje się przebrnąć. Lubię przedstawiać sobie własne istnienie jako wykres na wymaginowanej karcie gorączki. W Nowym Jorku przy dużej wilgotności temperatura mi się podnosiła, a kiedyś w Montanie przy minus trzydziestu o mało nie wyskoczyła poza kartę, aż myślałam, że umrę od nadmiaru życia. Chociaż to chyba głównie autosugestia. Umieć sobie wmówić prawie wszystko. Po śmierci wmówię sobie, że wnikam w kolejne łono,

i zacznę jeszcze raz od początku. Tak to się robi w Tybecie. Ludzie, którzy nie dostaliby się nawet do Princeton, zagnieżdżają się w świeżych łonach z obłądną łatwością.

– Wchodząc przez łońskie wrota.

– No właśnie – przytaknęła Carol. – A łono może być dobre albo złe.

– Nie wiedziałem.

– Zdecydowanie.

– Jesteś głodna? – spytałem. – Bo ja tak. Zjedzmy coś.

– Mam dzisiaj próby.

– Musisz już iść?

– Niestety, David.

– Niewiele mieliśmy okazji do pogadania od tamtego wieczoru z letnim domkiem.

– Ludzie coraz mniej mają do kogo mówić,

kiedy mówią do mnie. Oby zanik istnienia nie był zaraźliwy.

– Raczej pandemiczny. Mogłabyś otworzyć oczy.

– A jest na co patrzeć?

– Może i nie.

– Nawet Biblie są białe – powiedziała Carol. – O zachodzie słońca chadzaliśmy na molo przy Gansevoort Street. W owe parne wieczory w tej jałowej dzielnicy Nowego Jorku żyłam, prawie przekraczając granice życia. A Roy powiedział mi kiedyś, że nareszcie wie, po co New Jersey leży właśnie tam, zamiast sąsiadować z Alabamą, chociaż obok niej byłoby pewnie bardziej na miejscu: po to, żeby mogło nad nim zachodzić słońce.

Drotty przyszedł ubrany w czarny jedwab

i jasnozielony sztruks. Był jak sztylet, szczerbaty błysk złego humoru w samym kącie. Ale papierosa palił niemal z czułością, a każdy ruch jego dłoni odznaczał się miękką i wysoce przemyślaną orkiestracją. Nie sądziłem, że jest taki młody. Właściwie nie wierzyłem, że w ogóle przyjdzie. Sprawiał jednak wrażenie gotowego do współpracy przy czymś, co zapewne uważał za nieporównanie nonszalancką, jeżeli nie wręcz barbarzyńską formę teatru. Scenariusz nie był opracowany, pokoju hotelowego nie wytłumiono, reżyser mało się odzywał, magnetofon wyglądał jak przekleństwo socjologa, a film czekała nieuchronna porażka. Lecz Drotty nie napomknął o żadnej z tych rzeczy, tylko palił papierosa, bezszelestnie chodząc po pokoju w czarnych hiszpańskich butach z cholewką, a każdy krok miał w sobie coś z wiedźmiego okrucieństwa. Jego twarz, a raczej twarzyczka, usilnie starała się

niczego nie wyrażać.

– Austin i Carol pewnie wspomnieli, że od początku biorą udział w tym projekcie.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby moi ludzie dorabiali sobie na boku, póki nie koliduje to z ich pracą w teatrze.

– Mam nadzieję, że jej nie zakłóciło.

– Nie – odparł Drotty. – Chyba intryguje ich to, co pan robi. Może powinienem być zazdrosny.

– O wiele bardziej intryguje ich chyba pańska praca. Ciągłe o panu mówią.

– Zaczynają się nudzić. Teatr regionalny każdego prędzej czy później nudzi. Widzowie przychodzą wyłącznie z poczucia obowiązku. Próbujemy ich szokować, ale już od lat są w szoku. Wie pan co? Za pięć lat cały amerykański teatr, z resztkami Broadwayu włącznie, będzie na poły religijną instytucją dotowaną przez państwo.

Trochę jak Park Narodowy Yellowstone. Wszędzie zawisną tabliczki NIE ŚMIECIĆ.

– Fajne buty – wtrąciłem.

– Dała mi je profesorka romanistyki, autorka siedmiu nigdy niewystawionych sztuk. Jedyne egzemplarz ostatniej spalił w moim kominku Afroamerykanin, który twierdził, że nazywa się Abdul Murad Bej. Bałem się jej o tym powiedzieć, ale kiedy w końcu nadeszła chwila prawdy, chyba odetchnęła z ulgą, a już po kilku tygodniach podarowała mi te buty. Niedawno słyszałem, jakoby Abdul Murad Bej przyczynił się do spalenia Filadelfii, co samo w sobie było czymś w rodzaju niewystawionej sztuki.

Drotty zakończył tę anegdotę, napinając mięśnie twarzy i pozbawiając ją resztek wyrazu. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, więc tylko wypuściłem nosem powietrze, starając się, żeby

zabrzmiało to radośnie. Uświadomiłem sobie, że żaden z nas jeszcze się nie zwrócił do rozmówcy po imieniu ani po nazwisku. To niedopatrzenie wisiało nad pierwszym i ostatnim słowem każdego wypowiedzanego zdania. I oczywiście wcale nie było takim sobie zwykłym niedopatrzeniem.

Omówiliśmy jego kwestię. Położył papierosa w popielniczce, wolno podszedł do fotela i usiadł. Musiałem za niego zgasić niedopałek. Potem mogliśmy już zacząć.

– Film musi pozostawić emocjonalny osad. Aspekt retencyjny to jedyne prawdziwe kryterium. Co wynoszę z filmu i co z tego na dłużej zachowuję? Mam nadzieję, że nie tylko bieliznę. Na tym etapie powinieneś chyba poszerzyć swoje horyzonty estetyczne. Moim zadaniem jest pomóc tym studentom, którzy serio podchodzą do zagadnienia, wypracować sobie coś w rodzaju

kinowego stylu życia. Przyznaję, że twój film jakoś marginalnie mnie zainteresował. Spodobał się tkwiącemu we mnie dziecku. Tak, lubię głupotę. Lubię głupie pomysły. Sporo wspaniałych filmów to w sumie głupkowate historyjki, a bohater filmowy prawie zawsze jest głąbem. Na przykład Brando zagrał całą galerię głąbów. Podobnie Belmondo, O'Toole, Toshiro Mifune. Wszystko zależy od poziomu. Prostactwo Premingera ma poziom pomagisterski, podczas gdy twoje dopiero przygotowuje się do matury. Ponieważ więcej się nie spotkamy, całkowita szczerłość byłaby chyba na miejscu. Bardzo cię nie lubię. Nigdy cię nie lubiłem. Okazujesz mi niewiele szacunku, właściwie tyle co nic. Wielokrotnie próbowałeś w obecności studentek podkopać moją pozycję jako nauczyciela i człowieka. Bardzo chciałbyś dowiedzieć się czegoś o stosunkach łączących mnie z pewną młodą damą, którą obaj znamy.

Pragniesz złych nowin, klęski, kary. Klęska w filmie zawsze chwalebnie wygląda. Cierpienie i śmierć nadają szlachectwo przegranemu. Żadna kamera nie oprze się widokowi człowieka w chwili klęski. Władą on wszelkimi mechanizmami i zwraca na siebie uwagę wszystkich umysłów. Być może widzisz siebie jako bohatera na szerokim ekranie. Kompletnie zapomniałem, co mam dalej mówić.

Żona Glenna Yosta, kobieta dorodna i przyjacielska, musiała chyba od trzeciego roku życia chodzić w kitlu roboczym. Lubiała dotykać i pokpiwać, a obaj Glennowie najwyraźniej bardzo ją kochali. Ten typ kobiety czuje się na piknikach jak w swoim żywiole: śmieje się i opowiada kawały, mężczyźni klepie po plecach, dzieci podszczypuje, a z innymi kobietami porównuje sobie biust. Była jak ogromny front

cieplej pogody sunący przez prerię. Jej obecność psuła mi szyki.

Przedstawiłem Sullivan całej rodzinie, a pani Yost – Laura – powiedziała, że czekali na nas z deserem (plackiem brzoskwińowym i lodami waniliowymi), więc usiedliśmy, żeby porozmawiać i zjeść. Yostowie bez przerwy opowiadali o sobie nawzajem śmieszne anegdoty. W ich miłości kryło się coś niezwykłego – coś, co było w najlepszym tych słów znaczeniu śmiechu warte. Miałem wrażenie, że każde z nich jest dla dwojga pozostałych chodzącą legendą, komicznym arcydziełem złożonym z gaf, cudaczknych przekonań i katastrofalnych rozrywek. Najwięcej opowiadała Laura, krążąc w tym swoim żółtym kitlu między jadalnią a kuchnią i dolewając nam więcej kawy, niż mieściło się w filiżankach. Przyszedłem do nich, żeby doprowadzić do końca nierzeczywistą pracę, zakończyć najtrudniejszy odcinek

przeprawy, więc rzeczywistość tego całego spontanicznego ciepła wcale mi nie służyła. A mojej kamery nie interesowała ustna tradycja. Spojrzałem na Sullivan. Krajęła paznokciem kciuka okruchy placka.

– Możemy wziąć się do roboty, Glenn?

– Spiżarnia jest tam – odparł.

– Może Bud, Sully i ja poszlibyśmy tam teraz i zrobili, co mamy do zrobienia. To potrwa tylko parę minut.

– A nie będzie za ciemno? – spytała Laura.

Spiżarnia przylegała do kuchni. Glenn zapalił mi światło i usunął się z drogi. Szybko postawiłem jedno z kuchennych krzeseł pod ścianą w głębi spiżarni. Kazałem Sullivan na nim usiąść. Przez chwilę jej się przyglądałem. Potem uzmysłowiłem sobie, że Bud stoi obok mnie z kamerą w rękę. Czym prędzej wziąłem ją od niego, nastawiłem

ostrość na siedzącą Sullivan i zacząłem kręcić. Po pięciu czy sześciu sekundach skończyłem i poprosiłem Sully, żeby stanęła pod ścianą, a Buda wprowadziłem do spiżarni i ustawiłem naprzeciw kobiety, plecami do kamery. Sam znowu stanąłem w drzwiach. Glenn i Laura dyszeli mi w kark. Musiałem ich spławić. Lepili mi się do palców jak miód, a ja musiałem poczuć smak octu, ocet i zdyszany oddech gorącej stali na języku, jeżeli miałem się uporać z tą sekwencją. Wyprosiłem ich stamtąd. Powiedziałem, żeby całkiem wyszli z kuchni. A kiedy zostałem tylko z Sullivan i z chłopcem, jeszcze przez dwadzieścia sekund filmowałem ich, jak stoją, kręciłem własną reklamę, życie w życiu. Potem znowu przerwałem i powiedziałem Sully, żeby podeszła bliżej do Buda i położyła mu dłonie na ramionach. Chłopak obrócił głowę i spojrzał na mnie, bo albo nie rozumiał, czemu odprawiłem jego rodziców, albo

czuł, że to zupełnie co innego niż koszykówka w sali gimnastycznej liceum, i potrzebował ode mnie choćby spojrzenia, jednego słowa, znaku. Po chwili zobaczyłem, że w gorzkim świetle jego oczu kołyszą się jak na wadze mama i tata. Dostrzegłem to w jego twarzy: zasztyletowane spojrzenie, rozpięte nad małą braterską zdradą. Nie rozumiał, co muszę zrobić, ale nie ruszał się z miejsca, przygwożdżony kamerą, którą miałem w rękach, albo dłońmi Sullivan. Tak, to ona go trzymała, ten chudy zawilgły ptak. Oczywiście. Nie sposób było uwolnić ramion od chłodnego szelaku jej palców, odwrócić się od takiej postaci. W spiżarni było za ciemno, a ja wszystko robiłem zbyt szybko, chociaż wiedziałem, że tylko jakimś ślepym trafem cokolwiek z tego materiału ożyje i zacznie rosnąć, muśnięte srebrnym kryształem. Ujrzałem to w proroczym mgnieniu, wszystko niedoświetlone, ciała obojga jakby niecałe, jej

twarz jak gniazdo rozsypanego zmierzchu, splątane szare światło na obrzeżach ekranu, a potem zadałem sobie pytanie, czy kiedyś w ogóle to obejrzę, ten albo inny fragment, i już nie bardzo wiedziałem, czemu ta niema przemowa kobiety i chłopca nawet dla mnie samego miałyby znaczyć coś więcej niż to, czym najwyraźniej była, jej twarzą i jego głową, i zwątpiłem, czy ta reklama pomoże sprzedać produkt. Znów nastawiłem ostrość na dłonie, którymi Sullivan trzymała Buda za ramiona, a miała przy tym dziwną, przedziwną minę, wyrażającą coś trochę podobnego do ciekawości, jaka czasem odprowadza mężczyznę wychodzącego z pokoju, i spojrzenie, jakiego nigdy u niej nie widziałem. Czuję, że robiąc to w ten sposób, pozbawiam się mocy. Światło było gorzej niż słabe, a ja nawet go nie zmierzyłem. Działalem w zbyt wielkim pośpiechu. Nie kadrowałem. Za wcześnie kończyłem ujęcia. Ale

musiałem to zrobić, żeby mieć wreszcie sprawę z głowy, i może najlepiej było właśnie tak: unicestwić wspomnienie, przedrzeźniając je, pozbawiając mocy, lejąc nasienie w niepochwycone światło. A potem zacząłem kręcić ostatnią sekwencję i poczułem, że nie mogę przestać. Widziałem ich przez wizjer, nieruchomych, niezrównanie cierpliwych, wytrwałych, jej smukłe palce od nasady po paznokcie na jego barkach, lewe oko utkwiała w oku kamery, omijając wzrokiem ucho chłopca, a ja filmowałem ich przez dwie czy trzy minuty, gdzieś zagubiony, odchylony do tyłu w brązowym świetle dwudziestopięciowatówki, nasłuchując odgłosów zza własnych pleców, a pytanie, ile ona wie, było ostatnią sprawą, jaka mnie tamtego wieczoru zaprzętała.

W jadalni nie zastałem Laury. Glenn siedział przy stole, ale nie spojrzał na mnie.

Podziękowałem mu za wszystko. Dodałem, że czasem człowiek musi, niestety, zrobić coś, co na pozór jest pochojne. Sullivan czekała na mnie przy drzwiach. Powiedziałem Glennowi, że ludziom pod presją zdarza się mówić lub czynić rzeczy, które wydają się wtedy konieczne, ale później uznaje się je za głupie albo wręcz niewybaczalne. Bud stał w drzwiach kuchni. Podziękowałem mu i poprosiłem o wybaczenie, a następnie podszedłem do stołu i wyciągnąłem rękę. Glenn spojrzał na mnie, ujął moją dłoń i z uśmiechem ją uściśnął, półgłosem mnie przeklinając. Zrobił to z wdziękiem, z miłą domieszką Hollywoodu, tego z najlepszych lat, więc odwzajemniłem jego uśmiech. Nasze dłonie rozplotły się, a ja się cofnąłem. I wtedy Glennowi w tym szalonym oku zapłonęły naczynka, cieniutkie szepczące smużki, dyskretne znaki zimnej diakońskiej furii, tak zimnej, że aż parzy, przywiera do rąk, to wściekłe

zimne światło, klątwa na moją duszę, arktyczne smugi, żyłki w kostce lodu w oku Glenna.

Stała na ulicy, patrząc, jak schodzę z werandy. Czekać – to nie było w jej stylu. Myślałem, że odeszła już spory kawałek, ale po chwili przypomniało mi się, jak wpatrywała się we mnie przez całą ostatnią sekwencję, przez te dwie lub trzy minuty, kiedy nie bardzo wiedziałem, gdzie jestem. A teraz prószyła z niej jakaś miękkość. Świeciły latarnie. Kamerę niosłem na prawym ramieniu.

– Chciałabym poleżeć w wannie – powiedziała Sullivan. – Od dłuższego czasu myjemy się gąbką w przyczepie. W ciepłe dni chodzimy nad rzekę. Najpierw to była tylko niewygodna. A teraz są pewne obawy, że stanie się sposobem na życie.

– Tamci dwaj widzieli cię rozebraną?

– Zachowujemy się bardzo taktownie. Zapewniam cię, David. Ułożono precyzyjny grafik. Pike w takich sprawach jest mistrzem. A nawet kwatermistrzem. Od pewnego czasu wywiesza różne terminarze, inwentarze, rozkłady jazdy. Wszystko odbywa się z wielką dyskrecją, możesz mi wierzyć.

– Chodźmy do jakiegoś motelu – powiedziałem.
– Możemy pojechać taksówką.

– Czy to konieczne?

– W hotelu chyba nie lubią, jak faceci sprowadzają sobie kobiety. Są dosyć drętwi, wiesz.

– No to ich rozruszamy.

Sullivan przeleżała w wannie prawie godzinę. Ja tymczasem siedziałem, patrząc na uchylone drzwi łazienki i starając się o niczym nie myśleć. A potem stanąłem w tych drzwiach. Tak jak się

spodziewałem, Sully wynurzyła nogę z wody, przesunęła dłońmi po łydce i spojrzała na mnie przez ramię. I wtedy nasunęło mi się słowo, które ujrzałem w oku diakona Yosta. Ohyda. Wyszedłem z łazienki i usiadłem na łóżku. Tym spojrzeniem przez ramię Sullivan pytała, czy jestem zadowolony. Siedziałem i czekałem. Po jakimś czasie włączyłem lampę przy fotelu, a zgasilem górne światło. Sullivan wyszła z wanny. Szybko wróciłem do łazienki i patrzyłem, jak się wyciera wielkim białym ręcznikiem z monogramem. Podszedłem bliżej i wolno przeciągnąłem dłońmi po jej ciele, dotykając go przez ręcznik. Oboje milczeliśmy. Ruszyłem za nią w stronę łóżka, wiedziony przeczuciem niewyobrażalnej rozkoszy, a zarazem rozpoznając starą jankeską skrucę, żrącą jak saletra. Ściany były czarno-białe, a Sullivan stała przy łóżku. Ohyda.

Przykryła się, zasłaniając nawet piersi, i leżała

sztywno, jakby na znak, że to koniec zwrotki, a ona czeka na mój kolejny ruch. Ile wiedziała o tamtej chwili i czego mnie nauczyła tym swoim nedorzecznym ukryciem? Otóż tego, że prawdziwe i najlepsze (czyli najwstrętniejsze) wyuzdanie jest po prostu skromnością, której własny fanatyzm nie pozwala choćby drgnąć, bo a nużby się niechący macnęła. Rozebrałem się, stojąc przy łóżku, tak jak tamtej nocy w Maine, ale wtedy było ciemno, a ja się zastanawiałem, czy ona mnie widzi, w wyuzdanie dziewiczym Maine, w pokoju niepodobnym do tego. Patrzyła na mnie, kiedy stałem tak nad nią, starając się o niczym nie myśleć. Była zupełnie nieruchoma, gdy tak mnie obserwowała, bez choćby źdźbła ruchu, systematycznie zamykając drzwi i otwierając przez to nowe pokoje. A ponieważ wiedziała, co robi, nie wyciągnęła do mnie ręki, nie przysunęła się ani nie odsunęła, kiedy się położyłem na łóżku, na

prześcieradle, którym była przykryta. Własne ciało zawsze napawało mnie dumą.

– Nie bój się – rzekła. – Powiedz, co mam robić.

– Jeszcze nie wiem. Tylko poleżmy tak chwilę. Pamiętasz tamtą noc w Maine, w starym domu? Opowiedziałas mi coś do snu.

– Nie bój się, David.

– Nie boję się.

– Tamtej nocy byłeś przerażony.

– Tak – przyznałem.

– Nie możesz się bać. Pomogę ci. Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Najpierw mi coś opowiedz. Tak jak wtedy w Maine, historyjkę przed snem.

(Sullivan miała w sobie tyle gotowości, wyuzdania i chęci, tak sprawną była artystką,

zatopioną w swoim kunszcie, że nawet nie oniemiała, słysząc moją prośbę, a tym bardziej nie wybuchła zbawczym śmiechem).

– A był to sen głęboki – powiedziała.

– Poproszę o jakąś historyjkę. Bajkę na dobranoc.

– Mam coś, co będzie jak znalazł. O moim złym starym stryju i niewiarygodnej przygodzie, którą przeżyłam z nim na jachcie w pewien mgłą zasnuty dzień w Zatoce Someśa.

– Będziesz zmyślać na poczekaniu?

– To prawdziwe zdarzenie – zapewniła mnie Sullivan. – Przypomniało mi się, kiedy zacząłeś mówić o Maine.

– No to opowiedz.

– Miałam znieawidzonego, złowrogiego stryja z Ulsteru – zaczęła. – W wieku osiemnastu lat wyjechał z Dublina do Belfastu, wyrzekając się

Kościola, państwa, rodziny i cudzołożnego cienia Parnella. Był bratem mojego ojca, najczarniejszym spośród wszystkich odstępców od katolicyzmu, bluźniercą wojującym a ponurym, zupełnie innym niż ci weseli, rubaszni żartownisie, do których zaliczał się mój tata nieboszczyk. Po latach przyjechał tu i w końcu osiadł w Maine, w miasteczku nieopodal Bar Harbor. A ja pojechałam kiedyś go odwiedzić, żeby zażegnać dawną rodzinną urazę. Miasteczko było ciche i zwyczajne, w sam raz dobre dla stryja Malcolma. Podszedł do drzwi, a ja już ledwo pamiętałam, jak dziko i złowrogo wygląda – łysy, krzepki i nabity, rzeczywisty jak beczka piwa. Jego ciemne oczy płonęły niczym dwie latarnie morskie, a patrzył na mnie, jakbym była najulubieńszą konkubiną papieża. Nienawidził katolików. Mojego ojca nienawidził jak zarazy, jak kadzidła. Byli braćmi jak dziób i rufa, Shem i Shaun, skąpy Dublin

i skąpszy Belfast. W liście ani słowem nie wspomniałam o celu tej wizyty. Usiedliśmy na werandzie. Była księżycowa noc. Na trawniku stały posągi patriotów. Żadni rozśpiewani chłoptasie ani minstrele nie wytaczali się z pubów i nigdzie jak okiem sięgnąć nie ciemniał guinness. Nie było pubów, tylko pomniki. Jak wiesz, David, jestem rzeźbiarką, więc aż mi się zimno robiło na widok tych posągów. Tyle w nich było chrześcijaństwa. I tak niewiele z Chrystusa. Wyglądały jak przecweleni dyrektorzy szkół, udający, że to tylko róg biurka wrzyna im się od tyłu. W wojnie jest pewien rodzaj gracji i oczywiście miała ją też nasza rewolucja. Ale jedynie ślepiec z palcami jak serdelki mógłby przypisać tym kamieniom grację. Nie było w nich nic demonicznego, żadnego zawirowania tuniki, ani śladu łowów, złych snów czy odwagi. Nic tylko prostolinijność, prostoduszność i prostata

(wybacz mi, Boże). Tak czy owak chrześcijaństwo. Czasy Omdurmanu i Chillianwali. Perwersyjne wydanie Chrystusa. Dzieciątko z Pragi przymocowane do plastikowej tablicy rozdzielczej błogosławi leżące za tylnym oparciem pudełko jednorazowych chusteczek. W surowych czarnych pustaciach konfesjonałów księża o nieświeżych oddechach hałaśliwie domagali się mojej duszy, wodząc ospałymi palcami po krzywiźnie odradzającej łaski. Stryj Malcolm i ja siedzieliśmy na bujanych fotelach. Nawet huściliśmy się w zgodnym rytmie. Stryj nie pytał, po co przyjechałam. Tylko patrzył na ledwie widoczne w bladej poświacie posągi, jakby myślał, że patriotyczny kamień ani trochę nie ułatwia nam zrozumienia historii, jeżeli nie ma oparcia w czymś głębszym niż język. Milczeń w milczeniu kamienia to początek jedni z przeszłością. Ale może myślał tylko o swojej łodzi. Bo po chwili

właśnie o niej zaczął mówić. Powiedział, że ma slup od Hinckleya z Southwest, przycumowany w zatoczce za zakrętem w stronę Bar Harbor, czyli raptem dwadzieścia minut samochodem od werandy, na której siedzieliśmy.

– To zaczyna być nudne – stwierdziłem.

– Musisz mi pozwolić na choćby ułamek tego narcyzmu, do którego rezerwujesz sobie prawo w trakcie tych swoich znużonych zabiegów. Nie żebym chciała uderzać w szorstki ton. Ale dotychczas ci pomagałam i chętnie dam się dalej prowadzić, dokądkolwiek postanowisz nas zabrać. A ty prosiłeś o dobranockę.

– Przepraszam. Mów dalej, proszę.

– Z tych nudnych minoderii, które tu klecę, wyłonią się wkrótce ważne sprawy. Niełatwo mi to idzie.

– Masz ten numer w jakimś stopniu

przećwiczony? – spytałem.

– Nocą w łóżku często rozmawiam z wielkimi anglofonami z dawnych wieków. Chyba mogę ci się do tego przyznać. Tworzę filozofie, legendy, noty autobiograficzne, okruchy kobiecej mądrości, anegdoty i kłamstwa. Przedstawiam je komuś w rodzaju Swifta czy Blake’a. A potem już jako Swift albo Blake komentuję i krytykuję. Może to tylko złudzenie, ale mój umysł chyba najsprawniej działa tuż przed zaśnięciem. Wydaje mi się, że odbyłam sama ze sobą parę błyskotliwych dialogów. A raczej z wielkimi postaciami historycznymi. Czyli nie zawiódł cię instykt. Rzeczywiście mam ten numer poniekąd przećwiczony. Właściwie już wielokrotnie opowiadałam tę historię, cyzelując, redagując, szlifując, stopniowo zbliżając się do straszliwej prawdy. Ale jej samej jeszcze nigdy nie wyjawiałam. Ani razu nie opowiedziałam o całym

zdarzeniu. Całości nie usłyszał ani Coleridge, ani Melville, ani Conrad. Nikomu nie wyjawiałam tajemnicy ostatnich godzin tamtego mgłą zasnutego dnia, który spędziłam na dwunastometrowym słupie w Zatoce Somesa. Żywemu ani umarłemu.

– Przepraszam cię na sekundę – wtrąciłem. – Chcę zgasić światło.

– Fotele kołysały się w doskonale wojskowym szyku. Stryj spoglądał na martwe panoramy historyczne, na Yorktown, Shiloh, bezgłowe mgnienie Chartumu. I nagle oświadczył, że rano ma zamiar wypłynąć jachtem, i spytał, czy zechcę mu towarzyszyć. Jakby mnie raził obuchem między oczy. Ale oczywiście przyjął zaproszenie. Scena miała wszelkie cechy biblijnej konfrontacji. Odrzucić taką propozycję znaczyłoby potępić sprawy, dla których stryj dał drapaka do Belfastu, a faceci pokroju mojego drogiego nieboszczyka

taty poszli do miejscowego pubu na kufel najtęższego. Przez prawie całą resztę wieczoru milczeliśmy. Stryj udusił jakąś potrawkę i podał ją w dwóch niejednakowych miskach, ukazując w ten sposób nawet tak bezstronnej obserwatorce jak bliska krewna głębię i niezłomność swojego zaprzysięgłego starokawalerstwa. Spaliśmy w przeciwległych końcach domu. Mój pokój tknięty był szaleństwem kapitana Ahaba – pusty, wyziębły, pochyły jak achterdek. Nie dostrzegłam w nim śladu miłości do wybranego żywiołu, ni kawałka rzeźbionego fiszbinu, ani kubka, nadmorskiego kamienia, ryciny ze szkunerem czy choćby ołówkowej odbitki reliefu z nagrobka: był pusty, wyziębły, północny, wilgotny jak zamglona gwiazda. Zimnym, trzaskającym świtem stryj załomotał w moje drzwi. Zeszłam na śniadanie złożone z melasy i lepkich protein, zgodnie ze starym żeglarskim przekonaniem, że trzeba

scementować sobie kości, aby nie porwał ich wiatr. Pół godziny później doszliśmy keją do stryjowego bączka i popłynęliśmy nim przez mgłę, przecinaną ledwie widocznymi smużkami światła, i w końcu zobaczyliśmy słup o wysokich zielono-białych burtach, kołysany lekkimi klapsami przyływu, i chociaż jeszcze nie całkiem się rozwidniło, zobaczyłam, że ta łódź nie jest ani trochę podobna do swojego właściciela. Kiedy wdrapaliśmy się na pokład, stryj z grubsza mi objaśnił, gdzie co leży i do czego służy, jak kręcić tym i luzować owo. Słup nazywał się „Marston Moor”^[2], a ja w życiu nie widziałam zgrabniejszego jachtu. Był lekki i na oko szybki. Każdy centymetr kwadratowy mosiądzu aż lśnił. To była piękna łódź, David, i tak brutalnie nazwana, czego zresztą należało się spodziewać. Stryj postawił fokzagiel. Ja tymczasem odcumowałam, postawiłam grotzagiel

i zapuściliśmy się w poranek gęsty od pytań bez odpowiedzi, pytań niezadanych. Światła pozycyjne wyłuskały z mgły czerwoną boję. Słysząc było dzwony. Na bojach siedziały mewy. Kutry poławiaczy homarów z porykiwaniem syren snuły się we mgle, a z ich pokładów spoglądały na nas opatulone postaci, czasem jedna, czasem kilka, milczące, strategicznie milczące – przeklęte oko żeglarza, który wyobraża sobie własne gnaty na głębokości pięćdziesięciu sążni i nie cierpi intruza, bo on nie zarobił na tę akurat działkę morza. Jakże bezdennie głupie musiało im się wydawać to, że brniemy przez tę breję! Stryj zerknął znad kółka sterowego w szafkę kompasową, która stała tuż przed nim. Zajmował się kompasem, sterem i grotem. Mnie powierzył fokżagiel. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Po dwóch godzinach mgła zaczęła się podnosić, odsłaniając sosnowe lasy na wyspie Mount Desert,

potem zaś podnóże i szerokie, brunatne szczyty gór Cadillac i Pemetic. To dopiero był widok! Mgła, jeszcze warząca się nad łąsinami na stokach. Niskie zielone sosny i bite drogi. Fale przyboju, wgrzające się w występy i w goleń skały. Zatoka Francuza. Wręczenie epistoły od królewskiej Europy. Do południa zupełnie zmieniła się pogoda, ociepliło się i rozdmuchało, zbłękitniałe powietrze było rześkie i zmrużone, a słońce pomału namaślało nas boskością. Bo to był boski świat, David, i nikomu nie powstałaby w głowie myśl, która by tę boskość podważała. To dopiero był widok! Iście anielski błękit wody. Białe latarnie morskie na pirsach. Widzieliśmy mewy Smithsona i kormorany. Stado rozbrykanych morświnów wyskakiwało z morza i biły czarne dzwony. Czuliśmy nad sobą sklepienie, słowo nieogarnione, omiatane strzępami jednej jedynej chmury. Słońce było mieczem na wodzie. Każda

rzecz zmieniała się tylko sama z siebie, nie pod wpływem jakiejś zewnętrznej siły. Bóg. Boże dzieło, nietknięte ludzką ręką. Nawet nasza łódź, urocza pochyła forma, kłoniąca się pod naporem wiatru na tle olbrzymiego świetlistego jarzma, nawet „Marston Moor” był jedynie łagodnym wirusem, sprowadzającym ten nasz łachman morza do rangi ślicznej fotki. Stryj wskazał palcem Isle au Haut, piękną wyspę, która sprawiała wrażenie, jakby stała, chociaż wyspy z reguły raczej siedzą albo drzemią. Była ostatnią wyniosłością, ostatnią kępą drzew i garścią ziemi u wrót Oceanu Wielkiego. Chyba ani na chwilę nie straciliśmy lądu z oczu. Brzegi co większych wysp porastał świerk i sosna, a znad skalistej obwódki wyzierały nieduże wioszczyny. Zdarzały się też bezludne wysepki, niektóre składały się prawie wyłącznie ze zwałów granitu. Płynęliśmy w ostrym przechyle, więc spojrzałam na stryja. Wciąż

ubrany był jak na sztorm, prawą ręką trzymał ster, a lewą ściągał grot. Nie tyle płynął jachtem, ile go dosiadał jak delfina albo kobiety, młodego narowistego stworzenia, które może nigdy nie da się złamać. Umierałam z głodu, więc gdy tylko osłabł wiatr, zesłam do kajuty i ugotowałam na kuchence naftowej lekki posiłek. Stryj mi podziękował. Wczesnym popołudniem ani razu nie dopadła nas zupełna cisza, ale musiał wypatrywać zmarszczek na wodzie, żeby złapać w żagle chociaż odrobinę wiatru. Najwidoczniej nie zamierzał włączać silnika. Przyglądałam się wyspom przez lornetkę. Jakaś kobieta niosła kosz z praniem, chłopiec biegł, a na tle bielonego łuku latarni morskiej stał mężczyzna. Wyglądali jak niewiarygodne znaleziska, bryłki rzadko spotykanego stopu, naziemni żeglarze, którzy wiedzą z doświadczenia, że linie proste zabijają. A jeszcze te wysepki. Całe niebieskie,

z najczystsze­go granitu. Ani żywej duszy. Ale wcale nie mil­czały. Wręcz przeciwnie, miały chwalebny dar gło­su. Rozbrzmiewały krzykiem mew i nieustannym, miarowym rykiem przyboju. Po pewnym czasie przejęłam ster, a stryj zszedł do kajuty spojrzeć na mapy. Właśnie wtedy wiatr się wzmógł, więc popłynęliśmy jednym dłu­gim halsem ku zachodzą­cemu słońcu, a potem jednak włączyliśmy silnik i skręciliśmy w cieśninę między dwiema ma­leńkimi wysepkami, a właściwie spłachetkami lądu. Mniejsza była prawie litą skałą, a więk­szą porastał las. Stryj wręczył mi son­dę, więc spuściłam ją za burtę i meldowałam, ile sążni, usiłując nadać swojemu beznadziej­nemu gło­so­wi z lekka marynarski zaśpiew. Rzuciliśmy kotwicę i usiedliśmy na pokładzie, wpatrze­ni w zachód słońca. I nagle ujrze­liśmy ogromne żaglowce, trzy jed­nocześnie, pędzące prosto na nas z tej straszliwie pięknej

rany w niebie. Miały ożaglowanie rejowe i mknęły z wiatrem, pałając niebiańską jodyną, kompletnie nierzeczywiste. Przeływały za mniejszą wysepką – najpierw jeden, potem drugi, a gdy ostatni zniknął, znowu wyłonił się pierwszy, wysokie maszty sunęły na tle granitu, i tyle było w tych statkach dostojenstwa, w ich zgorzałej wędrówce od czerwonego horyzontu w błękit i wreszcie w mrok, co w przybyciu Trzech Króli. Stryj powiedział, że są wypchane aż po same grodzie turystami z Camden. Ależ tak. Kiedy odpłynęły, zeszliśmy do kajuty i w rozkołysanym brązowym świetle zjedliśmy na kolację zapiekanekę z jajkami. No i w końcu wyjawiałam stryjowi powód swojej wizyty. Uraza była zastarzała, głębsza niż wściekły, wypalony prochem rozbrat Pomarańczowych z Zielonymi. Ojciec przed śmiercią (w nowojorskim Szpitalu Świętego Wincentego) powiedział mi, że stryj Malcolm po

wyjeździe z Dublina nieuczciwym sposobem uzyskał tytuł własności do rodzinnej działki na zachodnim wybrzeżu Szkocji, na północ od Lochcarron. Ziemię tę zapisał rodzinie w spadku daleki przodek, ponoć spokrewniony z pradawnymi klanami. Od pokoleń władali nią wodzowie, dziedzice, lordowie, rozmaita śmietanka. Potem zaś – gdy historia obróciła się jak magazynek rewolweru – działkę przejęli kupcy, durnie i wędrowni potomkowie. Była to dla mnie zupełna nowość. Ta piędź Szkocji w mojej krwi. Źródło oczywiście już poszło w zapomnienie, a proporcje mikstury znał chyba tylko ten, kto przez szkockie wyżyny i Kanał Północny pierwszy dotarł do Belfastu i niewykluczone, że znalazł tam kobietę, która urodziła mu synów – i jedni z nich wrócili może do ziemi przodków, inni zaś odbili daleko od ojca i osiedli w Republice Irlandzkiej, aby dać początek nowej gałęzi rodu, która

zaowocowała ojcem mojego ojca, nim samym i jego bratem, moim stryjem Malcolmem o duszy bydłokrada. A gdy tata opowiadał mi tę historię mniej więcej tak, jak ją tu powtarzam, jego oczy zdawały się mówić, że to i owo przemilcza. Odzyskaj ziemię. Bądź silna tam, gdzie ja byłem potulny. Wyrównaj wszystkie rachunki, pomścij krzywdy, dogódź pamięci matki nieboszczki, która także wiedziała, jak nisko stoczył się ten człowiek. Twoja biedna kochana matka. Nieszczęsne anielskie jagnię. Chryste, zmiłuj się. Miałam więc żądać tego, co mi się z urodzenia należało. Skrawka wyżyn. I w tym tkwiło sedno sprawy. Do tego sprowadzały się wszystkie moje bujne nienawiści i wygodne bigoterie. Szkoto-Irlandka! Amerykanka! (Nieunikniona, panie Faulkner; rówieśna, panie Joyce). Raptowny poryw nurtu mojej krwi. Ostry pałasz i kobzy. Obwisłe wymiona wyżyny Ozark. Stulecia szkockiego

Kościola. Opowiedziałam Malcolmowi pierwszą część tej historii. O ziemi na północ od Lochcarron. Odparł, że to jego własność, honorowo zdobyta, i nie chciał więcej o tym słyszeć. Co zatem miał zamiar z nią zrobić? Otóż postanowił spędzić na niej ostatnie lata życia i tam też kazać się pochować. Spisał już nawet testament. Wszystkim należycie rozporządził. Miałam na to jego słowo. Wyszedł na pokład, a ja za nim. Wszędzie panował spokój. Przez godzinę uroczyście milczeliśmy, słuchając, jak w lesie skrzeczy obłąkany ptak. Belfast i Maine. Lochy ciszy. Kwintale i eony ciszy. Dowiedzieć się, że historia nie wejdzie nam w krew, jeżeli nie nadstawimy ucha, żeby ją usłyszeć. Sekrety nowoangielskich kamieniarzy. Wszystkie te ciasne miasteczka, chlubiące się dzwonniami Bulfincha i dzwonami Paula Revere'a. Miasteczka, których okręty powstały dzięki milczeniu Belfastu. A czy

w Ameryce nie ma osiemnastu Belfastów? I czy Ulster nie zasilął kolonii? Ludźmi, kartoflami i kołowrotkami. Za naszą rewolucję nie ginęli Zieloni, lecz Pomarańczowi. Ale moja nienawiść potrafiła skakać przez wodospady, szalona jak łoś, dążąc do macierzystej sadzawki prawdy. I wtedy na pokładzie, po ciemku, stryj zaśpiewał mi piosenkę, niemal bezgłośnie, z akcentem, w którym pobrzmiwała Irlandia, Szkocja, a nawet Szekspir, i chyba wcale nie zdawał sobie sprawy, że śpiewa na głos:

Przybył z Północy, więc skąpił słów,
Lecz głos miał miękki i rozum zdrów.
Poznałam po oczach, że zacny jest on,
I ległam z mym chłopem z północnych
stron.

Kilka razy powtórzył tę zwrotkę tonem kołysanki, a potem zeszedliśmy pod pokład. Spałam w kajucie. Stryj ułożył się w forpiku, zwinięty jak gruba lina. Przez sen mówił po gaelicku.

– I to wszystko? – spytałem.

– Rano wracaliśmy w szarej mżawce, a ja patrzyłam, jak na dalekim horyzoncie rośnie i kotłuje się nad oceanem wał mgły, niska, brązowawa groza, i próżno czekałam, aż stryj doda mi otuchy. On jednak mówił o wszystkim, lecz nie o mgle. Mówił, owszem, jakby tylko jakaś próba, jakiś zgłodniały grom niebezpieczeństwa mógł rozwiać spowijające jego duszę opary. Na morzu było niewiele łodzi, ale te, które widział, skłaniały go do wygłaszania zwięzłych uwag na temat ich typu i właściwości. Ożaglowanie gaflowe. Albo: świetnie chodzi na wiatr. Albo: przysadzista sztuka. Albo: idzie lewym halsem. Albo: patrz, jak

jej się śmieje żagiel. Niebieski jol z Darkharbor. Przeklęty belfer spod znaku Cromwella. Cały dzień płynęliśmy w powolnej mżawce, aż chłód przeniknął mnie do szpiku kości, wsiąkając w takielunek i w deski pokładu. A jeszcze ten nadciągający zwał mgły. Z nim zaś pytania bez odpowiedzi, pytania niezadane. Jak się z czasem przekonasz, David, jest to w gruncie rzeczy opowieść o duchach. Dlaczego stryj zaprosił mnie na ten bezcelowy rejs? Czy wiedział, że przed przyjazdem do Maine poznałam historię rodowej działki? A mój ojciec? Różowy, miękki fajczarz, mały jak kufel. Jakimiż to drobnuteńkimi delikatesami nie zechciał się ze mną podzielić, leżąc na przedśmiertnym pościeliu? Cisza w londyńskiej Tower. Cisza na wiejskich wygonach. Północne oko wiatru. Rzeka północnych krwi, obracająca w perzynę zagłodzone mroczne Południe. W imię Chrystusa,

tego od psów wojny. Zbójcy ruszają na wsze strony plądrować ziemie i obalać bóstwa. Zaprawdę, Pan nader łaskawie wejrzał na Anglię i Kościół Boży, dając nam owo wielkie zwycięstwo; stało się to za sprawą zrządzenia boskiego, nie inaczej, i Bogu jeno należy się chwała. Muszkiet z zamkiem lontowym i skórzane kubraki. Pośrodku pikinierzy, na flankach muszkietierowie. I czym się kończy ta cała modlitwa z Marston Moor? Odrąbana toporem głowa Cromwella mruga oczami, nadziana na pikę obok szubienicy nad rzeczką Tyburn. I czy stryj w swoim zadusznym szkocko-purytańsko-ulsterskim tartanie zabiegał wtedy wyłącznie o powrót na jakowąś świętą Północ? Do ziemi nad Lochcarron? Aby nurzać się w strasznym, lśniącym bajorze Boga i ojczyzny? Czarny Nóż, przysadzisty niczym pień, przemawiał jako echo moich najgłębszych nienawiści, siedząc w księżycową

noc na zboczu góry w Dakocie. Gdy zaś naszym oczom ukazała się wyspa Mount Desert, a stryj przestał bajdurzyć i skierował słup ku wylotowi Zatoki Someśa, prawdziwego fiordu, jedenastokilometrowej szczeliny w wysokiej ścianie urwiska, należało rozważyć jeszcze jedno, ostatnie pytanie: szukał tam schronienia czy raczej większego niebezpieczeństwa gwoli większej chwały? Wzgórza wznosiły się nad nami z obu stron, a kiedy zapuściliśmy się w zatokę na jakieś trzy kilometry, obejrzałam się i zobaczyłam, że nadciąga, oddalona już tylko o kilka metrów, i nagle spowiała nas, a cisza spotkała swoją ciemność. Była to nordycka mgła, zimna, mokra i mroczna, z najdalszej Północy, a stryj dotarł na sam skraj tajemnicy i zapuścił się słupem jeszcze dalej w głąb fiordu, z oczu sączyła mu się mgła i ogień, gdy ujeżdżał łódź, tak jak mężczyzna w szale religijnego żaru ujeżdża lędzwie kobiety,

a ja byłam przerażona, David, odchodziłam od tego swojego irlandzkiego rozumu, bałam się mgły, stryja i ostatecznego pytania, które wtedy, dopiero wtedy, zaczęło się samo rozstrzygać. Przypomniałam sobie, że ci dwaj spotkali się jeszcze raz, ojciec i stryj, długo po tym, jak ten drugi wyrzekł się wszystkiego co drogie wyznawcom apostolskiej wiary. Niedługo po ślubie taty z moją uroczą mamą, kruchą jak lilia, spotkali się w Derry w stanie New Hampshire – tym solidnym ulsterskim mieście, gdzie stryj podówczas mieszkał – żeby podjąć daremną próbę przywrócenia harmonii. Matka wiele lat przed śmiercią opowiedziała mi co nieco o tym, jak od ich złości i furii o mało nie zapalił się dom, a jakaś luźna nić, blado prześwitująca w jej wspomnieniach, przywiodła mnie nareszcie do łoża śmierci mojego ojca – słuchasz? – i do jego własnych taktycznych przemilczeń, a także do

chwili, gdy stryj powiedział mi o testamencie i obiecał dobrze zarządzać ziemią, swoim łóżem śmierci. Wtem ciemność przebiło srebrzyste ostrze, cios wikińskiego miecza w kowadło, i zamajaczył przed nami zarys lądu. Pasją stryja zaiste kierowało niebo, a może piekło, więc wedle wszelkich oznak nie groziło nam ugrzęźnięcie na płyciźnie. Znowu czekałam, aż on powie choć słowo. Raptem powiało i bom podniósł się, zakołysał, bo wiatry nacierały chyba ze wszystkich stron naraz, skwirząc wokół nas jak bitewne kobzy, doprawdy przerażająco, i trochę rozproszyły mgłę, ale szamotały łódką, aż uwierzyłam, że lada chwila ją wywróca. Wiatr spadał na nas z urwiska. Mknął po wodzie od strony ujścia zatoki i od pełnego morza. Napierał zewsząd, niebezpiecznie przechylając słup na prawą, a potem na lewą burzę, aż giął się maszt, huśtał bom, a kiedy próbowałam wybrać talię

i topenantę, tuż obok głowy przeleciała mi listwa z grotzągla. Nawet stryj, nawet on zaczął tracić ten swój chrześcijański spokój. Były to bowiem wichry biblijne, zwiastuny burzowych chmur zagniewanego Boga, jakich stryj nie napotkał dotąd w żadnym kościele ani zborze o szalowanych ścianach. Jacht nie cierpi braku zdecydowania, a on nie wiedział, co począć.

– Sully, nie podoba mi się ta historia.

– I oto zadął w trąbę pierwszy anioł. A gdy powiały wiatry, skonała trzecia część morskich stworzeń i co trzeci statek poszedł na dno. A przez szarosrebrny dym przebiło się światło z brzegu u samego końca zatoki. Niosła je jakaś postać. Ktoś nieznamy. Stryj dostrzegł go i przemówił. Jezus mnie potrzebuje, powiedział. Światło padało z latarni, a twarz nieznamomego była jak ze światła uczyniona. W owych zaś dniach ludzie szukać będą

śmierci, a nie najdą; umrzeć zapragną, lecz śmierć przed nimi pierzchnie. Stryj dotarł do kresu tajemnicy, tej oto: że człowiek otrzymuje dar życia tak, jak otrzymał go Chrystus, w łagodnym kobiecym łonie, dokąd nie trafiają liczne milczące wojska, z dala od zwietrzałych skał, którymi usiana jest przeszłość bez lamp. I jeszcze to, że wszelka energia się wyczerpuje, wszelkie życie umiera i pozostaje tylko siła wszystkiego we wszystkim albo światło zapalone od światła. I jeszcze to, że postać trzymająca latarnię była dzieckiem. A stryj przed tą wiedzą jednak się uchylił i jął łajać a znieważać swoją łódź. Gdzież bowiem był Chrystus tygrys w owym zielonoświętnym świetle? I wtedy każda tajemnica miała znaleźć swój bezkres, a wszystkim ehom miały odpowiadać jedynie ich własne głosy. Wciąż tkwiliśmy w szponach wichrów, więc poprosiłam, żeby zrzucił żagle, a on spojrział na

mnie i ryknął. Niech cię szlag, córko! I to była odpowiedź na ostatnie pytanie. Promienna matka oddała się temu najczarniejszemu z Pomarańczowych. „I ległam z mym chłopem z północnych stron”. Eugene krwawy O’Neill. A skoro tak, to i we mnie to samo. Bębny Ulsteru. A on znowu zawołał. Niech cię szlag, córko! Chyba mi wtedy w głowie trzasnęło parę gałązek. Potem wiatr ustał i zrobiliśmy zwrot przez sztag, jak się patrzy, i popłynęliśmy do domu. Obejrzałam się za siebie, ale już nie zobaczyłam żadnej latarni, dziecka ani leśnego ptaka. I zrozumiałam, że wojny nie toczy Północ z Południem, czarny z białym, młody ze starym, biedny z bogatym, krzyżowiec z poganinem, podżegacz wojenny z pacyfistą, Bóg z diabłem. Toczy ją stryj Malcolm ze stryjem Malcolmem.

Obudziłem się w środku nocy. Sullivan znikła. Wiatr przetoczył po łóżku jakiś karteluszek, a ja

wstałem i zsunąłem górną połowę okna. I wtedy
poczułem zapach piekących się ciastek.

Mężczyźni lubią słuchać opowieści o klęskach, niepowodzeniach, upadkach i zagładzie innych mężczyzn; to ich wzmacnia. Kobiety potrzebują takich nowin o pokonanych duszach, bo czerpią z nich nadzieję, że pojawi się ktoś duży i znękany, komu trzeba będzie matkować. Współczucie mieszka w gruczołach; pierś jest magiczna. Wszystko to oczywiście w żadnym stopniu nie wyjaśnia zdarzeń, które nastąpiły, kiedy Sullivan skończyła mi opowiadać dobranockę.

Zapaliłem światło i wolno ściągnąłem z Sully prześcieradło. Znowu przez chwilę nad nią stałem, a ona mi się przyglądała. Ukląkłem na łóżku i popatrzyłem na nią z góry. Ująłem jej dłoń

i przytknąłem ją sobie do twarzy, po czym zacząłem pogryzać i lizać palce, smakujące bezwonny mydłem. Przyłożyłem obie nasze prawe dłonie do jej prawej piersi. Moja ręka poprowadziła rękę Sullivan do jej ust, a potem w dół po ciele i przez wnętrze mojego uda aż do mojej piersi i wreszcie do warg. Sullivan była artystką, a ja zastanawiałem się, czy zachwyca ją moje ciało, którego aż do tamtej nocy nigdy naprawdę nie widziała. Położyłem jej dłoń między nogami, złączonymi jak u wyuzdanej rzeźby. Ległem na brzuchu w poprzek łóżka, pogryzając i liżąc jej palce o smaku kąpieli i delikatnego potu. Zajrzałem w otwór. Pobawiłem się miękkim ciałem i krętymi włosami. Pocałowałem palce Sullivan, która tymczasem objęła wysoką szparę wskazującym i środkowym, lekko je zginając. Środkowy znalazł się po chwili w moich ustach, a ja wessałem się w jego knykieć, po czym

szybkim ruchem zbliżyłem lewą rękę do jej twarzy i namacałem usta palcem wskazującym, a ona zaczęła go ssać i lizać. Głową i uszami rozepchnąłem jej uda. Rozsunęły się pomału, jakby niechętnie, a zarazem bardzo kunsztownie i wyuzdanie, a ja zanurzyłem język aż po nasadę i popłynąłem we własnym jestestwie w stronę klęski tak sycącej, że nie zostawiała miejsca na odczucie ani zapamiętanie czysto zmysłowej rozkoszy. Znowu klęczałem nad Sullivan, pochylony ku jej piersiom, które zacząłem lizać i wąchać, bawiąc się nimi i lekko trącając palcem sutki. Poprosiłem, żeby stanęła pod ścianą w nogach łóżka. Spełniła tę prośbę. Położyłem się na środku łóżka, szeroko rozkładając ręce i nogi. Sullivan patrzyła na mnie. Wystarczyło, że troszkę uniosłem głowę i przelotnie spojrzałem na własny pępek. Podeszła pomału, w tempie odpowiednim dla wszelkich wyuzdanych podchodów, uklękła na

brzegu łóżka, złapała mnie za kostki, przesunęła dłońmi po moich nogach i jęła osuwać się na mnie z wyraźnym rozmysłem, naśladowując jakieś stworzenie, które od wieków ryje nory w ziemi. Jej dłonie dosięgły celu i na krótką chwilę spotkały się w geście hołdu składanego fallusowi, zanim on sam znalazł się w jej ustach, a ja zacząłem wić się i wyginać. Wkrótce wymogłem na sobie to, że kazałem jej przestać, i znowu ukląknęłam, a ona położyła się na plecach, patrząc na mnie. Jej głowa leżała teraz w nogach łóżka i samo to odwrócenie, sam ten obrót wokół osi wydawał się ogromnie wyuzdany. Pobawiłem się jeszcze trochę jej piersiami. Pocałowałem wargi. Ohyda. Znowu wsunąłem jej między nogi zawinięty język i jeszcze raz pocałowałem wargi, marząc o kołach w białych pokojach, zanim w nią wszedłem, pomalutką orientując się w zasadniczej topografii, i kiedy w niej utkwilem, zawładnęła mną i nastąpił

kolejny obrót wokół osi, odwrócenie wspan na łóżku, jakby miasto zawładnęło armią. Ohyda. Udzieliły mi się jej myśli, takie przynajmniej miałem wrażenie. Stałem się trzecią osobą we własnym (albo jej) umyśle. Wchodząc w nią jak najgłębiej, twardy i dziki do granic, słuchałem, co ona myśli. Mali maminsynkowie. Chce być sam, kiedy się obudzi. David Michała Anioła. Anglosaska osa z Dzikiego Zachodu. Nareszcie w domu.

Poczułem zapach piekących się ciastek. Po kilku sekundach ulotnił się. Osunąłem się na łóżko, podobne do pola, na którym iluś żołnierzy udawało trupy, oddając własne fetory w zamian za woń ziemi i czując rozkosz niezaznaną od czasu dziecięcych zabaw. Znowu zasnąłem. Kiedy się obudziłem, ani trochę nie zdumiała mnie łatwość, z jaką odsunąłem na bok wspomnienie minionej nocy. Znacznie łatwiej jest pogrzebać

rzeczywistość niż pozbyć się snów. Wziąłem prysznic i ogoliłem się. Wyciąłem sobie zakrzywionymi nożyczkami kilka włosów z nosa. W sumie wyglądałem całkiem nieźle jak na to, że skończyłem fragment filmu, wrywając go z siebie razem z krwią i oczami, spełniłem swoje mroczne życzenie (nie bez zwykłej w takich razach paniki), miałem prawie pustą kieszeń i żadnego wyraźnego celu przed sobą.

1. Nowy Jork – ta słodka stara babilońska kinokurwa, ziewająca jak Mae West – nie czekał na mnie z mikrofonami i flotą limuzyn zdobnych we wstęgi.

2. Sieć tymczasem upchnęła już moje służbowe szczątki w jakimś segregatorze z napisem: W OCZEKIWANIU NA POWRÓT DUSZY Z OTCHŁANI.

3. Pozostanie w Fort Curtis nie wchodziło w rachubę; miasto było już tylko sumą swoich

niesfilmowanych monotonii.

4. Do przyczepy też raczej nie miałem już wstępu. Bo niby co mogliśmy sobie nawzajem powiedzieć, Sullivan i ja? (Co kiedykolwiek sobie powiedzieliśmy?)

Ale – nawet z poprawką na to wszystko – w lustrze wyglądałem całkiem, całkiem. Wciąż byłem Davidem Bellem. Umyłem zęby, ubrałem się i usiadłem w fotelu, żeby obciąć paznokcie. Mogłem pewnie pojechać do Montany i zakochać się w kelnerce z białej garkuchni. Kanada mogłaby być przyjemna, zwłaszcza zachód – jeden z ostatnich regionów świata nieskalanych winą. Mogłem przez rok palić haszysz, siedząc w kucki przed Błękitnym Meczetem w Stambule. I raptem do pokoju weszła kobieta w rozpiętym szlafroku, pod którym miała ogrodniczki i sweter. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Zmieniła pościel,

ubijając pięścią materac, a potem poduszkę kantem dłoni jak na treningu karate. Omiotła mnie tym przelotnym, analitycznym spojrzeniem, które każdemu pracownikowi hotelu wystarcza, żeby wydedukować biografię gościa. Wciąż obcinałem paznokcie, patrząc, jak srebrzyste skrawki skaczą w powietrze. Kobieta uporała się z łóżkiem, a brudną pościel wyrzuciła na korytarz. Sięgnęła ręką za futrynę drzwi i wciągnęła do pokoju odkurzacz. Natychmiast cofnąłem nogi. Sprzątaczką włączyła maszynę i zaczęła odkurzać, w jednej ręce trzymając rurę ze szczotką, a drugą co chwila odgarniając sobie włosy z oczu. Na nogach miała kaptcie i grube białe skarpety. Szlafrok był ogromny, bez paska. Mógł należeć do jej męża. Kiedy odkurzacz pełznął obok mnie, pozerając moje paznokcie, podkuliłem nogi i postawiłem stopy na fotelu. Kobieta uklękła i już miała odkurzyć pod łóżkiem, ale odwróciła głowę

i spojrzała na mnie. Mogłem pojechać do Teksasu.

– Tu leżą jakieś papierosy i paczka zapalek. Chce je pan?

– Nie – powiedziałem.

Wciągnęła je odkurzaczem. Nie miałem pojęcia, która godzina. Moje paznokcie w maszynie. Włosy z mojego brzucha i jaj zawinięte w pościel wyrzuconą na korytarz. Kobieta nałożyła na rurę małą szczoteczkę i odkurzyła żaluzje w oknach.

– To vaculux, prawda? – spytałem. – Mój ojciec dawniej go reklamował. Wiele lat temu. Teraz zapuszcza brodę. Na samą myśl czuję się nieswojo.

– Ja tylko robię co do mnie należy – powiedziała kobieta.

Zaraz potem wyszła po cichu: ot, jeszcze jedno błahe zdarzenie, które miało mi utkwić w pamięci. Stopy wciąż trzymałem na fotelu. Niedziałanie

daje początek specyficznej wiedzy, prowadzącej do odkrycia, że można się obejść bez żadnego działania. Świadomość tego faktu sunie naprzód ku sobie i z powrotem, odprężająca i słodka jak nic innego. W drzwiach, które pokojówka zostawiła otwarte, stanęła Sullivan w tym swoim cygańskim trenczu. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Gdybym wystarczająco długo posiedział w fotelu, przyszliby do mnie wszyscy – kanclerze, prefekci, komisarze, dygnitarze – aby spytać, co ja takiego wiem, co mogłoby im się przydać.

– Przyszłaś obejrzeć zwłoki?

– Mogę usiąść?

– Proszę.

Usiadła na poduszce u wezgłowie w pozycji podobnej do mojej, łącząc kolana pod brodą i kładąc na nich dłonie. Nad nią, na ścianie, w przerwie między wypisanymi czarną farbą

słowami, wisiała litografia przedstawiająca Indianina, który płynął swoim kanu po górskim jeziorze. Dość dawno temu obiecałem unikać analogii w opisach Sullivan, ale w tamtej chwili sama przypominała Indiankę – mściwą squaw, gotową po bitwie zejść ze wzgórza i wydrzeć języki martwym żołnierzom, żeby w świecie duchów nie mogli się delektować mięsem bizonów. Wyglądała jak córka Czarnego Noża, fachowa morderczyni.

– Mam nadzieję, David, że rano za mną nie tęskniłeś. Nie mogłam zasnąć, więc wróciłam do przyczepy. Uznałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

– Co się w ogóle stało? Co się zdarzyło czy zaszło? Mam lukę w pamięci.

– Ustał deszcz i doszły do głosu fantazje. Po tym twoim amatorskim filmie pozostał ci dręczący

niepokój. Próbowалаm cię pocieszyć. Chciałeś unurzać się w grzechu, więc postanowiłam ci pomóc. Stara przyjaźń zobowiązuje. David, szczerze cię Kocham i nienawidzę. Kocham cię, bo jesteś pięknym stworzeniem i porządnym chłopcem, bardziej niewinnym niż polna mysz. Jeżeli ktokolwiek na świecie nie ma w sobie ani odrobiny zła, to właśnie ty. A nienawidzę cię za to, że jesteś chory. Choroba do pewnych granic budzi litość. Kiedy się wzmaga, staje się nienawistna. Przypomina osobistą zniewagę. Człowiek ma wtedy ochotę zniszczyć chorobę, niszcząc pacjenta. Jesteś takim uroczym banałem, mój miły, a ja mam nadzieję, że znalazłeś sedno swojego grzechu, chociaż przyznam, że dziś w nocy nie zrobiliśmy ani jednej rzeczy, która wydałaby mi się mocno dziwaczna.

– Pocałuj mnie w dupę – powiedziałem.

– Potrzebujesz pieniędzy?

– Brand kazał ci o to spytać?

– Powiedział, że kończy ci się kasa. Ja jeszcze trochę mam. Prędzej czy później znowu na siebie wpadniemy. Będziesz mi mógł wtedy oddać.

– Poradzę sobie, Sully.

– Dokąd pojedziesz?

– Chyba na Zachód.

– Przykro będzie myśleć, że jesteś tam całkiem sam, David. Naprawdę szczerze cię kocham po swojemu, jak pajęczycyca. Nie będziesz miał do kogo się odezwać. Ani z kim pogrywać. A w tamtych stronach odległości są olbrzymie. Zaparkowaliśmy akurat naprzeciwko. Jedź z nami.

– Dokąd?

– Z powrotem do Maine, a potem do domu.

– A co z Brandem? Zostanie w Maine?

– Jeszcze nie zdecydował – odparła Sullivan. – Wszystko zależy od jego ciotuni Mildred. Jeżeli dostanie od niej trochę pieniędzy, może spróbuje szczęścia w Meksyku. W przeciwnym razie wróci do garażu. Dla niego jedyna nadzieja to rzucić się z powrotem w wir walki. Namawiam go, żeby znów się zaciągnął. Jestem przekonana, że inaczej nie przetrwa. Trzeba stawiać czoło demonom tu i teraz. Prawda, poruczniku?

– Mnie tam nie dręczą żadne demony – powiedziałem. – Mój problem jest ogromny, jak nam obojgu wiadomo, ale ma charakter czysto etniczny. Nie przyjaźnię się z żadnymi Żydami. Skąd wiesz aż tyle o Brandzie?

– Mówi mi to i owo.

– Powiedział ci o swojej powieści? O Wielkiej Amerykańskiej Ryzie Czystego Papieru?

– Szepnął mi parę smutnych szczegółów.

- Kiedy? – spytałem.
- Wtedy w Maine, jak tylko się poznaliśmy.
- Nie przypominam sobie, żebyście tamtego wieczoru chociaż przez chwilę byli sam na sam.
- Przyszedł do pokoju.
- Tego, w którym ty i ja spaliśmy?
- Tak.
- Rozumiem.
- Ukląkł przy łóżku i szeptem zwierzył mi się z paru spraw. Z kilku smutnych drobiazgów. Chciał, żebym poznała prawdę. Chyba sądził, że dzięki temu będzie nam się przyjemniej podróżowało. Oczywiście udzieliłam mu rozgrzeszenia.
- I posunęłaś się, robiąc miejsce w łóżku.
- No właśnie – przyznała Sullivan.
- A ja leżałem w drugim końcu pokoju. Zaiste

był to sen głęboki. I od tamtej pory ze sobą figlujecie?

– To tu, to tam.

– Rozumiem.

– Tak – powiedziała Sullivan.

– Jedno mi się w głowie nie mieści. Jak sobie to organizujecie?

– Chwytałyśmy każdą ulotną sposobność. To było jak wiosna niecierplivej miłości. Na trasie wcale nie szło nam tak łatwo. Od przyjazdu tutaj sprawa trochę ruszyła z miejsca.

– A Pike?

– Trzyma straż – powiedziała Sullivan.

– A pierwszy raz byliście ze sobą wtedy w Maine, kiedy ja leżałem w drugim końcu pokoju.

– To była dosyć śmieszna sytuacja, David. Chrapałeś jak Lyndon Baines Johnson.

– Ja nie chrapię. Nigdy, kurwa, nie chrapię.

W tym, co potem nastąpiło, było coś z burleski, odrobina stylizowanego sadyzmu, strzępy dawnych występów pod namiotami z tortem prosto w twarz. Przerzuciłem nogi przez boczne oparcie fotela, podparłem się rękami i stanąłem na podłodze. Sullivan podniosła się z łóżka, więc teraz już oboje staliśmy. W brudnym podartym trenczu wyglądała jak uczestniczka demonstracji spóźnionej o trzydzieści lat.

– Zaczekaj tu – powiedziałem. – Chcę się pożegnać z tamtymi. Po męsku uścisnąć dłoń towarzyszom. Wypijemy za los.

– A za co wypijemy ty i ja, David?

– Oczywiście za moje zdrowie.

Wszedłem tylnymi drzwiami do przyczepy. Pike i Brand grali w remibrydża. Pike opowiadał o australijskich psach dingo i nawet nie spojrzał

w moją stronę. Stałem za nim, oparłem mu dłoń na ramionach i mocno ścisnąłem. W końcu musiał zamilknąć.

– Dama wzywa.

– A po co? – spytał.

– Pokój dwieście jedenaście. Rusz dupę, pułkowniku.

Pomału wstał i wyszedł, a ja zająłem jego składane krzesło, ale najpierw je obróciłem, żeby położyć na oparciu skrzyżowane ręce, siadając naprzeciw Branda przy stoliku. Bobby miał na sobie kurtkę polową khaki. Ja byłem w znoszonych spodniach ze sztruksu i niebieskiej koszuli roboczej.

– Powiedziała mi – oświadczyłem.

– Kto co ci powiedział?

– Sully powiedziała mi, że bawicie się w lekarza i pielęgniarkę.

– I co z tego?

– Trzeba było mieć jaja, zważywszy, że jestem twoim starym kumplem, a ona była ze mną, jeżeli nie oficjalnie, to niewątpliwie w domniemaniu.

– Jaja się przydają – odparł Brand.

– Znam ją od lat. Nie miałeś prawa tak po prostu się władować.

– Ty ją znałeś od lat, a ja od paru minut. Na jedno wychodzi. Tego rodzaju sprawy należy oceniać z punktu widzenia wieczności.

– Coś ci powiem. Przetraw to. Słuchasz? Wpuściła cię pod kieckę tylko dlatego, że boisz się zostać pisarzem. Kumasz? Radzę ci zaciągnąć się z powrotem do tego cholernego lotnictwa. Naszej armii czegoś brakuje, kiedy ciebie w niej nie ma.

– Przynajmniej latałem, stary. A ty byłeś jakimś tam piechurem czy urzędasem.

– W ogóle mnie nie powołali.

– Typowe.

– Typowe, no nie?

– Jak jasna cholera – powiedział Brand.

– Chodźmy stąd gdzieś, gdzie będzie można się zamachnąć.

– Gadanie nic nie kosztuje.

– Bardzo oryginalna uwaga – stwierdziłem.

Wyszliśmy po wąskim podjeździe na parking za hotelem. Stały tam trzy samochody, dotykając przednimi zderzakami długiej kwadratowej belki. Brand zdjął kurtkę i rzucił ją na ziemię. Złapałem go za to miejsce na przedramieniu, gdzie miał wytatuowane psy, i ścisnąłem. Zrobił zdziwioną minę, krzyknął. Później złapał mnie z boku za szyję i też ścisnął. Wczepieni w siebie nawzajem, staraliśmy się nie krzywić z bólu ani nie krzyczeć. Strasznie mnie bolało. Wiedziałem, że długo nie wytrzymam, więc puściłem Branda i skopałem go

po puszczelach. Pociągnął mnie za włosy. W końcu stanęliśmy twarzą w twarz i znieruchomieliśmy.

– Właściwie dlaczego bijemy się o tę brzydką sukę? – spytałem.

– Ona nie jest brzydka.

– No to pospolita.

– Nie jest nawet pospolita, a ty dobrze o tym wiesz.

– Właśnie że jest pospolita.

– Nie jest – upierał się Brand.

– Nie zdejmiesz okularów?

Zaczęliśmy się mocować, a on ugryzł mnie w ramię. Założyłem mu krawat i powaliłem go, przerzucając przez biodro. Nie kopnąłem go w żebra, chociaż byłaby to najłatwiejsza rzecz na świecie. Kiedy już leżał, łypnął na mnie wściekle i złapał się za krocze. Nie wiedziałem, co ma znaczyć ten dziwny gest.

Pomogłem mu wstać i wyszliśmy przed hotel. Podaliśmy sobie ręce i powiedziałem Brandowi, że może sobie wziąć mój samochód albo go sprzedać i zatrzymać pieniądze; tak czy owak wóz był jego. Potem zajrzałem do przyczepy i ukradłem z jej tylnej części radio Sullivan. Oddałem je na przechowanie recepcjoniście i poszedłem na górę. Powiedziałem tamtym dwojgu, że Brand czeka, i życzyliśmy sobie powodzenia. Pike i ja pożegnaliśmy się uściskiem dłoni. Sullivan pocałowała mnie w policzek. Kiedy wyszli, spakowałem do dwóch walizek swoje rzeczy, razem z kamerą, która ważyła tylko niecałe cztery kilo, oraz wszystkimi szpulami taśmy magnetofonowej i rolkami filmu. Postanowiłem zostawić statyw i magnetofon, a także garnitur, sportową marynarkę i dwie pary butów. Wezwałem recepcjonistę i powiedziałem mu, że cały ten kram jest jego i wystarczy aż nadto na

pokrycie kosztów odmalowania pokoju. Odszedł, wyraźnie skołowany. Wyonimizowałem się w czystą pościel, z dziwnie wydrążającą radością, chłodną, niedbałą rozkoszą, jakiej doznajemy w chwilach, gdy nic nie jest przewidziane, a wszystko, co zostaje za nami, sprawia wrażenie balastu, którym powinien się zająć kler niższej rangi. Zszedłem na dół i wepchnąłem radio do walizki. A potem rozpocząłem pierwszy etap drugiej podróży, wielkiego badawczego skoku w otchłań Ameryki, tych pustkowi, o których marzyli wszyscy poeci i drużynowi skautów, skoku na Zachód, ku naszemu objawionemu przeznaczeniu, ku niepodległym czerwonym lasom i kolorowym piaskom, ku złociście przeistoczonym wzgórzom, na Zachód, żeby spasować cień swojego wizerunku z cieniem własnego ja.

Część czwarta

Bezszelestnie zapadam się w siebie. Ilekroć wygasa kolejna pasja, duch kurczy się, niezależnie od tego, czy sezon upływa pod znakiem bólu czy miłości, gdy zaś przygotowuję te ostatnie stronicę, czuję, że z wolna osuwam się w śmierć kliniczną, w sen niezbyt złowrogi, a mimo to wężutki i bezdenny. Chyba niewiele już ze mnie zostało.

1. Stężona samotność staje się nieznośna dopiero wtedy, gdy nie ma się już nic do powiedzenia bliźniemu.

2. Święci mówią do ptaków, ale tylko wariaci doczekują się odpowiedzi.

Doszedłem do etapu, gdy układanie aforyzmów

wydaje się nader godną namiastką zacnej kompanii albo obłądu. Opowieść ta z pewnością nie umywa się ani do jednego, ani do drugiego. Zbyt wiele w niej zniekształcono w imię symetrii. Życie każdego z nas było najkrótszą odległością między dwoma punktami – narodzinami i chaosem – ale opowiedziana na tych stronicach historia jest tak uładzona, że stanowi nieomal wybawienie od chaosu. Zbyt wiele w niej zapomniano w imię pamięci. Nie ma ani słowa o bliźnie na moim prawym palcu wskazującym, o białym lekarstwie, które zażywałem w dzieciństwie, o eterycznych wizjach przy wycinaniu migdałków. W moim umyśle echo tych dalekich spraw brzmi jak grom, trwalsze od nieśmiertelnych ksiąg, długich i krótkich wojen czy międzyplanetarnych podróży. Krótko mówiąc, zabrakło mi sprytu. Obrąłem drogę środka – ani przez niebo, ani przez piekło – i żadne egoistyczne badania, choćby nie wiedzieć

jak dogłębne, nie przekonają mnie, że to nie na najdalszych peryferiach świadomości sprytowi wyrastają najostrzejsze szpony. Nie żeby to dzieło powstało na próżno. Owszem, miły z niego przedmiot. Lubię patrzeć na równiutko ułożony maszynopis – setki kartek, których niejednakowość pozostaje ukryta przed moim wzrokiem. Co pewien czas przenoszę je do innego pokoju, żeby się zdziwić, kiedy tam wejdę i je zobaczę. Ilekroć widzę na sosnowym stole własną książkę, niezawodnie się wzruszam: taka wydaje się poetyczna w swoim osamotnieniu, zastygła w bezruchu, a w bijącym od niej ponadczasowym świetle jest nawet coś z Cézanne’a. Prosty przedmiot, pudełkowaty odpowiednik rolek filmu, które przechowuję w klimatyzowanym skarbczyku.

Ostatnio z uwagą oglądam nakręcony materiał, godzinę za godziną. Gdzieniegdzie odkrywam w nim kalekie piękno: oto Sullivan na huśtawce

jak złowrogi cień, wysoka ciemna czapla brodząca w czyimś pustym śnie. Epizody z Fort Curtis są tylko częścią tego, co w końcu stało się filmem z ciszy i mroku. Całość trwa prawie tydzień i jest niezmontowanym owocem paroletniej pracy. Oglądana w kolejności powstawania, stopniowo mrocznieje i niemiej. Są w niej zatem fragmenty z Fort Curtis. Są demonstracje, przemówienia, parady, rozruchy. Są moje wakacje w Vermoncie, ludzie wchodzący do mojego mieszkania i wybrane wątki pewnego romansu. Potem następują długie nieocenzurowane sceny, w których znajomi i obcy deklamują przed kamerą swój obłęd. Na tym etapie zrezygnowałem już z dźwięku. Są domy, najrozmaitsze domy z wszelkich okolic, jakie odwiedzałem. Są stoiska z gazetami, wystawy sklepowe, dworce autobusowe i poczekalnie. Są zakonnice, setki zakonnic, tak bardzo czarnych i białych, a ich

długie procesje stanowią doskonały temat, bezszelestne jak przebierane palcami paciorki różańca. Potem na krótko wróciłem do pojedynczych osób: kobiet i chłopców w szpitalnych korytarzach, głuchoniemych szachistów, ludzi w tunelach. Prawdziwej sztuki nie sposób było znaleźć w teatrach. To my sami byliśmy prawdziwą sztuką i potrzebowaliśmy cieni, żeby na nich rysować swoim światłem jak kredą, szybkości, żeby sobie poradzić z sekwencją, i nieskończenie małych otworków, żeby w nich posiać swoją świadomość. Potem zacząłem niedoświetlać, coraz bardziej upraszczać warsztat, unicestwiając kształty i światło, próbując rozwiązać ciemność, wchodząc w nią całym sobą. Pod koniec filmu pojawiają się muzea, chmurne sceny kręcone w marmurowych salach, zupełnie pustych, podmorskich z wyglądu, miażdżonych mrokiem pełznącym od krawędzi ekranu, a w nich

ledwo widoczni królowie z wapienia, miłe flamandzkie damy w kwadratowych ramach i wreszcie długo, długo nic. Na samym końcu ukazuję się przez moment we własnej osobie, odbity w lustrze, z kamerą w rękę, podczas pierwszej sceny z Fort Curtis. Tych dwadzieścia sekund filmu służy zarazem za jego początek.

Ten film najlepiej się sprawdza jako rodzaj nieprześcignionego schizogramu, ćwiczenie z diametryki zmierzające do odczynienia znaczeń. Lubię dotykać tej taśmy. Lubię patrzeć, jak się przewija w projektorze. Jest moim osiągnięciem. Chirurgiczna szczerłość Sullivan i Branda nauczyła mnie bać się artysty, a jednocześnie mu zazdrościć. (Oczywiście Brand okazał się autorem pustych stron. Tak właśnie o nim myślę: dla mnie stanowczo był powieściopisarzem, niewątpliwie utalentowanym adeptem tego rzemiosła, tyle że wybierał słowa w kolorze papieru, na którym

писаł). Wierząc, że tamci dwoje są artystami, też chciałem zostać kimś takim: człowiekiem gotowym zająć się zawilościami prawdy. Świetnie mi się to udało. Ostatecznie wylądowałem w ciszy, w ciemności i teraz siedzę bez ruchu – twórca obiektów imitujących moją predylekcję.

Z okna widzę ocean, ciągnący się hen, w dal, rozkołysany pod gładką płachtą gniewnego blasku, jaka powleka wszelkie wody przy złej pogodzie. Później pospaceruję z godzinkę po plaży. Jeżeli tymczasem się przejaśni, będzie widać wybrzeże Afryki, wielki brązowy łuk równikowych lędźwi. Ale na razie z przyjemnością oczekuję chwili, gdy (w następnym podrozdziale) wślizgnę się z powrotem w znacznie bardziej filmogeniczny okres swojego życia.

Nadejścia nowego stulecia nie uczczą żadne fajerwerki. Żadne agonie w ogrodzie. Oto noc

wzywa nas skinieniem, a pierwszą lampę zapali ten, kto skoczy z urwiska i nauczy się fruwać, wzbije się aż ku tropikom słońca i oderwie przyciśniętą do piersi dłoń, aby zaczerpnąć nią ognia. Szum oceanu zdaje się zatracać we własnej wybuchowej namiętności. Mam na sobie spodnie z białej flaneli.

Paleolityczny cadillac Clevengera był koloru lawendy i miał klimatyzację, puszyste dywaniki, wyściełaną deskę rozdzielczą, magnetofon stereo oraz alarm. Właściciel wyglądał za kierownicą jak dżokej weteran, ani trochę nie onieśmielony wspaniałością własnych barw. Ten drobny człowieczek z szyją ze spękanej gliny, poprzekreślaną szerokimi, głębokimi rysami, mógł mieć koło pięćdziesiątki. Był Teksaszczykiem. Zgarnął mnie z szosy gdzieś w Missouri, gdzie bawił z wizytą u siostry i jej rodziny. Kiedy mu

powiedziałem, że podróżuję bez wyraźnego celu, uśmiechnął się i kazał wsiadać. Uśmiechał się przez prawie całe Kansas, a ja mogłem się tylko domyślać, że jego własna młodość też skrywa jakiś suchy sekret z czasów uniesionego kciuka, wagonów towarowych i nocy spędzanych wśród nieśpiwnych mężczyzn w przyczajonym blasku ognisk. Zatrzymywaliśmy się w najdroższych motelach, a Clevenger na śniadanie zamawiał stek z bratkartoflami. Zarządzał torem doświadczalnym, na którym testowano opony do samochodów osobowych, furgonetek i ciężarówek. Tor leżał w zachodnim Teksasie, tuż pod miasteczkiem zwanym Rooster, czyli Kogut. Clevenger właśnie zaczął ostatni tydzień urlopu i załatwiał prywatne interesy, najwyraźniej bardzo dochodowe i geograficznie rozległe. Po Kansas urwaliśmy samorożek południowo-wschodniego Kolorado i pomknęliśmy szarżą przez Nowy Meksyk. Podróż

była strasznie nudna. Nieustannie sunęliśmy w stronę szwu łączącego ziemię z niebem, ale nigdy tam nie docieraliśmy i nie było już nic do odkrycia, a czas popadł w zupełny zamęt. Nad górami i pustynią śmigały szkolno-treningowe odrzutowce. Przeszłość powracała w plastiku. Równowaga w przyrodzie chwiała się i wyglądało na to, że żadna rzecz nie jest dokładną sumą swoich składowych. Policjantom sterczały kabury. Prądy historii i geografii ulegały zgrabnemu odwróceniu: w jadłospisie restauracji stylizowanej na dawne pogranicze wspomniano, że główna jadalnia jest wierną kopią głównej jadalni słynnej nowojorskiej knajpy Bydlarz z Czterdziestej Piątej Ulicy. Ludzie łowili ryby, polowali, zabierali synów na zwiedzanie nowej bazy wojskowej, która nieuchronnie pojawiała się na ich trasie, a o miastach w rodzaju Phoenix czy Vegas mówili takim tonem, jakby wspominali

jakaś teleskopowo odległą chwilę, mgliście zieloną ulotkę z dzieciństwa na planecie zwanej Ziemią. Wszystkie tamte dni nie były w gruncie rzeczy tak znów bardzo dalekie od ludzkich wyobrażeń o życiu w kolonii na Księżycu. Co krok napotykałismy Indian, którzy przemierzali krajobraz jak złaknieni tlenu robotnicy, zesłani do przenoszenia kamieni w na wskroś kamiennym pejzażu. Kenneth Watling Wild (z Chicago, River Forest, korpusu piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, Leighton Gage College, znowu z Chicago, z Bezsensowności i niewątpliwie raz jeszcze z River Forest) napisał kiedyś:

Śmierć przyszła w nocy dwójkami

Dysząc pomstą whisky.

Nasze karabiny leżały nad rzeką.

A więc także i to, księżyc i łaciate mustangi, odczuwałem jak przychodzenie i odchodzenie czasu wyzwolonego z wszelkich niewiadomych pęt. Mijaliśmy i zostawialiśmy za sobą raczej literaturę niż ludzi i kaktusy. Przedtem latami więziła mnie odsłaniająca się stopniowo tajemnica tego zapadłego kraju, gęste akapity oraz majestatyczne fotografie, galop zdyszanych przymiotników, prawda prerii i czysta śmierć ofiar orłów, pustynia okryta farbami Nawahów, obrazy z surrealistycznego kina, uwiązane do pomp komory sercowe, murowane budowle w kanionie Chaco i przewieszona przez ramię gitara, płuca kościelnych organów i łupkowe skały imperiów, korale w tym dziwnym miejscu, wyglądające jak pozostałości morza, i wreszcie błogosławione podobizny Boga na ścianach zabobonnych gór. Mniejsza o to, czy powieści i piosenki przywłaszczyły sobie ten kraj, czy też wzięły

stamtąd coś prawdziwego. Rzecz w tym, że moje przedsięwzięcie miało charakter czysto literacki, było poszukiwaniem desenu i motywu, próbą przerobienia czegoś dzikiego na wybredny referat o esencji duszy narodu. Próbą sformułowania. Znalezienia wspólnych ogniw. Ale w korytach strumieni płonął wiatr, ledwo poruszając glebę, i nie istniało nic, co mógłbym sam sobie obwieścić jako historyczne objawienie. Nawet gdy dziś to piszę, niewiele mogę przekazać z tego, co widziałem. Cadillac robił średnio ponad sto czterdzieści na godzinę, a jego szyby miały kolor butelkowej zieleni dla wygody spieczonych słońcem oczu Clevengera.

Jego nigdy jednak nie męczyło prowadzenie auta. Zatrzymywaliśmy się tylko na nocleg i posiłek. Clevenger sporo telefonował, czasem z kimś się spotykał, a parokrotnie przystawał na chwilę tuż za miastem i taksował wzrokiem jakąś

rozległą posiadłość. Ale tak rozplanowywał te postoje, żeby przy okazji przespać się, coś zjeść i ruszyć dalej. Uwielbiał być w trasie. Szosa biegła po prostej o ściśle wytyczonej długości oraz krawędziach i można było się nią posuwać jedynie w najmniej skomplikowany sposób. Jakaś zaciszna droga wijąca się serpentynami przez najwyższe góry Bawarii rozsadziłaby mu umysł. Czasem oddawał mi kierownicę, ale wyłącznie z uprzejmości. Kiedy sam nie prowadził, ledwo się odzywał, aż pomyślałem, że kierownica jest może jego sekretnym nałogiem, jedynym kołem w jego życiu, a on bez niej prawie zupełnie się gubi. Czas ślizgał się w przód i w tył, przyroda miała przesunięty środek ciężkości, a ja słuchałem radia. Raz po raz przełączałem z samochodowego na magnetofon albo na przenośne radio Sullivan, dzięki któremu świat się kurczył. Chwilami udawało mi się tak dynamicznie zmiksować

sygnały, że na przemówienia mężów stanu lub teksty reklam nakładały się soul-rockowe okrzyki. Podrajcowany tym Clevenger łaskotał pedał gazu i wbijał łokieć w wyściełane drzwi. Przeważnie słuchaliśmy radia Sullivan, więc wewnątrz samochodu wypełniał big-beat, gospel, soul z czarnego getta, archaiczny blues grany na tarkach i dzbanach, chropawy country rock, anemiczny rock studencki z ciut sepleniącymi wokalistami, elektryczne obscena i doom, dzikie skrzypki z Nashville, arabskie udy, tamburyny i chutliwe bębny, a z nadejściem nocy kręciłem gałkami, polując na jazz, i przy odrobinie szczęścia udawało mi się złapać fragment katatonicznego Monka albo Sun Ra w zderzeniu z antymaterią, a wtedy jakaś nuta spinała w całość kawałki rozprzestrzeniającej się nocy i wszystko na chwilę nabierało sensu, szalone alikwoty obdarowywały prawie całkowitą poczytalnością tych, co są ze

śmiercią za pan brat, i tak zmierzaliśmy ku zatoce pierwszego brzasku, podczas gdy po mnie przejeżdżała ta czarna muzyka, a ponieważ się nią zachwyciałem, czułem się obcy, bo nie byłem za pan brat z niczym.

Przy śniadaniu Clevenger łypał okiem na kelnerkę, powolną w ruchach kobietę w białym uniformie, bez pończoch, która doskonale знаła rozkład napięć we własnym ciele, jego prężne i elastyczne punkty, i tak świetnie potrafiła wydobyć z chodzenia i stania wszystko, co się dało, że po kilku minutach uniform był już mniej lub bardziej zbędnym dodatkiem. Clevenger zamówił dobrze wysmażony stek, a zanim zapalił papierosa, przeciągnął dwoma palcami po całej jego długości.

– Jedne kobity się dyma – powiedział. – Inne się rżnie, jeszcze inne się wali, a są i takie, które się

ujeżdża. Ta tutaj to mistrzowska jazda i jeszcze pół na dodatek. Podróż wielbłądem głęboko pod powierzchnię morza. Skok w bok wart życia rok. Solidny towar.

– Najbardziej bierze mnie to, że nie ma pończoch – odparłem.

– Od braku pończoch lepsze są tylko pończochy. To przez nie stajemy na rzęsach. Wciąż jeszcze dobrze się dzieje na tym starym świecie, póki małe dziewczuszki dorastają.

– Kiedy ma pan być w domu? – spytałem.

– Za trzy dni – odparł. – Przedtem muszę wstąpić do Phoenix. Jedź ze mną, Dave. Żonka się ucieszy, że przywiozłem kogoś do towarzystwa. Nudzi jej się tam. Stale i wciąż tylko kojoty i Meksykanie. Jest z San Antonio i jak dobrze pójdzie, uda mi się tam z nią z powrotem przeprowadzić. San Antonio to piękne miasto.

Kobitka nie żyje w zgodzie z moją siostrą. Inaczej musiałbym ją zabrać w tę podróż. Wszystko w końcu samo na dobre wychodzi, trzeba tylko cierpliwie czekać. No popatrz, jakie ona ma nogi. Niesamowite. Niesamowita z niej sztuka.

– Chyba nie powinienem za długo się z panem wozić. Już i tak nadużyłem gościnności.

– Cholera, Dave, nie przejmuj się tym.

– Jestem właściwie splukany. Muszę się za coś wziąć.

– Mogę ci pomóc na jakiś czas się urządzić. Do diabła, przecież umiesz prowadzić wóz. Jedź ze mną i rzuć okiem na tor. Dużo tam nie zarobisz, ale przynajmniej chapniesz trochę gotówki, kiedy będziesz się zastanawiał, co dalej.

– Może i tak zrobię.

– Żadne może. I odtąd trzymaj forszę w kieszeni. Nie musisz za nic płacić. Wszystko biorę na

siebie. Jeszcze się nieźle uchachamy, zanim się skończy ta eskapada.

Po drodze do toalety zagadnął kelnerkę, a ona uśmiechnęła się pełnymi wargami, mrużąc oczy: może była to miła, życzliwa odprawa, a może sprytna zachęta, żeby jeszcze wstąpił, kiedy będzie jechał z powrotem. Potem ruszyliśmy dalej i Clevenger był szczęśliwy jak nigdy dotąd. Ta kobieta poruszyła w nim jakąś głęboką zastoinę krwi, precyzyjnie i nikczemnie wyrównała obrzeża jego nastroju, więc aż do późnego popołudnia gadał jak najęty, robiąc prawie sto sześćdziesiąt na godzinę, pochylony nad kierownicą, aż lekko unosił tyłek, siedząc na udach. Zwierzył mi się, że ma na koncie dwa rozwody. Pokiwał przy tym głową i złożył palce w zwycięskie V. Jego pierwsza żona miała trochę krwi meksykańskiej, trochę Apaczów, trochę walijskiej i jeszcze parę kropel po Francuzach z Kanady. Poznał ją, mając

dziewiętnaście lat, a ona była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział. Schody się zaczęły, kiedy spróbowała odgryźć mu prawe ucho podczas kłótni o innego faceta. Wskazał palcem okolice własnej skroni, a ja nachyliłem się, żeby przyjrzeć się dokładniej, i chociaż ucho wyglądało całkiem zwyczajnie, pokiwałem głową. Druga żona była ekspedientką. Nie miał z nią żadnych kłopotów. Po całych dniach siedziała w sklepie z tanimi drobiazgami, sprzedając zabawki i różne takie. Wieczorami gotowała, sprzątała, prasowała i cerowała. W końcu zaczął ją bić.

Miałem na głowie swoją czarodziejską czapkę z daszkiem, tę w kratę. Clevenger pędził w głąb Arizony. Kiedy spytałem, gdzie jest wielki rezerwat Nawahów, powiedział, że zostawiliśmy go daleko na północy, ale się tym nie przejąłem. Podczas lunchu w knajpie o wystroju w odcieniu zgaszonego błękitu poszedłem do toalety

i spojrziałem w lustro. Niestrzyżone od wyjazdu z Nowego Jorku włosy mocno mi urosły. Podobało mi się, że jest ich tak dużo z tyłu i pod czapką, zsuniętą na oczy i lekko na bakier. Od dwóch dni się nie goliłem, ale było mi z tym do twarzy. Właściwie to już nieraz mi mówiono, że taka szczecina blond jest całkiem twarzowa. Sprawdziłem, czy nie sypie mi się łupież. Nazajutrz mieliśmy dojechać do Phoenix.

– Nie możesz im się dać – rzekł Clevenger.

– Komu?

– Nikomu z tych, co depczą ci po piętach.

Minęliśmy jakiegoś młodego faceta, ale nie niósł gitary, a zresztą Kyrie nie zdążyłby przecież tak daleko dojść. Cała ziemia za przednią szybą była limfatycznie bladozielona, jakby popsute nagle słońce zalało tę kaleką cywilizację podwodnym światłem. Dobre i złe łona. Ziemia

się zakrzywiała. Wyobraziłem sobie swoje mieszkanie, puste, ciemne i ciche, meble od Johna Widdicomba, garnitury od F.R. Triplera i J. Pressa, albumy z reprodukcjami od Rizzolego, dywany od W & J Sloane'a, akcesoria kominkowe od Williama H. Jacksona, sztuce od Bonniersa, kryształły od Steubena, buty od Banistera, dżin House of Lords, koszule od Ganta i Hathaway'a, zestaw stereo skompletowany z urządzeń Garrarda, Stantona i Fishera, krawaty od Countess Mara, ręczniki od Fieldcresta, różne drobiazgi od Takashimai. Lunch zjedliśmy w ogromnym przeszklonym barze tuż przy autostradzie. Stało przed nim kilkanaście tirów. Po lunchu zadzwoniłem do siebie na koszt rozmówcy i chwilę posłuchałem, jak dźwięk telefonu rozbrzmiewa w pustych pokojach. Było to smutne i urocze doznanie. Wręcz widziałem kurz osiadający na stołach, książkach i parapetach.

Wszystko trwało w bezruchu, a ja prawie mogłem przejść się po mieszkaniu, dotknąć krawędzi gzymsu nad kominkiem i przewrócić kartkę w książce, otwartej na stoliku przy kanapie. Palcem wskazującym narysowałem grubą krechę w warstwie kurzu na radiu. Słuchając, jak dzwoni telefon, dmuchnąłem na plastikową kotarę prysznicową i spojrzałem w lustro nad umywalką. Czytałem tę książkę zaledwie przed kilkoma tygodniami, więc było całkiem do pomyślenia, że wciąż jej się trzyma jakiś osobliwy obłoczek eteru, utrwalając na wieki chwilę, gdy mój wilgotny palec przewracał kartkę. A potem pokoje znowu opustoszały, nawet w moim umyśle. Nie było mnie tam i nic się nie ruszało. Pozostał tylko dźwięk telefonu.

Kierowcy tirów siedzieli nad kubkami kawy jakby w powściąganym delirium. Po tysiąc razy zrobili to, co zrobić należało, i aż nazbyt dobrze

rozumieli każdą związaną z tym czynność. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Clevenger zza kierownicy wskazał palcem skupisko dziesięciu czy dwunastu chat w płytkiej dolinie jakieś trzysta metrów od szosy. Wyglądały, jakby zbudowano je z drewna i gliny. Clevenger zwolnił, zjechał na pobocze i zahamował.

– Tam siedzą – powiedział. – Rok temu było ich może troje czy czworo. A teraz podobnież jest już prawie dwudziestka.

– Co to za jedni?

– Jakaś smarkateria. Młodszy od ciebie. Mieszkają tam z Indianami. Ni cholery nie rozumiem, co kombinują. Podobno twierdzą, że mają do tej ziemi prawo przez zasiedzenie. Ale zajęli państwowe grunty, więc to tylko kwestia czasu.

– Chyba chciałbym rzucić na nich okiem.

Pozwoli pan?

– Żyjemy w wolnym kraju, chłopcze.

– Może powinienem zabrać swoje rzeczy. Już i tak miał pan ze mną dosyć kłopotu.

– Wiesz co – rzekł Clevenger. – Idź tam do nich i się rozejrzyj. Ja tymczasem skoczę do Phoenix, a potem wstąpię po ciebie, jak tylko będę mógł. Mam dwóch żydłaków do wyrolowania. Zajmie mi to najwyżej parę godzin. A potem ruszymy dalej.

– Miał pan ze mną dosyć kłopotu, panie Clevenger.

– Bierz dupę w troki, synu. I naucz się mówić mi „kapitanie”, tak jak chłopaki na torze.

Zsunąłem się po nasypie i przeszedłem przez pustkowie pokryte płaskimi kamieniami i porośnięte kępami bylicy. Chaty stały bez ładu ni składu i nie było między nimi żadnego placu czy centralnego punktu. Na ziemi siedziało troje ludzi:

dwaj młodzi faceci i biała dziewczyna z indiańskim dzieckiem na ręku. Usiadłem obok jednego z facetów. Był boso i bez koszuli, w beżowych spodniach przyciętych nad kolanami.

– Dave Bell – przedstawiłem się. – Wstąpiłem tylko, żeby się rozejrzeć.

– Ja jestem Cliff, a on Hogue. To jest Verna, a dziecku na imię Tommy. A może to Jeff?

– To Jeff – przytaknął ten drugi.

– Czyli mieszkacie z Indianami. Jak wam leci?

– Zupełna totalka – powiedział Cliff. – Żadna inna scena nie wytrzymuje porównania z naszą. Wszyscy żyjemy jak ludzie. Jest tu mnóstwo miłości, chociaż bywa monotennie.

– To są Nawahowie, czy kto?

– Apacze. Wygnańcy ze szczepu Apaczów, który mieszka jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód. Jakby wykolejeńcy. Nie chcieli hodować

bydła tak jak reszta plemienia. Jest ich tu tylko jedenaścioro, ale spodziewamy się następnych. Nas jest osiemnaścioro. Wolelibyśmy, żeby ich było więcej niż nas. Ze względów emocjonalnych.

– Nie chcę tak zaraz na dzień dobry was krytykować, bo pewnie wiele osób to robi, ale nie bardzo rozumiem, co tu zamierzacie osiągnąć.

– Nic nie zamierzamy. Po prostu nie chcemy brać udziału w tym festiwalu śmierci, który nas otacza.

– Idzie Jill – powiedział Hogue.

Była bardzo chuda i podchodziła do nas jakby bokiem, w drobnych podskokach. Dawałem jej najwyżej siedemnaście lat. Miała kasztanowe włosy o rudawym odcieniu, a wokół nosa rój kilkadziesiątu spłowiałych piegów. Przedstawiliśmy się sobie i wyjaśniliśmy to i owo, po czym zaofiarowała się, że mnie oprowadzi.

Podobało mi się to, jak odsłaniała dżiąsła w uśmiechu.

– Jestem z Trenton w New Jersey – powiedziała.

– A ja z Nowego Jorku.

– Sąsiedzi!

Miała na sobie męską białą koszulę, której poły związała w talii, i przycięte nad kolanami dżinsy. Weszliśmy do chaty. Na klepisku leżał dywan, kilka słomianych mat, śpiwór i zrolowane koce, reprodukcja Matisse'a stała oparta o ścianę, no i tyle. Mężczyzna o niebieskich włosach spał na macie. Było gorąco i ciemno. Usiedliśmy na ziemi.

– Jesteś szczęśliwa? – spytałem.

– Wszyscy jesteśmy szczęśliwi. To najszczęśliwsze miejsce na świecie. Mówię serio.

– Indianie też są szczęśliwi?

– Trudno wyczuć. Mało się odzywają. Ale

chyba są szczęśliwsi niż przedtem, bo inaczej wróciliby na ranczo.

– Jesteś bardzo młoda jak na ten styl życia. Nie żebym chciał cię krytykować. Uciekłaś z domu?

– Oboje z tatą uciekliśmy. Przez mamę dostawaliśmy świra. W kółko na okrągło odstawiała psychodramę. Chyba ją kocham i w ogóle, ale w końcu zrobiło się nie do wytrzymania. Nic tylko piła, paliła i dzwoniła do taty do biura, żeby na niego nawrzeszczyć, aż wreszcie przestał wracać do domu. A potem przyjechał odebrać mnie ze szkoły i jak mama wyszła do sklepu, wykradliśmy z domu moje rzeczy, wsiedliśmy do auta i uciekliśmy. Tata mieszka teraz w Tempe i próbuje założyć pralnię. Przyjeżdża tu do mnie na weekendy.

– Nie nudzi ci się?

– Wszystko jest lepsze niż wysługiwać się

maszynie śmierci. Staramy się jednakowo ubierać. Prosto i pięknie. Ale to nie żaden mundur, tylko przejaw wspólnej świadomości grupy. Tak jakby każdy był tobą, a ty każdym. Seks załatwia się głównie solo. Możesz patrzeć, jak ktoś sam sobie robi dobrze, a potem tamten albo tamta może się poprzyglądać, jak ty to sobie robisz. To lepszy sposób, bo tak jest w sumie czystiej i wszystko staje się jednią, a w dodatku można to robić z różnymi ludźmi i nikt zaraz nie leci po strzelbę, tak jak w maszynie śmierci wszędzie indziej. Seks u nas nie zawsze jest solo, ale przeważnie tak, a jeżeli nie, to we dwoje, bo w parach wciąż jest najpiękniej. Nie wiem, jak to robią Indianie.

– Słuchaj, Jill, nie jestem żadnym reporterem ani nikim takim, więc nie musisz mi się zwierzać z intymnych czy delikatnych spraw.

– Nic mi to nie robi – odparła. – Mogę ci

wszystko powiedzieć, bo jesteś podobny do mojego brata. Zabiła go policja.

– Przykro mi.

– Mniejsza o to. Bardzo go kochałam, ale jego śmierć mnie nie zasmuciła. Trzeba umieć się wznieść ponad takie sprawy.

– A ten facet to kto?

– Nieprawdopodobny Pokurcz. Zawsze o tej porze śpi. W nocy chodzi na pustynię. To on to wszystko zaczął. Ma w sobie mnóstwo miłości. Jego też niedługo zabiją. Wierzy, że fantastyka naukowa mówi prawdę. Kosmos jest miłością. Jest w nim jakieś życie i jak już nauczymy się gościnnie je witać, zamiast się go bać, przekonamy się, że ono niesie miłość. A Nieprawdopodobny przybrał sobie ksywkę od takiego jednego starego filmu science fiction^[3]. W nocy chodzi na pustynię i wypatruje UFO. Mnóstwo już ich widział.

Wszyscy je widzieliśmy. To dobry punkt obserwacyjny. Między innymi dlatego Nieprawdopodobny założył tę komunę właśnie tu. Widoczność jest fantastyczna. A potem go zabijają za to, że głosi miłość.

– Ja wierzę w latające spodki.

– Prawie wszyscy w nie wierzą – powiedziała Jill. – Ale ludzie boją się sami sobie przyznać do różnych rzeczy. Jeżeli uda nam się nauczyć gościnności, a oduczyć strachu, cały wszechświat zafaluje miłością. Ale festiwal śmierci nieustannie trwa. Dlatego niektórym jest ciężko.

– Na studiach znałem chłopaka, który potem zrobił to samo, co wy. Z dnia na dzień rzucił uczelnię i zamieszkał wśród Indian Havasupai. Schudł o jakieś dwadzieścia czy dwadzieścia pięć kilo.

– Oni mieszkają na północ od nas. To chyba

plemię rolników i hodowców.

– Ciekawe, czy on wciąż u nich jest. Leonard Zajac. Wybitnie inteligentny chłopak.

– Ze wszystkich komun tylko my jesteśmy nastawieni na fantastykę naukową.

– Znam też faceta, który idzie piechotą do Kalifornii – dodałem.

Nieprawdopodobny Pokurcz uniósł się na posłaniu i podparł łokciem. Miał na sobie tylko kraciaste bermudy. W przeciwieństwie do reszty mieszkańców, którzy wyglądali raczej na niedożywionych, był bardzo opalony i muskularny. Włosy sięgały mu prawie do ramion. Kiedy wstaliśmy, żeby się przywitać, okazało się, że ma jakieś dwa metry wzrostu. Był szczupły w talii i barczysty. Delikatnie podał mi rękę. Poczułem, że za mocno ją ściskam. Potem znów usiedliśmy na ziemi.

– To ciekawe, co wy tu robicie – powiedziałem.

– Miejscowi nas się boją – odparł Nieprawdopodobny. – Nie rozumieją, że jesteśmy od nich znacznie bardziej konserwatywni. To szczególnie konserwatywna osada. Chcemy trzymać się tego co stare. Ziemi. Obyczajów. Słów. Idei. Niestety, po takich dzikich okolicach jak ta już niedługo zostanie tylko wspomnienie. I wtedy wylądują latające talerze, a nasze dzieci, chcąc nie chcąc, przyjmą nowoczesną technologię. Jeżeli nie będą na nią gotowe, jeżeli ich zawczasu nie przygotujemy, powstanie straszny zamęt. Musimy nauczyć się akceptować fakty z dziedziny technologii, nie ulegając emocjom, jakie ona budzi, czyli impulsowi śmierci. Ale już wkrótce wielki rząd odbierze nam tę ziemię i zainstaluje silosy, rakiety i lasery, żeby nie dopuścić do lądowania UFO. Wielki rząd prędzej czy później wszystko wykasza. Histerycy mają w garści

wszystkie spluwy. Alfonsi i propagandziści dorywają się do władzy. Ratunkiem jest nijakość. Bądź identyczny jak twój sąsiad, jego sąsiad i sąsiad tego drugiego. Nadjeżdża cyrk śmierci, więc dobrotliwy totalitaryzm to jedyna możliwa odpowiedź.

– Nie jestem dziennikarzem – powiedziałem.

– Kimkolwiek jesteś, czuj się zaproszony. Wszyscy są zaproszeni. Miłość żyje w naszej własnej galaktyce. Śpiewamy o dziewiątej.

– Słyszałem od Jill, że nieraz widywałeś na pustyni UFO.

– On mówi na nie „miłosne obiekty” – wtrąciła dziewczyna.

– Widziałem dziesiątki UFO. Nocne twory pełne miłości. Ale nie wylądują, póki nie nadejdzie odpowiednia pora. To, co ważne, czeka tam daleko. Na Jowiszu i dalej niż nieskończoność.

– Mam na temat UFO własną teorię – oświadczyłem. – One wcale nie przylatują z kosmosu. Wynurzają się z oceanów. Z głębi naszych własnych oceanów.

– A kto nimi kieruje? – spytała Jill.

– Delfiny.

– On tak sobie tylko żartuje – wyjaśniła dziewczyna Nieprawdopodobnemu.

Ona i ja poszliśmy dalej zwiedzać osadę. W jednej z chat kilku Apaczów grało w karty. Dziewczyna imieniem Verna wciąż trzymała na ręku indiańskie dziecko. Ośmioro młodych ludzi, na oko sądząc o kilka lat starszych od Jill, siedziało na piasku, grając w ciupy. Tuż przy nich klęczał na ziemi mniej więcej czternastoletni Indianin. Leżały obok niego dwie rękawice łapacza i piłka do bejsbolu. Włożyłem jedną rękawicę (bardzo stary model, jakiego używał

jeszcze Luke Appling), splunąłem w nią i parę razy uderzyłem piłką w jej wnętrze. Chłopak wstał, wolno wyszliśmy za ostatnią chatę i zaczęliśmy sobie rzucać. Początkowo staliśmy zaledwie dziesięć metrów od siebie, rzucając jakby od niechcienia – ot tak, na rozgrzewkę. Później podwoiliśmy odległość i teraz już rzucaliśmy trochę mocniej. Indianin cofnął się jeszcze o trzy metry i zaczął ostre strzelanie. Na skraju pustyni było sucho i bardzo gorąco. Czułem się cudownie. Chłopak rzucał mocno i celnie. Rękawica zdążyła zmięknąć od długiego używania i nie miała tak grubej wyściółki jak nowsze modele, więc zaczęła mnie piec dłoń. Kiedy Indianin znów odsunął się kawałek dalej, posłałem mu kilka wysokich lobów, a on za każdym razem odrzucał ostro i płasko. Zdjąłem koszulę. Słońce przyjemnie prażyło, aż twarz, szyja i całe ciało od pasa w górę ociekało mi potem. Chłopak biegał po

piachu między kępami zielska, wzbijając kurz i celowo opóźniając start do piłki, żeby wyłapać ją chwytem przez ramię albo bekhendem. Dłoń już mnie zdrowo rozboleła i nawet nie pamiętałem, ile lat temu tak świetnie się czułem. Wciąż puszczałem długie wysokie loby, to w prawo, to w lewo, a chłopak raptownie skręcał, zawracał i biegał tyłem, czując się pewnie na znajomym terenie, i bez odrywania wzroku od piłki mijał co większe kamulce. Prawą dłonią zmazywałem pot, który gromadził mi się w pępku, wycierałem ją o ziemię, a później pozbywałem się lepkiego brudu, trąc ręką o spodnie i dmuchając na nią, żeby jeszcze trochę podeschła, aż wreszcie odchylałem się do tyłu i wysokim łukiem puszczałem kolejnego długiego loba słońcu prosto w usta. Z powierzchni piłki znikły już wszelkie napisy.

Wróciliśmy do wioski. Koszulę miałem przewieszoną przez kark. Jill ruszyła w naszą

stronę, a chłopak gdzieś sobie poszedł. Usiedliśmy na ziemi. Dziewczyna dotknęła palcem mojej piersi, a potem własnych ust. Wpatrywaliśmy się w siebie przez dłuższą chwilę.

– Po co on farbuje włosy na niebiesko? – spytałem.

– Z próżności.

– Ale w jakim celu?

– Żeby zaspokoić próżność – wyjaśniła Jill. – Tłumienie własnej próżności to głupota. Pokochaj swoje ciało, a zabijesz tkwiącą w tobie śmierć.

– Widzę w tym kilka sprzeczności.

– Mnie się jego włosy strasznie podobają. Czemu nie miałby nosić niebieskich, skoro chce? Czujesz, że ci jakoś zagrażają? A tak całkiem serio, to komu on szkodzi? Kiedy człowiek ośmiela się być, kim chce, fizycznie i duchowo, może zabić w sobie mnóstwo śmierci.

– Uwielbiam, jak mnie pouczają bardzo młodzi ludzie, bo to znaczy, że jeszcze nie jestem całkiem beznadziejnym przypadkiem.

– Niczego nie umiałabym cię nauczyć – powiedziała Jill. – I nigdy nie mogłabym się na ciebie rozgniewać. Nie tylko dlatego, że przypominasz mi brata. Jesteś taki piękny.

– Twoim zdaniem to ważne.

– Młodość i uroda zawsze są ważne. Właśnie ich najbardziej nienawidzi policja śmierci. Oni chcą nas jednocześnie zarznąć i zerznąć.

– On rzeczywiście wygląda nietuzinkowo. Indianie pewnie myślą, że jest bogiem.

– Myślą, że jest pedałem – odparła Jill i na chwilę się rozchichotała, a potem za karę wymierzyła sobie klapsa w nadgarstek.

– Odślaniasz dziąsła w uśmiechu – powiedziałem. – To takie miłe, że prawie mnie

zabija.

– Kiedy cię przed chwilą dotknęłam, aż mnie ciarki przeszły.

– Zrób to jeszcze raz.

– Lepiej nie – powiedziała.

– Masz orzechowe oczy.

– Chcesz z nami zostać?

– Nie wiem. Może raczej powinienem jechać dalej. Ścigam się z samym sobą.

– Masz samobójczą fazę?

– Nie wydaje mi się.

– Bo jakbyś miał, to mój tata pewnie mógłby ci pomóc. Świetny z niego facet. I dlatego moja wrzaskliwa matka na nim się wyżywa.

– Patrzyłaś, jak grałem z tym chłopakiem?

– Coś niesamowitego.

– Bejsbol jest taki piękny, leniwy. To nasza

wersja kawiarnianego życia. Siedzisz i nic się nie dzieje. Kocham bejsbol. Sezon już się zaczął. Gdyby teraz był pięćdziesiąty piąty rok, mógłbym siedzieć na trybunie starego Polo Grounds i oglądać mecz Giants z Cubs. Dookoła siedzieliby starzy faceci bez koszul, z zapadniętą różową pierśią i nogawkami zawiniętymi powyżej kościstych kolan. Co to za uczucie? Jak nad morzem u kresu czasu. Jill, te twoje orzechowe oczy po prostu mnie unicestwiają. Fajnie się tu siedzi. Pogawędka przy zakurzonej herbacie. Zmęczenie to w dzisiejszych czasach wielki luksus.

– Powinieneś zostać – powiedziała dziewczyna.

– Ktoś ma tu po mnie przyjechać. Dziwne, że jeszcze nie dotarł.

– W tej części świata – rzekła Jill – ludzie nie zawsze docierają.

Wróciliśmy do chaty. Stał przed nią Nieprawdopodobny Pokurcz w samych bermudach, wysoki prawie jak sama chata, jego ciało miało soczysty, zgaszony odcień miedziaków, niebieskie włosy zwisały jak druty, a wzdłuż rąk biegły głębokie bruzdy mięśni. Wyglądał tak oszałamiająco, że po drodze włożyłem koszulę, którą niosłem dotąd przewieszoną przez kark. Nieco później przyszedł po mnie ten młody Apacz i obaj umyliśmy się w misce za jego chatą, a potem wszyscy zasiedli wokół ognisk, żeby jeść hamburgery i kukurydzę, podczas gdy jedna z dziewczyn śpiewała westernowe ballady, akompaniując sobie na gitarze. Clevengera wciąż nie było. W ciemnościach tuż poza kręgiem zgromadzonych pocałowałem małą Jill i położyłem dłoń na jej delikatnie pulsującej, zasłoniętej piersi, a ona dotknęła palcem mojego nadgarstka. Nieprawdopodobny Pokurcz odszedł

na pustynię napawać się nieskończonością, białymi karłami i walczącymi gwiazdami podwójnymi, pierwszym fikcyjnym centymetrem odysei kosmicznej. Hogue, Jill i ja ułożyliśmy się do snu w chacie z Matisse'em. Paliło się jeszcze małe ognisko. Hogue opowiedział nam, jak mieszkał w Kanadzie i Meksyku, jak szukał złota, a potem Boga i wreszcie próżni doskonałej. Jego dziadek też poszukiwał złota, i to całkiem blisko miejsca, w którym słuchaliśmy tej opowieści, chętnie sięgał po broń i nie gardził mięsem muła, ale już ojciec Hogue'a, nieśmiały potomek epoki wypłukiwaczy, skończył jako sprzedawca towarów żelaznych. Leżeliśmy dość daleko od siebie. Ogień wkrótce dogasł, a ja pomyślałem, że ona teraz przyjdzie do mnie w ciemnościach, piegowate dziewczę z plemienia Mescalero, pachnące skórzanym ubraniem i liśćmi bylicy. Ale nie przyszła. O świcie zbudziłem się i zobaczyłem, że

Nieprawdopodobny pochyła się, zaglądając do chaty, a jego nagie ciało splamione jest krwią grzechotnika, którego trzyma w ręku. Jill wstała, podeszła do niego i w milczeniu udali się nie wiadomo dokąd – tam, gdzie zwykle chodzili oddawać się ablucjom praludzi i ich późnych wnuków.

Cadillac czekał. Dopiero co zjedliśmy obiad. Jill odprowadziła mnie kawałek w stronę drogi. Clevenger stał obok samochodu, w nowych butach z cholewami i z dymiącą cygaretką w ustach. U podnóża nasypu Jill powiedziała mi do widzenia, a ja poprosiłem, żeby chwilę zaczekała. Wyjąłem z bagażnika walizki, opróżniłem je, a potem włożyłem do jednej prawie wszystkie ciuchy, jakie mi jeszcze zostały, i spuściłem ją w dół po nasypie.

– Możecie to wszystko sprzedać i kupić

jedzenie.

– Nie jedź – odparła Jill. – Tam jest źle.

Po raz pierwszy, odkąd poznałem Clevengera, jechaliśmy na wschód, a raczej ku południowemu wschodowi, a jeżeli sprawiał mniej radosne wrażenie niż przedtem, to może po prostu dlatego, że uwierały go nowe buty. Poprosił, żebym mu podał ze schowka ciemne okulary. Obok nich leżał rewolwer z długą lufą, pewnie czterdziestkapiątka, a mnie nasunęło się pytanie, jak często Clevenger strzela dla wprawy do puszek albo w wyobraźni trafia z pędzącego samochodu kojoty, czerwonoskórych i małe zagraniczne autka. Był teraz podwójnie zasłonięty – okularami i przyciemnioną szybą, nisko pochylony w tym swoim chłodnym kościele, a ja wiedziałem, po co się go trzymam: żeby odnaleźć krańcową ostateczność, Biblię jako oręż, kościste łowy

człeka bogobojnego, który ściga dziecko, co sprzeciwiło się starszym. Clevenger prowadził wóz jedną ręką.

– Powinno się ich wywlec na pustynię i wychłostać.

– Przecież nikogo nie zaczepiają.

– Zajęli państwową ziemię.

– No to co?

– Zjeżyłeś się, chłopcze? No, no, no. Trudno ci mieć za złe. Stawałem na głowie, żeby wrócić na czas, ale odchodziły różne machlojki i szwindle. W sumie niezły bajzel. A potem jeszcze ta kobita.

– Nie szkodzi – powiedziałem.

– Mów mi „kapitanie”.

– Nie szkodzi, kapitanie.

– No więc była tam taka jedna kobita. Garnek ciepłego syropu. Cholernie mi się nie chce

wracać. W to diabelne przeklute płuco Ameryki. Ale niech będzie. Urządzimy sobie świńską balangę. Hej, widzisz ten wąwóz?

– Nigdy nie byłem w Teksasie.

– My właściwie nie jedziemy do Teksasu. Właściwie to jedziemy nie wiadomo dokąd. Widziałeś ten wąwóz, który przed chwilą minęliśmy? Rozegrał się w nim kawałek tutejszej historii. Sama myśl o tym, co tam się stało, poprawia mi humor. Oczywiście nie każdego by to tak śmieszyło.

– Słucham – powiedziałem.

– Dziewczyna miała ze dwadzieścia jeden lat. Słodka mała studentka. Spędza noc z żonatym facetem. Na drugi dzień wraca do domu i mówi o tym rodzicom. Nie pytaj po co. Może na złość. Postanawiają dać jej nauczkę. Jadą całą rodziną na pustynię, dokładnie w to miejsce, któreśmy przed

chwilą minęli. Wszyscy troje i ukochany pies tej dziewczyny. Tato każe jej wykopać płytki grób. Mama staje na czworakach i trzyma psa za obrozę. Grób już wykopany, więc tato daje córce dwudziestkędwójkę i każe zastrzelić psa. Wzruszająca scena rodzinna. W sam raz dobra na fotkę do darmowego kalendarza jakiejś grupy religijnej. Dziewczyna przytyka sobie lufę do skroni i się zabija. Prawda, że to kurewsko pocieszająca historia? Przywraca mi wiarę w mniej więcej wszystko.

– W żadnym innym kraju na świecie przemoc nie bywa śmieszna – powiedziałem.

– A jak myślisz, jaki zarzut postawiono rodzicom? Jak ci się zdaje? Rusz głową, spróbuj to rozkminić.

– Zabójstwo?

– Diabła tam zabójstwo. Okrucieństwo wobec

zwierząt. Zamiar zabicia, okaleczenia lub innego uszkodzenia ciała bądź przyzwolenie albo współudział w zabiciu, okaleczeniu lub innym uszkodzeniu ciała tego cholernego psa. To już szczyt wszystkiego. Normalnie koniec słupa.

I wtedy Clevenger zawył, wprawnie wrzasnął falsetem, wydając dwusylabowy dźwięk, który zabrzmiał jak wab na świnie, okrzyk wojenny zbuntowanych konfederatów albo szczeknięcie zbawionej duszy podczas wspólnej modlitwy. Nie rozumiałem Clevengera. Pewne odcienie jego osobowości przyćmiewały to, co wciąż spodziewałem się w nim znaleźć. Literaturę. Filmy. Kiedy tak mknęliśmy przez łuszczastą krainę, miałem wrażenie, że ona wylizuje jęzorem trasę między szkieletami mułów i przejawami chciwości, a wszystkie znaki wskazywały drogę do pomników przyrody: do kaktusów z pustyni Sonora, do Casa Grande, Saguaro, Chiricahua,

Gila, White Sands – tkliwych prób zabalsamowania odwiecznej zagadki mieszkańców urwisk, myśmy zaś tymczasem zanurzali się w zmierzchu, za tylną szybą pióropuszył się herb zachodzącego słońca, nasz kraj emanował czułą groźbą, nietoperze molosy fruwały nad rozszeptanymi szałasami mistyków, a wśród wzgórz śpiewała wszelkiego rodzaju niezapisana śmierć. Ot, literatura. Opowiedziałem Clevengerowi o Nieprawdopodobnym Pokurczu, jaki był wysoki i krzepki, jak emanował energią.

– Jeszcze żem nie widział człowieka, od którego by odskakiwały kule.

W nocy nie mogłem zasnąć, więc stanąłem przy oknie z widokiem na błękitny basen i nagle przypomniało mi się, jak pewnego razu przeszedłem obok Waldorfa, kościoła Świętego Bartłomieja i gmachu Seagrama, a kiedy

spojrzałem na drugą stronę ulicy, przed salonem Mercedesa na Pięćdziesiątej Szóstej zobaczyłem śliczną dziewczynę ubraną w jasną zieleń. Było lato, piątkowy wieczór, toteż miasto zaczynało pustoszeć. Przeszedłem na wysepkę dla pieszych i stanąłem, przyglądając się dziewczynie. Czekwała na kogoś. Fiołkowy zmierzch na Park Avenue pełził po wysokich szklanych taflach. Samochody zwolniły, a łagodne pobekiwanie klaksonów wzbijało w ciężki zmrok tęskną półnutę. Panował nastrój tropików, zmysłowości i zerwanych owoców, a także morza, obietnicy wyjawiającej się w przyływach słonego powietrza znad rzek i zatoki, klimat hamaków w luksusowych apartamentach na ostatnich piętrach i olbrzymich zielonych roślin, gdy dwoje ludzi patrzy, jak miasto zstępuje w muzyczne kratery, z których się zrodziło. A ona stała przed wystawą, zwrócona do mnie półprofilem, zgrabna i nadobna, a za nią cały

ten elegancki zaszpunktowany pęd, ukryte drążki skrętne i hamulce tarczowe, spokój znakomitej maszynerii, i nagle jej ciało w delikatnym obrocie jakby wtopiło się w falujące szkło. Tylko tyle, a zarazem wszystko.

– Jak zara nie wystartujemy, to będziemy ssać zadni cycek – rzekł Clevenger.

Po ciemku wzuwał buty. Przespał zaledwie dwie godziny, przejechawszy ponad pięćset pięćdziesiąt kilometrów, a kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, była jeszcze głucha noc. Clevenger powiedział, że zeszłej nocy w ogóle nie spał, bo żeby utrzymać koncentrację, potrzebował tylko golenia, gorącego ręcznika i ukąszenia szorstkiego cygara. Włączyłem przenośne radio i zaczęliśmy słuchać wielebnego Toma Palucha Goodloe, piosenkarza w stylu country i kaznodziei, który właśnie wrzeszczał z El Paso. Clevenger

lekko się uśmiechnął.

„Adams, mówię. Aldrich, powiadam. Andrews, Armstrong, Bancroft, Barton, Bennett, Box, Brown, Bryan. Niech będzie Calder. Niech będzie Carpenter, w to mi graj. Niech będzie Cartwright, Cassidy, Cole, Cooper, Curtis, Dale, Dixon. Elliota biorę do drużyny. Fowler to też gość w moim guście. Niech dołączy Benjamin Cromwell Franklin. I Calvin Gage. I jeszcze Albert Gallatin. Potrzebny mi Gant, Gillespie, Gray, Green, Hale, Hamilton, Hawkins, Hunt, Ingram, Jackson, Jennings, Jones, Kenyon, King, Lambert, Lane, Lawrence. Wzywam Lewisa. Wzywam Lightfoota. Lindsaya i Logana. Niech przyjdą Love, Marshall, Martin. Wzywam Maxwella. Niech będzie McClelland, McCoy, McKay, Mercer, Mitchell, Moore, Nabers, Nash, Orr, Pace, Parker, Patton, Phillips. Chcę usłyszeć porządne nazwiska, takie jak Powell, Proctor,

Reed i Reese. Niech się odezwie Rhodes, Robbins, Rockwell, Russell, Sanders, Scott, Slayton. Trzeba mi nazwisk z dawnych czasów, takich jak Smith, Stilwell, Taylor, Thompson, Tindale. Chcę mieć po swojej stronie dobrych ludzi. Niech tu przyjdzie Trask, Turner, Tyler, Wade, Walker, White, Williams, Yancey, York, Young. Wszyscy oni tam byli, wszyscy co do jednego wznosili sztandar z samotną gwiazdą. I jak mi Bóg miły, znalazł się tam też Goodloe. Robert Kemp Goodloe. I nie byłem obcy we własnym kraju”.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytałem.

– On lubi wyczytywać niektóre nazwiska z tych, co to je wydrapali na jednym z pomników na cmentarzu poległych w bitwie pod San Jacinto. Wojna z Meksykanami. No wiesz: Sam Houston. Armia Republiki Teksasu. Lubi opuszczać

wszystkie nazwiska, które brzmią z cudzoziemska.

„Prosta mowa prostych ludzi. Zwyczajny ze mnie chłopak, ale z piosenką na ustach. Ubogi syn swego kraju, ale z hymnem w sercu. Sam uprawiam swoją ziemię i gram na bandžo, ale cały Teksas to mój dom i nie jestem w nim obcy”.

– Pomału się rozgrzewa – wtrącił Clevenger.

„Czyjego nazwiska nie umiesz wymówić, ten ci zagraża. A jak nie patrzy ci w oczy, sam się naraża”.

– Piekielnie nawija, co?

„Miękkie białe podbrzusze^[4]. Powtarzajcie te słowa wszystkim wokół i powiedzcie swoim poczciwym sąsiadom, niech podadzą je dalej. Powiedzcie, żeście je słyszeli z ust Toma Palucha Goodloe, ewangelisty, co przemawia o północy, ma dwadzieścia sześć lat i dla chwały gotów jest przejść drogi szmat. A co to mianowicie za słowa?

Właśnie te trzy – miękkie, białe, podbrzusze. Głóście je, przyjaciele. Jesteśmy zanadto słodcy i mili, a tu trzeba dać odpór wszystkim, którzy bluźnią przeciwko naszemu chrześcijańskiemu narodowi, miaukocząc i szwargocząc jak jakaś islamska sekta z filmów. Musimy ich załatwić blitzem. Pchnąć do ataku swoich liniowych. Jezu Chryst nie był obcy we własnym kraju. Władał potoczną mową. Jadał pospolitą strawę. Czuł się u siebie. A teraz nasz znakomity reżyser dźwięku, pan Dale Mulholland, daje mi znaki, że czas już trochę pośpiewać, a ja proszę każdego z was, którzy siedzicie przy odbiornikach, żebyście się do mnie przyłączyli, leżąc w łóżkach, przygotowując w kuchni przegryzkę na dobranoc czy co tam jeszcze robicie. Przybędziecie do altany? Ci, co znają tę pieśń, wraz ze mną wzniosą głosy. Ci, co jej nie znają, powinni ją poznać. Ale najpierw chwila przerwy, bo muszę przeczytać reklamę”.

Nie widziałem w tym nic szczególnie zabawnego, ale Clevenger tak się śmiał, że jechał zygzakiem, waląc pięścią w kierownicę. Zmieniłem stację, a kiedy zapadłem się głębiej w fotel, zalała mnie fala zmęczenia. Po dziesięciu minutach hiszpańszczyzna latynoskiego didżeja utonęła w chmurze szumów i trzasków, a kilka sekund później inny głos ruszył w podróż przez długą noc.

„Głupcy, pozoranci, faryzeusze i łotry. Zgłasza się Bydlę w ostatniej godzinie *Śmierci tuż za rogiem*. Będzie trochę filozoficznego bicia piany. Trochę spacerów zaułkiem lobotomii. Gdzieniegdzie zakamarek martwego powietrza. Właśnie przyszło mi na myśl, ni przypił, ni przypalił, że ta moja szczególna forma prawdy już niedługo przestanie wam być potrzebna. Jest taki plan, żeby narkotyki przejęły rolę mediów. Tępa ponura błogość zastąpi płonący lęk waszych nocy

i wczesnych poranków. Możecie z góry się cieszyć, że narkotyk uwolni was od niepokoju, żalu i szczęścia. Endopasożyty jeden w drugiego, zdolacie nareszcie przywrzeć do ścian jelit czasu. Ale będzie wam za mną tęskno. Prochy i czarodziejka koko to słaba namiastka tej tranzystorowej miłości, która łączy nas w dziką noc. Aż blednę od chorobliwych przeczuć. Lecz naprzód, odurzone chloroformem zwierzęta, marsz w tajemnice i rzezie. Spotkałem dziś starego znajomego, Lothara Nobo, znanego niegdyś jako George Jefferson Carver Eleanor Roosevelt III. Nawet najszczelniej zabarykadowani spośród was otrzymali zapewne wiadomość, że Lothar Nobo pozostanie w naszym kraju głównym rzecznikiem czarnoskórej męskości i dumy aż do ogłoszenia listy czterdziestu największych przebojów przyszłego miesiąca. Poznałem go w zeszłym roku na J. Edgar Hooverplatz w Berlinie Zachodnim,

gdzie obaj uczestniczyliśmy w międzynarodowych targach palenia książek. Jeżeli mnie pamięć nie myli, uraczył prasę paroma cokolwiek deprecjonującymi uwagami na temat intymnych narządów naszej czcigodnej głowy państwa, H.C. Porny'ego. Ale ja nie o tym. Zapragnąłem raptem poruszyć delikatniejsze sprawy. Dostyc już tego świntuszenia. Na moim życiu kładzie się cieniem odkupicielska wartość wyuzdana. Na każdym kroku napotykam owoce swych całonocnych trudów. A skoro już historia mnie rozgrzeszyła, i to z nawiązką, chciałbym chyba wyjechać gdzieś bardzo daleko – na wyspy Aran, na Saharę, do jakiejś wioski na stokach Himalajów, aby osiąść tam stęchłym ciałem i szczerze opłacanym umysłem, opierając się dzikim psom przyrody. Morze, pustynia i góra. Cóż za nowoświętojeblive eldorada samotności. Jakież zdumienie na mojej twarzy, gdy

wychynąwszy z oblepionego ziemią szafasu, zamiast powściągliwych starców i woskowych dam z Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy widzę wysokiego mefistofelicznego jaka brnącego przez zaspy. Kręcę swoim modlitewnym młynkiem od Harry'ego Winstona. Albo stoję nad rozszalałym morzem jako ten kulturalny człowiek z Aran i pluję sobie w twarz. Doczesne zbawienie. W samotności zdołałbym może przemyśleć do końca kilka poważnych spostrzeżeń. Czystą matematykę pustyni. Wyrwać się z tej radioaktywnej kałuży. Skóra mi wysycha i się łuszczy. Język obłożony izotopami. Sinieją wszystkie bez wyjątku kończyny. Wszelkie tajemnice tkwią w pustyni. Linie krzyżujące się w piasku. Gdzie i kim jesteś. Saharyzm z całym swoim srakastycznym humorem. Buckmulliganizm ze swoją miseczką. W moim uchu wewnętrznym zamieszkał pewien Arab z Irlandii, który wygłasza

najświeższe nowiny, prognozę pogody i wiadomości sportowe. Kształcony u jezuitów, nosi najlepsze ciuchy, jakie można kupić za cenę dogmatu. A skoro już o ubraniach mowa, wszystkich eunuchowatych łowców trendów, którzy siedzą przy odbiornikach, może zaciekawić wiadomość, że kiedy dziś po południu widziałem Lothara Nobo na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy przed samym wejściem do Muzeum Handlu Nowoczesnego, na głowie miał on zaplecioną w warkocze lwią grzywę od Sassoona, a do tego cętkowany kombinezon z lamparciej skóry i buty z królewskiej kobry na koturnach. Na szyi sznur hipisowskich paciorków ze skurczoną głową byłego policjanta z Oakland. Serdecznie uścisnęliśmy sobie ręce, a potem Lothar zademonstrował mi najnowszy gest Czarnych Panter, splatając małe palce i zwracając kciuki w dół, która to forma powitania przyjęta jest

wśród członków pewnego koczowniczego plemienia z południowo-środkowej Algierii, czcicieli mistycznego oka, widocznego na odwrocie amerykańskich banknotów dolarowych. A teraz bez dalszych komentarzy przeczytam tekst, który Lothar mi wtedy wręczył. Cytuję. Chciałbym przy sposobności przypomnieć białym gwałcicielom, żądnym władzy imperialistom, ludobójcom i podżegaczom wojennym, że mają równe dwadzieścia cztery godziny na to, żeby wynieść się z Afryki, Azji, Ameryki Południowej i Środkowej, Indii Zachodnich, Australii i Nowej Zelandii. Niewykonanie tego rozkazu doprowadzi do ogólnoświatowej krwawej orgii, w porównaniu z którą druga wojna światowa będzie jak kwakerski piknik w New Harmony w stanie Indiana. Koniec cytatu. W mrocznej szczelinie świtu buduje się z nawarstwianych retoryk dżunglę i pustynię. I wykuwa z brązu te oto imiona: znany

także jako Ahmed Abu Bekir. Halil Rassam. Szafik Bej. Imam el-Mahdi. Kwame Mwanga. Madżid Said. Hassan Karami. Raszid Nimr. Muhammad Latif. Mustafa al-Attassi. Dugumbe Udżidzi. Ismail Bin Salim. James Lumumba. Abdul-Rahman Alami. Jakub Mahmud. Właśnieśmy sobie płynęli Szafik Bejem / gdy wtem dało się odczuć / że coś za mocno wieje. Moi mali niewysłowieni, moje trolle i troglodyci – wydaje wam się, że te pustynne imiona brzmią szlachetnie. Trzciny i krzywe szable. Pierś lekko mi drży, wstrząsana śmiechem anglossaka. Którym w istocie jestem. Trojakim ciałem stopniowanej sekwencji. Ekstraktem zabójczej refleksji po fakcie. Progeniturą akt zarejestrowaną w tymczasowym podciągu. Obrazem przesyłanym przez numerycznie cieniowane wartości. Uśrednionym wdrożeniem zaszyfrowanego tabulatora. Jam jest niepojęta mandragora. I widzę, że na przerwę

pora, żeby puścić z taśmy arcyważny komunikat wszystkim, do których dociera mój głos. A tymczasem nie róbcie nic, co mogłoby zaszkodzić narodowemu cudzołóstwu”.

Tor doświadczalny był piętnastokilometrowym okręgiem na pustyni. O wschodzie słońca siedzieliśmy w aucie na poboczu estakady, patrząc, jak przejeżdżają pod nami ciężarówki i samochody osobowe. Clevenger powiedział, że turlają się tak przez całą dobę, sześć dni w tygodniu, w każdą pogodę. Czasem jakiś kierowca zasypia, razem z wozem stacza się z autostrady i po sześciu–ośmiu obrotach ginie w płomieniach. Ciężarówki mniej podskakują niż osobowe, ale chyba lepiej się palą. Potem Clevenger oznajmił, że pora zameldować się w biurze, ale najpierw zrobił rundę wokół toru, piętnaście bardzo pospiesznych kilometrów, ostatni rzut na taśmę ze wskazówką

prędkościomierza drżącą w okolicach stu dziewięćdziesięciu. Zastanawiałem się, po co tam w ogóle wstąpił przed powrotem do domu.

W biurze pokazał mi różne harmonogramy i z grubsza objaśnił, jak działa firma. Miał dwunastu mniej lub bardziej stałych pracowników: czterech białych, dwóch czarnych i sześciu Meksykanów. Ekipa była nieformalnie zorganizowana w taki sposób, że Meksykanie najczęściej jeździli, opony głównie zmieniali czarni, natomiast biali zajmowali się przede wszystkim wyważaniem i pomiarami, a także sprawdzaniem ciśnienia, temperatury, zużycia bieżników i całą resztą. Kiedy oświadczyłem, że chcę jeździć i zmieniać opony, wydało mi się, że Clevenger spojrział na mnie, zirytowany moją (i nie tylko moją) głupkowato jankeską skruchą i naiwnością, chociaż nie drgnęła mu głowa ani nawet oczy. Po prostu miałem takie wrażenie.

Potem przejrzał pocztę i długo się do siebie nie odzywaliśmy. Za oknami przejeżdżały auta osobowe i ciężarówki, a zupełnie płaska ziemia biegła w dal aż do łańcucha błękitnych gór. Powiedziałem, że chyba zanosi się na deszcz.

– W Teksasie pogodę próbują przepowiadać tylko obcy albo skończeni durnie.

– Racja – przytaknąłem.

Za oknem stanął facet z tekturowym kubkiem, z którego popijał coś gorącego. Clevenger wyszedł z nim pogadać. Zadzwoiłem do Warrena Biddle'a na domowy numer.

– Czy umiesz za nagrodą w postaci skumulowanej puli ośmiuset czterdziestu tysięcy dolarów podać nazwisko i płeć zawodnika, który grał na trzeciej bazie w drużynie Philadelphia Phillies dokładnie w chwili, kiedy James Mason wszedł do morza, żeby uratować karierę Judy

Garland?

– O pieniądzach rozmawiam tylko w obecności swoich adwokatów – odparł Warren. – Kto mówi?

– David Bell. Parę godzin temu słuchałem twojego programu. Siedzę tu na jakimś kompletnym zadupiu. Ten numer o czarnych bojowcach wydał mi się mało śmieszny. Niby dlaczego nie mieliby się ponazywać, jak im się żywnie podoba? Obudziłem cię?

– Nie mogłem spać – powiedział Warren.

– Tak czy owak fajnie było usłyszeć znajomy głos.

– Zgadza się z tobą. Też go słuchałem. Bardzo poprawił mi humor.

– Nie rozumiem cię, Warren.

– To leciało z taśmy. Od trzech czy czterech miesięcy nagrywam te programy. Nadawanie na żywo było zbyt męczące.

– Powinienem był zgadnąć – powiedziałem. – Naprawdę powinienem był się domyślić. Wszyscy jesteśmy nagrani. Lecimy z taśmy. Wszyscy.

– Słuchaj, mądralo, przykro mi, jeżeli zaburzyłem działanie twojego delikatnego układu. Ale tak jest naprawdę dużo praktyczniej. Mogę za jednym zamachem nagrać kilka programów i od czasu do czasu wziąć sobie dzień urlopu.

– Dawny sposób był lepszy, Warren.

– Tylko w sensie ontologicznym. Ale przyznam, że odkąd zacząłem nagrywać, nie przespałem porządnie ani jednej nocy. To chyba głównie wina mojej żony. Pierwsze cztery cierpiały na bezsenność, więc ja przez te wszystkie lata sypiałem jak niemowlę. Mój metabolizm działa na zasadzie subtelnej biegunowości. Ale moja obecna suka ciągle się wyleguje w wyrze. Jak wąż śpiący w ciepłej wodzie. Jestem bezradny wobec takiej

mocy. A kiedy wreszcie udaje mi się na kilka minut zdrzemnąć, śni mi się tasiemiec, chociaż od lat nie miałem tego snu. Słuchaj, mądralo, wpadnij do mnie, to wypijemy parę krwawych mary. Usiądziemy przy łóżku i popatrzymy, jak ona śpi. Co rano o tej porze robi sobie palcówkę. Jak się pospieszysz, to jeszcze zdążysz zobaczyć.

– Nie dzwonię z domu, Warren. Jestem w tym cholernym Teksasie.

– Kiedy to ci się stało?

– Nie wiem – odparłem. – Wyjechałem jakieś pięć tygodni temu. Już nawet nie mam pracy.

– Słuchaj, ona właśnie zaczyna.

– Do widzenia – powiedziałem.

Wyszedłem na dwór i Clevenger poznał mnie z dwoma białymi facetami, Grudą i Fleją. Powiedział, że sprowadzi kobiety, jak tylko przyjedzie Krótki. Poszliśmy do garażu. Pośrodku

na betonowej posadzce stała nieduża śmieciarka, a pod ścianami dziesiątki opon. Pełno było wag i innych przyrządów pomiarowych, szmat, lewarków, łyżek do opon, gaźników, felg, dekli i rur wydechowych. Gruda przytaszczył dwie drewniane, okute stalową blachą skrzynki, opierając je sobie na biodrach i trzymając rękami za dolny kant zewnętrznej deski; były wypakowane ćwierćlitrowkami z piwem. On i Fleja usiedli na oponie, a Clevenger na zderzaku śmieciarki. Oparłem się o ścianę w miejscu, gdzie akurat nic pod nią nie stało. Zaczęliśmy pić. Była siódma rano.

Piliśmy prosto z butelek. Piwo o tej porze smakowało okropnie, ale piłem bez szemrania. Tamci pili chyba ze dwa razy szybciej ode mnie. Fleja obalił pół flaszki i powiedział, że musi wyjść się odlać po królewsku, więc wszyscy ryknęli śmiechem. Piliśmy browar przez jakąś

godzinę i każdy po kolei rozśmieszał towarzystwo, stając w olbrzymim kwadracie drzwi garażu i szczając na żwir za progiem. Kiedy przyszła moja kolej, oprócz śmiechu rozległy się brawa, jakbym w ten sposób zawiązał z tamtymi jakąś mityczną unię. To ich błogosławieństwo sprawiło mi przyjemność. Zjawił się Krótki z butelką burbona i puścił ją w koło. Widziałem przez okno, jak auta i ciężarówki krążą po torze, ale już bez świateł. Clevenger podszedł do wiszącego na ścianie telefonu i przez góra dziesięć sekund bardzo cichym, równym tonem mówił coś do słuchawki, a potem ją odwiesił. Fleja spuścił drzwi garażu.

Po półgodzinie przyjechały kobiety. Było ich trzy, same Meksykanki. Najmłodsza dopytywała się, gdzie jest Danny, na co Clevenger powiedział, że Danny siedzi w więzieniu, prawie cały, brak mu tylko prawego oka. Grubą Fleja zaprowadził do

szoferki śmieciarki, a ona położyła się na plecach i zadarła kieckę. Kolano omsknęło mu się z siedzenia, więc przetoczył się po jej nodze i spadł pod tablicę rozdzielczą. Wszyscy się roześmialiśmy. Fleja wylazł z szoferki i ze stopnia nadwozia zleciał na ziemię, śmiejąc się i wymiotując, z jednym butem zahaczonym o stopień. Gruda przeszedł nad nim, rozpiął rozporek i położył się na grubej. Clevenger rozebrał się do naga, z powrotem włożył buty i kazał młodej usiąść w jednej z opon pod ścianą. Kiedy podciągnęła sukienkę, stanął na czworakach i wsunął głowę pod spód. Krótki przyparł trzecią kobietę do gołej ściany, podciągnął jej kieckę i zaczął gryźć piersi, chociaż nie zdjęła stanika, i usiłował w nią wcisnąć. Wywlokłem Fleję za ciężarówkę, a kiedy już byłem pewien, że nikt nie widzi, mocno kopnąłem go w zębra. Potem dopiłem burbona i wylałem trochę piwa Grudzie

na głowę, a on roześmiał się i dalej robił swoje. Krótki zaczął się osuwać po nogach tej trzeciej. Młoda patrzyła na mnie znad tyłka Clevengera, dłubiąc w nosie. Krótki w spuszczonej spodniach leżał na ziemi, owinięty wokół nóg tej trzeciej, i gryzł ją w łydki. Gruda wygramolił się z szoferki, pozbył się reszty ubrania i sięgnął po flaszkę piwa. Clevenger wyszedł spod sukienki i wlaź na grubą, która wciąż leżała w szoferce. Kazał jej zdjąć sukienkę, ale nie chciała, a on wybuchnął śmiechem. Gruda rzucił butelką w ścianę. Zobaczyłem, że Fleja lezie obok mnie na czworakach, więc pomogłem mu wstać i pchnąłem go w stronę młodej. Padł w połowie drogi. Młoda wciąż siedziała w oponie, więc Gruda podszedł do niej i wsunął głowę pod jej sukienkę. Kopnąłem Fleję. Krótki zdjął tej trzeciej buty i właśnie wpychał sobie w spodnie jej stopę. Spojrzała na niego z góry i roześmiała się, wtedy

on też się roześmiał, a ona upadła na niego i leżeli razem, śmiejąc się i ciągnąc za włosy, gryząc i turlając się z boku na bok. Nie mogłem otworzyć drzwi garażu, więc oparłem o nie policzek, czując, że spadam, i czekałem, aż w coś uderzę, niecierpliwie czekałem, ale jakimś cudem wciąż stałem z policzkiem przytkniętym do zimnej stali. Clevenger klepał mnie po plecach, powtarzając w kółko „miękkie białe podbrzusze”. Odwróciłem się i zobaczyłem, że gruba polewa Grudę piwem. Krótki stał z wetkniętym między nogi kawałkiem rury i wszyscy się śmiali. Młoda ciągle siedziała w oponie. Gruda sikał na ścianę. Fleja wstał, objął grubą i znowu się porzygał. Gruba walnęła go dwa razy pięścią w twarz, aż zabolalo, i wszyscy parsknęli śmiechem. Krótki, teraz już całkiem goły, podpełznął do młodej i wsunął głowę pod jej sukienkę. Clevenger ostrzegł mnie, żebym się miał na baczności przed grubą, bo ma zęby w piździe.

Gruba i ta trzecia siedziały na stopniu ciężarówki, popijając piwo z jednej butelki. Gruda, który znowu leżał na ziemi, powiedział, że już czas, żeby sobie użył. Rzucił się w stronę dwóch kobiet, ale stracił równowagę i trafił głową w kant zderzaka. Gruda stał w kałuży własnych szczyń. Podszedłem do Krótkiego, złapałem go za kostki i odciągnąłem od młodej, a potem powlokłem brzuchem i twarzą po ziemi. Clevenger oblał go piwem. Podszedłem do dziewczyny, która siedziała w oponie, zadartem jej sukienkę wyżej bioder i wsunąłem twarz między nogi. Uda rozchyliły się, a potem zbliżyły, dotykając moich uszu. Były mokre. Próbowałem głębiej wsadzić język, znów czując, że zaraz zemdleję. Głaskała mnie po głowie. Ktoś mnie od niej odciągnął, więc usiłując po drodze zdjąć koszulę, tylko koszulę, poczołgałem się w stronę grubej. Clevenger pierwszy jej dopadł, poszli razem za ciężarówkę i po jakimś czasie udało im

się wdrapać na pakę. Ta trzecia pchnęła mnie na ziemię i usiadła na mnie okrakiem, rozpięła mi guziki koszuli, zdarła ją, a potem zaczęła rozpinać mi pasek od spodni. Z miejsca, gdzie leżałem, widziałem Fleję. Wciąż był nieprzytomny, ale nie krwawił. Kobieta trzymała mnie za chuja i próbowała go sobie wsadzić. Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem, a ona w końcu dała za wygraną i już tylko na mnie leżała, przetaczając się z boku na bok i liżąc mi twarz. Później znów mnie okraczyła, a ja poczułem, że obsikuje mi brzuch i klatkę piersiową. Po chwili wstała, usiadła na stopniu nadwozia i napiła się piwa. Dźwignąłem się z ziemi, ukląknęłem i zapiąłem pasek. A potem się porzygałem. Gruda trzymał głowę pod sukienką młodej. Krótki leżał, paląc papierosa. Podeszedłem do niego na czworakach i poprosiłem o macha, chociaż od kilku lat nie paliłem. Usiedliśmy obok siebie, paląc na spółę. Clevenger pomału zlął

z ciężarówki, zdjął buty, ubrał się i z powrotem obuł. Gruba stała na pace, a ta trzecia podawała jej butelkę piwa. Clevenger dokądś zadzwonił. Gruda wylazł spod sukienki młodej i obsikał Fleję od stóp do głów. Młoda wciąż siedziała w oponie.

Potem Clevenger wyszedł bocznymi drzwiami. Ruszyłem za nim i wziąłem z wozu walizkę. Powiedział, że wróci za pół godziny. Patrzyłem, jak jeździ w koło po torze. Zrobił trzy okrążenia, jadąc prawie dwa razy szybciej niż ciężarówki i auta osobowe. Patrzyłem na ten ogromny asfaltowy krąg, prawie piętnaście bezkresnych kilometrów, ślad po jakiejś szalonej albo dziecinnej społeczności. Widok ten na chwilę skojarzył mi się z Warburtonem, z jego ostatnim okólnikiem, więc zacząłem żonglować alfabetem, żeby wreszcie dopasować litery, z dwojga imion układając trzy, anagramatycznie, ostatni żart wygnańca z korporacji. Wróciłem do garażu po

koszulę. Potem przebiegłem przez tor i jeszcze przez pięćdziesiąt metrów gołej ziemi, aż znalazłem się za bramą, na szosie. Clevenger wciąż objeżdżał tor. Włożyłem koszulę i poszedłem przed siebie. Zaczęło się ocieplać. Na drucianych płotach wisiały martwe kojoty. Po jakiejś półgodzinie zatrzymało się przy mnie auto, stary studebaker. Kierowca ruszył, nim zdążyłem zamknąć drzwi. Miał tylko jedną rękę, a ubrany był w galowy mundur Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Wzdłuż szosy i w głębi pustyni stały setki szybów naftowych, a ich czarne rozkołysane ramiona, trójkątne łby i smukłe rusztowania przywodziły na myśl niewolnicze kolonie olbrzymich mrówek robotnic, science fiction z prehistorii i pośmiertnej wieczności. Buchające z rafinerii kłęby czarnego dymu przesłaniały ziemię i niebo. Spytałem kierowcę, dokąd jedzie, a on na to, że do Midland. W radiu

Bob Dylan śpiewał *Subterranean Homesick Blues*. Kiedy wyjechaliśmy ze strefy dymów, zagadnąłem faceta, jak długo służył w marynarce. Był to dwudziestoparoletni, szczupły jegomość z kwaśną miną, o wąskich ustach i niemal białych włosach: tak mógłby wyglądać ktoś, kto potajemnie obmyśla napady na bank.

– Myślisz, że wcale nie służył w marynarce, bo nie mam ręki. Wydaje ci się, że jestem z kilku bajek naraz. To zawsze było moją siłą. Sprawiam tajemnicze wrażenie i już wiele osób próbowało tę tajemnicę rozkminić. Ale może ona tkwi w nich samych. Zastanawiasz się, skąd tyle wiem o ludziach. Całe życie jeżdżę to tu, to tam. Jako jeden z nielicznych byłem w Chinach. Zachłannie czytam. Studiowałem na Siorbanej w Paryżu, jeszcze zanim żem stracił rękę.

– Bez urazy. Tak tylko spytałem.

– Każdy chce wiedzieć, jak to było z tą ręką. A ja mam inne, głęboko schowane miejsca, do których nikt nie dał rady się dostać. Jestem nienasyconie ciekaw ludzi z wszelkich możliwych sfer. Żeby się o nich czegoś dowiedzieć, trzeba mieć oczy i uszy otwarte, a usta szczelnie zamknięte. Włóczyłem się po ulicach Paryża jak kot. Byłem milczący i czujny. Nikt ze mną nie zadzierał. Przez cały ten paryski okres nosiłem przy sobie nóż. Miałem tylko jednego bliskiego przyjaciela, pisarza i malarza z Harlemu. Był sprytny i żyłasty. Najfajniejszy asfalt w Paryżu. Fatalny as. Włóczyliśmy się po lewym brzegu jak dwa koty. Zawsze miałem przy sobie nóż. Kto by zadarł z jednym z nas, temu drugi poderżnąłby gardło.

– Jak on się nazywał?

– Niby kto?

– Ten pisarz i malarz w jednej osobie – powiedziałem.

– Jesteś uprzejmy, bo się mnie boisz. Ze strachu ludzie zadają przymilne pytania. Obserwuję to już od wielu lat. Strach to zawiła sprawa. W czasie swoich podróży prowadzę nad nim badania. W bibliotekach świata jest cała kolekcja literatury na temat strachu, która tylko czeka, aż ktoś ją przeczyta i zsyntetyzuje. Ludzi niepokoi właśnie ta moja ręka. Tajemnica to wróg białego człowieka. Jestem jednym z nielicznych, którzy jeszcze mają duszę. Daj mi rzucić okiem, jak ty właściwie wyglądasz, do diabła.

– Jak daleko jeszcze do Midland?

– Rzucę okiem – powiedział kierowca. – Zaparkuję za pierwszym billboardem i wtedy zobaczymy, jakiś ty tajemniczy. Bo ja to mam fiuta jak się patrzy. Jak byk z corridy. Wielgachnego.

Zobaczymy, który z nas jest większy facet. Większy bierze. Mniejszy daje. Takie są prawa drogi.

– Dosyć – powiedziałem. – Wypuść mnie.

– Odtrącenie to jedno z przekleństw naszych czasów. Ludzie nigdy nie powinni się odtrącać. Myślisz, że ja tylko wulgaryzuję. Oferuję coś więcej niż towar. Niejeden mężczyzna sporo zapłacił za moje seksualne talenty i upodobania. Ale moja tajemnica nie jest na sprzedaż.

– Hamuj.

Zwolnił, a potem zjechał na pobocze. Złapałem walizkę i wysiadłem. I wtedy on (całkiem jak dziecko, które z rozkoszą recytuje wierszyk, przypominając sobie słowo w słowo jakąś dawną lekcję albo strzęp mądrości ludowej) pochylił się w stronę okna i powiedział zwycięskim tonem:

– Grzeczny chłopczyk nie daje się podwozić nieznajomym.

Kolejne sześćdziesiąt parę kilometrów przejechałem z dwojgiem głuchoniemych. Byli do siebie podobni jak bliźnięta. Siedziałem z tyłu, a obok mnie leżała gitara. Potem kawałek podrzucił mnie facet, który handlował trutką na szczury, a kiedyś był delegatem na zjazd partii. Po nim jakaś eksstriptizerka zgarnęła mnie z szosy i zawiozła do Midland. Grywała dawniej w remibrydża z księciem Windsoru. Poszedłem do hotelu, ogoliłem się i wziąłem prysznic, wymeldowałem się i wynająłem samochód. Całą noc jechałem na północny wschód i znowu czułem, że to, z czym ostatnio miałem do czynienia, było literaturą – te archetypy koszmarnych tajemnic, synowie i córki archetypów, obrazy, niepewne, w którym z dwóch chaosów jest mniej grozy: w ich własnym czy w tym, czym ich własny chaos mógłby się stać, gdyby kiedyś stanął w obliczu prawdy. Jechałem z obłądną szybkością.

Rano ruszyłem na zachód główną ulicą w śródmieściu Dallas. Skręciłem w prawo w Houston Street, potem w lewo w Elm i nacisnąłem klakson. Nie zdejmując z niego ręki, minąłem Szkolną Książnicę^[5], przejechałem przez Dealey Plaza i pod wiaduktem. Trąbiłem, kiedy sunąłem autostradą Stemmons i obok szpitala Parkland. Na lotnisku Love Field oddałem samochód i kupiłem prezent dla Merry. Potem zapłaciłem kartą kredytową American Express za bilet na pierwszy lot do Nowego Jorku. Dziesięć minut po starcie jakaś kobieta poprosiła mnie o autograf.

Przypisy

[1] Franz Kafka, *Budowa chińskiego muru*, przełożył Alfred Kowalkowski (wszystkie przypisy tłumacza).

[2] W bitwie pod Marston Moor 2 lipca 1644 roku Cromwell i jego szkoccy sojusznicy pokonali rojalistów.

[3] *The Incredible Shrinking Man* Jacka Arnolda z 1957 roku.

[4] Według Winstona Churchilla miękkim białym podbrzuszem Europy miały być Bałkany. Nazwę Soft White Underbelly nosił też pierwotnie zespół Blue Öyster Cult.

[5] Z okna tego budynku Lee Harvey Oswald zastrzelił Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.